

SARAH LOTZ



TROJE

**SARAH LOTZ**

**TROJE**

*Wijkowi Chippy'emu*  
(1929–2013)

# Spis treści

JAK SIĘ ZACZEŁO

CZARNY CZWARTEK

OD AUTORKI

CZEŚĆ PIERWSZA KATASTROFA

OD TŁUMACZA:

CZEŚĆ DRUGA SPISEK:

CZEŚĆ TRZECIA OCALENI:

CZEŚĆ CZWARTA SPISEK:

CZEŚĆ PIĄTA OCALENI:

CZEŚĆ SZÓSTA SPISEK:

CZEŚĆ SIÓDMA OCALENI:

CZEŚĆ ÓSMA SPISEK:

CZEŚĆ DZIEWIĄTA OCALENI:

CZEŚĆ DZIESIĄTA KOŃCOWA ROZGRYWKA

POSŁOWIE DO PIERWSZEGO WYDANIA

OD WYDAWCY: POSŁOWIE DO SPECJALNEGO WYDANIA ROCZNICOWEGO

JAK TO SIĘ KOŃCZY

JAK TO SIĘ ZACZYNA

PODZIĘKOWANIA

## JAK SIĘ ZACZEŁO

*No dalej, dalej, dalej...*

Pam wpatruje się w światelko sygnalizujące konieczność zapięcia pasów, modląc się, by jak najszybciej zgasło. Nie wytrzyma dłużej, wyobraża sobie głos strofującego ją Jima: „Dlaczego nie skorzystałaś z toalety przed wejściem do samolotu? Przecież wiesz, że masz słaby pęcherz!”

Prawda wygląda tak, że po prostu nie miała odwagi pójść do WC na lotnisku. A gdyby znalazła się w jednej z tych futurystycznych toalet, o których czytała w przewodniku, i nie miałyby pojęcia, jak spuścić wodę? Albo gdyby zatrzasnęła się w kabynie i spóźniła na samolot? I pomyśleć, że Joanie zaproponowała, żeby przed lotem do Osaki poświęciła kilka dni na zwiedzanie miasta! Na myśl o tym, że miałyby samotnie poruszać się po ulicach Tokio, Pam czuje, jak jej i tak już spocone dłonie robią się jeszcze bardziej wilgotne. Już samo lotnisko okazało się wystarczająco skomplikowane. Zmęczona i brudna po podróży z Fort Worth, czuła się jak jakiś gigantyczny ślimak, wlokąc się w kierunku Terminalu 2, gdzie miała wsiąść w kolejny samolot. Dokoła niej wszyscy zdawali się tryskać energią i pewnością siebie; niewielcy ludzie przeciskali się we wszystkich kierunkach, z okularami przeciwsłonecznymi na nosach i teczkami w dłoniach. Wpychając się do autobusu, boleśnie odczuwała każdy kilogram swojej masy, rumieniąc się po uszy za każdym razem, kiedy ktoś na nią spojrzał.

W samolocie do Tokio na szczęście było wielu Amerykanów (siedzący obok niej uprzejmy chłopak cierpliwie pokazywał jej, jak obsługiwać system wideo); tutaj jednak ma świadomość, że jest jedyną przedstawicielką... Jak to się mówiło w filmach detektywistycznych, które tak lubił Jim? Ach, tak: rasy białej. W dodatku fotele są znacznie mniejsze, Pam czuje się więc tak, jakby wepchnięto ją do konserwy. Na szczęście między nią a wyglądającym na biznesmena mężczyzną zajmującym fotel od strony przejścia jest wolne miejsce, nie musi więc uważać, żeby nie trącać mężczyzny przy każdym ruchu. Co prawda, i tak będzie musiała precyzyjnie przycisnąć się obok niego, idąc do łazienki. Co gorsza, mężczyzna lada chwila chyba zapadnie w drzemkę, co oznacza, że trzeba będzie go obudzić.

Samolot kontynuuje wznoszenie, a lampka nie gaśnie. Pam spogląda za okno, w ciemność, w której za zasłoną chmur migocze czerwone światelko na końcu skrzydła, zaciska mocniej palce na poręczach fotela i czuje wibracje maszyny.

Jim miał rację. Jeszcze nawet nie dotarła do celu, a już to całe przedsięwzięcie ją przerosło. Ostrzegał ją, że nie jest stworzona do długich podróży, usiłował przekonać, że to niedobry pomysł. „Przecież Joanie może przylecieć do domu, kiedy tylko zechce, po co więc wlec się na drugi koniec świata, żeby się z nią zobaczyć? Zresztą, po co w ogóle pojechała tam uczyć Azjatów? Amerykańskie dzieciaki jej nie wystarczały? A ty, Pam, nie znosisz chińskiej kuchni, więc jak poradzisz sobie z surowym delfinem, czy czym oni tam się żywią?” Ona jednak zacisnęła zęby i nic sobie nie robiła z jego dezaprobaty. Zaskoczyła go swoim uporem. Od wyjazdu Joanie minęły już dwa lata i Pam bardzo chciała ją zobaczyć; ogromnie za nią tęskniła, a na zdjęciach, które znalazła w internecie, lśniące wieżowce Osaki prawie wcale nie różniły się od drapaczy chmur w amerykańskich miastach. Co prawda Joanie ostrzegała ją, że tutejsza rzeczywistość w pierwszej chwili może wydać jej się odpychająca, że Japonia to nie tylko kwitnące wiśnie i gejsze uśmiechające się tajemniczo zza wachlarzy, ale Pam była przekonana, że jakoś sobie poradzi. Zakładała – kompletnie bez sensu – że będzie to zabawna przygoda, o której później całymi latami będzie mogła opowiadać Rebie.

Maszyna wyrównuje lot, lampki gasną. Wybuch małe zamieszanie, kiedy kilkunastu

pasażerów niemal równocześnie podrywa się z foteli i zaczyna grzebać w schowkach pod sufitem. Modląc się w duchu, żeby nie było kolejki do łazienki, Pam rozpina pas i opiera się mocniej na rękach, szykując się do operacji przeciskania obok pasażera z fotela przy przejściu, kiedy nagle rozlega się donośny, rozciągnięty w czasie huk. W jej uszach brzmi to jak wystrzał uszkodzonego tłumika, ale przecież samoloty nie mają tłumików, prawda? Z jej ust ze sporym opóźnieniem wyrywa się stłumiony okrzyk. Pam jest nieco zażenowana swoją reakcją; to na pewno nic poważnego, może odgłos pioruna? Tak, z pewnością. W przewodniku jest wzmianka o tym, że czasem podczas burzy...

Kolejny huk, tym razem jak wystrzał z broni palnej. Z przedniej części maszyny dobiegają przeraźliwe krzyki. Lampka nakazująca zapięcie pasów znowu się świeci, Pam sięga więc do pasa, ale palce ma dziwnie odrętwiałe i nie jest w stanie go zapiąć. Samolot gwałtownie opada; potężne dłonie zaciskają się na jej ramionach, żołądek wciska jej się do gardła. Nie. To niemożliwe. To nie może być naprawdę. Takie rzeczy nie zdarzają się zwyczajnym ludziom, takim jak ona. Dobrym ludziom. Szarpnięcie. Łomot w schowkach nad głowami, a potem samolot na szczęście się uspokaja.

Głośne „Ping!”, jakiś bełkot po japońsku, a potem:

– Prosimy o pozostanie na miejscach do chwili, kiedy zgaśnie sygnalizacja „Zapiąć pasy”.

Pam znowu oddycha. Głos jest spokojny, obojętny. To na pewno nic poważnego, nie ma powodu do paniki. Rozgląda się dokoła, żeby sprawdzić, jak reagują inni pasażerowie, ale widzi tylko pochylone głowy.

Ponownie zaciska dłonie na poręczach fotela. Wibracje przybierają na sile, jej ręce niemal dygocą, drzenie pełnie w górę po jej nogach. W przerwie między fotelami przed Pam pojawia się oko częściowo ukryte za zasłoną kruczoczarnych włosów; to zapewne ten dzieciak, którego ciągnęła za rękę młoda kobieta o mocno umalowanych ustach i surowej twarzy. Zafascynowany chłopiec gapił się na Pam, której przemknęło przez głowę, że niezależnie od tego, co się myśli o Azjatach, trzeba przyznać, że dzieci mają po prostu śliczne. Pomachała mu i uśmiechnęła się, ale nie zareagował. Zaraz potem matka warknęła coś do niego i chłopczyk posłusznie zajął miejsce w fotelu, niknąc jej z oczu. Teraz też próbuje się do niego uśmiechnąć, lecz ma tak sucho w ustach, że wargi nie chcą przesuwac się po zębach. Wibracje, o mój Boże, są coraz silniejsze.

W przejściu między rzędami foteli pojawia się biała mgła, unosi się coraz wyżej. Pam bez sensu wali pięścią w ekran, szuka słuchawek. To nie może dziać się naprawdę. Po prostu nie może, nie, nie, nie. Gdyby udało jej się włączyć ekran, obejrzeć film, coś uspokajającego, na przykład tę komedię z Ryanem Jakimśtam, którą widziała podczas lotu w drugą stronę... Samolot znowu przechyla się gwałtownie, kołysze się na boki, w górę i w dół. Żołądek podjeżdża jej do gardła, ale Pam przełyka ślinę raz, drugi. Nie wymiotuje, nie ma mowy.

Biznesmen wstaje z fotela, wymachuje rękami, żeby utrzymać równowagę. Chyba usiłuje otworzyć schowek nad głową, ale nie jest w stanie tego uczynić. Co robisz?! – chciałaby wrzasnąć, bo wydaje jej się, że jeśli tamten natychmiast nie usiądzie, to sytuacja jeszcze się pogorszy. Samolot trzęsie się tak okropnie jak jej pralka, kiedy zepsuł się stabilizator i maszyna przesuwająca się po podłodze. Z mgły wyłania się stewardesa, podchodzi, chwytając się zagłówek foteli, sygnalizuje gestem mężczyźnie, żeby usiadł, i ten opada na fotel. Natychmiast sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjmuje telefon, opiera głowę o fotel z przodu i zaczyna mówić do aparatu.

Powinna zrobić to samo. Powinna zadzwonić do Jima, powiedzieć mu o Snookie, przypomnieć, żeby nie karmił jej jakimiś tanimi świństwami. Powinna też zadzwonić do Joanie, ale – niewiele brakuje, żeby wybuchła śmiechem – co miałyby jej powiedzieć? Że się spóźni? Nie, że jest z niej dumna, ale czy tu w ogóle jest zasięg? I czy telefony komórkowe nie zakłócają

działania systemów nawigacyjnych samolotu? Gdyby chciała skorzystać z zestawu słuchawkowego przy fotelu, czy będzie potrzebowała karty kredytowej?

Gdzie jej telefon? W pasie na dokumenty, razem z pieniędzmi, paszportem i tabletkami, czy może wrzuciła go do torby? Dlaczego nie może sobie przypomnieć? Sięga do torebki, ma wrażenie, że żołądek przykleja jej się do kręgosłupa. Wydaje jej się, że jednak zwymiotuje, jest tego pewna, ale wtedy jej palce trafiają na pasek torebki – dostała ją od Joanie na ostatnią gwiazdkę przed tym, jak dwa lata temu córka wyjechała z domu – to były udane święta, nawet Jim miał tego dnia dobry humor. Kolejne szarpnięcie, pasek wysuwa jej się z dłoni. Pam nie chce umierać w taki sposób. Nie wśród obcych ludzi, nie z przetłuszczonymi włosami – ta nowa odżywka jest do niczego – nie z opuchniętymi nogami. Nie ma mowy. Szybko, pomyśl o czymś miłym, o czymś dobrym. Tak. To wszystko tylko sen, w rzeczywistości siedzi na sofie z kanapką z majonezem w dłoni, Snookie leży na jej kolanach, Jim drzemie w głębokim fotelu. Wie, że powinna się modlić, że pastor Len na pewno kazałby jej to zrobić – czy wtedy to wszystko zniknie? – lecz pierwszy raz w życiu nie jest w stanie znaleźć właściwych słów. „Pomóż mi, Jezu!” – kołaczę jej się po głowie, ale to wszystko, bo przeszkadzają jej inne myśli. Kto zajmie się Snookie, jeżeli coś się jej przydarzy? Snookie jest stara, ma prawie dziesięć lat, nie będzie wiedziała, dlaczego jej pani ją opuściła. Psy nigdy tego nie rozumieją. Dobry Boże, w głębi szuflady z bielizną leży stos podartych rajstop, które od dawna zamierzała wyrzucić... Co sobie o niej pomyśla, kiedy je znalazła?

Mgła gęstnieje, Pam czuje w gardle kwaśne palenie, widzi niewyraźnie. Ostry trzask i tuż przed jej twarzą kołyszę się żółty plastikowy kubek. Ktoś mówi po japońsku. Ma zatkałe uszy, musi przelknąć ślinę, czuje w ustach smak tych rozmemłanych pikantnych klusek, które jadła podczas poprzedniego lotu, z ulgą stwierdza, że już nie chce jej się siusiu. A teraz po angielsku: „cośtam pomóc współpasażerom cośtam cośtam”.

Biznesmen wciąż bełkocze do telefonu. Po kolejnym gwałtownym przechylenie aparat wypada mu z ręki, lecz usta mężczyzny wciąż się poruszają, chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, że nie ma już telefonu w dłoni. Pam ma kłopoty z oddychaniem, powietrze jest zbyt rzadkie, sztuczne, drapiące, wywołuje mdłości. Na chwilę oślepiają ją jaskrawe rozbłyski światła; sięga po maskę, ale ta wciąż wymyka jej się z palców. Śmierdzi spalenizną, jakby ktoś postawił plastikowe naczynie na rozgrzanej płycie kuchenki. Jej też się zdarzyło coś takiego, położyła na kuchence łyżkę do sałaty. Jim wypominał jej to tygodniami: „Kobieto, mogłaś spalić całą chałupę!”.

Znowu głos: *przygotować się na uderzenie.*

Wyobraża sobie puste krzesło i ogarnia ją żal tak silny, że aż bolesny. To jej krzesło, na którym siada w każdą środę podczas spotkań kółka biblijnego. Solidne, niezawodne, przyjazne krzesło z wysiedzianym siedziskiem – takie, które nigdy nie skarży się na jej wagę. Pam zawsze przychodzi trochę wcześniej, żeby pomóc Kendrze ustawiać krzesła; wszyscy wiedzą, że będzie siedziała po prawej ręce pastora Lena, obok ekspresu do kawy. Modlili się za nią dzień przed jej wyjazdem, nawet Reba życzyła jej szczęśliwej podróży. Pierś wezbrała jej dumą i wdzięcznością, a policzki piekły z dumy, że tak długo skupia na sobie uwagę. *Dobry Jezu, miej w opiece naszą siostrę i przyjaciółkę Pamelę, która...* Samolot trzęsie się przy akompaniamencie łomotu toreb, laptopów i mnóstwa innych rzeczy wysypujących się ze schowków pod sufitem, ale jeśli uda jej się skupić na tym pustym krześle, to wszystko będzie dobrze. Zupełnie jak w tej zabawie, na którą pozwala sobie czasem w drodze powrotnej ze sklepu: jeśli zauważy trzy białe samochody, pastor Len to ją, a nie Rebę, poprosi o ustawienie kwiatów.

Przeraźliwy zgrzyt, jakby ktoś skrobał po tablicy gigantycznymi stalowymi paznokciami. Podłoga wystrzeliwuje w górę, jakaś ogromna siła wpycha głowę Pam w kolana, zęby zderzają

się z łoskotem, chciałyby krzyknąć na kogoś, kto szarpie jej ręce w górę, żeby przestał, ale nie może. Wiele lat temu, kiedy jechała odebrać Joanie ze szkoły, drogę zajął jej jakiś pickup. Czas nagle wtedy zwolnił. Mogła obserwować najdrobniejsze detale – pęknięcie na przedniej szybie, rdzę na masce tamtego samochodu, sylwetkę kierowcy w baseballowej czapce na głowie – ale teraz wszystko dzieje się tak nieprawdopodobnie szybko! Niech to się skończy, to za długo, już za długo... Jest szarpana, rzucona we wszystkie strony, zgniatana i obijana. Głowa, nie jest w stanie utrzymać głowy w górze, a potem oparcie fotela przed nią wali ją prosto w twarz, wybuchają białe, oślepiające światło i już nic nie...

Pam słyszy trzask płomieni, ale na policzkach czuje tylko zimno. Lodowate zimno. Czyżby była na dworze? Jasne, że tak! Głupie pytanie. Przecież w pomieszczeniach nie wolno palić ognia, prawda? Ale gdzie dokładnie się znajduje? W Wigilię pastor Len zawsze organizuje spotkanie na swoim ranczu; pewnie są właśnie tam i obserwują fajerwerki. Wkładem Pam jest nieodmiennie jej słynny dip z pleśniowego sera. Nic dziwnego, że czuje się taka zagubiona! Zapomniała zabrać dip, pewnie został na blacie w kuchni, pastor Len będzie bardzo rozczarowany i...

Ktoś krzyczy. Dlaczego krzyczysz? W Boże Narodzenie nie powinno się krzyczeć. To czas radości.

Chce unieść lewą rękę, żeby otrzeć twarz, ale nie może. Coś jest nie w porządku. Leży na lewym boku, wykręcone do tyłu ramię ma pod sobą. Dlaczego leży? Czyżby zasnęła? W święta, kiedy zawsze jest tak dużo do zrobienia? Musi szybko wstać i przeprosić za swoje zachowanie. Jim ciągle powtarza, że powinna się starać być trochę bardziej...

Przesuwa czubkiem języka po zębach. Z nimi też coś jest nie tak. Jeden kiel jest nadłamany, ostra krawędź kaleczy język. W ustach zgrzyta piasek. Przelyka – dobry Boże, uczucie jest takie, jakby łykała żyłki. Czyżby...

Świadomość tego, co się wydarzyło, spada na nią z taką siłą, że Pam gwałtownie wciąga powietrze. Niemal równocześnie wybuchają straszny ból; jego źródło znajduje się w lewej nodze, rozlewa się na brzuch. „Wstań, wstań, wstań”. Usiłuje podnieść głowę, ale kiedy jej się to wreszcie udaje, w kark wbijają jej się rozpalone igły.

Znowu krzyk, chyba całkiem blisko. W życiu nie słyszała czegoś takiego; to nawet nie krzyk, tylko nieludzki, dziki wrzask. Musi go uciszyć, bo kiedy go słyszy, ból w brzuchu narasta, jakby wrzask był w jakiś tajemniczy sposób połączony z jej wnętrznościami, szarpiąc je i skręcając.

Dzięki Bogu, jest w stanie poruszyć prawą ręką. Powoli przesuwając ją ku górze, obmacuje brzuch. Jej palce trafiają na coś wilgotnego, miękkiego. Tego nie powinno tam być. Woli teraz o tym nie myśleć. Boże, potrzebuje pomocy, niech ktoś przyjdzie i jej pomoże, dlaczego nie posłuchała Jima i nie została w domu ze Snookie, dlaczego tak źle myślała o Rebie...

„Przestań”. Nie wolno wpadać w panikę. Tak zawsze wszyscy mówią: nie wpadać w panikę. Powinna cieszyć się z tego, że żyje. Musi wstać, rozejrzeć się, zorientować się, gdzie jest. Na pewno nie siedzi już w fotelu. Leży na jakiejś wilgotnej, miękkiej powierzchni. Liczy do trzech, podpira się zdrową ręką i próbuje się podnieść, ale musi zrezygnować, bo paralizujący ból przebiega przez jej ciało jak wstrząs elektryczny. Jest tak silny, że aż trudno jej uwierzyć, że rzeczywiście go odczuwa. Przez jakiś czas trwa w całkowitym bezruchu i, szczęśliwie, ból stopniowo ustępuje, zostawiając po sobie niepokojące odrętwienie, ale Pam o tym też postanawia chwilowo nie myśleć.

Zaciska powieki, unosi je, mruga kilka razy, żeby odzyskać ostrość widzenia. Ostrożnie odwraca głowę w prawo; tym razem ból się nie pojawia. *Doskonale*. Na tle rozmazanej plamy pomarańczowego blasku wszystko wygląda jak w teatrze cieni, ale Pam jest w stanie rozpoznać



kępę drzew – dziwnych, poskręcanych drzew nieznanego jej gatunku – a tuż przed nimi strzęp poskręcanego metalu. Boże, czy to samolot? Tak... Ten podłużny kształt to okno. Głośne pyknięcie, syk, miękki huk i nagle robi się jasno jak w dzień. Jej oczy zachodzą łzami, ale nie odwraca wzroku. Widzi poszarpaną krawędź fragmentu kadłuba, brutalnie oderwanego od reszty samolotu. A gdzie reszta? Czy ona, Pam, siedziała w tej części kabiny? Niemożliwe. Nie żyłaby już. Samolot wygląda jak resztki ogromnej popsutej zabawki. Ten widok przywodzi Pam na myśl otoczenie osiedla przyczep kempingowych, w którym mieszkała matka Jima. Walały się tam stare części samochodowe, popsute trójkołowe rowerki i różne inne śmieci. Nie lubiła tam chodzić, mimo że matka Jima zawsze była dla niej miła. Ze względu na swoją pozycję niewiele widzi; powoli przechyla głowę, starając się nie zwracać uwagi na towarzyszący temu, chrupiący odgłos, aż w końcu jej policzek dotyka ramienia.

Wrzask cichnie raptownie, jak ucięty nożem. *Świetnie*. Hałas i czyjeś cierpienie tylko by ją rozpraszały.

Chwileczkę... Coś się porusza, tam, na skraju zagajnika. Nieduża postać... Człowiek. Bardzo niski człowiek. Dziecko? Dziecko, które siedziało w rzędzie przed nią? Ogarnia ją wstyd; kiedy samolot spadał, nie poświęciła mu, ani jego matce, nawet jednej myśli. Zajmowała się wyłącznie sobą. Nic dziwnego, że nie mogła się modlić, skoro taka z niej chrześcijanka. Ku jej rozpaczy, postać kieruje się w bok i znika z jej pola widzenia. Pam nie jest w stanie poruszyć głową ani o milimetr.

Próbuje otworzyć usta, żeby krzyknąć, lecz one także odmawiają jej posłuszeństwa.

*Proszę. Jestem tutaj. Szpital. Wezwijcie pomoc.*

Ciche stąpienie tuż za jej głową.

– Akhhh... – harczy. – Akhhh...

Czuje dotknięcie na włosach, po jej policzkach płyną łzy. Jest bezpieczna. Przyszli, żeby ją uratować.

*Szybki tupot. Nie odchodźcie! Nie zostawiajcie mnie!*

W polu widzenia, niemal tuż przed jej twarzą, pojawiają się bose stopy, małe i brudne. Jest ciemno, bardzo ciemno, ale Pam widzi, że są całe w jakiejś ciemnej mazi. Błoto? Krew?

– Pomocy! Pomocy, pomocy, pomocy... – Nareszcie mówi. Udało się. Skoro mówi, to wszystko będzie dobrze. To tylko szok. Tak, tylko szok, nic więcej. – Pomocy...

Z mroku wyłania się twarz, pochyla się nad nią. Jest tak blisko, że Pam czuje na policzku oddech chłopca. Stara się skupić wzrok na jego oczach. Czy one... Nie, wszystko przez te ciemności. Są białe, całkiem białe, bez źrenic. „Jezu, pomóż mi!” Krzyk wzbiera jej w piersi, więźnie w gardle. Nie jest w stanie go z siebie wyrzucić, za chwilę ją udusi. Twarz cofa się gwałtownie. Pam ma wrażenie, że jej płuca są wypełnione płynem. Boli każdy oddech.

Jakieś poruszenie daleko po prawej stronie, na granicy pola widzenia. Czy to to samo dziecko? W jaki sposób tak prędko znalazło się tak daleko? Chłopiec wyciąga rękę, jakby coś wskazywał. Więcej sylwetek, ciemniejszych od drzew w tle. Ludzie, z pewnością ludzie. Pomarańczowy blask przygasa, ale ona wyraźnie widzi ich zarysy. Są ich setki, chyba idą w jej stronę. Wyłaniają się spomiędzy tych dziwnych drzew, poskręcanych i guzowatych jak palce.

A gdzie ich stopy? Nie mają stóp. To nie w porządku.

No tak, nie są prawdziwe. Nie mogą być prawdziwe. Nie mają oczu, ich twarze to rozmazane kleksy, płaskie i nieruchome, na tle dogasających płomieni.

Pam wie, że idą po nią.

Lęk znika, pojawia się pewność, że nie zostało jej wiele czasu. Zupełnie jakby w jej umierające ciało wstąpiła opanowana, pewna siebie Pam – całkiem inna Pam, taka, jaką zawsze chciała być. Nie zwracając uwagi na to, co się dzieje w miejscu, gdzie kiedyś był jej brzuch,

sięga do pasa z dokumentami. Jest na miejscu, choć przesunął się na bok. Zaciska powieki, koncentruje się na tym, żeby odsunąć suwak. Palce ma mokre i śliskie, ale nie zamierza się poddać.

Uszy wypełnia jej furkoczący łoskot, z góry spływa jaskrawe światło, przesuwa się po niej i wokół niej, wydobywa z mroku rząd pustych foteli z poskręcanyimi mocowaniami i pantofel na wysokim obcasie, zupełnie jak nowy. Pam zastanawia się, czy światło powstrzyma zbliżające się postaci. Nie, wciąż suną naprzód, a ona nadal nie jest w stanie dostrzec rysów ich twarzy. Gdzie się podział chłopiec? Powinna go ostrzec, żeby się do nich nie zbliżał, bo dobrze wie, czego chcą, o tak, doskonale wie, czego chcą. Ale teraz nie może o tym myśleć, nie wtedy, kiedy jest tak blisko. Wsuwa rękę do wnętrza pasa, oddycha z ulgą, kiedy jej palce trafiają na gładką obudowę telefonu. Wyjmuje go ostrożnie, żeby nie wysunął jej się z ręki – ma czas, żeby się zdziwić, jak bardzo przestraszyła się wcześniej, kiedy nie mogła sobie przypomnieć, gdzie go schowała – po czym zmusza trzymającą go dłoń, żeby zbliżyła się do jej twarzy. A jeśli nie działa? Jeśli się zepsuł?

To niemożliwe. Tak, działa! Pam pojękuje z radości, słysząc powitalny sygnał. Jeszcze trochę... Ależ z niej flejtuch, cały ekranik we krwi... Koncentruje się z najwyższym trudem, ostatkiem sił odszukuje ikonkę aplikacji, trafia w nią palcem, uruchamia rejestrator głosu. Wirujący łoskot nad jej głową jest ogłuszający, lecz Pam nie zwraca na niego uwagi. Ignoruje też fakt, że niczego już nie widzi.

Przysuwa telefon do ust i zaczyna mówić.

**CZARNY  
CZWARTEK**

—

**OD KATASTROFY DO SPISKU**

Analiza fenomenu Trojga

ELSPETH MARTINS

*Jameson & White*

Nowy Jork, Londyn, Los Angeles

## OD AUTORKI

Niewielu jest czytelników, którym na dźwięk słów Czarny Czwartek po grzbiecie nie przebiegnie dreszcz strachu. Ów dzień – 12 stycznia 2012 – kiedy w ciągu zaledwie kilku godzin doszło do czterech wielkich katastrof lotniczych, w których zginęło łącznie ponad tysiąc osób, dołączył do listy straszliwych kataklizmów, które zmieniły nasz sposób widzenia świata.

Jak należało się spodziewać, już w kilka tygodni po tych wypadkach rynek załąły beletryzowane relacje, wpisy na blogach, biografie i inne publikacje, żerujące na zafascynowaniu opinii publicznej zarówno samymi katastrofami, jak i ocalałymi z nich dziećmi nazwanymi Trojgiem. Nikt jednak nie był w stanie przewidzieć łańcucha makabrycznych wydarzeń, które nastąpiły później, ani tempa, w jakim one następowały.

Tak jak przy okazji pracy nad *Kanonadą* – książką zgłębiającą problem przestępstw z użyciem broni palnej popełnianych przez amerykańskie dzieci poniżej szesnastego roku życia – również teraz doszłam do wniosku, że jeśli mam się przyłączyć do tego chóru, to tylko tworząc jak najbardziej obiektywną relację i pozwalając zabrać głos uczestnikom wydarzeń. Dążąc do tego celu, korzystałam z rozmaitych źródeł, w tym także z niedokończonych biografii Paula Craddocka, wiadomości przekazanych przez Chiyoko Kamamoto oraz wywiadów, które osobiście przeprowadziłam w trakcie interesujących nas wydarzeń i bezpośrednio po nich.

Nie zamierzam przeproszać za wykorzystanie materiałów, które wiele osób może uznać za zbyt drastyczne, takich jak: relacje ludzi, którzy jako pierwsi przybyli na miejsce tragedii, oświadczenia byłych i aktualnych pamelistów, *isho* odnaleziony na miejscu katastrofy lotu 678 linii Sun Air, a także nigdzie do tej pory nieopublikowany wywiad z egzorcyستą zatrudnionym przez Paula Craddocka.

Choć nie ukrywam, że włączyłam do tej pracy także cytaty z gazet i czasopism – częściowo dla lepszego pokazania kontekstu, a częściowo dla urozmaicenia narracji – to moim głównym celem, tak samo jak podczas pisania *Kanonady*, było stworzenie platformy, służącej jak najbardziej obiektywnej prezentacji wydarzeń rozgrywających się od stycznia do lipca 2012 roku, z perspektywy osób będących najbliżej ich aktywnych uczestników. Mając to na uwadze, proszę, aby czytelnicy pamiętali, że są to relacje subiektywne, i żeby zechcieli zadać sobie trud samodzielnego wyciągnięcia wniosków.

Elspeth Martins

Nowy Jork

30 sierpnia 2012

*Są tutaj. Ja... Nie pozwólcie Snookie jeść czekoladek, dla psów to zabójstwo, choć pewnie będzie bardzo prosić. Chłopiec. Chłopiec obserwujcie chłopca obserwujcie martwych. Idą po mnie. Wszyscy niedługo odejdziemy. Wszyscy. Żegnaj Joanie piękna torebka żegnaj. Pastorze Len niech pan ich ostrzeże że chłopiec że nie wolno go...*

Ostatnie słowa Pameli May Donald (1961–2012)

**CZEŚĆ PIERWSZA**  
**KATASTROFA**

**Fragment rozdziału pierwszego *Jak strzegłem Jess, czyli moje życie z jednym z Trojga Paula Craddocka (przy współpracy Mandi Solomon).***

Zawsze lubiłem porty lotnicze. Możecie mnie nazwać starym romantykiem, ale lubiłem obserwować powitania rodzin i kochanków – a najbardziej tę chwilę, kiedy – zmęczeni i opaleni – wychodzą przez rozsuwane drzwi i dostrzegają bliskich. Kiedy więc Stephen poprosił, żebym odebrał jego i dziewczynki z Gatwick, zgodziłem się z największą przyjemnością.

Wyjechałem z domu z godzinnym zapasem. Zamierzałem dotrzeć na miejsce na tyle wcześnie, żeby wypić kawę i trochę pogapić się na ludzi. Teraz może się to wydawać dziwne, ale tamtego popołudnia byłem w doskonałym nastroju. Zaproponowano mi rolę kelnera – geja w trzecim sezonie *Cavendish Hall* (zgadza się, rola charakterystyczna, ale mój agent Gerry uważał, że to wreszcie może być długo oczekiwany przełom), a w dodatku udało mi się zaparkować całkiem blisko wejścia. Ponieważ był to dla mnie nadzwyczajny dzień, zamówiłem latte z dodatkowym mlekiem, po czym dołączyłem do tłumu czekającego na pasażerów wychodzących z hali odbioru bagażu. Obok sklepiku z ciuchami kilkoro młodych ludzi, chyba praktykantów, mozoliło się przy demontażu mocno przeterminowanej świątecznej ekspozycji; przez jakiś czas śledziłem rozwój tego minidramatu, nie mając pojęcia o tym, że za chwilę rozpocznie się mój własny.

Nie przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić na tablicy elektronicznej, czy samolot przyleci punktualnie, byłem więc kompletnie zaskoczony, kiedy nosowy głos oznajmił przez głośniki:

– Wszyscy oczekujący na lot dwieście siedemdziesiąt siedem linii Go!Go! z Teneryfy są proszeni o zgłoszenie się do stanowiska informacji.

„Czy to nie samolot Stephena?” – przemknęło mi przez głowę, po czym sprawdziłem numer lotu na moim blackberry. Nie zaniepokoiłem się jakoś szczególnie. Przypuszczałem, że chodzi o zwykłe opóźnienie. Nie zastanowiło mnie, dlaczego Stephen nie zadzwonił i nie uprzedził, że będą później.

Wydaje ci się niemożliwe, że coś takiego przydarzy się właśnie tobie, prawda?

Początkowo była nas niewielka grupka – ci, którzy, tak jak ja, przyjechali wcześniej. Ładna dziewczyna z włosami ufarbowanymi na rudo, trzymająca balon w kształcie serca na patyku; zbudowany jak zawodowy zapaśnik gość z dredami; para w średnim wieku o cerze palaczy, ubrana w identyczne wiśniowe dresy. Nikt, z kim chciałoby się nawiązać znajomość. To niesamowite, jak mylnie bywa pierwsze wrażenie, prawda? Teraz należą do moich najbliższych przyjaciół. Cóż, takie wydarzenia zbliżają ludzi, nieprawdaż?

Na widok przerażonych min przyszczatego nastolatka w informacji oraz stojącej za jego plecami kobiety w mundurze funkcjonariusza ochrony powinienem był od razu domyślić się, że stało się coś strasznego, ale wtedy jeszcze byłem tylko zirytowany.

– O co chodzi? – zapytałem z moim najlepszym telewizyjnym akcentem.

Nastolatek wydukał, że mamy pójść z nim „tam, gdzie otrzymamy dokładniejsze informacje”.

Zrobiliśmy to, choć przyznam, że trochę się zdziwiłem, że para w dresach nie narobiła rabanu, bo nie wyglądali mi na ludzi, którzy dają sobą pomiatać. Kilka tygodni później, podczas jednego ze spotkań Grupy 277, powiedzieli mi, że znajdowali się wtedy w fazie całkowitej negacji. Nie chcieli o niczym wiedzieć, a jeżeli z samolotem wydarzyło się coś niedobrego, to woleli usłyszeć o tym od kogoś innego niż od chłopaka, który jeszcze chyba nawet nie zaczął się regularnie golić. Chłopak pomknął przodem, prawdopodobnie po to, by uniemożliwić nam zadawanie jakichkolwiek pytań, i zaprowadził nas do niewyróżniających się niczym drzwi zaraz za stanowiskami odprawy celnej. Za drzwiami zaczynał się długi korytarz; sądząc po farbie odłóżanej z sufitu i wytartej podłodze, tę część portu lotniczego raczej niezbyt często

pokazywano osobom postronnym. Pamiętam, że w pewnej chwili poczułem słabą, ale wyraźną woń papierosowego dymu, która dotarła do mnie, nie wiadomo skąd, na przekór rygorystycznym zakazom palenia, jakie obowiązują w takich miejscach.

Weszliśmy do ponurego, pozbawionego okien pomieszczenia z kilkoma rzędami burgundowych, lekko sfatygowanych foteli z poczekalni. Mój wzrok padł na rurę, przypominającą postawioną na sztorc popielniczkę z lat siedemdziesiątych, częściowo ukrytą za sztuczną paprotką. Zabawne, co człowiekowi zostaje w pamięci, prawda?

W naszą stronę ruszył jakiś człowiek w garniturze ze sztucznego włókna. Przełykał ślinę tak szybko i gwałtownie, że jego jabłko Adama podskakiwało niczym piłka tenisowa. Był błydy jak nieboszczyk, z wyraźną wysypką na policzkach – podrażnienie po goleniu? Jego rozbiegany wzrok spoczął na chwilę na mnie, po czym natychmiast powędrował dalej, by utknąć w najbardziej odległym kącie. Wydaje mi się, że właśnie wtedy zrozumiałem. Chyba właśnie wtedy ogarnęła mnie wywołująca mdłości pewność, że za chwilę usłyszę coś, co na zawsze odmieni moje życie.

– No dawaj, koleś – odezwał się wreszcie Kelvin, ten gość z dredami.

Mężczyzna w garniturze po raz kolejny spazmatycznie przełknął ślinę.

– Z ogromną przykrością muszę państwu powiadomić, że mniej więcej godzinę temu lot dwieście siedemdziesiąt siedem zniknął z ekranów radarów...

Świat zawirował wokół mnie, ogarnął mnie pierwszy powiew paniki. Czulem mrowienie w palcach i ucisk w klatce piersiowej. Wtedy Kelvin zadał pytanie, które nikomu innemu nie chciało precyzyjnie przejść przez gardło.

– Rozbił się?

– W tej chwili nie możemy tego jednoznacznie stwierdzić, ale zapewniam, że będziemy przekazywać państwu wszystkie informacje w miarę, jak będą do nas napływać. Tym z państwa, którzy będą tego potrzebować, proponujemy opiekę psychologów, którzy...

– Czy ktoś ocalał?

Mężczyźni w garniturze spoczęły się dłonie. Samolocik z filuternie przymkniętym oknem, zdobiący jego identyfikator, zdawał się z nas szydzić. „Powinni się nazywać Gay!Gay!, a nie Go!Go!” – powtarzał Stephen za każdym razem, ilekroć w telewizji pojawiała się któraś z ich dość mało wyrafinowanych reklamówek. Żartował sobie, że rysunkowy samolocik jest bardziej pedalski niż autobus pełny transwestytów. Nie brałem sobie tego do serca, bo tak właśnie wyglądały nasze relacje.

– Jak już powiedziałem, zapewniamy państwu pomoc psychologów, którzy...

– Chrzańcie waszych psychologów! – przerwała mu Mel, żeńska połowa pary w dresach. – Powiedźcie nam lepiej, co się stało!

Dziewczyna z balonem rozsłochała się w stylu postaci z *Eastenders*; Kelvin objął ją ramieniem. Patyk wysunął jej się z dłoni, balon opadł na podłogę, odbił się kilka razy, by wreszcie znieruchomieć tuż obok popielniczki w stylu retro. Do pomieszczenia wchodziłi kolejni ludzie, których przyprowadzali pracownicy linii lotniczej. Większość z nich sprawiała wrażenie równie wstrząśniętych i nieprzygotowanych do tego zadania, jak przyszczaty nastolatek.

Mel, z twarzą różową jak jej żakiet, celowała palcem w twarz urzędnika. Wszyscy albo krzyczeli, albo płakali, ja natomiast czulem się tak, jakbym nie brał w tym udziału, tylko był gdzieś obok; tak samo czulem się na planie, czekając na swoje wejście. Wiem, że to okropne, ale przyznam się, że powtarzałem sobie w duchu: „Zapamiętaj, co teraz czujesz, Paul. Być może wykorzystasz to w pracy nad jakąś rolą”. Nie jestem z tego dumny. Po prostu staram się być uczciwy.

Gapiąc się na balon, nagle usłyszałem głosy Jessiki i Polly: „Wujku, ale dlaczego



właściwie samolot lata?” Stephen zaprosił mnie na lunch na tydzień przed ich wyjazdem. Bliźniaczki bez przerwy zadreślały mnie pytaniami o latanie, z jakiegoś tajemniczego powodu uznawszy mnie za autorytet w tej dziedzinie. Pierwszy raz w życiu miały lecieć samolotem i były tym znacznie bardziej podekscytowane niż perspektywą wakacji. Usiłowałem sobie przypomnieć ostatnie słowa Stephena, coś w rodzaju: „Zobaczmy się, jak podrośniesz, stary”. Nie jesteśmy jednojajowi, ale jak to możliwe, żebym nie poczuł, że wydarzyło się coś okropnego? Wyjąłem z kieszeni komórkę, przypomniałem sobie bowiem, że dzień wcześniej przysłał mi SMS: CALUSY OD DZIEWCZYNEK. W HOTELU MNOSTWO CIPEK. LADUJEMY O 3.30, NIE SPOZNIJ SIE ;) Szukałem wiadomości w skrzynce, bo z jakiegoś powodu wydawało mi się, że to bardzo ważne, żebym ją znalazł, ale nie znalazłem. Widocznie skasowałem ją zaraz po przeczytaniu.

Żałowałem tego jeszcze bardzo, bardzo długo.

W jakiś zagadkowy sposób znalazłem się znowu w hali przylotów. Nie pamiętam, ani jak się tam dostałem, ani czy ktoś usiłował zatrzymać mnie w tym upiornym pomieszczeniu. Pętałem się bez celu, czułem na sobie spojrzenia ludzi, ale w ogóle się tym nie przejmowałem. Byli dla mnie równie mało istotni, jak statyści. Coś wisiało w powietrzu, atmosfera była gęsta i naładowana, tak jak czasem przed burzą. „Do licha, napiłbym się czegoś”, pomyślałem w pewnej chwili. Zupełnie jak nie ja, zważywszy na fakt, że od dobrych dziesięciu lat nie miałem kropki alkoholu w ustach. Niczym lunatyk ruszyłem w kierunku irlandzkiego pubu w drugim końcu sali. Przy barze tłoczyła się gromadka młodzieńców w garniturach. Wszyscy gapili się w telewizor. Jeden z nich, z wypiekami na twarzy, stanowczo zbyt głośno perorował o 11 września, powtarzając co chwila, że o 5.50 musi być w Zurychu, bo w przeciwnym razie „polecą głowy”. Na mój widok umilkł w pół zdania, pozostali zaś cofnęli się, robiąc mi miejsce, jakbym miał jakąś zaraźliwą chorobę. Od tamtej pory przekonałem się wielokrotnie, że rozpacz i przerażenie SĄ zaraźliwe.

Głos w telewizorze był rozkręcony na maksimum. Prowadząca program – typowy amerykański koszmar z zębami Toma Cruise’a i zbyt obfitym makijażem – terkotała do kamery. Za plecami prezenterki widniało nieruchome ujęcie chyba z jakichś bagien, z zawieszonym w powietrzu śmigłowcem. Chwilę później przeczytałem przewijający się na pasku napis: KATASTROFA SAMOLOTU MAIDEN AIRLINES NA BAGNACH EVERGLADES. Coś im się pomyliło, pomyślałem. Przecież Stephen i dziewczynki lecieli Go!Go!, nie tym samolotem.

I nagle zrozumiałem: wydarzyły się dwie katastrofy.

**O 14.35 czasu środkowoafrykańskiego transportowo-pasażerska maszyna typu Antonow, czarterowana przez nigeryjskie linie lotnicze Dalu Air, rozbiła się w samym środku Khayelitsha – jednego z najgęściej zaludnionych przedmieść Kapsztadu. Jednym z pierwszych ratowników, którzy zjawili się na miejscu katastrofy, był Liam de Villiers – starszy ratownik w Szybkiej Pomocy Medycznej w Kapsztadzie. Obecnie udziela posttraumatycznej pomocy psychologicznej. Poniższy materiał powstał na podstawie wywiadu przeprowadzonego przez Skype'a i drogą e-mailową.**

Kiedy to się wydarzyło, zajmowaliśmy się wypadkiem drogowym na Baden Powell Drive. Taksówka zahaczyła o mercedesa i dachowała, ale to nie było nic wielkiego. Taksówkarz jechał sam, doznał tylko powierzchownych obrażeń, ale i tak musieliśmy zawieźć go do szpitala, żeby założyli mu parę szwów. Był jeden z nielicznych cichych dni, południowo-wschodni wiatr, który szalał od paru tygodni, wreszcie zdechł, nad Górą Stołową unosiła się tylko cienka strużka dymu. Piękny dzień, można by powiedzieć, gdyby nie to, że staliśmy odrobinę zbyt blisko oczyszczalni ścieków. Po dwudziestu minutach wdychania tego smrodu przestałem żałować, że nie zdążyłem wrzucić w siebie tego, co kupiłem w KFC na lunch.

Tego dnia pracowałem z Corneliusem, jednym z naszych nowych asystentów. Równy był z niego gość, z poczuciem humoru. Kiedy ja zajmowałem się kierowcą, on gawędził z dwoma gliniarzami z drogówki, którzy przyjechali na miejsce wypadku. Taksówkarz wrzeszczał do telefonu, kłamiąc, ile wlezie, szefowi, a ja opatrywałem mu ranę na ramieniu. Skurczybyk nawet nie mrugnął. Właśnie miałem powiedzieć Corneliusowi, żeby uprzedził oddział ratunkowy w szpitalu w False Bay, że wieziemy im pacjenta, kiedy nagle gdzieś w górze rozległ się przeraźliwy ryk, od którego wszyscy aż podskoczyliśmy. Taksówkarzowi opadła ręka, telefon upadł na asfalt. A potem zobaczyłem. Wiem, że teraz wszyscy tak mówią, ale to naprawdę było jak na filmie. Trudno było uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Leciał tak nisko, że widziałem odłazącą farbę na logo – wiecie, na D otoczonym tym zawijaszem. Miał wypuszczone podwozie i kołysał się w lewo i prawo jak linoskoczek, który stara się utrzymać równowagę. Pamiętam, że pomyślałem: „Co ten pilot wyrabia? Przecież lotnisko jest w drugą stronę!”

Cornelius krzyczał, pokazując coś ręką. Nie słyszałem ani słowa, ale i tak zrozumiałem, o co mu chodzi. Mitchell's Plain, gdzie mieszkała jego rodzina, było całkiem blisko obszaru, w który mniej więcej celował samolot. Nie ulegało wątpliwości, że nastąpi katastrofa. Co prawda nie było żadnych płomieni ani niczego w tym rodzaju, ale widać było, że dzieje się coś poważnego.

Samolot znikł nam z oczu, usłyszeliśmy huk i, słowo daję, ziemia zatrzęsła się nam pod stopami. Darren, nasz dyspozytor, powiedział potem, że prawie na pewno byliśmy za daleko od miejsca uderzenia, żeby cokolwiek poczuć, ale ja tak właśnie to zapamiętałem. Kilka sekund później w niebo wzbil się słup czarnego dymu. Był tak wielki, że pomyślałem o tych wszystkich fotografiach z Hiroszimy. Pomyślałem też: „Jezu, nie ma mowy, żeby ktokolwiek to przeżył”.

Nie zastanawialiśmy się ani chwili. Cornelius wskoczył do karetki, połączył się przez radio z centralą, powiedział im, co widzieliśmy i żeby natychmiast powiadomili ośrodek zarządzania kryzysowego. Ja uprzedziłem taksówkarza, że będzie musiał poczekać na inną karetkę, i rzuciłem Corneliusowi: „Alarm trzeciego stopnia! Powiedz im, że to alarm trzeciego stopnia!”. Radiowóz już pędził w kierunku zjazdu na Khayelitsha Harare. Dostałem taką szprycę z adrenaliny, że w okamgnieniu zapomniałem o zmęczeniu po dwunastogodzinnym dyżurze. Wskoczyłem do karetki, Cornelius ruszył z kopyta i pognął za radiowozem. Wyciągnąłem zestaw pierwszej pomocy, grzebałem po schowkach w poszukiwaniu folii aluminiowej, kroplówek, wszystkiego, co – jak mi się wydawało – będzie potrzebne, i układałem to na noszach. Oczywiście przechodziliśmy odpowiednie szkolenia na wypadek katastrofy lotniczej. W Fish

Hoek w False Bay jest specjalne miejsce przeznaczone na awaryjne wodowanie; zastanawiałem się, czy pilot tam właśnie się skierował, jak tylko zorientował się, że nie doleci do lotniska. Nie ukrywam jednak, że szkolenie szkoleniem, ale nigdy nie przypuszczałem, że będę miał do czynienia z taką sytuacją.

Nie uwierzycie, jak mocno wryła mi się w pamięć ta jazda. Trzaski, szумы i głosy z radia, palce Corneliusa tak mocno zaciśnięte na kierownicy, że aż prawie białe, zapach żarcia na wynos, którego nie było mi dane zjeść. To, co teraz powiem, może nie zabrzmii najlepiej, ale w niektóre miejsca tej dzielnicy nie zapuścilibyśmy się za nic w świecie, bo zdarzało się już, że załogi karetek kończyły jako zakładnicy, ale tym razem było inaczej. Nawet nie przyszło mi do głowy niepokoić się tym, że zapuszczamy się w sam środek małego Brazzaville. Darren rozmawiał przez radio, przekazywał Corneliusowi, jakie są procedury, że musimy poczekać na zabezpieczenie terenu. W takich sytuacjach nie ma miejsca dla bohaterów. Nie można ryzykować, że coś ci się stanie i że ciebie też trzeba będzie ratować.

W miarę jak zbliżaliśmy się do miejsca katastrofy, słyszałem coraz więcej krzyków mieszających się z wyciem syren dobiegającym ze wszystkich stron. Wjechaliśmy w gęsty dym, który osiadał nam na szybach w postaci tłustego pyłu. Cornelius musiał zwolnić i włączyć wycieraczki. Karetkę wypełnił kwaśny smród płonącego paliwa. Jeszcze przez wiele dni nie mogłem pozbyć się tego zapachu ze skóry. W pewnej chwili Cornelius gwałtownie zahamował, ponieważ z kłębow dymu wyłonił się tłum ludzi biegnących na oślep.

Prawie wszyscy coś nieśli: telewizory, dzieci, meble, nawet psy. To nie byli złodzieje; po prostu dobrze wiedzieli, jak szybko ogień rozprzestrzenia się w takiej okolicy. Domy są tam potwornie stłoczone, to właściwie baraki sklecone z drewna i blachy falistej, większość doskonale nadaje się na rozpałkę, a przecież teraz wszystkie były oblane benzyną.

Zwolniliśmy jeszcze bardziej. Słyszałem łomot dłoni uderzających w karoserię. Skuliłem się, kiedy nastąpiła kolejna eksplozja. „Cholera, no to już po wszystkim!” – przemknęło mi przez głowę. W górze słychać było łoskot śmigłowców, zacząłem drzeć się do Corneliusa, żeby się zatrzymał. Było jasne, że nie możemy posuwać się dalej, nie narażając się na niebezpieczeństwo. Jak tylko karetka stanęła, wyskoczyłem przez tylne drzwi, szykując się psychicznie na to, co mieliśmy zaraz zobaczyć.

Wszędzie panował chaos. Gdybym nie widział tego na własne oczy, z pewnością nie domyśliłbym się, że rozbił się samolot; wyglądało to tak, jakby wybuchła jakaś cholernie wielka bomba. A żar, jaki buchał stamtąd... Oglądałem później zdjęcia kręcone ze śmigłowca: czarna bruzda w ziemi, zmiażdżone baraki, szkoła, którą zbudowali Amerykanie, rozwalona tak, jakby było zrobiona z zapalek, kościół rozłupany na pół, jak jakaś szopa ogrodowa.

– Pomocy! Pomocy! Tutaj! Tutaj! – krzyčeli ludzie.

Wyglądało na to, że są ich setki i że wszyscy wzywają pomocy. Na szczęście gliniarze, za którymi jechaliśmy, odepchnęli ich na tyle, że mogliśmy się zorientować, z czym mamy do czynienia. Cornelius zaczął dzielić ich na mniejsze grupki, wybierając tych, którzy najpilniej potrzebowali pomocy. Od razu wiedziałem, że dziecko, które zobaczyłem jako pierwsze, nie przeżyje. Jego matka powiedziała, że spali, kiedy nagle usłyszała ogłuszający ryk, a chwilę później sufit sypialni zwałił im się na głowy. Teraz już wiemy, że w chwili zderzenia z ziemią samolot rozpadł się na kawałki, zasypując okolicę płonącymi szczątkami.

Pierwszy na miejscu katastrofy zjawił się lekarz z miejscowego szpitala. Odwalił kawał doskonałej roboty. Ten gość naprawdę wiedział, o co chodzi. Jeszcze przed przybyciem ludzi z zarządzania kryzysowego wytypował miejsca na namioty przejściowe, kostnicę i ambulatorium. To dopracowany system, tu nie można działać na wariata. Błyskawicznie ogrodzili szczelnym kordonem miejsce katastrofy, straż pożarna i służby ratownicze z lotniska dotarły raptem trzy

minuty po nas, żeby zabezpieczyć teren. Było cholernie ważne, żeby mieć pewność, że nie dojdzie do kolejnych eksplozji. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, ile tlenu wożą samoloty, nie wspominając o paliwie.

Zajmowaliśmy się głównie mniej poważnymi obrażeniami: przede wszystkim były to oparzenia, kończyny poobcinane przez fruujące kawałki metalu, sporo amputacji, mnóstwo problemów ze wzrokiem, zwłaszcza u dzieci. Cornelius i ja pracowaliśmy na turbodoładowaniu. Gliniarze trzymali ludzi na dystans, ale przecież trudno było im się dziwić, że się do nas pchają. Krewni szukali krewnych, rodzice – dzieci, które poszły do szkoły albo do przedszkola, inni chcieli wiedzieć, co się dzieje z rannymi z ich rodzin. Niektórzy filmowali wszystko telefonami komórkowymi; nie miałem im tego za złe, bo przecież w ten sposób można nabrać dystansu, prawda? No i dziennikarze. Byli dosłownie wszędzie. Gdybym go nie powstrzymał, Cornelius walnąłby w twarz jakiegoś typa, który uparcie podjeżdżał mu pod twarz swoim aparatem.

Kiedy dym zaczął opadać, naszym oczom stopniowo ukazywał się obraz zniszczeń. Poskręcany metal, strzępy ubrań, roztrzaskane meble i sprzęty, buty, zdeptane telefony komórkowe... No i oczywiście ciała. Większość spalona, ale niektóre w kawałkach, wiecie... Ze wszystkich stron okrzyki, w miarę jak znajdowano kolejne. Nie było szans, żeby wszystkie zmieściły się w prowizorycznej kostnicy.

Pracowaliśmy przez cały dzień i sporą część nocy. Kiedy zaczęło się ściemniać, oświetlili wszystko reflektorami, i wtedy zrobiło się jeszcze gorzej. Chociaż mieliśmy na twarzach maski, wielu młodszych ochotników nie dało rady. Co chwila ktoś odbiegał na bok, żeby zwymiotować.

A worków ze zwłokami wciąż przybywało.

Nie ma dnia, żebym o tym nie myślał. Do dziś nie jestem w stanie wziąć do ust piezzonego kurczaka.

Wiecie, co się stało z Cornelusem, prawda? Jego żona mówi, że nigdy mu nie wybaczy, ale ja mu wybaczyłem. Rozumiem go. Wiem, jak to jest, kiedy jesteś cały czas niespokojny, kiedy nie możesz spać, kiedy bez powodu nagle wybuchasz płaczem. Właśnie dlatego zająłem się posttraumatyczną pomocą psychologiczną. Nie było was tam, więc nigdy do końca tego nie zrozumiecie, ale mimo to spróbuję wam wyjaśnić. Pracowałem w tym zawodzie dwadzieścia lat i sporo się naoglądałem. Widziałem ofiarę garoty z takim grymasem na twarzy, jakiego nie chcielibyście zobaczyć nawet w najgorszym śnie. Miałem dyżur akurat wtedy, kiedy wybuchły rozruchy w trakcie strajku pracowników komunalnych, i policja otworzyła ogień. Zginęło trzydziestu ludzi, ale nie wszyscy od kul. Na pewno nie chcecie też wiedzieć, jak wygląda człowiek zarąbany maczetą. Jeździłem do wypadków samochodowych, w których martwe dzieci, wciąż w fotelikach samochodowych, znajdowaliśmy po przeciwnej stronie trzypasmowej autostrady. Widziałem na własne oczy, co zostaje z forda ka po czołowym zderzeniu z betoniarką, a kiedy pracowałem w Botswanie, znalazłem w buszu szczątki farmera, którego hipopotam przegryzł na pół. Żadna z tych rzeczy nawet nie zbliża się do tego, co zobaczyłem tamtego dnia. Wszyscy doskonale rozumiemy, przez co przeszedł Cornelius, cała załoga.

Zrobił to w swoim samochodzie, na West Coast. Gumowy przewód założony na rurę wydechową, drugi koniec wetknięty do kabiny. Zatrucie spalinami. Czysto i szybko.

Brakuje mi go.

Później sflekowano nas za to, że robiliśmy zdjęcia i wrzuciliśmy je na Facebooka, ale nie zamierzam za to przeproszać. Między innymi właśnie w ten sposób próbujemy sobie z tym poradzić. Nikt z zewnątrz tego nie zrozumie. Teraz mówi się o tym, żeby je jednak zdjąć, bo mnóstwo świrów wykorzystuje je dla swoich celów. Urodziłem się i wychowałem w tym kraju, więc nie jestem zwolennikiem cenzury, ale też widzę, co się dzieje. To dolewanie oliwy do ognia.

Powiem wam coś jednak: byłem tam, w pieprzonym punkcie zero, i wiem, że nie ma

mowy, żeby ktokolwiek przeżył tę katastrofę. Nie ma mowy. Jestem tego pewien, niezależnie od tego, co mówią – ucziwszy uszy – ci pojebańcy od teorii spiskowych.

**Yomijuri Miyajima, geolog i ochotnik patrolujący las Aokigahara – miejsce niezwykle popularne wśród samobójców – pełnił dyżur tej nocy, kiedy w podnóże góry Fuji uderzył boeing 747-400D, należący do wewnętrznego japońskiego przewoźnika Sun Air. (W przekładzie Erica Kushana)**

Tej nocy spodziewałem się znaleźć jedno ciało, nie – setki.

Ochotnicy zwykle nie chodzą po lesie w nocy, ale o zmierzchu odebraliśmy wiadomość od ojca, który bardzo niepokoił się o swojego nastoletniego syna. Ojciec natrafił na kilka niepokojących e-maili, a pod materacem w łóżku syna znalazł egzemplarz podręcznika dla samobójców napisanego przez Wataru Tsurumi. Obok cieszącej się ponurą sławą powieści Matsumoto jest to najbardziej popularna lektura dla ludzi zamierzających odebrać sobie życie w lesie Aokigahara. Pracuję tu od wielu lat i znalazłem więcej egzemplarzy porzuconych wśród drzew, niż byłbym w stanie zliczyć.

Przy najbardziej popularnym wejściu zainstalowano kilka kamer, nie otrzymałem jednak potwierdzenia, że któraś z nich zarejestrowała chłopaka. Wiedziałem, jakim samochodem się porusza, lecz ani przy drodze, ani na żadnym parkingu w okolicy nie udało mi się go znaleźć. Naturalnie o niczym to nie świadczyło; desperaci często zatrzymują się w odludnych, nieuczęszczanych miejscach i tam odbierają sobie życie. Niektórzy zatrują się spalinami, inni wdychają dym z przenośnych grillów na węgiel drzewny, ale zdecydowanie największą popularnością cieszy się powieszenie. Wielu przywozi namioty i zapasy żywności, jakby przed podjęciem ostatecznej decyzji potrzebowali jednego lub dwóch dni kontemplacji. Rok w rok ochotnicy i miejscowa policja przeczesują las w poszukiwaniu ciał tych, którzy zdecydowali się tu umrzeć. Kiedy robiliśmy to ostatnio – pod koniec listopada – znaleźliśmy szczątki trzydziestu osób. Większości nie udało się zidentyfikować. Kiedy spotykam w lesie kogoś, kto – co prawda – jeszcze żyje, ale sprawia wrażenie, jakby zamierzał popełnić samobójstwo, proszę go, by spróbował sobie wyobrazić rozpacz rodziny, i przypominam mu, że nigdy nie należy tracić nadziei. Pokazuję wulkaniczne skały, na których rośnie las, i mówię, że skoro drzewa dają sobie radę w tak nieprzyjaznym miejscu, to w każdym, nawet najbardziej niesprzyjających okolicznościach można się pokusić o rozpoczęcie życia od nowa.

Zagłębiając się w las, desperaci ostatnio często rozwijają za sobą plastikową taśmę, na wypadek gdyby jednak się rozmyślili i postanowili wrócić, albo żeby ułatwić odnalezienie ich ciał. Inni korzystają z tej metody w bardziej przyziemnych celach: liczą na to, że uda im się trafić na szczątki jakiegoś nieszczęśnika, ale boją się zgubić drogę.

Zgłosiłem się na ochotnika do przeszukiwania lasu pieszo, w związku z czym postanowiłem najpierw sprawdzić, czy drzewa obwiązano świeżą taśmą. Z powodu ciemności nie mogłem tego stwierdzić na pewno, ale wydawało mi się, że ślady wskazują na to, że ktoś całkiem niedawno wszedł do lasu.

Nie obawiałem się, że się zgubię. Znam ten las i nigdy w nim nie zabłądziłem. Przepraszam, jeśli zabrzmiało to zbyt lekko, ale po dwudziestu pięciu latach wędrówka po tym terenie stała się moją drugą naturą. Poza tym miałem silną latarkę i GPS; to nieprawda, że wulkaniczne skały zakłócają odbiór sygnałów. Las jest za to bez wątpienia magnesem dla mitów i legend, a ludzie i tak uwierzą w to, w co będą chcieli.

Kiedy wejdiesz w las, ten zamyka cię w kokonie. Wierzchołki drzew tworzą falujący dach, który odgradza cię od zewnętrznego świata. Panujące w głębi lasu cisza i spokój mogą niektórym wydać się złowieszcze, ale nie mnie. Nie boję się *yrei*. Nie obawiam się duchów zmarłych. Być może słyszeliście opowieści, według których w tym miejscu praktykuje się *ubasute* – obyczaj porzucania w głuszy starych i chorych, żeby umarli z głodu i wycieńczenia. Takie pogłoski nie mają żadnych podstaw. To tylko jedna z mnóstwa fantastycznych opowieści

dotyczących lasu. Wielu sądzi, że duchy cierpią z powodu samotności i czynią wszystko, by zwabić ludzi, i że właśnie dlatego ci zjawiają się tu tak licznie.

Nie widziałem upadku samolotu – jak już wspomniałem, korony drzew zasłaniają niebo – ale go słyszałem. Seria stłumionych uderzeń, jakby ktoś kilka razy trzasnął ogromnymi drzwiami. Co pomyślałem? Prawdopodobnie uznałem, że to odgłos grzmotu, chociaż to nie była pora burz ani tajfunów. Byłem zanadto pochłonięty szukaniem śladów zaginionego chłopaka, żeby się nad tym zastanawiać.

Miałem już zrezygnować, kiedy zatrzeszczało moje radio i Sato-san, jeden z takich samych ochotników jak ja, poinformował mnie, że uszkodzony samolot zbczył z kursu i rozbił się gdzieś w pobliżu lasu, przypuszczalnie w okolicy Narusawa. Naturalnie od razu zrozumiałem, że to właśnie było źródłem grzmiących odgłosów, które usłyszałem niedawno.

Sato powiedział też, że odpowiednie służby są już w drodze i że on organizuje wyprawę poszukiwawczą. Był zdyszany, sprawiał wrażenie do głębi wstrząśniętego. Obaj doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, jak trudno będzie ratownikom dotrzeć na miejsce katastrofy. Niektóre partie lasu są praktycznie niedostępne, poprzecinane głębokimi, zdradzieckimi wąwozami, przez które nie sposób się przedostać.

Postanowiłem skierować się na północ, w kierunku, z którego dotarły do mnie odgłosy wybuchów.

Niespełna godzinę później usłyszałem łoskot wirników śmigłowców przeczesujących teren. Wiedziałem, że nie będą mogły wylądować, więc zwiększyłem tempo marszu. Należało jak najprędzej dotrzeć do ocalałych – jeśli tacy byli. Po dwóch godzinach poczułem dym. Tu i tam widziałem nadpalone drzewa, ale na szczęście ogień się nie rozprzestrzenił. Gałęzie żarzyły się tylko, płomienie stopniowo dogasały. Sam nie wiem dlaczego, skierowałem latarkę w górę i omiotłem snopem światła korony drzew. Wśród gałęzi dostrzegłem niewielki kształt i w pierwszej chwili pomyślałem, że to martwa, zwęglona małpa.

To nie była małpa.

I było ich znacznie więcej. Nad lasem krążyły śmigłowce, snopy światła z ich reflektorów wyląwiałały z ciemności niezliczone ciała zawieszane wśród gałęzi. Widziałem je bardzo dokładnie. Niektórzy nie mieli prawie żadnych obrażeń i wyglądali tak, jakby spali. Inni... Inni nie mieli tyle szczęścia. Wszyscy mieli na sobie tylko strzępy ubrań albo byli zupełnie nadzy.

Z wielkim trudem podążałem w kierunku miejsca, które potem nazwano epicentrum katastrofy – tego, gdzie odnaleziono ogon i oderwane skrzydło maszyny. Ratownicy spuszczaali się w dół po linach, bo teren był tak nierówny i zdradliwy, że nie mogło być mowy o lądowaniu.

Czułem się dziwnie, kiedy stanąłem obok ogona samolotu z nietkniętym czerwonym logo. Górował nade mną jak wieża. Zaraz potem podbiegłem do miejsca, w którym dwaj ratownicy zajmowali się leżącą na ziemi kobietą. Jęczała przeraźliwie. Nie wiem, jak poważne odniosła obrażenia, ale nigdy w życiu nie słyszałem takich odgłosów wydobywających się z ust człowieka. Chwilę później kątem oka dostrzegłem jakieś poruszenie. Część drzew wciąż jeszcze płonęła; w blasku płomieni zobaczyłem mały skulony kształt częściowo ukryty za wypiętrzeniem wulkanicznej skały. Pognałem tam co sił w nogach i w świetle latarki dostrzegłem błysk oczu. Biegłem tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu.

To było dziecko. Chłopiec.

Kulił się, drżąc na całym ciele. Jedno ramię miał wygięte pod nienaturalnym kątem. Zawołałem do ratowników, że są pilnie potrzebni, ale śmigłowce czyniły taki hałas, że mnie nie usłyszeli. Co do niego powiedziałem? Nie pamiętam dokładnie, ale pewnie coś w rodzaju: „Wszystko w porządku? Nie bój się, jestem tu po to, żeby ci pomóc”.

Jego ciało pokrywała tak gruba warstwa krwi i błota, że dopiero po pewnym czasie

zorientowałem się, że jest nagi. Później dowiedziałem się, że to siła uderzenia zdarła z niego ubranie. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem go. Miał zimne ciało, ale co w tym dziwnego? Temperatura była minusowa.

Nie wstydzę się przyznać, że się rozplakałem.

Otuliłem go kurtką i najostrożniej, jak potrafiłem, podniosłem z ziemi. Oparł mi głowę na ramieniu, po czym wyszeptał: „Troje...”. Tak mi się w każdym razie wydawało. Poprosiłem, żeby powtórzył, ale on miał już zamknięte oczy i zupełnie nieruchomą twarz, jakby zapadł w głęboki sen. Najważniejsze było to, żeby dostarczyć go w bezpieczne miejsce i ogrzać, nie dopuszczając do wychłodzenia organizmu.

Oczywiście teraz wszyscy mnie pytają, czy zauważyłem w nim coś niezwykłego. Jasne, że nie! Miał za sobą okropne przeżycie i znajdował się w głębokim szoku. Nie zgadzam się też z tym, co niektórzy o nim mówią: że zawładnęły nim złe duchy, być może pasażerów, którzy zginęli w katastrofie i zazdrościli mu ocalenia. Są tacy, co twierdzą, że ogarnięte wściekłością dusze ofiar katastrofy żyją w jego sercu.

Nie wierzę też w pozostałe historie związane z tą tragedią: że pilot zamierzał popełnić samobójstwo, że las przyciągał go ku sobie, bo niby dlaczego katastrofa nastąpiła właśnie w Jukei? Taka gadanina przyczynia się tylko do powiększenia i tak ogromnego bólu i cierpienia. Moim zdaniem jest jasne, że kapitan robił wszystko, żeby sprowadzić maszynę nad niezamieszkaną obszar. Miał na to tylko kilka minut i zachował się jak bohater.

Poza tym, czy mały japoński chłopiec może być tym, za kogo mają go ci wszyscy Amerykanie? To prawdziwy cud, że ocalał. Nie zapomnę go do końca życia.



**Moja korespondencja z Lillian Small trwała do chwili, kiedy FBI uznało, że dla własnego bezpieczeństwa powinna zerwać wszelkie kontakty ze światem. Choć Lillian mieszkała w Williamsburgu na Brooklynie, a ja – na Manhattanie, to nigdy nie spotkaliśmy się twarzą w twarz. Poniższa relacja powstała na podstawie naszych licznych e-maili i rozmów telefonicznych.**

Reuben od rana był niespokojny, więc posadziłam go przed telewizorem i włączyłam CNN. Czasem to go uspokaja. Dawniej uwielbiał śledzić napływające wiadomości, zwłaszcza polityczne. Naprawdę go to rajcowało. Dyskutował ze spindoktorami i analitykami, zupełnie jakby mogli go słyszeć. Wątpię, czy opuścił jakąkolwiek dyskusję albo wywiad, nawet w połowie kadencji – i właśnie dzięki temu zorientowałam się, że coś jest nie w porządku. Pewnego dnia kompletnie zapomniał nazwisko gubernatora Teksasu – wiecie, tego idioty, który wymawiając słowo „homoseksualizm”, krzywił się tak, jakby ugryzł cytrynę. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Reubena, kiedy bezskutecznie usiłował sobie przypomnieć, jak się nazywa ten dureń. Od wielu miesięcy ukrywał przede mną objawy choroby.

Tamtego okropnego dnia prowadząca program wypytywała jakiegoś analityka o jego przewidywania dotyczące wyników prawyborów. W pewnej chwili wpadła mu w pół słowa: „Bardzo przepraszam, że panu przerywam, ale właśnie dotarła do nas informacja, że samolot linii Maiden Airlines rozbił się na bagnach Florydy...”

Ma się rozumieć, pierwszym skojarzeniem, jakie pojawiło się w mojej głowie, jak tylko usłyszałam słowa „samolot rozbił się”, było „11 września”. Atak terrorystyczny. Bomba na pokładzie. Przypuszczam, że każdy nowojorczyk pomyślał wtedy to samo. Tak po prostu jest, i już.

Chwilę potem na ekranie pojawił się obraz ze śmigłowca. Widać było właściwie tylko ogromną oleistą plamę w miejscu, w którym maszyna spadła z taką siłą, że całkowicie znikła w trzęsawisku. Miałam lodowate palce, choć w mieszkaniu zawsze było bardzo ciepło. Ogarnęły mnie niedobre przeczucia, więc szybko zmieniłam kanał na jakiś talk show. Reuben akurat drzemał; miałam nadzieję, że zdążę zmienić pościel i zanieść ją na dół, do pralni. Prawie już skończyłam, kiedy zadzwonił telefon. Pobiegłam odebrać, bo bałam się, że obudzi Reubena.

Dzwoniła Mona, najlepsza przyjaciółka Lori. „Czego może chcesz?” – przemknęło mi przez głowę. Nigdy nie darzyłyśmy się sympatią, ja wręcz jej nie lubiłam, o czym doskonale wiedziała. Uważałam, że wywiera zły wpływ na Lori. To przez nią Lori miała te problemy w college’u. Ostatecznie wszystko dobrze się skończyło, ale Mona – w przeciwieństwie do Lori – nawet z czwartym krzyżykiem na karku ani trochę się nie ustatkowała. Jeszcze przed trzydziestką zdążyła się dwa razy rozwieść. Nie przywitała się ani nie zagadnęła o Reubena, tylko od razu spytała:

- Którym samolotem mieli wracać Lori i Bobby?
- Ponownie ogarnął mnie dotkliwy chłód.
- O czym ty mówisz? Nie wracają żadnym cholernym samolotem!
- Lillian, Lori nic ci nie powiedziała? Poleciała na Florydę, żeby rozejrzeć się za jakimś odpowiednim miejscem dla ciebie i Reubena.

Słuchawka wypadła mi z ręki. Wciąż dobiegał z niej zawodzący głos Mony. Nogi ugięły się pode mną i pamiętam, jak się modliłam, żeby to był tylko kolejny idiotyczny żart, w jakich specjalizowała się Mona, kiedy była młodsza. Zaraz potem przerwałam połączenie, zadzwoniłam do Lori i mało brakowało, żebym zaczęła krzyczeć, kiedy od razu zgłosiła się poczta głosowa. Lori powiedziała mi, że zabiera Bobby’ego, jedzie do klienta do Bostonu i żebym się nie martwiła, jeśli nie będzie się odzywać przez parę dni.

Jak żałowałam, że nie mogę porozmawiać z Reubenem! On wiedziałby, co zrobić.

Przypuszczam, że to, co wtedy czułam, to było najczystsze przerażenie. Nie takie, jakie nas ogarnia, kiedy oglądamy film grozy albo kiedy idzie za nami jakiś włóczęga o szalonym spojrzeniu. Znacznie mocniejsze, tak intensywne, że człowiek traci kontrolę nad własnym ciałem, zupełnie jakby był od niego w jakiś sposób oddzielony. Słyszałam, jak Reuben porusza się we śnie, ale mimo to wyszłam z mieszkania i poszłam prosto do sąsiadki. Nie miałam pojęcia, co ze sobą począć. Bogu dzięki, Betsy była w domu; spojrzała na mnie i od razu zgarnęła mnie do środka. Znajdowałam się w takim stanie, że prawie nie zwróciłam uwagi na dym papierosowy, który zawsze wisi u niej w powietrzu. Kiedy nachodziła nas ochotę na kawę i ciasteczka, zwykle to ona wpadała do mnie.

Nalała mi brandy, zmusiła, żebym wypila, po czym zaofiarowała się, że posiedzi z Reubenem, kiedy ja będę próbowała skontaktować się z liniami lotniczymi. Niech ją Bóg błogosławi. Bez względu na to, co działo się potem, nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie wtedy zrobiła.

Nie mogłam się dodzwonić. Wszystkie linie były zajęte, ciągle kazano mi czekać. Tamtego dnia przekonałam się na własnej skórze, jak musi być w piekle: czekasz na informację o losie najbliższych ci osób, słuchając odtwarzanej z taśmy *The Girl from Ipanema*. Za każdym razem, jak teraz to słyszę, wracam myślami do tamtych okropnych chwil: smak taniej brandy w ustach, Reuben pojękujący w salonie, zapach wczorajszego rosołu w kuchni.

Nie mam pojęcia, ile razy wybierałam ten cholerny numer. W końcu, kiedy już niemal straciłam nadzieję, że kiedykolwiek się dodzwonię, usłyszałam głos w słuchawce. Kobieta. Podałam jej nazwiska Bobby'ego i Lori. Była spięta, choć starała się zachowywać profesjonalnie. Stukała w klawiaturę, oczekiwanie przeciągało się, trwało całą wieczność. A potem powiedziała mi, że Lori i Bobby są na liście pasażerów.

Odparłam, że to na pewno pomyłka, że to niemożliwe, żeby Bobby i Lori zginęli. Domyśliłabym się, gdyby tak było. Wyczułabym coś. Nie wierzyłam, nie mogłam tego zaakceptować. Kiedy przyjechała Charmaine – psycholożka przydzielona nam przez Czerwony Krzyż – wciąż nie przyjmowałam tego do wiadomości. Kazałam jej wynosić się do diabła. Wstyd mi teraz.

Mimo że mój mózg nie chciał zaakceptować rzeczywistości, w pierwszym odruchu chciałam znaleźć się na miejscu katastrofy, być jak najbliżej nich. Tak na wszelki wypadek. Przyznaję, nie myślałam jasno. Jak niby miałabym to zrobić? Nie latały żadne samoloty, a poza tym musiałabym na Bóg wie jak długo zostawić Reubena z obcą osobą albo oddać go do domu opieki. Gdziekolwiek patrzyłam, widziałam twarze Bobby'ego i Lori. Ich zdjęcia wisiały w całym domu. Uśmiechnięta Lori z nowo narodzonym Bobbym w ramionach. Bobby na Coney Island z ogromnym ciastkiem w dłoniach. Lori w szkole, Lori i Bobby na przyjęciu z okazji siedemdziesiątych urodzin Reubena, na rok przed tym, jak zaczęło mu się pogarszać. Wtedy jeszcze nas rozpoznawał, wiedział, kim jesteśmy. Wciąż wracałam myślami do dnia, kiedy powiedziała mi, że jest w ciąży. Nie przyjąłabym dobrze tej wiadomości, nie spodobało mi się, że skorzystała z usług tej instytucji, że kupiła porcję nasienia, tak jakby to była... bo ja wiem... sukienka, i że potem została... sztucznie zapłodniona. Wydawało mi się to takie zimne. „Mam już trzydzieści dziewięć lat, mamusiu”. Nawet w tym wieku wciąż mówiła do mnie „mamusiu”. „To może być moja ostatnia szansa. Bądźmy realistami: nic nie wskazuje na to, żeby w moim życiu w najbliższym czasie miał się pojawić jakiś książę z bajki”. Naturalnie wszystkie moje wątpliwości znikły, jak tylko pierwszy raz zobaczyłam ją z Bobbym. Była taką wspaniałą matką!

Winiłam siebie za to, co się stało. Lori doskonale wiedziała, że zamierzam kiedyś przenieść się na Florydę i osiąść w jakimś słonecznym, czystym miejscu, w którym Reuben będzie miał taką opiekę, jakiej potrzebuje. Dlatego tam poleciała. Zamierzała zrobić mi

niespodziankę na urodziny, kochana dziewczyna. Cała Lori: szczodra i ani trochę niesamolubna.

Chodziłam w tę i z powrotem, podczas gdy Betsy robiła, co mogła, by uspokoić Reubena. Nie potrafiłam usiedzieć w miejscu. Miotalam się w tę i z powrotem, podnosiłam słuchawkę, sprawdzałam, czy jest sygnał, po czym rzucałam ją na widełki, jakby była z rozżarzonego żelaza, bo może Lori właśnie w tej chwili dzwoni z wiadomością, że nie zdążyła na samolot, że polecili z Bobbym późniejszym albo wcześniej? Czepiałam się tej nadziei.

Pojawiły się informacje o pozostałych katastrofach. To wyłączałam, to znów włączałam ten cholerny telewizor, nie mogąc się zdecydować, czy chcę o tym wszystkim wiedzieć, czy – nie. A te obrazy... Dziwnie się czuję, kiedy teraz o tym myślę, ale kiedy zobaczyłam, jak ratownicy niosą tego japońskiego chłopca i wsadzają go do śmigłowca, ogarnęła mnie zazdrość. Zazdrość! Wtedy jeszcze nie wiedziałam o Bobbym. W telewizji podawano, że na Florydzie nie znaleziono nikogo żywego.

Myślałam o tym, że jesteśmy chyba najbardziej pechową rodziną na świecie. Dlaczego Bóg mi to zrobił? Czym sobie zasłużyłam na takie traktowanie? A oprócz poczucia winy, rozpacz i koszmarne przerażenie odczuwałam jeszcze samotność. Cokolwiek się stało, niezależnie od tego, czy lecieli tym samolotem, czy – nie, i tak nie będę mogła powiedzieć Reubenowi. Nie będzie mógł mnie pocieszyć, nie zajmie się formalnościami, nie pomasuje mi karku, kiedy nie będę mogła zasnąć. Nic z tych rzeczy. Jego też już nie było.

Betsy wróciła do siebie dopiero wtedy, kiedy zjawiała się Charmaine. Powiedziała, że zrobi nam coś do jedzenia, choć ja i tak nie byłam w stanie niczego przełknąć.

Nie pamiętam zbyt dokładnie kilku kolejnych godzin. Zdaje się, że posadziłam Reubena w łóżku i próbowałam dać mu trochę zupy. Szorowałam też blat w kuchni tak mocno, że aż pokrwawiłam sobie palce, choć Charmaine i Betsy usiłowały mnie powstrzymać. A potem zadzwonił telefon. Odebrała Charmaine, ja i Betsy zamarłyśmy bez ruchu w kuchni. Próbuję sobie przypomnieć, co dokładnie wtedy powiedziała, ale wciąż trochę mi się miesza w głowie. Charmaine jest Afroamerykanką o najpiękniejszej cerze, jaką sobie można wyobrazić. Oni się pięknie starzeją, prawda? Mimo to, kiedy weszła do kuchni, wyglądała na o dziesięć lat starszą, niż była w istocie.

– Lillian... Chyba będzie lepiej, jeśli usiądziesz.

Nie pozwoliłam sobie nawet na odrobinę nadziei. Widziałam przecież relacje w telewizji. Czy ktoś mógł z tego ocaleć?

– Po prostu powiedz – poprosiłam, patrząc jej prosto w oczy.

– Chodzi o Bobby'ego. Znaleźli go. Żywego.

W tej samej chwili Reuben zaczął krzyczeć w sypialni i musiałam poprosić Charmaine, żeby powtórzyła.

**Pracująca w Waszyngtonie Ace Kelso z Narodowego Biura Bezpieczeństwa Transportu jest znana wielu czytelnikom jako gwiazda programu *Dochodzenie*, nadawanego przez Discovery Channel. Poniższy materiał jest częściowym zapisem jednej z naszych licznych rozmów prowadzonych przez Skype'a.**

Sama rozumiesz, Elspeth: zdarzenie na taką skalę, od razu zdawaliśmy sobie sprawę, że minie sporo czasu, zanim będziemy na pewno wiedzieli, z czym mamy do czynienia. Pomyśl zresztą: cztery katastrofy lotnicze z udziałem trzech typów samolotów na czterech kontynentach... Rzecz zupełnie bez precedensu. Wiedzieliśmy, że będziemy musieli blisko współpracować i koordynować nasze działania z brytyjską AAIB, południowoafrykańską CAA i JTSB z Japonii, nie wspominając o innych zainteresowanych stronach – producentach tych maszyn, FBI, Komisji Badania Wypadków Lotniczych i paru innych, których nie wymienię. Nasi ludzie robili co w ich mocy, ale pracowali pod niewiarygodną presją. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam. Presja ze strony rodzin ofiar, ze strony linii lotniczych, prasy... Ze wszystkich stron. Nie twierdzę, że w związku z tym spodziewałam się jakichś szczególnych problemów, ale w takich okolicznościach łatwo o pomyłki i fałszywe informacje. Ludzie są tylko ludźmi. Przez kilka kolejnych tygodni mogliśmy mówić o wielkim szczęściu, jeśli jakiejś nocy udało nam się przespać dłużej niż parę godzin.

Zanim przejdę do tego, co chcesz usłyszeć, nakreślę ci ogólny obraz sytuacji, żebyś mogła zobaczyć sprawę we właściwym kontekście. No więc, to było tak: jako kierująca śledztwem w sprawie katastrofy maszyny Maiden Airlines, natychmiast po otrzymaniu wezwania zaczęłam kompletować mój zespół. Regionalny śledczy był już na miejscu i zabezpieczał teren, ale wszystkie materiały, którymi dysponowaliśmy, pochodziły wyłącznie z mediów. Szef miejscowego zespołu kryzysowego opowiedział mi przez komórkę, jak wygląda sytuacja, wiedziałam więc, że jest nieciekawie. Pamiętaj, że samolot spadł na odludnym, trudno dostępnym terenie. Osiem kilometrów od najbliższej miejscowości, dwadzieścia trzy kilometry od drogi. Z powietrza niczego nie było widać – chyba że wiedziało się, czego szukać. Przed lądowaniem przelecieliśmy nad miejscem katastrofy, więc mogłam się o tym przekonać na własne oczy. Trochę porozrzucanych szczątków, dziura w bagnach, wypełniona czarną wodą, wielkości może jednorodzinnego domu, i ta wysoka trawa o ostrych krawędziach, mogących bez trudu przeciąć skórę.

A takie informacje przekazano mi podczas pierwszego briefingu: kilka minut po starcie katastrofie uległ McDonnell Douglas MD-80. Kontroler ruchu lotniczego zeznał, że piloci meldowali o przypuszczalnej awarii silnika, ale na początkowym etapie dochodzenia nie mogłam jeszcze wykluczyć działania osób trzecich, zwłaszcza biorąc pod uwagę napływające doniesienia o pozostałych zdarzeniach. Mieliśmy dwóch świadków, wędkarzy. Widzieli samolot lecący zbyt nisko i niestabilnie, który w końcu runął na bagna. Twierdzili, że z silników wydobywały się płomienie, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego. Świadkowie prawie zawsze mówią o płomieniach lub eksplozji, nawet wtedy, kiedy jest to w stu procentach wykluczone. Natychmiast poleciłam moim ludziom, żeby czym prędzej zawlekli tyłki do hangaru numer sześć. Komisja Badania Wypadków Lotniczych dała nam gulfstreama IV, żeby nas zawiózł do Miami; potrzebowałam całego zespołu, a ta maszyna była za mała, żeby wszystkich pomieścić. Maiden Airlines nie cieszyły się najlepszą opinią, jeżeli chodzi o poziom dbałości o sprzęt, ale sama maszyna miała opinię niezawodnej.

Po godzinie lotu dostałam wiadomość, że jedna osoba przeżyła katastrofę. Pamiętaj, Elspeth, że widzieliśmy relacje w telewizji; ktoś, kto nie miał pojęcia, co się tam wydarzyło, nawet nie zauważyłby miejsca wypadku. Samolot znalazł się w całości pod wodą. Przyznam, że początkowo nie mogłam w to uwierzyć.

Chłopca natychmiast przetransportowano do szpitala dziecięcego w Miami. Podobno był przytomny. Nikt nie mógł uwierzyć, że a) przeżył katastrofę i b) nie został pożarty przez aligatory. Było ich tam tyle, że musieliśmy wezwać na pomoc uzbrojonych strażników, którzy trzymali je z daleka od nas, kiedy wydobywaliśmy szczątki.

Zaraz po wylądowaniu udaliśmy się prosto na miejsce wypadku. Ludzie z zespołu zajmującego się zbieraniem zwłok już tam byli, ale szanse na to, że znajdą kogokolwiek w całości, nie wyglądały najlepiej. Priorytetem było jak najszybsze odszukanie rejestratora rozmów z kokpitu i czarnej skrzynki. Wszystko wskazywało na to, że nie obędzie się bez pomocy nurków. Paskudnie tam było: upał, muchy, no i ten smród... Potrzebowaliśmy pełnych kombinezonów do pracy w sytuacji zagrażającej zdrowiu, a one nie zostały skonstruowane z myślą o tym, żeby ułatwić pracę w takich warunkach. Od samego początku nie ulegało dla mnie wątpliwości, że będziemy potrzebowali wielu tygodni, by cokolwiek ustalić. Nie mieliśmy tyle czasu. To przecież nie była jedyna katastrofa, która wydarzyła się tego dnia.

Musiłam porozmawiać z tym dzieckiem. Według listy pasażerów samolotu jedynym dzieckiem w tym przedziale wiekowym był niejaki Bobby Small, wracający do Nowego Jorku w towarzystwie kobiety, która – jak zakładaliśmy – była jego matką. Postanowiłam pojechać sama; reszta zespołu została na miejscu, żeby dokonać wstępnych ustaleń i nawiązać współpracę z miejscowymi oraz z innymi zespołami dochodzeniowymi docierającymi na Florydę.

Wokół szpitala kłębił się tłum dziennikarzy. Na mój widok zasypali mnie gradem pytań:

– Ace, czy to była bomba?

– Czy ustaliliście już związek z pozostałymi katastrofami?

– Czy to prawda, że ktoś ocalał?

Wykręcałam się standardową formułką, że wydamy komunikat dla mediów, jak tylko pojawią się nowe szczegóły, a tymczasem koncentrujemy się na śledztwie, i tak dalej, i tak dalej. Absolutnie nie mogłam sobie pozwolić na rozpuszczanie jakichkolwiek niepotwierdzonych wiadomości.

Uprzedziłam telefonicznie szpital, że jadę porozmawiać z dzieckiem, ale zdawałam sobie sprawę, że mam niewielkie szanse na to, żeby mnie do niego dopuścili. Kiedy czekałam na decyzję lekarzy, z pokoju, w którym leżał chłopiec, wybiegła nagle pielęgniarka i skręciła w korytarz – traf chciał, że akurat w moją stronę. Z trudem powstrzymywała łzy. Kiedy przechwyciłam jej spojrzenie, zapytałam:

– Co z nim? Wszystko w porządku?

Skinęła głową i pobiegła do dyżurki. Jakiś tydzień później odszukałam ją i zapytałam, dlaczego była wtedy taka poruszona. Nie potrafiła mi tego wyjaśnić. Powiedziała, że nagle opanowało ją przeświadczenie, że coś jest nie w porządku. Nie była w stanie wytrzymać ani chwili dłużej w tym pokoju. Widać było, że ma z tego powodu pretensje do siebie. Tłumaczyła, że widocznie śmierć tych wszystkich ludzi wstrząsnęła nią znacznie bardziej, niż jej się wydawało, że widok Bobby'ego uświadomił jej, jak wiele osób straciło życie tego dnia.

Kilka minut później w szpitalu pojawił się psycholog dziecięcy. Miła dziewczyna, trzydziestoparoletnia, ale wyglądała na młodszą. Wciąż zapominam, jak się nazywała... Polanski? Ach, tak: Pankowski. Dzięki. Dosłownie przed chwilą przydzielono jej ten przypadek, więc ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, był jakiś bezwzględny śledczy, który namiesza jej pacjentowi w głowie. Powiedziałam jej więc:

– Proszę pani, mamy do czynienia z poważnym wypadkiem o międzynarodowych konsekwencjach. Ten chłopiec jest przypuszczalnie jedynym świadkiem, który może nam pomóc.

Nie chciałam, Elspeth, żeby myślała, że mam serce z kamienia, ale wtedy jeszcze moja wiedza o pozostałych katastrofach była fragmentaryczna. Równie dobrze ten dzieciak mógł być

kluczem do rozwiązania wszystkich tajemnic. Pamiętaj, że Japończycy dopiero po dłuższym czasie poinformowali o tym, że ktokolwiek ocalał, a informacja o dziewczynce znalezionej we wraku maszyny, która rozbiła się w Wielkiej Brytanii, dotarła do nas jeszcze kilka godzin później. W każdym razie, doktor Pankowski poinformowała mnie, że chłopiec jest przytomny, ale do tej pory nie powiedział ani słowa i przypuszczalnie nie zdaje sobie sprawy z tego, że jego matka niemal na pewno nie żyje. Poprosiła mnie o zachowanie maksymalnej ostrożności i odmówiła zgody na filmowanie rozmowy. Nie protestowałam, chociaż rejestracja zeznań świadków to standardowa procedura. Przyznam, że później sama nie wiedziałam, czy to dobrze, że rozmawiałam z nim bez kamery, czy – nie. Zapewniłam doktor, że nauczono mnie rozmawiać ze świadkami i że jeden z naszych specjalistów jest już w drodze, żeby przejąć ode mnie pałeczkę. Ja chciałam się tylko zorientować, czy zapamiętał coś, co mogło wskazać nam kierunek poszukiwań.

Położyli go w separacie o jasnych ścianach, urządzonej z myślą o dzieciach: zabawne rysunki, wielka wypchana żyrafa, na mój gust odrobinę przerażająca... Chłopiec leżał na wznak, miał podłączoną kroplówkę, wszędzie widać było ślady pozostawione przez trawę ostrą jak brzytwa. (W najbliższych dniach nam także miała się dać mocno we znaki). Nie dostrzegłam żadnych innych obrażeń. Wciąż nie jestem w stanie tego pojąć. Było tak, jak wszyscy mówili: to wyglądało na cud. Chłopca szykowali do badania tomografem komputerowym, wiedziałam więc, że mam najwyżej kilka minut.

Lekarze krzątający się przy łóżku nieszczególnie ucieszyli się na mój widok, Pankowski nie odstępowała mnie nawet na krok. Chłopiec wyglądał nie najlepiej, zwłaszcza z tymi wszystkimi cięciami na twarzy i ramionach. Naprawdę było mi głupio wypytywać go tak krótko po tym, co przeszedł.

– Cześć, Bobby – powiedziałam. – Nazywam się Ace. Prowadzę dochodzenie.

Na jego ciele nie drgnął żaden mięsień. Pankowski odeszła na bok, bo cichutko zabrzączał jej telefon.

– Cieszę się, że wszystko z tobą w porządku, Bobby – ciągnęłam. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym zadać ci kilka pytań.

Otworzył oczy i spojrzał prosto na mnie. Wzrok miał zupełnie pusty. Nie byłam w stanie stwierdzić, czy w ogóle mnie słyszy.

– Fajnie, że się obudziłeś – powiedziałam.

Zdawał się patrzeć przeze mnie na wylot. A potem... Elspeth, ja dobrze wiem, że to zabrzmiało kompletnie głupio, ale potem jego oczy... Zrobiły się mokre, jakby zbierało mu się na płacz, ale nie wypełniły się łzami, tylko krwią.

Chyba krzyknęłam, bo w następnej chwili Pankowski znalazła się tuż przy mnie, a lekarze zaczęli uwijać się wokół łóżka niczym pszczoły przy ulu.

– Co się dzieje z jego oczami? – zapytałam.

Pankowski spojrzała na mnie z taką miną, jakby właśnie wyrosła mi druga głowa. Przeniosłam wzrok z powrotem na Bobby'ego, na jego oczy. Były błękitne, bez najmniejszego śladu krwi.

**Fragment rozdziału drugiego *Jak strzegłem Jess, czyli moje życie z jednym z Trojga Paula Craddocka (przy współpracy Mandi Solomon).***

Ludzie często pytają mnie: „Paul, dlaczego zdecydowałeś się zostać jedynym opiekunem Jess? Przecież odnosisz sukcesy jako aktor, jesteś artystą, samotnym mężczyzną o dość nieuporządkowanym życiu. Czy aby na pewno nadajesz się na rodzica?”. Odpowiedź na te pytania jest bardzo prosta i brzmi następująco: zaraz po tym, jak bliźniaczki przyszły na świat, Shelly i Stephen poprosili mnie, żebym zgodził się zostać prawnym opiekunem dzieci – na wypadek, gdyby im, rodzicom, przydarzyło się jakieś nieszczęście. Zastanawiali się nad tym długo i głęboko, zwłaszcza Shelly. Wszyscy ich przyjaciele mieli własne młode rodziny, nie mogliby więc poświęcić dziewczynkom tyle uwagi, na ile zasługiwały, rodzina Shelly zaś kompletnie nie wchodziła w rachubę z powodów, o których opowiem później. Poza tym Shelly twierdziła, że Polly i Jess od najwcześniejszego dzieciństwa wprost za mną przepadały.

– One tylko tego tak naprawdę potrzebują, Paul. Miłości. A ty dajesz jej im całe mnóstwo.

Ma się rozumieć, Stephen i Shelly wiedzieli wszystko o mojej przeszłości. W wieku dwudziestu paru lat, po poważnym zawodowym niepowodzeniu, moje życie na jakiś czas wyskoczyło z szyn. W połowie pracy nad pilotem serialu *Łóżkowe maniery*, okrzykniętego potencjalnie najbardziej obiecującym serialem medycznym na Wyspach, otrzymałem wiadomość, że produkcja zostaje wstrzymana. Otrzymałem rolę doktora Malakaja Bennetta, genialnego chirurga z zespołem Aspergera, uzależnionego od morfiny i zdradzającego wszelkie objawy paranoi. Decyzja o wstrzymaniu prac nad serialem mocno mnie dotknęła. Poświęciłem wiele miesięcy na przygotowanie się do tej roli, naprawdę wczułem się w postać, którą miałem odtwarzać – chyba nawet za bardzo. Jak wielu artystów przede mną, uciekłem przed bólem w objęcia alkoholu i paru innych substancji. W połączeniu z obawami o nagle bardzo niepewną przyszłość dało to kliniczny przypadek głębokiej depresji wzbogaconej łagodnym halucynacjami paranoidalnymi.

Poradziłem sobie jednak z tymi demonami wiele lat wcześniej, zanim Stephen i Sally zaczęli choćby zastanawiać się nad posiadaniem dzieci, mogę więc uczciwie stwierdzić, że naprawdę uznali mnie za najlepszego kandydata. Shelly nalegała, żebyśmy zrobili to zgodnie z wymogami prawa, toteż któregoś dnia stawiliśmy się we trójkę u notariusza. Rzecz jasna, kiedy ktoś prosi cię o coś takiego, jesteś święcie przekonany, że i tak nigdy nie trzeba będzie z tego skorzystać.

Ale za bardzo wybiegam naprzód.

Po ucieczce z tego okropnego pomieszczenia, w którym dręczył nas nieudolny personel Go!Go!, wylądowałem w lotniskowym pubie, gdzie przez pół godziny gapiłem się na pasek z wiadomościami na Sky, powtarzający w kółko tę przerażającą wiadomość. Potem pojawiły się pierwsze ujęcia z miejsca, w którym przypuszczalnie spadła maszyna Stephena: ogromny, wzburzony ocean, tu i tam jakieś szczątki unoszące się na falach. Na tej nieskończonej, rozkołysanej przestrzeni łodzie ratownicze poszukujące rozbitków wyglądały jak zabawki. Pamiętam, jak pomyślałem: „Dzięki Bogu, że podczas poprzednich wakacji Stephen i Shelly nauczyli dziewczynki pływać”. Idiotyczne, wiem. Nawet Duncan Goodhew miałby problem z utrzymaniem się na powierzchni w takich warunkach. To niesamowite, gdzie człowiek potrafi szukać nadziei w chwilach maksymalnego napięcia emocjonalnego.

Znalazła mnie Mel. Może i pali czterdzieści rothmansów dziennie i ubiera się w Primarku, ale ona i jej partner Geoff mają serca wielkie jak Kanada. Jak wspomniałem w poprzednim rozdziale: nie należy oceniać książki po okładce.

– Trzymaj się, kochany – powiedziała. – Nie wolno tracić nadziei.

Młodzieńcy w garniturach trzymali się ode mnie z daleka, ale też ani na chwilę nie

spuszczali mnie z oka. Wyglądałem okropnie: spocony, roztrzęsiony, chyba się nawet rozplakałem, bo miałem mokre policzki.

– Na co się gapiacie? – warknęła Mel, po czym wzięła mnie za rękę i zaprowadziła z powrotem do salki.

Tymczasem zjawiała się tam cała armia psychologów i terapeutów. Rozdawali herbatę, która smakowała jak posłodzona woda po zmywaniu naczyń, i ustawiali parawany, dzieląc pomieszczenie na boksy. W opiekuńczym odruchu Mel posadziła mnie między sobą a Geoffem; byli jak ubrane w dresy podpórki na książki na dwóch końcach półki. Geoff poklepał mnie po kolanie, powiedział coś w rodzaju: „Razem w to wpadliśmy, kolego”, i poczęstował papierosem. Wziąłem go z wdzięcznością, chociaż nie paliłem od lat.

Nikt nie zabraniał palenia.

Dołączyli do nas Kelvin, ten gość z dredami, i Kylie, ładna rudowłosa dziewczyna z balonem (został z niego już tylko zmiętoszony flak na podłodze). Fakt, że to nasza piątka jako pierwsza usłyszała koszmarną wiadomość, bardzo nas zbliżył. Tuliliśmy się do siebie, paliliśmy papierosa za papierosem i staraliśmy się nie wybuchnąć. Jakaś zdenerwowana kobieta – pewnie terapeutka, choć jak na kogoś takiego była stanowczo zbyt spięta – poprosiła nas, żebyśmy podali nazwiska krewnych, którzy byli na pokładzie pechowej maszyny. Jak wszyscy, ona też uraczyła nas gotowcem: „Poinformujemy państwa, jak tylko dowiemy się czegoś nowego”. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że robią wszystko, by nie dawać nam złudnej nadziei, lecz mimo to mieliśmy nadzieję. Nic się na to nie poradzi. Zaczyna się od modlitw o to, żeby twoi bliscy spóźnili się na samolot, żeby się okazało, że pomyliłeś numer albo datę lotu, żeby to był tylko koszmarny, niedorzeczny sen. Ja skupiłem się na obrazie, jaki zarejestrowałem tuż przed tym, kiedy dotarła do mnie wiadomość o katastrofie: na dzieciakach rozbierających mocno przeterminowaną choinkę – zły znak, bez cienia wątpliwości, nawet dla kogoś nieprzesądnego jak ja. Marzyłem o tym, żeby cofnąć się do tamtej chwili, zanim w moim sercu na stałe rozgościła się okropna pustka wywołująca mdłości.

Poczułem, jak na klatce piersiowej znowu zaciska mi się lodowata obręcz paniki. Mel i Geoff próbowali zająć mnie rozmową, by skrócić czas oczekiwania na przydzielenie nam psychologa, lecz ja nie byłem w stanie wykrztusić ani słowa. Było to do mnie zupełnie niepodobne. Geoff pokazał mi wygaszacz ekranu swojego smartfona: zdjęcie uśmiechniętej, dwudziestoparoletniej, lekko otyłej, lecz mimo to atrakcyjnej dziewczyny. Wyjaśnił mi, że to Lorraine, jego córka, po którą przyjechali na lotnisko.

– Bystra dziewczyna. Trochę zaczęła szaleć, ale już wróciła do normy – powiedział ponurym tonem.

Lorraine wybrała się na Teneryfę z koleżankami na babską wyprawę; zdecydowała się w ostatniej chwili, kiedy ktoś zrezygnował. I jak tu nie wierzyć w przeznaczenie?

Zacząłem mieć problemy z oddychaniem. Moje ciało pokryło się zimnym potem. Wiedziałem, że muszę stąd jak najprędzej wyjść, bo jeśli nie, to eksploduje mi głowa. Mel zrozumiała, co się ze mną dzieje.

– Podaj mi swój numer, złotko – powiedziała, kładąc mi na kolanie rękę obwieszoną złotą biżuterią. – Damy ci znać, jak tylko się czegoś dowiemy.

Wymieniliśmy się numerami (miałem problemy z przypomnieniem sobie mojego), po czym wybiegłem stamtąd. Ktoś próbował mnie zatrzymać, ale Mel zawołała:

– Dajcie mu spokój! Niech idzie, jeśli chce.

Nie mam pojęcia, jak udało mi się zapłacić za parking i wrócić do Hoxton, nie wjechawszy pod żadną ciężarówkę na autostradzie. Niczego nie pamiętam. Później okazało się, że zaparkowałem audi Stephena przednimi kołami na chodniku, a tylnymi – na jezdni, jakbym



porzucił samochód skradziony tylko po to, żeby sobie trochę poszaleć.

Ocknąłem się w holu, kiedy wpadłem na stolik, na którym kładziemy pocztę, i oczywiście przewróciłem go na podłogę. Jeden z polskich studentów, którzy wynajmowali mieszkanie w suterenie, wystawił głowę przez drzwi i zapytał, czy dobrze się czuję. Mój widok mówił chyba sam za siebie, bo kiedy spytałem go, czy ma jakiś alkohol, znikł na kilka sekund, po czym bez słowa wręczył mi butelkę taniej wódki.

Wpadłem do mieszkania, dobrze wiedząc, że za chwilę popłynę. Nic mnie to nie obchodziło. Nie zwracałem sobie głowy szukaniem szklanki, tylko pociągnąłem prosto z butelki. W ogóle nie czułem smaku. Trząsałem się, dygotałem, czułem mrowienie w palcach. Sięgnąłem po telefon i zacząłem przewijać listę kontaktów, ale nie miałem pojęcia, do kogo zadzwonić. Być może dlatego, że osobą, do której zawsze dzwoniłem w razie kłopotów, był Stephen.

Chodziłem w tę i z powrotem.

Znowu się napiłem.

Zakrztusiłem się.

Usiadłem na kanapie i włączyłem telewizor.

Zawieszono nadawanie normalnego programu, non stop leciały informacje o katastrofach. Byłem otępiały – i już nieźle pijany – ale dotarło do mnie, że ruch lotniczy został całkowicie wstrzymany. W studiu Sky ponury jak chmura gradowa Kenneth Porter przepytywał licznie zgromadzonych ekspertów. Do dziś na dźwięk jego głosu chwytają mnie autentyczne mdłości.

Sky koncentrowało się na katastrofie maszyny linii Go!Go! jako najbardziej interesującej dla ich grupy docelowej. Jakaś para podróżująca wycieczkowym liniowcem nagrała trzęsący się film, na którym widać było samolot lecący niebezpiecznie nisko nad powierzchnią oceanu. Powtarzano go niemal bez przerwy. Dzięki Bogu, kamera nie zarejestrowała chwili zderzenia z wodą, ale w tle słychać było kobiecy krzyk: „O mój Boże, Larry! Larry! Widzisz to?!”.

Pokazywano numer telefonu, pod który mogli dzwonić wszyscy, którzy obawiali się, że ich bliscy mogli znajdować się na pokładzie pechowej maszyny. Pomyślałem sobie, że mógłbym zadzwonić, zaraz jednak przyszła refleksja: po co? Kiedy Kenneth Porter akurat nie maglował specjalistów od bezpieczeństwa lotów ani nie zapowiadał ponurym tonem n-tej powtórki filmiku nakręconego z pokładu wycieczkowca, stacja podawała informacje o pozostałych katastrofach. Usłyszałem o Bobbym – chłopcu z Everglades – i o trojgu ocalałych z katastrofy w Japonii. Pomyślałem: „To możliwe. To może się zdarzyć. Oni mogą żyć”.

Poziom płynu w butelce opadał.

Patrzyłem, jak ratownicy niosą do helikoptera nagiego japońskiego chłopca, jak przerażony Afrykańczyk krzyczy z rozpacz po stracie swojej rodziny, a za jego plecami wznosi się w niebo słup czarnego dymu, jak specjalista od badań przyczyn katastrof lotniczych – ten podobny trochę do Kapitana Ameryki – nawołuje do zachowania spokoju. Patrzyłem, jak wyraźnie wstrząśnięty urzędnik od ruchu lotniczego informuje, że wszystkie loty pasażerskie zostały zawieszane aż do odwołania.

Chyba zasnąłem. Kiedy się ocknąłem, Kennetha Portera zastąpiła wygadana brunetka w przeraźliwie żółtej bluzce. (Nigdy nie zapomnę tej bluzki). W głowie czułem pulsujący ból, walczyłem ze wzbierającymi mdłościami, więc kiedy powiedzieli, że według najnowszych informacji nie można wykluczyć, że jeden z pasażerów samolotu Go!Go! przeżył katastrofę, w pierwszej chwili uznałem to za wytwór mojego umysłu. A potem do mnie dotarło: dziecko. Kilka mil morskich od domniemanego miejsca katastrofy wyłowili z wody dziecko ucepione plastikowego fragmentu wraku. Na ujęciach ze śmigłowca nie było wiele widać: rybacka łódź, kilku mężczyzn wymachujących ramionami, mały kształt w żółtej kamizelce ratunkowej.

Nie pozwalałem sobie na nadzieję, ale potem pokazali zbliżenie, kiedy dziecko wciągano na pokład śmigłowca, i byłem już niemal pewien, że to jedna z bliźniaczek. Takie rzeczy czuje się przez skórę. Nie zastanawiając się, zadzwoniłem do Mel.

– Zostaw to mnie, złotko – powiedziała.

Nawet nie pomyślałem o tym, co musiała wtedy czuć.

Odniosłem wrażenie, że zespół wsparcia pojawił się po zaledwie kilku sekundach, zupełnie jakby czekał tuż za progiem. Psycholog Peter (nie zapamiętałem nazwiska), niewysoki siwy mężczyzna z kocią bródką, kazał mi usiąść i przedstawił mi całą procedurę, ale przede wszystkim ostrzegł, żebym nie robił sobie zbyt dużych nadziei.

– Musimy mieć całkowitą pewność, że to ona, Paul.

Zapytał, czy ma się skontaktować z moją rodziną albo przyjaciółmi. Przyszło mi do głowy, żeby zadzwonić do Gerry'ego, ale szybko zrezygnowałem z tego pomysłu. Stephen, Shelly i dziewczynki byli moją rodziną. Owszem, miałem przyjaciół, lecz raczej nie z rodzaju tych, u których można szukać wsparcia w razie nieszczęścia. Co prawda, później próbowali wleźć mi w życie z butami, byle tylko załapać się na swoje dziesięć minut sławy. Wiem, że to smutne, ale tak to już jest, że o tym, kto naprawdę jest twoim przyjacielem, możesz się przekonać dopiero wtedy, kiedy twoje życie legnie w gruzach.

Chciałem natychmiast lecieć do niej, ale Peter zapewnił mnie, że zostanie przetransportowana do Anglii, jak tylko pozwoli na to stan jej zdrowia. Zupełnie zapomniałem, że wstrzymano cały ruch lotniczy w Europie. Na razie zajmowano się nią w szpitalu w Portugalii.

Kiedy Peter uznał, że uspokoiłem się na tyle, by móc poznać szczegóły, opowiedział mi, że wszystko wskazuje na to, że na pokładzie wybuchł pożar, który zmusił pilota do wodowania, i że Jess (albo Polly, bo wtedy nie mieliśmy jeszcze pojęcia, o którą z nich chodzi) jest ranna. Największe zagrożenie stanowiła jednak hipotermia. Pobrali ode mnie próbkę DNA, żeby sprawdzić, czy na pewno chodzi o jedną z moich dziewczynek. To kompletnie surrealistyczne przeżycie: ktoś grzebie ci w ustach pałeczką z wacikiem, a ty czekasz ze wstrzymanym oddechem na informację o losie ludzi, których kochasz najbardziej na świecie.

Wiele tygodni później, podczas jednego z pierwszych spotkań Grupy 277, Mel przyznała się przede mną, że po tym, jak usłyszeli z Geoffem o odnalezieniu Jess, bardzo długo nie chcieli wyrzec się nadziei – nawet wtedy, kiedy zaczęto znajdować ciała. Wyobrażała sobie, że morze wyrzuciło Lorraine na jakąś wyspę, na której wciąż czeka na ratunek. Jak tylko wznowiono normalną komunikację lotniczą, linie Go!Go! zaproponowały rodzinom ofiar transport nad wybrzeże Portugalii, jak najbliżej miejsca katastrofy. Nie skorzystałem – za bardzo byłem wtedy zajęty Jess – ale większość Grupy 277 poleciała. Wciąż nie mogę spokojnie myśleć o tym, jak Mel i Geoff przeczesywali wzrokiem powierzchnię oceanu, rozpaczliwie czepiając się nadziei, że ich córka jednak żyje.

Gdzieś musiał nastąpić przeciek, bo jak tylko oficjalnie potwierdzono, że jedna z bliźniaczek przeżyła katastrofę, telefon zaczął się urywać. Bez względu na to, czy dzwonili dziennikarze z „The Sun”, czy z „The Independent”, pytania były te same: „Co pan czuje? Czy uważa pan, że to cud?”. Szczerze mówiąc, konieczność udzielania odpowiedzi na niekończące się pytania pozwoliła mi przynajmniej częściowo zapomnieć o rozpacz, która powracała falami, wywołanymi niekiedy przez zupełnie niewinne bodźce: reklamę samochodu z nienaturalnie polukrowanymi matką i dzieckiem, reklamę papieru toaletowego z udziałem szczeniaków i różnokolorowych berbeci... Jeżeli akurat nie udzielałem wywiadu, siedziałem przyklejony do ekranu telewizora, jak chyba wszyscy na świecie. Dość szybko wykluczono atak terrorystyczny, ale we wszystkich kanałach aż gęsto było od ekspertów dyskutujących o możliwych przyczynach katastrofy. Podobnie jak Mel i Geoff, gdzieś w głębi duszy też chyba nie mogłem uwolnić się od

nadziei, że Stephen jednak żyje.

Dwa dni później przeniesiono Jess do prywatnego szpitala w Londynie – pod opiekę specjalistów. Oparzenia dziewczynki nie były poważne, niemniej wciąż istniała groźba infekcji, i choć badanie tomografem komputerowym nie wykazało żadnych uszkodzeń mózgu, to Jess wciąż nie otworzyła oczu.

Personel szpitala spisywał się wspaniale, służył mi wszelkim możliwym wsparciem. Zaprowadzono mnie do pokoju, w którym czekałem, aż lekarze pozwolą mi ją zobaczyć. Zanurzony w oparach nierzeczywistości, siedziałem na kanapie i przeglądałem kolorowe czasopisma. Ludzie, którzy stracili kogoś bliskiego, często mówią, że nie rozumieją, jak to możliwe, żeby świat wciąż funkcjonował jakby nigdy nic. Ja też tego nie rozumiałem, gapiąc się na zdjęcia celebrytek przyłapanych bez makijażu. W końcu zapadłem w drzemkę.

Obudziło mnie jakieś zamieszanie w korytarzu.

– Co to znaczy, że nie możemy jej zobaczyć? – krzyczał męski głos.

– Jesteśmy jej rodziną! – wtórowała mu kobieta.

Poczułem pustkę w żołądku. Od razu wiedziałem, kto to: matka Shelly, Marilyn Adams, i jej dwaj synowie – Jason („mów mi Jase”) i Keith. Stephen dawno temu przezwiał ich „Rodziną Addamsów”, z dość oczywistych powodów. Shelly robiła, co mogła, żeby po opuszczeniu domu zerwać z nimi wszelkie kontakty, czuła się jednak w obowiązku zaprosić ich na swój ślub. Wtedy właśnie po raz ostatni miałem przyjemność przebywać w ich towarzystwie. Trudno sobie wyobrazić kogoś o bardziej liberalnych poglądach niż Stephen, ale nawet on żartował, że każdy Adams musiał spędzić co najmniej trzy lata w Wormwood Scrubs. Wiem, że pewnie wyjdą na okropnego snoba, ale stanowili oni podręcznikowy wzór chamstwa i buractwa. Jase i Keith – zwani także Festerem i Gomezem – nadawali nawet swoim dzieciom (a mieli ich tabuny, rodzone przez różne matki) imiona aktualnych celebrytek albo graczy w futbol. Wydaje mi się nawet, że jedna z ich córek nazywała się Brooklyn.

Ich głosy dobiegające z korytarza sprawiły, że wróciłem myślami do ślubu Stephena i Shelly, który – właśnie dzięki Rodzinie Addamsów – wszyscy goście zapamiętali na długo, choć niekoniecznie z właściwego powodu. Stephen poprosił mnie, żebym był jego drużbą, a ja przyprowadziłem ze sobą mojego ówczesnego partnera, Prakesha. Matka Shelly pojawiła się w koszmarnej różowej sukni z poliestru, w której wyglądała wypisz, wymaluj jak Świnka Peppa, Fester i Gomez zaś zamienili kurtki ze sztucznej skóry i adidasy na niedopasowane garnitury z supermarketu. Shelly zadała sobie mnóstwo trudu, żeby wszystko należycie zorganizować. W tamtych czasach ani ona, ani Stephen nie mieli za dużo kasy, ich zawodowe kariery dopiero nabierały rozpędu. Mimo to udało jej się oszczędzić tyle, że wystarczyło na wynajęcie na wesele niewielkiej wiejskiej posiadłości. Początkowo każda połowa rodziny pilnowała swojego terytorium; po jednej stronie rodzina Shelly, po drugiej – ja, Prakesh, Stephen oraz przyjaciele Shelly. Dwa różne światy.

Stephen żałował później, że nie zamknął baru na klucz. Po przemówieniach (mowa Marilyn była totalną katastrofą) Prakesh i ja poszliśmy zatańczyć. Pamiętam nawet, jaka to była piosenka: *Careless Whisper*.

– Aj, aj! – wydarł się jeden z braci, przekrzykując muzykę. – Zobacz, co robią te cioty!

– Pieprzone pedały! – zawtórował mu drugi.

Prakesh nie należał do ludzi, którzy puszczają coś takiego płazem. Całkowicie pominął etap utarczki słownej; zanim się spostrzegłem, siedział na najbliższym Adamsie i trzymał go za jaja. Przyjechała policja, ale nikt nie został aresztowany. Incydent oczywiście zepsuł wesele, a także nasz związek; krótko potem się rozstaliśmy. Chyba dobrze, że mama i tata tego nie widzieli. Zginęli w wypadku samochodowym, kiedy Stephen i ja mieliśmy po dwadzieścia parę

lat. To, co nam zostawili, wystarczyło nam na dobrych kilka lat. Tata się o to zatroszczył.

Mimo to, kiedy zahukana pielęgniarka wpuściła ich do poczekalni, jeden z braci – chyba Jase – miał na tyle przyzwoitości, żeby na mój widok zrobić zawstydzoną minę.

– Bez urazy, mistrzuniu – rzucił. – W takich chwilach musimy trzymać się razem, co nie?

– Moja Shelly! – szlochała Marilyn. Długo rozwodziła się nad tym, jakiego wstrząsu doznała, kiedy któryś z tabloidów zamieścił wykradzioną listę pasażerów. – Nie miałam pojęcia, że polecili na wakacje. Kto jeździ na wakacje w styczniu?

Gadała i gadała, Jason i Keith zabijali czas, gmerając w smartfonach, a ja usiłowałem sobie wyobrazić, jak przerażona byłaby Shelly, gdyby wiedziała, że biorą w tym udział. Mimo to powziąłem solenne postanowienie, że – ze względu na Jess – nie dojdzie do żadnych gorszących scen.

– Idę zająrać, mamciu – rzucił Jase.

Keith wymknął się z bratem, zostawiając mnie sam na sam z ich matką.

– No i co ty na to, Paul? – wystartowała natychmiast. – Jaka straszna sprawa! Moja kochana Shelly odeszła!

Wymamrotałem, że bardzo mi przykro, ale ponieważ właśnie straciłem mojego brata bliźniaka i zarazem najlepszego przyjaciela, jakoś nie bardzo byłem w stanie zdobyć się na głębsze wyrazy współczucia.

– Bez względu na to, którą znaleźli, musi zamieszkać ze mną i chłopcami – ciągnęła Marilyn. – Będzie mieszkała w pokoju z Jordan i Paris. – Głębokie westchnienie. – Chyba że wszyscy przeprowadzimy się do ich domu, oczywiście.

To chyba nie była dobra pora, żeby informować ją o decyzjach podjętych wcześniej przez Shelly, niemniej jednak wymamrotałem:

– Dlaczego myślisz, że to ty będziesz się nią opiekować?

– A kto inny?

– Może na przykład ja?

Tłuste podbródki zatrzęsły się z oburzenia.

– Ty? Przecież jesteś... jesteś... aktorem!

– Jest gotowa – oznajmiła pielęgniarka, przerywając naszą uroczą pogaduszkę. – Możecie wejść, ale najwyżej na pięć minut.

Nawet Marilyn miała dość taktu, aby zrozumieć, że to nie jest dobra chwila na kłótnię. Dano nam zielone chirurgiczne kombinezony i maski na twarze (nie mam pojęcia, jakim cudem znaleziono kombinezon, w który udało się wbić Marilyn), po czym pielęgniarka zaprowadziła nas do pokoju urządzonego w stylu pokoju hotelowego – kwieciste sofy, nowoczesny telewizor; iluzję niweczyły jedynie najrozmaitsze urządzenia i kroplówki wokół łóżka Jess. Miała zamknięte oczy i oddychała tak płytko, że można było tego nie zauważyć. Większą część jej twarzy zasłaniały opatrunki.

– To Jess czy Polly? – zapytała Marilyn nie bardzo wiadomo kogo.

Od początku nie miałem żadnych wątpliwości.

– Jess – powiedziałem.

– Skąd, kur... – W porę się zreflektowała. – Skąd wiesz? – warknęła. – Przecież prawie nie widać jej twarzy!

Zorientowałem się po włosach. Tuż przed wyjazdem Jess podcięła sobie grzywkę, naśladując najnowszą fryzurę Missy K. Poza tym miała maleńką bliznę tuż nad prawą brwią – pamiątkę po uderzeniu głową w komin, kiedy uczyła się chodzić. Wydawała się taka maleńka, taka bezbronna... Wtedy właśnie przysięgłem sobie, że zrobię wszystko, by ją ochronić.

**Angela Dumiso pochodzi z wschodniej części Kapsztadu, ale w chwili katastrofy lotu numer 467 linii lotniczych Dalu Air mieszkała w Khayelitsha z siostrą i dwuletnią córeczką. Zgodziła się na rozmowę w kwietniu 2012.**

Kiedy o tym usłyszałam, byłam w pralni, zajęta prasowaniem. Staralam się zrobić to jak najprędzej, żeby złapać taksówkę o czwartej, więc byłam już mocno zdenerwowana. Pan jest bardzo dokładny i lubi mieć wszystko uprasowane, nawet skarpetki. Jak tylko pani wbiegła do kuchni, zorientowałam się po jej minie, że coś się stało. Zwykle miała taką minę wtedy, kiedy któryś kot przyniósł martwą mysz, którą trzeba było sprzątnąć.

– Angelo, właśnie usłyszałam w radiu, że coś niedobrego wydarzyło się w Khayelitsha. Czy ty nie tam właśnie mieszkasz?

Powiedziałam, że tak, tam, i zapytałam, o co konkretnie chodzi. Byłam pewna, że o jakiś pożar albo rozruchy związane ze strajkiem, ale ona mi powiedziała, że chyba rozbił się jakiś samolot. Razem pobiegłyśmy do salonu i włączyłyśmy telewizor. W wiadomościach mówiono tylko o tym, ale początkowo nie mogłam się zorientować, co właściwie widzę. Ludzie biegali i krzyczeli, otoczeni kłębami czarnego dymu. A potem usłyszałam coś, co zmroziło mi serce. Reporterka, młoda biała kobieta o przerażonych oczach, powiedziała, że samolot całkowicie zniszczył kościół w sektorze piątym.

Żłobek, w którym zostawiłam moją Susan, był właśnie przy tym kościele.

Naturalnie, od razu pomyślałam, że muszę zadzwonić do mojej siostry Busi, ale skończyło mi się doładowanie. Pani pozwoliła mi skorzystać z jej komórki, ale nikt nie odbierał. Od razu włączała się poczta głosowa. Zrobiło mi się niedobrze, zakręciło mi się w głowie. Busi zawsze odbiera telefon. Zawsze.

– Muszę wyjść, proszę pani – powiedziałam. – Muszę się dostać do domu.

Modliłam się, żeby Busi wcześniej niż zwykle odebrała Susan ze żłobka. Miała dzień wolny, nie szła do fabryki, a w takie dni czasem odbierała Susan wcześniej, żebyśmy wszystkie trzy mogły spędzić razem popołudnie. Kiedy wychodziłam o piątej rano, żeby zdążyć na taksówkę do północnych przedmieść, Busi jeszcze spała, a Susan – przy niej. Staralam się cały czas mieć przed oczami ten obraz: one dwie śpiące bezpiecznie w łóżku. Tylko o tym myślałam. Modlić zaczęłam się dopiero później.

Pani (naprawdę nazywa się Clara van der Spuy, ale pan kazał do niej mówić „pani”, co doprowadzało Busi do wściekłości) od razu powiedziała, że mnie zawiezie. Poszłam po torebkę, ale słyszałam, jak kłóci się z panem przez telefon.

– Johannes nie chce, żebym tam jechała, ale mam to w nosie – powiedziała. – Nigdy bym sobie nie darowała, gdybym puściła cię samą.

Gadała przez całą drogę, przerywając tylko wtedy, kiedy mówiłam jej, jak jechać. Byłam już tak strasznie zdenerwowana, że czułam się, jakbym była ciężko chora. Wszystko, co zjadłam wcześniej, ciążyło mi w żołądku niczym kamienie. Jak tylko skręciłyśmy w N2, daleko przed nami zobaczyłam czarny dym. Po kilku kilometrach również go poczułam.

– Na pewno nic się nie stało, Angelo – powtarzała pani. – Khayelitsha jest przecież bardzo duża, prawda?

Włączyła radio. Właśnie mówiono o innych samolotach, które mniej więcej w tym samym czasie rozbiły się gdzie indziej na świecie.

– Cholerni terroryści! – zaklęła pani.

W miarę jak zbliżałyśmy się do zjazdu Badena Powella, ruch robił się coraz większy. Otaczały nas trąbiące taksówki z przerażonymi ludźmi, którzy – tak jak ja – usiłowali dostać się do domów. Obok nas z wyciem syren przemykały karetki i wozy straży pożarnej. Pani coraz bardziej się denerwowała. Nie była przyzwyczajona do czegoś takiego. Policja ustawiła blokady,

żeby zatrzymać samochody, które usiłowały wjechać na teren katastrofy. Zrozumiałam, że resztę drogi będę musiała odbyć pieszo.

– Proszę wracać do domu – powiedziałam i od razu dostrzegłam ulgę na jej twarzy.

Nie miałam o to żalu. To było piekło. W powietrzu wisiał popiół, dym szczypał w oczy. Wskoczyłam z samochodu i dołączyłam do tłumu usiłującego sforsować policyjny kordon ustawiony w poprzek drogi. Ludzie dokoła mnie krzyczeli, a ja krzyczałam razem z nimi.

– *Intombiyam!* Tam jest moja córka!

Przedarliśmy się, kiedy z naprzeciwka nadjechała karetka na sygnale i policjanci musieli się rozstąpić, żeby ją przepuścić.

Biegłam tak szybko, jak nigdy w życiu, ale w ogóle nie czułam zmęczenia. Strach pchał mnie naprzód. Z kłębow dymu wyłaniali się jacyś ludzie; niektórzy byli cali we krwi, ale przyznam ze wstydem, że nie zatrzymałam się, by im pomóc. Skupiłam się na tym, żeby przemieszczać się naprzód, choć chwilami prawie nic nie widziałam. Czasem tak było lepiej, bo tu i tam sterczały w białe w ziemię chorągiewki, a przy nich leżały foliowe worki – domyślałam się, że z fragmentami ciał. Wszędzie szalał ogień, strażacy w maskach starali się odgrodzić najbardziej niebezpieczne obszary, fizycznie powstrzymując ludzi przed zapuszczaniem się w głąb dzielnicy. Byłam zbyt daleko od miejsca, gdzie mieszkałam. Musiałam przedostać się bliżej. Dym palił moje płuca, z oczu płynęły mi łzy, tu i tam dochodziło do eksplozji. Od stóp do głów byłam pokryta sadzą. Wszystko wyglądało nie tak, jak powinno – do tego stopnia, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie pomyliłam drogi. Szukałam wzrokiem dachu kościoła, ale nie mogłam go znaleźć. Od smrodu – jakby ktoś zmieszał gulasz z płonącym paliwem – zbierało mi się na wymioty. Zatrzymałam się i osunęłam na kolana. Zdawałam sobie sprawę, że jeśli pójdę dalej, nie będę mogła oddychać.

Znalazł mnie sanitariusz. Był wycieńczony, jego błękitny kombinezon pokrywały plamy krwi.

– Moja córka... Muszę znaleźć córkę...

Tylko tyle zdołałam powiedzieć.

Nie mam pojęcia, dlaczego zdecydował się mi pomóc. Tylu innych ludzi potrzebowało pomocy. Zaprowadził mnie do karetki, posadził z przodu i zaczął rozmawiać przez radio. Po kilku minutach przyjechało kombi ze znakami Czerwonego Krzyża. Kierowca dał mi znak, żebym wcisnęła się do środka. Ludzie, którzy tam siedzieli, byli równie brudni, jak ja, przysypani popiołem, z wyrazem potwornego cierpienia na twarzach. Jakaś kobieta ze śpiącym dzieckiem na rękach bez słowa patrzyła przez tylną szybę. Stary mężczyzna, obok którego usiadłam, drżał na całym ciele. Łzy zostawiły wyraźne ślady na jego brudnych policzkach.

– *Molweni* – wyszeptałam do niego. – *Kuzolunga*.

Zapewniałam go, że wszystko będzie dobrze, choć sama w to nie wierzyłam. Mogłam się tylko modlić i targować w myślach z Bogiem, żeby Susan i Busi ocalały. Minęłyśmy namiot z trupami. Staralam się tam nie patrzeć, ale i tak zobaczyłam ludzi układających ciała, a raczej niebieskie foliowe worki z jakimiś kształtami wewnątrz. Jeszcze mocniej modliłam się o to, żeby żaden z nich nie zawierał szczątków Busi ani Susan.

Zawieziono nas do ratusza przy Mew Way. Przed wejściem powinnam była podać nazwisko, ale przecisnęłam się między urzędnikami i pobiegłam w kierunku drzwi. Już tu, na zewnątrz, słyszałam dobiegający ze środka płacz. Wewnątrz panował kompletny chaos. Pokryci sadzą, poowijani bandażami ludzie tłoczyli się w grupach. Niektórzy płakali, inni, pogrążeni w głębokim szoku, w milczeniu patrzyli przed siebie, tak jak ci w kombi. Zaczęłam torować sobie drogę przez tłum. Jak miałam odszukać Busi i Susan w tym tłoku? W pewnej chwili dostrzegłam Noliswe, jedną z sąsiadek, która czasem opiekowała się Susan. Jej twarz pokrywała gruba

warstwa brudu i zaschniętej krwi. Przykucnięta, kołysała się w przód i w tył, a kiedy zapytałam o Busi i Susan, nawet nie zwróciła na mnie uwagi. Jej oczy były zupełnie puste. Później dowiedziałam się, że w chwili, kiedy samolot uderzył w żłobek, było tam dwoje jej wnucząt.

Wtedy usłyszałam głos:

– Angie?

Odwróciłam się powoli i zobaczyłam Busi z Susan w ramionach.

– *Niphilile!* – wykrzyknęłam. – Żyjecie!

Padłyśmy sobie w objęcia. Nie wiem, jak długo tak stałyśmy; Susan zaczęła się wreszcie wiercić, bo chyba za mocno ją ściszałam. Ani na chwilę nie straciłam nadziei, jednak ulga, jaką poczułam na ich widok, była tak wielka, że... Już nigdy w życiu nie poczuję niczego tak mocno i wyraźnie. Kiedy wreszcie obie przestałyśmy płakać, Busi opowiedziała mi, co się wydarzyło. Odebrała Susan ze żłobka wcześniej niż zwykle, ale zamiast wrócić od razu do domu, postanowiła pójść na targ po cukier. Odgłos uderzenia był nieprawdopodobnie głośny; w pierwszej chwili była przekonana, że wybuchła bomba. Złapała Susan i co sił w nogach pobiegła byle dalej od tego dźwięku i od odgłosu eksplozji. Gdyby były w domu, już by nie żyły.

Nasz dom przestał istnieć. Cały nasz dobytek spłonął doszczętnie.

Czekałyśmy w ratuszu na przewiezienie do jakiegoś schroniska. Niektórzy zaczęli robić przepierzenia z koców i prześcieradeł podczepionych do sufitu. Mnóstwo ludzi straciło dach nad głową, ale najbardziej było mi żal dzieci – tych, które utraciły rodziców albo dziadków. Było ich mnóstwo, wśród nich wiele *amangweja* (dzieci uchodźców), które już zdążyły dużo wycierpieć podczas zamieszek przed czterema laty. Już wtedy widziały znacznie więcej, niż powinny.

Szczególnie mocno wrył mi się w pamięć widok pewnego chłopca. Nie mogłam zasnąć pierwszej nocy. W żyłach wciąż buzowała mi adrenalina i wciąż byłam pod wrażeniem tego, co widziałam za dnia. Wstałam, żeby rozprostować kości, i wtedy poczułam na sobie czyjś wzrok. Na kocu obok posłania, które zajmowałam z Busi i Susan, siedział chłopiec. Wcześniej ledwo zwróciłam na niego uwagę, tak bardzo byłam zaprzątnięta opieką nad Susan i stanem w kolejkach po żywność i wodę. Mimo ciemności, wyraźnie widziałam ból i samotność w jego oczach. Był sam na swoim kocu, nigdzie nie mogłam dostrzec żadnego z rodziców ani dziadków. Zdziwiło mnie, dlaczego nie umieszczono go w części przeznaczonej dla samotnych dzieci.

Zapytałam, gdzie jest jego matka, ale nie zareagował. Usiadłam obok i objęłam go. Przytulił się, lecz choć nie płakał ani nie szlochał, to jego ciało było ciężkie i bezwładne jak kłoda. Kiedy byłam pewna, że już zasnął, położyłam go delikatnie na kocu, a sama wróciłam na nasze posłanie.

Nazajutrz powiedziano nam, że zostaniemy przeniesieni do hotelu, który udostępnił swoje pokoje tym, którzy utracili domy. Rozejrzałam się za chłopcem; pomyślałam, że mogłybyśmy go zabrać, ale nie mogłam go nigdzie znaleźć. Mieszkałyśmy w tym hotelu przez dwa tygodnie. Kiedy moja siostra dostała pracę w dużej piekarni w pobliżu Masiphumele, przeniosłam się tam, żeby pracować razem z nią. Miałam szczęście. To znacznie lepsze niż być pomocą domową. Przy piekarni jest żłobek i codziennie rano mogę brać Susan ze sobą.

Później, kiedy zjawili się ci wszyscy Amerykanie szukający czwartego dziecka, jeden ze śledczych – Xhosa, żaden zagraniczny łowca nagród – dotarł do mnie i do Busi i zapytał, czy tamtej nocy zauważyłyśmy zachowujące się dziwnie dziecko. Opis, który podał, pasował jak ulał do tego chłopca, ale nie przyznałam się, że go widziałam. Nie wiem, dlaczego tak postąpiłam. Pewnie w głębi serca wiedziałam, że będzie dla niego lepiej, jeśli go nie znajdą. Śledczy domyślał się, że coś ukrywam, ale ja byłam posłuszna wewnętrznemu głosowi, który szeptał mi, żebym siedziała cicho.

Poza tym wcale nie jestem pewna, czy to był właśnie ten chłopiec, którego szukali. Tam

było mnóstwo *intandane* (sierot), a chłopiec nie powiedział mi, jak ma na imię.



**Szeregowy Samuel „Sammy” Hockemeier z III Korpusu Ekspedycyjnego Marines stacjonującego na Okinawie zgodził się na rozmowę przez Skype’a w czerwcu 2012, zaraz po swoim powrocie do Stanów Zjednoczonych.**

Poznałem Jake’a w dwa tysiące jedenastym, kiedy obaj zostaliśmy przeniesieni na Okinawę. Pochodzę z Fairfax w Wirginii, więc kiedy okazało się, że wychowywał się w Annandale, od razu się zakumplowaliśmy. Wyszło na to, że w szkole średniej parę razy grałem w futbol przeciwko drużynie jego brata. Zanim weszliśmy w tamten las, był zupełnie normalnym facetem, nikim nadzwyczajnym, może trochę bardziej skrytym niż inni, z poczuciem humoru, którego łatwo można było nie zauważyć. Był też dość niski: metr siedemdziesiąt, może metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. Na tych wszystkich zdjęciach, których pełno w internecie, wydaje się znacznie większy niż naprawdę. Większy i groźniejszy. Obaj dużo graliśmy w gry komputerowe. W bazie są bardzo popularne, wielu się prawie od nich uzależnia. To było najgorsze, co mogłem o nim powiedzieć – aż do chwili, kiedy mu szajba odbiła, ma się rozumieć.

Obaj zgłosiliśmy się do Batalionu Pomocy Humanitarnej. W styczniu dowiedzieliśmy się, że jedziemy na szkolenie do Obozu Fuji; to miała być pełna rekonstrukcja katastrofy. Jake i ja cholernie się ucieszyliśmy, bo na jakimś turnieju gier komputerowych poznaliśmy kilku marines z oddziałów antyterrorystycznych, którzy właśnie stamtąd wrócili. Powiedzieli nam, że Katemba – jedno z pobliskich miasteczek – jest całkiem fajne i że mają tam knajpę, w której za trzy tysiące jenów możesz jeść i pić do oporu. Mieliśmy też nadzieję, że uda nam się wyskoczyć do Tokio i choć trochę liźnąć japońskiej kultury. Na Okinawie nie ma na to szans, bo to siedemset kilometrów od Japonii. Widok jest oszałamiający, na ocean, ale jak człowiek gapi się na to dzień w dzień, to w końcu chce mu się rzygać, a w dodatku większość mieszkańców wyspy nie ma zbyt dobrej opinii o marines. Pewnie ma to jakiś związek ze sprawą Girarda – tego marine, który przypadkowo zastrzelił miejscową kobietę zbierającą złom na poligonie – i z tym zbiorowym gwałtem w latach dziewięćdziesiątych. Nie twierdzę, że są do nas wrogo nastawieni, ale nie ulega wątpliwości, że wielu nie miałoby nic przeciwko temu, gdybyśmy się stamtąd wynieśli.

Sam Oboz Fuji jest w porządku. Niewielki, ale jako miejsce ćwiczeń – OK, choć kiedy tam dotarliśmy, było zimno jak w jakiejś cholernej lodówce. Mnóstwo mgły, jeszcze więcej deszczu. Mieliśmy szczęście, że śnieg nie padał. Dowódca powiedział nam, że na początku przez kilka dni będziemy szykowali sprzęt do transportu na miejsce ćwiczeń, ale jak tylko zdążyliśmy rozlokować się w koszarach, zaczęły do nas docierać wiadomości o Czarnym Czwartku. Najpierw usłyszeliśmy o katastrofie na Florydzie. Paru chłopaków, którzy stamtąd pochodzili, dostało e-maile od rodzin albo od dziewczyn. Nawet sobie pani nie wyobraża, jakie plotki zaczęły krążyć, kiedy potem doszły do tego wiadomości o samolotach w Wielkiej Brytanii i Afryce! Większość była przekonana, że to robota terrorystów, najprawdopodobniej kolejny odwet tych z głowami poowijanymi szmatami. Sądziłyśmy, że lada chwila przerzucą nas z powrotem na Okinawę. To trochę dziwne, biorąc pod uwagę, gdzie byliśmy, ale o katastrofie Sun Air dowiedzieliśmy się na samym końcu. Nikt z nas nie mógł uwierzyć, że to się zdarzyło tak blisko nas. Tak jak wszyscy, Jake i ja przez całą noc siedzieliśmy w internecie, więc od razu dotarły do nas informacje o ocalonych: o tej stewardesie i dzieciaku. Co prawda połączenie trochę się rwało, ale udało nam się zobaczyć na YouTube, jak wciągają tego chłopaka do śmigłowca. Cholernie nami tąpnęło, kiedy się dowiedzieliśmy, że jedno z ocalonych zmarło w drodze do szpitala. Teraz nawet głupio o tym pomyśleć, ale pamiętam, jak Jake powiedział: „Kurde, mam nadzieję, że to nie ten dzieciak!”. Wiem, że to głupio zabrzmiało, ale ponieważ wiedzieliśmy, że na pokładzie była też Amerykanka i że zginęła, to akurat ten wypadek wydał nam się bardziej realny. Właśnie dlatego, że zginął w nim ktoś z naszych.

W piątek rano dowódca ogłosił, że potrzebuje ochotników z Batalionu Pomocy

Humanitarnej do zabezpieczenia terenu i przygotowania lądowiska dla śmigłowców poszukiwawczych i ratunkowych, żeby mogły lądować jak najbliżej miejsca katastrofy. Podczas odprawy powiedział nam, że setki zrozpaczonych członków rodzin ofiar katastrofy pęta się po okolicy i przeszkadza w prowadzeniu działań. Prasa też dołożyła swoje do zamieszania. Paru dziennikarzy nawet zablądziło w lesie, paru innych coś sobie zrobiło i też trzeba było ich ratować. Zdziwiło mnie, że Japończycy zgodzili się na nasz udział. Jasne, Stany i Japonia są teraz sojusznikami, ale miejscowi uwielbiają robić wszystko po swojemu. To chyba ma coś wspólnego z dumą narodową. Dowódca wyjaśnił nam, że oberwali po uszach za to, co się działo po katastrofie tego ich superszybkiego pociągu w latach dziewięćdziesiątych; za późno wzięli się do roboty, machina biurokratyczna jeszcze bardziej wszystko spowalniała, czekali na polecenia przełożonych i tak dalej. Wielu ludzi zapłaciło za to życiem. Zgłosiłem się od razu. Jake też.

Powiedziano nam, że będziemy współpracować z chłopakami z pobliskiej jednostki Japońskich Sił Samoobrony. Yoji, młody szeregowiec, który został naszym tłumaczem, w drodze na miejsce opowiedział nam o tym lesie. Wyjaśnił, że cieszy się złą sławą, bo mnóstwo ludzi odebrało sobie w nim życie, że zjeżdża się tam tylu samobójców, że policja musiała zamontować kamery na drzewach i że można się natknąć na zwłoki leżące tam od wielu lat. Miejscowi omijali las z daleka, ponieważ wierzyli, że pełno tam złych duchów zmarłych, dusz blakających się w zaświatach, czy czegoś takiego. Nie znam się za bardzo na japońskich wierzeniach; wiem tylko tyle, że są święcie przekonani, że dusze zwierząt są praktycznie wszędzie, nawet w ludziach i krzesłach, ale to wyglądało mi na wyjątkową bzdurę. Większość chłopaków zaczęła robić sobie z tego jaja, żartować i w ogóle; tylko Jake nie powiedział ani słowa.

Muszę przyznać, że nasi ludzie i ci z Sił Samoobrony całkiem nieźle poradzi sobie z zabezpieczeniem terenu, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, z czym mieli do czynienia, ale było ich po prostu za mało. Nie mieli szans, żeby jakoś zapanować nad tłumem, który kłębił się wokół namiotów służących za tymczasowe kostnice. Po krótkiej odprawie Jake, ja, paru chłopaków z naszego batalionu i kilku gości z Sił Samoobrony zostaliśmy skierowani na miejsce katastrofy. Reszta zajęła się pilnowaniem kostnic, pomocą przy transporcie sprzętu i ustawianiem toalet.

Dowódca powiedział nam, że ludzie z ekip ratunkowych oznaczyli już położenie większości ciał i teraz znoszą je do namiotów. Wiem, że najbardziej interesuje panią Jake, ale opowiem pani, jak to mniej więcej wyglądało. Kiedy chodziłem do szkoły, analizowaliśmy taką starą piosenkę *Dziwny owoc* – o linczach na głębokim Południu. Że niby ciała wiszące na drzewach wyglądały jak dziwne owoce. Tam zobaczyliśmy właśnie coś takiego. Na tych upiornych drzewach wisały ciała, zwłaszcza w pobliżu miejsca, gdzie spadła większa część kadłuba. Tyle że większość tych ciał była w kawałkach. Paru chłopaków się porzygało, ale ja i Jake jakoś wytrzymaaliśmy.

Chyba jeszcze gorszy był widok tych wszystkich cywilów, którzy blakali się po okolicy, wołając rodziców, dzieci albo innych członków rodziny. Większość miała ze sobą żywność albo kwiaty. Yoji, który pomagał zbierać ich w grupy i odprowadzać poza miejsce katastrofy, powiedział nam później, że jedno starsze małżeństwo było tak pewne, że ich syn przeżył, że przynieśli mu ubranie na zmianę.

Jake'a i mnie skierowano do pracy przy usuwaniu drzew pod lądowisko dla śmigłowców. Choć robota była ciężka, to przynajmniej nieco na uboczu, dzięki czemu mogliśmy choć na chwilę zapomnieć o tym, co zdążyliśmy już zobaczyć. Ludzie z Biura Bezpieczeństwa Ruchu Lotniczego dotarli dopiero następnego dnia, kiedy wszystko było już znacznie lepiej zorganizowane.

Dowódca ogłosił, że zostajemy do rana. Umieszczono nas w jednym z namiotów Sił Samoobrony. Nie byliśmy tym zachwyceni. Nikt nie miał ochoty spędzić nocy w tym przeklętym

lesie, i to nie tylko ze względu na to, co tam zastaliśmy. Rozmawialiśmy szeptem, bo nikomu nie przyszło do głowy, że można by inaczej. Raz czy dwa ktoś próbował rzucić jakiś żart, ale nikt się nie roześmiał. Mniej więcej o trzeciej nad ranem obudził mnie krzyk. Wyglądało na to, że dobiega spoza namiotu. Zerwaliśmy się na nogi i w kilku wybiegliśmy na zewnątrz. Cholera, w żyłach miałem czystą adrenalinę. Nic nie było widać, wszystko przesłaniała mgła.

Któryś z chłopaków – zdaje się, że Johnny, ten fajny czarny koleś z Atlanty – włączył latarkę i poświecił dookoła. Snop światła drżał, bo drżała mu ręka. Kilka metrów od nas zobaczyliśmy jakiś kształt. Ktoś klęczał, odwrócony do nas plecami. Chwilę potem odwrócił głowę i poznałem Jake'a. Zapytałem go, co tu się dzieje, do kurwy nędzy. Był oszołomiony.

– Widziałem ich – powiedział, potrząsając głową. – Widziałem ich. Ludzi bez stóp.

Zabrałem go do namiotu, gdzie prawie natychmiast zasnął. Rano nie chciał mówić o tym, co się wydarzyło. Nie wspominałem o tym Jakeyowi, ale powiedziałem Yojiemu, który wyjaśnił mi, że japońskie duchy nie mają stóp i że w Japonii godziną duchów – *ushi-mitsu*, nie ma mowy, żebym zapomniał to słowo – nie jest północ, ale właśnie trzecia nad ranem. Przyznam, że kiedy potem usłyszałem to, co mówiła Pamela May Donald, poczułem niezłego pietra. To było cholernie podobne do tego, co tamtej nocy powiedział Jake, ale wtedy pomyślałem sobie, że po prostu zasugerował się tym, co opowiadał nam Yoji.

Oczywiście, chłopaki nabijali się z Jake'a przez parę tygodni, nawet wtedy, kiedy już wróciliśmy do Obozu Courtney. Sama pani wie: „Widziałeś dziś jakichś truposzów, Jakey?”. Przyjmował to ze spokojem. Przypuszczam, że właśnie wtedy zaczął wymieniać e-maile z tym pastorem z Teksasu. Wcześniej nigdy nie był szczególnie religijny. Ani razu nie słyszałem, żeby mówił o Bogu albo o Jezusie. Pewnie trafił na stronę prowadzoną przez tego pastora, kiedy szukał w sieci informacji o lesie i o katastrofach.

Nie poleciał z nami, kiedy skierowano nas na Filipiny, żeby pomagać ludziom po powodzi. Zachorował, i to poważnie. Bóle żołądka, podejrzenie zapalenia wyrostka robaczkowego. Teraz oczywiście wszyscy uważają, że symulował. Wciąż nikt nie wie, w jaki sposób udało mu się wydostać z wyspy. Pewnie przekupił jakiegoś rybaka albo kapitana statku wielorybniczego, albo tajwańskich przemytników młodych węgorzy lub amfetaminy.

Oddałbym wszystko, żeby móc cofnąć czas, żeby nie pozwolić Jake'owi wejść do tego lasu. Wiem, że to nie moja wina, ale ciągle wydaje mi się, że jednak jestem jakoś odpowiedzialny za to, co zrobił temu japońskiemu dzieciakowi.

**Chiyoko Kamamoto** – osiemnastoletnia kuzynka **Hiro Yanagidy**, jedyne go ocalałego pasażera lotu 678 linii Sun Air – poznała **Ryu Takamiego** na forum dotyczącym popularnej sieciowej gry role-playing. Większość graczy to nasto- lub dwudziestokilkuletni *otaku* (slangowe określenie dziwaków albo osób uzależnionych), więc Chiyoko jako jedna z nielicznych kobiet zdobyła sporą popularność. Trudno wytłumaczyć, dlaczego Chiyoko wybrała na czacie właśnie **Ryu**, samotnika niezbyt dobrze radzącego sobie w grze, choć kwestia ta była już przedmiotem niekończących się spekulacji. Zanim porwał ich wir wydarzeń, rozmawiali codziennie, czasem godzinami. Zapis tych rozmów został odzyskany z komputera i smartfona Chiyoko już po jej zniknięciu i przeciekł do internetu. Dla wygody czytelników zmieniłam zapis z „języka czatowego” na normalny, zachowując tylko emotikony stosowane przez **Ryu**. Przekładu dokonał **Eric Kushan**. (Swoją matkę, z którą łączyły ją lodowate stosunki, Chiyoko nazywa Matkostworem albo MS. Określenie **Wujek Android** albo **WA** odnosi się do **Kenjiego Yanagidy** – wuja Chiyoko i zarazem jednego z najbardziej poważanych japońskich specjalistów od robotyki).

**Logowanie @ 15.30 14/01/2012**

**Chiyoko:** Ryu, jesteś?

**Ryu:** (☺) Gdzie byłaś?

**Chiyoko:** Nie pytaj. Matkostwór znowu mnie „potrzebował”. Słyszałeś o tej stewardesie? Umarła w szpitalu godzinę temu. To znaczy, że ocalał tylko Hiro.

**Ryu:** Cały czas mówią o tym na Kanale 2. To smutne. Jak się ma Hiro?

**Chiyoko:** Chyba dobrze. Przemieszczony obojczyk, zadrapania. To wszystko, o ile wiem.

**Ryu:** Miał szczęście.

**Chiyoko:** Matkostwór wciąż powtarza, że to cud. Zrobiła prowizoryczny ołtarzyk dla cioci **Hiromi**. Nie mam pojęcia, skąd wzięła jej zdjęcie. Nigdy jej nie lubiła, ale teraz nikt by się tego nie domyślił. „To okropne, była taka ładna, taka miła, była taką wspaniałą matką...”. Same kłamstwa. Wciąż powtarzała, że ciocia jest egoistką.

**Ryu:** Wiesz już, co robili w Tokio? Twoja ciotka i Hiro.

**Chiyoko:** Tak. MS twierdzi, że polecili w odwiedziny do jej koleżanki ze szkoły. Jest wkurzona, bo ją całkiem olali, ale oczywiście nie powie tego głośno, bo to by oznaczało brak szacunku.

**Ryu:** Zgłosili się do ciebie jacyś dziennikarze? W telewizji pokazywali, jak próbują wspinać się po murze szpitala, żeby zrobić zdjęcia tym, którzy ocaleli. Wariactwo! Podobno jeden nawet spadł z dachu, nagranie jest na **Nico Nico**. Co za kretyn!

**Chiyoko:** Jeszcze nie, ale wiedzą już, gdzie pracuje mój ojciec. Nie wziął wolnego dnia nawet teraz, kiedy zginęła jego siostra. Nie chce z nimi rozmawiać, ale ich tak naprawdę interesuje **Wujek Android**.

**Ryu:** Ciągle nie mogę uwierzyć, że jesteś krewną **Kenjiego Yanagidy**! I że nie powiedziałaś mi o tym, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz. Chwaliłbym się całemu światu!

**Chiyoko:** Jak by to wyglądało? Cześć, nazywam się **Chiyoko** i jestem spokrewniona z **Człowiekiem-Androidem**. Wyszłoby na to, że chcę ci zaimponować.

**Ryu:** Ty miałabyś mi zaimponować? Chyba powinno być odwrotnie!

**Chiyoko:** Tylko nie zacznij się znowu nad sobą użalać, dobrze?

**Ryu:** Spokojnie, już mnie tego oduczyłaś. A jaki on właściwie jest naprawdę? Potrzebuję szczegółów.

**Chiyoko:** Już ci mówiłam: prawie go nie znam. Ostatnio widziałam go dwa lata temu, kiedy przylecieli we trójkę z Nowego Jorku na sylwestra, zaraz po tym, jak wróciliśmy ze Stanów, ale nie zatrzymali się u nas i zamieniłam z nim może ze trzy słowa. Ciocia była

naprawdę ładna, ale jakaś taka nieobecna, za to Hiro bardzo mi się spodobał. Fajny dzieciak. MS spodziewa się, że Wujek Android zamieszka u nas na czas, kiedy Hiro będzie w szpitalu. Nie jest tym zachwycona. Słyszałam, jak mówiła do ojca, że Wujek jest zimny jak jego roboty.

**Ryu:** Naprawdę? W tym filmie dokumentalnym wygląda na całkiem zabawnego gościa.

**Chiyoko:** W którym? Jest ich chyba z tysiąc.

**Ryu:** Nie pamiętam. Chcesz, żebyśmy sprawdzili?

**Chiyoko:** Nieważne. Przed kamerą można być całkiem innym człowiekiem niż w rzeczywistości. Myślę, że to kwestia genów.

**Ryu:** To, jak wychodzi się przed kamerą?

**Chiyoko:** Nie! To, że jest taki zimny. Jak ja. Ja też nie jestem normalna. Jestem zimna. Mam w sercu sople lodu.

**Ryu:** Chiyoko, Lodowa Księżniczka.

**Chiyoko:** Chiyoko, *Yuki-Onna*.

**Chiyoko:** Ustaliliśmy więc, że cierpię na chorobę genetyczną polegającą na złodowaceniu serca, którą może wyleczyć tylko... Co?

**Ryu:** Sława? Pieniądze?

**Chiyoko:** Za to właśnie cię lubię, Ryu: zawsze znajdziesz właściwą odpowiedź. Bałam się, że powiesz „miłość”, a wtedy chybabym wymiotowała.

**Ryu:** o(—)o Co jest nie tak z miłością?

**Chiyoko:** To, że istnieje tylko w kiepskich amerykańskich filmach.

**Ryu:** Nie jesteś zupełnie zimna. Wiem, że nie jesteś.

**Chiyoko:** Skoro tak, to dlaczego się tym bardziej nie przejmuję? Zaraz ci udowodnię. Ilu ludzi zginęło w katastrofie Sun Air?

**Ryu:** 525. Nie, 526.

**Chiyoko:** 526. Zgadza się. W tym moja rodzona ciotka. A ja czuję wyłącznie ulgę.

**Ryu:** ??(·-·\*)

**Chiyoko:** Wyjaśnię ci to. Od katastrofy, od chwili, kiedy dowiedziała się o cioci Hiromi i Hiro, Matkostwór przestał ciosać mi kołki na głowie w sprawie szkoły. Czy widzisz w tym coś złego? W tym, że dzięki czyjejś tragedii mam wreszcie trochę spokoju w moim życiu osobistym?

**Ryu:** Masz życie osobiste, a to już coś. Spójrz na mnie.

**Chiyoko:** Ha! Wiedziałałam, że to długo nie potrwa! Nieważne, możesz być moim osobistym *hikikomori*. Lubię sobie wyobrazić, jak siedzisz zamknięty w tym swoim maleńkim pokoiku, z zasuniętymi zasłonami, odpalasz papierosa od papierosa i piszesz do mnie, kiedy znudzi ci się gra w Ragnarok.

**Ryu:** Nie jestem *hikikomori*. I nie gram w Ragnarok.

**Chiyoko:** Czy nie przyrzekliśmy sobie, że zawsze będziemy szczerzy wobec siebie? Po prostu powiedziałam ci, jaka jestem naprawdę.

**Ryu:** Nie podoba mi się to słowo.

**Chiyoko:** Więc teraz się obrazisz?

**Ryu:** -|70

**Chiyoko:** ORZ?????? Jak długo się z tym czałeś? To tego jeszcze w ogóle ktoś używa? Jesteś pewien, że masz 22 lata, a nie 38 albo coś w tym rodzaju? I kiedy wreszcie wyrośniesz z tych gównianych ASCII?

**Ryu:** <(— —)> Zmieńmy temat. Kiedy opowiesz mi o swoim życiu w Stanach?

**Chiyoko:** No nie, nie znowu! Dlaczego tak ci na tym zależy?

**Ryu:** Po prostu jestem ciekaw. Tęsknisz za tym?

**Chiyoko:** Nie. Nieważne, gdzie mieszkasz, świat i tak stoi na głowie. Poproszę o inny

temat.

**Ryu:** No dobrze. W sieci aż huczy od plotek o tym, dlaczego ten samolot rozbił się akurat w Jukai. Wielu uważa, że kapitan zrobił to celowo, bo chciał popełnić samobójstwo.

**Chiyoko:** Wiem. Od dawna się o tym mówi. A co ty myślisz?

**Ryu:** Sam nie wiem. Część z tego, o czym mówią, może być prawdą. Las ma swoją historię, jest położony daleko od trasy do Osaki, dlatego więc samolot rozbił się właśnie tutaj?

**Chiyoko:** Może pilot starał się uniknąć zamieszkanym terenów. Może starał się ocalić jak najwięcej ludzi. Żal mi jego żony.

**Ryu:** Żal ci jej? Przed chwilą powiedziałaś przecież, że jesteś Lodową Księżniczką!

**Chiyoko:** Ale mimo to mi jej żal. Tak czy inaczej, ta przypominająca robota rzeczniczka prasowa Sun Air oświadczyła, że kapitan był jednym z ich najlepszych i najbardziej doświadczonych pilotów i że nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. Nie miał też żadnych problemów finansowych, więc nie mogło chodzić o pieniądze z ubezpieczenia, a ostatnie badania wykazały, że był zupełnie zdrowy.

**Ryu:** Przecież mogą kłamać. A może coś go opętało? Może został do tego zmuszony?

**Chiyoko:** Jasne! Przez wygłodniałe duchy.

**Ryu:** Musisz jednak przyznać... Dlaczego aż tyle samolotów tego samego dnia? Musi być jakiś powód.

**Chiyoko:** Na przykład jaki? Tylko nie mów mi, że to znak ostrzegający przed końcem świata!

**Ryu:** Czemu nie? Przecież mamy 2012.

**Chiyoko:** Stanowczo zbyt często odwiedzasz strony poświęcone teoriom spiskowym. Poza tym teraz już wiemy, że to były ataki terrorystyczne.

**Ryu:** Czy mogę prosić o powrót prawdziwej Chiyoko? Przecież to ty zawsze powtarzasz, że rząd i media traktują nas jak pionki i bezustannie nas okłamują!

**Chiyoko:** Co nie znaczy, że muszę wierzyć w jakieś bzdurne teorie spiskowe. Życie jest inne. Nudne. Oczywiście, że politycy nas okłamują. Tylko dzięki temu wciąż jesteśmy im posłuszni i nie wyłamujemy się z szeregu.

**Ryu:** Naprawdę uważasz, że powiedzieliby nam prawdę, gdyby chodziło o atak terrorystyczny?

**Chiyoko:** Przed chwilą powiedziałam przecież, że nas okłamują, ale nie są w stanie ukryć wszystkich tajemnic. Może w Stanach, ale na pewno nie tutaj. Kłamstwo musiałyby wcześniej zostać zatwierdzone przez tylu urzędników... Ludzie są tacy ułomni. Czy nie mają lepszych rzeczy do roboty, niż rozprawiać całymi dniami o teoriach spiskowych? Rzucać oszczerstwa na człowieka, który zginął, ratując nie wiadomo ile ludzkich istnień?

**Ryu:** Chyba powinienem zacząć się naprawdę martwić. Czyżby Lodowa Księżniczka zaczęła tajać? Czyżby jednak jej na coś zależało?

**Chiyoko:** Nie zależy mi. To znaczy... No, może trochę. Ale wciąż mnie to wkurza. Te świry od teorii spiskowych są równie beznadziejne jak dziewczyny, które całymi dniami piszą na Mixi. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby tyle samo energii poświęcili na rozmowy o naprawdę ważnych sprawach?

**Ryu:** Na przykład o jakich?

**Chiyoko:** O zmianie systemu. O ukróceniu nepotyzmu. O tym, żeby ludzie przestali być niewolnikami, żeby przestali się zabijać, żeby przestali się wzajemnie dręczyć i tak dalej.

**Ryu:** Chiyoko, Lodowa Księżniczka Rewolucji.

**Chiyoko:** Mówię serio. Idź do szkoły, ucz się pilnie, nie przynoś wstydu rodzicom, studiuj na dobrej uczelni, pracuj po 18 godzin na dobę, nie zajmuj się głupotami, nie narzekaj, nie

bądź nonkonformistą... Za dużo tych „nie”.

**Ryu:** Wiesz, że się z tobą zgadzam, Chiyoko. Spójrz na mnie... Ale co możemy zrobić?

**Chiyoko:** Nic. Nic nie możemy zrobić. Możemy to zaakceptować albo nie. I umrzeć.

Biedny Hiro. Czekają go wspaniałe rzeczy.

**Ryu:** (--) .....o

## OD TŁUMACZA:

**ASCII:** określenie sztuki tekstowej, której przykłady daje Ryu w powyższym tekście, spopularyzowanej na forach takich jak 2-chan.

**ORZ:** popularny japoński emotikon oznaczający frustrację lub rozpacz. Litery mają wyobrazić postać uderzającą głową w ziemię (O to głowa, R – tułów, Z – nogi).

**Yuki-Onna:** śnieżna kobieta; w japońskich wierzeniach ludowych Yuki-Onna jest duchem kobiety, która zginęła w zamieci śnieżnej.

**Hikikomori:** ktoś tak bardzo odizolowany od świata, że prawie nie opuszcza swojego pokoju. Szacuje się, że w Japonii żyje niemal milion młodych ludzi, którzy w ten sposób świadomie zerwali więzy ze społeczeństwem.



**Kontrowersyjna brytyjska dziennikarka Pauline Rogers, znana ze swego bardzo osobistego stylu, jako pierwsza użyła słowa „Troje” dla określenia dzieci, które ocalały z katastrof w Czarny Czwartek. Poniższy artykuł ukazał się w „Daily Mail” 15 stycznia 2012.**

Od Czarnego Czwartku minęły trzy dni. Siedzę w moim całkiem nowym gabinecie i nie wierząc własnym oczom, gapię się w ekran monitora.

Wcale nie dlatego, jak moglibyście pomyśleć, że wciąż jestem wstrząśnięta nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności, który sprawił, że tego samego dnia rozbiły się cztery samoloty pasażerskie. Choć jestem tym wstrząśnięta. Kto by nie był? Przeglądam niewiarygodnie długą listę stron www, z których każda prezentuje odmienną – i jeszcze bardziej zdumiewającą niż pozostałe – teorię na temat tego, co było przyczyną tragedii. Wystarczy pięciominutowe „sam na sam” z Google, by dotrzeć do licznych witryn, których autorzy są przeświadczeni o tym, że Toshinori Seto – dzielny, pełen poświęcenia kapitan, który tak pokierował lotem numer 678 linii Sun Air, żeby katastrofa nastąpiła na niezamieszkanym terenie, dzięki czemu nie pociągnęła za sobą większej liczby ofiar – był opętany przez duchy, które zmusiły go do popełnienia samobójstwa. Inni utrzymują, że wszystkie cztery maszyny zostały zniszczone przez wrogo nastawionych Obcych. Śledczy prowadzący dochodzenia dowiedli w sposób niepozostawiający żadnej wątpliwości, że można wykluczyć działania terrorystyczne – zwłaszcza w przypadku katastrofy maszyny Dalu Air w Afryce, gdzie na podstawie zeznań kontrolerów ruchu lotniczego można uznać za pewnik, że przyczyną wypadku był błąd pilotów – lecz mimo to antyislamskie witryny mnożą się jak grzyby po deszczu, a fanatycy religijni (przecież to znak od Boga!) też nie zasypiają gruszek w popiele.

Wydarzenie tej rangi musi przykuć uwagę świata. Czemu jednak ludzie mają skłonność do zakładania tego, co najgorsze, i do wierzenia w najbardziej fantastyczne, kompletnie nieprawdopodobne teorie? Istotnie, statystycznie rzecz biorąc, szanse na coś takiego są kosmicznie małe, ale bez przesady! Czy aż tak bardzo się nudzimy? A może w głębi duszy wszyscy jesteśmy internetowymi trollami?

Nie ulega wątpliwości, że są najbardziej zatruwane prze plotki i teorie dotyczące dzieci ocalałych z katastrof – Bobby’ego Smalla, Hiro Yanagidy i Jessiki Craddock – w skrócie zwanych przeze mnie Trojgiem. Odpowiedzialne są za to głównie media, troszczące się o to, by powszechny głód informacji dotyczących tych nieszczęsnych maluchów był bezustannie zaspokajany. W Japonii wspinają się po murach, żeby sfotografować biednego chłopca, który – nie zapominajmy – stracił w wypadku matkę. Inni pognali na miejsce katastrofy, utrudniając akcję ratowniczą. W Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych Jessica Craddock i Bobby Small zajmują więcej miejsca na pierwszych stronach gazet niż rodzina królewska i jej najświeższe gafy.

Wiem wyjątkowo dobrze, jak dokuczliwe mogą być takie nieustające zainteresowanie i domysły. Kiedy po rozwodzie z drugim mężem zdecydowałam się ujawnić w tej gazecie intymne szczegóły naszego rozstania, znalazłam się w samym środku medialnej burzy. Przez dwa tygodnie wystarczyło, żebym przekroczyła próg swojego domu, a już pojawiał się co najmniej jeden paparazzo, usiłujący pstryknąć mi fotkę bez makijażu. Doskonale wiem, przez co przechodzi teraz Troje. Wie o tym także osiemnastoletnia Zainab Farra, która przed dziesięć laty jako jedyna wyszła z życiem z innej wstrząsającej katastrofy lotniczej, kiedy lot 715 linii Royale Air rozbił się podczas startu z lotniska w Addis Abebie. Tak jak Troje teraz, Zainab była wtedy dzieckiem. Tak jak Troje, zaraz potem znalazła się w centrum zainteresowania mediów. Zainab niedawno opublikowała autobiografię pt. *Wiatr pod skrzydłami* i publicznie zaapelowała o to, by zostawiono Troje w spokoju, tak żeby mogli spokojnie dojść do siebie po cudownym ocaleniu. „To nie są jakieś dziwolągi – powiedziała. – To są dzieci. Zrozumcie, potrzebują teraz

czasu i spokoju, by wrócić do zdrowia i oswoić się z tym, przez co przeszli”.

Można tylko przyklasnąć temu apelowi. Powinniśmy być wdzięczni losowi za to, że ich ocalił, zamiast tworzyć dziwaczne teorie konspiracyjne albo pisać o nich na pierwszych stronach gazet. Pozdrawiam was, Troje, i z całego serca mam nadzieję, że odnajdziecie spokój i poradzicie sobie ze wspomnieniami o tragicznych wydarzeniach, w których straciliście rodziców.

I oby świat przestał się wami interesować.

**Neville Olson, niezależny paparazzo z Los Angeles, został znaleziony martwy w swoim mieszkaniu 23 stycznia 2012 roku. Chociaż ze względu na niezwykle okoliczności śmierci fotografa informacja o tym trafiła na pierwsze strony gazet, to dopiero teraz jego sąsiad Stevie Flanagan, który znalazł zwłoki, zdecydował się na publiczną wypowiedź o tej sprawie.**

Trzeba być szczególnym człowiekiem, żeby robić to, czym zawodowo zajmował się Neville. Zapytałem go kiedyś, czy nie czuje się paskudnie, czając się w krzakach, żeby sfotografować majtki jakiejś gwiazdeczki, która akurat w tym miesiącu przeżywa okres największej popularności, ale powiedział mi, że robi tylko to, czego oczekuje od niego publiczność. Specjalizował się w grzebaniu w śmieciach – weźmy na przykład te zdjęcia Corinny Sanchez kupującej kokainę w Compton. Nie mam pojęcia, skąd wiedział, że ona akurat wtedy tam będzie. Nigdy tego nie wyjaśnił, przynajmniej nie przy mnie.

Można chyba bezpiecznie stwierdzić, że Neville był trochę dziwakiem. Samotnikiem. Ta praca pasowała do jego charakteru. Poznałem go, kiedy właśnie wprowadzał się do mieszkania pode mną. To było osiedle apartamentowców w El Segundo. Wielu mieszkańców pracowało na lotnisku, więc ruch trwał praktycznie przez całą dobę. Ja pracowałem wtedy w wypożyczalni samochodów i całkiem mi to pasowało. Na pewno nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi, ale gadaliśmy trochę za każdym razem, kiedy na siebie wpadliśmy. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś go odwiedzał, i nigdy, ale to nigdy, nie widziałem go ani z kobietą, ani z facetem. Sprawiał wrażenie kompletnie aseksualnego. Kilka miesięcy po tym, jak się sprowadził, zapytał mnie, czy miałbym ochotę wpaść i „poznać jego współlokatorów”. Pomyślałem, że pewnie wziął kogoś, żeby oszczędzić na czynszu, i powiedziałem, że jasne, bardzo chętnie. Byłem ciekaw, kto odważył się z nim zamieszkać.

Kiedy tam wszedłem, mało się nie porzygałem. Boże, jak tam cuchnęło! Trudno mi to opisać, ale to było coś jakby gnijące ryby i mięso. Było też ciemno i gorąco, bo zaciągnął zasłony i nie włączył klimatyzacji. Pomyślałem sobie: co jest, do kurwy nędzy? Zaraz potem zobaczyłem jakiś duży cień, który poruszył się w kącie pokoju. Wyglądało tak, jakby szedł prosto na mnie. W pierwszej chwili nie za bardzo wiedziałem, co to jest, a potem się zorientowałem, że to wielki pieprzony jaszczur. Wrzasnąłem, a Neville zaczął się śmiać jak szalony. Czekał na moją reakcję. Kazał mi się uspokoić, a potem powiedział: „Nie przejmuj się, to tylko George”. Marzyłem o tym, żeby stamtąd natychmiast spieprzyć, ale nie chciałem wyjść na tchórza, rozumie pani. Zapytałem Neville’a, po jaką cholere trzyma coś takiego w mieszkaniu, a on tylko wzruszył ramionami i powiedział, że ma takie trzy warany, czy jak im tam, z Afryki, i że zwykle nie trzyma ich w klatce ani w akwarium, tylko pozwala im łązić, gdzie im się podoba. Powiedział też, że są bardzo inteligentne. „Jak psy albo świnię” – tak powiedział. Zapytałem, czy są niebezpieczne, a on pokazał mi bliznę na przedramieniu. „Straciłem wtedy kawał skóry”. Widać było, że jest z tego dumny. „Ale zwykle są w porządku, jeśli dobrze je traktujesz”. Zapytałem, co jedzą, a on na to: „Młode szczury. Żywe. Kupuję je u hurtownika”. Niezła robota, co? Hurtownik młodych szczurów. Neville zaczął nawijać o tym, jak to niektórzy protestują przeciwko karmieniu zwierząt żywymi szczurami, a ja przez cały czas nie spuszczałem z oka tego stwora. Wolałem, żeby do mnie za bardzo nie podchodził. Ale to nie było wszystko: Neville miał jeszcze kolekcję węży i pajaków. Wszędzie stały akwaria. Opowiadał mi o tym, że tarantule to najlepsze zwierzęta domowe, jakie sobie można wyobrazić. Później się dowiedziałem, że to wszystko było nielegalne.

Parę dni po Czarnym Czwartku Neville zapukał do moich drzwi i powiedział, że wyjeżdża z miasta. Zwykle pracował w LA, ale od czasu do czasu ruszał się trochę dalej. Pierwszy raz poprosił, żebym w razie czego zaopiekował się jego „kumplami”. „Oczywiście je

pozamykam” – powiedział. Miałem do nich zajrzeć, gdyby nie było go dłużej niż trzy dni, ale nie powinienem mieć z nimi żadnych problemów. Poprosił, żebym przede wszystkim uzupełnił im wodę, i jeszcze raz dał słowo, że wszystkie, a zwłaszcza warany, będą solidnie pozamykane. Zwykle był bardzo tajemniczy, jeśli chodzi o swoje zlecenia, ale tym razem powiedział mi, dokąd się wybiera, bo istniało niebezpieczeństwo, że może wdepnąć w niezłe gówna. Poprosił kogoś o rewanż za dawną przysługę i załatwił sobie miejsce w czarterowym śmigłowcu lecącym do Miami – do szpitala, w którym leżał Bobby Small. Zamierzał spróbować zrobić mu zdjęcie. Musiał się spieszyć, bo dzieciaka już niedługo mieli przewieźć do Nowego Jorku.

Zapytałem, jak – u diabła – ma zamiar dostać się w pobliże chłopaka, bo z tego, co widziałem w telewizji, pilnowali go jak oka w głowie, ale on tylko się uśmiechnął i odparł, że takie sprawy to jego specjalność.

Wrócił na trzeci dzień, więc nie musiałem ani razu doglądać jego pupili. Wracając do domu po mojej zmianie, zobaczyłem, jak wysiada z taksówki. Wyglądał jak worek gówna. Kompletnie roztrzęsiony, jakby był chory albo coś w tym rodzaju. Zapytałem, czy wszystko w porządku i czy udało mu się pstryknąć fotę temu chłopczkowi. Nie odpowiedział. Wyglądał tak okropnie, że zaprosiłem go na drinka. Przyszedł od razu, nawet nie zajrzał do swojego mieszkania, żeby sprawdzić, jak się mają gady. Widać było, że ma cholerną ochotę pogadać, ale nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu. Nalałem mu szklaneczkę. Wypił jednym haustem, a potem dałem mu piwa, bo skończył mi się mocny alkohol. Piwo też wypił od razu, poprosił o drugie i też zaraz je wypił.

To mu pomogło. Powoli opowiedział o tym, co się wydarzyło. Myślałem, że przebrał się za sanitariusza albo kogoś takiego, żeby dostać się do szpitala, albo że wślizgnął się przez kostnicę, jak w filmach klasy B, ale było gorzej. Sprytnie to wymyślił, ale gorzej. Zameldował się w stojącym po sąsiedzku hotelu. Miał fałszywe dokumenty, przygotowaną bajeczkę i nawet mówił z udawanym akcentem. Udawał brytyjskiego biznesmena, który przyleciał do Miami na jakąś konferencję. Tę samą sztuczkę zastosował jakiś czas wcześniej, kiedy Klint Maestro, wokalista Space Cowboys, trafił do szpitala po przedawkowaniu narkotyków. Dzięki temu udało mu się zrobić zdjęcia wymizerowanego Klinta w szpitalnym szlafroku. To było całkiem proste. Zrobił sobie dodatkowy zastrzyk insuliny w hotelowym barze – nie miałem pojęcia, że jest cukrzykiem, bo i skąd miałbym to wiedzieć? Przewrócił się przy barze, barman wezwał pogotowie, pogotowie zabrało go do najbliższego szpitala, a tam stracił przytomność.

W oddziale ratunkowym dali mu kroplówkę. Po to, żeby zostawili go w szpitalu, udał atak padaczki. Mógł umrzeć, ale powiedział mi, że nie pierwszy raz robił coś takiego i na wszelki wypadek zawsze nosił w skarpetce kilka torebek cukru. Tak właśnie sobie wymyślił. Narzekał tylko, że cholernie trudno było mu się poruszać, bo naszprycowali go valium, czy czymś takim, a po tej dodatkowej insulynie wciąż ledwo trzymał się na nogach.

Zapytałem, czy udało mu się dostać do pokoju, w którym trzymali chłopaka. Okazało się, że nic z tego, bo cały oddział był pod ścisłym nadzorem. Kiedy jednak później znaleźli aparat Neville’a, okazało się, że mimo wszystko jakoś się tam dostał. Na pewno widziała pani tę fotkę, na której Bobby siedzi wyprostowany na łóżku i uśmiecha się do obiektywu, jakby pozował do rodzinnego portretu. Ktoś z biura koronera udostępnił ją prasie. Ciarki mnie przechodzą, kiedy na nią patrzę.

Po trzecim piwie powiedział: „To nie ma sensu, Steve. To wszystko nie ma sensu”.

A ja na to: „Znaczy się co?”.

Udał, że nie słyszy, a krótko potem wyszedł. Nie miałem bladego pojęcia, o co mu chodzi.

Zaraz po tym wszystkim miałem cholernie dużo roboty. Ten wirus, po którym się rzygało,

mnożył się, aż miło, i czasem wydawało mi się, że w pracy tylko ja nie zachorowałem. Zasuwałem po dwie zmiany z rzędu, po czym waliłem się spać jak nieżywy. Minął chyba tydzień, zanim zorientowałem się, że przez cały ten czas ani razu nie widziałem Neville'a. Jakoś właśnie wtedy pan Patinkin, jego sąsiad, poprosił mnie o numer do administratora. Powiedział, że chyba są jakieś problemy z kanalizacją, bo z mieszkania Neville'a cholernie śmierdzi.

Od razu się domyśliłem, co się stało. Zszedłem piętro niżej i zapukałem. Przez drzwi słyszałem włączony telewizor, ale nic więcej. Wciąż miałem klucze, które Neville zostawił mi przed wyjazdem, ale słowo daję, żałuję, że od razu nie wezwałem policji. Pan Patinkin wszedł ze mną. Później potrzebował pomocy psychologicznej, a mnie do dzisiaj dręczą koszmary. W środku było dość ciemno, ale od razu go zobaczyłem: siedział przy ścianie z nogami wyciągniętymi przed siebie. Wyglądał jakoś dziwnie – to dlatego, że sporo go brakowało.

Podobno umarł z powodu przedawkowania insuliny, ale sekcja zwłok wykazała, że mógł jeszcze żyć, kiedy one zaczęły... Wie pani co.

To była głośna historia. „Człowiek pożarty żywcem przez jaszczury i pająki”. Niektórzy pisali, że tarantule oplotły go całego pajęczynami i urządziły sobie gniazda w jego klatce piersiowej, ale to bzdury. Z tego, co wiem, wszystkie pająki siedziały grzecznie w swoich akwariach, czy jak to tam się nazywa. Zeżarły go warany.

Zabawne, że trafił na pierwsze strony gazet. Jak to się mówi? Ironia losu. W mieszkaniu pojawili się nawet tacy jak on, żeby pstryknąć fotkę. Jego historia nawet przyćmiła na jeden dzień tę trójkę ocalałych dzieci. Wróciła wtedy, kiedy ten kaznodzieja zaczął nawijać o jeszcze jednym znaku zwiastującym apokalipsę czy coś w tym rodzaju: że niby zwierzęta zwróciły się przeciwko ludziom.

Ja radzę sobie z tym w ten sposób: myślę, że Neville chciałby tak właśnie skończyć. Kochał te swoje pieprzone jaszczury.

**CZEŚĆ DRUGA**  
**SPISEK:**

—

**STYCZEŃ–LUTY**

**Reba Louise Neilson, niegdyś wyznawczyni Kościoła Odkupiciela – założonego przez pastora Lena Vorheesa – mówi o sobie jako o „najbliższej przyjaciółce Pameli May Donald”. Do dziś mieszka w Sannah County w południowym Teksasie, gdzie kieruje Ośrodkiem Kształcenia Chrześcijańskich Kobiet. Stanowczo twierdzi, że nigdy nie miała nic wspólnego z sektą utworzoną przez pastora Vorheesa. Zgodziła się na rozmowę ze mną, „żeby powiedzieć wszystkim, że tutaj mieszkają porządni ludzie, którzy nie chcieli, żeby tym dzieciom stało się cokolwiek złego”. W czerwcu i lipcu 2012 roku przeprowadziłam z nią kilka rozmów telefonicznych i na ich podstawie sporządziłam między innymi poniższą relację.**

Usłyszałam o tym od Stephenie. Płakała przez telefon, nie mogła wykrztusić ani słowa.

– Chodzi o Pam, Reba – wyszlochała wreszcie, kiedy udało mi się ją trochę uspokoić. – Leciała tym samolotem, który się rozbił.

Powiedziałam jej, żeby się nie wygłupiała, że Pam nie mogła być na Florydzie, bo poleciała odwiedzić córkę w Japonii.

– Nie w tym samolocie, Reba. W japońskim. Właśnie powiedzieli o tym w wiadomościach.

Serce obsunęło mi się do żołądka. Naturalnie słyszałam o katastrofie w Japonii, podobnie jak o tej w Afryce, w tym miejscu o nazwie niemożliwej do wymówienia, i o samolocie z angielskimi turystami, który spadł do oceanu w Europie, ale nawet przez chwilę nie przypuszczałam, że Pam nim leciała. To wszystko było po prostu okropne. Przez chwilę wydawało się, że wszystkie samoloty na świecie zaczęły nagle spadać z nieba. Prowadzący program kończył informować o katastrofie, po czym z wyrazem niedowierzania na twarzy mówił: „Właśnie dotarła do nas informacja o wypadku kolejnego samolotu...”. Mój mąż Lorne powiedział, że to była jak ciągnąca się w nieskończoność puenta wyjątkowo kiepskiego dowcipu.

Zapytałam Stephenie, czy zawiadomiła już pastora Lena, a ona powiedziała, że dzwoniła na ranczo, ale Kendra jak zwykle nie potrafiła określić, kiedy pastor wróci, a on nie odbiera komórki. Odłożyłam słuchawkę, zbiegłam na dół i włączyłam telewizor. Za plecami Melindy Stewart (to moja ulubiona prowadząca w Fox, wygląda na kogoś, z kim z przyjemnością można by się napić kawy) widać było dwa wielkie zdjęcia: Pam i tego małego żydowskiego chłopca, który ocalał z katastrofy na Florydzie. Wolałam nie myśleć, co Pam powiedziałyby o tym zdjęciu; przypuszczalnie pochodziło z paszportu i wyglądało tak, jak wyglądają fotografie na pamiątkowych kubkach. Przykro mi o tym mówić, ale włosy miała w okropnym stanie. U dołu ekranu przesuwiał się tekst: 526 OFIAR KATASTROFY JAPOŃSKIEJ MASZINY LINII SUN AIR. PAMELA MAY DONALD Z TEKSASU JEDYNYM AMERYKAŃSKIM PASAŻEREM NA POKŁADZIE.

Powiadam ci, Elspeth: siedziałam jak sparaliżowana, gapiałam się na fotografię, po raz kolejny czytałam przesuwający się tekst i dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że Pam naprawdę nie żyje. Połączyli się telefonicznie z tym sympatycznym śledczym, Ace'em Jakimstam – tym występującym w programie o katastrofach, który tak lubi Lorne. Oświadczył, że co prawda jeszcze za wcześnie na wyciąganie stanowczych wniosków, ale na razie wszystko wskazuje na to, że nie można mówić o zamachu terrorystycznym ani niczym w tym rodzaju. Melinda zapytała go, czy to możliwe, żeby katastrofy zostały spowodowane czynnikami środowiskowymi lub „wołą Boga”. Wcale a wcale mi się to nie podobało. Jak można sugerować, że nasz dobry Pan nie ma nic lepszego do roboty, jak strącać samoloty z nieba? Jeśli już, to prędzej wyglądało to na robotę Antychrysta. Wciąż nie byłam w stanie się poruszyć, a potem pokazali ujęcia ze śmigłowca przedstawiające znajomy dom. Uświadomiłam sobie, że to dom Pam, tyle że z powietrza wydaje się znacznie mniejszy, i pomyślałam o Jimie, jej mężu.

Nigdy nie miałam z nim wiele do czynienia. Pam mówiła o nim zawsze z podziwem i nieśmiałością, jakby był jakimś olbrzymem, choć w rzeczywistości jest niewiele większy ode mnie. Niechętnie o tym wspominam, ale zawsze podejrzewałam go, że nieraz puszcza w ruch pięści. Nigdy nie zauważyliśmy, żeby Pam była posiniaczona albo podrapana, ale ten jej nabożny podziw był jakiś dziwny. Gdyby mój Lorne choć raz podniósł na mnie głos... To znaczy, ja też jestem zdania, że to mężczyzna jest głową domu, ale chodzi o coś takiego jak wzajemny szacunek. Mimo to nikt nie zasługuje na to wszystko, przez co musiał przejść ten człowiek, a my przynajmniej staraliśmy się mu jakoś pomóc.

Lorne wrócił z piwnicy, gdzie przeglądał zapasy konserw i suszonej żywności. „Ostrożności nigdy za wiele” – powtarza i ma świętą rację, jeśli popatrzy się na te wszystkie wybuchy na Słońcu, globalizację i supertornada. Byliśmy przygotowani na to wszystko. Kto wie, kiedy Jezus postanowi wezwać nas do siebie? Jak tylko Lorne wrócił, zrelacjonowałam mu wszystko i powiedziałam, że Pam leciała tym samolotem, który rozbił się w Japonii. Pracował z Jimem w tej samej firmie, kazałam mu więc pojechać i sprawdzić, czy Jimowi czegoś potrzeba. Posłuchał bez entuzjazmu – pracowali w różnych działach i nigdy nie trzymali się razem – ale jednak posłuchał. Ja postanowiłam zostać w domu i zawiadomić wszystkich o tym, co się stało.

Najpierw zadzwoniłam na komórkę pastora Lena. Od razu włączyła się poczta głosowa, więc zostawiłam wiadomość. Szybko oddzwonił. Po drżącym głosie domyśliłam się, że przed chwilą się dowiedział. Pam i ja od dawna należałyśmy do jego „wewnętrznego kręgu” – tak o tym mówił. Zanim pastor Len i Kendra osiedlili się w Sannah County, a było to już piętnaście lat temu, chodziłam do kościoła Nowego Objawienia w Denham. Oznaczało to półgodzinną podróż samochodem w jedną stronę w każdą niedzielę i środę, na nauki biblijne, bo przecież nie było mowy o tym, żebym modliła się w towarzystwie tych z Kościoła episkopalnego, oczywiście ze względu na ich liberalne poglądy na kwestię homoseksualizmu.

Wyobrażasz sobie, jak bardzo się ucieszyłam, kiedy pojawił się pastor Len i objął stary zbór luterański, który stał pusty od nie wiadomo jak dawna. Wtedy jeszcze nie słyszałam jego audycji radiowych. Najpierw zwróciłam uwagę na billboardy. Wiedział, jak zainteresować ludzi dziełem naszego Pana! Co tydzień wywieszał baner z innym hasłem. „Lubisz hazard? Łatwo możesz przegrać duszę!”, „Bóg nie wierzy w ateistów, więc ateści nie istnieją”. Te dwa spodobały mi się najbardziej. Na jedynym, który mi się nie podobał, umieszczono Biblię z antenką – taką, jakie kiedyś miały komórki – i podpisem: „Aplikacja zbawiająca duszę”. Wydawał mi się trochę przekombinowany. Początkowo trójdka pastora Lena nie była zbyt liczna, dzięki czemu miałam okazję dobrze poznać Pam, choć oczywiście spotykałam ją także na zebraniach komitetu rodzicielskiego. Jej Joanie jest starsza od moich bliźniaków. Nie zawsze się we wszystkim zgadzałyśmy, ale nikt nie mógłby powiedzieć, że nie jest dobrą chrześcijanką.

Pastor Len powiedział, że następnego dnia wieczorem zorganizuje zebranie modlitewne w intencji duszy Pam, a ponieważ Kendrę dopadł kolejny ból głowy, poprosił mnie, żebym zawiadomiła wszystkich z kółka biblijnego. Chwilę potem do domu wpadł zasapany Lorne z nowiną, że dom Jima jest otoczony przez wozy transmisyjne i reporterów, ale nikt nie otwiera. Naturalnie przekazałam tę wiadomość pastorowi, a on stwierdził, że naszym obowiązkiem jest wspomoczenie Jima w potrzebie, mimo że nie należy on do naszego Kościoła. Pam nigdy nic nie mówiła na ten temat. Mój Lorne towarzyszył mi w każdą niedzielę, choć nie zapisał się ani do kółka biblijnego, ani do kółka modlitw uzdrawiających, więc Pam musiała się czuć okropnie, wiedząc, że jej mąż pozostanie na ziemi, by doświadczyć gniewu Antychrysta, a potem przez całą wieczność będzie się smażył w piekle.

Potem zaczęłam się zastanawiać, czy Joanie, córka Pam, przyjedzie do domu. Nie pojawiała się tam już od dwóch lat. Zdaje się, że kiedy jeszcze chodziła do college’u, doszło do



jakiegoś nieporozumienia między nią a Jimem. Nie spodobał mu się jej chłopak, Meksykanin. A może pół-Meksykanin. Rodzina się rozpadła, a Pam ciężko to przeżyła. Słuchała z zazdrością, kiedy opowiadałam o moich wnukach. Obie dziewczynki wyszły za mąż zaraz po skończeniu szkoły i zamieszkały o kilka minut drogi ode mnie. Właśnie dlatego Pam poleciała do Japonii. Okropnie tęskniła za Joanie.

Robiło się już późno, więc pastor Len powiedział, że odwiedzimy Jima nazajutrz z samego rana. Jak pięknie wyglądał, kiedy przyjechał po mnie o ósmej rano! Nigdy tego nie zapomnę, Elspeth. Garnitur i czerwony jedwabny krawat. Chociaż zawsze dbał o wygląd, zanim dopuścił do siebie diabła. Wiem, że to nieładnie zabrzmie, ale chciałabym móc powiedzieć to samo o Kendrze. Trudno było się domyślić, że ona i pastor Len mają ze sobą cokolwiek wspólnego. Była chuda jak wieszak, wyglądała blado i niechlujnie.

Zdziwiłam się, że tamtego dnia Kendra pojechała z nami, bo zazwyczaj czepiała się byle wymówki. Nie to, żeby była zarozumiała... Po prostu trzymała się na dystans, z tym swoim niewyraźnym uśmiechem na ustach. Poza tym miała problemy z nerwami. Czy to prawda, że skończyła w jednym z tych miejsc? No wiesz, w szpitalu? Wiem, teraz ich już tak nie nazywają. W zakładzie, właśnie tego słowa mi zabrakło. Nic na to nie poradzę, ale uważam, że to szczęście, że nie mieli dzieci. Zaoszczędzili im bolesnego widoku matki ulegającej słabościom swojego umysłu. Przypuszczam, że kroplą, która przepelniła czarę goryczy, były plotki o tej eleganckiej utrzymance pastora, ale stwierdzam z całą mocą, Elspeth, że bez względu na to, co zrobił później, nie wierzę w ani jedno słowo z tych plotek!

Po krótkiej modlitwie ruszyliśmy prosto do domu Pam i Jima. Stoi przy ulicy Siedmiu Dusz, która wtedy była cała zastawiona wozami telewizyjnymi, a przed ogrodzeniem i furtką tłoczyli się reporterzy i kamerzyści, paląc papierosy i gadając jeden przez drugiego. „Jak dostaniemy się do środka?” – zapytałam szeptem pastora.

Pastor odpowiedział, że działamy w imię Boże i że nikt nie powstrzyma nas przed spełnieniem naszego chrześcijańskiego obowiązku. Jak tylko zatrzymaliśmy się przed furtką, obstąpił nas tłum reporterów wykrzykujących pytania: „Czy jesteście przyjaciółmi Pam?”, „Jak się czujecie po tym, co się stało?”. Robili nam zdjęcia, filmowali nas, a ja zrozumiałam, na co są narażeni ci wszyscy celebryci.

– A jak możemy się czuć, pani zdaniem? – zapytałam młodą kobietę ze zbyt silnym makijażem, która rozpychała się najmocniej ze wszystkich. Pastor Len posłał mi spojrzenie, które miało chyba oznaczać: „Pozwól, że ja będę mówił”, ale trzeba było ich jakoś przywołać do porządku. Pastor Len wyjaśnił, że zamierzamy pomóc mężowi Pam w chwili potrzeby i że wyjdzie do nich z komunikatem, jak tylko upewnimy się, że Jim jakoś sobie radzi. To chyba ich uspokoiło, bo wycofali się do swoich wozów transmisyjnych.

Kotary były zaciągnięte. Łomotaliśmy w drzwi frontowe, ale bez rezultatu. Pastor Len spróbował od podwórka – też nic. Wtedy przypomniałam sobie, że Pam trzymała zapasowy klucz pod doniczką przy tylnym wejściu – na wypadek gdyby zdarzyło jej się wyjść i zatrasnąć za sobą drzwi. Skorzystaliśmy z klucza i weszliśmy do środka.

Ach, ten smród! Dosłownie uderzył mnie w twarz. Był tak okropny, że Kendra zrobiła się biała jak ściana. Zaraz potem Snookie przybiegła do nas ze skamleniem z kuchni. Pam dostałaby zawału serca, gdyby zobaczyła swój dom w takim stanie. Nie było jej raptem dwa dni, ale wyglądało tam tak, jakby wybuchła bomba: potłuczone szkło na blacie, niedopałek papierosa w jednej z przepięknych miseczek z chińskiej porcelany, które Pam dostała od matki... Jim chyba ani razu nie wypuścił Snookie na zewnątrz, bo na eleganckiej wykładzinie wszędzie walały się psie miny, jak nazywa je mój Lorne. Muszę być szczera, Elspeth, bo uważam, że zawsze należy mówić prawdę: nikt z nas nie lubił tej suczki. Pam mogła kąpać ją sto razy dziennie, a ona i tak

potwornie cuchnęła. Do tego te ślepie, zawsze pokryte jakby błoną... Ale Pam ją uwielbiała, a kiedy patrzyłam, jak psina obwąchuje nasze buty i przygląda się nam uważnie w nadziei, że ktoś z nas okaże się jej panią, to dosłownie krajało mi się serce.

– Jesteś tu, Jim? – zawołał pastor.

Słyszeliśmy włączony telewizor, więc kiedy upewniliśmy się, że nikogo nie ma w kuchni, zeszliśmy do piwnicy.

Mało nie wrzasnęłam, kiedy go zobaczyliśmy. Siedział, a właściwie leżał w swoim głębokim fotelu, ze strzelbą w objęciach. Zasłony były zaciągnięte, w pokoju panował półmrok, więc w pierwszej chwili pomyślałam, że... Dopiero potem zauważyłam, że ma otwarte usta i usłyszałam chrapanie. Niemal całą podłogę pokrywały puste butelki i puszki, w powietrzu unosił się smród alkoholu. W Sannah County oficjalnie nie handluje się alkoholem, ale można go kupić, jeśli się wie, gdzie szukać. Jim wiedział. Niechętnie o tym mówię, Elspeth, ale zastanawiam się, co by zrobił, gdyby nie spał, czy strzeliby do nas. Pastor Len odsunął zasłony i uchylił okno. Zrobiło się widniej, a ja zobaczyłam mokrą plamę z przodu spodni Jima.

Zgodnie z moimi przewidywaniami pastor objął przywództwo. Wyjął strzelbę z objęć Jima, po czym lekko potrząsnął go za ramię. Jim wyprostował się raptownie i wybałuszył na nas oczy czerwone jak świńska krew.

– Jim, właśnie dowiedzieliśmy się o Pam. Przyjechaliśmy, żeby być z tobą. Zrobimy wszystko, czego potrzebujesz, powiedz nam tylko co.

– W takim razie s...cie! – parsknął Jim.

Mało nie umarłam. Z ust Kendry wydobył się odgłos, który mógł być śmiechem, a zapewne stanowił tylko przejaw głębokiego szoku. Pastor Len w ogóle się nie przejął.

– Wiem, jak bardzo jesteś zrozpaczony, Jim, ale my chcemy ci pomóc. Chcemy pomóc ci przez to przejść.

Wtedy Jim zaczął szlochać. Dygotał jak galareta. Cokolwiek mówią teraz o pastarze Lenie, Elspeth, powinnaś była widzieć, jak się wtedy zachował. Objął Jima, pomógł mu wstać, zaprowadził do łazienki i pomógł mu doprowadzić się do jakiegoś takiego porządku. Kendra i ja przez jakiś czas stałyśmy bez ruchu, a potem trąciłam ją łokciem i zabrałyśmy się do pracy. Wyszorowałyśmy podłogę, sprzątnęłyśmy psie kupy, wyczyściłyśmy fotel. Przez cały czas Snookie łaziła za nami, gapiąc się na nas tymi swoimi oczami. Potem pastor zaprowadził Jima do salonu i choć nieszczęśnik pachniał znacznie lepiej, to lzy ani trochę nie obeschły na jego twarzy. Wciąż szlochał.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Jim, chętnie pomodlimy się z tobą za jej duszę – powiedział pastor.

Przez sekundę myślałam, że Jim znowu go sklnie, i pastor też chyba spodziewał się czegoś takiego, ale ten człowiek był kompletnie załamany, Elspeth. Rozdarty na pół. Później pastor wyjaśnił nam, że właśnie w taki sposób Jezus pokazuje nam, że powinniśmy wpuścić Go do serca, ale musimy być na to gotowi. Widywałam to setki razy, jak choćby wtedy, kiedy modliliśmy się za kuzyna Stephenie, Lonnie, cierpiącego na chorobę nerwów motorycznych. Nic to nie dało, bo nie wpuścił Pana do swojego serca. W takiej sytuacji nawet Jezus jest bezradny.

Uklękliśmy przy kanapie i modliliśmy się, otoczeni pustymi puszkami po piwie.

– Jim, wpuść Pana do swojego serca – powiedział potem pastor Len. – On jest tu dla ciebie. Chce cię zbawić. Czujesz Go?

To było naprawdę piękne! Oto człowiek zdruzgotany rozpaczą, który jest w stanie już tylko płakać, i Jezus, gotów wziąć go w ramiona i sprawić, aby znowu stał się sobą!

Przesiedzieliśmy z Jimem co najmniej godzinę.

– Należysz do naszej trzódki, Jim – powtarzał pastor. – Jesteśmy tu dla ciebie, tak samo

jak Jezus.

To było takie pogrzbujące, że nie wstydę się przyznać, że rozplakałam się jak nowo narodzone dziecko. Pastor Len pomógł Jimowi wrócić na fotel. Widząc wyraz jego twarzy, domyśliłam się, że nadeszła pora zająć się praktycznymi rzeczami.

– Musimy pomyśleć o pogrzebie, Jim.

Jim wymamrotał pod nosem, że zajmie się tym Joanie.

– Nie polecisz tam, żeby zabrać Pam do domu? – zapytał pastor Len.

Jim pokręcił głową, a w jego oczach pojawił się jakiś dziwny wyraz.

– Zostawiła mnie. Mówiłam jej, żeby nie leciała, ale nie chciała mnie słuchać.

Rozległo się walenie do drzwi. Wszyscy aż podskoczyliśmy. Przekłęci reporterzy podeszli pod sam dom!

– Jim! Jim! – wołali. – Co myślisz o wiadomości?

Pastor Len spojrzął na mnie.

– O jakiej wiadomości oni mówią, Rebo?

Naturalnie nie miałam pojęcia. Pastor poprawił krawat.

– Wyjdę i rozprawię się z tymi sępami, Jim – oświadczył. Jim podniósł na niego wzrok, w którym była wyłącznie wdzięczność. – Reba i Kendra przygotowują ci coś do jedzenia.

Ucieszyłam się, że mam coś do roboty, Elspeth. Pam, niech Bóg ją błogosławi, zostawiła Jimowi w zamrażarce mnóstwo gotowych dań, wystarczyło więc wyjąć je i wsadzić do mikrofalówki. Kendra niewiele mi pomagała – wzięła psa na ręce i coś do niego szeptała – musiałam więc sama zająć się dalszym sprzątaniem i namawianiem Jima, żeby zjadł to, co przyniosłam mu na talerzu.

Pastor Len wrócił do domu ze zdumionym wyrazem twarzy. Zanim zdążyłam zapytać, o co chodzi, wziął do ręki pilot i włączył telewizor na Fox News. Melinda Stewart mówiła właśnie o tym, że grupa japońskich dziennikarzy przedostała się do lasu, w którym rozbił się samolot Pam, i zabrała kilka telefonów komórkowych należących do pasażerów. Niektórzy z nich – niech Bóg ulituje się nad ich duszami – nagrali wiadomości dla najbliższych, kiedy zorientowali się, co się dzieje. Teraz, za sprawą tych reporterów, te wiadomości zostały rozpowszechnione – niekiedy wcześniej, zanim wszyscy bliscy ofiar katastrofy nabrali całkowitej pewności, że ich krewni nie żyją. Jedną z tych wiadomości pochodziła od Pam, choć nie miałam pojęcia, że ona w ogóle miała komórkę. Teraz tekst przesunął się na pasku u dołu ekranu.

– Chciała mi coś powiedzieć, Rebo! – wykrzyknął pastor. – Patrz, tam jest moje imię!

Zupełnie zapomnieliśmy o Jimie, który wrzasnął „Pam!”, a potem co chwila powtarzał jej imię.

Kendra nie pomogła mi go uspokoić. Stała w drzwiach z psem w ramionach i przemawiała do niego pieszczotliwie, jakby był dzieckiem.

**Oto wiadomości (*isho*) nagrane przez pasażerów lotu 678 Sun Air w ostatnich chwilach ich życia.**

**(Tłumaczenie Erica Kushana, który zaznacza, że pewne niuanse lingwistyczne mogły nie zostać zachowane).**

Hirono, niedobrze się dzieje. Załoga jest spokojna, nikt nie panikuje. Wiem, że umrę, i chcę ci powiedzieć, że... Och, wszystko leci, wszystko się rozpada, a ja muszę...

Błagam cię, nie zagłądaj do mojej szafki w pracy. Wszystko, tylko nie to. Mam nadzieję, że...

*Koushan Oda, obywatel Japonii, 37 lat*

Wszędzie jest dym, który nie wygląda jak dym. Stara kobieta obok mnie płacze i modli się po cichu. Chciałbym siedzieć obok ciebie. W samolocie są dzieci. Zaopiekuj się moimi rodzicami. Pieniądzy powinno wystarczyć. Zadzwoń do Motobuchi-sana, on będzie wiedział, co zrobić z ubezpieczeniem. Kapitan robi wszystko, co w jego mocy, ufam mu całkowicie. Poznaję po głosie, że jest dobrym człowiekiem. Żegnaj, żegnaj, żegnaj, żegnaj...

*Sho Mimura, obywatel Japonii, 49 lat*

Muszę pomyśleć, muszę się zastanowić, jak to było... No dobrze: jasne światło w kabinie i wybuch. Więcej niż jeden. Czy wybuch nastąpił przed światłem? Nie wiem. Kobieta przy oknie, duża *gaijin* (cudzoziemka), zawodzi tak, że bołą mnie uszy, a ja muszę się skupić, na wypadek gdyby... Nagrywam to, żebyście wiedzieli, co się stało. Nie ma paniki, choć wydaje mi się, że powinna być. Od dawna chciałem umrzeć, a teraz, kiedy to się zbliża, zrozumiałem, że niesłusznie tego chciałem, że mój czas kończy się za szybko. Boję się i nie wiem, kto tego wysłucha. Jeśli wam się uda, przekażcie tę wiadomość mojemu ojcu, żeby wiedział, że...

*Keita Eto, obywatel Japonii, 42 lata*

Shinji? Odezwij się, proszę! Shinji!  
Rozbłysło światło, bardzo jasne, a potem...  
Samolot spada. Spada coraz szybciej, rozbija się, a kapitan powtarza, że musimy zachować spokój. Nie mam pojęcia, dlaczego to się dzieje.  
Proszę tylko... Zaopiekuj się dziećmi, Shinji. Powiedz im, że je kocham i...

*Noriko Kanai, obywatelka Japonii, 28 lat*

Wiem, że Jezus Chrystus przyjmie mnie w swoje ramiona i że to jest Jego boski plan wobec mnie, ale tak bardzo chciałbym zobaczyć cię raz jeszcze. Kocham cię, Su-jin, ale nigdy ci o tym nie powiedziałem. Mam nadzieję, że tego wysłuchasz, że to nagranie jakoś do ciebie dotrze. Chciałem, żebyśmy kiedyś byli razem, ale teraz jesteś tak daleko. To się dzieje tak szybko...

*Seojin Lee, obywatel Korei, 37 lat*

Są tutaj. Ja... Nie pozwólcie Snookie jeść czekoladek, dla psów to zabójstwo, choć pewnie będzie bardzo prosić. Chłopiec. Chłopiec obserwujcie chłopca obserwujcie martwych. Idą po mnie. Wszyscy niedługo odejdziemy. Wszyscy. Żegnaj Joanie piękna torebka żegnaj. Pastorze Len niech pan ich ostrzeże że chłopiec że nie wolno go...

*Pamela May Donald, obywatelka USA, 51 lat*

**Lola Cando (nazwisko zmienione) mówi o sobie jako o osobie pracującej kiedyś w branży seksualnej i rozrywkowej w internecie. Jej relacja powstała na podstawie naszych licznych rozmów przez Skype'a.**

Lenny od trzech lat odwiedzał mnie raz, może dwa razy w miesiącu. Przyjeżdżał aż z Sannah County, a to co najmniej godzina jazdy stąd, ale nie miał nic przeciwko temu. Mówił, że lubi prowadzić, bo wtedy ma czas na myślenie o różnych rzeczach. Był stuprocentowo hetero. Później różni tacy chcieli, żebym mówiła, że był jakimś cholernym zбочkiem, ale to nieprawda. Nie brał niczego, nie szukał urozmaicenia. Zawsze „na misjonarza”, szklaneczka bourbona i mała pogaduszka, tylko o to mu chodziło.

Trafiłam do biznesu dzięki mojej przyjaciółce Denishy. Jest specjalistką, obsługuje klientów, którzy mają problemy ze współżyciem. Przecież to, że nie możesz się ruszyć z domu albo że jesteś przykuty do wózka inwalidzkiego, nie oznacza, że nie masz popędu płciowego, prawda? Ja nie mam wielu takich specjalistycznych wizyt. Większość moich klientów to zwyczajni ludzie, samotni faceci albo tacy, których żony odpuściły sobie seks. Najpierw zawsze ich sprawdzam i jeśli coś jest nie tak albo jeśli wiem, że mają różne dziwne wymagania, to przepraszam i mówię, że wszystkie terminy mam zajęte.

Nie ćpam. Nie zaczęłam tego robić po to, żeby zarobić na prochy. W mediach rzadko słyszy się o dziewczynach takich jak ja i Denisha, które po prostu z tego żyją, bez żadnych afer. Denisha zawsze powtarza, że to i tak lepsze, niż ustawiać towary na półkach w hipermarkecie.

Miałam mieszkanie, z którego korzystałam... no, wie pani... w celach biznesowych, ale Lenny nie lubił tam przychodzić. Był zawsze bardzo ostrożny, wręcz paranoicznie ostrożny. Wolał, żebyśmy się spotykali w jakimś motelu. Jest sporo takich, gdzie można wynająć pokój na godziny i gdzie nikt nie zadaje zbędnych pytań. Uparł się, żebym zawsze przychodziła pierwsza.

Tego dnia się spóźnił, i to o pół godziny, co było do niego zupełnie niepodobne. Przygotowałam drinki, przyniosłam lód z maszyny i czekałam, gapiąc się na powtórkę *Party-Time*. Leciał ten odcinek, w którym Mikey i Shawna-Lee nareszcie są ze sobą. Miałam już zacząć się zbierać, kiedy wpadł do pokoju, spocony i zasapany.

– Witaj, nieznajomy – powiedziałam jak zawsze.

– Daj spokój, Lo – odparł. – Jezu, muszę się zaraz napić!

Zatkało mnie. Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby wzywał imienia Pana swego nadaremno. Twierdził, że pije tylko wtedy, kiedy się ze mną spotyka, a ja mu wierzyłam. Spytałam, czy chce, żebyśmy od razu zaczęli to co zwykle, ale nie był zainteresowany.

– Tylko drinka.

Trzęsły mu się ręce. Widziałam, że jest czymś bardzo poruszony. Przyrządziłam mu podwójnego drinka i zapytałam, czy zrobić mu masaż karku.

– Zaraz, zaraz – wymamrotał. – Muszę usiąść i pomyśleć.

Ale nie usiadł, tylko chodził w tę i z powrotem po pokoju, jakby postanowił wytrzeć do cna wykładzinę. Wiedziałam, że nie ma sensu go o nic pytać, że sam powie, jak będzie gotowy. Podsunął mi szklanę, a ja znowu nalałam na dwa palce.

– Pam usiłowała mi coś powiedzieć, Lo.

Oczywiście nie miałam bladego pojęcia, o czym mówi.

– Len, chyba powinieneś zacząć od początku.

No więc opowiedział mi o Pameli May Donald, która chodziła do jego kościoła i zginęła w tym japońskim samolocie.

– Bardzo ci współczuję, Len, ale Pam chyba nie chciałaby, żebyś wpadał w aż taką depresję...

Jakby mnie nie słyszał. Sięgnął do torby – zawsze miał ze sobą dużą szkolną torbę, jakby

był dzieckiem – wyjął Biblię i z trzaskiem położył na stoliku.

– Chcesz mnie tym stłuc, czy jak? – zapytałam, starając się obrócić wszystko w żart.

To był błąd. Poczerwieniał i nadął się jak ta ryba, która w razie niebezpieczeństwa zamienia się w balon. Ma bardzo wyrazistą twarz, dzięki czemu łatwo wzbudza zaufanie. Wygląda na kogoś, kto nie potrafi kłamać. Szybko przeprosiłam, bo naprawdę zrobiło mi się niewyraźnie.

Opowiedział mi o wiadomości zostawionej przez Pam. Wie pani, o tej na telefonie. Kiedy samolot spadał, ona i paru Japońców nagrało wiadomości na telefonach.

– To musi coś znaczyć, Lo. I chyba nawet wiem co.

– Co takiego, Lenny?

– Pam ich widziała.

– Kogo widziała, Lenny?

– Wszystkich, którzy nie przyjęli Pana do serca. Wszystkich, którzy nie dostąpią łaski

Wniebowstąpienia.

Musi pani wiedzieć, że pochodzę z religijnej rodziny baptystów, dorastałam w porządnym domu i dobrze znam Biblię. Ludzie potępiają mnie za to, co robię, ale w głębi serca wiem, że Jezus mnie nie odtrąci. Moja najlepsza przyjaciółka Denisha powtarza zawsze, że parę najbliższych Jezusowi osób też pracowało w seksbiznesie.

W każdym razie, jeszcze przed Czarnym Czwartkiem, Len należał do ludzi wierzących w nadejście Dni Ostatnich. Wie pani, to ci goście, którzy wszędzie widzą oznaki zbliżającego się końca świata: zamach na World Trade Center, trzęsienia ziemi, holocaust, globalizacja, wojna z terrorem i cała reszta. Naprawdę wierzył w to, że to tylko kwestia czasu, kiedy Jezus zgarnie wszystkich zbawionych do nieba, zostawiając resztę, żeby cierpiała na ziemi pod rządami Antychrysta. Niektórzy byli nawet przekonani, że Antychryst już pojawił się na ziemi jako sekretarz generalny ONZ, prezydent Chin albo jakiś muzułmanin, Arab albo ktoś taki. Później oczywiście mówili, że niemal wszystko było znakiem, łącznie z chorobą wściekłych krów w Anglii i tym rotawirusem, który atakował ludzi podróżujących statkami wycieczkowymi.

Jeśli o mnie chodzi, to właściwie nie mam zdania na temat tego całego Wniebowstąpienia. Że niby jakiegoś pięknego dnia siuuuup!, i wszyscy zbawieni polecą do nieba, bez ubrań i całego dobytku? Moim zdaniem to trochę kłopotliwe. Niby czemu Bóg miałby w ogóle zawracać sobie tym głowę? Lenny pożyczał mi książki z serii *Gone* – wie pani, te, w których wszyscy chrześcijanie trafiają do nieba, a premier Wielkiej Brytanii okazuje się Antychrystem. Mówiłam Lenny’emu, że je czytałam, ale to nieprawda.

Nalałam sobie solidnego drinka, bo wiedziałam, że utknęłam co najmniej na godzinę. Czasem Lenny powtarzał dla mnie swoje radiowe wystąpienia. Tylko udawałam, że słucham, bo wolę telewizję.

Na początku, jak tylko zaczęłam widywać się z Lennym, wzięłam go za jednego z tych cheiwych ewangelistów, co to występują w telewizji i namawiają ludzi do wpłacania pieniędzy na ich konta, nawet tych, którzy ledwo wiążą koniec z końcem. Uważałam go za oszusta, a może mi pani wierzyć, że spotkałam ich paru w życiu! Po jakimś czasie jednak doszłam do wniosku, że on naprawdę wierzy w to, co mówi. Nie chcę nazywać tego bzdurami, bo – jak powiedziałam – z domu jestem baptystką, choć nigdy za bardzo nie przejmowałam się tymi wszystkimi opowieściami o siarce, smole i ogniu piekielnym. Nie mam jednak wątpliwości, że Lenny chciał dołączyć do najważniejszych w tej branży, takich jak doktor Lund, z którym przyjaźnił się prezydent Blake. Lenny’emu cholernie zależało na tym, żeby dostać się do któregoś z ogólnokrajowych kanałów ewangelizacyjnych. Program radiowy miał być czymś w rodzaju przepustki, ale choć prowadził go od wielu lat, niewiele osiągnął. Nie chodziło mu tylko o

pieniądze. Zależało mu na szacunku. Miał już dosyć życia za pieniądze żony.

– Posłuchaj, Lola – powiedział, a następnie odczytał wiadomość. Niewiele z niej zrozumiałam poza tym, że Pam bardzo martwiła się o swojego pieska.

Zaraz potem zaczął się rozwodzić nad tym, jakie to niezwykle i cudowne, że cała trójka dzieci wyszła z katastrof praktycznie nawet niedraśnięta.

– Coś tu jest nie tak, Lola. One powinny zginąć.

Moim zdaniem to rzeczywiście było dziwne, ale tak przecież uważali wszyscy. To była jedna z tych rzeczy, których tak do końca nikt naprawdę nie potrafi zrozumieć, jak choćby World Trade Center, chyba że było się tam i widziało wszystko na własne oczy. Koniec końców, ludzie do wszystkiego potrafią przywyknąć. Od jakiegoś czasu na mojej ulicy co parę dni nie ma prądu. Początkowo wszyscy robili wokół tego okropny raban, a teraz nikt już prawie nie zwraca na to uwagi. To niesamowite, jak szybko się przyzwyczailiśmy.

– Ten chłopiec... Ten chłopiec... – mamrotał.

Przeczytał fragment z Zachariasza, potem przerzucił się na Objawienie. Był z tego naprawdę dobry, choć kiedy byłem dzieckiem, ciarki przechodziły mi od tego po plecach. Muszę się przyznać, że to ja podsunęłam mu tę myśl. Czasem udaję przy nim idiotkę, bo Lenny to lubi. Do licha, oni wszyscy to lubią!

– Wiesz, Lenny, co tak naprawdę nigdy nie mogło mi się zmieścić w głowie? Ci Czterej Jeźdźcy. Dlaczego akurat jeźdźcy? I czemu różne kolory?

Lenny znieruchomiał, jakby właśnie usłyszał jakieś niewiarygodne bluźnierstwo.

– Co powiedziałaś, Lo?

Pomyślałam, że chlapnęłam coś, co go rozzłościło, więc obserwowałam go uważnie – na wypadek gdyby przyszło mu do głowy mnie uderzyć, ale on stał jak posąg, tylko oczy biegały mu w tę i z powrotem.

– Lenny? Lenny, kochanie, nic ci nie jest?

Nagle klasnął w dłonie i się roześmiał. Pierwszy raz widziałam, jak się śmieje. Ujął moją twarz w dłonie i pocałował prosto w usta.

– Zdaje się, że trafiłaś w dziesiątkę! – powiedział.

– Co masz na myśli, Lenny?

Ale on rzucił tylko:

– Rozbierz się, Lola.

Zrobiliśmy to, a potem wyszedł.

**Zapis radiowego programu pastora Lena Vorheesa *Głos Pana z moich ust*, nadanego 20 stycznia 2012 roku.**

Moi drodzy słuchacze, zwłaszcza dziś nie muszę wam chyba powtarzać, że żyjemy w bezbożnych czasach. W czasach, kiedy Biblię usuwa się ze szkół, zastępując ją kłamstwami dotyczącymi ewolucji i niemającymi nic wspólnego z nauką, kiedy wielu wyrzuca Pana ze swoich serc, kiedy rozmaici sodomici, dzieciobójcy, poganie i islamofaszyści cieszą się w naszym kraju większymi prawami niż bogobojni chrześcijanie, kiedy Sodoma i Gomora rzucają cień niemal na każdy aspekt naszego codziennego życia, światowi przywódcy starają się ze wszystkich sił budować kulturę globalizacji, tak ukochaną przez Antychrysta.

Drodzy słuchacze, niosę wam dobre wieści. Mam dowód na to, że Jezus nas słucha, że wysłuchuje naszych modlitw, że to tylko kwestia czasu, kiedy zabierze nas stąd i usadzi u Swego boku!

Mam dziś dla was opowieść.

Była sobie kiedyś dobra kobieta. Nazywała się Pamela May Donald i kochała Jezusa całą duszą, bez wahania otwierając przed Nim serce. Pewnego dnia postanowiła udać się w podróż, by odwiedzić córkę mieszkającą w dalekich stronach. W Azji, konkretnie rzecz ujmując. Pakując walizkę i całując na pożegnanie męża i swój Kościół, nic nie wiedziała o tym, że już wkrótce stanie się częścią boskiego planu.

Wsiadła do samolotu w... w Japonii. Wkrótce potem maszyna roztrzaskała się o ziemię, strącona z nieba za sprawą sił, których natury możemy się jedynie domyślać.

Kiedy leżała na zimnej, obcej ziemi i czekała na śmierć, kiedy z jej żył wypływała życiodajna krew, Bóg przemówił do Pam i przekazał jej wiadomość, tak samo jak przemówił na wyspie Patmos do apostoła Jana, ukazując mu wizję siedmiu pieczęci. Pam nagrała tę wiadomość, drodzy słuchacze, żeby posłanie Boga mogło dotrzeć do nas wszystkich.

Jan usłyszał, że cztery pieczęcie objawią się pod postacią Czterech Jeźdźców. Wiemy o tym – i jest to fakt – że ci Czterej Jeźdźcy zostaną zesłani, aby służyć boskiemu celowi. Wiemy dzięki prorokowi Ezechielowi, że celem tym jest ukaranie bezbożników i niewiernych. Jeźdźcy ściągną na ziemię zarazy, głód, wojnę i przerażenie. Będą żeńcami Sądu Ostatecznego.

Wielu wierzy, że te pieczęcie już zostały złamane, drodzy słuchacze. Przyznam, że trudno w to nie wierzyć, patrząc na to, co obecnie dzieje się na świecie, lecz Pam dowiedziała się, że Bóg w Swej mądrości dopiero teraz postanowił je złamać. W wiadomości, którą nagrała dla mnie – ponieważ Pamela May Donald skierowała swoją wiadomość do mnie osobiście – powiedziała, że Czterej Jeźdźcy są teraz tu, na ziemi. Umierając, wyszeptła: „Chłopiec, chłopiec, pastorze Len, niech pan ich ostrzeże”.

Wszyscy oglądaliście wiadomości. Wszyscy widzieliście troje ocalonych dzieci – a być może jest ich czworo, nikt nie wie tego na pewno, przecież tam, w Afryce, panuje kompletny chaos. Wszyscy wiecie, że to całkowicie nienaturalne, by ktokolwiek uszedł z życiem z tak straszliwej katastrofy, a co dopiero bez żadnej, choćby najmniejszej, rany na ciele. Ocalała tylko ta trójka. Powtarzam to, ponieważ to bardzo ważne. Tylko oni. Nie potrafią tego wytłumaczyć ani ludzie badający przyczyny katastrof lotniczych, ani lekarze. Nikt nie wie, w jaki sposób tych troje dzieci uszło z życiem.

Mili słuchacze, jestem przekonany, że w dzieciach tych zamieszkały duchy Czterech Jeźdźców.

„Pastorze Len – powiedziała Pamela. – Chłopiec, chłopiec”. Czy mogła mieć na myśli jakiegoś innego chłopca niż tego małego Japończyka, który ocalał z katastrofy?

To jasne jak słońce. Czy przesłanie mogłoby być wyraźniejsze? Pan jest dobry, moi słuchacze. Nie będzie ukrywał przed nami prawdy, a w Swej dobroci podsunął nam jeszcze jeden



dowód na to, że to, co mówię, jest prawdą. Oto, co mówi Jan w *Apokalipsie*:

„I ujrzałem: gdy Baranek otworzył pierwszą z siedmiu pieczęci, usłyszałem pierwsze z czterech Zwierząt mówiące jakby głosem gromu: Przyjdź! I ujrzałem: oto biały koń...”

Biały koń, szanowni słuchacze. Zastanówmy się: jak wygląda godło Maiden Airlines, których maszyna rozbiła się na Florydzie? To biała gołębicą. Biała.

„A gdy otworzył pieczęć drugą, usłyszałem drugie Zwierzę mówiące: Przyjdź! I wyszedł inny koń barwy ognia...”

Jakie są barwy linii Sun Air? Czerwone. Widzieliście to wszyscy, bracia i siostry. Wszyscy widzieliście to wielkie czerwone słońce. Czerwień to barwa komunizmu, barwa wojny. Barwa krwi.

„A gdy otworzył pieczęć trzecią, usłyszałem trzecie Zwierzę mówiące: Przyjdź! I ujrzałem: a oto czarny koń”.

To prawda, że trzeci samolot, ten brytyjski, który spadł do oceanu, nosił pomarańczowe godło, ale powiedzcie mi, jakiego koloru były napisy na kadłubie? Czarne, drodzy słuchacze. Czarne.

„A gdy otworzył pieczęć czwartą, usłyszałem głos czwartego Zwierzęcia mówiącego: Przyjdź! I ujrzałem: oto koń trupio bład, a imię siedzącego na nim Śmierć”.

Wiemy, że w oryginale, który został spisany po grecku, maść wierzchowca Śmierci opisano jako *khloros*. To słowo tłumaczy się jako „zieleń”. Jakiej barwy było godło samolotu, który roztrzaskał się w Afryce? Tak, to prawda. Zielone.

Zdaję sobie sprawę, że znajdzie się wielu niedowiarków, którzy będą mówić: „Ależ, pastarze Len, to wszystko może być przypadek!”. Moi słuchacze, Bóg nie działa przypadkowo. Wiemy to z całą pewnością.

Będzie więcej znaków, bracia i siostry. Znacznie więcej. Wybuchnie wojna, będzie zaraza, rozprzestrzeni się konflikt, zacznie się głód. Zbliża się Dzień Sądu. Kiedy Król Królów otworzy szóstą pieczęć, wybrani zostaną ocaleni i zajmą należne im miejsce u boku Jezusa w Królestwie Niebieskim.

Nadszedł nasz czas. Znaki są oczywiste. Bardziej oczywiste nie stałyby się nawet wtedy, gdyby Bóg owinął je czerwoną wstążką i zawołał do nas z Nieba.

Pytam was, moi słuchacze... moi wierni słuchacze: czy jesteście gotowi?

Szczupłość miejsca nie pozwala mi zamieścić cytatów ze wszystkich witryn wyznawców teorii spiskowych, jakie zaczęły się pojawiać w internecie zaraz po Czarnym Czwartku. Jednym z najbardziej aktywnych twórców alternatywnych teorii był pisarz i samozwańczy ufolog – Simeon Lancaster. Wśród książek, opublikowanych przez niego własnym sumptem, znajdują się *Obcy wśród nas* i *Jaszczury w domu Pana*. Lancaster nie zgodził się na rozmowę ze mną, następnie zaś ogłosił, że to nieprawda, jakoby jego dokonania w jakikolwiek sposób wpłynęły na czyny Paula Craddocka. Poniżej zamieszczam krótki fragment z blogu na jego stronie internetowej [aliensamongstus.co.uk](http://aliensamongstus.co.uk), datowany na 22 stycznia 2012 roku.

### **INTERWENCJA OBCYCH: CZARNY CZWARTEK, CZYLI WIĘCEJ DOWODÓW NIE TRZEBA**

Cztery katastrofy lotnicze. Cztery kontynenty. Wydarzenia, które JAK ŻADNE INNE przykuły uwagę mediów z całego świata. Jedyne sensowne wytłumaczenie to takie, że Obcy, szpiedzy z kosmosu, postanowili wykorzystać swoją siłę i WYJŚĆ Z UKRYCIA.

Zapamiętajcie moje słowa: to tylko kwestia czasu, kiedy Dostojna Dwunastka rozpocznie operację zaciemniającą zakrojoną na szeroką skalę. Przekonacie się, że w raportach dotyczących katastrof nie pojawi się ani słowo o jakichkolwiek „ponadnaturalnych” przyczynach. Już teraz mówi się, że winę za wypadek w Afryce ponoszą wyłącznie piloci. Już teraz mówi się, że przyczyną katastrofy w Japonii były problemy z instalacją hydrauliczną.

My wiemy, że tak nie jest. BĘDĄ KŁAMAC. Będą kłamać, ponieważ są sojusznikami naszych Obcych superwładców. To dziwne, że tych troje dzieci (o ile w ogóle są prawdziwymi dziećmi) nie trafiło jeszcze do odosobnionych laboratoriów, gdzie miałyby zapewnioną ochronę. (Na mapie zaznaczono prawdopodobne lokalizacje).

Przyjrzyjmy się dowodom:

#### **CZTERY SAMOLOTY**

CZTERY? Wiemy, że prawdopodobieństwo uczestniczenia w katastrofie lotniczej dla każdego z nas wynosi jeden do 27 milionów. Jakie więc jest prawdopodobieństwo tego, że jednego dnia dojdzie do CZTERECH katastrof, z których ocaleją zaledwie TRZY osoby? Tak małe, że nie da się go obliczyć. Wynika z tego, że do wypadków doszło za sprawą czyjegoś celowego działania. Terrorysty? Jeśli tak, to dlaczego do tej pory nikt nie przyznał się do zamachów? Dlatego, że terrorysty nie mają z tym nic wspólnego. Winę ponoszą Obcy.

#### **JASNE ŚWIATŁO**

Dlaczego co najmniej dwoje pasażerów maszyny Sun Air widziało jaskrawe światło, o czym powiedzieli w wiadomościach nagranych na telefony? Nie istnieją żadne dowody świadczące o eksplozji ani o pożarze na pokładzie. Ani o dekompresji. JEST TYLKO JEDNO WYTŁUMACZENIE. Wiemy już, że pojawienie się statków kosmicznych Obcych często poprzedzają rozbłyski jaskrawego światła na niebie. Jasne światło stanowi jednoznaczny dowód na to, że Oni tam byli.

#### **DLACZEGO DZIECI?**

Jedyna rzecz, co do której wszyscy się zgadzamy, to ta, że Troje w żaden sposób nie powinno przeżyć katastrof. To całkowicie pewne. Dlaczego jednak Obcy wybrali właśnie dzieci? Przypuszczalnie dlatego, że jako gatunek opiekujemy się naszymi młodymi, a także dlatego, że naszą odruchową reakcją jest otoczenie ich opieką i troska o nie.

Wiemy, że Obcy najchętniej posługują się infiltracją i podstępem. Ulokowanie się w KRĘGACH RZĄDOWYCH byłoby zbyt oczywiste. Już tego próbowali, ale zostali ZDEMASKOWANI! Są tu po to, by nas obserwować. Nie wiemy, kiedy zdecydują się na kolejny

ruch. Będą kontrolować Troje, będą kształtować ich ciała i umysły, a kiedy nadejdzie pora, na własne oczy przekonamy się o efektach.

Te dzieci zostały nam WSZCZEPIONE i teraz obserwują nasze poczynania.

TO JEDYNE WYTŁUMACZENIE!

**CZEŚĆ TRZECIA**  
**OCALENI:**

—

**STYCZEŃ-LUTY**

## Lillian Small

Zelna – jedna z opiekunek w domu dziennej opieki dla chorych na alzheimera, do którego zawoziłam Reubena, kiedy jeszcze wstawał z łóżka – stan swojego męża nazwała imieniem Al, jakby nie była to choroba, tylko człowiek. Rankiem, jak tylko przyjechaliśmy, Zelna pytała zwykle: „No i jak myślisz, Lily, co takiego nawyrabiał dzisiaj Al?”. Następnie opowiadała o jakiejś zabawnej lub przykrej rzeczy, do której Al zmusił Carlosa, na przykład o tym, że zaczął owijać jej buty gazetami, żeby nie zmarzły, albo że wydawało mu się, że dom opieki to jego miejsce pracy. Przez jakiś czas prowadziła nawet blog na ten temat. Miał tytuł *Al, Carlos i ja, czyli życie we troje* i zdobył kilka nagród.

Ja też zaczęłam tak nazywać chorobę Reubena. Zapewne mogłam dzięki temu zachować nadzieję, że gdzieś tam, głęboko, jest prawdziwy Reuben, przyczajony, walczący z Alem i niepozwalający mi całkowicie przejąć kontroli. Choć oczywiście doskonale zdawałam sobie sprawę z irracjonalności takiego myślenia, dzięki temu nie winiłam Reubena za to, że spokojna wspólna starość, na którą liczyliśmy, jednak nas ominęła. Winiłam za to Alę i Alę za to nienawidziłam.

Jakieś dwa lata temu Zelna musiała oddać Carlosa na stałe do zakładu, a kiedy wkrótce potem przeprowadziła się do córki do Filadelfii, nasze kontakty uległy zerwaniu. Brakuje mi jej, i domu dziennej opieki też. Brakuje mi kontaktu z ludźmi, którzy doskonale wiedzieli i rozumieli, z czym się zmagam. Często śmialiśmy się z szalonych wyczynów naszych współmałżonków albo rodziców. Pamiętam, jak Zelna zaśmiewała się do rozpuku, kiedy opowiedziałam jej, jak to Reuben uparł się, żeby nosić bokserki na spodniach, jakby zamierzał ubiegać się o rolę geriatrycznego Supermana. Naturalnie nie było to ani odrobinę zabawne, ale śmiech to najlepsze lekarstwo, prawda? Kiedy się nie śmiejesz, to płaczesz. Dlatego wcale się tego nie wstydzę. Ani trochę.

Kiedy Reuben nie mógł już przyjeżdżać do domu dziennej opieki, nie było mowy o tym, żebym oddała go do zakładu. Nie chodziło tylko o koszty. Bywałam w takich miejscach. Nie podobało mi się, jak tam pachnie. Byłam przekonana, że jakoś sobie poradzę. Lori mi pomagała, a kiedy potrzebowałam chwili wytchnienia, zawsze była przecież Betsy i agencja pielęgniarek. Nie korzystałam często z ich usług, bo mieli ogromną rotację personelu i nigdy nie było wiadomo, na kogo się trafi.

Nie chcę, żebyś sobie pomyślała, że narzekam. Jakoś dawaliśmy sobie radę, a ja miałam sporo szczęścia, bo Reuben nigdy nie wpadał w szal. Niektórym się to zdarzało, wpadali w paranoję i uważali, że ich opiekunowie chcą im zrobić krzywdę. Zdarzało się to zwłaszcza wtedy, kiedy tracili umiejętność odczytywania wyrazu twarzy. Reuben próbował też uciekać, nie wychodził z mieszkania, kiedy ja tam byłam. Jego stan pogarszał się w szybkim tempie, ale nawet wtedy, kiedy Al przejmował całkowitą kontrolę, dopóki widział moją twarz i słyszał mój głos, zachowywał całkowity spokój. Niestety, dokuczały mu senne koszmary, ale on zawsze miewał sny, nawet wtedy, kiedy jeszcze był zdrowy.

Jakoś dawałam sobie radę.

Między innymi dzięki wspomnieniom.

Byliśmy szczęśliwi, Reuben i ja. Ilu ludzi może powiedzieć to z czystym sumieniem?

To właśnie dawało mi siłę. W czasopismach, które dostawała Lori, zawsze pisali, że warunkiem istnienia perfekcyjnego związku jest przyjaźń z partnerem. (Rety, jak ja nie znoszę tego słowa! „Partner”... To brzmi tak oficjalnie, nie uważasz?). Tak właśnie z nami było. Kiedy pojawiła się Lori, doskonale wpasowała się w nasze życie. Tworzyliśmy zwyczajną, zgraną rodzinę. Prowadziliśmy unormowane życie. Reuben był dobrym mężem i opiekunem. Kiedy Lori zaczęła studia w Nowym Jorku, ogarnęło mnie okropne przygnębienie – zdaje się, że cierpiałam

na zespół pustego gniazda. Reuben zgotował mi niespodziankę, zabierając mnie na wycieczkę do Teksasu. Do Teksasu, wyobrażasz sobie? Chciał zwiedzić San Antonio, zobaczyć Alamo. Zanim Al odebrał mu poczucie humoru, żartował często, że cokolwiek się zdarzy, zawsze możemy pojechać do Paryża, tyle że tego w Teksasie.

To oczywiście nie znaczy, że przed pojawieniem się Ala nasze życie było sielanką. Tak nigdy nie jest. Nie omijały nas problemy. W college'u Lori spadła z poręczy na lekcji WF-u, wymacałam sobie guz w piersi (na szczęście w samą porę), matka Reubena narobiła sobie kłopotów z tym znacznie młodszym od siebie facetem, którego poznała na Florydzie... Jakoś sobie jednak radziliśmy.

Kiedy Lori powiedziała nam, że jest w ciąży, Reuben zaproponował, żebyśmy się przeprowadzili do Brooklynu. Wiedział, jak bardzo się martwię, że będzie musiała sama wychowywać dziecko. Właśnie zaczynała karierę zawodową i potrzebowała wsparcia. Nigdy nie zapomnę, jak zaprosiła nas na swój pierwszy pokaz podczas Nowojorskiego Tygodnia Mody! Byliśmy z niej tacy dumni! Część sukni prezentowali modele, nie modelki, co trochę zaskoczyło Reubena, ale zawsze byliśmy otwarci na nowinki. Poza tym Reuben uwielbiał Nowy Jork, był prawdziwym miejskim zwierzęciem. Dawniej, kiedy pracował jako nauczyciel i brał zastępstwa, przywykliśmy do częstych podróży, więc pakowanie i przeprowadzki nie stanowiły dla nas problemu. „Postąpmy wbrew modzie, Lily, i przenieśmy się do miasta! Czemu nie?” Prawdę powiedziawszy, było mu wszystko jedno, gdzie mieszka. I tak zawsze czytał. Uwielbiał książki. Wszystkie: literaturę piękną, literaturę faktu, oczywiście historię. Niemal cały wolny czas spędzał z nosem w książce, a przecież czytać można gdziekolwiek, prawda? Dlatego pojawienie się Ala było wyjątkowo wielką tragedią; jako pierwszą zabrał mu umiejętność czytania, choć Reuben początkowo starał się to przede mną ukryć. Serce mnie boli, kiedy myślę o tym, ile miesięcy przesiedział w łóżku, przerzucając kartki, choć nie rozumiał ani słowa z tego, co było na nich wydrukowane... Tylko po to, żeby mnie nie martwić. Kilka miesięcy po diagnozie odkryłam, do jakiego stopnia starał się ukryć przede mną objawy choroby. W szufladzie ze skarpetkami znalazłam plik karteczek, na których zapisywał sobie rzeczy, których nie chciał zapomnieć. Na jednej napisał KWIATY. Mało serce mi wtedy nie pękło. Przez czterdzieści pięć lat co piątek kupował mi kwiaty. Zawsze.

Trochę obawiałam się przeprowadzki w miejsce, gdzie mieszkała Lori. Nie dlatego, żebym nie chciała opuszczać Flemington; nigdy nie prowadziliśmy intensywnego życia towarzyskiego, a nasi niezbyt liczni przyjaciele już dawno przeprowadzili się na Florydę, uciekając przed zimami w New Jersey. Dom był splotony, mieliśmy więc pieniądze, ale kiedy wybuchł kryzys, ceny nieruchomości we Flemington spadły na łeb na szyję. Lori martwiła się, że otoczenie, w którym mieszka, okaże się dla nas za młode i zbyt nowoczesne. „Pełno tu hipsterów i niedoszłych artystów” – mówiła. Okazało się jednak, że żyje tam całkiem spora społeczność chasydzka; widok tych ludzi podtrzymywał Reubena na duchu, kiedy zaczął naprawdę chorować. Być może chodziło o wspomnienia z dzieciństwa, bowiem dorastał w rodzinie ortodoksyjnych Żydów. Lori pomogła nam znaleźć bardzo ładny apartamentowiec w pobliżu parku, zaledwie pięć minut piechotą od jej loftu przy Berry Street. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności nasi najbliżsi sąsiedzi byli w naszym wieku, a Betsy i ja od razu przypadłyśmy sobie do gustu. Obie uwielbiałyśmy robótki – Betsy rewelacyjnie posługiwała się drutami – i oglądałyśmy te same serie w telewizji. Początkowo Reuben uważał, że jest odrobinę zbyt wścibska, nie podobało mu się też, że pali, bo był wielkim przeciwnikiem papierosów, ale to właśnie Betsy zaproponowała, żeby zgłosił się jako wolontariusz do pracy w ośrodku kształcenia dorosłych. Rzecz jasna, z tego też musiał potem zrezygnować. O tym również mi nie powiedział, szukał wymówek, żeby zostać w domu i pomagać mi przy Bobbym. Ach, jak bardzo lubiłam zajmować się Bobbym, kiedy był

malutki! Przez cały cudowny rok, a może nawet dłużej, stanowił centralny punkt naszego życia. Lori przywoziła go codziennie rano, a my, jeśli tylko pozwalała na to pogoda, zabieraliśmy go do parku. Miał swoje humory, jak wszystkie dzieci, ale był bystrym małym chłopcem, naszym ukochanym słoneczkiem. Nie sposób było się przy nim nudzić!

A potem łup!, pojawił się Al. Reuben miał zaledwie siedemdziesiąt jeden lat. Ukrywałam to przed Lori, jak długo mogłam, ale ona nie była głupia, widziała, jak często zdarza mu się o czymś zapomnieć i słyszała go mówiącego od rzeczy. Początkowo pewnie uważała, że po prostu zdziwaczał na stare lata.

Byłam zmuszona powiedzieć jej o tym podczas przyjęcia z okazji drugich urodzin Bobby'ego. Zrobiłam ulubiony tort Lori, czekoladowy, i wszyscy staraliśmy się nakłonić Bobby'ego, żeby zdmuchnął świece, ale tego dnia był wyjątkowo przekorny. Koszmarne dwulatek, sama rozumiesz. W pewnej chwili, zupełnie bez powodu, Reuben powiedział: „Nie pozwólcie, żeby dziecko się spaliło, nie pozwólcie!”. A potem wybuchnął płaczem.

Lori była przerażona. Posadziłam ją przy stole i powiedziałam, że lekarze postawili diagnozę już pół roku temu. Oczywiście, że to nią wstrząsnęło, ale usłyszałam od niej coś, czego nie zapomnę do końca życia: „Jakoś razem przez to przejdziemy, mamo”.

Nie czułam się dobrze, obarczając ją ciężką ciążą. Przeprowadziliśmy się do miasta, żeby jej pomagać, a teraz role miały się odwrócić. Musiała troszczyć się i o swoją karierę, i o Bobby'ego, a mimo to odwiedzała nas zawsze, kiedy tylko mogła. Bobby był za mały, żeby rozumieć, co dzieje się z dziadkiem. Martwiłam się, że będzie się bał, ale dziwne zachowanie Reubena ani trochę go nie niepokoiło.

Och, Elspeth! Kiedy pomyślę o tych dniach zaraz po tym, jak usłyszałam o Bobbym! Zżerało mnie poczucie winy, że nie polecałam prosto do Miami, żeby być przy nim w szpitalu. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, jak bardzo nienawidzę Ala. Miałam ochotę wrzeszczeć na niego z wściekłości za to, że zabrał mi Reubena właśnie wtedy, kiedy zważyło się na nas tyle problemów. Nie domagam się współczucia, wielu innych znalazło się w jeszcze gorszej sytuacji, ale wciąż towarzyszyło mi przeświadczenie, że ktoś mnie za coś karze. Najpierw Reuben, teraz Lori... Co jeszcze?

Działo się tak wiele, że nie wszystko dokładnie pamiętam. Telefon dzwonił prawie bez przerwy, dziennikarze i reporterzy deptali mi po piętach. W końcu miałam odłączyć stacjonarny telefon i zacząć korzystać z komórki, którą dostałam od Lori, ale i tak jakoś udało im się zdobyć mój numer. Wystarczyło, że wyszłam za próg, a już ktoś celował we mnie kamerą. „Jak się pani czuje?”, „Czy miała pani przecucie, że on ocalał?”. Chcieli wiedzieć, jak miewa się Bobby, jak sobie radzi, co je, czy się modli, kiedy wróci do domu, czy do niego polecę. Proponowali mi pieniądze, mnóstwo pieniędzy, błagali o zdjęcia jego i Lori. Nie mam pojęcia skąd i jak, ale dotarli do jego fotografii z pierwszego dnia szkoły. Podejrzewam, że dała im ją Mona. Nigdy nie powiedziałam jej tego w twarz, ale skąd mieliby ją wziąć? Nawet mnie nie pytaj o ludzi od reklam i tych z Hollywood! Chcieli kupić prawa do sfilmowania życia Bobby'ego. On ma tylko sześć lat! Ale ja wtedy nawet nie myślałam o pieniądzach. Powiedziano nam, że dostaniemy odszkodowanie, mimo że Maiden Airlines niemal natychmiast ogłosiły bankructwo. Lori nie była uboga, ale też nie była bogata. Odkładała pieniądze z myślą o tym, żeby kupić mi i Reubenowi dom na Florydzie, ale teraz przecież i tak byśmy z nich nie skorzystali.

Prawdę mówiąc, nie wszystkie przejawy zainteresowania nami były okropne. Ludzie przysyłali podarunki, pisali listy. Niektóre poruszały do głębi, szczególnie te od rodziców, którzy również stracili dzieci. W końcu musiałam przestać je czytać. Bałam się, że moje serce tego nie wytrzyma.

Siostra Reubena, która do tej pory ani razu nie zaproponowała mi pomocy, dzwoniła trzy

albo cztery razy dziennie i pytała, jak zamierzam zorganizować żałobę po Lori, ale jak mogłam o tym myśleć, kiedy Bobby leżał w szpitalu w Miami? Prawie cieszyłam się, że uziemiono praktycznie wszystkie samoloty, dzięki czemu nie mogła przylecieć, żeby wtykać nos we wszystko. W pierwszych dniach po katastrofie mieliśmy co jeść wyłącznie dzięki kochanej Betsy. Przez nasze mieszkanie przewijało się mnóstwo ludzi, a Charmaine pilnowała, żeby nie wkradł się jakiś reporter w przebraniu. Sąsiedzi, którzy słyszeli o Lori. Uczniowie Reubena z ośrodka kształcenia dorosłych. Znajomi i przyjaciele Lori. Mnóstwo ludzi. Czarni, Latynosi, Żydzi. Wszyscy chcieli pomóc.

Betsy skontaktowała się ze swoim rabinem, który zaproponował, że poprowadzi modlitwy podczas pogrzebu, choć wiedział, że nie jesteśmy wierzący. Poza tym o pogrzebie mogliśmy myśleć dopiero wtedy, jak wydadzą nam ciało, ale nie chcę teraz o tym mówić. Ten dzień, kiedy ją pożegnaliśmy... Nie, nie mogę, Elspeth.

Ktoregoś wieczoru – to musiało być jakieś dwa dni po tym, jak dowiedzieliśmy się o Bobbym – byłam z Reubenem sama w mieszkaniu. Usiadłam na łóżku i ogarnęła mnie fala tak koszmarnego smutku i samotności, że naprawdę chciałam umrzeć. Nie potrafię tego opisać, Elspeth. Za dużo było tego wszystkiego. Wiedziałam, że muszę wytrwać ze względu na Bobby'ego, ale nie byłam pewna, czy starczy mi sił. Nie wiem, czy to ogrom mojego bólu sprawił, że Reubenowi udało się na kilka sekund odepchnąć Ala, ale położył dłoń na mojej ręce i delikatnie ją ścisnął. Spojrzałam mu w oczy i przez sekundę widziałam tam Reubena, starego Reubena, mojego najlepszego przyjaciela. To było tak, jakby powiedział: „Dalej, Lily, nie poddawaj się!”. Chwilę potem pozbawiona wyrazu maska – Al – wróciła na miejsce i Reuben zniknął.

Ale dał mi siłę, żeby walczyć dalej.

Charmaine wiedziała, jak wielkie dręczą mnie wyrzuty sumienia z powodu tego, że nie jestem z Bobbym, więc skontaktowała mnie z psychologiem z Miami, doktor Pankowski. Bardzo mi pomogła, powiedziała, że już niedługo Bobby będzie mógł wrócić do domu, że wyniki rezonansu magnetycznego są w porządku, że zaczął już mówić i choć nie mówi zbyt wiele, to najprawdopodobniej zdaje sobie sprawę z tego, co się stało.

Jak tylko poinformowano nas, że już może wracać, odwiedził mnie jeden z doradców burmistrza, bardzo miły młody Afroamerykanin. „Bobby ocalał w cudowny sposób, pani Small – powiedział. – Tu, w Nowym Jorku, potrafimy zadbać o naszych”. Obiecał, że postawią policjanta przed naszym domem, jeśli nie moglibyśmy sobie poradzić z zainteresowaniem mediów, i nawet przysłał limuzynę, żeby zawiozła mnie na lotnisko. Pojechała ze mną Charmaine. Przy Reubenie zostały Betsy i pielęgniarka. Byłam zdenerwowana prawie jak w dzień naszego ślubu.

Bobby leciał specjalnie wyczarterowanym samolotem, który miał wylądować w części lotniska przeznaczonej dla polityków i innych ważnych osobistości. Oznaczało to, że przynajmniej przez jakiś czas nie będziemy przesładowani przez reporterów. Posadzono mnie w poczekalni. Czułam na sobie spojrzenia personelu lotniska, choć wszyscy bardzo starali się udawać, że na mnie nie patrzą. Od kilku dni kompletnie nie miałam głowy, żeby zadbać o swój wygląd, więc czułam się bardzo niezręcznie. Charmaine przez cały czas trzymała mnie za rękę. Nie mam pojęcia, co zrobiłabym bez niej. Ciągłe utrzymujemy ze sobą kontakt.

Dzień był chłodny i rześki, niebo błękitne i bezchmurne. Obserwowałyśmy z Charmaine lądujący samolot. Wydawało mi się, że minęła cała wieczność, zanim wreszcie otworzyli drzwi i zobaczyłam go, jak schodzi po schodkach, ściskając rękę młodej kobiety. Doktor Pankowski towarzyszyła mu w podróży. Dobra kobieta. Wydawała się za młoda, żeby być lekarzem, ale do końca życia będę jej wdzięczna za to, co dla niego zrobiła. Dali mu nowe rzeczy, więc był ciepło ubrany, z kapturem na głowie.



Zrobiłam krok w jego kierunku.

– Bobby... Ta ja, babcia.

Spojrzał na mnie i wyszeptał:

– Babcia?

Rozpłakałam się, Elspeth. Oczywiście, że się rozpłakałam. Dotykałam go i głaskałam po twarzy, jakbym nie mogła uwierzyć, że to naprawdę on, a kiedy go przytuliłam, poczułam się tak, jakby w mojej duszy na nowo zapłonęło światło. Nie potrafię tego lepiej opisać. Zrozumiałam, że bez względu na to, co stało się z Lori i co dzieje się z Reubenem, to teraz, kiedy Bobby wrócił, wszystko będzie dobrze.

**Mona Gladwell, najbliższa przyjaciółka Lori Small, zgodziła się na rozmowę przez Skype'a pod koniec kwietnia 2012 roku.**

Lori była moją przyjaciółką, moją najlepszą przyjaciółką, i nie chcę, żeby wyglądało na to, że ją opluwam, ale myślę, że to ważne, żeby ludzie poznali prawdę o niej i o Bobbym. Proszę mnie źle nie zrozumieć: Lori była nadzwyczajną osobą i mnóstwo jej zawdzięczam, ale czasem potrafiła być trochę... dziwaczna.

Poznałyśmy się w szkole średniej. Kiedy miałam piętnaście lat, moi rodzice przeprowadzili się z Queens do Flemington. Od razu się polubiłyśmy. Pozornie Lori była typową grzeczną dziewczynką: dobra uczennica, nigdy nie sprawiała problemów. Przez cały czas miała jednak drugie, ukryte życie, o którym jej rodzina nie miała najmniejszego pojęcia. Palila marychę, piła, zadawała się z chłopakami. Zwyczajnie, jak to dzieciaki. W tym czasie Reuben uczył w szkole historii Ameryki, więc Lori bardzo się starała, żeby nie nadszarpnąć jego reputacji. Reuben był w porządku. Dzieciaki w szkole nie próbowały z nim zadzierać. Mówili na niego Pan Malutki i choć może nie był jakoś szczególnie popularny, to potrafił ciekawie opowiadać. Bardzo spokojny, dystyngowany. I niegłupi, ale nawet jeśli wiedział o tym, co Lori wyprawia za jego plecami, to nigdy nie dał tego po sobie poznać.

Jeśli chodzi o Lillian... Wiem, że nigdy mnie nie lubiła i uważała, że to ja jestem odpowiedzialna za to, co przydarzyło się Lori w college'u, ale w sumie była w porządku. Choć z drugiej strony, w porównaniu z moimi starymi prawie każdy jest w porządku. Lillian nigdy nie poszła do pracy, wyglądała na zadowoloną z tego, że prowadzi dom – szycie, gotowanie i licho wie co jeszcze – a Reuben zarabiał akurat tyle, żeby mieli z czego żyć. Można było pomyśleć, że czas zatrzymał się dla nich w latach pięćdziesiątych, może z wyjątkiem polityki, bo oboje mieli znacznie bardziej liberalne poglądy, niż wydawało się na pierwszy rzut oka.

Po skończeniu college'u Lori i ja postanowiłyśmy złożyć papiery na uniwersytet w Nowym Jorku. Lillian nie była tym zachwycona, chociaż Nowy Jork jest raptem godzinę drogi od Flemington. Lori szybko zaczęła prowadzić rozrywkowy tryb życia i brać mocne narkotyki, głównie kokainę. Przygotowywałyśmy się starannie do każdej ich wizyty: sprzątałyśmy pokój, Lori wkładała na siebie coś, co zakrywało jej tatuaże, usuwałyśmy wszelkie dowody, ale w końcu i tak wszystko się wydało. Lillian dostała szału i kazała jej natychmiast wracać do domu, więc Lori musiała rzucić studia. Jak tylko skończyła z używkami, wróciła do miasta i robiła najróżniejsze rzeczy: była instruktorką jogi, stylistką, manicurzystką, barmanką... Mojego pierwszego męża poznałam w barze, w którym pracowała. To nie trwało długo – ani praca, ani mąż.

Potem, nie wiadomo dlaczego, zapisała się na kurs projektowania mody. Namówiła nawet Reubena i Lillian, żeby za to zapłacili, choć nie mam pojęcia, skąd wzięli pieniądze. Początkowo myślałam, że to kolejna głupota, ale okazało się, że Lori ma do tego smykałkę – szczególnie dobrze wychodziły jej kapelusze. Zaczęła dostawać zamówienia i przeprowadziła się do Brooklynu, gdzie było ją stać nawet na własne studio. Zaprojektowała mi kapelusz na drugie wesele i nie wzięła ode mnie pieniędzy, chociaż dopiero zaczynała rozkręcać biznes.

Zaraz po tym, jak przygotowała pokaz Galliano, dowiedziała się, że jest w ciąży. „Nie usunę jej – powiedziała. – Niedługo stuknie mi czterdziestka, więc mogę nie mieć drugiej szansy”. Nie chciała powiedzieć, kto jest ojcem, więc przypuszczam, że zrobiła to celowo. Nie twierdzę, że sypiała z kim popadnie, ale lubiła się dobrze zabawić. Nie widziała za to sensu w utrzymywaniu stałego związku.

Specjalnie na użytek Lillian wymyśliła tę historię o sztucznym zapłodnieniu. Byłam zdumiona, że tak zdecydowała się to przedstawić. Wydawało mi się, że to nie w porządku. Później, kiedy ten kaznodzieja grzmiał, że Bobby nie został poczęty przez człowieka, że jest

wybrykiem natury i tak dalej, mogłam się odezwać, mogłam powiedzieć prawdę, ale myślałam, że wszystko szybko przycichnie. Kto mógł brać to na serio?

W trakcie ciąży przeszła fazę fascynacji religią i opowiadała, jak to kiedyś, kiedy Bobby będzie duży, pośle go do szkoły religijnej, i w ogóle. Syndrom żydowskiej matki, tak o tym mówiła. Ale to nie trwało długo. Myślałam, że się wścieknie, kiedy Lillian i Reuben postanowili przeprowadzić się do Brooklynu, lecz ona nawet była z tego zadowolona. „To może być całkiem dobry pomysł, Mono”. I rzeczywiście: przed chorobą Reubena miała Lillian na każde skinienie, zwłaszcza kiedy Bobby był jeszcze bardzo mały. Wszystko się zmieniło, kiedy Reuben zachorował i to Lori musiała im pomagać. Całkiem nieźle sobie z tym radziła. W pewnym sensie, dzięki temu wreszcie dorosła. Podziwiałam ją za to, że tak doskonale sobie poradziła, choć czasem się zastanawiam, czy nie namawiała matki do przeprowadzki na Florydę głównie po to, żebym zdjąć ich sobie z karku... Wiem, że nieładnie tak myśleć, ale nawet gdyby tak było, to wcale nie miałabym jej tego za złe. Naprawdę było jej ciężko.

A co do Bobby'ego... Nie wiem, jak to powiedzieć, ale przysięgam na Boga, że po katastrofie stał się całkiem innym dzieckiem. Wiem, wiem... To mógł być efekt stresu pourazowego, szoku czy czegośkolwiek, ale zanim to się stało, kiedy był mały... Nie da się tego inaczej powiedzieć: jako małe dziecko był nie do wytrzymania, milion razy dziennie robił awanturę. Nazywałam go Damienem, bo tak miał na imię chłopczyk w tym filmie, ale Lori zupełnie się to nie podobało. Lillian nie miała o niczym pojęcia, bo przy niej zachowywał się jak aniołek – pewnie dlatego, że na wszystko mu pozwalała. Kiedy Reuben zachorował, Bobby miał chyba jakieś dwa latka, a potem Lillian już rzadziej z nim przebywała. Lori też go rozpieszczała, spełniała wszystkie jego zachcianki, chociaż ostrzegałam ją, że robi mu w ten sposób wielką krzywdę. Nie twierdzę, że była złą matką, skądże znowu. Kochała go, a przecież dziecko tego właśnie potrzebuje, prawda? Jak się nad tym zastanowić, to w gruncie rzeczy nie jestem w stanie powiedzieć, czy był tak bardzo rozpuszczony, czy po prostu, jak mawiała moja matka, było z niego diabelskie nasienie.

Lori miała nadzieję, że Bobby się uspokoi, jak tylko pójdzie do szkoły. Całkiem niedaleko otworzyli jakieś nowoczesne przedszkole artystyczne i postanowiła tam właśnie go posłać. Nic to nie dało. Już po kilku dniach została wezwana na rozmowę w związku z „problemami integracyjnymi”, czy jak to tam nazywali.

Kiedy Bobby miał jakieś cztery lata, Lori umówiła się na spotkanie z bardzo ważnym klientem. Ponieważ Lillian akurat jechała z Reubenem na wizytę do nowego lekarza, Lori musiała wynająć opiekunkę. Zapytała mnie, czy nie zechciałabym z nim zostać. Mieszkałam wtedy przy Carroll Gardens, a mój chłopak kupił mi śliczną malutką kotkę. Nazwaliśmy ją Kielbaska. Posadziłam Bobby'ego przed telewizorem, a sama poszłam wziąć prysznic. Kiedy już suszyłam włosy, nagle usłyszałam przeraźliwy pisk z kuchni. Przysięgam pani: nie miałam pojęcia, że zwierzę potrafi tak krzyczeć. Pobiełam tam i zobaczyłam Bobby'ego, który trzymał Kielbaskę za ogon i wymachiwał nią w lewo i prawo. Na twarzy miał zachwycony uśmiech. Przyznam, że go walnęłam, i wcale się tego nie wstydzę. Upadł, uderzając czołem o krawędź blatu. Rozciął sobie skórę, a krwawił tak potężnie, że musiałam zawieźć go do szpitala, żeby założyli mu szwy. Mimo to nie płakał. Nawet się nie skrzywił. Nasze drogi z Lori trochę się potem rozeszły, ale nie na długo, za dużo nas łączyło. Nigdy więcej jednak nie poprosiła mnie o zajęcie się Bobbyem.

Potem, po katastrofie, stał się jakby zupełnie innym człowiekiem.

**Fragment rozdziału trzeciego *Jak strzegłem Jess, czyli moje życie z jednym z Trojga Paula Craddocka (przy współpracy Mandi Solomon).***

Nie spodziewałem się, że powrót Jess do kraju wywoła aż takie zainteresowanie mediów. Troje „cudownych dzieci” szybko stawało się tematem dziesięciolecia, a chęć zdobycia najnowszych informacji o stanie zdrowia Jess była wręcz niewiarygodna. Na schodach przed wejściem do mojego budynku zamieszkali paparazzi i reporterzy, szpital zaś znalazł się niemal w stanie oblężenia. Gerry ostrzegł mnie, żebym uważał, co mówię przez telefon, na wypadek gdyby założono mi podsłuch.

Muszę stwierdzić, że wsparcie dla Jess było ogromne. Jej pokój szybko zapełnił się podarunkami, mnóstwo ludzi zostawiało przed szpitalem listy, kwiaty, kartki z życzeniami i maskotki. Było ich tak dużo, że miejscami całkowicie zasłaniały ogrodzenie. Ludzie byli dobrzy. Okazywali w ten sposób, że im zależy.

W tym samym czasie moje relacje z Marilyn i resztą Rodziny Addamsów pogarszały się z dnia na dzień. Nie mogłem uniknąć spotkań w poczekalni, a powtarzające się żądania Marilyn, żebym dał im klucze do domu Stephena i Shelly, były dla mnie nie do zniesienia. Jednak prawdziwa zimna wojna zaczęła się 22 stycznia, kiedy usłyszałem, jak przed pokojem Jess Jase napastuje jednego z lekarzy. Wtedy Jess wciąż jeszcze była pogrążona w śpiączce, ale lekarze zapewniali nas, że nie ma żadnych oznak trwałego uszkodzenia układu nerwowego.

– Kurwa, dlaczego jej nie obudzicie? – dopytywał się Jase, dźgając poplamionym nikotyną palcem w pierś nieszczęsnego doktora.

Lekarz zapewnił go, że robią wszystko, co możliwe.

– Taaaaak? – Jase skrzywił się szyderczo. – Jak już zamieni się w jakąś pieprzoną roślinę, to byłoby dobrze, żebyście dalej sami wszystko przy niej robili!

To była kropla, która przepełniła czarę goryczy. Z mojego punktu widzenia Adamsowie pokazali prawdziwe oblicze. Nie mogłem im zabronić odwiedzania Jess, ale mogłem zatroszczyć się o to, by wszyscy wiedzieli, że pod żadnym pozorem nie wolno powierzyć im opieki nad nią, kiedy już wyjdzie ze szpitala. Natychmiast zadzwoniłem do prawniczki Shelly i poprosiłem ją, żeby poinformowała Addamsów o decyzji Shelly i Stephena dotyczącej sprawowania opieki nad ich córką. Nazajutrz Addamsowie znaleźli się na pierwszej stronie „The Sun”: *Babcia Jess wymazana z jej życia.*

Muszę przyznać, że fotograf spisał się świetnie i pokazał ich w całej zbójeckiej doskonałości. Mamusia Adams z pałającym wzrokiem wbitym w obiektyw, w otoczeniu obu braciszków i najrozmaitszego potomstwa z takimi minami, że wystarczyło na nich raz spojrzeć, aby już na zawsze nabrać niezachwianego przekonania o dobrodziejstwach rygorystycznej kontroli urodzeń. Marilyn nie owijała w bawełnę, co myśli o tej sprawie.

„To nie w porządku – mówi Marilyn (58 l.). – Paul nie prowadzi się moralnie. Jest gejem, a my jesteśmy praworządnyimi obywatelami. Jesteśmy rodziną. U nas Jess będzie miała lepiej”.

„The Sun”, ma się rozumieć, wycisnął z tej historii, ile tylko się dało. Zdobyli skądś moje zdjęcie z ubiegłorocznej parady równości, na którym tańczę z moim ówczesnym partnerem, ubrany tylko w spódniczkę baleriny, i walnęli je w kolorze na sąsiedniej szpalcie. Temat rozprzestrzenił się jak zaraza. Nie trzeba było długo czekać, aż kolejne tabloidy zaczęły publikować inne kompromitujące mnie zdjęcia, z pewnością dostarczone przez moich byłych i aktualnych znajomych. Chyba nie powinienem mieć do nich pretensji o to, że skorzystali z okazji zarobku. Większość z nich to przymierający głodem artyści.

Sytuacja zrobiła się naprawdę nieciekawa dopiero wtedy, kiedy Marilyn i ja zostaliśmy zaproszeni do programu Rogera Clydesdale’a. Gerry radził mi, żebym tam nie szedł, ale przecież nie mogłem pozwolić na to, żeby ludzie usłyszeli wyłącznie wersję Marilyn, prawda? Kilka lat

wcześniej poznałem Rogera na jakimś przyjęciu dla mediów, a z tego, co od czasu do czasu mignęło mi w jego porannym programie, wynikało, że nie przepuszcza ludziom, których nazywa „zachłannymi beneficjentami”. Naiwnie przypuszczałem, że będę go miał po mojej stronie.

Atmosfera w studiu była naładowana oczekiwaniem. Dało się wyczuć, że publiczność ma nadzieję na nie lada spektakl i się nie zawiodła. Szczerze mówiąc, początkowo wydawało mi się, że wszystko idzie po mojej myśli. Marilyn rozwaliała się na kanapie i mamrotała coś niezrozumiale w odpowiedzi na ulubione pytanie Rogera: „Dlaczego nie robisz wszystkiego, żeby znaleźć pracę?”. Następnie skierował swoje świdrujące spojrzenie na mnie.

– Paul, czy masz jakieś doświadczenie w kontaktach z dziećmi?

Wyjaśniłem, że opiekowałem się Jess i Polly niemal od ich urodzenia, i podkreśliłem, że Stephen i Shelly ustanowili mnie opiekunem swojego dziecka.

– Chodzi mu tylko o dom! – zaskrzeczała Marilyn. – To aktor! W ogóle nie zależy mu na tym dziecku!

Z niezrozumiałego dla mnie powodu jej reakcja spotkała się z aplauzem widowni. Roger zachekał, aż gwar ucichnie, po czym zdetonował bombę:

– Czy to prawda, że leczyłeś się psychiatrycznie?

Na widowni wszczął się tumult. Nawet Marilyn sprawiała wrażenie zaskoczonej.

Nie byłem przygotowany na to pytanie. Zacząłem się jąkać, krztusić, aż w końcu wymamrotałem w kompletnie nieprzekonujący sposób, że moje załamania nerwowe to bardzo dawne dzieje. Rzecz jasna, ta rewelacja wywołała falę gazetowych nagłówków w rodzaju: **WARIAT BĘDZIE SIĘ OPIEKOWAŁ JESS!**

Rzecz jasna, byłem zdruzgotany. Nikt nie lubi czytać o sobie takich rzeczy, a mogłem mieć pretensje wyłącznie do siebie – o to, że byłem za bardzo szczery. Krytykowano mnie ostro za to, w jaki sposób ułożyłem potem swoje kontakty z prasą – nazwano mnie między innymi „łaknącą popularności dziwką” i „zdeklarowanym egocentrykiem i narcyzem”. Bez względu na to, co o mnie pisano, zawsze miałem na uwadze wyłącznie dobro Jess. Zawiesiłem na kołku swoją karierę, żeby móc poświęcić jej cały czas. Nie ukrywam, że gdybym naprawdę chciał wykorzystać wszystkie możliwości, zarobiłbym miliony. Na szczęście kwestie finansowe nie stanowiły żadnego problemu: Shelly i Stephen byli wysoko ubezpieczeni na życie, Jess otrzymała też odszkodowanie, które zamierzałem zdeponować aż do czasu, kiedy osiągnie pełnoletność. Nie groziła jej bieda. Jeśli pojawiałem się w najróżniejszych programach telewizji śniadaniowej, to nie dla pieniędzy, lecz po to, by dać świadectwo prawdzie. Na moim miejscu chyba każdy postąpiłby tak samo.

Jak widzicie, miałem dużo rzeczy na głowie, ale najważniejsza była zawsze Jess. Wciąż jeszcze nie udało się nawiązać z nią kontaktu, lecz jej stan fizyczny – poza oparzeniami – nie budził żadnych zastrzeżeń. Mogłem zacząć myśleć o tym, jak urządzić jej życie po wyjściu ze szpitala. Doktor Kasabian, psycholog, który miał się nią zająć zaraz po tym, jak odzyska świadomość, poradził mi, że najlepiej będzie, jeżeli Jess znajdzie się w znajomym otoczeniu, co oznaczało konieczność wprowadzenia się do domu Stephena w Chiselhurst.

To była jedna z najtrudniejszych rzeczy w moim życiu. Wszystko – poczynając od szkolnych i ślubnych fotografii na ścianach, a kończąc na uschniętej choince na podjeździe, której Stephen nie zdążył wyrzucić – przypominało mi o tym, co oboje straciliśmy. Kiedy wszedłem do środka i zatrzasnąłem drzwi, odcinając się od nawoływań fotografów i reporterów (tak, towarzyszyli mi nawet przy tej smutnej okazji), poczułem się niemal tak samo jak wtedy, kiedy dotarła do mnie ta tragiczna wiadomość. Mimo to się nie poddałem. Musiałem być silny, ze względu na Jess. Powoli obszedłem cały dom i załamałem się kompletnie dopiero w gabinecie Stephena, kiedy zobaczyłem na ścianie nasze wspólne zdjęcia z dzieciństwa. Ja – pulchny i

szczerbaty, a on – szczupły i poważny. Patrząc na nas, nikt by nie zgadł, że byliśmy bliźniakami; charaktery też mieliśmy całkowicie odmienne. Już w wieku ośmiu lat wiedziałem, że chcę występować na scenie, podczas gdy Stephen był o wiele bardziej wycofany i poważny. Choć jednak w szkole każdy z nas miał własny krąg przyjaciół, to zawsze byliśmy sobie bliscy, a kiedy poznał Shelly, łączące nas więzy jeszcze się wzmocniły. Z Shelly polubiliśmy się od pierwszego dnia.

Zostałem na noc, choć było to bardzo bolesne przeżycie. Musiałem się zaaklimatyzować ze względu na Jess. Długo nie mogłem zasnąć, a kiedy wreszcie mi się udało, przyśnili mi się Stephen i Shelly. Sen był tak realistyczny, jakby naprawdę byli ze mną w pokoju. Ich duchy były mocno związane z domem. Wiedziałem jednak, że postępuję jak trzeba, że tego wymaga dobro Jess, a oni dali mi swoje błogosławieństwo.

Do dziś nie odnaleziono ich ciał ani ciała Polly. Pod pewnymi względami tak jest nawet lepiej. Nie musiałem odbyć okropnej podróży, żeby zidentyfikować ich w jakiejś portugalskiej kostnicy. Zachowałem ich w pamięci takich, jacy byli podczas ostatniej wspólnej kolacji: Polly i Jess chichotały jak najęte, Stephen i Shelly opowiadali o swoich wakacjach last minute. Szczęśliwa rodzina.

Nie mam pojęcia, jak bym sobie z tym wszystkim poradził, gdyby nie Mel, Geoff i inni wspaniali ludzie z Grupy 277. Pamiętajcie, że każdy z nich w okropnych okolicznościach utracił kogoś bliskiego i kochanego, a jednak przy każdej okazji stawali w mojej obronie. Mel i Geoff pomogli mi nawet przy przeprowadzce. Wspólnie zastanawialiśmy się, co zrobić z tymi wszystkimi zdjęciami rodzinnymi, które wisiały dosłownie wszędzie. W końcu postanowiliśmy schować je do czasu, kiedy Jess całkiem pogodzi się ze śmiercią rodziców i siostry. Byli dla mnie jak skała, mówię to z głębi serca.

Musielśmy sobie poradzić nie tylko z zólcą, którą pluli Adamsowie i posłuszni im pismacy, zwłaszcza wtedy, kiedy zaczęły zyskiwać na popularności te wszystkie teorie spiskowe. Zwłaszcza Mel doprowadzały do szału. Może tego po niej nie widać, ale jest gorliwą katoliczką, więc czuła się nimi autentycznie dotknięta – najbardziej tą o Czterech Jeźdźcach.

Mniej więcej wtedy dotarła do nas informacja o planowanej ceremonii żałobnej. Nieliczne odnalezione ciała miały pozostać do dyspozycji władz do końca śledztwa, które mogło jeszcze trwać miesiącami, a my wszyscy potrzebowaliśmy czegoś, co zakończyłoby dla nas tę sprawę. Wciąż nie ustalono przyczyn katastrofy maszyny Go!Go!, chociaż – tak samo jak w przypadku pozostałych trzech katastrof – wykluczono zamach terrorystyczny. Staralem się nie śledzić zbyt dokładnie informacji o postępach śledztwa, ale z tego, co wpadło mi w ucho, wynikało, że za najbardziej prawdopodobny uważano wpływ burzy elektrycznej, odpowiedzialnej za turbulencje, w które wpadły także inne maszyny. Mel powiedziała mi, że oglądała film z miniaturowego okrętu podwodnego, który marynarka wysłała na dno oceanu w nadziei odnalezienia czarnych skrzynek. Opowiadała mi, że tam, w dole, panował absolutny spokój i że środkowa część kadłuba, która na zawsze spoczęła w podwodnym grobowcu, sprawiała wrażenie prawie nienaruszonej. Wyznała mi, że tym, co daje jej siłę przetrwania, jest nadzieja, że wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Nie poradziłaby sobie ze świadomością, że Danielle i pozostali pasażerowie zdawali sobie sprawę z tego, że muszą zginąć, jak ci nieszczęśnicy z tego japońskiego samolotu, którzy zdążyli nawet nagrać wiadomości dla rodzin. Oczywiście, dobrze ją rozumiałem, ale nie wolno tak myśleć, po prostu nie wolno.

Zamknięte nabożeństwo żałobne miało zostać odprawione w katedrze św. Pawła, ogólnie dostępne zaś, trwające równolegle, na Trafalgar Square. Wiedziałem, że z pewnością zjawi się także Rodzina Addamsów, przypuszczalnie w asyście ich ulubionego pismaka z „The Sun”, więc – co rozumiałem – trochę się denerwowałem.

Z odsieczą ponownie pospieszyli Mel, Geoff i cała armia ich przyjaciół. Przez cały ciężki dzień nie odstępowali mnie nawet na krok. Prawdę mówiąc, wywodzili się z tego samego środowiska co rodzina Shelly. Geoff od lat nie miał pracy, mieszkali na zbudowanym przez gminę osiedlu w Orpington, całkiem blisko Adamsów. Trudno by się było dziwić, gdyby wzięli stronę Marilyn i spółki, zwłaszcza że media rozpowszechniały mój wizerunek „snoba po szkole publicznej, który miał artystyczne aspiracje”. Tak się jednak nie stało. Kiedy zjawiliśmy się na uroczystości, przypadkowo o tej samej porze co Adamsowie (I jak tu nie wierzyć w fatum? Przecież tam były tysiące ludzi!), Mel wycelowała palec w twarz Marilyn i syknęła:

– Tylko spróbuj rozrabiać, a pożałujesz!

Marilyn miała na głowie tandetny czarny kapelusz przypominający pająka; choć udało jej się zachować kamienną twarz, pająk aż się zatrząsnął z oburzenia. Jase i Keith zjeżyli się, ale Gavin, najstarszy syn Mel i Geoffa, ogolony na łyso i zbudowany jak wykidajło, usadził ich jednym spojrzeniem. Później dowiedziałem się, że ma „kontakty”, i lepiej z nim nie zadzierać. Chętnie bym go wtedy uściskał.

Nie będę się rozwodził o samym nabożeństwie, ale najbardziej wzruszyłem się podczas przemowy Kelvina. Wybrał wiersz W.H. Audena *Zatrzymajcie zegary* – ten, który większość ludzi zna z filmu *Cztery wesela i pogrzeb*. Mogło to zabrzmieć ckliwie i sentymentalnie, ale ten wielki facet z dredami czytał wiersz ze spokojną godnością, a kiedy doszedł do słów: „niech samoloty kreślą na niebie żałobne kręgi”, w kościele panowała taka cisza, że można by usłyszeć spadającą kroplę.

Jak tylko wyszedłem z katedry, zadzwonił doktor Kasabian. Jess się obudziła.

Nie mam pojęcia, w jaki sposób Marilyn i Adamsowie dowiedzieli się o tym – zapewne zawiadomiła ich któraś pielęgniarka – ale kiedy dotarłem do szpitala, tak napompowany emocjami, że mało nie eksplodowałem, oni już czekali przed jej pokojem. Doktor K wiedział o naszych wzajemnych uczuciach – nie mieszkał przecież w klasztorze – powiedział więc stanowczo, że ostatnią rzeczą, jakiej Jess może w tej chwili potrzebować, jest napięta atmosfera. Marilyn bez entuzjazmu zgodziła się trzymać głowę na kłódkę, kazała Festerowi i Gomezowi zaczekać w korytarzu, i dopiero wtedy wpuszczono nas do środka. Marilyn, w trzęsącym się kapeluszu na głowie, niemal odepchnęła mnie na bok i pierwsza dopadła łóżka.

– To ja, Jessie! Twoja babcia!

Jess spojrzała na nią obojętnie, po czym wyciągnęła rękę ku mnie. Chciałbym powiedzieć, że Jess wiedziała, kim jesteśmy, lecz ona patrzyła na nas jak na zupełnie obcych ludzi, co było całkiem zrozumiałe. Wciąż jednak wydaje mi się, że wystarczyło jej jedno spojrzenie, by zdecydować, kto z nas będzie dla niej mniejszym złem.

**Chiyoko i Ryu**

**Logowanie @ 19.46 21/01/2012**

**Ryu:** Jesteś tam???

**Logowanie @ 22.30 21/01/2012**

**Chiyoko:** Już wróciłam.

**Ryu:** Kiedy?

**Chiyoko:** Jakies pięć minut temu.

**Ryu:** Przez 24 godziny żadnej wiadomości. Nie było cię. To do ciebie niepodobne.

**Chiyoko:** Miło, że się martwiłeś. Co robiłeś w tym czasie?

**Ryu:** To co zwykle: spałem. Zjadłem coś, obejrzałem jakiś prastary odcinek *Witajcie w NHK*, żeby zabić czas. A ty... Okłamałaś mnie.

**Chiyoko:** Jak to?

**Ryu:** Wybacz. Nie chciałem wprawić cię w zakłopotanie. Przepraszam, to tylko głupi żart.

(<^~^>)par **Chiyoko:** Skąd wiesz, że to byłam ja? Przecież nie miałam identyfikatora.

**Ryu:** To musiałaś być ty. Stałaś obok Hiro, tuż za swoim wujkiem, zgadza się? O Hiro i Kenjim mówili prawie tyle samo co o... Jak ona się nazywa? O szalonej żonie ministra Uri. O tej, która wierzy w Obcych.

**Chiyoko:** Aikao Uri.

**Ryu:** Tak, zgadza się. Więc to byłaś ty?

**Chiyoko:** Może.

**Ryu:** Wiedziałem! A mówiłaś, że nie interesuje cię moda...

**Chiyoko:** Bo nie interesuje. Może wystarczy już rozmowy o sprawach osobistych?

**Ryu:** Jeszcze raz przepraszam. A więc, jak było?

**Chiyoko:** To było nabożeństwo żałobne, więc jak ci się wydaje, jak mogło być?

**Ryu:** Czy ja cię irytuję?

**Chiyoko:** Nie zapominaj, że jestem Lodową Księżniczką, mnie wszystko irytuje. Opowiem ci, skoro cię to interesuje. Chcesz usłyszeć wszystko, ze szczegółami?

**Ryu:** Ze wszystkimi. Posłuchaj... Wiem, że to wbrew zasadom, ale... Wystarczy, że powiesz. Chcesz porozmawiać przez Skype'a?

**Chiyoko:** ...

**Ryu:** Jesteś tam jeszcze?

**Chiyoko:** Lepiej niech będzie jak zwykle.

**Ryu:** Jak sobie życzysz, Lodowa Księżniczko. Wiem, jak teraz wyglądasz. Nie uda ci się przede mną ukryć. (wwwwwwwwwwwwww) Wybacz, już przestałem się szyderczo śmiać.

**Chiyoko:** Dziwnie się czuję, wiedząc, że znasz moją twarz. Zupełnie jakbyś miał teraz nade mną władzę albo coś w tym rodzaju.

**Ryu:** Ejże! Ja pierwszy powiedziałem ci, kim naprawdę jestem. Nie uwierzysz, jakie to było dla mnie trudne.

**Chiyoko:** Wierzę. Nie jestem paranoiczką.

**Ryu:** Opowiadałem ci o sprawach, o których nigdy nikomu nie mówiłem. Nie oceniaj mnie. Nie patrz na mnie tak jak te stare suki z sąsiedztwa.

**Chiyoko:** Jak mogłabym? Mieszkamy daleko od siebie.

**Ryu:** Wiesz, co mam na myśli. Ufam ci.

**Chiyoko:** Tyle że ty wiesz, jak wyglądam, a ja nie wiem, jak ty wyglądasz.

**Ryu:** Na pewno ty wyglądasz lepiej. (^~^)

**Chiyoko:** Wystarczy!



**Ryu:** W porządku. Powiedz mi więc, jak tam było. Z zewnątrz – bardzo emocjonalnie. Te wszystkie zdjęcia pasażerów w świątyni... Mnóstwo ich było.

**Chiyoko:** Tak właśnie było. Emocjonalnie, o to mi chodzi. Nawet Lodowa Księżniczka nie zdołała się oprzeć. 526 ludzi... Sama nie wiem, od czego zacząć...

**Ryu:** Od początku.

**Chiyoko:** No dobrze... Jak już ci powiedziałam, musieliśmy wyjechać z domu bardzo wcześniej. Ojciec pierwszy raz w życiu wziął dzień wolny, a Matkostwór kazał mi ubrać się na czarno, ale tak, „żeby nie było za modnie”. Nie ma sprawy.

**Ryu:** Wyglądałaś świetnie.

**Chiyoko:** Ryu!

**Ryu:** Wybacz.

**Chiyoko:** Ze względu na pozycję Wujka Androida zostaliśmy zakwaterowani w domku turystycznym w pobliżu jeziora Saito, dzięki czemu nie musieliśmy wyjeżdżać od razu po uroczystościach, w przeciwieństwie do większości rodzin, choć sporo z nich zatrzymało się w Ośrodku Górskim i w innych hotelach w okolicach góry Fuji. Domek był urządzonej w tradycyjnym japońskim stylu. Należał do pary starszków wpatrzonych w Wujka Androida jak w obrazek. Ona chciała nam co chwila przynosić herbatę i wciąż tłumaczyła, jak najłatwiej zejść na brzeg jeziora, zupełnie jakbyśmy przyjechali na wakacje.

**Ryu:** Przypomina moje sąsiadki.

**Chiyoko:** No tak. Stara wścibska baba. Kiedy przyjechaliśmy, właśnie opadała poranna mgła i było bardzo zimno. Matkostwór gadał w samochodzie jak najęty. Ciągłe pokazywała nam, gdzie byłaby góra Fuji, gdyby było ją widać. Akurat tego dnia przez cały czas była ona skryta za chmurami. Wujek Android już na nas czekał, bo poprzedniego wieczoru przyjechał z Osaki z Hiro i siostrą jednego z laborantów, którą poprosił, żeby się nim opiekowała. Wiem, że Matkostwór poczuł się urażony, kiedy po tym, jak Hiro wyszedł ze szpitala, wrócił do Osaki, zamiast zostać u nas, ale oczywiście nie dała niczego po sobie poznać. Wujek Android wyglądał znacznie starszej niż w moich wspomnieniach.

**Ryu:** Czy myślisz, że postarza swojego robota w miarę, jak sam się starzeje?

**Chiyoko:** Ryu! Taka zgryźliwość zupełnie do ciebie nie pasuje!

**Ryu:** Przepraszam. A Hiro?

**Chiyoko:** Spał, kiedy przyjechaliśmy. Nie zapominaj, że było całkiem wcześniej. Asystentka kłaniała nam się do ziemi, ale przez cały czas ani na chwilę nie spuszczała wzroku z wujka. Widać było, że upatrzyła go sobie na męża. Jak tylko Matkostwór, ojciec i wujek przeszli do drugiego pokoju, żeby porozmawiać, wyjęła telefon i zaczęła jak szalona pisać SMS-y.

**Ryu:** Chyba ją widziałem. Duża nalana twarz, tłusta.

**Chiyoko:** Skąd wiesz, że to nie byłam ja?

**Ryu:** A byłaś? Jeśli tak, to przepraszam. Nie chciałem cię urazić.

**Chiyoko:** Oczywiście, że to nie byłam ja!

**Ryu:** o(--)o Wybacz idiocie!

**Chiyoko:** Ależ łatwo cię nabrać! Kiedy rodzice skończyli prywatną rozmowę z Wujkiem Androidem, wszyscy wrócili do pokoju i było naprawdę drętwą i sztywno. „Muszę obudzić Hiro – powiedział w końcu wujek. – Już czas”. „Ja to zrobię” – powiedziała asystentka. Będę ją nazywała Wielką Twarzą. No więc, Wielka Twarz ukloniła się jak idiotka i wyszła. To było nawet zabawne, bo zaraz potem usłyszeliśmy wrzask i wróciła biegiem, krzycząc: „Ajaj, Hiro mnie ugryzł!”

**Ryu:** Ugryzł ją? Serio?

**Chiyoko:** Należało jej się. Matkostwór powiedział, że Hiro śnił się pewnie jakiś koszmar.

Widziałam, że też nie ma najlepszego zdania o Wielkiej Twarzy, co po raz pierwszy od długiego czasu nastawiło mnie pozytywnie do MS. Wujek Android poszedł po niego na górę. Hiro miał na sobie czarne ubranie, oczy miał zapuchnięte od snu. Potem wujek tak jakby go nie dostrzegał i nawet się do niego nie odezwał.

**Ryu:** Jak to?

**Chiyoko:** Podejrzewam, że jego widok sprawiał mu ból, bo przypominał o cioci Hiromi. Co prawda Hiro w ogóle nie jest do niej podobny, ale kto wie, może tak samo się poruszają? Czy mogę mówić dalej?

**Ryu:** Proszę.

**Chiyoko:** Hiroko przyjrzał się każdemu z nas po kolei, a potem podszedł do mnie i wziął za rękę. Początkowo nie wiedziałam, jak zareagować. Miał lodowate palce. Matkostwór był chyba zaskoczony, że Hiro wybrał właśnie mnie, i próbowała go do siebie zwabić, ale on ani drgnął. Przytulił się do mnie i westchnął.

**Ryu:** Myślisz, że przypominałaś mu matkę?

**Chiyoko:** Może. Albo może zorientował się, że reszta to pieprzone dupki.

**Ryu:** !!!!

**Chiyoko:** Potem pojechaliśmy do świątyni na nabożeństwo żałobne. Było jeszcze wcześniej, ale już zgromadziły się tysiące ludzi, mnóstwo reporterów i kamery telewizyjne. Na widok Hiro na chwilę zapadła taka cisza – wciąż trzymał mnie za rękę – że aż można było usłyszeć pracę kamer i aparatów fotograficznych. Wiele osób skłoniło się z szacunkiem, ale nie wiem, czy kłaniali się jemu, czy wujkowi. Dziwnie się czułam, będąc w centrum uwagi, ale Wielkiej Twarzy ogromnie się to podobało. Ojciec miał twarz pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu, Matkostwór nie wiedział, gdzie oczy podziać. Tłum cofnął się trochę, dzięki czemu mogliśmy bez kolejki podejść do ściany z fotografiami i pokłonić się cioci. Mgła jeszcze całkiem nie opadła, w powietrzu wisiała woń kadzidel. Nie nudzę cię? Nie za dużo szczegółów?

**Ryu:** Nie! Jestem wzruszony. Powinnaś być pisarką. Pięknie opowiadasz.

**Chiyoko:** Mówisz serio?

**Ryu:** Tak.

**Chiyoko:** Ha! Powiedz to komisji egzaminacyjnej.

**Ryu:** Mów dalej, proszę.

**Chiyoko:** Kiedy tam staliśmy, tłum zafalował i podeszła do nas niewysoka kobieta. Dopiero po chwili zorientowałam się, że to żona kapitana Seto. Jest stara, ma co najmniej czterdzieści lat, ale na żywo jest znacznie ładniejsza.

**Ryu:** Widziałem to w telewizji.

**Chiyoko:** Wykazała się dużą odwagą, że tam przyszła, bo wielu idiotów ciągle mówiło, że to kapitan Seto jest winien spowodowania katastrofy. Szlag mnie trafia, kiedy to słyszę, zwłaszcza że z wiadomości nagranych przez pasażerów jednoznacznie wynika, że do samego końca był spokojny i opanowany. No i jest to nagranie wideo zrobione telefonem komórkowym, na którym widać dym w kabinie pasażerskiej, z czego jednoznacznie wynika, że to musiała być usterka mechaniczna. Żona kapitana też była spokojna i opanowana. Ukłoniła się Hiro, ale nic nie powiedziała. Teraz żałuję, że się do niej nie odezwałam. Chciałam jej powiedzieć, że powinna być dumna z tego, co zrobił jej mąż. Potem odeszła, a później już jej nie widziałam.

**Ryu:** To musiało być silne przeżycie.

**Chiyoko:** Aha. Resztę pewnie widziałeś w telewizji.

**Ryu:** Rozmawiałaś z premierem?

**Chiyoko:** Nie. Na żywo jest znacznie starszy i niższy, niż przypuszczałam. No i lepiej widać tę jego fryzurę jak kod kreskowy. Kiedy powiał wiatr, włosy stanęły mu dęba i był całkiem

łysy.

**Ryu: !!!!**

**Chiyoko:** A słyszałeś, jak Wujek Android mówił o tym, że wszyscy szanowali za życia ciocię Hiromi i że zrobi wszystko, aby jak najlepiej uczcić jej pamięć, wychowując Hiro?

**Ryu:** Jasne.

**Chiyoko:** Nawet ja prawie się rozplakałam. Nie chodziło tylko o słowa, ale o atmosferę. Zaczynam chyba gadać jak jakiś psychol, co?

**Ryu:** Wcale nie. Czulem ją nawet w tym moim dziadowskim pokoiku.

**Chiyoko:** Hiro przez cały czas trzymał mnie za rękę. Co chwila zerkałam na niego, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, a Matkostwór i Wielka Twarz prawie się przepychały, żeby się nim zająć, ale on zupełnie nie zwracał na nie uwagi.

**Ryu:** Ta Amerykanka, która leciała samolotem... Przemawiała jej córka, prawda? Całkiem niezłe mówiła po japońsku.

**Chiyoko:** Tak. Wiadomość, którą nagrała jej matka... Jak myślisz, co chciała powiedzieć? „Chłopiec patrzcie chłopiec...” Myślisz, że przed śmiercią zobaczyła Hiro?

**Ryu:** Nie wiem. Słabo znam angielski, czytałem tylko tłumaczenie. Na 2-chan i Toko Z jest mnóstwo teorii na ten temat.

**Chiyoko:** Po co marnujesz czas na tych stronach? Pytam serio. Czym się tam teraz zajmują?

**Ryu:** Tym, co powiedziała o ludziach, którzy zginęli. Niektórzy twierdzą, że zobaczyła duchy zmarłych.

**Chiyoko:** Jasne. A nie mogła mówić o prawdziwych ludziach, którzy zginęli w katastrofie? Kretynów nie brakuje.

**Ryu:** Widziałaś jej zdjęcie?

**Chiyoko:** Które?

**Ryu:** Na tej amerykańskiej stronie celebautopsy.com. To, które zrobił ten wszawy reporter, zanim usunęli go z miejsca katastrofy. Było okropne.

**Chiyoko:** Dlaczego w ogóle je oglądałeś?

**Ryu:** Pewnie kliknąłem w jakiś link. Przepraszam, że pytam, ale... Czy twoja ciotka też nagrała jakąś wiadomość?

**Chiyoko:** Nie mam pojęcia. Wujek nic o tym nie mówił. Nawet jeśli to zrobiła, prasa nie zdołała do niej dotrzeć.

**Ryu:** No więc... Co było potem, po modlitwach i przemowach?

**Chiyoko:** Wróciliśmy do domku. Wielka Twarz uparła się, że Hiro powinien się przespać. Tym razem poszedł z nią bez protestów. Przez cały dzień nie odezwał się ani słowem. Matkostwór uważa, że to z powodu traumy.

**Ryu:** No jasne.

**Chiyoko:** Później Wielka Twarz próbowała wziąć mnie na pogaduszki, ale tak na nią spojrzałam, że szybko zrezygnowała i przez cały wieczór zajmowała się swoim telefonem. Wujek Android prawie cały czas milczał, choć Matkostwór starał się wciągnąć go w dyskusję o tym, co zrobić ze szczątkami cioci, kiedy je nam wydadzą.

**Ryu:** Zdaje się, że miała się odbyć masowa kremacja?

**Chiyoko:** Tak, ale nie jedna, tylko dwie: tutaj i w Osace. Ciocia urodziła się w Tokio, ale mieszkała w Osace, więc wujek będzie musiał podjąć decyzję, którą wybrać. Matkostwór zdołał go namówić, żeby zatrzymał się u nas na kilka dni przed wyjazdem do Osaki.

**Ryu:** Serio? Kenji Yanagida w twoim domu? Teraz?

**Chiyoko:** Aha. A Hiro śpi jak suseł w moim łóżku, zaledwie metr ode mnie.

**Ryu:** A Wielka Twarz?

**Chiyoko:** Matkostwór powiedział jej, że nie jest potrzebna, i kazał wracać do Osaki.

**Ryu:** Założę się, że się wkurzyła.

**Chiyoko:** No pewnie. Pierwszy raz w życiu byłam autentycznie dumna, że jestem córką Matkostwora.

**Ryu:** Mam jeszcze jedno trudne pytanie, na które nie musisz odpowiadać... Byłaś na miejscu katastrofy? Słyszałem, że niektóre rodziny pojechały tam następnego dnia.

**Chiyoko:** Nie. Dla wszystkich, którzy chcieli jechać, przygotowano autokary. Czekają przy stacji kolejowej Kawachiko. Ja bym pojechała, ale Matkostwór i ojciec chcieli wracać do miasta. Kiedyś tam jednak pojedę. Ach, zapomniałam ci o czymś powiedzieć! Po nabożeństwie podszedł do nas człowiek, który odnalazł Hiro, żeby złożyć wyrazy szacunku.

**Ryu:** Ten ze służby zapobiegania samobójstwom?

**Chiyoko:** Tak.

**Ryu:** Jaki był?

**Chiyoko:** Milczący, ale sprawiał wrażenie kogoś, komu można zaufać. Smutny, ale nie przygnębiony, jeśli to ma jakiś sens. Ze starej szkoły. Zaczekaj... Matkostwór mnie woła, Muszę iść.

**Ryu:** (☹️)

**Logowanie @ 10.30 22/01/2012**

**Chiyoko:** Ryu, jesteś?

**Ryu:** Jak zawsze. Co się dzieje?

**Chiyoko:** Wujek Android właśnie odkrył, że Wielka Twarz wysyłała e-maile do „Shukan Bunshun”, próbując sprzedać im swoją historię. Matkostwór się wściekł, Wujek Android mało nie eksploduje. Matkostwór zaproponował, żeby Hiro został u nas, zamiast wracać do Osaki, żeby uniknąć mediów. Ja miałabym się nim opiekować.

**Ryu:** Ty miałabyś się opiekować dzieckiem???

**Chiyoko:** Tak. A co, boisz się, że mogłabym go zepsuć?

**Ryu:** I zrobisz to? To znaczy, nie pytam, czy go zepsujesz, tylko czy będziesz się nim opiekować.

**Chiyoko:** Przecież wiesz, jak wygląda sytuacja. Co mogę zrobić? Nie jestem stworzona do swobodnego życia.

**Ryu:** W każdej chwili możesz wstąpić do mojego oddziału yakuzy. Potrzebujemy takich jak ty, mała.

**Chiyoko:** Już to słyszałam. Słuchaj, naprawdę muszę już iść. Matkostwór chce rozmawiać...

**Ryu:** Informuj mnie na bieżąco.

**Chiyoko:** Będę. I dziękuję, że jesteś.

**Ryu:** Zawsze. (☺️)

**Doktor Pascal de la Croix, francuski profesor robotyki wykładający obecnie w MIT, był jedną z niewielu osób, z którymi Kenji Yanagida (ojciec Hiro Yanagidy i uznany ekspert w dziedzinie robotyki) rozmawiał niedługo po katastrofie, w której zginęła jego żona.**

Znałem Kenjiego od lat. Poznaliśmy się w 2005 roku podczas Wystawy Światowej w Tokio, kiedy zademonstrował Surrabota nr 1 – swojego pierwszego androida – bliźniaka. Byłem pod wrażeniem jego umiejętności. Choć Surrabot nr 1 był wczesnym modelem, to już wtedy tylko z najwyższym trudem można było odróżnić go od Kenjiego. Wiele osób z naszej branży nie traktowało poważnie jego dokonań, uważając go za narcyza i żartownisia i zarzucając mu, że bardziej niż robotyką interesuje się ludzką psychologią, ale ja tak nie uważałem. Niektórzy byli głęboko zaniepokojeni pojawieniem się Surrabota nr 1. Byli tacy, co głośno mówili, że tworzenie maszyn przypominających do złudzenia ludzi jest nieetyczne. Co za bzdury! Przecież największym wyzwaniem dla nauki jest właśnie poznanie i zrozumienie natury człowieka!

Przenieś się teraz o kilka lat w przód. Przez cały czas korespondowaliśmy ze sobą, a w roku 2008 Kenji, jego żona Hiromi i ich syn przyjechali do mnie do Paryża. Hiromi prawie nie mówiła po angielsku, więc trudno było się z nią porozumieć, ale moja żona po prostu zakochała się w Hiro. „Jak dobrze wychowane są te japońskie dzieci!” Myślę, że gdyby mogła, z miejsca by go adoptowała.

Tak się złożyło, że akurat byłem w Tokio, kiedy dotarła do mnie wiadomość o katastrofie i śmierci żony Kenjiego. Od razu pomyślałem, że muszę go zobaczyć, że zwłaszcza teraz będzie potrzebował przyjaciół. Kiedy rok wcześniej rak zabrał mi ojca, z którym byłem ogromnie zżyty, Kenji natychmiast pospieszył z kondolencjami. Jednak Kenji nie odbierał telefonu, a jego asystenci z uniwersytetu w Osace nie chcieli mi zdradzić, gdzie przebywa. W kolejne dni wszędzie pełno było jego zdjęć. Trudno porównać to z medialnym szaleństwem, które wybuchło po odnalezieniu tego amerykańskiego chłopca i brytyjskiej dziewczynki – Japończycy nie są aż tak wścibscy – ale zainteresowanie z pewnością było ogromne. A te nedorzeczne plotki! Można było odnieść wrażenie, że całe Tokio jest zafascynowane Hiro. Słyszałem od obsługi hotelu, że wielu ludzi wierzyło, że w ciele chłopca zamieszkały dusze wszystkich, którzy zginęli w katastrofie. Co za nonsens!

Zastanawiałem się, czy pójść na nabożeństwo żałobne, ale w końcu uznałem, że to nie miejsce dla mnie. Wtedy usłyszałem, że Kenji wrócił do Osaki, i postanowiłem podjąć jeszcze jedną, ostatnią próbę skontaktowania się z nim. Kupiłem bilet na najbliższy lot do Osaki. Komunikacja lotnicza wróciła już prawie do normy.

Nie wstydzę się przyznać, że wykorzystałem moją reputację, aby dostać się do jego laboratorium na uniwersytecie. Jego asystenci – wielu z nich znałem osobiście – byli bardzo uprzejmi, lecz poinformowali mnie, że Kenji jest nieosiągalny. I wtedy zobaczyłem jego androida, Surrabota nr 3. Siedział w kącie i rozmawiał z jednym z asystentów. Od razu się domyśliłem, że to Kenji rozmawia za jego pośrednictwem. Często robił to wcześniej. Zdarzało się nawet, że kiedy bywał zapraszany na wykłady, a nie mógł opuścić uniwersytetu, posyłał swojego robota i przemawiał za jego pośrednictwem!

Czy mam wyjaśnić, jak to mniej więcej działa? Otóż, mówiąc najprościej, jak można, robot jest sterowany zdalnie za pomocą komputera. Obraz z kamery skierowanej na twarz i głowę Kenjiego jest przekazywany do mikrosilniczków elektrycznych ukrytych pod skórą na twarzy androida. W ten sposób android odtwarza mimikę Kenjiego, łącznie z mruganiem. Mikrofon rejestruje głos Kenjiego i przekazuje go do głośniczka ukrytego w ustach androida. Inny mechanizm, zainstalowany w klatce piersiowej maszyny – w gruncie rzeczy bardzo podobny do tych, z jakich korzystają producenci najdroższych modeli lalek do uprawiania seksu – symuluje oddychanie. Rozmowa z takim androidem to naprawdę niezwykle przeżycie. Na pierwszy rzut

oka jest nie do odróżnienia od swojego twórcy. Zmienia nawet fryzurę, ilekroć Kenji idzie do fryzjera! Uparłem się, że koniecznie muszę zamienić z nim kilka słów, i powiedziałem bez wahania:

– Kenji, tak mi przykro z powodu Hiromi. Wiem, jakie to dla ciebie trudne. Daj mi znać, jeśli jest coś, co mógłbym zrobić.

Po chwili android powiedział coś po japońsku do asystentki.

– Proszę – powiedziała do mnie i dała mi znak, żebym za nią poszedł.

Poprowadziła mnie niekończącym się labiryntem korytarzy, wciąż w dół, do podziemi budynku. Była uprzejma, ale nie odpowiadała na żadne pytania dotyczące jej przełożonego. Nieco wbrew sobie podziwiałem jej lojalność wobec szefa. W końcu zapukała do niewyróżniających się niczym drzwi. Otworzyły się i stanął w nich Kenji.

Byłem zszokowany jego wyglądem. Po niedawnej rozmowie z jego sobowtórem tym bardziej rzucało się w oczy, jak ogromnie się postarzał. Miał zmierzwione włosy i ciemne kręgi pod oczami. Warknął coś do asystentki, co było do niego zupełnie niepodobne, bo do tej pory nigdy nie widziałem, żeby zachowywał się niegrzecznie. Odeszła szybko, zostawiając nas samych.

Złożyłem mu kondolencje, ale on chyba ledwo mnie słyszał. Jego twarz była kompletnie nieruchoma, tylko oczy zdradzały oznaki życia. Podziękował mi za trud, jaki sobie zadałem, by do niego dotrzeć, ale zaraz dodał, że to zupełnie niepotrzebne. Zapytałem, dlaczego pracuje w piwnicy, a nie w swoim laboratorium, a on odparł, że męczy go przebywanie wśród ludzi. Od ceremonii żałobnej prasa ani na chwilę nie zostawiła go w spokoju. Potem zapytał, czy chciałbym zobaczyć jego najnowsze dzieło, i zaprosił mnie do pokoju.

– Och! – powiedziałem, gdy tylko przekroczyłem próg. – Widzę, że syn cię odwiedził?

Zrozumiałem swój błąd, jeszcze zanim dokończyłem zdanie. Dziecko, siedzące na niskim krzeselku przed jednym z komputerów, nie było człowiekiem, tylko repliką jego syna.

– Czy to właśnie jest twój najnowszy projekt? – zapytałem, starając się nie okazać, jak bardzo jestem wstrząśnięty.

Uśmiechnął się po raz pierwszy.

– Nie, tego skonstruowałem w ubiegłym roku.

Po czym wskazał w przeciwległy kąt pomieszczenia, gdzie siedział surrabort ubrany w białe kimono. Kobieta. Podeszedłem do niej. Była piękna, doskonała, z leciutkim uśmiechem na ustach. Jej pierś unosiła się i opadała, jakby głęboko oddychała.

– Czy to...?

Nic więcej nie chciało mi przejść przez gardło.

– Tak – odparł. – To Hiromi, moja żona. – Po czym, nie odrywając od niej wzroku, dodał: – Jest prawie tak, jakby tu była jej dusza.

Usiłowałem się dowiedzieć, po co skonstruował replikę zmarłej żony, ale odpowiedź jest chyba oczywista, nieprawdaż? Pomiął milczeniem moje pytania, powiedział natomiast, że Hiro został w Tokio u kogoś z rodziny. Pomyślałem: „Kenji, twój syn żyje i potrzebuje cię. Nie zapominaj o tym, przyjacielu”. Nie powiedziałem jednak tego głośno, nie tylko dlatego, że to nie była moja sprawa, ale przede wszystkim dlatego, że wiedziałem, że jego rozpacz i tak zagłuszy moje słowa. W związku z tym zrobiłem to, co mogłem: wyszedłem.

Na zewnątrz nawet widok pięknego miasta nie mógł mnie uspokoić. Czuję się dziwnie, jakby cały świat przesunął się trochę w posadach. Kiedy tak stałem i gapiłem się na budynek uniwersytetu, zaczął padać śnieg.

**Mandi Solomon jest współautorką niedokończonych wspomnień Paula Craddocka pt. *Jak strzegłem Jess, czyli moje życie z jednym z Trojga.***

Najważniejszym zadaniem podczas pierwszego spotkania jest jak najszybciej zdobyć zaufanie. Wspomnienia celebrytów są zazwyczaj zamawiane niemal z dnia na dzień, więc muszę pracować szybko. Większość moich klientów zdążyła się przyzwyczaić do tego, że przez ich całe zawodowe życie mówi się o nich i pisze totalne bzdury – często przykładają do tego rękę agencje PR, które oni sami zatrudniają – potrafią więc doskonale ukrywać swoje prawdziwe „ja”. Czytelnicy nie są jednak głupi i wyczują fałsz na kilometr. Zależy mi na tym, żeby zawsze dorzucić trochę nowego materiału i urozmaicić tradycyjny PR-owy bełkot przynajmniej kilkoma autentycznymi rewelacjami. Z Paulem, ma się rozumieć, nie miałam tego problemu. Od samego początku był autentyczny i otwarty. Mój wydawca błyskawicznie dogadał się z jego agentem. Chciał dostać relację z pierwszej ręki o tym, jak sobie radzi Jess. Spodziewał się, że zainteresowanie nią będzie gigantyczne, i się nie pomylił. Temat rósł dosłownie z dnia na dzień.

Pierwszy raz spotkaliśmy się w kawiarni w Chiselhurst, zdaje się, że na początku lutego. Jess jeszcze leżała w szpitalu, a Paul właśnie przeprowadzał się do nowego domu, przygotowując go na jej przyjęcie. Moje pierwsze wrażenie? Czarujący, dowcipny, oczywiście odrobinę zniewieściały, ale przecież jest, a raczej był, aktorem. Śmierć brata niewątpliwie mocno nim wstrząsnęła. Kiedy poruszyłam ten temat, uronił kilka łez, ale nie był tym ani trochę zażenowany. Zaskakująco szczerze mówił o swojej przeszłości, w tym również o tym, że jako dwudziestokilkulatek za dużo pił, eksperymentował z narkotykami i sypiał, z kim popadnie. Nie opisywał ze szczegółami pobytu w szpitalu psychiatrycznym, ale też się tego nie wypierał. Stwierdził, że przyczyną załamania nerwowego był stres spowodowany problemami zawodowymi. Nawet przez chwilę nie miałam wątpliwości, że bez problemu poradzi sobie z opieką nad dzieckiem. Gdyby ktoś zapytał mnie po tym pierwszym spotkaniu, co o nim sędzę, powiedziałabym, że jest porządnym człowiekiem. Może odrobinę za bardzo skoncentrowanym na sobie, ale to i tak nic w porównaniu z wieloma ludźmi, z którymi miewałam do czynienia.

Po tym, jak już zdobędę ich zaufanie, wręczam klientom dyktafon – konkretnie rzecz biorąc: cyfrowy rejestrator dźwięku – i namawiam, żeby nagrywali wszystko, co przyjdzie im do głowy, nie zastanawiając się zbytnio nad tym, co mówią. Zapewniam ich, że nie wykorzystam niczego, co mogłoby im zaszkodzić. Większość chce dostać to zobowiązanie na piśmie, a ja nie mam nic przeciwko temu. Są sposoby na obejście tego rodzaju obietnic, a poza tym większość z własnej woli dorzuca różne pikantne szczegóły. To niesamowite, jak szybko przyzwyczajają się do dyktafonu! Niektórzy traktują go jak osobistego terapeutę. Czytałaś *Walcząc o sławę*, autobiografię Lenniego L, tego zawodnika MMA? Wyszła w zeszłym roku. Rety, co on naopowiadał... Wykorzystałam najwyżej połowę z tego. Zdarzało się, że zostawiał dyktafon włączony nawet wtedy, kiedy uprawiał seks – jestem prawie pewna, że celowo.

W towarzystwie dyktafonu Paul czuł się jak ryba w wodzie. Początkowo wszystko szło jak z płatka. Wkrótce miałam gotową pierwszą wersję trzech początkowych rozdziałów i napisałam mu w e-mailu, czego jeszcze będziemy potrzebować. Regularnie jak w zegarku przysyłał mi kolejne nagrania, a potem, zupełnie nagle – mniej więcej tydzień po powrocie Jess do domu – zapadła cisza. Tłumaczyłam to sobie nadmiarem domowych obowiązków, zainteresowaniem mediów i nachalnością rozmaitych świrów, którzy nie chcieli zostawić ich w spokoju, i przez jakiś miesiąc udawałam przed wydawcą, że wszystko jest w porządku. Przez cały czas obiecywał, że lada chwila znowu coś przyśle, a potem całkiem niespodziewanie oświadczył, że rezygnuje z publikacji książki. Wydawca dostał szału i zagroził mu procesem. Przecież zapłacił zaliczkę.

Na stole w salonie zostawił kopertę z moim nazwiskiem i numerem telefonu. Mel ją

znalazła. W środku był pendrive. Oczywiście przekazałam go policji, ale wcześniej przekopowałam zawartość na mój komputer. Chodziło mi po głowie, żeby spisać to i być może nawet kiedyś wydać, ale nie potrafiłam się zmusić, żeby ponownie to odsłuchać.

Przestraszyłam się, Elspeth. Cholernie się przestraszyłam.



## Transkrypcja nagrania głosowego dokonanego przez Paula Craddocka 12 lutego 2012.

22.15

No to znowu jedziemy, Mandi. Mój Boże, za każdym razem, kiedy wymawiam twoje imię, przypomina mi się piosenka Barry'ego Manilowa. Czy to możliwe, że śpiewał o swoim psie? Przepraszam, to nie czas i miejsce na żarciki, ale przecież sama kazałaś mi mówić o wszystkim, co przychodzi mi do głowy, a dzięki temu przynajmniej przez chwilę nie myślę o... Sama wiesz. O Stephenie, o katastrofie, o całym tym gównie.

(szloch)

Przepraszam. Przepraszam. Już w porządku. Czasem nachodzi mnie coś takiego. Wydaje mi się, że radzę sobie ze wszystkim, a potem... A więc: szósty dzień po powrocie Jess do domu. Wciąż jest tak, jakby ktoś wytarł tablicę wilgotną gąbką. Wspomnienia sprzed Czarnego Czwartku są niewyraźne i fragmentaryczne, samej katastrofy w ogóle nie pamięta. Codziennie rano odprawia ten sam rytuał, jakby żyła w oderwaniu od realnego świata i musiała sobie przypominać, kim jest: „Nazywam się Jessica, ty jesteś wujek Paul, moja mama, tata i siostra odeszli do Nieba”. Trochę mi głupio z powodu tego Nieba, bo Stephen i Shelly byli ateistami, ale jak inaczej wyjaśnić sześciolletniemu dziecku, czym jest śmierć? Wciąż sobie powtarzam słowa doktora Kasabiana (Boże, nie dalej jak wczoraj przejęczyłem się i nazwałem go doktorem Kevorkianem... Proszę, nie wspominaj o tym), który uprzedzał, że minie sporo czasu, nim się dostosuje i że zmiany w jej zachowaniu są całkowicie naturalne. Jak wiesz, nie ma żadnych objawów uszkodzenia mózgu, ale poszperałem w internecie i wiem, że zespół stresu pourazowego może wyczyniać z ludźmi różne rzeczy. Z drugiej strony, choć to może się wydać dziwne, jest znacznie bardziej komunikatywna niż przed wypadkiem.

Kiedy dziś wieczorem kładłem ją spać, zdarzyło się coś dziwnego, ale nie jestem pewien, czy możemy wykorzystać to w książce. Pamiętasz, jak mówiłem ci, że czytamy książkę *Lew, czarownica i stara szafa*? Sama to wybrała. No więc, ni z tego, ni z owego, Jess pyta:

– Wujku, a czy pan Tumnus też lubi całować się z mężczyznami, tak jak ty?

Powiadam ci, Mandi, zamurowało mnie. Stephen i Shelly uważali, że dziewczynki są jeszcze za małe na rozmowę o ptaszkach i pszczołkach, a co dopiero na bardziej skomplikowane tematy, więc – o ile wiem – temat mojego homoseksualizmu nigdy nie był poruszany. Ja z kolei, ze względu na te niewiarygodne bzdury, jakie wygaduje się w Stanach o niej i o pozostałych ocalałych dzieciach, nie pozwalałem jej czytać gazet ani łązić po internecie. Nie wspominając o tej pieprzonej Marilyn i całej rodzinie Adamsów, bezustannie obrzucających mnie błotem w tabletkach. Chciałem zapytać, od kogo się dowiedziała, że lubię całować się z mężczyznami, ale uznałem, że lepiej nie robić z tego wielkiej sprawy. Możliwe, że jakimś pismakowi udało się jednak dotrzeć do niej w szpitalu, ale nikt mi o tym nie powiedział. Ona jednak drażyła temat.

– Lubi czy nie, wujku?

Znasz tę książkę, prawda? Pan Tumnus jest pierwszym z mówiących zwierząt, które spotyka Lucy, kiedy przez starą szafę dostaje się do Narnii. Ma kozią bródkę i nogi sarny – jakiś faun, czy coś w tym rodzaju. (Bardzo przypomina psychologa, który zajmował się mną zaraz po tym, jak dotarła do mnie wiadomość o Jess). Prawdę powiedziawszy, na ilustracji w książce wygląda na stuprocentowego geja, z tym szaliczkiem owiniętym wokół szyi. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby przed chwilą zabawiał się w lesie z paroma centaurami. O Boże. Tego też nie zapisuj, proszę. Zdaje się, że odpowiedziałem coś w tym rodzaju:

– Nawet jeśli tak jest, to widocznie uznał, że to mu odpowiada, prawda?

I czytałem dalej.

Poczułem się trochę nieswojo, kiedy doszliśmy do miejsca, w którym Aslan, mówiący

lew, poddaje się złej królowej i godzi się, żeby go zabito. Stephen opowiadał mi, że kiedy rok temu czytał dziewczynom ten fragment, rozplakały się, a Polly miała potem senne koszmary. Tym razem jednak Jess nie uroniła ani jednej łzy.

– Dlaczego Aslan tak postąpił, wujku? Przecież to głupie, prawda?

Uznałem, że rozsądniej będzie nie wdawać się w wyjaśnienia, że śmierć Aslana to chrześcijańska alegoria, Jezus umierający na krzyżu za nasze grzechy, bla, bla, bla, i tak dalej, i ograniczyłem się do czegoś takiego:

– No cóż, Edmund zdradził i zła królowa postanowiła go zabić, ale Aslan zgodził się go zastąpić, bo jest dobry i szlachetny.

– Mimo wszystko to głupie. Ale cieszę się, bo lubię Edmunda.

O ile pamiętasz, Mandi, Edmund jest zepsutym, rozkapryszonym, kłamliwym i niezdolnym bachorem.

– Dlaczego?

A ona na to:

– Bo to jedyne dziecko, które nie jest pieprzoną cipą.

Chryste, nie miałem pojęcia, czy ją zrugać, czy parsknąć śmiechem. Wspominałem ci już, że nauczyła się przeklinać podczas pobytu w szpitalu? Na pewno dzięki salowym albo sprzątaczkom, bo nie wyobrażam sobie, żeby doktor K albo pielęgniarki posługiwali się przy niej takim słownictwem.

– Nie powinnaś tak mówić, Jess – powiedziałem wreszcie.

– To znaczy jak? – A potem: – Poza tym tak przecież nie może być, wujku. Pierdolona szafa, też coś!

Rozbawiło ją to, a krótko potem zasnęła.

Powinienem się chyba cieszyć, że w ogóle mówi i może się porozumiewać. Nie widać, żeby reagowała smutkiem, kiedy wspominam o Stephenie, Shelly albo Polly, ale przecież to dopiero początek. Doktor K kazał mi być przygotowanym na załamanie emocjonalne, ale jak na razie wszystko jest w porządku. Oczywiście, nie ma jeszcze mowy o tym, żeby Jess poszła do szkoły – tego tylko brakowało, by usłudni koledzy powtórzyli jej te niestworzone rzeczy, jakie wygaduje się na jej temat – lecz krok po kroku zbliżamy się do normalnego życia.

Co jeszcze? Ach, tak: jutro przychodzi Darren z opieki społecznej, żeby sprawdzić, czy sobie radzę. Mówiłem ci o nim? Jest w porządku; może trochę za bardzo brodaty, w sandałach i upakany resztkami śniadania, ale za to po mojej stronie. Nie jest wykluczone, że jednak zacznę się rozglądać za kimś do pomocy – moja wścibska sąsiadka, pani Ellington-Burn (ale nazwisko, co?), wciąż proponuje, że zajmie się Jess. Mel i Geoff też zgłaszają swoje usługi. Ależ z nich twardziele! Myślę, że mogłabyś napisać coś takiego: „Mel i Geoff niestrudzenie służyli mi wsparciem, kiedy zmagalem się z zupełnie dla mnie nową rolą samotnego rodzica”. Za bardzo nadęte? W porządku, popracujemy nad tym. Świetnie sobie poradziłaś z początkowymi rozdziałami, więc dalej też na pewno wszystko się uda.

Zaczekaj chwilę, muszę się napić herbaty. Cholera, rozlałem! Auuu, gorąca! No dobrze...

Dzięki Bogu, dziś nie było żadnych telefonów od świrów. Wyznawcy teorii, że Jess jest przybyszem z kosmosu, przestali nas dręczyć, jak tylko poprosiłem policję, żeby się nimi zajęła, zostali więc tylko dewoci i prasa. Tych z branży filmowej wziął na siebie Gerry. Jego zdaniem powinniśmy jeszcze poczekać z aukcją na prawa do sfilmowania historii Jess. Wiem, że to może wyglądać, jakbyśmy byli cholernie chciwi, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę pieniądze z ubezpieczenia, ale kiedyś, kiedy Jess będzie dorosła, podziękuję mi za to, że urządziłem ją finansowo do końca życia. To trudna sprawa. Nie mam pojęcia, jak sobie radzi ten amerykański chłopiec. Tam zamieszanie wokół niego na pewno jest jeszcze większe. Szczerze współczuję jego

babci. Całe szczęście, że mieszka w Nowym Jorku, a nie na zacofanym religijnym Południu. Sądzę, że z czasem wrzawa przycichnie. Wspominałem ci o tym, że producenci jednego z największych talk-show w Stanach chcą zaprosić do programu wszystkich Troje? Zaproponowali Jess i mnie przelot do Nowego Jorku, ale dla niej jest jeszcze dużo za wcześnie. Potem uparli się na wywiad przez Skype'a, ale nic z tego nie wyszło, bo ojciec tego małego Japończyka i babcia Bobby'ego kategorycznie odmówili. Mamy na to czas. Są dni, kiedy chętnie wyłączyłbym ten cholerny telefon, ale to niemożliwe. Ach, mówiłem ci, że mam w przyszłym tygodniu wystąpić w *Porannej pogawędce z Randym i Margaret*? Koniecznie obejrzyj i powiedz mi, jak ci się podobało. Zgodziłem się, bo nie mogłem się od nich opędzić, a Gerry uważa, że to świetna okazja, żeby powiedzieć, jak naprawdę mają się sprawy po tych wszystkich bzdurach, które wypisywał na mój temat „The Mail on Sunday”.

*(dźwięk dzwonka – temat z Doktora Żywago)*

Zaczekaj chwilę.

Znowu ta pieprzona Marilyn! O tej porze! Nie ma mowy, nie odbiorę. Dzięki Ci, Boże, za usługę identyfikacji numeru. Znowu wierciłaby mi dziurę w brzuchu, żebym jak najprędzej przywiózł do nich Jess w odwiedziny. Nie mogę odwlekać tego w nieskończoność, bo jak nie znowu pobiegnie do swojego ulubionego pismaka z „The Sun” i zacznie mleć ozorem, ale ciągle czekam na przeprosiny za wywiad dla „Chat”, w którym nazwała mnie kompletnym świrem. Mam nadzieję, Mandi, że nie bierzesz tego wszystkiego za bardzo serio. Myślisz, że w książce powinniśmy powiedzieć więcej na ten temat? Bo Gerry uważa, że lepiej to olać. Bo i o czym tu gadać, w gruncie rzeczy? Dziesięć lat temu trochę straciłem kontrolę nad moim życiem, wielkie rzeczy. Od dnia, kiedy dowiedziałem się o katastrofie, nie miałem w ustach ani kropli alkoholu.

*(ziewnięcie)*

No, na razie chyba wystarczy. Dobranoc. Idę spać.

3.30

W porządku. Już w porządku. Oddychaj.

Stało się coś strasznego, Mandi. Ja...

Oddychaj głęboko, Paul. To jest tylko w twojej głowie. To jest tylko w twojej pieprzonej głowie.

Powiedz o tym. Tak. Czemu nie, do cholery? Przecież potem mogę wszystko skasować, prawda? Psychologia narracyjna. Doktor K byłby dumny.

*(niepewny śmiech)*

Jezu, jestem mokry od potu. Dosłownie mokry. To już zaczyna się zacierać, ale tyle pamiętam:

Obudziłem się nagle i poczułem, że ktoś siedzi w nogach łóżka. Materac zapadał się pod czyjś ciężarem. Usiadłem w łóżku, przerażony jak nie wiem co. Chyba instynktownie wyczułem, że to za duży ciężar jak na Jess. Zdaje się, że zapytałem:

– Kto tu jest?

Moje oczy stopniowo przyzwyczajały się do ciemności. Wkrótce dostrzegłem czarny kształt w nogach łóżka.

Zamarłem w bezruchu. Nigdy w życiu nie bałem się tak bardzo. Czuję się tak, jakby... Kurwa, jakbym zamiast krwi miał w żyłach szybko tężejący beton. Nie wiem, jak długo gapilem się na to coś. Siedziało z pochyloną głową, wpatrzone w swoje dłonie. A potem się odezwało.

– Co ty zrobiłeś, Paul? Dlaczego to tutaj wpuściłeś?

To był Stephen. Od razu rozpoznałem jego głos, ale nie sylwetkę. Wyglądał... inaczej. Jakiś taki zwinięty, zgarbiony, z za dużą głową, ale cholernie prawdziwy. Mimo paniki przez chwilę byłem pewien, że naprawdę tam jest, i ogarnęła mnie fala ulgi i radości.

– Stephen!

Wyciągnąłem rękę, ale on zniknął.

5.45

Mój Boże, właśnie to odsłuchałem. Czy to nie dziwne, że sen może być tak realistyczny, a zaraz potem tak szybko zblaknąć? Pewnie moja podświadomość próbuje mi coś powiedzieć. Byłoby miło, gdyby się pospieszyła i nie strzelała z takich wielkich armat. Sam nie wiem, czy ci to posłać, czy nie. Nie chcę, żebyś uważała mnie za świra, zwłaszcza w kontekście tego wszystkiego, co ludzie o mnie mówią.

Co to miało znaczyć: „Dlaczego to tutaj wpuściłeś?”.

**CZEŚĆ CZWARTA**  
**SPISEK:**

—

**LUTY–MARZEC**

## **Druga relacja Reby Louisy Neilson, „najlepszej przyjaciółki” Pameli May Donald.**

Stephenie powiedziała, że kiedy usłyszała program pastora Lena, w którym mówił o wiadomości pozostawionej przez Pamelę, o mało nie dostała ataku szału. Zwykle omawiał swoje najbliższe wystąpienie podczas spotkania kółka biblijnego, ale tym razem z nikim niczego nie konsultował. Długo po tym nie mogłam zasnąć. Nie byłam w stanie zrozumieć, dlaczego najpierw nie podzielił się czymś tak istotnym ze swoimi wiernymi. Później twierdził, jakoby tego dnia spłynęło na niego olśnienie i poczuł, że jego powołaniem jest jak najszybsze ogłoszenie prawdy całemu światu. Stephenie i ja byłyśmy zdania, że żadne z tych dzieci nie przeżyłoby tak strasznego wypadku, gdyby nie pomocna dłoń Boga, i że trudno uznać za przypadek, że na samolotach były takie same barwy jak w *Apokalipsie św. Jana*, ale kiedy potem pastor zaczął opowiadać, że Pam była prorokiem, takim samym jak Paweł i Jan, to trochę trudno było mi w to uwierzyć. I chyba nie tylko mnie.

Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że Pan dla każdego z nas przygotował Swoją plan i że nie zawsze potrafimy go właściwie zrozumieć, ale Pamela May Donald – prorokiem? Pocziwa Pam, która potrafiła zalewać się łzami, kiedy zdarzyło jej się przypalić ciasteczka na dobroczynną kolację świąteczną? Zachowałam swoje wątpliwości dla siebie i wyraziłam je na głos dopiero wtedy, kiedy odwiedziła mnie Stephenie i sama poruszyła ten temat. Ponieważ jednak wtedy jeszcze szanowałyśmy pastora Lena jak nikogo innego na świecie, postanowiłyśmy nic nie mówić o naszych wątpliwościach ani Jemu, ani Kendrze.

Zresztą, i tak prawie nie widywałyśmy go po tym programie. Nie mam pojęcia, kiedy on wtedy sypiał! W środę nie przyszedł nawet na spotkanie naszego kółka, tylko zadzwonił do mnie i poprosił, żebym w jego zastępstwie poprowadziła zajęcia. Powiedział, że jedzie do San Antonio na spotkanie z projektantem stron internetowych, ponieważ chce utworzyć własne forum, na którym będzie można dyskutować o, jak się wyraził, „prawdzie o Pam”, i że wróci bardzo późno.

– Pastorze, czy jest pan pewien, że powinien pan grzebać w internecie? – zapytałam. – Przecież to dzieło Szatana.

– Musimy ocalić tylu ludzi, ilu nam się uda, Rebo – odparł. – Musimy przekazać tę wiadomość wszystkim, którzy zechcą ją usłyszeć. – A potem dodał: – Kiedy Chrystus powróci, wszystkie oczy zwrócą się ku Niemu.

Czy mogłam z nim dyskutować?

Witryna internetowa pojawiła się kilka dni później. Pokazała mi ją moja córka Dayna. Nazywała się pamelaprophet.com. Na stronie głównej wisiało wielkie zdjęcie Pameli, na którym była o dobre dziesięć lat młodsza i piętnaście kilogramów lżejsza. Stephenie słyszała, że pastor Len pojawił się nawet na Twitterze i że już napływają do niego e-maile i wiadomości z całego świata.

Jakiś tydzień później zaczęli się pojawiać pierwsi Nawróceni – tak po cichu nazywałyśmy ich ze Stephenie. Początkowo przybywali głównie z sąsiednich okręgów, ale kiedy przesłanie pastora stało się „viralem” (Dayna powiedziała, że tak to się właśnie nazywa), zaczęli docierać nawet z Lubbock. Liczba wiernych naszego Kościoła podwoiła się niemal z dnia na dzień. Moja dusza powinna śpiewać z radości, że tylu ludzi zwróciło się ku Panu, przyznam jednak, że wciąż ogarniały mnie wątpliwości, zwłaszcza po tym jak pastor wywiesił przed kościołem ogromny transparent z napisem: SANNAH COUNTY, DOM PAMELI MAY DONALD i zaczął nazywać swoich wiernych pamelistami.

Wielu Nawróconych chciało zobaczyć prawdziwy dom Pameli, w związku z czym pastor zaczął namawiać Jima do wprowadzenia opłat za wejście, żeby zdobyć pieniądze na „głoszenie prawdy w szerokim świecie”. Wszyscy uważaliśmy, że to niedobry pomysł. Uznałam za swój obowiązek wziąć pastora na stronę i powiedzieć mu o moich obawach. Jim może i otworzył

swoje serce dla Jezusa, ale ostatnio pił więcej niż kiedykolwiek. Szeryf Beaumont już dwa razy wlepił mu mandat za jazdę po pijanemu, a ile razy zaglądałam do Jima, żeby mu coś ugotować, cuchnęła tak, jakby kapał się w whisky. Wiedziałam, że nie poradzi sobie, jeśli obcy ludzie będą nękać go w dzień i w nocy. Na szczęście pastor Len przyznał mi rację.

– Masz słuszność, Rebo – powiedział. – Codziennie dziękuję Panu Jezusowi za to, że zawsze mogę na ciebie liczyć i że jesteś moją prawą ręką.

Dodał jeszcze, że powinniśmy uważnie obserwować Jima, bo „wciąż walczy ze swoimi demonami”. Ja, Stephenie i jeszcze kilka dziewczyn z „wewnętrznego kręgu” postanowiłyśmy na zmianę troszczyć się o to, żeby w czasie żałoby miał co jeść i żeby dom nie popadł w ruinę. Pastor Len nie mógł się doczekać sprowadzenia prochów Pam do Stanów, żebyśmy mogli pożegnać ją podczas nabożeństwa żałobnego. Poprosił mnie, żebym spróbowała się dowiedzieć, kiedy Joanie zamierza się tym zająć, ale Jim w ogóle nie chciał rozmawiać na ten temat. Nie mam dowodów – należał do ludzi, którzy na trzeźwo są skryci i małowówni – ale jestem prawie pewna, że nie rozmawiał o tym również z córką. Na pierwszy rzut oka było widać, że się poddał. Przynosiliśmy mu posiłki i mleko, lecz jemu często nie chciało się nawet schować tego do lodówki, więc wszystko się psuło.

To były kompletnie szalone tygodnie, Elspeth!

Po uruchomieniu strony internetowej pastor Len prawie codziennie wzywał mnie albo Stephenie i opowiadał, jak szybko spełniają się jego przepowiednie.

– Oglądałaś wiadomości, Rebo? – pytał. – W Wielkiej Brytanii wybuchła choroba wściekłych krów. To znak, że bezbożni i niewierni zostaną ukarani głodem.

Potem tajemniczy wirus rozpanoszył się na statkach wycieczkowych od Florydy po Kalifornię, co miało oznaczać, że zaraza podnosi swój paskudny łeb. Jeśli zaś chodzi o wojnę, to cóż, wojen jest zawsze pod dostatkiem, żeby wymienić chociażby tych islamofaszystów, z którymi muszą sobie radzić nasi marines, i tych zwariowanych Koreańczyków z Północy.

– A to jeszcze nie wszystko, Rebo – pouczał mnie pastor Len. – Dużo myślałem o rodzinach, do których trafiło tych troje dzieci. Dlaczego Pan postanowił umieścić swoich posłańców właśnie tam, a nie gdzieś indziej?

Musiałam przyznać, że coś jest na rzeczy. Na przykład Bobby Small nie tylko trafił do żydowskiej rodziny (choć oczywiście wiem, że Żydzi mają do odegrania rolę w Boskim planie), ale Stephenie wyczytała w „The Inquirer”, że jest także „dzieckiem z próbki”.

– On nie został poczęty przez ludzi – powiedziała. – To nienaturalne.

Do tego trzeba dodać historie o tym, jak tę angielską dziewczynkę zmuszono do zamieszkania z homoseksualistą, i o ojcu tego japońskiego chłopca, budującego jakieś ohydne androidy. Dayna pokazała mi na YouTube film z jednym z nich. Byłam wstrząśnięta do głębi. Wyglądał zupełnie jak człowiek, a co nasz Pan mówił o tworzeniu fałszywych idoli? Wiele mówiło się też o złych duchach mieszkających w lesie, w którym rozbił się samolot Pam. Ogromnie jej współczułam, że musiała umrzeć w takim okropnym miejscu. Z drugiej strony, w Azji wierzą w różne niestworzone rzeczy, prawda? Weźmy na przykład Hindusów z tymi ich wszystkimi fałszywymi bogami, przypominającymi zwierzęta ze zbyt dużą liczbą kończyn. Od tego mogą się przyśnić koszmary. Ma się rozumieć, pastor Len pisał o tym wszystkim na swojej stronie internetowej.

Nie pamiętam dokładnie jak długo po tym, jak przesłanie pastora Lena zaczęło żyć własnym życiem w sieci, pojechałam ze Stephenie na rancho odwiedzić Kendrę. Kendra zabrała do siebie Snookie i Stephenie powiedziała, że naszym chrześcijańskim obowiązkiem jest sprawdzić, jak sobie radzi. Obie wiedziałyśmy, że ma zszargane nerwy, obie też zauważyłyśmy, że jest z nią coraz gorzej, chyba w związku z tłumami Nawróconych zalewających nasze

miasteczko. Specjalnie na tę okazję Stephenie upiekła ciasto, ale – szczerze mówiąc – Kendra niespecjalnie ucieszyła się na nasz widok. Niedawno wykąpała psa, więc nie cuchnął tak bardzo, i nawet zawiązała mu na karku czerwoną wstążeczkę, dzięki czemu wyglądał prawie jak zwierzak jakiegoś celebryty. Przez cały czas, jaki tam spędziłyśmy, Kendra prawie nie zwracała na nas uwagi. Zajmowała się wyłącznie psem, jakby to było małe dziecko. Nawet nie zaproponowała nam coli.

Właśnie miałyśmy wychodzić, kiedy pastor Len zajechał z rykiem silnika swoim pick-upem i pędem wpadł do domu. Chyba nigdy w życiu nie widziałam kogoś tak zadowolonego z siebie. Przywitał się z nami, a następnie powiedział:

– Udało się, Kendro! Udało się!

Ona jednak całkowicie go zignorowała, więc to my zapytałyśmy, co się stało.

– Przed chwilą dzwonił doktor Lund! Zaprosił mnie na swoją konferencję w Houston!

Nie wierzyłyśmy własnym uszom. Naturalnie, obie w każdą niedzielę oglądałyśmy program doktora Theodore’a Lunda, a Pam była aż zielona z zazdrości, kiedy na urodziny dostałam od Lorne’a egzemplarz *Najlepszych potraw dla całej rodziny* z autografem autora.

– Chyba wiesz, co to oznacza, kochanie? – zwrócił się pastor do Kendry.

– Co znowu? – zapytała, przerywając na chwilę zabawę z psem.

Pastor Len uśmiechnął się tak szeroko, że mało mu uszy nie odleciały, po czym odparł:

– Powiem ci, co znowu, kochanie. Otóż to, że nareszcie będę grał w pierwszej lidze!



**Poniższy artykuł, autorstwa Malcolma Adelsteina – brytyjskiego dziennikarza i dokumentalisty, ukazał się 21 lutego 2012 roku w magazynie „Switch Online”.**

Stoję w gigantycznym holu Centrum Konferencyjnego w Houston, gdzie odbywa się doroczna Konwencja Proroczo-Biblijna Dni Ostatnich. W dłoniach ściskam Biblię z wędkarzem muchowym na okładce i czekam na niejakiego Elastycznego Sandy’ego, który właśnie kończy spotkanie autorskie promujące jego najnowszą powieść. Mimo wpisowego w wysokości pięciu tysięcy dolarów konwencja przyciągnęła tysiące uczestników z Teksasu i spoza niego. Parking zapelniał się samochodami kempingowymi i terenówkami z tablicami rejestracyjnymi nawet z Tennessee i Kentucky. Otacza mnie morze siwych włosów, odnoszę więc nieodparte wrażenie, że jestem najmłodszym uczestnikiem konwencji, młodszym o kilka dekad od pozostałych. Bez ryzyka popełnienia błędu można stwierdzić, że bynajmniej nie czuję się tutaj jak ryba w wodzie.

Elastyczny Sandy ma ciekawą przeszłość. Zanim na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku nawrócił się na ewangelizujące chrześcijaństwo, z powodzeniem uprawiał zawód cyrkowego akrobata, wykonywał ewolucje na trapezie, był też cyrkowym impresario – taka zionąca siarką i ogniem południowa wersja P.T. Barnuma. Po sukcesie, jaki w latach osiemdziesiątych odniosła jego autobiografia zatytułowana *Po linie do Jezusa*, doktor Theodore Lund, wschodząca gwiazda na rynku proroków biblijnych, zaproponował Elastycznemu Sandy’emu napisanie cyklu powieści pod wspólnym tytułem *Czasy Ostatnie* – tak przynajmniej głosi legenda. Książki pisane w stylu Dana Browna opowiadają o tym, co się stanie po tym, jak w dniu Sądu Ostatecznego wszyscy zbawieni zostaną w okamgnieniu przeniesieni do Nieba, pozostawiając niewierzących na Ziemi na pastwę Antychrysta, zadziwiająco podobnego do byłego premiera Wielkiej Brytanii Tony’ego Blaira. Dziewięć bestsellerów później (ich łączny sprzedany nakład szacuje się na ponad 70 milionów egzemplarzy) Elastyczny Sandy wciąż trzyma się doskonale. Ostatnio stworzył własną stronę internetową [rapturesacoming.com](http://rapturesacoming.com), na której odnotowuje się wszystkie krajowe i światowe nieszczęścia, aby poinformować czytelników (za niewielką opłatą, ma się rozumieć), o ile danego dnia przybliżyliśmy się do dnia Sądu Ostatecznego. Żyłasty, zawsze opalony, osiemdziesięcioletni Sandy tryska energią czterdziestolatka. Chociaż kolejka wiernych czytelników ciągnie się niemal bez końca, uśmiech ani na chwilę nie znika z jego twarzy. Mam nadzieję namówić go do udziału w filmie dokumentalnym o Amerykańskim Ruchu Dni Ostatnich. Od kilku miesięcy bombardowałem e-mailami jego asystentkę ds. PR – energiczną, drobną osóbkę, która od chwili mojego pojawienia się na konwencji nie spuszcza ze mnie podejrzliwego spojrzenia – w celu umówienia spotkania. W ubiegłym tygodniu dała mi do zrozumienia, że miałbym niewielką szansę, gdybym pojawił się na konwencji w Houston, podczas której jej pryncypał będzie podpisywał swoją najnowszą książkę.

Tytułem wyjaśnienia dla nieuświadomionych: wyznawcy Dni Ostatnich są przekonani o tym, że wszyscy, którzy uznali Jezusa za swego osobistego zbawcę (tzn. narodzili się ponownie), lada chwila zostaną żywcem wzięci do Nieba (Wniebowstąpienie), cała reszta natomiast będzie musiała przecierpieć siedem okropnych lat pod rządami Antychrysta. Przekonanie to, oparte na dosłownej interpretacji nauk siedmiu biblijnych proroków (w tym *Apokalipsy św. Jana*, Ezechiela i Daniela), jest znacznie bardziej rozpowszechnione, niż mogłoby się wydawać. W samych Stanach Zjednoczonych ponad 65 milionów ludzi wierzy, że wydarzenia opisane w *Apokalipsie* mogą nastąpić jeszcze za ich życia.

Wielu znanych proroków-kaznodziejów niezbyt chętnie rozmawia z przedstawicielami „świeckiej” prasy, ale liczyłem na to – przypuszczalnie dość naiwnie – że mój angielski akcent pomoże przełamać lody. Niełatwo jest rozstać się z pięcioma tysiącami dolarów, zwłaszcza jeżeli w zamian otrzyma się tylko specjalne wydanie Biblii dla wędkarzy. (Nawiasem mówiąc, na

stoisku w głównym holu można kupić także specjalne wydania Biblii dla dzieci, „chrześcijańskich żon”, myśliwych i kolekcjonerów broni, moją uwagę jednak przykuła edycja dla wędkarzy. Sam nie wiem dlaczego – nigdy w życiu nie łowiłem ryb, zwłaszcza na muchę). Dość optymistycznie liczę na to, że jeśli Elastyczny Sandy w ogóle zgodzi się ze mną porozmawiać, to może uda mi się go namówić, aby przedstawił mnie samej grubej rybie, czyli doktorowi Theodore’owi Lundowi. (Nadzieja jest jednak niewielka, bo od wielu kolegów dziennikarzy słyszałem, że znacznie łatwiej byłoby mi nakłonić Kim Dzong-Ila, żeby zatańczył dla mnie na rurze). Doktor Lund – megagwiazdor ruchu ewangelizacyjnego – jest posiadaczem własnej stacji telewizyjnej, właścicielem marki Kościół Prawdziwej Wiary (terenowy oddział tego Kościoła można utworzyć na zasadach franczyzy, a roczne przychody z tego tytułu wynoszą setki milionów dolarów) i zaufanym doradcą byłego republikańskiego prezydenta Billy’ego Boba Blake’a. Może się także pochwalić światową publicznością nie mniejszą niż najbardziej kasowe produkcje Hollywood: trzy niedzielne nabożeństwa, podczas których wygłasza proroczo-ewangelizujące kazania, są transmitowane do najdalszych zakątków globu i przyciągają przed telewizory ponadstumilionową rzeszę widzów. Choć nie aż tak twardogłowy jak dominioniści (fundamentalistyczna sekta opowiadająca się za wprowadzeniem w USA prawa biblijnego, co oznaczałoby między innymi karę śmierci dla osób poddających się i dokonujących aborcji, homoseksualistów i niegrzecznych dzieci), doktor Lund kategorycznie sprzeciwia się małżeństwom między osobami tej samej płci, broni życia poczętego, dyskutuje o globalnym ociepleniu i nie stroni od wywierania nacisków w kwestiach politycznych, zwłaszcza wtedy, kiedy w grę wchodzi problemy Bliskiego Wschodu.

Kolejka fanów czekających na autograf Elastycznego Sandy’ego przesuwają się powoli do przodu.

– Te książki odmieniły moje życie! – informuje mnie bez żadnej zachęty z mojej strony kobieta stojąca przede mną. Pcha przed sobą wózek na zakupy wypełniony różnymi wydaniem powieści z serii o *Czasach Ostatnich*. – Zaprowadziły mnie do Jezusa.

Rozmawiamy o jej ulubionych bohaterach (szczególnie podoba jej się pilot śmigłowca Peter Kean, którego kulejąca wiara ulega nagłemu, choć spóźnionemu umocnieniu na widok Wniebowzięcia jego żony, dzieci i drugiego pilota). Przychodzi mi do głowy, że byłoby niegrzecznie stanąć przed Elastycznym Sandym bez egzemplarza jego książki w dłoni, biorę więc jeden z piętrzącego się tuż obok nas stosu. Moją uwagę zwraca lśniąca okładka innej książki, dla odmiany kucharskiej, ze zdjęciem solidnie zbudowanej kobiety z charakterystycznymi zwężonymi oczami osoby świeżo po liftingu. To Sherry, żona doktora Lunda, współprowadząca talk-show nadawany co tydzień po niedzielnych nabożeństwach. Jej książki kucharskie regularnie trafiają na szczyt listy bestsellerów „New York Timesa”, w latach osiemdziesiątych zaś wielkim przebojem okazał się poradnik seksuologiczny *Intymność po chrześcijańsku*, który napisała wspólnie z mężem.

Podczas gdy Elastyczny Sandy fachowo radzi sobie ze swoim geriatrycznym fandomem, ja gapię się na plakaty i afisze informujące o zaplanowanych na cały weekend prelekcjach, dyskusjach i spotkaniach modlitewnych. Większość zdobią niemal naturalnej wielkości podobizny sławnych kaznodziejów – głównej atrakcji tych wydarzeń. Tematyka jest różnorodna: od „Czy jesteś gotowy na Wniebowstąpienie?”, poprzez sympozja poświęcone kreacjonizmowi, po dopisane naprędce spotkanie z pastorem Lenem Vorheesem, najświeższym nabytkiem Ruchu Dni Ostatnich. Vorhees nie tak dawno wywołał małą burzę na Twitterze, ogłaszając, że troje dzieci, które wyszły z życiem z katastrof w Czarny Czwartek, to w rzeczywistości trzech z Czterech Jeźdźców Apokalipsy.

Wreszcie przychodzi moja kolej. Energiczna asystentka szepcze mi coś do ucha i

Elastyczny Sandy zwraca ku mnie rozpromienioną w uśmiechu twarz. Jego oczy błyszczą jak małe czarne guziki.

– Z Anglii – powtarza. – Byłem w Londynie rok temu. Pogański kraj, który oczekuje zbawienia, czyż nie tak, synu?

Zapewniam go, że istotnie, w samej rzeczy.

– Czym się zajmujesz, synu? Patty powiedziała mi, że chcesz przeprowadzić ze mną wywiad, zgadza się?

Mówię mu prawdę: że kręcę filmy dokumentalne dla telewizji i że pragnąłbym porozmawiać z nim i z doktorem Lundem o ich dokonaniach. Czarne oczka świdrują mnie na wylot.

– Pracujesz dla BBC?

Odpowiadam, że kiedyś dla nich pracowałem. Jest w tym ziarno prawdy; karierę zawodową zacząłem od posady gońca w regionalnym oddziale BBC w Manchesterze. Wylali mnie po dwóch miesiącach, po tym jak ktoś przyłapał mnie na paleniu trawki w kiblu. O tym jednak już go nie informuję. Elastyczny wyraźnie się odpręża.

– Zaczekaj, synu. Zobaczę, co się da zrobić.

Na razie idzie mi znacznie łatwiej, niż oczekiwałem. Wzywa do siebie asystentkę, której udaje się równocześnie uśmiechnąć do niego i skrzywić do mnie, i przez chwilę rozprawiają o czymś szeptem.

– Synu, Teddy jest teraz bardzo zajęty. Może wpadłbyś za parę godzin do apartamentu na ostatnim piętrze? Zobaczę, czy uda mi się was sobie przedstawić. On wprost uwielbia ten wasz *Cavendish Hall*.

Nie bardzo wiem, co wspólnego ze mną może mieć cukierkowaty serial nadawany na całym świecie, ale Elastyczny Sandy najwyraźniej jest przekonany, że nadal pracuję dla BBC. Wycofuję się pospiesznie, nie czekając, aż asystentka przekona go, żeby zmienił zdanie.

Zamiast wracać do mojego małego hoteliku (na szczęście nie trzeba za niego dodatkowo płacić), postanawiam sprawdzić, czy uda mi się wejść na którąś z prelekcji. Co prawda spotkanie z pastorem Lenem Vorheesem trwa już od pół godziny, ale mówię portierowi, że jestem bliskim znajomym samego Elastycznego Sandy'ego, i wślizguję się do audytorium.

W ogromnej sali dostępne są już tylko miejsca stojące, jeśli zaś chodzi o pastora Vorheesa, to widzę jedynie jego starannie ułożoną fryzurę, kiedy przechadza się w tę i z powrotem przed publicznością. Głos mu się załamuje od czasu do czasu, ale sądząc po często powtarzanym chóralnym „Amen!”, przesłanie trafia do publiczności. Obiło mi się o uszy, że karkołomna teoria pastora Lena wywołała gwałtowną dyskusję wśród wyznawców Dni Ostatnich, zwłaszcza wśród frakcji zwanej Minionymi, którzy uważają, że wydarzenia opisane w *Apokalipsie* już się dokonały. Nie ulega wątpliwości, że właśnie *Apokalipsa św. Jana* stanowi podstawę dzikich wymysłów pastora. Według *Apokalipsy Czwartej* Jeźdźcy przyniosą światu wojnę, zarazę, głód i śmierć, a pastor Len wylicza „znaki” jakoby potwierdzające słuszność jego teorii. Wśród nich znajdują się okropna śmierć paparazzo pożartego przez własne jaszczury, który wcześniej prawdopodobnie przedostał się do szpitalnego pokoju Bobby'ego Smalla (ataki zwierząt również znajdują się na liście nieszczęść z *Apokalipsy*) oraz wybryki norowirusa, który niedawno zamienił całą flotę luksusowych liniowców w piekło pełne rzygających potępieńców. Pastor kończy swoje wystąpienie dość przerażającym stwierdzeniem, że już niebawem okrutna wojna zdziesiątkuje ludność Afryki, w Azji natomiast mnóstwo ludzi padnie ofiarą ptasiej grypy.

Marząc o mocnym drinku, wymykam się z sali rozbrzmiewającej chóralnym „Amen!”, by zająć miejsce na audyencji z Elastycznym Sandym i doktorem Teddym Lundem.

Nie posiadam się ze zdumienia, kiedy w drzwiach apartamentu sam doktor Lund wita

mnie olśniewającym uśmiechem, prezentując najnowsze, zwalające z nóg dokonania techniki dentystycznej.

– Miło cię poznać, synu! – mówi, chwytając oburącz moją dłoń. Jego skóra wydaje się leciutko świecić, jak napromieniowany owoc. – Napijesz się czegoś? Zdaje się, że wy, Brytyjczycy, przepadacie za herbatą?

Mamroczę pod nosem coś, co powinno zabrzmieć jak: „Tak, w istocie”, a on prowadzi mnie w głąb apartamentu, gdzie w głębokich, przesadnie rozłożystych fotelach siedzą Elastyczny i jakiś około pięćdziesięcioletni mężczyzna w błyszczącym garniturze. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to pastor Len Vorhees. Widać, że w przeciwieństwie do tamtych dwóch nie czuje się swobodnie, wręcz przeciwnie. Przypomina mi dziecko, które za wszelką cenę stara się zasłużyć na pochwałę dobrym zachowaniem.

Przedstawiamy się sobie, po czym zapadam się w stojącą naprzeciwko kanapę. Wszyscy się do mnie uśmiechają, ale ich oczy nie są uśmiechnięte.

– Sandy powiedział mi, że pracujesz dla BBC – odzywa się doktor Lund. – Słowo daję, synu, nie przepadam za telewizją, ale uwielbiam *Cavendish Hall*. W tamtych czasach ludzie wiedzieli, jak się zachować, prawda? Mieli wysokie morale. Przyjechałeś tu, żeby nakręcić film dokumentalny czy coś takiego, zgadza się?

Nie zdążyłem nawet otworzyć ust, a on już mówił dalej:

– Zgłasza się do nas mnóstwo gości, którzy chcą robić wywiady. Z całego świata. Powiadam ci jednak, że być może właśnie nadeszła właściwa pora, żeby przesłać informację do Anglii.

Znowu nie udaje mi się odpowiedzieć, ponieważ z jednej z sypialni wychodzą dwie kobiety. Ta wyższa to bez wątpienia Sherry, żona doktora Lunda – ma identyczną, wypiętrzoną i utwardzoną lakierem fryzurę jak na okładce swojej najnowszej książki kucharskiej. Druga, idąca za nią, wygląda zupełnie inaczej: chuda jak kij od szczotki, zaciśnięte wąskie usta bez śladu szminki, biały miniaturowy pudel w ramionach. Zrywam się na nogi, ale doktor Lund daje mi znak ręką, żebym siedział, po czym przedstawia Sherry oraz Kendrę, żonę pastora Lena. Kendra w ogóle nie zwraca na mnie uwagi, Sherry natomiast przez ułamek sekundy obdarza mnie promiennym uśmiechem, po czym zwraca się do męża:

– Teddy, nie zapomnij, że Mitch do ciebie jedzie. – Posyła mi kolejny wystudiowany uśmiech. – Wychodzimy ze Snookie, żeby zaczerpnęła trochę świeżego powietrza.

Cała trójka wychodzi z apartamentu.

– Przejdźmy do interesów – zwraca się do mnie doktor Lund. – Co konkretnie masz na myśli, synu? O czym ma być ten film?

– A więc... – zaczynam i od razu kończę, ponieważ z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu z głowy wyparowuje mi cała, starannie przygotowana przemowa. Zdesperowany, kieruję wzrok na pastora Lena Vorheesa. – Może... Może zaczęlibyśmy od... – dukam. – Słyszałem pańskie wystąpienie, pastorze. Bardzo... eee... interesujące. Czy zechciałby pan powiedzieć mi coś więcej o swojej teorii?

– To nie teoria, synu – warczy Elastyczny Sandy, wciąż z uśmiechem na twarzy. – To prawda.

Nie mam pojęcia, dlaczego w towarzystwie tych trzech mężczyzn jestem tak koszmarnie zdenerwowany. Może tak działa siła ich połączonych przekonań i osobowości? Kaznodzieja z listy pięciuset najbogatszych „Forbesa” musi mieć nie lada charyzmę. Jakimś cudem udaje mi się opanować.

– Ale czy nie przeczy pan sam sobie, twierdząc, jakoby cztery pieczęcie już zostały złamane? I że wasi wierni zostaną wniebowzięci, zanim Czterej Jeźdźcy sprowadzą zagładę na

Ziemię?

Eschatologia – analiza przepowiedni o Dniach Ostatnich – to niełatwa sprawa. Przygotowując się do ewentualnego spotkania, zdołałem ustalić, że doktor Lund i Elastyczny Sandy są wyznawcami Teorii Wniebowstąpienia Przedodkupieniowego, według której Wniebowstąpienie wiernych nastąpi tuż przed siedmioletnim okresem niewysłowionych cierpień, stanowiących odkupienie za nasze grzechy (to znaczy, przed przybyciem Antychrysta, który da całej reszcie w kość). Pastor Len natomiast skłaniał się raczej ku Teorii Wniebowstąpienia Poodkupieniowego, zgodnie z którą narodzeni na nowo chrześcijanie pozostaną na Ziemi przez cały okres siarki i płomieni, który jakoby właśnie się rozpoczął.

Przystojna twarz pastora Lena marszczy się w grymasie niezadowolenia. Zaczyna niepewnie skubać klapę marynarki, ale Elastyczny i doktor Lund rechoczą cicho, jakbym był dzieckiem, które właśnie palnęło coś głupiego, lecz zabawnego.

– Nie ma w tym żadnej sprzeczności, synu – mówi Elastyczny. – Jak mówi Mateusz w *Rozdziale 24*: „Powstanie bowiem naród przeciw narodowi i królestwo przeciw królestwu. Będzie głód i zaraza, a miejscami trzęsienia ziemi. Lecz to wszystko jest dopiero początkiem bóleści”.

– To wszystko dzieje się właśnie teraz – wtrąca się doktor Lund. – A my wiemy, że te bóle oznaczają złamanie czterech pieczęci. Wiemy też, zarówno z *Apokalipsy*, jak i od Zachariasza, że czterej żeńcy wtedy właśnie mają wyruszyć w świat: biały koń na zachód, czerwony na wschód, czarny na północ, trupio blade na południe. Skoro więc cztery pieczęcie zostały złamane, kara spadnie na Azję, Amerykę, Europę i Afrykę.

Niełatwo mi nadażyć za jego rozumowaniem, ale tym razem mi się udaje.

– A co z Australią i Antarktydą?

Elastyczny śmieje się cicho i kręci głową, jakby nie wierzył, że można być aż tak tępym.

– One nie uczestniczą w światowym upadku moralnym, synu, ale na nie też przyjdzie pora. Światowe rządy i Organizacja Narodów Zjednoczonych połączą się, tworząc rogatą bestię.

Ponieważ do tej pory nie wyrzucono mnie za drzwi, nabieram pewności siebie i zwracam im uwagę, że Komisja Badania Wypadków Lotniczych skłania się ku opinii, że przyczyną wszystkich czterech katastrof są całkowicie naturalne, w pełni wytłumaczalne zdarzenia takie jak błąd pilota, zderzenie z ptakami albo usterka mechaniczna, nie zaś zjawiska nadprzyrodzone. (Udaje mi się jakoś sformułować to w taki sposób, że nikt nie powinien odnieść wrażenia, że mam na myśli Obcych albo Szatana).

Pastor Len już otwiera usta, żeby odpowiedzieć, lecz doktor Lund nie dopuszcza go do głosu.

– Ja odpowiem, Len. Naprawdę sądzisz, że Bóg nie potrafiłby sprawić, żeby te zdarzenia wyglądały na wypadki? Pragnie sprawdzić naszą wiarę i odsiać ziarno od plew, czyli wiernych od pogan. My usłyszeliśmy i zrozumieliśmy Jego głos, ale przecież zajmujemy się zbawianiem dusz. Kiedy odnajdzie się Czwarty Jeździec, nawet najbardziej oporni odpowiedzą na wezwanie.

Opadła mi szczęka.

– Czwarty Jeździec?

– Tak jest, synu.

– Ale przecież z katastrofy w Afryce nikt nie ocalał!

Pastor Len i doktor Lund wymieniają spojrzenia. Doktor Lund ledwo dostrzegalnie kiwa głową.

– Przypuszczamy, że jest inaczej – mówi pastor Len.

Jąkając się i zacinając, dukam, że według raportu komisji i innych doniesień z Afryki nie ma najmniejszych szans na to, żeby ktokolwiek z pasażerów uszedł z życiem. Doktor Lund

uśmiecha się ze smutkiem.

– To samo mówiono o trzech pozostałych katastrofach, a przecież sam widzisz, jaka była wola naszego Pana. – Milknie na chwilę, po czym zadaje pytanie, którego spodziewałem się od samego początku: – Czy jesteś zbawiony, synu?

Niezwykłe oczy Elastycznego Sandy'ego wpatrują się prosto w moje. Czuję się tak jak w szkole, kiedy stawałem przed dyrektorem. Kusi mnie, żeby skłamać i powiedzieć, że tak, że zostałem zbawiony i jestem jednym z nich, ale opanowuję się i mówię, że jestem Żydem. Doktor Lund z aprobatą kiwa głową, uśmiech nawet na chwilę nie znika z twarzy Elastycznego Sandy'ego.

– Potrzebujemy Żydów – mówi Lund. – Już wkrótce będziecie mieli do odegrania bardzo ważną rolę.

Wiem, co ma na myśli. Po Wniebowstąpieniu i okresie panowania Antychrysta Jezus powróci, by zmiażdżyć niewiernych i zrzucić Antychrysta z tronu. Decydująca bitwa rozegra się w Izraelu, doktor Lund zaś, jak wielu ludzi wierzących w proroctwa, ma zdecydowanie proizraelskie zapatrywania. Jest przekonany – zgodnie z tym, co napisano w Biblii – że Izrael powinien należeć wyłącznie do Żydów, w związku z czym stanowczo sprzeciwia się wszelkim wymianom terenów i układom pokojowym z Palestyńczykami. Jeśli wierzyć plotkom, za kadencji prezydenta Billy'ego Boba Blake'a doktor Lund był częstym gościem w Białym Domu. Mam wielką ochotę zapytać go, po co ktoś, kto szczerze wierzy w rychły koniec świata, zaprzęta sobie głowę polityką, lecz zanim udaje mi się to zrobić, doktor Lund podnosi się z fotela.

– Powodzenia, synu. Skontaktuj się z moją asystentką, ona ci pomoże.

Ściskamy sobie dłonie i audyencja dobiega końca. Kilka dni później postępuję zgodnie z jego zaleceniem, ale na prośbę o widzenie z doktorem Lundem otrzymuję odpowiedź, że jest zajęty, pytanie o możliwość porozmawiania z Elastycznym Sandym pozostaje zaś kompletnie bez echa.

Opuszczając teren konwencji z wędkarską Biblią i egzemplarzem najnowszej części *Czasów Ostatnich* pod pachą, mijam grupę potężnie zbudowanych ochroniarzy otaczających mężczyznę w jeszcze bardziej kosztownym garniturze niż ten, jaki miał na sobie doktor Lund. Natychmiast go rozpoznaję. To Mitch Reynard, gubernator Teksasu, który zaledwie przed paru tygodniami ogłosił, że przed zbliżającymi się wyborami prezydenckimi zamierza ubiegać się o nominację z ramienia Partii Republikańskiej.

**Fragment zawartości witryny internetowej rapturesacoming.com, należącej do Feliksa „Elastycznego” Sandy’ego.**

Dziś osobista wiadomość ode mnie, moi wierni! Nasi bracia doktor Theodore Lund (którego nie muszę przedstawiać) oraz pastor Len Vorhees z Sannah County ukazali nam Prawdę, niepodważalny dowód na to, że cztery pierwsze pieczęcie, o których mowa w *Apokalipsie*, zostały złamane i że Czterej Jeźdźcy ruszyli w świat, by pokarać bezbożników Głodem, Zarazą, Wojną i Śmiercią. Niektórzy z was mogą powiedzieć: ależ, Elastyczny, czy pieczęcie nie zostały złamane już dawno temu? Przecież świat od wielu pokoleń staczał się coraz bardziej na dno moralnego upadku, czy nie tak? Odpowiadam: owszem, tak być może, ale Bóg w Swej mądrości ukazał nam teraz prawdę, a jeśli się nad tym zastanowicie, to wszystko rozegra się dokładnie tak jak w *Złodzieju nocą*, dziewiątym tomie w serii *Czasów Ostatnich*. Nie muszę wam chyba przypominać, że możecie go zamówić na naszej stronie internetowej.

To jeszcze nie wszystko. Przekonajcie się sami, że sytuacja rozwija się błyskawicznie i że każdy tydzień przynosi nowe wydarzenia. To doskonała wiadomość dla nas, którzy pragniemy jak najprędzej znaleźć się u boku Pana!

**Elastyczny**

Kliknij, jeśli chcesz zobaczyć pełną listę. Oto nasz wybór:

**ZARAZA** (prawdopodobieństwo wystąpienia według rapturesacoming.com: 74%)

Wywołujący torsje wirus, który po raz pierwszy pojawił się na statkach wycieczkowych, zaczął się rozprzestrzeniać po Stanach Zjednoczonych.

Źródło: [www.news-agency.info/2012/february/norovirus-spreads-to-US-East-Coast](http://www.news-agency.info/2012/february/norovirus-spreads-to-US-East-Coast)

*(Dziękuję Isli Smith z Karoliny Północnej za przesłanie tej informacji. Elastyczny docenia siłę twojej wiary, Isla!)*

**WOJNA** (prawdopodobieństwo wystąpienia według rapturesacoming.com: 81%)

Cóż mogę powiedzieć? Wojny to ważny sygnał i ostatnio nie możemy się uskarżać na ich niedobór. W Afganistanie wciąż trwa święta wojna z terroryzmem, zajrzyjcie też pod poniższy link:

[www.atlantic-mag.com/worldnews/north-korea-nuclear-threat-could-be-a-reality](http://www.atlantic-mag.com/worldnews/north-korea-nuclear-threat-could-be-a-reality)

**GLÓD** (prawdopodobieństwo wystąpienia według rapturesacoming.com: 81%)

Wygląda na to, że choroba wściekłych krów rozprzestrzenia się na całą Europę.

Sprawdźcie tę informację: „Rząd Wielkiej Brytanii ostrzega, że kolejny atak choroby wściekłych krów może oznaczać poważne konsekwencje dla całego brytyjskiego rolnictwa”.

Źródło: [www.euronewscorp.co.uk/footandmouth/](http://www.euronewscorp.co.uk/footandmouth/)

**ŚMIERĆ** (prawdopodobieństwo wystąpienia według rapturesacoming.com: 91%)

„I ujrzałem: oto koń trupio bładny, a imię siedzącego na nim Śmierć, i Otchłań mu towarzyszyła. I dano im władzę nad czwartą częścią ziemi, by zabijali mieczem i głodem, i morem, i przez dzikie zwierzęta” (*Apokalipsa św. Jana*, 6:8).

Ostatnio doszło do wielu ataków ze strony dzikich zwierząt, tak jak w powyższym fragmencie *Apokalipsy*. Sprawdźcie poniższe linki:

„Amerykański turysta padł w Botswanie ofiarą ataku rozwścieczonych hien” ([www.bizarredeaths.net](http://www.bizarredeaths.net)).

„Śledztwo w sprawie śmierci fotografa z Los Angeles, pożartego przez jaszczury we własnym mieszkaniu, zawieszono” ([www.latimesweekly.com](http://www.latimesweekly.com)).

**Uwaga Elastycznego:** to szczególnie interesujący przypadek ze względu na powiązania fotografa z Bobbym Smallem. W dziesięciopunktowej skali to dziewięć punktów! Tylko ataki z 11 września mogą się z tym równać.

## Lola Cando

Przez jakiś czas, a konkretnie od chwili, kiedy powiedział mi o wiadomości od Pameli May Donald, w ogóle nie widywałam Lenny'ego. Potem ni stąd, ni zowąd zadzwonił i poprosił, żebyśmy się spotkali w jednym z naszych moteli. Miał szczęście, bo akurat pojawiło mi się okienko; jeden z moich stałych klientów, były komandos, bardzo miły gość zresztą, wpadł w depresję i postanowił odwołać spotkanie.

No więc, tego dnia Lenny wpadł do pokoju, złapał drinka, którego mu przygotowałam, i zaczął chodzić w tę i z powrotem. Powiedział mi, że właśnie wrócił z konferencji w Houston. Wyglądał jak dzieciak, który pierwszy raz w życiu był w Disneylandzie. Gadał bez przerwy co najmniej przez pół godziny. Opowiadał o tym, że zakumplował się z doktorem Lundem, że ten zaprosił go do swojego niedzielnego programu, że zjadł kolację z samym Elastycznym Sandym, gościem od tych wszystkich książek, do których przeczytania jakoś nie mogłam się nigdy zmusić. Opowiadał, że sala, w której miał wystąpienie, dosłownie pękała w szwach.

– Wiesz, kto jeszcze tam był, Lo? – zapytał, ściągając krawat. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Sądząc po tym, co i jak opowiadał, wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że Jezus we własnej osobie wpadł tam na chwilę. – Mitch Reynard! Doktor Lund całkowicie go popiera.

Nie interesuję się polityką, ale nawet ja znam tego gościa. Parę razy widziałam go w wiadomościach, które uwielbia oglądać Denisha. Wygadany facet, były kaznodzieja, trochę podobny do Billa Clintona, nigdy nie traci rezonu, kiedyś udzielał się w Partii Herbacianej. Odkąd ogłoszono, że ubiega się o nominację Partii Republikańskiej, wciąż mówi się o nim w telewizji. Liberalowie krytykują go ostro za to, co mówi o feminizmie i że gejowskie małżeństwa to zwyrodnienie.

Lenny coraz bardziej się ekscytował, aż w końcu zaczął opowiadać o tym, że to może być nawet początek jego własnej kariery politycznej.

– Wszystko jest możliwe, Lo. Doktor Lund twierdzi, że musimy robić, co w naszej mocy, żeby wpłynąć na wynik wyborów i pomóc krajowi odzyskać równowagę moralną.

Skoro o moralności mowa, to – o ile wiem – Lenny nie widział niczego niewłaściwego w korzystaniu z moich usług ani w tym, że za to płaci. Być może w ogóle nie traktował tego jako zdrady. Nieczęsto wspominał o żonie, ale odniosłam wrażenie, że od dawna ze sobą nie żyją. Podczas naszych ostatnich spotkań trudno zresztą było mówić o jakiejś zdradzie, bo przez cały czas głównie gadał.

Czy powiedziałałabym, że sława uderzyła mu do głowy? Jasne. Odkąd powiesił swoją stronę w internecie i zaczął się zadawać z doktorem Lundem, zachowywał się jak dziecko, które dostało nową zabawkę. Twierdził, że utrzymuje kontakty z ludźmi z całego świata, nawet z Afryki. Z tym facetem z Gór Skalistych wymieniał e-maile prawie codziennie, tak samo jak z tym marine, który służył gdzieś w Japonii. Jake Jakiśtam. Nie pamiętam nazwiska, chociaż później wciąż mówili o nim w wiadomościach. Lenny opowiadał mi, że ten marine był w lesie, w którym rozbił się samolot. „Tam, gdzie Pam wydała ostatnie tchnienie”. Mówił mi też, że doktor Lund stara się skontaktować z babką Bobby'ego, żeby zaprosić go do programu, ale bez powodzenia. Szczerze współczułam tej kobiecie, Denisha zresztą też. Na pewno niełatwo być w centrum uwagi, zwłaszcza wtedy, kiedy jest się pogrążonym w żalobie.

Lenny gadał jak najęty o tym, że ze wszystkich stron dostaje prośby o wywiady i że zapraszają go do najróżniejszych programów radiowych, telewizyjnych i w sieci, i to nie tylko do religijnych.

– Nie obawiasz się, że będą sobie robić z ciebie jaja? – zapytałam.

Przyznał, że sztab doktora Lunda ostrzegął przed udzielaniem wywiadów



niechrześcijańskiej prasie, i moim zdaniem bardzo słusznie. Mnóstwo ludzi z pewnością uważało, że to, co opowiada o Jeźdźcach Apokalipsy, to stek bzdur.

– Mówię prawdę, Lo, a jeśli oni ją ignorują, to ich problem. Zobaczmy, kto będzie się śmiał ostatni, kiedy nadejdzie dzień Wniebowstąpienia!

Tego dnia nawet tego nie robiliśmy. Chciał tylko rozmawiać. Na odchodnym przypomniał mi, żebym w weekend koniecznie oglądała program doktora Lunda.

Byłam bardzo ciekawa, jak Lenny sobie poradzi, więc w niedzielę zasiadłam przed telewizorem. Denisha kompletnie nie mogła zrozumieć, co mi strzeliło do głowy. Nie powiedziałam jej, że Lenny jest moim klientem. Szanuję prywatność stałych klientów, choć wiem, że pewnie trudno w to uwierzyć, skoro teraz tu siedzę i o wszystkim opowiadam, ale przecież nie zabiegałam o to, prawda? To nie ja przyszedłam do reporterów, tylko oni do mnie. W każdym razie, na początku doktor Lund stał za wielkim złotym pulpitem, a za nim – wielki chór. Chociaż ten kościół Lunda był wielkości centrum handlowego, to i tak pękał w szwach. Doktor najpierw powtórzył prawie słowo w słowo teorie Lenny’ego i wiadomość pozostawioną przez Pamelę May Donald. Co pięć minut robił przerwy, żeby chór mógł coś zaśpiewać, a wierni powykrzykiwać te swoje „Amen!” i „Chwała!”. Potem przeszedł do tego, że nadeszła już pora Sądu, bo wszędzie szerzą się zepsucie, geje i lesbijki, zabójcy życia poczętego i szkoły uczące o ewolucji, i tak dalej. Denisha przez cały czas kręciła głową. W jej kościele wszyscy wiedzą, czym się zajmuje, i nie mają żadnych problemów z gejami.

– Dla nich to nie ma najmniejszego znaczenia, Lo – powtarzała. – Ludzie są tacy, jacy są, i lepiej mówić o tym głośno, niż milczeć. Jezus nigdy nikogo nie osądzał, prawda? No, może z wyjątkiem lichwiarzy.

Większość znanych kaznodziejów i sławnych pastorów ma sporo na sumieniu i prawie codziennie słyhać o jakimś skandalu z ich udziałem. Doktor Lund jest inny. Czysty jak łąza. Zdaniem Denishy to świadczy wyłącznie o tym, że ma wystarczająco dobre układy, żeby historie o jego wyczynach nie trafiały do mediów.

Po kazaniu doktor Lund przeszedł na bok sceny, gdzie urządzono coś w rodzaju eleganckiego salonu z drogimi dywanami, obrazami i ozdobnymi złożonymi lampami. Na kanapie siedzieli Sherry – czyli jego żona, Lenny i kościasta kobieta, która wyglądała na kogoś, kogo natychmiast należałoby nakarmić. Wtedy pierwszy raz zobaczyłam żonę pastora Lena, Kendrę. Trudno wyobrazić sobie kogoś mniej podobnego do Sherry, która zdaniem Denishy miała w sobie coś z Tammy Faye Bakker – doprawione rzęsy i akcesoria transwestyty. Za to Lenny wypadł w porządku. Może był trochę za bardzo podekscytowany, za dużo gestykułował i parę razy załamał mu się głos, ale na pewno się nie skompromitował. Zresztą i tak mówił głównie doktor Lund. Kendra nie odezwała się ani słowem, tylko siedziała z trudnym do odczytania wyrazem twarzy. Nie mam pojęcia, czy była tak zdenerwowana, czy uważała, że całe to przedstawienie to głupota, czy po prostu cholernie się nudziła.

**Pastor Len Vorhees zgodził się wystąpić w znanym programie radiowym *Powiedzmy wszystko*, prowadzonym w stacji Talk NYC przez didżeja Erika Kavanaugha. Oto zapis audycji nadanej 8 marca 2012 roku.**

**Erik Kavanaugh:** Na linii mamy dzisiaj pastora Lena Vorheesa z Sannah County w Teksasie. Pastorze Len... mogą tak mówić, prawda?

**Pastor Len Vorhees:** Oczywiście, proszę pana.

**EK:** To pierwszy raz, do tej pory chyba nikt nie powiedział do mnie „proszę pana”. Muszę przyznać, że jest pan znacznie uprzejmiejszy od większości moich gości. Pastorze Len, obecnie bije pan rekordy popularności na Twitterze. Czy sądzi pan, że wierny Ewangelii chrześcijanin powinien w ten sposób wykorzystywać media społecznościowe?

**PL:** Moim zdaniem, proszę pana, powinniśmy korzystać ze wszelkich dostępnych środków, żeby rozpowszechnić dobrą nowinę. Odkąd udało mi się wysłać wiadomość w świat, do Sannah County wciąż napływają ludzie, którzy chcą być zbawieni. Jest ich tak wielu, że w moim kościele trudno czasem domknąć drzwi! (*śmieje się*)

**EK:** Jak w tej scenie ze *Szczęk*? Powinien pan więc zbudować większy kościół.

**PL:** (*pauza*) Nie jestem pewien, co konkretnie...

**EK:** Zajmijmy się tym, co dokładnie pan opowiada. Niektórzy mogliby powiedzieć, że pańskie przekonanie, iż te dzieciaki są Jeźdźcami Apokalipsy, to – nie sposób tego wyrazić inaczej – totalna, wierutna bzdura.

**PL:** (*nerwowy śmiech*) No cóż, proszę pana, takie słownictwo raczej...

**EK:** Czy to prawda, że wydziergał pan tę teorię po tym, jak jedna z pańskich wiernych, Pamela May Donald, jedyna Amerykanka na pokładzie japońskiego samolotu, który rozbił się w tym lesie, zostawiła wiadomość nagraną na komórkę?

**PL:** Eee... Tak, to prawda. Wiadomość była skierowana do mnie, a jej znaczenie nie pozostawiało żadnej wątpliwości. „Pastorze Len, proszę ostrzec ich przed tym chłopcem”. Jedynym chłopcem, jakiego mogła mieć na myśli, był ten mały Japończyk, który jako jedyny ocalał z katastrofy. Jako jedyny, podkreślam. Warto dodać, że logo linii lotniczej, do której...

**EK:** W wiadomości wspomina też o swoim psie. Skoro wierzy pan, że ostrzegła nas przed chłopcem, który rzekomo ma być zwiastunem jakichś straszliwych nieszczęść związanych z Sądem Ostatecznym, to czy nie uważa pan, że powinniśmy otaczać boską czią tę nieszczęsną psinę?

**PL:** (*po dłuższej ciszy*) Cóż, nie wydaje mi się, że powinniśmy posuwać się aż do...

**EK:** Na swojej stronie internetowej pamelaprophet.com – musicie tam zajrzeć, drodzy słuchacze, naprawdę – powołuje się pan na fakty, które rzekomo potwierdzają pańskie przekonania. Na znaki świadczące o tym, że Jeźdźcy rzeczywiście są zwiastunami najróżniejszych nieszczęść. Na wypadek, gdyby ktoś z naszych słuchaczy nie słyszał o pańskiej teorii, podam jeden przykład. Otóż twierdzi pan, że choroba wściekłych krów, z którą zmagają się obecnie Europa, wybuchła wraz z pojawieniem się Jeźdźców. Czy to prawda?

**PL:** Owszem, proszę pana.

**EK:** Ale przecież takie rzeczy zdarzają się niemal bez przerwy. Podobna epidemia wybuchła w Wielkiej Brytanii już kilka lat temu.

**PL:** To niejedyny znak, proszę pana. Jeśli zebrać je wszystkie, bez trudu można zauważyć pewien schemat, który...

**EK:** A te wszystkie znaki mają świadczyć o tym, że koniec świata jest bliski i że wszyscy zbawieni zostaną wzięci do nieba. Czy mam rację, mówiąc, że wy, kaznodzieje, oczekujecie z niecierpliwością tego wydarzenia?

**PL:** Nie wydaje mi się, żeby określenie „oczekujemy z niecierpliwością” było na miejscu,

proszę pana. Jest bardzo ważne, aby pańscy słuchacze zrozumieli, iż przyjmując Pana...

**EK:** A więc poprzez te znaki Bóg mówi nam coś takiego: Czas dobiegł końca, ludziska, zadbajcie o zbawienie albo na zawsze spadajcie do piekła?

**PL:** Nie jestem przekonany, czy...

**EK:** Nieco bardziej, że tak powiem, umiarkowani przywódcy religijni nie zostawili na pańskich przekonaniach suchej nitki. Niektórzy stwierdzili nawet wprost, że to, co pan głosi, to, cytując: „Bełkot mający na celu wyłącznie sianie przerażenia”.

**PL:** Zawsze znajdują się niedowiarki, ale zachęcam pańskich słuchaczy, żeby...

**EK:** Ma pan po swojej stronie nie lada zawodników. Myślę przede wszystkim o doktorze Theodorze Lundzie z Ruchu Dni Ostatnich. Czy to prawda, że polował z byłym prezydentem Billym Bobem Blakiem?

**PL:** Eee... Musiałby pan jego o to zapytać.

**EK:** Ale na pewno nie musiałbym pytać go o poglądy na prawa kobiet, porozumienia pokojowe zawierane przez Izrael, aborcję i małżeństwa homoseksualne. Jest temu stanowczo przeciwny. Czy podziela pan jego poglądy?

**PL:** *(po długim milczeniu)* Wydaje mi się, że w tych kwestiach powinniśmy szukać wskazówek w Biblii. W *Księdze Kapłańskiej* napisano, że...

**EK:** W *Księdze Kapłańskiej* napisano też, że niewolnictwo jest w porządku i że należy kamienować dzieci, które pyskują rodzicom. Dlaczego bierzecie stamtąd to, co jest przeciwko gejom, a nie całą resztę?

**PL:** *(po długim milczeniu)* Proszę mi wybaczyć, ale muszę stanowczo zaprotestować przeciwko prowadzeniu rozmowy w takim tonie. Przyjąłem zaproszenie do pańskiego programu, aby powiedzieć pańskim słuchaczom, że nadszedł już czas, by...

**EK:** Idźmy dalej. Pańska teoria dotycząca Trojga nie jest jedyną, jaka krąży po świecie. Są świry, które twierdzą, że te dzieciaki są sterowane przez Obcych. Na jakiej podstawie twierdzi pan, że te pomysły są głupsze od pańskich?

**PL:** Nie jestem pewien, co...

**EK:** Przecież Troje to tylko dzieci, prawda? Czy nie przeżyły już wystarczająco wiele? Czy po chrześcijańsku jest wydawać na nie wyroki?

**PL:** *(po długim milczeniu)* Ja nie...

**EK:** Przyjmijmy na chwilę, że naprawdę coś w nie wstąpiło. Nie znaczy to jednak, że przestały być tymi dziećmi, którymi były do tej pory, prawda? W takim razie, musi im tam chyba być trochę ciasno?

**PL:** Bóg... Jezus działa niekiedy tak, że...

**EK:** Niezbadane są ścieżki Pana, tak? Stara śpiewka.

**PL:** Ale przecież nie wolno... Nie można lekceważyć znaków świadczących o... W jaki inny sposób te dzieci mogły przeżyć katastrofę? Przecież to...

**EK:** Czy to prawda, że jest pan przekonany, że jest czwarte dziecko, które uszło z życiem? Z katastrofy w Afryce? Czwarty Jeździec? I że powtarza pan tę opinię, mimo że Urząd Badania Wypadków Lotniczych kategorycznie stwierdził, że nie ma najmniejszych szans na to, żeby ktokolwiek ocalał?

**PL:** *(odchrząkuje)* Miejsce katastrofy... Panowało tam ogromne zamieszanie... To Afryka, a w Afryce...

**EK:** W jaki sposób Cztery Jeźdźcy doprowadzili do katastrof? Z czysto praktycznego punktu widzenia musiało to wymagać sporo zachodu, prawda?

**PL:** Eee... Trudno mi stwierdzić to z pewnością, proszę pana, ale powiem jedno: jak tylko zostaną opublikowane końcowe raporty, znajdziemy w nich informacje jednoznacznie

świadczące o... o...

**EK:** O interwencji czynników nadprzyrodzonych? O Obcych, w których wierzą niektórzy?

**PL:** Pan przekręca moje słowa. Chodziło mi o to, że...

**EK:** Dziękuję panu, pastorze Vorhees. Czekamy na telefony od słuchaczy.

**Śledczy Ace Kelso z Urzędu Badania Wypadków Lotniczych zgodził się na rozmowę ze mną zaraz po tym, jak 23 marca 2012 roku na konferencji prasowej w Waszyngtonie podano do publicznej wiadomości wstępne ustalenia dotyczące wszystkich czterech katastrof.**

Tak jak wspomniałem na konferencji, rzadko się zdarza, żebyśmy tak wcześnie informowali o naszych ustaleniach. Tym razem mamy jednak do czynienia z sytuacją nadzwyczajną – ludzie musieli się dowiedzieć, że nie mieliśmy do czynienia ani z atakiem terrorystycznym, ani z działaniem jakichś cholernych sił nadprzyrodzonych, a rodziny ofiar potrzebowały czegoś, co zamknęłoby tę sprawę. Nie uwierzy pani, ilu wariatów wydzwaniało do naszej centrali, oskarżając nas, że jesteśmy w zмовie z tajnymi agencjami rządowymi zatrudniającymi rozmaitych „facetów w czerni”! Naturalnie nie bez znaczenia był też fakt, że po Czarnym Czwartku przemysł lotniczy znalazł się w poważnej zapaści i należało jak najszybciej postawić go na nogi. Słyszała pani o tym, że niektóre linie lotnicze zbijają kasę na tym, że cała trójka ocalonych siedziała z tyłu? Pobierają dodatkową opłatę na miejsca w tylnej części maszyny, a nawet zastanawiają się nad przeniesieniem na tył klasy business, żeby jeszcze bardziej zwiększyć przychody!

Prawie od samego początku było dla nas jasne, że atak terrorystyczny nie wchodzi w grę. Na podstawie oględzin zwłok i szczątków maszyn wiedzieliśmy, że żaden z czterech samolotów nie rozpadł się w powietrzu, co nastąpiłoby wtedy, gdyby na pokładzie doszło do eksplozji. Rzecz jasna, początkowo musieliśmy brać pod uwagę możliwość porwania, ale żadna organizacja nie ogłosiła, że bierze na siebie odpowiedzialność.

Jak pani wie, wciąż intensywnie poszukujemy rejestratora rozmów i czarnej skrzynki z samolotu Go!Go!, ale jesteśmy pewni, że znamy już ciąg wydarzeń poprzedzających katastrofę. Przede wszystkim wiemy, że maszyna znalazła się w samym środku bardzo silnej burzy. Ostatnią wiadomością, którą nadali, był automatyczny sygnał telemetryczny odebrany przez centrum techniczne Go!Go!, świadczący o tym, że w samolocie doszło do licznych awarii układów elektrycznych, w tym także ogrzewania mierników prędkości, co doprowadziło do ich zamrożenia, a tym samym – do niewłaściwego funkcjonowania. Sądząc, że lecą za wolno, piloci stale zwiększali prędkość, aż w końcu przekroczyli możliwości maszyny. Z powodu nadmiernej prędkości płaty dosłownie oderwały się od kadłuba. Jesteśmy niemal stuprocentowo pewni, że oparzenia na ciele Jessiki Craddock zostały spowodowane pożarem paliwa po wypadku.

Zupełnie inaczej miały się sprawy z samolotem linii Dalu Air. Analiza splotu czynników, które doprowadziły do wypadku, wskazuje na to, że tej katastrofy po prostu nie dałoby się uniknąć. Zaczniemy od tego, że Antonow AN-124 został zaprojektowany w latach siedemdziesiątych, czyli lata świetlne przed technologią „fly by wire” wykorzystywanej w airbusach. Pilotowała go niewielka nigeryjska załoga, wcześniej wożąca głównie towary i, szczerze mówiąc, niesłysząca z umiejętności zachowania procedur bezpieczeństwa. Nie chcę się wdawać w szczegóły techniczne, ale tego dnia na lotnisku w Kapsztadzie nie działał system ILS, na pokładzie antonowa zaś nie było ani nowoczesnego systemu nawigacyjnego LNS, ani żadnego innego, który mógłby współdziałać z alternatywnym dla ILS systemem naprowadzania. Piloci niewłaściwie obliczyli drogę podejścia, znaleźli się trzydzieści metrów za nisko, zawadzili prawym skrzydłem o linię wysokiego napięcia i maszyna runęła na gęsto zaludnioną dzielnicę sąsiadującą z portem lotniczym. Muszę przyznać, że wszyscy byliśmy pod wrażeniem sposobu, w jaki tamtejsze władze prowadziły śledztwo. Człowiek, który nim kierował – Nomafu Nkatha, ale nie wydaje mi się, żebym prawidłowo wymówił jego nazwisko – błyskawicznie zebrał relacje naocznych świadków. Wiele osób ostatnie chwile przed katastrofą zarejestrowało telefonami

komórkowymi.

Prowadzących dochodzenie czeka jeszcze zadanie zidentyfikowania ciał osób, które zginęły w katastrofie. Wygląda na to, że było wśród nich wielu uchodźców oraz ludzi ubiegających się o azyl polityczny, w związku z czym dotarcie do członków ich rodzi w celu pobrania próbek, które pozwoliłyby na identyfikację na podstawie DNA, będzie prawie niemożliwe. W końcu udało się odnaleźć rejestrator rozmów z kokpitu, mimo że są tacy, którzy zbierają fragmenty samolotu i sprzedają je turystom. Wyobraża sobie pani coś takiego? Mimo to, tak jak powiedziałem, tamtejszemu zespołowi należy się najwyższa ocena.

Następna w kolejności jest katastrofa maszyny Maiden Air – ta, przy której byłem głównym śledczym, zanim powierzono mi nadzór nad całością. Dowody świadczą o niemal całkowitej utracie mocy w obu silnikach, przypuszczalnie w następstwie zderzenia ze stadem ptaków. Nastąpiło to mniej więcej dwie minuty po starcie, w kluczowej fazie nabierania wysokości. Pilotom nie udało się wrócić na lotnisko i trzy do czterech minut później maszyna rozbiła się na bagnach Everglades. Znaleźliśmy czarną skrzynkę, ale zapis był uszkodzony. Uszkodzenia turbin w obu silnikach wydają się świadczyć o zderzeniu z ptakami, choć – co dziwne – nie natrafiliśmy na żadne, choćby najmniejsze resztki piór. Zgodnie z moimi zaleceniami komisja uznała, że najbardziej prawdopodobną przyczyną katastrofy było właśnie zderzenie ze stadem ptaków.

Pora na – moim zdaniem – najbardziej kontrowersyjną sprawę, czyli na wypadek samolotu linii Sun Air. Trudno było zapanować nad plotkami, zwłaszcza nad tą, że kapitan Seto postanowił popełnić samobójstwo i celowo roztrzaskał maszynę. Jakby tego było mało, żona japońskiego ministra transportu oświadczyła publicznie, że jej zdaniem w tej sprawie maczali palce Obcy. Czuliśmy ogromną presję, żeby jak najprędzej wyjaśnić tę zagadkę. Nagrania z rejestratora rozmów świadczyły o awarii układów hydraulicznych, z zapisów w czarnej skrzynce wynikało zaś, że do katastrofy przyczyniły się liczne błędy i zaniedbania. Nieprawidłowo przeprowadzone naprawy w części ogonowej doprowadziły do zerwania nitów, co z kolei stało się przyczyną rozerwania kadłuba i gwałtownej dekompresji w czternastej minucie lotu. Przestały działać stery i wszystkie układy hydrauliczne, a to oznacza całkowitą utratę sterowności. Piloci walczyli, jak mogli, i należy im się za to ogromny szacunek. Podczas testów w symulatorze nikomu nie udało się utrzymać samolotu tak długo w powietrzu.

Naturalnie podczas konferencji prasowej zostaliśmy dosłownie zasypani pytaniami. Wielu dziennikarzy chciało wiedzieć, skąd wzięły się jasne światła, które widziało kilku pasażerów. To mogło być cokolwiek, ale najprawdopodobniej były to błyskawice. Żeby nie dopuścić do powstawania rozmaitych plotek, najszybciej, jak się dało, upubliczniliśmy zapis z rejestratora rozmów.

**Poniższą transkrypcję zapisu z pokładowego rejestratora rozmów (CVR) lotu 678 linii Sun Air opublikowano 20 marca 2012 na stronie internetowej Urzędu Badania Wypadków Lotniczych.**

**Kap.** – kapitan

**PO** – pierwszy oficer

**KL** – kontrola lotów

*Zapis rozpoczyna się o 21.44, czyli czternaście minut po starcie z lotniska Narita.*

**PO:** Kapitanie, pułap trzy trzy zero, jeszcze tysiąc stóp. Wygląda na to, że na trzy cztery zero powinno być wszystko w porządku, bez turbulencji.

**Kap.:** Świetnie.

**PO:** Czy ma pan...

*(głośny huk, sygnał alarmu spadku ciśnienia)*

**Kap.:** Maski! Założyć maski!

**PO:** Maski założone!

**Kap.:** Tracimy kabinę, możecie nad tym zapanować?

**PO:** W kabinie jest już 14000!

**Kap.:** Przejdź na ręczne, zamknąć zawory. Mamy chyba dekompresję.

**PO:** Kapitanie, musimy zejść niżej!

**Kap.:** Spróbujcie jeszcze raz.

**PO:** Zawory zamknięte, ale to nic nie daje.

**Kap.:** Zawór wychodzący zamknięty?

**PO:** Tak jest.

**Kap.:** W porządku, rozumiem. Powiedzcie kontroli lotów, że zaczynamy awaryjne schodzenie.

**PO:** Mayday, mayday, mayday! SAJ 678 rozpoczyna awaryjne schodzenie. Mamy gwałtowną dekompresję.

**KL:** Rozumiem. SAJ 678, możecie bezpiecznie schodzić, pod wami nie ma nikogo.

**Kap.:** Panuję nad maszyną. Jaki możemy mieć minimalny pułap?

**PO:** 140.

**Kap.:** Autopilot wyłączony, ustawić pułap 140.

**PO:** Pułap 140 ustawiony.

**Kap.:** *(przez interkom)* Panie i panowie, mówi kapitan. Rozpoczynamy procedurę awaryjnego obniżenia pułapu lotu. Proszę założyć maski tlenowe i stosować się do poleceń personelu pokładowego.

**Kap.:** Awaryjne schodzenie w toku. Ciąg zmniejszony, hamulce powietrzne włączone. Proszę o odczyt checklisty.

**PO:** Zmniejszyć ciąg, włączyć hamulce powietrzne, ustawić kierunek, ustawić pułap, włączyć sygnalizację zapięcia pasów, włączyć dodatkowy dopływ tlenu, kod transpondera 7700, powiadomić kontrolę lotów.

**Kap.:** Nie mogę utrzymać kierunku, maszyna skręca w prawo. Nie mogę utrzymać poziomu!

**PO:** *(przekleństwo)* Ster pionowy czy kierunku?

**Kap.:** Ster kierunku mam maksymalnie w lewo, nie reaguje!

**PO:** Awaria centralnego układu hydraulicznego. Wyłączam światła. Cała hydraulika poszła, systemy A i B nie działają. Zaraz będzie checklista.

**Kap.:** Muszę mieć hydraulikę!

**PO:** *(przekleństwo)*

**Kap.:** Zwiększam ciąg silników 3 i 4.  
**PO:** Nie ma nawet systemu gotowości. Ciśnienie w układzie zero!  
**Kap.:** Proszę próbować.  
**PO:** 2000 stóp do pułapu.  
**PO:** 1000 stóp do pułapu.  
*(dźwięk alarmu wysokościowego)*  
**Kap.:** Wyłączam hamulce powietrzne, zwiększam ciąg silników 1 i 2.  
**PO:** Dziób opada! W górę!  
**Kap.:** Nie reaguje! Jeszcze bardziej zwiększam ciąg. Wyrównuję lot, ale wciąż nie mogę utrzymać kierunku. Cały czas skręca w lewo.  
**PO:** Proszę spróbować zwiększyć ciąg w 3 i 4.  
**Kap.:** Zwiększam ciąg w 3 i 4.  
**Kap.:** To nic nie daje! Wciąż skręcamy w prawo!  
**KL:** Mayday SAJ 678, jaki macie kurs?  
**PO:** Mayday SAJ 678, straciliśmy hydraulikę, odezwiemy się.  
**Kap.:** Nie mamy steru kierunku!  
**PO:** Będziemy musieli przejść na ręczne sterowanie!  
**Kap.:** *(przekleństwo)* Już przeszliśmy, ale to nic nie daje! Spróbujmy zmniejszyć prędkość, teraz jest 300 węzłów.  
**PO:** Dziób znowu opada!  
**Kap.:** Mamy w pobliżu jakieś lotnisko?  
**PO:** Tylko...  
**Kap.:** Większy ciąg na 3 i 4!  
*(automatyczne ostrzeżenie: PULL UP, PULL UP, PULL UP!)*  
**Kap.:** Pełny ciąg na wszystkie silniki! W górę!  
**PO:** *(przekleństwo)*  
**Kap.:** W górę! W górę!  
*(koniec zapisu)*



**Artykuł opublikowany 24 marca 2012 roku w „Crimson State Echo”.**

**Kaznodzieja Ruchu Dni Ostatnich rozpoczyna poszukiwania Czwartego Jeźdźca!**

Podczas niedawnej konferencji prasowej w Houston doktor Theodore Lund, jeden z głównych animatorów ewangelicznego Ruchu Dni Ostatnich, oświadczył licznie zgromadzonym dziennikarzom z całego świata, że „Czwarty Jeździec już jest i to tylko kwestia czasu, kiedy na niego trafimy”. Doktor Lund nawiązuje do teorii, ogłoszonej po raz pierwszy przez pewnego pastora z prowincjonalnego teksańskiego miasteczka, według której Troje dzieci, cudownie ocalonych z katastrof w Czarny Czwartek, zostało opętanych przez Jeźdźców Apokalipsy, zesłanych przez Boga w charakterze zwiastunów końca świata. Teoria opiera się na ostatnich słowach Pamelii May Donald, jedynej amerykańskiej obywatelki, jaka znajdowała się na pokładzie samolotu, który rozbił się w niesławnym „lesie samobójców” w Japonii. Doktor Lund i jego zwolennicy są przekonani, że to jedyne wytłumaczenie cudownego ocalenia trojga dzieci, i wierzą, że rozmaite globalne nieszczęścia – między innymi nieoczekiwane powodzie w Europie, susza w Somalii i narastające napięcie w Korei – stanowią zapowiedź zbliżającego się końca świata.

A teraz doktor Lund wydał zdumiewające oświadczenie, że jeszcze jedno dziecko – Czwarty Jeździec Apokalipsy – ocalało z katastrofy w Kapsztadzie w Republice Południowej Afryki. Powołując się na niedawno opublikowaną listę pasażerów maszyny linii Dalu Air, doktor Lund stwierdził, że na pokładzie było tylko jedno dziecko w wieku zbliżonym do trojga dzieci, które praktycznie niedrażnione przeżyły trzy pozostałe wypadki: siedmioletni Nigeryjczyk Kenneth Oduah. „Jesteśmy przekonani, że Kenneth okaże się jednym z żeńców Pana”.

Stanowcze oświadczenie Południowoafrykańskiego Urzędu Ruchu Lotniczego, według którego „nie ma najmniejszej możliwości, aby ktokolwiek przeżył katastrofę lotu 467 linii lotniczych Dalu Air”, nie wywarło na doktorze Lundzie żadnego wrażenia. „Znajdziemy go – stwierdził. – Zaraz po katastrofie powstał kompletny chaos. W Afryce panuje bałagan. Ten dzieciak łatwo mógł się gdzieś zawieruszyć i zniknąć. Odnalezienie go będzie tym ostatecznym dowodem, jakiego potrzebują wszyscy, którzy jeszcze nie przyjęli Jezusa”.

Zapytany, co konkretnie miałyby to oznaczać, doktor Lund wyjaśnił: „Nikt nie chciałby tu pozostać po nadejściu Antychrysta, ponieważ oznaczałoby to niewyobrażalne cierpienie. Powiedziane jest w *Liście do Tesaloniczan*: «Dzień Pański przyjdzie tak, jak złodziej w nocy». Jezus w każdej chwili może wezwać nas do siebie”.

## **200000 dolarów nagrody!**

Za wskazanie miejsca pobytu Kennetha Oduaha, siedmioletniego Nigeryjczyka podróżującego pasażersko-towarowym antonowem, który 12 stycznia 2012 roku uległ katastrofie w miejscowości Khayelitsche (sic!) obok Kapsztadu w Republice Południowej Afryki. Przypuszcza się, że Kenneth oddalił się z sierocińca, w którym udzielono mu pomocy po katastrofie, i obecnie żyje na ulicach Kapsztadu.

Zgodnie z informacjami przekazanymi przez jego ciotkę, Veronicę Alice Oduah, Kenneth ma dużą głowę, bardzo ciemną skórę i sierpowatą bliznę na głowie. Wszystkie informacje prosimy przekazywać na adres podany na stronie [findingkenneth.net](http://findingkenneth.net) lub pod numer +00 789654377646. Opłata jak za standardowe połączenie telefoniczne.

# **CZEŚĆ PIĄTA OCALENI:**

—

**MARZEC**

## **Chiyoko i Ryu**

(Tłumacz Eric Kushan pragnie zwrócić uwagę, że w poniższym zapisie rozmowy postanowił pozostawić japoński termin *izoku*, rezygnując zarówno z dosłownego tłumaczenia go jako „rodziny zmarłych”, jak i z bardziej literackiego „osierocone rodziny”).

**Logowanie @ 16.30 05/03/2012**

**Ryu:** Gdzie byłeś przez cały dzień? Martwiłem się o ciebie.

**Chiyoko:** Dzisiaj przyjechało sześcioro *izoku*.

**Ryu:** Wszyscy naraz?

**Chiyoko:** Nie. Dwoje rano, reszta później, każdy oddzielnie. To potwornie męczące. Matkostwór ciągle powtarza, że powinniśmy okazywać im szacunek. Wiem, że cierpią, ale czemu ona nie pomyśli o tym, jak musi się czuć Hiro, słuchając ich przez cały dzień?

**Ryu:** No właśnie, jak?

**Chiyoko:** Myślę, że się nudzi. Przychodzą do niego, kłaniają się, a potem zadają wciąż te same pytania: „Czy Yoshi, Sakura albo jakiś inny *Shinji* cierpieli? Czy powiedzieli coś przed śmiercią?”. Zupełnie jakby ich wszystkich znał! Aż mi ciarki przechodzą po grzbiecie, Ryu.

**Ryu:** Wcale ci się nie dziwię.

**Chiyoko:** Jeśli przychodzą akurat wtedy, kiedy Matkostwora nie ma, proszę ich, żeby sobie poszli. Matkostwór informuje ich, że on jeszcze nie mówi, ale im to w ogóle nie przeszkadza. Dzisiaj, kiedy poszła do kuchni zrobić herbatę, przeprowadziłam eksperyment. Powiedziałam im, że w rzeczywistości mówi, ale jest bardzo nieśmiały. Że opowiadał, że na pokładzie nie było paniki, nie działo się nic okropnego i że nikt nie cierpiał, z wyjątkiem tej Amerykanki i dwojga ludzi, którzy umarli dopiero w szpitalu. Czy źle postąpiłam?

**Ryu:** Powiedziałaś im to, co chcieli usłyszeć. To było bardzo wielkoduszne z twojej strony.

**Chiyoko:** No tak... Tak naprawdę zrobiłam to wyłącznie po to, żeby pozbyć się ich z domu. Jak długo mogę podawać herbatę z miną oznaczającą: „Bardzo mi przykro z powodu pani/pana straty”? Ach, zapomniałam ci powiedzieć: Jak wiesz, wszyscy *izoku*, którzy do nas przychodzą, to bardzo starzy ludzie, ale dziś trafiła się młodsza kobieta. Młodsza, czyli taka, która poruszała się bez laski i nie była zszokowana, kiedy podałam herbatę nie całkiem w taki sposób, jak powinnam. Powiedziała, że była żoną mężczyzny, który siedział obok tej Amerykanki.

**Ryu:** Wiem, o kim mówisz. Nazywał się Keita Eto. Zdaje się, że nagrał wiadomość, prawda?

**Chiyoko:** Aha. Jak tylko wyszła, przeczytałam ją po raz kolejny. Wynikało z niej, że wsiadając do samolotu, myślał o samobójstwie.

**Ryu:** Myślisz, że jego żona wiedziała, co czuł przed śmiercią?

**Chiyoko:** Na pewno wie teraz.

**Ryu:** To musi boleć. Czego chciała się dowiedzieć od Hiro?

**Chiyoko:** Tego co wszyscy: Czy mąż zachowywał się dzielnie, kiedy samolot spadał, i czy powiedział coś więcej ponad to, co nagrał na komórkę. Pytała rzeczowo i spokojnie. Odniosłam wrażenie, że bardziej niż na podtrzymaniu na duchu zależało jej na tym, żeby zobaczyć Hiro. Zupełnie jakby był okazem w muzeum. Mało mnie szlag nie trafił.

**Ryu:** Niedługo przestaną przychodzić.

**Chiyoko:** Tak myślisz? W tej katastrofie zginęło ponad 500 osób. Setki rodzin mogą chcieć się z nim zobaczyć.

**Ryu:** Nie myśl tak. Teraz przynajmniej już wiedzą, dlaczego samolot się rozbił. To może

pomóc.

**Chiyoko:** Może masz rację. Mam nadzieję, że to pomoże żonie kapitana.

**Ryu:** Przejęłaś się nią.

**Chiyoko:** I to bardzo. Często o niej myślę.

**Ryu:** Dlaczego?

**Chiyoko:** Bo wiem, jak to jest być odsuniętym. Bo wiem, jak to jest, kiedy inni wygadują o tobie niestworzone rzeczy.

**Ryu:** Czy coś takiego przytrafiło ci się, kiedy byłaś w Stanach?

**Chiyoko:** Lubisz wygrzebywać informacje, prawda? Odpowiadając na twoje pytanie: nie. Nie czułam się odsunięta na bok.

**Ryu:** Miałaś tam przyjaciół?

**Chiyoko:** Nie, tylko znajomych. Przecież wiesz, że ludzie z reguły mnie nudzą. To dotyczy również Amerykanów, chociaż wiem, że ty ich podziwiasz.

**Ryu:** Wcale nie! Dlaczego tak myślisz?

**Chiyoko:** No to dlaczego tak bardzo interesujesz się moim życiem tutaj?

**Ryu:** Już ci mówiłem: wyłącznie z ciekawości. Chcę wszystko o tobie wiedzieć. Tylko się nie wściekaj. -|70

**Chiyoko:** Aj! Czuję się molestowana!

**Ryu:** Wiedziałem, że to poprawi ci humor. A skoro już o tym mowa... Bardzo się cieszę, że społeczna Lodowa Księżniczka uważa, że warto ze mną rozmawiać.

**Chiyoko:** Ty i Hiro jesteście jedynymi ludźmi, z którymi mogę wytrzymać.

**Ryu:** Tyle że jednego z nas nigdy nie spotkałaś osobiście, a drugi nie rozmawia. Tak wolisz? Po cichu?

**Chiyoko:** Jesteś zazdrosny o Hiro?

**Ryu:** Jasne, że nie! Nie to miałem na myśli.

**Chiyoko:** Nie zawsze trzeba mówić, żeby cię ludzie rozumieli. Nie uwierzysz, ile Hiro potrafi przekazać tylko za pomocą oczu i mowy ciała! Ale owszem, muszę przyznać, że choć mówienie do kogoś, kto nie może odpowiedzieć, czasem działa uspokajająco, to czasem może być też frustrujące. Nie obawiaj się, nie będziesz musiał ustąpić pola Milczącemu Chłopcu. Poza tym, polubił *Waratte Iitomo!* i *Apron of Love*, których ty, jak wiem, nie znosisz. Mam nadzieję, że mu to minie.

**Ryu:** Ha! Ma dopiero sześć lat.

**Chiyoko:** Aha. Ale te programy są przeznaczone dla zidiociałych dorosłych. Nie mam pojęcia, co on w nich widzi. Matkostwór martwi się, co powiedzą władze, jeśli Hiro nie wróci szybko do szkoły. Nie wydaje mi się, że powinien wracać. Ciężko mi myśleć o tym, że będzie musiał przebywać z innymi dziećmi.

**Ryu:** Zgadzam się z tobą. Dzieci są okrutne.

**Chiyoko:** Jak ma się bronić, skoro nawet nie mówi? Potrzebuje ochrony.

**Ryu:** Ale przecież nie można go chronić w nieskończoność, prawda?

**Chiyoko:** Muszę go jakoś nauczyć, jak może się sam bronić. Nie chcę, żeby przeszedł przez to wszystko, przez co my przeszliśmy. Nie zniosłabym tego.

**Ryu:** Wiem.

**Chiyoko:** Hej! Siedzi teraz obok mnie, chcesz się przywitać?



**Ryu:** Cześć, Hiro!

**Chiyoko:** Super! Właśnie ci się odkłonił. Matkostwór mówi, że zabierze go z powrotem

do szpitala, żeby go tam znowu przebadali. Wciąż się o to z nią kłóczę. Po co to robić? Przecież widać, że nic mu nie dolega.

**Ryu:** Może po prostu nie ma nic do powiedzenia.

**Chiyoko:** Możliwe.

**Ryu:** Słyszałaś, co mówią Amerykanie? O tym czwartym dziecku, w Afryce?

**Chiyoko:** Jasne. To głupota. Matkostwór powiedział mi, że wczoraj dzwonił do niej jakiś amerykański dziennikarz. Cudzoziemiec, który pracuje dla „Yomiuri Shimbun”. Są tak samo okropni jak Aikao Uri i te jej bzdury o Obcych. Jak to możliwe, żeby żona ministra była taką idiotką? Przepraszam, cofam to, co powiedziałam. Nie powinnam się dziwić. Obawiam się, że przyjedzie tutaj i będzie się chciała zobaczyć z Hiro.

**Ryu:** No właśnie. „Zaprowadźcie mnie do waszego wodza, Hiro!”

**Chiyoko:** !!! Posłuchaj, Ryu. Chciałam podziękować ci za to, że mnie słuchasz.

**Ryu:** Skąd ci się to wzięło?

**Chiyoko:** Już od dawna chciałam ci to powiedzieć. Wiem, że nie jest łatwo przywyknąć do moich manier Lodowej Księżniczki, ale to mi bardzo pomaga.

**Ryu:** Hm... Chiyoko, ja też chciałem ci coś powiedzieć. Nie jest mi łatwo, ale muszę to z siebie wydusić. Pewnie domyślasz się, o co chodzi...

**Chiyoko:** Zaczekaj. Matkostwór coś do mnie wrzeszczy.

**Logowanie @ 2.30 06/03/2012**

**Chiyoko:** Ryu. Ryu!

**Logowanie @ 2.40 06/03/2012**

**Ryu:** Jestem! Wybacz, zasnąłem. Obudził mnie sygnał przychodzącej wiadomości.

**Chiyoko:** Słuchaj, muszę ci powiedzieć coś naprawdę dziwnego, ale daj mi słowo, że nikomu tego nie powtórzysz!

**Ryu:** Naprawdę mi nie ufasz?

**Chiyoko:** No dobrze... Wujek Android przywiózł coś dla Hiro. Prezent.

**Ryu:** Co to jest? Nie dawkuj napięcia!

**Chiyoko:** To jest android.

**Ryu:** !!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!

**Chiyoko:** Zaraz będzie jeszcze ciekawiej. To dokładna kopia Hiro! Wygląda tak samo, różni się tylko włosami. Żałuj, że nie słyszałaś, jak Matkostwór wrzasnęła, kiedy go zobaczyła!

**Ryu:** Mówisz poważnie? Robot, który jest kopią Hiro?

**Chiyoko:** Tak. Wujek Android mówi, że zaczął nad nim pracować jeszcze przed śmiercią cioci Hiromi. To naprawdę jest dziwne i niepokojące, jeszcze bardziej niż jego własna kopia. A to jeszcze nie wszystko.

**Ryu:** Coś jeszcze? Co może być dziwniejszego?

**Chiyoko:** Zaczekaj. Wujek Android przywiózł tego robota dlatego, że dowiedział się od Matkostwora, że Hiro nie chce mówić. Uważa, że to mu może pomóc. Wiesz, na jakiej zasadzie działają jego androidy, prawda?

**Ryu:** Chyba tak. Kamera filmuje twarz człowieka i przekazuje obraz do sensorów androida.

**Chiyoko:** Brawo! Wujek latami nad tym pracował. Ustawił tę swoją kamerę, skierował ją na twarz Hiro i poprosił go, żeby spróbował coś powiedzieć. Hiro poruszył ustami, a zaraz potem android powiedział... Zgadnij... „Cześć, tato!”

**Ryu:** !

**Chiyoko:** Matkostwór mało nie zemdleł. Ta maszyna wygląda, jakby żyła. W klatce piersiowej ma nawet specjalny mechanizm, który porusza nią, żeby wyglądało tak, jakby

oddychała. Nawet mruga od czasu do czasu.

**Ryu:** Wyobrażasz sobie, co by było, gdybyś to nagrała i wrzuciła na Nico Nico???

**Chiyoko:** Aiiiiii! Dziennikarze chyba oszaleli!

**Ryu:** Ale skoro on mówi... Czy śledczy nie będą się chcieli dowiedzieć, co widział podczas katastrofy?

**Chiyoko:** Jakie to ma znaczenie? Przecież już wszystko ustalili. Czytałeś zapis ostatniej rozmowy pilotów. Władze wiedzą już, co było przyczyną katastrofy. Możemy tylko czekać, żeby się przekonać, czy wynalazek wujka pomoże Hiro porozumieć się z nami. Zdaje się, że to działa. Wiesz, co powiedział przy kolacji?

**Ryu:** Co???

**Chiyoko:** Z okazji przyjazdu wujka Matkostwór postanowił podać jego ulubioną potrawę natto.

**Ryu:** O rany.

**Chiyoko:** Zgadzam się, też tego nienawidzę. Podałam Hiro miseczkę, a on zajął do niej i poruszył ustami, a wtedy android powiedział: „Nie lubię tego, czy mógłbym dostać trochę rosołu?”. Nawet Matkostwór się roześmiał i kazał mi położyć go spać. Później zakradłam się na dół, żeby posłuchać, o czym rozmawiają. Ojca nie było, jak zwykle.

**Ryu:** No i...???

**Chiyoko:** Matkostwór mówił, że martwi się tym, że Hiro nie wraca do szkoły, i co o tym powiedzą władze. Wujek Android obiecał jej, że wykorzysta swoje wpływy, żeby nie kazali mu tam wracać, przynajmniej do czasu, kiedy zacznie normalnie mówić i nie będzie zwracał na siebie uwagi. Powtarzał kilka razy, że musimy zrobić wszystko, żeby nikt nie dowiedział się o androidzie, a Matkostwór przyznał mu rację.

**Ryu:** Pewnie jest wam wdzięczny za to, że tak dobrze opiekujecie się Hiro.

**Chiyoko:** Chyba tak. Pamiętaj, Ryu, żeby nikomu o tym nie mówić.

**Ryu:** A niby komu miałbym powiedzieć?

**Chiyoko:** Nie wiem. Ciągle jesteś na 2-chan, razem z tym swoim śmiesznym symbolem ORZ.

**Ryu:** Bardzo zabawne. Widzisz? Sama go wezwałaś: -|70

**Chiyoko:** Aj!!! Przestań! Muszę już iść. Potrzebuję trochę snu. Słuchaj, a co takiego chciałeś powiedzieć mi wcześniej?

**Ryu:** To może poczekać. Pogadamy później?

**Chiyoko:** Jasne. Czekajcie na kolejne informacje ze zwariowanego świata Lodowej Księżniczki i Zdumiewającego Mówiącego Chłopca!

**Ryu:** Zabawna jesteś.

**Chiyoko:** Wiem.

## Lillian Small

Bobby mieszkał u nas od sześciu tygodni, kiedy Reuben przebudził się po raz pierwszy. Tego dnia przyszła do niego pielęgniarka, żebym mogła pójść z Bobbym do parku. Martwiłam się, że nie przebywa z innymi dziećmi, ale ze względu na nieustające zainteresowanie mediów nie wydawało mi się, żebym mogła już posłać go z powrotem do szkoły. Prześladowały mnie koszmary, w których spóźniałam się, żeby go odebrać, a wtedy porywał go jakiś fanatyk religijny. Musieliśmy jednak wyjść choć na trochę z mieszkania, bo siedzieliśmy jak w więzieniu od wielu dni. W okolicy roilo się od tych przeklętych wozów transmisyjnych. Przynajmniej wiedzieliśmy już, co spowodowało katastrofę. Przed konferencją prasową, na której to ogłosili, przyszedł do mnie śledczy z Komisji Badania Wypadków Lotniczych. A raczej śledcza, bo ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że to kobieta. Powiedziała mi, że wszystko wydarzyło się w okamgnieniu i że Lori z pewnością niczego nie poczuła. Wiadomość, że nie cierpiała, trochę mnie pocieszyła, ale równocześnie rozdrapała ranę, więc musiałam przeprosić ją na chwilę i wyjść z pokoju, żeby wziąć się w garść. Śledcza nie odrywała wzroku od Bobby'ego. Widać było, że wciąż nie może uwierzyć, że ocalał. Pomyśleć tylko, że przyczyną katastrofy były ptaki... Jak to możliwe, żeby taki wielki samolot rozbił się z powodu kilku ptaków?

A potem, jak już cała sprawa nieco przycichła, ci szaleńcy od Dni Ostatnich wyskoczyli z bzdurami o czwartym dziecku, które rzekomo przeżyło katastrofę w Afryce. Spowodowało to napływ kolejnej fali dziennikarzy i ekip telewizyjnych, a także tłumów rozmaitych fanatyków religijnych z wytrzeszczonymi oczami i transparentami o zbliżającym się końcu świata. Betsy była wściekła.

– Wariaci! Powinno się ich aresztować za te wszystkie kłamstwa!

Po tym, jak w gazetach rozpisywano się o „nienaturalnym” ocaleniu Bobby'ego i o tym, jakoby był opętany, w ogóle przestałam je czytać. Poprosiłam Betsy, żeby nie pokazywała mi żadnych artykułów na ten temat ani nawet mi o nich nie mówiła. Nie mogłam tego znieść.

Doszło do tego, że musiałam opracować i stosować specjalny system wychodzenia z domu. Najpierw prosiłam Betsy, żeby wyjrzała na zewnątrz i sprawdziła, czy po parku kręcą się jacyś obcy albo ci religijni fanatycy. Potem Bobby zakładał przebranie: czapkę baseballową i okulary z zerowymi szklami. Na całe szczęście traktował to jak zabawę. „Pora się przebrać, Bobby!” Po tym, jak wszędzie ukazały się nasze zdjęcia z nabożeństwa żałobnego, ufarbowałam sobie włosy. To był pomysł Betsy; chyba z pół godziny wybierałyśmy w drogerii kolor. W końcu zdecydowałyśmy się na kasztanowy, choć obawiałam się, że będę w nim wyglądać okropnie staro. Jaka szkoda, że nie mogłam zasięgnąć opinii Reubena!

Tego dnia bardzo miło spędziliśmy czas. Padał deszcz, więc w parku nie było innych dzieci, ale wcale nam ich nie brakowało. Przez godzinę mogliśmy udawać, że żyjemy całkiem normalnie.

Po powrocie do domu położyłam Reubena do łóżka. Odkąd Bobby zamieszkał z nami, Reuben wyraźnie się uspokoił. Dużo sypiał i chyba przestały go dręczyć koszmary.

Zrobiłam nam po kanapce z wołowiną, po czym zasiedliśmy na kanapie, żeby obejrzeć film na Netfliksie. Wybrałam coś, co nazywało się *Wyspa Nim*, ale od razu tego pożałowałam, ponieważ już na samym początku była mowa o śmierci matki. Jednak Bobby nie zareagował. Zdaje się, że wciąż jeszcze do końca nie uświadomił sobie, co się stało z Lori. Żył z nami tak, jakby nigdy nie było inaczej, o Lori zaś mówił tylko wtedy, gdy ja o niej wspomniałam pierwsza. Powtarzałam mu bez końca, że matka kochała go nad życie i że zawsze będzie obecna przy nim duchem, ale nie wydaje mi się, żeby to do niego docierało. Odkładałam kolejne spotkanie z psychologiem – chyba tego nie potrzebował – lecz wciąż utrzymywałam kontakt z doktor Pankowski, która zapewniała mnie, że nie powinnam się martwić, bo dzieci mają wbudowany w



psychikę układ zabezpieczający przed skutkami nagłej traumy, i żeby nie wpadać w panikę, jeśli zaobserwuję jakieś zmiany w zachowaniu Bobby'ego. Nigdy nie wspominałam o tym Lori, ale zdarzyło się parę razy, kiedy się nim opiekowałam – było to zaraz po tym, jak Reuben zachorował – że Bobby dostawał ataków wściekłości. Jednak po katastrofie i po tym, jak jego matka... jak Lori... odniosłam wrażenie, że błyskawicznie wydorósł, jakby zdawał sobie sprawę, że wszyscy musimy mocno pracować, żeby sobie z tym poradzić. Stał się też znacznie bardziej uczuciowy. Staralam się ukrywać przed nim rozpacz, ale zdarzało się, że widział mnie płaczącą. Obejmował mnie wtedy i mówił:

– Nie smuć się, babciu.

W trakcie filmu przytulił się do mnie i zapytał:

– Czy Po Po nie może popatrzeć z nami, babciu?

Na Reubena mówił właśnie „Po Po”. Nie mam pojęcia, skąd się to wzięło, ale Lori bardzo się to spodobało, więc nawet zachęcała go, żeby tak go nazywał.

– Po Po śpi, Bobby.

– On często śpi, prawda, babciu?

– Tak, bo... – Jak wytłumaczyć dziecku, co to jest choroba Alzheimera? – Chyba wiesz, że Po Po od jakiegoś czasu jest bardzo chory? Zachorował, jeszcze zanim z nami zamieszkałeś.

– Wiem, babciu – odparł poważnym tonem.

Nie pamiętam, żebym zasnęła, ale z pewnością tak się stało. Obudził mnie śmiech. Film już się skończył, więc śmiech nie mógł dobiegać z telewizora.

To był Reuben.

Powiadam ci, Elspeth, siedziałam jak trusia, bojąc się głębiej odetchnąć. Bobby powiedział coś, czego nie zrozumiałam, i nastąpił kolejny wybuch śmiechu.

Nie słyszałam czegoś takiego od miesięcy.

Kark mnie bolał, bo zasnęłam z przechyloną głową i zesztyniał mi podczas snu, ale w ogóle mi to nie przeszkadzało. Nie pamiętam, kiedy poruszałam się równie szybko!

Byli w sypialni. Reuben siedział wyprostowany, z potarganymi włosami, a Bobby przycupnął w nogach łóżka.

– Cześć, babciu – powiedział Bobby. – Po Po się obudził.

Po pozbawionej wyrazu masce Ala nie został najmniejszy ślad.

– Jak się masz – odezwał się Reuben całkowicie normalnym głosem. – Nie wiesz, co się stało z moimi okularami?

Zasłoniłam sobie usta dłonią, żeby nie krzyknąć.

– Bobby chce, żebym przeczytał mu bajkę.

– Naprawdę? – wykrztusiłam.

Minęło wiele miesięcy od chwili, kiedy po raz ostatni był w pełni przytomny, nie licząc tego uścisku ręki, kiedy dowiedzieliśmy się, że Bobby ocalał z katastrofy. Pierwszą rzeczą, jaką Al mu zabrał, była umiejętność sensownego wyrażania się; tymczasem teraz mówił jakby nigdy nic, bez trudu wypowiadając słowa we właściwym porządku.

Pomyślałam, że chyba śnię, i wtedy Reuben powiedział:

– Szukałem w szubadzie, ale nie mogłem ich znaleźć.

Ledwo zwróciłam uwagę na to, że pomylił słowo. Byłam przekonana, że jestem świadkiem cudu.

– Zaraz ich poszukam, Reuben.

Od dawna ich nie potrzebował, bo przecież Al zabrał mu także umiejętność czytania. Z gwałtownie łomoczącym sercem szukałam ich dosłownie wszędzie. Bałam się, że jeżeli ich nie znajdę, Al znowu wróci. W końcu znalazłam je na samym dnie szuflady ze skarpetkami.

– Dziękuję, moja droga.

Zdziwiłam się, bo Reuben nigdy tak do mnie nie mówił.

– Reuben, czy ty... Jak się czujesz?

Słowa wciąż z trudem przechodziły mi przez gardło.

– Trochę zmęczony, ale poza tym dobrze.

Bobby wymknął się cichutko i wrócił z książką z obrazkami. To była stara, dość dziwna książka zatytułowana *Klej roślinny*. Wręczył ją Reubenowi, który przyjrzał jej się uważnie, mrużąc oczy.

– Hm... Słowa są jakieś dziwne...

Gasł ponownie. W jego oczach znowu dostrzegłam cień Ala.

– Czy mam poprosić babcię, żeby nam poczytała? – zapytał Bobby.

Niepewna mina, potem przebłysk życia:

– Tak. Gdzie Lily?

– Tutaj jestem, Reuben – powiedziałam.

– Masz rude włosy. Moja Lily miała ciemne.

– Ufarbowałam je sobie. Podobają ci się?

Nie odpowiedział, bo nie mógł. Znowu odszedł.

– Poczytaj nam, babciu! – poprosił Bobby.

Usiadłam na łóżku i zaczęłam czytać drżącym głosem. Reuben niemal natychmiast zasnął. Kładąc Bobby'ego do łóżka, zapytałam go, o czym rozmawiali, kiedy słyszałam śmiech Reubena.

– Opowiadał mi o swoich złych snach, a ja mu powiedziałam, że nie musi ich mieć, jeśli nie chce.

Wątpiłam, czy tej nocy uda mi się zmruczyć oko, ale jednak zasnęłam. Kiedy się obudziłam, miejsce Reubena było puste. Zerwałam się na równe nogi i z sercem w gardle pobiegłam do kuchni.

Bobby siedział na blacie i z zapalem gadał coś do Reubena, który sypał łyżeczką cukru do kubka z mlekiem. Ani trochę nie przejęłam się tym, że na blacie pełno było okruszków oraz rozlanej kawy i mleka, tak bardzo wstrząsnął mną fakt, że Reuben zdołał się sam ubrać. Co prawda marynarkę włożył na lewą stronę, ale poza tym wyglądał w porządku. Spróbował się nawet ogolić, lecz to akurat nie wyszło mu najlepiej. Na mój widok pomachał mi ręką.

– Chciałem pójść po bułki, ale nie mogłem znaleźć kluczy.

Spróbowałam się uśmiechnąć.

– Jak się czujesz, Reuben?

– Dobrze. To miło, że pytasz, bardzo dziękuję.

To nie był całkiem on, brakowało czegoś w jego oczach, ale chodził, mówił i sam się ubrał. Bobby pociągnął go za rękę.

– Po Po, chodź pooglądać telewizję. Możemy, babciu?

Skinęłam głową, wciąż trochę oszołomiona. Nie bardzo wiedziałam, co ze sobą począć. Zadzwoiłam do agencji, odwołałam pielęgniarkę, a potem umówiłam się na wizytę u doktora Lomeiera. Wszystko to zrobiłam zupełnie automatycznie.

Opuszczenie mieszkania – mimo cudu – wcale nie było łatwe. Reuben od wielu tygodni nie wychodził, bałam się więc, że się szybko zmęczy. Zamierzałam poprosić Betsy, żeby jak zwykle sprawdziła teren w poszukiwaniu zaczajonych reporterów, ale coś mnie powstrzymało. Zamiast zapukać do jej drzwi, zadzwoniłam po taksówkę, mimo że od kliniki Beth Israel dzieliło nas dosłownie kilka przecznic, i kazałam Bobby'emu włożyć przebranie. Mieliśmy szczęście. Nigdzie nie dostrzegłam żadnego fotoreportera, a ludzie, którzy akurat mijali wejście do budynku

– jakiś ortodoksyjny Żyd i grupka latynoskiej młodzieży – w ogóle nie zwrócili na nas uwagi. Taksówkarz zaparkował przed samym domem. Obrzucił Bobby’ego zdziwionym spojrzeniem, ale nic nie powiedział. Był imigrantem, pewnie Hindusem albo kimś w tym rodzaju. Wątpię, czy mówił po angielsku. Musiałam pokazywać mu drogę do kliniki.

Chyba powinnam opowiedzieć ci o doktorze Lomeierze. Nie lubiłam go, Elspeth. Z pewnością był świetnym lekarzem, ale nie podobało mi się, że kiedy przychodziłam do niego z Reubenem, mówił o nim tak, jakby go tam nie było: „Jak się dzisiaj miewa Reuben, pani Small? Sprawia nam jakieś problemy?”.

To on pierwszy wskazał na alzheimera jako na potencjalną przyczynę problemów z pamięcią, i Reuben też go nie lubił. „Dlaczego takie informacje musi mi przekazywać taki dupek?”. Przypisany nam specjalista był znacznie bardziej sympatyczny, ale przyjmował aż na Manhattanie, a ja jeszcze nie byłam gotowa zabrać Reubena w tak daleką podróż. Doktor Lomeier musiał nam na razie wystarczyć. Potrzebowałam wyjaśnień. Musiałam wiedzieć, z czym mamy do czynienia.

Kiedy weszliśmy do gabinetu, doktor Lomeier przywitał nas przyjaźniej niż zwykle:

– Czy to Bobby? – zapytał. – Wiele o tobie słyszałem, młody człowieku.

– Co pan robi na swoim komputerze? – zainteresował się Bobby. – Tam są obrazki. Chcę je zobaczyć!

Doktor Lomeier zamrugał ze zdziwieniem, po czym odwrócił monitor w naszą stronę. Na ekranie widniał alpejski krajobraz.

– Nie ten obrazek! – zaprotestował Bobby. – Ten z paniami, które trzymają panów za siusiaki!

Zapadła niezręczna cisza. Przerwał ją Reuben, mówiąc głośno i wyraźnie:

– No, niechże mu pan pokaże te obrazki, doktorze!

Boby uśmiechnął się do niego, zadowolony jak nie wiem co.

Doktorowi opadła szczęka. Wiem, Elspeth, że pomyślisz sobie, że przesadzam, ale słowo honoru, tak właśnie było.

– Od... od jak dawna to trwa? – wykrztusił.

Wyjaśniłam, że Reuben zaczął mówić minionego wieczoru.

– Wczoraj wieczorem zaczął się sensownie wypowiadać?

– Tak.

Poprawił się w fotelu.

– Aha.

Byłam niemal pewna, że lada chwila Reuben powie coś w rodzaju: „Hej, ja też tutaj jestem, palancie!”, ale jednak milczał.

– Jeśli tak jest naprawdę, to muszę przyznać, pani Small, że jestem mocno zaskoczony. Stan Reubena był bardzo... Szczerze mówiąc, dziwię się nawet temu, że znowu się porusza. Przypuszczałem, że już w najbliższym czasie będę zmuszony zasugerować pani oddanie go do domu opieki.

Gniew wybuchł we mnie jak laska dynamitu.

– Proszę nie mówić o nim w ten sposób! On tu jest i on jest osobą, ty... ty...

– Dupku? – podsunął Reuben pogodnym tonem.

Bobby pociągnął mnie za rękaw.

– Chodźmy, babciu. Ten pan jest chory.

– To twój dziadek jest chory, chłopcze – powiedział doktor Lomeier.

– Wcale nie. Po Po nie jest chory. – Ponownie szarpnął mnie za rękaw. – Idziemy, babciu.

To głupie.

Reuben już zmierzał w kierunku drzwi. Błada zwykle twarz doktora Lomeiera zrobiła się krwistoczerwona.

– Pani Small, gorąco panią namawiam, żeby natychmiast umówiła się pani na kolejną wizytę. Skieruję panią ponownie do doktora Allena z Mount Sinai. Skoro Reuben wykazuje tak wyraźne oznaki poprawy, to może oznaczać, że leczenie dematininą dało znacznie lepsze rezultaty, niż ktokolwiek mógł przypuszczać!

Nie powiedziałam mu, że Reuben już od kilku tygodni nie brał żadnych lekarstw. Cokolwiek spowodowało gwałtowną poprawę jego stanu zdrowia, z pewnością nie była to dematinina. Od dawna nie byłam w stanie zmusić go, żeby połknął choć jedną tabletkę.

**Isobel, córka Stana Murua-Wilsona, jest szkolną koleżanką Bobby'ego Smalla. Pan Murua-Wilson zgodził się na rozmowę przez Skype'a w maju 2012 roku.**

Jest oczywiste, że my wszyscy, rodzice dzieci ze szkoły imienia Roberta Hernandesa, byliśmy wstrząśnięci informacją o Lori. Nie mogliśmy uwierzyć, że coś takiego przytrafiło się komuś, kogo znamy. Nie to, że bym był z Lori jakoś blisko; moja żona Ana nie jest zazdrosna, ale nie podobało jej się zachowanie Lori na zebraniach komitetu rodzicielskiego. Jej zdaniem Lori zanadto flirtowała i w ogóle była zupełnie niepoważna. Ja nie odniosłem takiego wrażenia. Lori była w porządku. Większość dzieci w szkole to Latynosi, ale obowiązuje w niej integracja i pielęgnuje się etos różnorodności, a Lori nigdy nie pozowała na kogoś, kto posyła dziecko do szkoły publicznej tylko po to, żeby udowodnić wszystkim, że nie ma żadnych uprzedzeń. Biały rodziców, którzy tak właśnie myślą, jest całkiem sporo. Lori, gdyby chciała, bez trudu mogłaby posłać Bobby'ego do jakiejś dobrej żydowskiej szkoły, bo jest parę takich w najbliższej okolicy. Przypuszczam, że głównym powodem, dla którego Ana za nią nie przepadała, był Bobby. Prawdę mówiąc, nie należał do łatwych dzieci.

Skończyłem anglistykę, przed pojawieniem się Isobel myślałem o tym, żeby zostać nauczycielem. Zachowanie Bobby'ego – przed wypadkiem, ma się rozumieć – i stosunek Lori do niego skojarzyły mi się z opowiadaniem *Charles Shirley Jackson*. Zna je pani? O tym chłopcu imieniem Laurie. Codziennie wraca on do domu z przedszkola z kolejnymi opowieściami o nieznośnym Charlesie, który rozrabia podczas zajęć, bije dzieci, morduje przedszkolnego chomika i robi mnóstwo innych paskudnych rzeczy. Rodziców Lauriego przepelnia schadenfreude, pytają z oburzeniem: „Dlaczego rodzice tego Charlesa nie doprowadzą go do porządku?”. Rzecz jasna, na zebraniu z wychowawcami okazuje się, że Charles nie istnieje i że to ich syn dopuszcza się tych wszystkich występków.

Paru rodziców próbowało porozmawiać z Lori o Bobbym, ale bez efektów. Ana naprawdę przestraszyła się w zeszłym roku, kiedy po powrocie ze szkoły Isobel powiedziała, że Bobby próbował ją ugryźć. Ana chciała od razu iść do dyrektora, ale udało mi się ją namówić, żeby tego nie robiła. Wiedziałem, że burza przeminie albo że Lori wreszcie oprzytomnieje i zacznie mu dawać jakieś leki na ADHD.

Czy mogę powiedzieć, że po katastrofie stał się innym dzieckiem? Dużo się mówi na ten temat, zwłaszcza w kontekście tych wszystkich bzdur wygadywanych przez rozmaitych religijnych świrów, ale ponieważ jego babcia Lillian postanowiła, że Bobby będzie się uczył w domu – przypuszczam, że ze względu na zainteresowanie mediów i tych wszystkich pomysłów – trudno mi to ocenić. Spotkałem go tylko raz, chyba pod koniec marca. Pogoda nie była najlepsza, ale Isobel od rana marudziła, że chce iść do parku, więc w końcu się zgodziłem.

– Patrz, tatusiu, tam jest Bobby! – wykrzyknęła, jak tylko doszliśmy na miejsce, i zanim zdążyłem ją powstrzymać, pobiegła do niego.

Był w czapeczce baseballowej i okularach, więc go nie poznałem, ale Isobel od razu go zdemaskowała. Towarzyszyła mu starsza kobieta, która przedstawiła się jako Betsy, sąsiadka Lillian. Wyjaśniła, że Reuben, mąż Lillian, poczuł się gorzej niż zwykle, i dlatego zaproponowała Lillian, że zabierze Bobby'ego na spacer. Ależ była z niej gaduła!

– Pobawisz się ze mną, Bobby? – zapytała Isobel.

Jest miłą, grzeczną dziewczynką. Bobby skinął głową i wyciągnął do niej rękę. Pobiegli na huśtawki. Obserwowałem ich uważnie, słuchając Betsy jednym uchem. Nie ukrywała zdziwienia, że to ja zajmuję się Isobel, a Ana chodzi do pracy.

– Za moich czasów to by było nie do pomyślenia! – powtórzyła kilka razy.

Znam mnóstwo facetów, którzy też tak zrobili. Nie uważam, że bym stał się przez to mniej męski, czy coś w tym rodzaju. Nie nudzi nam się, umawiamy się na jogging, spotykamy się w

klubie i gramy w squasha, robimy mnóstwo innych rzeczy.

Isobel powiedziała coś do Bobby'ego, a on się roześmiał. Odprężyłem się. Gadali o czymś z pochylonymi głowami i widać było, że się doskonale bawią.

– Ma za mało kontaktu z dziećmi – nawijała Betsy. – Oczywiście, to nie wina Lillian, i tak ma pełne ręce roboty.

W drodze powrotnej do domu zapytałem Isobel, o czym rozmawiała z Bobbym. Bałem się, że może opowiadał jej o katastrofie i o śmierci matki. Jeszcze nie mówiłem z Isobel o śmierci. Miała chomika, który z dnia na dzień robił się coraz bardziej niedołączny, ale zamierzałem ukradkiem wymienić go na nowego. Jestem trochę tchórzem, w przeciwieństwie do Any. „Śmierć to po prostu część życia”. Nikt chyba jednak nie chce, żeby jego dzieci dorastały zbyt szybko, prawda?

– Opowiedziałam mu o tej pani.

Dobrze wiedziałem, o co chodzi. Od trzeciego roku życia Isobel dręczyły nocne koszmary. Bardzo szczególne, o fachowej nazwie „halucynacje hipnagogiczne”. Pojawiała się w nich zawsze ta sama stara, zgarbiona kobieta. Problem częściowo bierze się zapewne stąd, że moja teściowa karmi ją historiami pełnymi przesądów, strachów i innych bzdur. Często kłócimy się o to z Aną. W ubiegłym roku sytuacja pogorszyła się na tyle, że poszedłem z Isobel do psychologa. Powiedział, że koszmary w końcu ustąpią, modliłem się więc, żeby to nastąpiło jak najprędzej.

– Bobby jest taki sam jak ona – stwierdziła.

Zapytałem, co ma na myśli.

– Po prostu taki jest, i już.

Przyznam, że trochę się wystraszyłem.

Wiem, że to o niczym nie świadczy, ale... Po tamtym spotkaniu Isobel już ani razu nie obudziła się z płaczem ani nie skarżyła się, że „ta pani” znowu do niej przyszła. Parę tygodni później zapytałem ją ponownie, co miała na myśli, mówiąc, że Bobby jest taki sam jak ona, to znaczy jak „ta pani”, ale udała, że nie wie, o co mi chodzi.

## **Stenogramy nagrań dokonanych przez Paula Craddocka w marcu 2012 roku.**

*12 marca, 5.30*

To był tylko jeden drink, Mandi. Naprawdę tylko jeden. Kolejna paskudna noc, znowu widziałem Stephena, ale tym razem nic nie mówił, tylko...

*(odgłos uderzenia, spuszczenia wody w toalecie)*

Nigdy więcej. Nigdy, kurwa, więcej. Darren przyjedzie za parę godzin, nie może poczuć ode mnie wódy. Ale to pomaga, nie mogę zaprzeczyć.

O Boże.

*12 marca, 11.30*

Chyba mi się udało. Bardzo się starałem, żebym nie zionął płynem do płukania ust, bo wtedy od razu wiadomo, co jest grane. W szafce w łazience znalazłem jakiś stary tani dezodorant, w związku z czym cuchnąłem jak perfumeria podczas wyprzedaży. Nie będę więcej ryzykował.

Nie to, żebym miał okazję spędzić z Darrenem zbyt wiele czasu. Jess jak zwykle owinęła go sobie wokół małego palca.

– Darren, chcesz obejrzeć ze mną *My Little Pony*? Wujek Paul kupił mi cały serial.

Jestem całkowicie pewien, że przed katastrofą nie była aż tak śmiała. Ani ona, ani Polly nie były nadmiernie rozwinięte emocjonalnie; raczej krępowwały się obcych, ale przypuszczam, że nie ma nic nadzwyczajnego w tym, że takie rzeczy się zmieniają. Zdaniem Darrena po feriach wielkanocnych powinniśmy posłać ją z powrotem do szkoły. Zobaczymy, co na to doktor K.

Dziękuję za wyrozumiałość w związku z tym, że nie przesyłam nagrań. Takie nagrywanie... Mówienie o tym wszystkim... To naprawdę pomaga. Obiecuję, że niedługo wrócę do tego, co trzeba. Chodzi o rozpacz, prawda? Wyparcie, czy coś takiego. Zdaje się, że to jeden z etapów, przez które przechodzi każda osoba pogrążona w żałobie. Kurwa, jak to dobrze, że Jess to nie dotyczy. Wygląda na to, że ze wszystkim się pogodziła. Nie rozpląkała się nawet wtedy, kiedy zdjęto jej opatrunki i zobaczyła blizny. Na szczęście nie są jakies potworne. Kiedy będzie starsza, bez trudu ukryje je pod makijażem. Włosy zaczynają już powoli odrastać. Jakiś czas temu mieliśmy niezły ubaw, kupując kapelusze przez internet. Wybrała czarnego trilby w wyjątkowo dobrym stylu. Nie wyobrażam sobie, żeby Jess sprzed katastrofy przyszło do głowy coś takiego. Nie miała pojęcia o dobieraniu strojów i, szczerze mówiąc, kompletnie się tym nie przejmowała.

Zastanawiam się jednak, czy taka całkowita akceptacja tego, co się wydarzyło, jest zupełnie normalna. Chwilami kusi mnie, żeby pokazać jej zdjęcia, które ukryłem przed jej powrotem do domu, i sprawdzić, czy wywołam jakąś reakcję emocjonalną, ale ja sam nie jestem jeszcze gotów na to, żeby na nie spojrzeć, a nie chcę, żeby widziała mnie zdołowanego. Mam nadzieję, że teraz, po ogłoszeniu wstępnych rezultatów śledztwa, zdołam się z tym jakoś uporać. Bardzo pomaga mi Grupa 277, chociaż nie wspomniałem im ani słowem o koszmarach, i nie zamierzam tego zrobić. Ufam im, zwłaszcza Mel i Geoffowi, ale nigdy nic nie wiadomo. Te pieprzone gazety są gotowe wszystko wydrukować, no nie? Widziałaś tę łzawą historyjkę o Marilyn w „The Daily Mail”? Stephen nazywał tę szmatę „The Daily Hail”. Twierdzi, że zdiagnozowano u niej rozedmę płuc. „Marzę już tylko o tym, żeby przed śmiercią jeszcze choć raz zobaczyć małą Jess!” Typowy emocjonalny szantaż. Wciąż mi się wydaje, że lada chwila zobaczę Festera i Gomeza kręcących się wokół domu, myślę jednak, że nawet Rodzina Addamsów nie jest tak głupia, żeby ryzykować sądowy zakaz zbliżania się do nas. Poza tym, jakby doszło co do czego, zawsze mogę zadzwonić do syna Mel, Gavina, żeby pokazał się i nauczył ich moresu.

Chryste, tylko mnie posłuchaj. Bredzę jak kretyn. To przez ten stres i niedobór snu. Wcale się nie dziwię, że pozbawianie możliwości snu to jedna z najbardziej wyrafinowanych i

okrutnych tortur.

(odgłos dzwonka telefonu: temat z Doktora Żywago)

Chwileczkę, telefon.

11.45

Super. To było urocze. Kolejny pismak, tym razem z „The Independent”. Czy to kiedyś nie była poważna gazeta? Chciał wiedzieć, co myślę o pogłoskach, jakoby jeden z religijnych szajbusów zamierzał rozpocząć poszukiwania Czwartego Jeźdźca. Wyobrażasz sobie?

Co to, kurwa, ma wspólnego ze mną? Jezu. Czwarty dzieciak? Ależ bzdury. Miał czelność zapytać mnie, czy ostatnio zauważyłem jakieś zmiany w zachowaniu Jess. Poważnie? Czy teraz prasa zajmuje się takimi rzeczami? Zaklinaczami węży i religijnymi pojebusami? Czyżby świry przejęły kontrolę nad domem wariatów? O, to mi się nawet udało. Muszę pamiętać, żeby tego nie wykasować, kiedy będę wywalał to wszystko, co mówiłem o snach.

No dobrze. Kawa, ubrać Jess, i do Waitrose. Dzisiaj tylko dwóch neandertalczyków z aparatami fotograficznymi przed domem. Wyślizgniemy się bez problemów.

15 marca, 23.25

Hm... Sam nie wiem, co powiedzieć. To był dziwny dzień.

Dziś rano uznałem, że bez względu na paparazzich musimy zaczerpnąć świeżego powietrza. Odczuwałem cholerną potrzebę, żeby się poruszać, a Jess z pewnością spędzała za dużo czasu przed telewizorem. Nie mogliśmy wychodzić zbyt często, bo dziennikarze by nas zdeptali. Całe szczęście, że Jess nie interesują programy informacyjne, choć z drugiej strony, ile razy mogę być w stanie wysłuchać melodii z czołówki *My Little Pony*? To grozi eksplozją mózgu. W towarzystwie gromady kamerzystów, reporterów i dźwiękowców z mikrofonami na wysięgnikach ruszyliśmy w kierunku stajni na końcu naszej ulicy.

– Uśmiechnij się do kamery, Jess! – wykrzykiwali jeden przez drugiego.

Korciło mnie, żeby kazać im wszystkim spierdalać, ale jakoś się pohamowałem, przywołałem na twarz minę dobrego wujka, a Jess jak zwykle pobawiła się z końmi, po czym wzięła mnie za rękę i wróciliśmy do domu.

Ponieważ jutro mamy umówioną wizytę u doktora K, pomyślałem, że może warto spróbować wyciągnąć coś z niej na temat Polly, Stephena i Shelly. Trochę się martwię, że jest taka zamknięta w sobie i... i chyba szczęśliwa. Bo tak właśnie wygląda. Przez cały czas, bez chwili przerwy, jak dziecko z jakiegoś pieprzonego rodzinnego serialu z lat osiemdziesiątych. Przestała nawet używać brzydkich słów.

Jak zwykle, wysłuchiwała mnie spokojnie, z lekko protekcyjnym wyrazem twarzy.

Wskazałem na telewizor, w którym po raz n-ty leciał któryś z rzędu odcinek *My Little Pony*. Mimo okropnej muzyki muszę przyznać, że jest w tym serialu coś przedziwnie uzależniającego. Znam go już na pamięć.

– Pamiętasz, jak Applejack nie przyjęła pomocy przyjaciół i wpakowała się w kłopoty? – zapytałem pogodnym wujkowym tonem. – W końcu Twilight Sparkle i pozostali jednak jej pomogli, a ona zrozumiała, że z trudnych sytuacji można czasem wyjść tylko dzięki wsparciu przyjaciół.

Milczała, patrząc na mnie tak, jakbym postradał zmysły.

– Chodzi mi o to, Jess, żebyś wiedziała, że zawsze i wszędzie możesz na mnie liczyć. I że to nie wstyd płakać, kiedy człowiekowi jest smutno. Wiem, że na pewno bardzo tęsknisz za Polly, mamusią i tatusiem. Wiem też, że nigdy nie uda mi się ich zastąpić.

– Nie jestem smutna – odparła.

Być może wyparła ich ze swojego umysłu. Może nawet wmówiła sobie, że nigdy nie istnieli.



– Czy mam zaprosić na jutro którąś z twoich koleżanek, żebyście się trochę pobawiły? – zapytałem po raz tysięczny.

– Nie, dzięki.

Ziewnęła, po czym znowu skupiła uwagę na tych cholernych kucykach.

3.30

*(szlochanie)*

Mandi, Mandi... Już tego dłużej nie wytrzymam. Był tutaj. Nie widziałem jego twarzy, ale powiedział to samo co zawsze:

– Co ty zrobiłeś, Paul? Dlaczego to tutaj wpuściłeś?

O mój Boże. O kurwa.

4.30

Nie ma mowy, żebym znowu zasnął. Za cholere.

Są takie prawdziwe, te sny. Niewiarygodnie prawdziwe. W dodatku... Cholera. Wiem, że to kompletne wariactwo, ale... Tym razem jestem pewien, że coś poczułem. Ledwo uchwytyny smród gnijących ryb. Zupełnie jakby ciało Stephena rozkładało się coraz bardziej. I wciąż nie widziałem jego twarzy.

W porządku. Wystarczy.

Muszę z tym skończyć.

To kompletne szaleństwo.

A może... A może to się bierze z poczucia winy? Może dlatego moja podświadomość każe mi się z tym mierzyć?

To oczywiście, że robię, co mogę, żeby Jess miała jak najlepiej. Mimo to wciąż odnoszę wrażenie, że czegoś jej brakuje, że powinienem bardziej się postarać.

Tak samo było po śmierci mamy i taty. Wszystko zostawiłem na głowie Stephena. To on musiał się zająć przygotowaniem do pogrzebu. Ja byłem w tym czasie na tournée w Exeter. Uznałem, że moja kariera jest ważniejsza, wmówiłem sobie, że mama i tata nie życzyliby sobie, żebym z ich powodu zaprzepaścił wielką szansę. Ha, ha! Ale mi szansa. Mieliśmy szczęście, jeśli widownia zapełniła się choćby w połowie. Przypuszczam, że wciąż byłem na nich wściekły. Nie powiedziałem im wprost, kim jestem, ale oni wiedzieli. Wielokrotnie dawali mi do zrozumienia, że w naszej rodzinie ja jestem czarną owcą, a Stephen – królewiczem. Pamiętam, co mówiłem ci wcześniej, Mandi, ale prawda wygląda tak, że w dzieciństwie wcale nie byliśmy sobie bliscy ze Stephenem. Niby nigdy się o nic nie kłóciliśmy, ale... Jego wszyscy lubili. Nie zazdrościłem mu, ale jemu było łatwo, mnie – nie. Dzięki Bogu za Shelly. Gdyby nie ona, nasze drogi pewnie już nigdy by się nie zeszyły.

Zawsze jednak wiedziałem... Zawsze. Stephen był zbyt dobry. Lepszy ode mnie.

*(szloch)*

Bronił mnie nawet wtedy, kiedy na to nie zasługiwałem.

Głęboko w sercu od początku wiedziałem, że nie uważał, żebym nadawał się na opiekuna Jess. On i Shelly... Wszystko im się udawało. A ja...

*(głośne pociągnięcie nosem)*

Żalotne to moje uzalanie się nad sobą.

To poczucie winy, nic więcej. Poczucie winy i żal. Postaram się jeszcze bardziej.

Udowodnię Stephenowi, że Shelly miała rację, czyniąc mnie opiekunem ich córki. Może wtedy zostawi mnie w spokoju.

21 marca, 23.30

Poddałem się. Poprosiłem panią Ellington-Burn, żeby zajęła się Jess, a sam poszedłem na spotkanie Grupy 277. Zwykle zabieram Jess, która oczywiście zachowuje się jak aniołek. Mel

sadza ją w holu i daje coś do roboty – zwykle jakieś kolorowanki albo coś w tym rodzaju – a ja przynoszę maca Stephena, żeby mogła oglądać te swoje kucyki, ale niektórzy z grupy... Wydaje mi się, że w jej obecności czują się trochę nieswojo. Naturalnie wszyscy są dla niej bardzo mili, tyle że... Cóż, wcale im się nie dziwię. Trudno o wyraźniejsze przypomnienie o tym, że ich najbliżsi stracili życie, nieprawdaż? Niektórzy pewnie uważają, że to niesprawiedliwe, a inni pewnie chętnie zapytaliby ją o ostatnie sekundy przed katastrofą. Co prawda Jess twierdzi, że niczego nie pamięta, i nic w tym dziwnego. Przecież straciła przytomność. Śledczy z komisji, który rozmawiał z nią przed ogłoszeniem wstępnych ustaleń śledztwa, robił, co mógł, żeby cokolwiek z niej wydobyć, ona jednak stanowczo twierdziła, że ostatnie wspomnienie, jakie zachowała sprzed katastrofy, to kąpiel w hotelowym basenie na Teneryfie.

Pani EB prawie wyrzuciła mnie za drzwi, tak bardzo nie mogła się doczekać, żeby zostać z Jess. Być może jest samotna. Nigdy nie widziałem, żeby odwiedzał ją ktokolwiek poza świadkami Jehowy, choć z drugiej strony, przez większość czasu zachowuje się jak żałosna stara krowa. Na szczęście zostawiła w domu swojego rozszczekanego psa, więc nie musiałem się obawiać, że znajdę jego cholerną sierść w pościeli. Nie wydaje mi się, żeby tylko mnie traktowała z góry; Geoff twierdzi, że na niego też patrzy tak, jakby właśnie wdepnął w gówno (to porównanie jest bardzo typowe dla niego), więc pewnie ma już snobizm w genach, i tyle. Trochę bałem się zostawić małą pod jej opieką, ale Jess wesoło pomachała mi na pożegnanie. Nigdy do tej pory nie mówiłem tego głośno, ale... Chwilami zastanawiam się, czy dla niej w ogóle ma to jakieś znaczenie, czy jestem gdzieś w pobliżu, czy – nie.

Tak czy inaczej... O czym to ja...? Ach, tak: Grupa 277. Niewiele brakowało, żebym wszystko wygadał, żebym opowiedział im o Stephenie i o koszmarach. Jezu. Powstrzymałem się jakoś i nawijałem głównie o zainteresowaniu mediów i o tym, jak mnie to wszystko dołuje. Zdawałem sobie sprawę, że marnuję ich czas, ale nie mogłem przestać.

Mel musiała mi w końcu przerwać, bo zrobiło się późno. Przy herbacie Kelvin i Kylie wstali i oświadczyli, że chcą nas o czymś poinformować. Kylie była czerwona jak burak i nie wiedziała, co począć z dłońmi, a Kelvin powiedział, że spotykają się od jakiegoś czasu i że właśnie postanowili się zaręczyć. Wszyscy zaczęli płakać i klaskać. Szczerze mówiąc, trochę im zazdrościłem. Od wielu miesięcy nawet nie umówiłem się na drinka z nikim, kogo chciałbym przelecieć, a teraz szanse na to spadły niemal do zera. Wyobrażam sobie nagłówek w „The Sun”: SZURNIĘTY WUJEK JESS ZAMIENIA DOM W MIEJSCE SCHADZEK, albo coś w tym rodzaju. Powiedziałem im, że ogromnie się cieszę, choć szczerze mówiąc, on jest dużo starszy od niej, a wszystko wydawało się dzieć odrobinę za szybko, bo okazało się, że chodzą ze sobą dopiero od miesiąca.

Ale i tak porządny z niego gość. Kylie ma szczęście, że na niego trafiła. Pod tą warstwą mięśni i luzactwa kryje się wrażliwa dusza. Sam zainteresowałem się nim po tym, jak przeczytał ten wiersz na nabożeństwie żałobnym, choć z góry wiedziałem, że nic z tego nie będzie. Kelvin jest tak hetero, że bardziej chyba się nie da. Wszyscy tam tacy są. Jestem jedynym gejem w grupie, do kurwy nędzy. Po tym, jak już wszyscy złożyli im gratulacje, Kelvin powiedział, że jego rodzice – oboje zginęli w katastrofie – byliby zachwyceni, gdyby poznali Kylie, bo już od dawna suszyli mu głowę, że pora się ożenić. To nas znowu rozkleiło, a Geoff praktycznie zanosił się łkaniem. Wszyscy wiedzieliśmy, że to Kelvin zafundował rodzicom wycieczkę na Teneryfę. To był prezent na ich rubinowe gody. Na pewno teraz ciężko mu było z tym żyć. Od razu przyszła mi na myśl mama Bobby’ego Smalla. Przecież poleciała na Florydę po to, żeby poszukać miejsca, w którym na starość mogliby osiąść jej rodzice. Okropne. To tyle, jeśli chodzi o pieprzoną karmę.

Sporo osób wybierało się do pubu, żeby uczcić zaręczyny, ale ja uznałem, że będzie

lepiej, jeśli sobie odpuszczę, żeby nie wystawiać się na pokusę wychylenia czegoś mocniejszego. Być może to tylko moja wyobraźnia, ale odniosłem wrażenie, że większość z ulgą przyjęła moją decyzję. Możliwe, że w ten sposób przypomina o sobie moja stara paskudna znajoma, paranoja.

Po powrocie do domu zastałem panią Ellington-Burn na kanapie, pogrążoną w lekturze powieści Patricii Cornwell. Nie wyglądało na to, żeby jej się spieszyło, więc postanowiłem zapytać, czy po katastrofie zauważyła jakieś zmiany w zachowaniu Jess. Chciałem wiedzieć, czy tylko ja odniosłem wrażenie, że osobowość Jess uległa przemianie jak w *Doktorze Who*.

Długo zastanawiała się nad moim pytaniem, po czym pokręciła głową i powiedziała, że nie wydaje jej się. Zaznaczyła, że tego wieczoru mała była słodka jak cukierek, chociaż, o dziwo, nie oglądała *My Little Pony*. Pani EB przyznała z ociąganiem, że urządziły sobie maraton „reality shows” – od *Mam talent* po *Zostań modelką*, po czym Jess bez marudzenia położyła się spać.

Ponieważ nadal nie przejawiała najmniejszej ochoty, żeby wrócić do domu, z naciskiem podziękowałem jej ponownie za pomoc i uśmiechnąłem się znacząco. Podniosła się z kanapy i zmierzyła mnie przeciągłym spojrzeniem. Jej tłuste, obwisłe policzki zadrżały, a następnie powiedziała:

– Na twoim miejscu, Paul, uważałbym na to, co wyrzucam do śmietnika.

Ogarnęła mnie fala paranoi. Przez chwilę byłem niemal pewien, że znalazła pustą butelkę po tym, co nazywałem „wspomagaczem przetrwania” i że zamierza mnie szantażować. Narobiłem dużo szumu wokół mojej abstynencji, więc za nic nie mogłem pozwolić, żeby prawda wyszła na jaw, zwłaszcza biorąc pod uwagę całą resztę.

– Chodzi o prasę – wyjaśniła. – Widziałam kilka razy, jak reporterzy grzebią w pojemnikach ze śmieciami. Nie musisz się martwić, od razu ich przepędziłam. – Poklepała mnie po ramieniu. – Dobrze się starasz. Z Jess wszystko jest w porządku. Nie mogła trafić w lepsze ręce.

Odprowadziłem ją, po czym wybuchnąłem płaczem. Aż słabo mi się zrobiło z ulgi. Przynajmniej jedna osoba była zdania, że robiłem dla Jess coś dobrego. Nieważne, że tą osobą była wredna stara krowa.

Teraz już wiem na pewno, że muszę opanować sytuację z tymi koszmarami. Muszę wziąć się w garść i raz na zawsze uwolnić się od poczucia winy.

22 marca, 16.00

Właśnie wróciłem od doktora K.

Jak już skończył z Jess – wszystko jak zwykle: wygląda na to, że doskonale daje sobie radę, wkrótce będziemy mogli zacząć się zastanawiać nad jej powrotem do szkoły i tak dalej – usiłowałem porozmawiać z nim o moich problemach. Wspomniałem o tym, że dręczą mnie koszmary, choć z oczywistych powodów nie wdawałem się w szczegóły. Miło się z nim rozmawia, jest sympatycznym grubasem, ale na miły „misiowy” sposób, bez łakomstwa w podtekście. Jego zdaniem te koszmary świadczą o tym, że moja podświadomość próbuje sobie poradzić z bólem i rozpaczą i że jak tylko zainteresowanie mediów osłabnie, wszystko powinno wrócić do normy. Nie powinienem lekceważyć wpływu presji, pod jaką się znalazłem ze strony dziennikarzy, Rodziny Addamsów i religijnych świrów, którzy od czasu do czasu do mnie dzwonią. Uważa, że w takiej sytuacji nie ma nic złego we wspomaganie się właściwymi lekami, i dał mi receptę na środek, po którym powinienem spać jak niemowlę.

Zobaczmy, czy podziała.

Prawdę mówiąc, z tabletkami czy bez, nadal boję się zasnąć.

23 marca, 4.00

(szloch)

Nie ma snów. Nie ma Stephena. Ale to... to... może nie jest gorsze, ale...

Obudziłem się około trzeciej, czyli mniej więcej wtedy, kiedy przychodził Stephen, i usłyszałem jakieś głosy, a potem śmiech. Śmiech Shelly. Jasny i wyraźny. Wskoczyłem z łóżka i z sercem w gardle zbiegłem na dół. Nie mam pojęcia, co spodziewałem się zobaczyć – może Shelly i Stephena w holu, zaśmiewających się do rozpuku i opowiadających, jak to... bo ja wiem... zostali porwani przez somalijskich piratów, albo coś w tym guście, i że dlatego tak długo nie dawali znaku życia. Jeszcze się do końca nie obudziłem i chyba dlatego nie myślałem całkiem jasno.

Ale to była tylko Jess. Siedziała kilka centymetrów przed ekranem telewizora, na którym leciało nagranie ze ślubu Shelly i Stephena.

– Jess? – odezwałem się bardzo cicho, żeby jej nie przestraszyć.

„Do cholery, czyżby wreszcie postanowiła stawić czoło swojej stracie?” – pomyślałem.

– Wujku, czy byłeś zazdrosny o Stephena? – zapytała, nie odwracając głowy.

– Dlaczego miałbym być zazdrosny?

Nie przyszło mi do głowy spytać, dlaczego mówi o nim „Stephen”, a nie „tatuś”.

– Bo oni się kochali, a ty nie masz nikogo, kto by cię kochał.

Żałuję, że nie potrafię oddać jej tonu. W taki sposób mógłby mówić jakiś naukowiec, zainteresowany jednym z preparatów.

– To nieprawda, Jess.

– Kochasz mnie, wujku?

Powiedziałem, że tak, choć to była nieprawda. Kochałem dawną Jess. Dawny Paul kochał dawną Jess.

Kurwa, nie mogę uwierzyć w to, co teraz powiedziałem. Co to znaczy: „dawną Jess”?

Zostawiłem ją przy telewizorze, skręciłem do kuchni i wygrzebałem zakopaną głęboko butelkę sherry. Do tej pory udawało mi się o niej zapomnieć.

Wciąż ogląda to nagranie, nie wiadomo który raz. Co najmniej czwarty. Słyszę muzykę, która towarzyszyła ceremonii. *Razem jest lepiej* pieprzonego Jacka Johnsona. Jess ciągle się śmieje, ale z czego? Co tam może być takiego zabawnego?

Siedzę i gapię się w butelkę, ale nie wezmę jej do ręki, Mandi.

Nie ma mowy.

**Geoffrey Moran i jego żona Melanie należeli do najbardziej aktywnych założycieli Grupy 277, mającej na celu podtrzymywanie na duchu tych, którzy stracili bliskich w katastrofie samolotu linii Go!Go! Na początku lipca Geoffrey zgodził się na rozmowę ze mną.**

Moim zdaniem to wina prasy. To prasa powinna za to wszystko odpowiedzieć. Podsluchują rozmowy telefoniczne, drukują wszystko, na co im przyjdzie ochota... Nie dziwię się Paulowi, że stał się odrobinę paranoikiem. Ci dranie dotarli nawet do mnie i do Mel i chcieli, żebyśmy powiedzieli o nim coś niedobrego. Zadawali podchwytliwe pytania, ale Mel oczywiście odesłała ich wszystkich do diabła. W Grupie 277 trzymamy się razem i troszczymy się o siebie. Ja sam jestem zdania, że to prawdziwy cud, że tych troje dzieci wyszło z życiem. Jedna z rzeczy, których nikt nie potrafi wytłumaczyć. Niech pani jednak spróbuje powiedzieć to zwolennikom teorii o interwencji Obcych albo tym matolom od teorii spiskowych! Gdyby nie ci cholerni reporterzy, ani jedna z tych bzdur nie ujrzałaby światła dziennego. To oni wywlekli wszystko na wierzch. Powinno się ich rozstrzelać, co do jednego.

Jasne, że wiedzieliśmy, kim jest Paul, i wcale nie chodzi o to, że był gejem. To, co ludzie robią za zamkniętymi drzwiami, to ich sprawa. Chodzi mi raczej o to, że lubił być w centrum uwagi. Już na samym początku powiedział nam, że jest aktorem. Nigdy o nim nie słyszałem, choć mówił, że parę razy występował w telewizji, ale głównie w epizodach. Musiał bardzo cierpieć, że nie dostaje od życia tego, co sobie wymarzył. Pod tym względem przypominał mi trochę moją Danielle. Oczywiście była od niego znacznie młodsza, ale potrzebowała sporo czasu, żeby zdecydować się, co chce robić. Próbowала tego i owego, aż w końcu postawiła na kosmetykę. Niektórzy po prostu muszą mieć więcej czasu na zastanowienie, no nie?

Zanim Paul zaczął zachowywać się... hm... Zanim stał się bardziej zamknięty w sobie, Mel często się na niego wściekała. Jeśli mu się pozwoliło, potrafił gadać godzinami na naszych spotkaniach. Mimo to staraliśmy się pomagać mu przy Jess, kiedy tylko było to możliwe. Nie zawsze było łatwo: przecież mamy wnuki, którymi musimy się zajmować. Gavin ma trójkę, ale sytuacja Paula była wyjątkowa. Biedaczysko, potrzebował maksymalnego wsparcia, bo z jednej strony bez przerwy atakowały go media, a z drugiej – tamta strona rodziny. Mel nazywała ich szkodnikami. Gdyby próbowali namieszać podczas nabożeństwa żałobnego, Gavin z pewnością by zainterweniował. W przyszłym roku zamierza zdawać do szkoły policyjnej. Będzie z niego dobry gliniarz, jak ze wszystkich, którzy mieli okazję, jak to się mówi, poznać prawo od drugiej strony. Nie to, żeby kiedykolwiek wpakował się w prawdziwe kłopoty. Ta wścibska sąsiadka też robiła, co mogła. Potworna z niej snobka, ale ma serce po właściwej stronie. Widziałam na własne oczy, jak wylała wiadro wody na jakiegoś natrętnego fotoreportera. Już choćby za to należy jej się szacunek, palicho całą resztę.

Kiedy kanał Discovery przygotowywał specjalny program o Czarnym Czwartku, tuż po ogłoszeniu wyników śledztwa, producent zaproponował mnie i Mel rolę prowadzących. Chciał, żebyśmy powiedzieli, co czuliśmy, kiedy dotarła do nas wiadomość o katastrofie. Teraz okropnie jest nawet o tym myśleć, ale jeszcze przed wszystkim, zanim straciliśmy naszą Danielle, oboje uwielbialiśmy ten cykl o katastrofach lotniczych. Prowadziła go amerykańska śledcza, Ace Kelso. Teraz oczywiście wolałbym nigdy tego nie oglądać. Mel z miejsca odmówiła, tak samo jak Kylie i Kelvin. Wtedy byli już razem. Kylie straciła męża, a Kelvin był samotny, więc czemuż by nie? Owszem, był od niej znacznie starszy, ale takie związki wcale nie są skazane na niepowodzenie. Proszę tylko spojrzeć na mnie i Mel. Jest o siedem lat starsza ode mnie, a mimo to dobrze nam ze sobą już od ponad dwudziestu lat. Kylie i Kelvin zamierzali pobrać się w sierpniu, ale ostatnio wspomnieli coś o przesunięciu terminu ślubu. Powiedziałam im, że wszyscy potrzebujemy w życiu jakiejś radości, więc to, co przydarzyło się małej Jess, nie powinno

wpłynąć na ich decyzję.

Właśnie wtedy powinienem był sobie uświadomić, że z Pauliem dzieje się coś niedobrego. Kiedy odmówił udziału w programie Discovery Channel. Uczciwie przyznam, że nie robił nic, żeby postawić Jess w świetle reflektorów, wręcz przeciwnie, ale początkowo nie miał nic przeciwko pokazywaniu się w mediach. Przez kilka miesięcy pojawiał się w niemal wszystkich programach śniadaniowych i opowiadał, jak sobie radzi Jess. Nie uważam, żeby z tego powodu prasa miała prawo wdzierać się w jego życie prywatne i tropić go tak, jak go tropiła. Mogłoby się wydawać, że los księżnej Diany czegoś ich nauczył. Ile jeszcze krwi trzeba rozlać, żeby wreszcie coś dotarło do tych zakutych łbów? Wiem, wiem... To nic nowego pod słońcem, co ani trochę nie zmienia faktu, że wciąż szlag mnie trafia.

Jeśli chodzi o Jess, to był z niej prawdziwy skarb. Sprawiała wrażenie nad wiek rozwiniętej, czemu trudno było się dziwić, zważywszy na to, przez co przeszła. Zawsze uśmiechnięta, nigdy nie skarżyła się na blizny na twarzy. Wyjątkowo pogodny charakter. To niesamowite, jak łatwo dzieci potrafią wrócić do siebie po czymś takim, prawda? Czytałem biografię tej małej muzułmanki, która kiedyś ocalała z katastrofy w Etiopii. Powiedziała, że przez wiele lat miała wrażenie, że to wszystko nie wydarzyło się naprawdę. Może i Jess dzięki temu tak świetnie dawała sobie radę? Mel nawet nie tknęła tej książki, podobnie zresztą jak większość osób z Grupy 277. Kelvin twierdzi, że do tej pory prosi kolegów, żeby sprawdzali, co leci w telewizji, zanim usiądzie przed ekranem. Nie jest w stanie znieść żadnych informacji o katastrofach albo wypadkach, ani nawet filmów kryminalnych.

Nie, nie wydaje mi się, żeby Jess zachowywała się jakoś szczególnie dziwnie. Mogę się pod tym podpisać. Ci przekłęci Amerykanie wygadywali tyle bzdur na temat tych biednych dzieci! Mel parę razy była o krok od zawału. Zresztą, chyba nie tylko my uważaliśmy, że z Jess wszystko jest w porządku, prawda? Przecież szkoła podniosłaby alarm, gdyby coś było nie tak. Jej nauczycielka, bardzo rozsądna kobieta... Ani ona, ani psycholog, ani człowiek z opieki społecznej nigdy nie zauważyli niczego niepokojącego, zgadza się?

Byłem sam, kiedy widziałem Jess po raz ostatni. Mel pomagała Kylie wybrać suknię ślubną, a Paul miał spotkanie z agentem. Odebrałem ją ze szkoły i poszliśmy popatrzeć na konie w stadninie na końcu ulicy. Zawsze pytałem ją, jak sobie radzi w szkole. Trochę się bałem, że dzieciaki jej dokuczają. Blizny nie były duże, ale jednak były, a sama pani wie, jakie są dzieci. Ona jednak twierdziła, że nikt jej nie wyśmiewa. Twarda z niej sztuka. Spędziliśmy bardzo miłe popołudnie. Po powrocie do domu poprosiła, żebym przeczytał jej książkę: *Lew, czarownica i stara szafa*. Sama doskonale czytała, ale lubiła słuchać, jak naśladuję głosy różnych postaci. Uważała, że to bardzo zabawna książka i wciąż do niej wracała.

Kiedy usłyszeliśmy, że Paul wrócił do domu, uśmiechnęła się do mnie tak słodko jak moja Danielle, kiedy była mała.

– Jesteś dobrym człowiekiem, wujku Geoffie – powiedziała. – Przykro mi, że twoja córka musiała umrzeć.

Zawsze to sobie przypominam, ilekroć o niej myślę, i łzy same napływają mi do oczu.

**Chiyoko i Ryu (rozmowa odbyła się trzy miesiące przed ich zniknięciem).**

**Logowanie @ 13.10 25/03/2012**

**Ryu:** Jesteś tam?

**Logowanie @ 13.31 25/03/2012**

**Ryu:** Jesteś tam?

**Logowanie @ 13.45 25/03/2012**

**Chiyoko:** Jestem.

**Ryu:** Martwiłem się. Nigdy nie milczałaś tak długo.

**Chiyoko:** Byłam z Hiro. Rozmawialiśmy. Matkostwór wyszedł, więc nareszcie mamy cały dom tylko dla nas.

**Ryu:** Mówił już coś o katastrofie?

**Chiyoko:** Mhm.

**Ryu:** No i...???

**Chiyoko:** Pamięta, jak wciągano go do śmigłowca i że to było zabawne. „Jakbym latał”. Chętnie przeżyłby to ponownie.

**Ryu:** Dziwne...

**Chiyoko:** Wiem.

**Ryu:** I to wszystko, co zapamiętał z katastrofy?

**Chiyoko:** Tylko o tym mówił do tej pory. Nawet jeżeli wie więcej, to nic nie wspomniał. Nie chcę go poganiać.

**Ryu:** A mówił coś o matce?

**Chiyoko:** Nie. Dlaczego to cię tak interesuje?

**Ryu:** A co w tym dziwnego? Dlaczego miałoby mnie to nie interesować?

**Chiyoko:** Znowu jestem za ostrą, prawda?

**Ryu:** Zaczynam się przyzwyczajać.

**Chiyoko:** Lodowe oparzeliny od Lodowej Księżniczki.

**Ryu:** Chiyoko... Na kogo patrzysz, kiedy on rozmawia z tobą przez androida? Na niego czy na maszynę?

**Chiyoko:** Ha! Dobre pytanie. Zwykle na niego, ale to takie dziwne... Chociaż zdążyłam się już trochę przyzwyczaić. Chwilami myślę, że ma brata bliźniaka. Wczoraj, kiedy Hiro wyszedł z pokoju, przyłapałam się na tym, że rozmawiam z androidem, jakby był żywą istotą.

**Ryu:** !!!

**Chiyoko:** To dobrze, że przynajmniej jedno z nas uważa, że to zabawne. Wujek zbudował go właśnie po to, żeby ludzie zapominali, że mają do czynienia z maszyną.

**Ryu:** ???

**Chiyoko:** Chciał sprawdzić, czy ludzie, jak już się trochę przyzwyczają, będą w stanie traktować androidy jak ludzi. Teraz już wiemy, że tak, a przynajmniej, że tak mają się sprawy z Lodową Księżniczką.

**Ryu:** Przepraszam. To było głupie z mojej strony.

**Ryu:** Hej, a widziałas ten wywiad, w którym powiedział, że czasem sterując androidem z daleka, czuje na skórze palce ludzi, którzy dotykają jego robota? Mózg to przedziwna rzecz.

**Chiyoko:** To prawda. Chciałabym wiedzieć, dlaczego Hiro porozumiewa się wyłącznie za jego pośrednictwem. Wiem, że nie stracił głosu i że mógłby mówić samodzielnie. Może w ten sposób dystansuje się emocjonalnie? Tyle że w tym domu wszyscy to robimy, ha, ha!

**Ryu:** Jak kamerzyści, którzy bez drgnienia powieki filmują najbardziej okropne sceny. Tak, chyba masz rację, jeśli chodzi o dystans emocjonalny.

**Chiyoko:** Posłuchaj tego: zapytałam go, czy chciałby dziś wrócić do szkoły.

**Ryu:** I co?

**Chiyoko:** Odpowiedział: „Tylko wtedy, jeśli będę mógł zabrać moją duszę”.

**Ryu:** Co takiego?

**Chiyoko:** Tak nazywa androida.

**Ryu:** Uważaj, żeby to się nie rozeszło, zwłaszcza że ostatnio w wiadomościach wciąż trąbią o Aikao Uri i jej zwariowanych teoriach na temat Obcych. Lepiej nie podsuwać jej kolejnych pomysłów.

**Chiyoko:** O czym ona teraz opowiada? Mówiła znowu o Hiro?

**Ryu:** Nie tym razem, ale naprawdę wierzy w to, że została uprowadzona przez Obcych. Na Nico Nico jest świetny klip z nią, kiedy o tym mówi. Ktoś wmontował sceny z *E.T.* Bardzo zabawne.

**Chiyoko:** Jest równie koszmarna jak ci amerykańscy fanatycy religijni ze swoim bredzeniem o czwartym dziecku. Wydaje się, że muł już osiadł, a oni znowu wsadzają patyk i zaczynają mieszać, i woda znowu robi się mętna.

**Ryu:** To bardzo poetyckie porównanie. Powinnaś zostać pisarką. Mógłbym ilustrować twoje książki.

**Chiyoko:** Założylibyśmy własne wydawnictwo mangi. Czasem wydaje mi się, że... Zaczekaj, ktoś puka do drzwi. Pewnie jakiś sprzedawca albo ktoś taki.

**Logowanie @ 15.01 25/03/2012**

**Chiyoko:** Wiesz, kto to był?

**Ryu:** Nie mam pojęcia.

**Chiyoko:** Zgadnij.

**Ryu:** Żona kapitana Seto.

**Chiyoko:** Nie. Spróbuj jeszcze raz.

**Ryu:** Aikao Uri ze swoimi Obcymi?

**Chiyoko:** Nie!

**Ryu:** Toturo z autobusem pełnym kotów?

**Chiyoko:** Ha! Muszę to powtórzyć Hiro. Pozwalam mu oglądać *Mojego sąsiada Toturo*, chociaż Matkostwór uważa, że nie powinnam, bo to go wprowadza w zły nastrój. Wspominałam ci o tym?

**Ryu:** Nie. I co? Wprowadza go w zły nastrój? Albo jego androida?

**Chiyoko:** Nie. Śmieje się, kiedy to ogląda. Uważa nawet, że odcinek, w którym matka dziewczynek trafia do szpitala, był bardzo zabawny.

**Ryu:** Naprawdę dziwny z niego dzieciak... No więc? Skoro to nie była postać z kreskówki, to kto?

**Chiyoko:** Córka tej Amerykanki!

**Ryu:** Σ(O-O;)!! Córka Pameli May Donald???

**Chiyoko:** Aha.

**Ryu:** Skąd wiedziała, gdzie mieszkasz?

**Chiyoko:** Pewnie dostała adres od kogoś z grup wsparcia *izuko*, ale równie dobrze mogła go zdobyć gdzie indziej. W gazetach wiele razy pisano, że nasz dom jest blisko stacji Yoyogi, a jego zdjęcia są na stronie internetowej „Tokyo Herald”.

**Ryu:** Jaka ona jest?

**Chiyoko:** Myślałam, że widziałeś ją podczas transmisji z uroczystości żałobnych?

**Ryu:** Chodzi ci o to, jaką jest osobą?

**Chiyoko:** Początkowo myślałam, że jest typową cudzoziemką, i pod wieloma względami taka właśnie jest. Ale była bardzo spokojna, opanowana, skromnie ubrana. Przywitała się tak,



jakby wiedziała, że ma do czynienia z Najważniejszą Lodową Księżniczką.

**Ryu:** Wpuściłaś ją do domu???

**Chiyoko:** A czemu nie? Jest *izoku*, jak wszyscy. Nie tylko zaprosiłam ją do środka, ale nawet pozwoliłam porozmawiać z Hiro.

**Ryu:** Z Hiro czy z jego duszą?

**Chiyoko:** Z jego duszą.

**Ryu:** Pozwoliłaś mu rozmawiać z nią za pośrednictwem androida? Przecież wydawało mi się, że jesteś na nią zła?

**Chiyoko:** Czemu miałabym być na nią zła?

**Ryu:** Ze względu na to, co spowodowała jej matka.

**Chiyoko:** To nie jej wina, tylko tych głupich Amerykanów. Poza tym sprawiała wrażenie kompletnie zagubionej. Trzeba było nie lada odwagi, by przyjechać taki kawał drogi z Osaki, żeby go zobaczyć.

**Ryu:** Coś tu się nie zgadza. Lodowa Księżniczka normalnie nie zachowywałaby się w taki sposób.

**Chiyoko:** Może chciałam usłyszeć, co ma mu do powiedzenia? Może po prostu byłam ciekawa?

**Ryu:** Jak zareagowała, kiedy zobaczyła duszę Hiro i zorientowała się, że będzie z nim rozmawiać za jej pośrednictwem?

**Chiyoko:** Najpierw wytrzeszczyła oczy, a potem odruchowo się ukloniła, tak jak robią ludzie z Zachodu, kiedy starają się być uprzejmi. Oczywiście od razu zaczął chichotać. Siedział przy komputerze za parawanem w moim pokoju. Zaimponowało mi, że nie zaczęła wrzeszczeć i że się nie wystraszyła.

**Ryu:** O co pytała?

**Chiyoko:** Zaczęła od tego, że podziękowała mu za to, że zgodził się z nią porozmawiać. Potem chciała dowiedzieć się tego samego co wszyscy: czy jej matka cierpiała.

**Ryu:** I...?

**Chiyoko:** I Hiro powiedział: „Tak”.

**Ryu:** Oj. Jak zareagowała?

**Chiyoko:** Podziękowała mu za szczerść.

**Ryu:** A więc Hiro przyznał, że rozmawiał z jej matką?

**Chiyoko:** Nie do końca. W gruncie rzeczy nie udzielał jednoznacznych odpowiedzi. Zaczęłam się obawiać, że ją to coraz bardziej frustruje, ale on wtedy powiedział: „Nie smuć się”. Po angielsku!

**Ryu:** Hiro zna angielski???

**Chiyoko:** Krótko przed katastrofą ciocia Hiromi albo Wujek Android nauczyli go pewnie paru zwrotów. Pokazała mu zdjęcia matki i spytała, czy jest pewien, że ją widział. Wtedy on powtórzył: „Nie smuć się”. Rozpląkała się, i to bardzo. Przestraszyłam się, że zdenerwuje Hiro, więc poprosiłam, żeby już sobie poszła.

**Ryu:** Chiyoko, może nie powinienem cię oceniać, ale... Wydaje mi się, że nie należało tego robić.

**Chiyoko:** Nie powinnam kazać jej pójść?

**Ryu:** Nie powinnaś pozwolić jej rozmawiać z duszą Hiro.

**Chiyoko:** Nie prosiłam cię o opinię na ten temat. Poza tym wydawało mi się, że kochasz Amerykanów?

**Ryu:** Dlaczego tak się nade mną znęcasz?

**Chiyoko:** A dlaczego ty próbujesz wywołać u mnie poczucie winy?

**Ryu:** Staram się tylko postępować jak twój przyjaciel.

**Chiyoko:** Przyjaciele się nie oceniają.

**Ryu:** Nie oceniałem cię!

**Chiyoko:** Właśnie, że oceniałeś. Nie potrzebuję tego od ciebie. Matkostwór daje mi to w nadmiarze. Spadam.

**Ryu:** Zaczekaj! Nie możemy przynajmniej o tym porozmawiać?

**Chiyoko:** Nie ma o czym.

**Logowanie @ 16.34 25/03/2012**

**Ryu:** Jesteś jeszcze zła?

**Logowanie @ 16.48 25/03/2012**

**Ryu:** -|70

**Logowanie @ 03.19 26/03/2012**

**Chiyoko:** Ryu, śpisz?

**Ryu:** Przepraszam za wcześniej. Zauważyłaś, że nawet wysłałem ci ORZ?

**Chiyoko:** Aha.

**Ryu:** Wszystko w porządku?

**Chiyoko:** Nie. Matkostwór pokłócił się z ojcem. Pierwszy raz, odkąd Hiro zamieszkał z nami. Martwię się, że go zdenerwowali.

**Ryu:** O co poszło?

**Chiyoko:** O mnie. Matkostwór uważa, że ojciec powinien być bardziej surowy i posłać mnie z powrotem do szkoły publicznej. Zmusić do tego, żebym zaczęła poważnie myśleć o mojej przyszłości. Ale kto wtedy zajmie się Hiro?

**Ryu:** Przywiązałaś się do tego dzieciaka...

**Chiyoko:** To prawda.

**Ryu:** No więc... Co zamierzasz począć ze swoim życiem?

**Chiyoko:** Jestem taka jak ty: nigdy nie planuję niczego dalej niż dzień do przodu. A jaki mam wybór? Nie chcę pracować dla korporacji i do końca życia być niewolnikiem. Nie chcę wykonywać jakiegoś idiotycznego wolnego zawodu. Wynika z tego, że najprawdopodobniej zamieszkać w namiocie w parku z bezdomnymi. Matkostwór byłby najszczęśliwszy, gdybym wyszła za męża, miała dzieci i to właśnie uznała za mój życiowy cel.

**Ryu:** Myślisz, że do tego kiedyś dojdzie?

**Chiyoko:** Nigdy! Kocham Hiro, ale na myśl o tym, że miałabym być odpowiedzialna za czyjeś życie... Będę żyła sama i sama umrę. Od początku wiedziałam, że tak będzie.

**Ryu:** Nie jesteś sama, Yoko.

**Chiyoko:** Dziękuję, Ryu.

**Ryu:** Czyżby Lodowa Księżniczka właśnie powiedziała „dziękuję”?

**Chiyoko:** Muszę już iść. Hiro się obudził. Porozmawiamy jutro.

**Ryu:** 

**CZEŚĆ SZÓSTA**  
**SPISEK:**

—

**MARZEC–KWIECIEŃ**

## **Lola Cando**

Kiedy Lenny przyjechał do mnie po raz ostatni, był wręcz nieprawdopodobnie wściekły. Jak tylko wszedł do motelu, wypił podwójną whisky, a zaraz potem drugą. Dopiero kiedy ochłonał, powiedział mi, co się stało.

Otóż Lenny dowiedział się, że doktor Lund organizował dla Mitcha Reynarda wiec w Fort Worth – mocno proizraelski, z hasłami w rodzaju „wierzący łączcie się” – ale nie poprosił go o wygłoszenie przemówienia. A to jeszcze nie było wszystko. Po wywiadzie radiowym – tym, w trakcie którego ten DJ z Nowego Jorku rozjechał go na naleśnik – doktor Lund przysłał do niego jakiegoś dziennikarza. Ten dziennikarz – Lenny opisał go jako „obleśnego lizodupa w garniturze” – poradził mu, żeby nie starał się zwracać na siebie uwagi i żeby pozwolił doktorowi Lundowi i Elastycznemu Sandy’emu rozpowszechnić przesłanie Pameli tak, jak uznają za stosowne. Lenny wkurzył się również dlatego, że doktor Lund nie chciał, żeby brał udział w poszukiwaniach czwartego dziecka.

– Muszę go jakoś przekonać, że mnie potrzebuje! – powtarzał. – Przecież Pamela to mnie wybrała, żebym przekazywał jej słowa. Musi to zrozumieć!

Nie mogę powiedzieć, żebym mu współczuła, ale nie wątpiłam, że czuje się okropnie; odsunięty na boczny tor, z zakneblowanymi ustami... Jak jakiś szkolny wyrzutek. Nie przypuszczam, żeby chodziło mu o pieniądze; twierdził, że dzięki swojej stronie internetowej dostaje datki z całego świata. Moim zdaniem w grę wchodziła przede wszystkim urażona duma.

Nawet jeśli uczucia doktora Lunda do niego nieco ostygły, to przesłanie głoszone przez Lenny’ego rozprzestrzeniało się jak pożar w buszu. Ludzie, których nigdy nie podejrzewałam o jakiegokolwiek religijne przemyślenia, masowo się nawracali. Zrobiło to nawet kilku moich klientów. Owszem, niektórzy robili to na wszelki wypadek – a nuż wszystko to okaże się prawdą? Mimo że różni przywódcy religijni, nawet muzułmańscy, nawoływali do spokoju i powtarzali, że nie ma powodu do paniki, ludzie naprawdę zaczęli w to wierzyć. Przecież na całym świecie pojawiały się znaki: zaraza, głód, wojna i co tam jeszcze. Wirus, po którym się rzygało, i choroba wściekłych krów szybko się rozprzestrzeniały, a potem nadeszła susza w Afryce i wielki niepokój, kiedy Koreańczycy z Północy zagrozili, że przetestują swoją broń atomową. A to był dopiero początek. Później rozeszły się plotki o dziadku Bobby’ego i o robocie, którego skonstruował wujek tego małego Japończyka. Wyglądało to tak, że za każdym razem, gdy tylko komuś udało się wykpić teorie Lenny’ego, pojawiało się coś, co przemawiało za tym, że jednak są prawdziwe. Gdyby ktoś mnie zapytał wtedy, kiedy poznałam Lenny’ego, czy uważam, że byłby w stanie wywołać tak wielkie zamieszanie, odpowiedziałabym, że nigdy w życiu.

– Muszę mówić donośniejszym głosem, Lo – powtarzał. – Doktor Lund wszystko sobie przywłaszczył. Zachowuje się tak, jakby to był jego pomysł.

– Ale przecież tak czy inaczej chodzi o zbawienie naszych dusz... Prawda, kochanie? – zapytałam.

– Oczywiście, że tak!

Wściekł się jeszcze bardziej, zaczął wykrzykiwać, że czasu jest coraz mniej i że on i doktor Lund powinni pracować ramię w ramię. Nie chciał nawet robić tego co zwykle. Był tak zestresowany, że nie mógł... Wiesz, co mam na myśli. Powiedział, że koniecznie musi znowu zobaczyć się z tym Montym i zacząć planować, w jaki sposób ponownie wkraść się w łaski wielkich graczy. Wspomniał, że na jego ranczu jest już wielu takich „posłańców” jak Monty; wydaje mi się, że zastanawiał się, jak ściągnąć ich jeszcze więcej.

W końcu sobie poszedł. Właśnie zbierałam rzeczy, żeby wrócić do mojego mieszkania, gdzie miał przyjść następny klient, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi. Pomyślałam, że to może

Lenny, któremu zrobiło się żal czasu zmarnowanego na gadanie. Otworzyłam drzwi i zobaczyłam kobietę. Od razu się domyśliłam, kto to. Rozpoznałam ją po piesku, Snookie. Była jeszcze chudsza niż w telewizji, zupełnie jak jakaś anorektyczka. Miała zupełnie inną minę niż wtedy, w programie doktora Lunda. Nie powiedziałabym, że była wściekła ani nic w tym rodzaju, ale w jej oczach było coś, co znaczyło: „Nie próbuj ze mną zadzierać”.

Zmierzyła mnie wzrokiem – pewnie zastanawiała się, co takiego Lenny we mnie widzi – a potem od razu przeszła do rzeczy.

– Od jak dawna to robicie?

Powiedziałam jej prawdę. Skinęła głową, po czym wepchnęła się do pokoju.

– Kochasz go? – spytała.

Mało nie parsknęłam śmiechem. Wyjaśniłam jej, że Lenny jest tylko jednym z moich stałych klientów. Nie byłam jego dziewczyną, kochanką ani nikim takim. Oczywiście wiem, że wielu moich klientów jest żonatych, ale to ich sprawa.

To jakby ją trochę pocieszyło. Usiadła na łóżku i poprosiła o drinka. Podałam jej to samo co Lenny’emu. Powąchała i przełknęła wszystko jednym haustem. Mało się nie zakrztusiła, sporo rozlało jej się na brodę, ale wcale się tym nie przejęła, tylko zatoczyła krąg ręką i powiedziała:

– To wszystko, co robiliście... Ja za to płaciłam.

Nie wiedziałam, jak zareagować. Słyszałam, że to ona trzyma u nich kasę, ale nie miałam pojęcia, do jakiego stopnia. Postawiła psa na łóżku obok siebie. Obwąchał pościel, po czym położył się na boku, jakby zamierzał zaraz zdechnąć. W tym motelu nie wolno było trzymać zwierząt, ale uznałam, że nie muszę jej tego mówić.

Zapytała, co lubił Lenny, a ja powiedziałam prawdę. Stwierdziła, że przez te wszystkie lata przynajmniej nie ukrywał przed nią żadnego dziwaczego zbroczenia. Potem spytała, czy wierzę w to, o czym opowiada – że te dzieci są Jeźdźcami Apokalipsy. Odparłam, że nie jestem pewna, w co wierzyć. Skinęła głową, wstała i wyszła. Nie odezwała się już ani słowem. Wyczuwałam w niej ogromny smutek. Jestem pewna, że to ona opowiedziała dziennikarzom z „The Inquirer” o mnie i o Lennym. Reporter zjawił się u mnie już następnego dnia. Udawał zwyczajnego klienta. Na szczęście miałam się na baczości, ale i tak jeszcze długo potem włóczyło się za mną stado fotoreporterów.

Poszłam potem do Denishy i powiedziałam jej, że Lenny jest moim klientem. Nie była zaskoczona. Jej nie sposób niczym zaskoczyć. Wszystko już widziała. Pewnie chciałabyś wiedzieć, co teraz myślę o Lennym. Mówiłam już, że wszyscy oczekują, że będę o nim opowiadała jako o potworze, ale on taki nie był. Był po prostu mężczyzną. Może opowiem o nim dokładniej, kiedy w końcu zgodzę się napisać tę książkę, o którą błagają mnie ci wszyscy wydawcy, ale na razie nie mam nic więcej do powiedzenia.

**Poniższy artykuł autorstwa Vuyo Molefe – popularnego blogera i niezależnego dziennikarza – ukazał się 30 marca 2012 roku w sieciowym czasopiśmie „Umbuzo”.**

**Ciała wracają do domu, czyli ludzkie koszty katastrofy Dalu Air**

Do odsłonięcia pomnika ofiar katastrofy maszyny Dalu Air w Khayelitsha został jeszcze cały dzień, ale fotoreporterzy już krążą po okolicy. Przywiezieni autobusami robotnicy w pośpiechu gromadzą teren wokół wzniesionego w błyskawicznym tempie pomnika; przypomina czarną szklaną piramidę i wygląda tak, jakby przeniesiono go z planu jakiegoś drugorzędnego filmu science fiction. Dlaczego właśnie piramida? To dobre pytanie, ale pomimo mnóstwa artykułów piętnujących taki właśnie wybór żaden z moich rozmówców – nie wyłączając Ravi Moodleya, radnego Kapsztadu, który zamówił projekt, oraz samej artystki Morny van der Merwe – nie potrafił udzielić mi na nie odpowiedzi.

W okolicy roi się także od łatwo rzucających się w oczy kobiet i mężczyzn w jednoznacznie kojarzących się garniturach i kostiumach, ze słuchawkami w uszach. Obserwują mnie i pozostali przedstawiciele prasy z mieszaniną pogardy i podejrzliwości. Wśród wielkich i wspaniałych, którzy mają zaszczyścić jutrzejsze uroczystości, znajdują się Andiswa Luso, najprawdopodobniej kolejna przewodnicząca młodzieżówki Kongresu Narodowego, oraz John Diobi, popularny nigeryjski kaznodzieja i zarazem biznesmen, silnie powiązany z kilkoma amerykańskimi megakościami, w tym także tymi spod skrzydeł doktora Theodore’a Lunda, który zyskał światowy rozgłos, głosząc, że Troje to w rzeczywistości żęncy Apokalipsy. Krążą pogłoski, że Kiobi wraz ze swoimi partnerami wyznaczył wysoką nagrodę za odnalezienie Kennetha Oduaha, pasażera maszyny Dalu Air, uważanego powszechnie za Czwartego Jeźdźca. Pomimo że zarówno Urząd Lotnictwa Cywilnego Republiki Południowej Afryki, jak i Komisja Bezpieczeństwa Transportu Publicznego stwierdziły, że nie ma najmniejszej szansy, by którakolwiek z osób obecnych na pokładzie samolotu mogła przeżyć katastrofę, plotki o nagrodzie zapoczątkowały niemal coś w rodzaju historycznego polowania, w którym z jednakowym zapałem uczestniczą i miejscowi, i turyści. Fakt, że na pomniku umieszczono także nazwisko Kennetha – mimo że we wraku nie znaleziono ani śladu jego DNA – wywołał ostrą reakcję wielu nigeryjskich chrześcijańskich ugrupowań religijnych. Między innymi dlatego władze zdecydowały o zastosowaniu szczególnych środków ostrożności.

Ja jednak przyszedłem tu nie po to, żeby robić sobie wrogów z ochroniarzy albo prosić rozmaite VIP-y o wywiad. Dzisiaj nie interesują mnie ich historie.

Levi Bandah (21 l.) z Blantyre w Malawi czeka na mnie przed wejściem do świetlicy w Mew Way. Trzy tygodnie temu przyjechał do Kapsztadu, by odszukać szczątki swojego brata Eliasa. Jest przekonany, że Elias jest jedną z ofiar katastrofy, które zginęły na ziemi, kiedy rozpadający się samolot przeorał straszliwą bruzdę przez gęsto zaludnioną okolicę. Elias pracował w charakterze ogrodnika, utrzymując w ten sposób liczną rodzinę w Malawi. Kiedy przez ponad tydzień nie dawał znaku życia, Levi domyślił się, że wydarzyło się coś niedobrego.

– Codziennie przysyłał nam SMS, pieniądze docierały regularnie raz w tygodniu. Nie miałem wyboru, musiałem tu przyjechać i spróbować go odnaleźć.

Nazwisko Eliasa nie figuruje na liście ofiar, ale o niczym to nie świadczy. Na identyfikację poprzez badania DNA wciąż jeszcze czeka mnóstwo szczątków, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa należących głównie do nielegalnych imigrantów.

W wielu afrykańskich kulturach – między innymi w plemienu Xhosa, z którego pochodzę – przykładą się wielką wagę do tego, aby zwłoki zmarłych wróciły do ojczyznej ziemi, żeby ich dusze mogły połączyć się z duszami przodków. Jeśli się tego zaniedba, duch zmarłego nie zazna spokoju i będzie dręczył żyjących. Sprowadzenie zwłok może być bardzo kosztownym

przedsięwzięciem. Transport lotniczy do Malawi lub Zimbabwe to wydatek rzędu 14000 randów – znacznie powyżej możliwości przeciętnego człowieka. Przewiezienie drogą lądową – ponad dwa tysiące kilometrów – to z kolei męcząca i bardzo smutna perspektywa. Słyszałem historie o tym, jak przedsiębiorcy pogrzebowi w porozumieniu z rodzinami ukrywali zwłoki w skrzyniach z różnymi towarami, żeby zaoszczędzić na kosztach transportu.

Przez wiele dni po katastrofie Khayelitsha rozbrzmiewała głosami ludzi nawołujących przez megafony, żeby miejscowa społeczność pomogła im przewieźć zwłoki najbliższych tam, skąd pochodzili. Zdarza się, że po śmierci kogoś z rodziny z takich datków otrzymuje się nawet dwukrotnie więcej, niż wynoszą rzeczywiste potrzeby; ludzie – zwłaszcza imigranci i uciekinierzy – bywają hojni, bo nie wiedzą, kiedy sami będą potrzebować takiej pomocy.

– Ludzie bardzo dużo nam pomogli – mówi cicho David Amai (52 l.), drobny i ruchliwy przybysz z Chipinge w Zimbabwe, który także zgodził się na rozmowę ze mną.

Podobnie jak Levi, czeka w Kapsztadzie na zgodę władz na zabranie zwłok swojego kuzyna Lovemore'a, który także poniósł śmierć na ziemi. Opuszczając Zimbabwe, David miał coś, czego nie miała rodzina Leviego: pewność, że jego bliski nie żyje. Bynajmniej nie dowiedzieli się tego od żadnego z patologów pracujących na miejscu katastrofy.

– Kiedy Lovemore przestał pisać i dzwonić, początkowo nie mieliśmy pojęcia, że nie żyje – powiedział mi David. – Moja rodzina poprosiła o poradę szamana, który odprawił obrzędy i porozmawiał z przodkami mojego kuzyna. Dowiedział się od nich, że Lovemore już do nich dołączył, i dzięki temu wiedzieliśmy, że zginął.

Szczałki Lovemore'a zostały w końcu zidentyfikowane na podstawie badań DNA. David ma nadzieję, że wkrótce będzie mógł wrócić z nimi do domu.

Ale co począć, jeżeli nie ma ciała, które można by pochować?

Leviemu pozostało tylko jedno wyjście: zabrać trochę ziemi i popiołu z miejsca katastrofy i pochować je natychmiast po powrocie do domu. W tym momencie historia Leviego przeistacza się w koszmar – albo farsę, jeśli ktoś woli. Kiedy napełniał ziemią mały woreczek, nadgorliwy policjant aresztował go pod zarzutem zbierania pamiątek w celu sprzedawania ich pozbawionym skrupułów turystom i „myśliwym” Kennetha Oduaha. Na nic zdały się protesty; Levi spędził w celi cały weekend, drżąc o swoje życie. Na szczęście o jego sprawie dowiedziano się w ambasadzie Malawi i po interwencji konsula został zwolniony w stosunkowo dobrym stanie. Pobrano od niego próbki DNA; teraz czeka na potwierdzenie, że wśród ofiar katastrofy był także jego brat Elias.

– Obiecują, że to nie potrwa długo – mówi. – A ludzie tutaj byli dla mnie bardzo dobrzy. Nie mogę wrócić do domu bez choćby kawałeczka mojego brata, żeby go pochować.

W chwili, kiedy opuszczam miejsce katastrofy, dostaję SMS od wydawcy z informacją, że Veronica Oduah, ciotka nieuchwytnego Kennetha, przyleciała do Kapsztadu, by wziąć udział w jutrzejszej ceremonii, ale odmówiła jakichkolwiek kontaktów z prasą. Zastanawiam się, jak się czuje. Podobnie jak Levi, żyje w stanie zawieszenia i niepewności, mając nadzieję, że – na przekór wszystkiemu – jej siostrzeniec jednak nie powiększył szeregu umarłych.

**Superintendent Randall Arendse jest dowódcą posterunku C policji w Khayelitsha, w Kapsztadzie. Rozmawiałam z nim w kwietniu 2012 roku.**

Czwarty Jeździec, a niech mnie! Codziennie przyprowadzali nam nowego, najprawdziwszego Kennetha Oduaha. Zwykle był to jakiś mały włóczęga, który za parę dolarów zgadzał się podawać za Kennetha. Nie tylko my musieliśmy przez to przejść. Pojawiali się na wszystkich posterunkach w Kapsztadzie. Ci amerykańscy durnie nie mieli bladego pojęcia, co rozpętali. Dwa tysiące dolarów? To prawie dwa miliony randów, czyli więcej niż większość ludzi w Afryce Południowej zarobi przez całe życie. Mieliśmy zdjęcie chłopaka, ale szczerze mówiąc, nie widzieliśmy sensu, żeby porównywać je z tymi przybłędami. Większość moich ludzi była tego dnia tam, na miejscu, i widziała, co zostało po wypadku. Żaden pasażer nie miał najmniejszej szansy wyjść z życiem, nawet gdyby był nie wiadomo którym Jeźdźcem Apokalipsy.

Początkowo szczęścia próbowali tylko miejscowi, ale po jakimś czasie zaczęli się pojawiać cudzoziemcy. Najpierw kilku, potem całe tłumy. Miejscowi cwaniacy szybko zwęszyli szansę na łatwy zarobek. Najbystrzejsi zaczęli nawet ogłaszać się w sieci. Zanim się obejrzelśmy, powstała cała mafia organizująca wycieczki po okolicy. Oczywiście nikt nie miał zezwolenia na wstęp na teren katastrofy, ale to im ani trochę nie przeszkadzało. Jezu, byli tacy, co płacili z góry! To było jak strzelanie do kaczek. Powiadam pani, wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że niejeden policjant też maczał w tym palce!

Nie uwierzy pani, ilu naiwniaków utknęło na lotnisku, na próżno czekając na pojawienie się opłaconego z góry przewodnika! Przyjeżdżali zawodowi łowcy nagród, byli gliniarze, nawet myśliwi! Niektórym chodziło tylko o kasę, ale zdarzali się i tacy, którzy autentycznie wierzyli w bełkot tego kaznodziei. Kapsztad to skomplikowane miejsce. Nie można ot, tak sobie, jeździć tu i tam eleganckim samochodem z wypożyczalni i zadawać pytań, nawet jeśli wcześniej zastrzeliło się nie wiadomo jak wiele lwów albo gepardów. Paru naiwniaków przekonało się o tym w dość bolesny sposób, kiedy ktoś szybko i nie zawsze delikatnie zabrał im wszystkie wartościowe przedmioty, jakie mieli przy sobie.

Nigdy nie zapomnę tych dwóch ogromnych Amerykanów, którzy pewnego wieczoru zjawili się na posterunku. Ogolone na łyso głowy i zwały mięśni. Obaj służyli kiedyś w marines. Uważali się za twardzieli; później powiedzieli nam, że doprowadzili przed oblicze sprawiedliwości kilku najbardziej poszukiwanych przestępców w Ameryce. Kiedy jednak zobaczyłem ich po raz pierwszy, trzęśli się jak małe dziewczynki. „Przewodnik” odebrał ich z lotniska, a potem zawiózł tam, dokąd chcieli jechać: w sam środek Khayelitsha. Zaraz po przybyciu na miejsce zabrał im broń, pieniądze, karty kredytowe, paszporty, buty i ubrania. Zostali w samych gatkach. Trochę się z nimi zabawił: kazał im wejść boso do starego cuchnącego wychodka, związał ich i kazał siedzieć cicho, bo jak nie, to ich zastrzeli. Kiedy wreszcie się uwolnili, było już ciemno, śmierdzieli gównem, a po gościu, który ich obrobił, nie został żaden ślad. Jacyś miejscowi zlitowali się nad nimi i odprowadzili na posterunek. Moi chłopcy przez dwa dni pokładali się ze śmiechu. Musieli odwieźć ich do amerykańskiej ambasady, oczywiście wciąż tylko w gatkach. Wszystkie zapasowe ubrania, jakie mieliśmy na posterunku, były na nich za małe.

Ludzie są tutaj naprawdę twardzi, większość codziennie walczy o przetrwanie, więc wykorzystają każdą okazję, jaka im się nawinie. Nie wszyscy, oczywiście, ale ciężko tu się żyje. Trzeba być cwanim. Trzeba szanować ludzi, bo jak nie, to dadzą ci wycisk. Myśli pani, że gdybym poleciał do Los Angeles, to rozbijałbym się po całym mieście, jakbym miał je na własność?

Słowo daję, ci kretyni, którzy przylatywali, równie dobrze mogliby oddawać wszystkie



cenne rzeczy celnikom na lotnisku. Przynajmniej obyłyby się bez dodatkowych pośredników. W końcu musieliśmy wywiesić w hali przylotów plakaty z ostrzeżeniami. Było zupełnie jak w tym filmie *Charlie i fabryka czekolady*. Wszyscy szukali złotego biletu i wszystkim kompletnie szajba odbiła.

Dla nas, w policji, oznaczało to kupę dodatkowej roboty, ale dla tych z branży turystycznej to była prawdziwa złota żyła. Hotele pękały w szwach, autokary też, wszyscy zarabiali kupę kasy, od właścicieli hoteli poczynając, na dzieciach ulicy kończąc. One obłowiły się najbardziej, zwłaszcza po tym, jak rozeszła się plotka, że Kenneth żyje wśród nich. Ludzie uwierzą we wszystko, byle dać im choć odrobinę nadziei.

Tak naprawdę współczułem tylko ciotce Kennetha. Wyglądała na miłą osobę. Mój kuzyn Jamie był jednym z jej ochroniarzy podczas odsłonięcia pomnika. Przyleciała na uroczystość z Lagos. Opowiadał, że cały czas była jakby oszołomiona i powtarzała, że skoro tamtych troje dzieci wyszło z życiem, to czemu Kenneth nie miałby też ocaleć? Ci cholerni religijni fanatycy dali jej fałszywą nadzieję. Tak, to było właśnie to: fałszywa nadzieja.

Nawet im do głowy nie przyszło, jak bardzo są okrutni.

## **Reba Neilson**

Pomału zaczynałam mieć tego dosyć. Wyglądało na to, że pastor Len coraz bardziej oddala się od osób ze swojego zaufanego kręgu, za to coraz bardziej zbliża się do ludzi takich jak Monty. Wspominałam ci o Montym, Elspeth? Jakoś nie mogę sobie przypomnieć. Był jednym z pierwszych Nawróconych, którzy zdecydowali się zostać. Pojawił się w Sannah County krótko po powrocie pastora Lena z tej konferencji w Houston. Już po kilku dniach nie odstępował go na krok, wierny jak pies, którego ktoś nakarmił i pogłaskał. Od początku mi się nie podobał. Wcale nie mówię tego ze względu na to, co zrobił temu biednemu Bobby'emu. Było w nim coś... brudnego, i nie tylko ja odniosłam takie wrażenie.

– Ten gość sprawia wrażenie kogoś, komu przydałaby się porządna kąpiel – powtarzała Stephenie.

Całe ramiona miał pokryte tatuażami, z których część nie wyglądała mi na bardzo chrześcijańskie, i chyba od dawna nie odwiedzał fryzjera. Wyglądał, wypisz, wymaluj, jak któryś z tych satanistów, o których czasem piszą w „The Inquirer”.

Odkąd pojawił się Monty, Jim wypadł z łask pastora. Co prawda pastor Len ciągnął go od czasu do czasu na niedzielne nabożeństwo i wiem, że nie porzucił pomysłu organizowania wycieczek po domu Pameli, ale przez większość czasu Jim siedział sam w domu i pił do nieprzytomności.

Pastor Len poprosił kuzyna Stephenie, Billy'ego, żeby nadzorował prace budowlane na terenie farmy, i to właśnie Billy powiedział nam, że wygląda to tak, jakby ci ludzie przeprowadzili się tam na stałe. Jego zdaniem przypominało to hippisowskie komuny sprzed lat.

Nawet sobie nie wyobrażasz, Elspeth, ile miałam wtedy nieprzespanych nocy... Ogromnie cierpiałam. To wszystko, co pastor Len mówił o tych znakach, było bardzo sensowne, a jednak... Wciąż nie mieściło mi się w głowie, że Pamela, nasza stara dobra Pam, miałaby być prorokiem, czy kimś w tym rodzaju. Powtarzałam to Lorne'owi do znudzenia.

– Posłuchaj, Reba – powiedział wreszcie. – Wiesz przecież, że jesteś dobrą chrześcijanką i że Jezus zbawi cię, bez względu na wszystko. Jeśli czujesz, że nie powinnaś bez zastrzeżeń wierzyć pastorowi, to może sam Jezus ci to podpowiada?

Stephenie myślała tak samo jak ja, ale zerwanie ze wspólnotą nie było łatwe. Zwłaszcza z taką jak nasza. Można chyba powiedzieć, że czekałam na dogodną sposobność.

Obie ze Stephenie obawiałyśmy się, że Kendra nie poradzi sobie z tymi wszystkimi nowymi wyznawcami, ustaliłyśmy więc, że choć nie akceptujemy wszystkiego, co ostatnio wyczynia pastor Len, to jednak powinnyśmy zajrzeć do niej i sprawdzić, czy nie potrzebuje pomocy. Zamierzałyśmy uczynić to w najbliższy weekend, ale akurat w piątek wybuchła bomba z kochanką pastora. Stephenie przybiegła do mnie natychmiast, jak tylko o tym usłyszała, i przyniosła najnowsze wydanie „The Inquirer”. Całą pierwszą stronę zajmował ogromny tytuł: ZNANY KAZNODZIEJA ZDRADZA ŻONĘ! Artykułowi towarzyszyły zdjęcia dorodnej kobiety w fioletowych legginsach, ale były tak słabej jakości, że nie sposób było poznać, czy jest Latynoską, Murzynką, czy po prostu tak mocno się opaliła. Nawet przez chwilę nie wierzyłam w tę historię. Może i uchylił drzwi przed diabłem, ale jestem głęboko przekonana, że prawdziwy pastor Len, ten dobry, mądry człowiek, który od piętnastu lat stał na czele naszej wspólnoty, nie zniknął całkowicie. To niemożliwe, żebyśmy wszyscy przez tyle lat dawali się oszukiwać. Poza tym – i od razu powiedziałam o tym Stephenie – kiedy, na litość boską, pastor miałby znaleźć czas, żeby zadawać się z upadłymi kobietami? Miał tyle zajęć, że z trudem udawało mu się wykroić kilka godzin na sen.

Właśnie kończyłyśmy omawiać tę sprawę, kiedy kto pojawił się na podjeździe? Pastor Len we własnej osobie! Poczulałam ucisk w żołądku, kiedy zobaczyłam, że towarzyszy mu Monty.

– Czy jest tu Kendra, Rebo? – zapytał pastor, jak tylko wpuściłam go do środka.

Powiedziałam mu, że nie widziałam jej na oczy. Monty od razu rozsiadł się przy stole i bez pytania nalał sobie mrożonej herbaty. Stephenie spiorunowała go wzrokiem, ale on nic sobie z tego nie robił.

– Wszystkie rzeczy Kendry zniknęły – powiedział pastor Len. – Pies też. Mówiła ci coś może, Rebo? Może dokąd się wybiera? Zadzwoń do jej brata w Austin, ale tam jej nie ma.

Odparłam, że nie mam pojęcia, dokąd mogła wyjechać. Stephenie zapewniła go o tym samym. Nie wspomniałam o tym, że w sumie wcale się jej nie dziwię, jeżeli po jej domu kręci się coraz więcej obcych ludzi.

– Może to i lepiej... – mruknął. – Ja i Kendra... Doszło między nami do nieporozumień dotyczących roli Jezusa w naszym życiu.

– Amen – wtrącił Monty. Kompletnie bez sensu, moim zdaniem.

Stephenie usiłowała dyskretnie schować gazetę, ale pastor to zauważył.

– Nie słuchajcie kłamstw, które wygadują na mój temat. Nigdy w życiu nie dopuściłem się żadnego niemoralnego uczynku. Jezus jest dla mnie najważniejszy.

Uwierzyłam mu, Elspeth. Ten człowiek potrafił być bardzo przekonujący, kiedy mu na tym zależało. Widziałam, że nie kłamie. Dolałam mrożonej herbaty do dzbanka, po czym postanowiłam dać wyraz dręczącym mnie wątpliwościom:

– Jak pan zamierza wyżywić tych wszystkich nowych wiernych, pastorate?

Bez wstydu przyznam, że patrzyłam prosto na Monty'ego.

– Pan nam dopomoże. Tym dobrym ludziom z pewnością niczego nie zabraknie.

Jak na mój gust to nie bardzo wyglądali na „dobrych ludzi”, zwłaszcza tacy jak Monty.

Wspomniałam coś o tych, którzy bez skrupułów zechcą wykorzystywać jego wielkoduszność, ale bardzo go tym zdenerwowałam.

– Pamiętasz, Rebo, co Jezus mówił o ocenianiu ludzi? Jako dobra chrześcijanka powinnaś się dwa razy zastanowić, zanim rzucisz na kogoś fałszywe oskarżenie.

Zaraz potem wyszli.

Byłam tak tym zbulwersowana, że w niedzielę po raz pierwszy od wielu lat nie poszłam do kościoła. Stephenie powiedziała mi później, że był wypełniony po brzegi nowymi wiernymi, tak że nieliczni członkowie starej gwardii musieli zostać na zewnątrz.

To się wydarzyło jakieś dwa dni później. Byłam bardzo zajęta, bo chciałam wreszcie skończyć z robieniem przetworów (mieliśmy już zapasów na jakieś dwa lata, ale wciąż jeszcze zostało sporo do przerobienia). Właśnie rozmawialiśmy z Lorne'em o tym, że warto by zamówić trochę drewna i ułożyć je za domem na wypadek awarii elektryczności, kiedy usłyszałam, jak przed gankiem z szurgotem opon zatrzymuje się samochód. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam Jima skulonego za kierownicą jego pick-upa. Nie widziałam go od tygodnia, to znaczy od chwili, kiedy zawiozłam mu zapiekankę. Nie otworzył mi wtedy, więc – choć trochę wstyd mi się do tego przyznać – zostawiłam ją na progu.

Otworzył drzwi i wysiadł, a właściwie wypadł z samochodu. Pobiegliśmy go podtrzymać, a on wtedy powiedział:

– Zadzwoń Joanie...

Cuchnął alkoholem i potem, nie golił się chyba od paru tygodni. Przemknęło mi przez głowę, że być może córka zadzwoniła do niego z informacją, że prochy Pam wreszcie wrócą do domu, i dlatego jest taki wzburzony. Zaprowadziliśmy go do kuchni i posadziliśmy przy stole, a on wtedy zapytał:

– Możesz zadzwonić do pastora Lena? Poproś go, żeby tu przyjechał.

– Dlaczego od razu nie pojechałeś na jego ranczo?

Prawdę powiedziawszy, nigdzie nie powinien jeździć. Na kilometr cuchnęło od niego alkoholem. Smród aż szczypał w oczy. Gdyby szeryf Beaumont zobaczył go w takim stanie, jak nie wsadziłby go za kratki. Nalałam mu coli, żeby trochę oprzytomniał. Po ostatniej rozmowie z pastorem wcale nie miałam ochoty do niego dzwonić, ale jednak to zrobiłam. Ku mojemu zdziwieniu odebrał telefon i powiedział, że zaraz przyjedzie.

Czekając na niego, próbowaliśmy wyciągnąć coś z Jima, ale on niewiele mówił, a to, co z siebie wycisnął, wydawało nam się kompletnie bez sensu. Po kwadransie pojawił się pastor Len, a z nim oczywiście Monty – wierny jak pies.

– Joanie pojechała do tego chłopca, Len – powiedział Jim bez żadnych wstępów. – Do tego w Japonii.

Pastor Len znieruchomiał. Zanim ich drogi się rozeszły, pastor Len wiele razy wspominał o tym, że doktor Lund bezskutecznie starał się spotkać z jednym z ocalałych dzieci.

– Powiedziała mi, że z nim rozmawiała... To znaczy, z nim, ale nie bezpośrednio.

Nikt z nas nie miał najmniejszego pojęcia, co to mogło znaczyć.

– Nie rozumiem cię, Jim – powiedział pastor Len.

– Rozmawiał z nią przez androida. Przez robota, który wyglądał dokładnie jak on.

– Robot? – odezwałam się. – Rozmawiał przez robota? Takiego jak te na YouTube? Co to ma znaczyć?

– Właśnie, co to ma znaczyć, pastore Len? – zawtórował mi Monty.

Pastor Len milczał przez dobrą minutę.

– Wydaje mi się, że powinienem zadzwonić do Teddy'ego – powiedział w końcu.

Tak nazywał doktora Lunda: Teddy. Zupełnie jakby byli dobrymi znajomymi, choć przecież wszyscy wiedzieliśmy, że się poróżnili. Później Lorne wytłumaczył mi, że pewnie w ten sposób chciał zatrzeć niedobre wrażenie wywołane tymi wszystkimi kłamstwami o nim i tej kobiecie.

Wtedy nastąpiło najlepsze: Jim powiedział, że poszedł już do gazet z tą historią i że wszystko im opowiedział. Pastor Len zrobił się czerwony jak pomidor.

– Jim, dlaczego najpierw mnie o tym nie powiedziałaś?

– Pam była moją żoną – odparł Jim bez cienia skruchy w głosie. – Zaproponowali mi pieniądze. Nie mogłem odmówić. Przecież muszę z czegoś żyć.

Dostał już mnóstwo pieniędzy z ubezpieczenia Pam, więc trudno było przyjąć to wyjaśnienie. Lorne twierdzi, że pastor Len wściekł się tak bardzo dlatego, że sam chciał coś na tym zarobić. Jim walnął pięścią w stół.

– Poza tym ludzie muszą się dowiedzieć, że ten chłopak jest zły! Dlaczego to on ocalał, a nie Pam? Dlaczego, pastore Len? To nie w porządku. To nie fair. Pam była dobrą kobietą. Dobrą kobietą...

Rozpłakał się, a potem zaczął wygadywać, że te dzieci to mordercy, że pozabijały wszystkich, którzy lecieli tymi samolotami i że on kompletnie nie rozumie, dlaczego nikt nie zdaje sobie z tego sprawy.

Pastor Len zaproponował, że odwiezie go do domu, a Monty pojedzie za nimi pick-upem Jima. Musieli we dwóch zanieść go do nowej terenówki pastora. Jim ryczał jak bóbr, wył i miotał się jak w jakimś ataku. Po czymś takim nie powinno się było zostawić go samego. Nie ulegało wątpliwości, że coś poprzestawiało mu się w głowie, ale wciąż był uparty jak przedtem i wiem w głębi serca, że nawet gdybym zaproponowała, żeby został, i tak by mnie nie posłuchał.

**Tuż przed oddaniem tej książki do druku udało mi się uzyskać zgodę na rozmowę z Kendrą Vorhees, ubezwłasnowolnioną żoną pastora Lena. Spotkałam się z nią w ultranowoczesnej klinice psychiatrycznej, w której obecnie przebywa (zgodnie z umową nie podaję ani jej nazwy, ani dokładnego położenia).**

*Pielęgniarka z nienagannie wykonanym manicure'em prowadzi mnie do obszernego, słonecznego pokoju. Kendra siedzi przy biurku nad otwartą książką. (Nieco później udaje mi się podejrzeć, że to najnowszy tom cyklu o Czasach Ostatnich pióra Elastycznego Sandy'ego). Leżący na jej kolanach pies – Snookie – na mój widok leciutko macha ogonem, ale Kendra w ogóle nie zwraca na mnie uwagi. W końcu podnosi jednak wzrok i kieruje na mnie znacznie bystrzejsze i bardziej przytomne spojrzenie, niż oczekiwałam. Jest tak chuda, że widzę wszystkie żyły pod jej skórą. Mówi z lekkim teksańskim akcentem, powoli i starannie; być może to skutek działania leków, które przyjmuje. Ruchem ręki wskazuje mi fotel naprzeciwko biurka i nie protestuje, kiedy kładę na biurku dyktafon.*

*Pytam ją, dlaczego zgodziła się rozmawiać właśnie ze mną, a nie z kimś innym z tłumu dziennikarzy, którzy zabiegali o możliwość przeprowadzenia wywiadu.*

Czytałam pani książkę. Tę z wywiadami z dziećmi, które przypadkowo zastrzeliły kogoś z rodzeństwa z pistoletu mamusi albo wymordowały połowę kolegów z klasy za pomocą automatycznego pistoletu tatusia. Len wpadł w szal, kiedy zobaczył mnie z tą książką. Nic dziwnego, przecież ma prawdziwą obsesję na punkcie drugiej poprawki do konstytucji, prawa do posiadania broni i tak dalej.

Proszę nie myśleć, że chcę się na nim zemścić za to, co robił z tą prostytutką. Prawdę mówiąc, nawet ją polubiłam. Była zdumiewająco szczerą, co w dzisiejszych czasach należy do rzadkości. Mam nadzieję, że wykorzysta swoje pięć minut sławy, że wycisnie z tego, ile się da.

*Pytam, czy to ona przekazała prasie informację o wyczynach pastora Lena. Kendra wzdycha, przez chwilę bawi się ze Snookie, po czym kiwa głową. Pytam, dlaczego to zrobiła, skoro nie zależało jej na zemście.*

Ponieważ prawda was wyzwoli! (Wybucha głośnym, gorzkim śmiechem). Nawiasem mówiąc: Jak będzie pani szykować ten wywiad do druku, może pani sobie pisać, co się jej żywnie podoba. Co pani chce. Jeśli jednak chce pani znać prawdę, to zrobiłam to po to, żeby na zawsze odciągnąć Lena od doktora Lunda. Len bardzo cierpiał, kiedy duzi chłopcy odsunęli się od niego po tym, jak ośmieszył się w radiu, i wiedziałam, że wystarczy, by któryś z nich skinął palcem, a on wróci, skamlać i z podwiniętym ogonem. Uważałam, że robię to dla jego dobra. Wszyscy przecież widzieli, jak doktor Lund manipuluje ludźmi. Zdawałam sobie sprawę, że doktor nie będzie chciał mieć w swoim otoczeniu kogoś obciążonego takim skandalem. To by się mogło niekorzystnie odbić na jego politycznych aspiracjach. Okazało się jednak, że zrobiłam najgorszą rzecz z możliwych. Tysiąc razy dziennie zastanawiam się, co by było, gdybym tamtego dnia nie pojechała za Lenem. Gdybym zostawiła sprawy ich biegowi. Gdyby Len jednak wrócił do łask Lunda, czy w ostatecznym rozrachunku sprawiłoby to jakąkolwiek różnicę? Czy uchroniłoby go to przed wpływem tych breńi wygadywanych przez Jima Donalda? Wszyscy powtarzają, że Len „uchylił diabłu drzwi”, ale to nie jest takie proste. Tak naprawdę przyczyną było wielkie rozczarowanie, jakie go spotkało. Ludzie ze złamanym sercem są zdolni do wszystkiego.

*Otwieram usta, żeby wtrącić komentarz, ale ona mówi dalej.*

Nie jestem szalona. Nie jestem wariatką. Nie brakuje mi piątej klepki. Po prostu straciłam siłę, żeby dalej udawać. Nie sposób przez całe życie udawać kogoś innego, prawda? Mówią, że mam depresję. Zdiagnozowaną. Być może dwubiegunową, choć kto wie, co to naprawdę znaczy? Pobyt tutaj nie jest tani. Rachunki płaci mój niewydarzony braciszek. Zgarnął większą część

pieniędzy ojca, więc nadarzyła się okazja, żeby je sensownie wydał. Kogo innego miałam prosić o pomoc? Przyszło mi do głowy, żeby zwrócić się do samego doktora Lunda. Już wtedy, kiedy byliśmy na tym przekłętym konwencie, widać było, że ma mnie za nic. Wiem na pewno, że nie chciał, żebym wystąpiła z Lenem w jego programie. Bał się, że narobię mu wstydu. Jego żona też mnie nie polubiła, zresztą z wzajemnością. Szkoda, że nie widziała pani jej miny, kiedy odmówiłam wstąpienia do Ligi Chrześcijańskich Kobiet! „Ależ, Kendro, przecież musimy walczyć z tymi przekłętymi feministkami i morderczyniami dzieci!”

*Mruży oczy i mierzy mnie spojrzeniem.*

Coś mi się wydaje, że pani jest feministką... Zgadza się?

*Przyznaję, że tak.*

W takim razie Lund wścieknie się jeszcze bardziej, kiedy przeczyta, co mam do powiedzenia. Nie to, żebym była feministką. Nie jestem. Niczym nie jestem. Żadnych etykietek, żadnych ideałów. Och, doskonale wiem, co myślą o mnie te zwariowane kobiety w tamtym okropnym miasteczku. Żyłam tam przez piętnaście lat. Uważały mnie za snobkę, że moje pochodzenie powoduje, że przychodzą mi do głowy nie wiadomo jakie pomysły, a równocześnie uważały mnie za słabą. Słabą i pokorną. Pokorni obejmą ziemię. Co innego Len: na jego widok krew żywiej krążyła im w żyłach. Dziwię się nawet, że nie spróbował z którąś z nich, choć chyba powinnam raczej być mu wdzięczna, że nie pokalał własnego gniazda.

Co za życie! Uwięziona na prowincji w charakterze żony kaznodziei. Ojciec nie takiej przyszłości chciał dla mnie. Ja zresztą też. Miałam ambicje – może niewiele, ale jednak. Myślałam o tym, żeby zostać nauczycielką. Musi pani wiedzieć, że skończyłam college. Dla tych kobiet celem i sensem życia było robienie przetworów. Tysiąc słoików marynowanej rzepy chyba niewiele nam pomoże, jeśli nastąpią erupcje na Słońcu albo wybuchnie wojna atomowa. Pamela była z nich zdecydowanie najlepsza. W innym życiu mogłybyśmy zostać przyjaciółkami. No, może nie aż przyjaciółkami, ale na pewno nie była taką nudziarą jak cała reszta. I nie plotkowała jak najęta. Współczułam jej, że ma takiego męża. Jim był wredny jak wściekły pies. Lubiłam też Joanie, ich córkę. Cieszyłam się w duchu, kiedy udało jej się wyrwać w szeroki świat.

*Ponownie bawi się ze Snookie.*

Myślę sobie czasem, że Pamela cieszy się, widząc, że ktoś zajął się Snookie.

*Pytam, w jaki sposób poznała pastora Lena.*

Naturalnie na zjeździe biblijnym, a gdzieżby indziej? To było w Tennessee, gdzie chodziłam do college’u. Spotkaliśmy się w zatłoczonym namiocie. (Śmieje się bez cienia humoru w głosie). To była miłość od pierwszego wejrzenia, przynajmniej z mojej strony. Dopiero po latach zrozumiałam, że Len zainteresował się mną wyłącznie ze względu na moje inne walory. Zależało mu wyłącznie na tym, żeby założyć własny Kościół. „Po to znalazłem się na ziemi – mawiał. – Żeby głosić słowo Pana i zbawiać dusze”.

Wtedy był jeszcze baptystą, tak samo jak ja. Późno skończył college, podróżował po całym Południu, przepelniony wiarą i miłością do Jezusa, przez jakiś czas był diakonem u doktora Samuela Kellera. Wątpię, żeby go pani pamiętała. Druga liga, choć przez jakiś czas wydawało się, że awansuje do pierwszej, i pewnie by się tak stało, gdyby jakoś w latach dziewięćdziesiątych nie przyłapano go ze spuszczonej spodniami. Jak się wdepnie w gówna, smród zostaje na zawsze, mawiał mój ojciec. Po tym, jak Kellera zdybano z chłopcem w publicznej toalecie, Lenowi bardzo trudno było się gdziekolwiek zaczepić. Nie miał innego wyjścia, jak tylko zacząć działać na własną rękę. Wciąż podróżowaliśmy, szukając właściwego miejsca, aż w końcu trafiliśmy do Sannah County. Tak się złożyło, że właśnie dostałam spadek po ojcu i za te pieniądze kupiliśmy ranczo. Len przebąkiwał coś o uprawie ziemi, ale jakie on miał o tym pojęcie?

Był za to pięknym mężczyzną. Wciąż jeszcze chyba nim jest. Wiedział, ile korzyści można odnieść dzięki zadbanemu wyglądowi. Ojciec nie był zachwycony, kiedy przyprowadziłam go do domu. „Zapamiętaj moje słowa: ten chłopak kiedyś złamie ci serce”. Tak powiedział.

Mylił się. Len nie złamał mi serca, choć na pewno próbował.

*Po jej policzkach płyną łzy, ale ona nie zwraca na to uwagi. Kiedy podaję jej chusteczkę, odruchowo ociera oczy, po czym mówi dalej.*

Proszę nie zwracać na to uwagi. Nie zawsze byłam taka. Wierzyłam, i to jak, ale straciłam wiarę, kiedy Bóg uznał za stosowne nie obdarowywać nas dziećmi. Tylko na tym mi zależało. Gdybym mogła je mieć, wszystko pewnie wyglądałoby inaczej. Przecież to tak niewiele. Len nie chciał nawet słyszeć o adopcji. „Najwidoczniej Bóg w swoich planach nie przewidział, że będziemy mieli dzieci, Kendro”.

Ale teraz, mimo wszystko, mam dziecko. Potrzebuje mnie, oczekuje miłości i zasługuje na nią.

*Głaszcze Snookie, ale suczka prawie nie reaguje.*

Len nie jest złym człowiekiem. Nigdy bym tak o nim nie powiedziała. Spotkało go rozczarowanie, zatruty dławione ambicje. Był za mało sprytny, miał za mało charyzmy – do czasu, kiedy ta kobieta wspomniała o nim w swojej wiadomości. Wtedy w jego oczach zapłonął prawdziwy płomień.

Gorzko to brzmi, prawda?

Nie powinnam być zła na Pamelę i w gruncie rzeczy chyba za nic jej nie winię. Jak powiedziałam, była dobrą kobietą. Len i ja... Ogarnął nas marazm, od lat nic się nie działo, coś wreszcie musiało się zmienić. Miał swój program radiowy, kółko biblijne, naukę uzdrawiania, bez przerwy starał się zwrócić na siebie uwagę „dużych chłopców”. Nigdy nie widziałam go aż tak podekscytowanego jak wtedy, kiedy dostał zaproszenie na tę przeklętą konwencję. Jakiś cichutki głos szeptał mi – zanim umarł – że może dzięki temu coś się dla nas zmieni, ale Lenowi uderzyło to do głowy. Naprawdę uwierzył w tę wiadomość. Wciąż w nią wierzy. Ludzie uważają go za szarlatana, takiego jak ci od inwazji Obcych albo przywódcy rozmaitych sekt, ale to nieprawda. Przynajmniej pod tym względem on niczego nie udaje.

Nie mogłam znieść tych wszystkich ludzi przybywających na ranczo. Denerwowali Snookie. Len miał nadzieję, że zbije fortunę dzięki ich datkom. Chciał udowodnić Lundowi, że on też potrafi zgromadzić wokół siebie grono wiernych wyznawców. Niestety, ci ludzie nie mieli pieniędzy. Weźmy na przykład Monty’ego. Chwilami miałam wrażenie, że mnie śledzi. Ten człowiek miał trochę nie po kolei w głowie. Dużo czasu spędzałam w moim pokoju, przed telewizorem. W niedziele Len próbował wyciągać mnie do kościoła, ale nie byłam w stanie się do tego zmusić. Czasem wsiadałam ze Snookie do samochodu i po prostu jechałyśmy przed siebie, nie zastanawiając się dokąd.

To musiało się źle skończyć. Ostrzegałam Lena, żeby nie godził się na występ w programie tego wyszczerzanego didżeja z Nowego Jorku, ale mnie nie słuchał. Nie znosił sprzeciwu.

Wiedziałam, że prędzej czy później doktor Lund wykręci mu jakiś numer, i tak się stało. Zabrał mu pomysł i wykorzystał go dla własnych celów. Len wściekał się i próbował się dodzwonić do Lunda albo Elastycznego Sandy’ego, ale nie udało mu się przebić nawet do ich PR-owców. We wszystkich programach informacyjnych trąbiono o tym, że coraz więcej ludzi postanawia się nawrócić, ale lwią część sukcesu przypisywał sobie doktor Lund. Miał doskonałe kontakty. Kiedy podczepił się pod Mitcha Reynarda i nie zaproponował Lenowi wystąpienia podczas wielkiej proizraelskiej demonstracji... Nigdy nie widziałam go aż tak przygnębionego.

Nie byłam przy nim tego dnia, kiedy ukazał się artykuł w „The Inquirer”. Wyjechałam z samego rana. Wszystkiemu zaprzeczył, tak jak się spodziewałam, ale i tak znacznie większe spustoszenie w jego psychice spowodowało odstawienie na boczny tor przez „dużych chłopców”. Jestem pewna, że bardziej niż moje odejście zabolął go kopniak od Lunda.

To było okrutne. Doktor Lund uchylił odrobinę drzwi, pozwolił mu zajrzeć do wnętrza pałacu, po czym zatrzaskał mu je przed nosem.

*Wzdycha.*

Zbliża się pora drzemki Snookie. Powinna pani pójść. Wszystko już powiedziałam.

*Na odchodnym pytam, co teraz czuje do Lena; w jej oczach pojawia się błysk gniewu.*

W moim sercu nie ma już dla niego miejsca. Dla nikogo nie ma tam miejsca.

*Całuje Snookie w lepek. Odnoszę wrażenie, że już zapomniała o mojej obecności.*

Ty byś mnie nigdy nie skrzywdziła, Snookie, prawda? Oczywiście, że nie.



**CZEŚĆ SIÓDMA  
OCALENI:**

—

**KWIECIEŃ**

## Lillian Small

Moje życie było przedziwnie rozdwojone. Niekiedy Reuben wyrażał się tak jasno i wyraźnie jak ja czy ty teraz, ale za każdym razem, kiedy wspominałam o naszym starym domu albo o kimś ze starych przyjaciół, albo o księżce, która kiedyś mu się szczególnie spodobała, w jego oczach pojawiał się niepokój. Robiły się nieobecne i rozbiegane, jakby rozpaczliwie szukały informacji na dany temat – bezskutecznie. Zupełnie jakby wszystko sprzed jego przebudzenia uległo wykasowaniu. Uznałam, że lepiej będzie na niego nie naciskać. Trudno mi o tym mówić, ale... Fakt, że w ogóle nie pamiętał naszej wspólnej przeszłości ani nawet nie rozumiał, o co chodzi w naszym prywatnym żarciku „Paryż w Teksasie”, bywał niemal równie trudny do zniesienia jak powroty Ala.

Bo Al od czasu do czasu wracał. Zaraz po obudzeniu wiedziałam, czy mam do czynienia z Reubenem, czy – z Alem. Widziałam to w jego oczach, kiedy przynosiłam mu poranną kawę. Dla Bobby’ego nie miało to żadnego znaczenia, zachowywał się tak samo niezależnie od tego, czy był z nami Reuben, czy – Al, lecz ja ciężko to przeżywałam. Najgorsza była niepewność, co będzie na mnie czekało następnego ranka. Prosiłam Betsy o pomoc albo zamawiałam pielęgniarkę z agencji tylko wtedy, kiedy zjawiał się Al. Nie chodzi o to, żebym nie ufała Betsy, ale wciąż dobrze pamiętałam, jak zareagował doktor Lomeier, kiedy Reuben się do niego odezwał. Wolałam nie myśleć o tym, co zrobiliby ci wszyscy fanatycy, gdyby się dowiedzieli. Wciąż nie chcieli zostawić nas w spokoju. Nie byłabym w stanie policzyć, ile razy odkładałam słuchawkę, jak tylko się zorientowałam, że mam do czynienia z kolejnym religijnym świrem, który koniecznie chciał porozmawiać z Bobbym.

Ale nawet w lepsze dni Reuben nie był do końca sobą. Z jakiegoś powodu zafascynował go serial *The View*, którego wcześniej nie znosił, a choć nigdy nie przepadał za filmami, to teraz całymi godzinami oglądał z Bobbym w telewizji powtórki starych filmów. Przestały go za to interesować wiadomości, i to mimo ciągłych politycznych debat.

Któregoś ranka szykowałam Bobby’emu śniadanie i przygotowywałam się psychicznie na obudzenie Reubena, kiedy nagle Bobby wpadł jak bomba do kuchni

– Babciu! Po Po chce dzisiaj pójść na spacer! Chce wyjść z domu.

Złapał mnie za rękę i zaciągnął do sypialni. Reuben siedział na łóżku i usiłował założyć skarpetki.

– Wszystko w porządku? – spytałam.

– Czy możemy wyjść do miasta, Rito?

Tak zaczął do mnie mówić: Rita. Rita Hayworth. To przez te rude włosy.

– A dokąd chciałbyś pójść?

Bobby i Reuben wymienili spojrzenia.

– Do muzeum, babciu! – wykrzyknął Bobby.

Poprzedniego dnia w telewizji nadawano film *Noc w muzeum*, i Bobby’ego zafascynowały sceny z ożywającymi eksponatami. Tak się akurat złożyło, że to był dzień Ala, wątpię więc, żeby cokolwiek przesączyło się do świadomości Reubena – akurat w tym przypadku tak było chyba lepiej, ponieważ mniej więcej w połowie filmu Bobby oświadczył nagle:

– Ten dinozaur przypomina ciebie, Po Po! Ożył zupełnie tak jak ty!

– Jesteś pewien, że czujesz się na siłach, Reuben?

Z zapałem pokiwał głową jak małe dziecko.

– Tak! Bardzo proszę, Rito! Pójdźmy zobaczyć dinozaury.

– Właśnie, dinozaury! – zawtórował mu Bobby. – Babciu, czy myślisz, że one kiedyś naprawdę istniały?

– Oczywiście, że tak.

– Podobają mi się ich zęby. Kiedyś to ja je ożywię!

Zapał Bobby'ego był zaraźliwy. Nikt bardziej od niego nie zasługiwał na atrakcje. Biedaczysko, całymi dniami nie wychylał nosa na zewnątrz, chociaż nigdy się nie skarżył. Ani razu. Z drugiej strony, im częściej wychodzilibyśmy na zewnątrz, tym większe byłoby niebezpieczeństwo, że coś się wydarzy. A jeśli ktoś nas rozpozna? A jeśli któryś z tych religijnych fanatyków pójdzie za nami i porwie Bobby'ego? Obawiałam się też, że Reubenowi nie wystarczy sił. Umysłowo czuł się znacznie lepiej, ale fizycznie wciąż był słaby jak dziecko. W końcu jednak odepchnęłam wszystkie lęki i nie czekając, aż zmienię zdanie, wezwałam taksówkę.

Na klatce schodowej trafiliśmy na Betsy. Modliłam się w duchu, żeby Reuben niczego nie powiedział, choć w głębi duszy marzyłam o tym, żeby podzielić się z kimś informacją o jego – przynajmniej częściowym – ozdrowieniu. Na razie oprócz mnie wiedział o tym tylko doktor Lomeier.

– Jedziemy do lekarza – rzuciłam w przelocie.

Skinęła głową, ale Betsy to sprytna osoba i widziałam, że domyśla się, że coś ukrywam.

Na całe szczęście taksówka czekała przed samym budynkiem. Mimo że była dopiero dziewiąta rano, w parku naprzeciwko zgromadziła się już całkiem liczna grupa ludzi z obraźliwymi transparentami. Taksówkarz – imigrant z Indii – nie rozpoznał nas, a w każdym razie nie dał niczego po sobie poznać. Poprosiłam go, żeby pojechał przez Williamsburg Bridge, bo chciałam, żeby Reuben zobaczył panoramę Manhattanu. Elspeth, jaka to była miła podróż! Dzień był przepiękny, wieżowce na Manhattanie jakby pozowały do zdjęć, promienie słońca odbijały się od wody. Pokazywałam Bobby'emu najbardziej znane budowle – budynek Chryslera, Rockefeller Plaza, Trump Tower – a on siedział z nosem przyklejonym do szyby i zasypywał mnie pytaniami. Jazda kosztowała fortunę – prawie czterdzieści dolarów z napiwkiem – ale była warta każdego centa. Przed wejściem do muzeum zapytałam Reubena i Bobby'ego, czy chcą po hot dogu na śniadanie. Oczywiście chcieli, zjedliśmy je więc na ławeczce w Central Parku, jak prawdziwi turyści. Lori przywiozła mnie tu kiedyś z Bobbym. Nie do muzeum, tylko właśnie do parku. Bobby marudził i było koszmarnie zimno, ale wciąż miło wspominać ten dzień. Lori bez przerwy opowiadała o nowych zamówieniach. Była taka podekscytowana przyszłością...

Chociaż był zwykły roboczy dzień, muzeum pękało w szwach. Musieliśmy dość długo czekać w kolejce. Obawiałam się, że lada chwila ktoś nas rozpozna, ale w większości otaczali nas turyści, głównie Chińczycy i Europejczycy. Reuben już zdążył się zmęczyć; na jego czoło wystąpiły krople potu. Bobby przeciwnie, wręcz kipiał energią i nie mógł oderwać wzroku od szkieletu dinozaura we foyer.

Kasjer – gadatliwy Afroamerykanin – na mój widok aż się cofnął i przyjrzał mi się uważnie.

– Czy ja aby pani skądś nie znam?

– Nie! – odparłam stanowczo i chyba mało uprzejmie.

Zapłaciłam i odeszliśmy od okienka, ale chwilę potem usłyszałam jego głos:

– Proszę zaczekać!

Zawahałam się. Bałam się, że oznajmi wszystkim dokoła, kim jest Bobby, ale on tylko zapytał:

– Może pani mąż potrzebuje wózka?

Miałam ochotę go ucałować. Wszyscy opowiadają, że nowojorczyki są niewrażliwi i zainteresowani wyłącznie sobą, ale to nieprawda. Bobby szarpnął mnie za rękę.

– Spójrz, babciu! Dinozaury!

Kasjer zniknął, by po chwili wrócić z wózkiem inwalidzkim. Reuben natychmiast usiadł. Poważnie się o niego martwiłam. Sprawiał wrażenie coraz bardziej zdezorientowanego,

obawiałam się więc, że lada chwila Al przejmie nad nim kontrolę i narobi nam kłopotów. Bileter zaprowadził nas do wind.

– Powodzenia, synu – powiedział do Bobby’ego. – Pokaż dziadkom dinozaury.

– Czy wierzy pan, że nocą dinozaury ożywają? – zapytał go Bobby.

– Czemu nie? Cuda się przecież zdarzają, prawda? – Mrugnął do mnie, a ja już wiedziałam, że nas rozpoznał. – Niech się pani nie martwi, nikomu nie powiem. Życzę miłego zwiedzania.

Pojechaliśmy prosto na piętro z dinozaurami. Zamierzałam obejść je najszybciej, jak się da, i zaraz potem wracać do domu. Kazałam Bobby’emu, żeby się nigdzie nie oddalał. Ludzi było tak dużo, że z trudem wepchnęliśmy się do pierwszej sali. Reuben nagle podniósł na mnie wzrok i zapytał:

– Kim ja jestem? Boję się.

A potem się rozplakał, pierwszy raz od chwili, kiedy „ożył”, jak mówił Bobby.

Robiłam, co mogłam, żeby go uspokoić. Coraz więcej ludzi gapiło się na nas, a ja przecież nie chciałam, żeby ktokolwiek zwracał na nas uwagę. Kiedy wyprostowałam się i rozejrzałam, Bobby’ego nigdzie nie było.

– Bobby? Bobby!

Rozglądałam się w poszukiwaniu jego baseballowej czapeczki, ale nie mogłam jej nigdzie dojrzeć. Nagle ogarnęła mnie fala paniki. Zostawiłam wózek z Reubenem i popędziłam na oślep przed siebie. Zlana lodowatym potem roztrącałam ludzi i przepychałam się bezceremonialnie. „Ejże, co pani wyprawia?”, „Spokojnie, paniusiu!”

– Bobby! – wykrzykiwałam co sił w płucach.

Przez głowę przelatywały mi przerażające obrazy: Bobby uprowadzony przez religijnych fanatyków, uwięziony w jakiejś piwnicy, torturowany... Błąkający się samotnie po Nowym Jorku...

Podbiegła do mnie strażniczka.

– Proszę pani, proszę się uspokoić! Tutaj nie wolno krzyczeć!

Patrzyła na mnie tak, jakbym postradała zmysły, i trudno jej się było dziwić. Tak właśnie się czułam.

– Mój wnuk! Muszę znaleźć mojego wnuka!

– Proszę się uspokoić. Jak wygląda?

Nie przyszło mi do głowy powiedzieć jej, że chodzi o Bobby’ego Smalla, jednego z Trojga, o dziecko cudem ocalałe z katastrofy – i całe szczęście, bo z pewnością zaraz zawiadomiono by policję, a następnego dnia cała historia trafiłaby do gazet. Strażniczka powiedziała, że na wszelki wypadek zawiadomi obsługę przy wejściu i wyjściu, ale właśnie wtedy usłyszałam najcudowniejsze słowo na świecie:

– Babciu!

Poczułam tak wielką ulgę, że niewiele brakowało, a bym zemdlą.

– Gdzie byłeś, Bobby? Przez ciebie mało nie umarłam ze strachu!

– Poszedłem do tego największego. Ma zęby jak wilk! Chodźmy, babciu. Po Po nas potrzebuje.

Kompletnie zapomniałam o Reubenie, jeśli potrafisz sobie wyobrazić! Czym prędzej wróciliśmy do sali, w której go zostawiłam. Na szczęście zasnął w fotelu.

Bezpiecznie poczułam się dopiero wtedy, kiedy wsiedliśmy do taksówki i ruszyliśmy w drogę powrotną do domu. Po obudzeniu z drzemki Reuben szczęśliwie się uspokoił i choć nadal nie był całkiem sobą, to przynajmniej nie miałam do czynienia z ogarniętym paniką Alem.

– One nie ożyły, babciu – powiedział Bobby. – Dinozaury nie ożyły.

– To dlatego, że one ożywają wyłącznie nocą! – odezwał się Reuben. A więc wrócił. Ujął mnie za rękę i lekko ścisnął. – Dobrze zrobiłaś, Lily.

Nazwał mnie Lily! Nie Rita, tylko Lily!

– Co masz na myśli?

– To, że nie zrezygnowałaś. Nie postawiłaś na mnie krzyżyka.

Rozpłakałam się. Nic nie mogłam na to poradzić, łzy same popłynęły mi z oczu.

– Wszystko w porządku, babciu? – spytał Bobby. – Jesteś smutna?

– Nic mi nie jest. Po prostu martwiłam się o ciebie. Bałam się, że cię straciłam.

– Nie stracisz mnie, babciu – odparł. – Nigdy. To po prostu niemożliwe.

**Ostatnia zarejestrowana rozmowa między Ryu i Chiyoko.**

**Logowanie @ 20.46 03/04/2012**

**Chiyoko:** MYŚLAŁAM, ŻE JESTEŚ MOIM PRZYJACIELEM!!! Jak mogłeś mi to zrobić????????? [www.hirotalksthroughandroid/tokyoherald](http://www.hirotalksthroughandroid/tokyoherald)

Mam nadzieję, że dobrze ci zapłacili. Mam nadzieję, że było warto.

**Ryu:** Chiyoko! Przysięgam, to nie ja!!!

**Chiyoko:** Matkostwór jest wściekły. Wujek Android grozi, że zabierze Hiro do Osaki. Wszędzie kręcą się dziennikarze. Umrę, jeżeli go stracę. Jak mogłeś to zrobić???

**Ryo:** To nie byłem ja!

**Chiyoko:** Zrujnowałeś mi życie. NIGDY WIĘCEJ SIĘ DO MNIE NIE ODZYWAJ.

**Ryu:** Yoko? Yoko? Proszę. Proszę! TO NIE BYŁEM JA.

Po tym, jak Chiyoko ustawiła automatyczne odrzucanie wiadomości od niego, zdruzgotany Ryu zarejestrował się jako Orz Man na kanale 2-chan dla samotnych mężczyzn i zamieścił post zatytułowany *Beznadziejny maniak szuka pomocy*. Jego historia błyskawicznie stała się wiralem, przemawiając do wyobraźni uczestników forum, a potem także do milionów innych użytkowników sieci.

(Przekład Erica Kushana, który zaznacza, że tam, gdzie to było możliwe, starał się zastępować japońskie wyrażenia slangowe ich bardziej popularnymi angielskimi odpowiednikami).

**Użytkownik: Orz Man**

**Data postu 2012/04/05 01:32:39.32**

Potrzebuję waszej rady, forumowicze! Chcę ponownie nawiązać kontakt z dziewczyną, która blokuje wiadomości ode mnie.

**Użytkownik: Anonimowy111**

Dlaczego cię rzuciła, Orz?

**Użytkownik: Orz Man**

Myśli, że nadużyłem jej zaufania, ale to nie byłem ja. -|70

**Użytkownik: Anonimowy275**

Też przez to przechodziłem, kolego, ale potrzebuję więcej informacji.

**Użytkownik: Orz Man**

No, dobrze... To może chwilę potrwać. Spotykałem się online z dziewczyną, którą nazwę Lodową Księżniczką. Jest na dużo wyższym poziomie ode mnie, więc wyobrażacie sobie moje zaskoczenie, że ktoś taki jak ona ma ochotę spędzać czas z takim palantem jak ja. Szło nam całkiem dobrze, codziennie gadaliśmy na różne tematy. A potem... Coś się wydarzyło. Coś, co... Powiedzmy, że do mediów wyciekła informacja, która pokazała jej rodzinę w złym świetle. Dziewczyna uznała, że to ja jestem źródłem przecieku, zerwała ze mną kontakt i zablokowała wszystkie wiadomości ode mnie. Nie chcę, żebyście pomyśleli, że jestem totalnie do niczego, ale to cholernie boli. Kiedy przestała przyjmować wiadomości, poczułem się tak, jakby mój żołądek zamienił się w szkło, a potem roztrzaskał się na kawałki.

**Użytkownik: Anonimowy111**

„Jakby mój żołądek zamienił się w szkło”. To brzmi pięknie, Orz.

**Użytkownik: Anonimowy28**

Popłakałem się.

**Użytkownik: Orz Man**

Dzięki. Paskudnie się czuję. Zupełnie jakby coś mnie naprawdę bolało. Nie mogę spać, nie mogę jeść. Wciąż od nowa czytam nasze rozmowy. Dzisiaj przez kilka godzin analizowałem słowo po słowie wszystko, co sobie kiedykolwiek powiedzieliśmy.

**Użytkownik: Anonimowy23**

Auuć! Musisz zrozumieć, że kobiety są tylko po to, żeby sprawiać nam ból. Pieprzyć je.

**Użytkownik: Anonimowy111**

Nie zwracaj uwagi na 23. Wiem, o czym mówisz, Orz. Czy jest jakaś nadzieja, że znowu się zejdziecie?

**Użytkownik: Orz Man**

Nie wiem. Nie mogę bez niej żyć.

**Użytkownik: Anonimowy23**

Jak ona wygląda? Fajna jest?

**Użytkownik: Anonimowy99**

<WESTCHNIENIE> Palant z ciebie, 23.

**Użytkownik: Orz Man**

Widziałem ją tylko raz, a i to nie na żywo. Jest trochę podobna do Hazuki Hitori.

**Użytkownik: Anonimowy678**

Hazuki Hitori z *Sunny Juniors*? O rety! Masz dobry gust, kolego. Ja też się w niej zakochałem.

**Użytkownik: Anonimowy709**

Hazuki??? Auuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuu...

**Użytkownik: Anonimowy111**

Panowie, panujcie nad swoimi żądzami. Orz, musisz porozmawiać z nią osobiście. Musisz powiedzieć jej, co czujesz.

**Użytkownik: Orz Man**

To nie takie proste. To wstydliva sprawa. Wciąż mieszkam z rodzicami i... Można powiedzieć, że jestem uwiązany w domu.

**Użytkownik: Anonimowy987**

To w porządku. Ja też dużo siedzę w domu.

**Użytkownik: Anonimowy55**

Ja też. Wielka sprawa.

**Użytkownik: Orz Man**

Nie to miałem na myśli. Chodzi o to, że ja w ogóle nie wychodzę z domu od... od dość dawna. Nie tylko z domu. Nawet z mojego pokoju.

**Użytkownik: Anonimowy111**

Co to znaczy od dość dawna, Orz?

**Użytkownik: Orz Man**

Nie uwierzycie, ale już ponad rok.

**Użytkownik: Anonimowy87**

Życie w realu może być wkurzające. Mam dla ciebie radę, Orz. Jeśli nie chcesz tracić czasu na wyjścia do łazienki, trzymaj pod biurkiem puste butelki po napojach. Zawsze tak robię, jeśli szykuje mi się jakaś dłuższa sesja przy grach.

**Użytkownik: Anonimowy786**

LOL!!! Dobra rada, 87!

**Użytkownik: Anonimowy23**

Panowie, Orz to *hikikomori*.

**Użytkownik: Anonimowy111**

Orz utrzymuje kontakty w sieci, a więc jest zdolny do nawiązywania stosunków międzyludzkich. Jest tylko samotnikiem, a nie prawdziwym *hikikomori*.

[*Ożywiona dyskusja o prawdziwej naturze hikikomori*].

**Użytkownik: Anonimowy111**

Orz, jesteś jeszcze?

**Użytkownik: Orz Man**

Jestem. Słuchajcie... Przepraszam, że marnowałem wasz czas. Pisząc to, uświadomiłem sobie, że... Co właściwie miałyby się jej we mnie spodobać? Dlaczego miałyby zainteresować się takim beznadziejnym przypadkiem? Spójrzcie tylko na mnie: bez pracy, bez pieniędzy, bez perspektyw...

**Użytkownik: Anonimowy111**

Czy twoja księżniczka umarła? Nie. A więc jest jeszcze nadzieja. Szanowni państwo, ten człowiek potrzebuje naszej pomocy. Pora przywdziać bojowy strój!

**Użytkownik: Anonimowy85**



Załadować broń!

**Użytkownik: Anonimowy337**

Wycelować w Księżniczkę...

**Użytkownik: Anonimowy23**

Gotowy do strzału!

**Użytkownik: Anonimowy111**

Przede wszystkim musimy pomóc Orzowi wydostać się z jego pokoju.

**Użytkownik: Anonimowy47**

Orz, kilka dobrych rad:

1. Doprowadź się do porządku, żebyś wyglądał jak najlepiej. Żadnych przetłuszczonych włosów ani przyszczy.

2. Kup sobie jakieś porządne ubranie, ale nic bardzo wystrzałowego.

3. Pojedź do Księżniczki.

4. Zaproś ją na kolację.

5. Podczas kolacji powiedz jej, co czujesz.

Jeśli po tym wszystkim nadal się do ciebie nie przekona, przynajmniej będziesz miał świadomość, że zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy.

**Użytkownik: Anonimowy23**

Jeżeli do tej pory rozmawiali tylko online, to Orz może nie wiedzieć, gdzie ona mieszka.

Powiedział też, że nie ma pieniędzy, więc jak miałby sobie kupić nowe ubranie?

**Użytkownik: Orz Man**

Dzięki za radę. Nie znam jej adresu, ale wiem, że mieszka w pobliżu stacji Yoyogi.

**Użytkownik: Anonimowy414**

Niedaleko jest dobra włoska knajpa.

**Użytkownik: Anonimowy23**

Włoska knajpa na pierwszą randkę? Idź raczej do Yakitori albo do jakiejś francuskiej, od razu zapunktujesz.

*[Wywiązuje się dyskusja na temat najlepszego miejsca na pierwszą randkę].*

**Użytkownik: Anonimowy111**

Słuchajcie, przecież to wcale nie jest ich pierwsza randka. Orz i jego Księżniczka to bratnie dusze cyberprzestrzeni. Podchodźcie do sprawy od niewłaściwej strony. Orz przede wszystkim musi doprowadzić się do porządku i wyjść z pokoju.

**Użytkownik: Orz Man**

Naprawdę myślicie, że powinienem spotkać się z nią osobiście?

*[Odpowiada mu chóralnie: „tak”, „no jasne, chłopie”, „musisz to zrobić” itp.].*

**Użytkownik: Orz Man**

No dobrze, prawie mnie przekonaliście. Przejdźmy więc do konkretów. Myślę, że mogę zdobyć trochę pieniędzy, ale niedużo. Księżniczka mieszka w innej prefekturze, więc będę musiał gdzieś się zatrzymać na czas poszukiwań jej domu. Nie stać mnie na hotel. Jakieś propozycje? Czy ktoś z was nocował kiedyś w kawiarence internetowej? Da się to zrobić?

**Użytkownik: Anonimowy89**

Nie jest to idealne, ale kiedyś zrobiłem tak na przedmieściach Shinjuku. Tanio, można kupić coś do jedzenia u obnośnego sprzedawcy.

*[Użytkownicy bombardują Orza radami, sprzecają się o to, gdzie powinien nocować i w jaki sposób będzie mu najłatwiej zwrócić na siebie uwagę Księżniczki].*

**Użytkownik: Orz Man**

Muszę się położyć. Nie spałem od 20 godzin. Dziękuję wszystkim. Naprawdę mi

pomogliście. Już nie czuję się taki samotny.

**Użytkownik: Anonimowy789**

Dasz radę, Orz.

**Użytkownik: Anonimowy112**

Zrób to dla nas.

**Użytkownik: Anonimowy20**

Powodzenia! Jesteśmy z tobą, Orz. Na pewno sobie poradzisz!

**Użytkownik: Anonimowy23**

Bierz się do roboty, chłopie!

**Użytkownik: Anonimowy111**

Melduj o wszystkim na bieżąco!

*[Dwa dni później Ryu alias Orz Man pojawia się znowu na forum. W tym czasie trwa ożywiona dyskusja na jego temat].*

**Użytkownik: Orz Man**

**Data postu 2012/04/07 01:37:19.30**

Nie wiem, czy słyszy mnie ktoś z tych, którzy byli tu, kiedy parę dni temu zapoczątkowałem ten wątek. Przeczytałem jeszcze raz wszystkie wasze wpisy. To niesamowite, jak wielkie okazaliście mi wsparcie! Chcę, żebyście wiedzieli, że zastosowałem się do waszych rad. Wyszedłem z domu.

**Użytkownik: Anonimowy111**

Orz! Gdzie teraz jesteś?

**Użytkownik: Orz Man**

W kawiarence internetowej.

**Użytkownik: Anonimowy111**

Jak ci poszło w wielkim nieprzyjaznym świecie? Czekamy na szczegóły. Zacznij od początku.

**Użytkownik: Orz Man**

No, dobrze. Jak już powiedziałem, zastosowałem się do waszych rad. Przede wszystkim doprowadziłem się do porządku: wykapałem się, wyszczotkowałem zęby z żółtego nalotu po papierosach, zająłem się włosami. Nie miałem forsy na fryzjera, więc sam się ostrzygłem. Myślę, że całkiem nieźle mi poszło!

A teraz najtrudniejsza sprawa. Na pewno mnie za to nie pochwalicie. Kiedy rodzice wyszli do pracy, zabrałem oszczędności, które moja matka miała ukryte w kuchni. Nie jest tego dużo, ale jeśli będę uważał, powinno mi wystarczyć na parę tygodni. Zostawiłem kartkę z wyjaśnieniem, ale i tak mam wyrzuty sumienia. Napisałem, że postanowiłem poszukać pracy, żeby nie być już ciężarem dla rodziny.

**Użytkownik: Anonimowy111**

Dobrze zrobiłeś, Orz. Oddasz im, jak staniesz na nogach.

**Użytkownik: Anonimowy28**

Właśnie. W tej sytuacji nie mogłeś postąpić inaczej. Mów dalej, ze szczegółami.

**Użytkownik: Orz Man**

Dzięki, panowie. Ze szczegółami? No, dobrze...

Moje buty wciąż były tam, gdzie zostawiłem je rok temu: w szufladzie komody przy drzwiach. Zdążyły się zakurzyć.

Wyjście z domu było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakich kiedykolwiek dokonałem. Zastanawiam się, jak wam o tym opowiedzieć... Kiedy wyszedłem na zewnątrz, poczułem się jak zapalka w oceanie. Wszystko było za jasne i za duże. Wszystkie ciekawskie sąsiadki stały z

nosami przylepionymi do szyby. Wiedziałem, że plotkowały o mnie od miesięcy, co bardzo martwiło moją matkę.

Było wczesne popołudnie, ale na ulicach panował nadzwyczajny ruch. Korciło mnie, żeby natychmiast zawrócić. Mój pokój przyciągał mnie niemal z fizyczną siłą, lecz nie poddałem się jej, tylko ruszyłem truchtem w kierunku stacji i natychmiast kupiłem bilet do Shinjuku, bojąc się, że się rozmyślę. Wydawało mi się, że wszyscy śmieją się ze mnie i wytykają mnie palcami.

Wolę nie opisywać ataków paniki, jakie przeżyłem po dotarciu na miejsce. Nie miałem pojęcia, co ze sobą począć, więc wszedłem do jakiejś samoobsługowej knajpki, chociaż wcale nie byłem głodny. Zapytałem chłopaka z obsługi, czy w pobliżu można się zatrzymać za nieduże pieniądze. Skierował mnie do tej kafejki.

Skoro mam być całkiem szczery, to przyznam się wam, że najchętniej dałbym sobie spokój...

**Użytkownik: Anonimowy179**

Ani się waż, chłopie! Jesteśmy tu dla ciebie. I co teraz? Jak zamierzasz odnaleźć jej dom?

**Użytkownik: Orz Man**

Przeprowadziłem rozeznanie. Jej rodzina... Powiedzmy, że nie są zupełnie nieznani. Udało mi się zdobyć adres.

**Użytkownik: Anonimowy**

Chcesz powiedzieć, że ona jest sławna???

*[Kilka kolejnych godzin upływa na dzieleniu się dobrymi radami oraz na domysłach dotyczących tożsamości Księżniczki].*

**Użytkownik: Orz Man**

Wydaje mi się, że jeśli w ogóle zbiorę się na odwagę, żeby się z nią zobaczyć, to powinienem poczekać, aż jej rodzice wyjdą z domu.

**Użytkownik: Anonimowy902**

Wiesz już, co jej powiesz?

**Użytkownik: Anonimowy865**

Orz czuje łaskotanie w swoim roztrzaskanym szklanym żołądku. Zapala papierosa, zatrzymuje się pod latarnią i obserwuje dom Księżniczki. Po jakimś czasie zdeptuje papierosa na chodniku, podchodzi do frontowych drzwi i puka.

Otwiera Księżniczka. Orz nie jest w stanie oddychać. Jest jeszcze piękniejsza niż w jego wspomnieniach.

– To ja, Orz – mówi wreszcie, zdejmując ciemne okulary.

– Zabierz mnie stąd, od tego wszystkiego! – prosi Księżniczka i pada przed nim na kolana.

– Obciągnij mi! Zaraz!

**Użytkownik: Anonimowy761**

Dobra robota 865, LOL!!!

**Użytkownik: Orz Man**

Zastanawiałem się i... Chyba wiem, jak zwrócić na siebie jej uwagę.

**Użytkownik: Anonimowy111**

Nie trzymaj nas w niepewności.

**Użytkownik: Anonimowy2**

No właśnie. Przecież jesteśmy po twojej stronie, człowieku!

**Użytkownik: Orz Man**

Powiem wam jutro, czy to zadziałało. Jeśli nie, zwinę się w kłębek i podetnę sobie żyły.

**Użytkownik: Anonimowy286**

Musisz zwyciężyć, Orz! Na pewno ci się uda!

*[Po wylogowaniu Ryu doszło do następującej wymiany zdań]:*

**Użytkownik: Anonimowy111**

Panowie... Wydaje mi się, że wiem, kim jest Księżniczka.

**Użytkownik: Anonimowy874**

Kim?

**Użytkownik: Anonimowy111**

Orz powiedział, że jej rodzina jest dobrze znana. Powiedział też, że mieszkają w pobliżu stacji Yoyogi. Hiro mieszka w Yoyogi.

**Użytkownik: Anonimowy23**

Hiro????????? Cudownie ocalony Hiro? Chłopiec-android?

**Użytkownik: Anonimowy111**

Nasz skromny Orz zakochał się w kuzynce chłopca-androida? Naprzód, Orz!

## **Stenogram nagrania głosowego Paula Craddocka z kwietnia 2012 roku**

*17 kwietnia, 12.30*

Boże. Minęło trochę czasu. Jak się masz, Mandi? Czy wiesz, że nawijam do tego pieprzonego pudełka, jakbyś była moim najlepszym przyjacielem albo substytutem doktora K? A wczoraj uświadomiłem sobie, że nie pamiętam twojej twarzy. Musiałem zajrzeć na Facebooka, żeby zerknąć na fotkę na twoim profilu. Chyba mówiłem ci już, jak bardzo nienawidzę Facebooka? Z własnej winy. Jak idiota akceptowałem prośby o polubienie od mnóstwa nieznanym ludzi, a oni potem z powodu Marilyn zasypali mnie nienawistnymi postami i zbombardowali moje konto na Twitterze.

Mandi, chciałbym cię przeprosić za to, że nie odbierałem telefonów. Po prostu nie... Po prostu miałem parę gorszych dni. Nawet więcej niż parę, szczerze mówiąc. Bardziej parę tygodni, ha, ha. Nie miałem pojęcia, kiedy to się skończy. Stephen... Sama wiesz. Nie chcę się tam pokazywać. Niewiele zrobiłem, żeby się zorientować, czego w tym całym zamieszaniu powinniśmy się trzymać. W ogóle niewiele zrobiłem, jeśli mam być szczerzy.

To wszystko wydarzyło się za szybko. Za krótko po katastrofie. Teraz zdaję sobie z tego sprawę. Myślę sobie jednak, że może uda nam się coś z tym zrobić, jak tylko... Jak tylko znowu poczuję się sobą. W tej chwili jeszcze mi do tego daleko.

Są dni, kiedy godzinami gapię się na zdjęcia Jess, usiłując uchwycić różnicę. Wczoraj przyłapała mnie na tym.

– Co robisz, wujku? – spytała słodkim, niewinnym głosem, niech ją szlag trafi. Potrafi podkraść się całkiem bezgłośnie.

– Nic! – warknąłem.

Potem zrobiło mi się tak głupio z tego powodu, że poszedłem do sklepu z zabawkami i wydałem równowartość zaliczki na samochód na jakieś cholerne bzdety. Jess jest teraz posiadaczką zestawu niewiarygodnie kosztownych kucyków z *My Little Pony*, jak również gromady Barbie w najróżniejszych wcieleniach. Wiem, że feministycznie nastawiona Shelly w tej chwili przewraca się w grobie.

Staram się. Boże, naprawdę się staram, ale ona... Ona nie jest sobą. Jess i Polly uwielbiały słuchać historii wymyślanych przez Stephena. Zwykle były to zwariowane wariacje na tematy z bajek Ezopa. Ja też spróbowałem któregoś dnia, ale popatrzyła na mnie tak, jakbym postradał zmysły.

Możliwe, że tak się stało.

Jest jeszcze jedna sprawa. Dziś w nocy urządziłem sobie kolejny maraton z Google, starając się zrozumieć, jakie właściwie są moje uczucia wobec Jess. Jest taka bardzo rzadka choroba, nazywa się zespołem urojeniowym Capgrasa. Ludzie, którzy na nią cierpią, są przekonani, że osoby, wśród których żyją, zostały zastąpione przez kopie. Wiem, że samo myślenie o tym już świadczy o chorobie, a nawet może być niebezpieczne, ale z drugiej strony od razu poczułem się lepiej, wiedząc, że istnieje takie proste wytłumaczenie mojego stanu. Chociaż równie dobrze może to być wynik długotrwałego stresu. Tego się na razie trzymam.

*(chrząknięcie)*

Jeżu, ile się ostatnio działo. Pierwszy dzień Jess w szkole. To akurat możemy chyba wykorzystać. Czytelnicy lubią takie rzeczy, prawda? Wspominałem ci chyba, że doktor K i Darren doszli do wniosku, że powinna wrócić do szkoły zaraz po feriiach wielkanocnych. Nauka w domu to jednak nie najlepszy pomysł. Kiepski nauczyciel, a poza tym... Poza tym oznaczało to konieczność wielogodzinnej interakcji.

Naturalnie zwałił się tłum dziennikarzy i reporterów, więc dałem występ życia, ani na chwilę nie przestawałem się uśmiechać i, moim zdaniem, zasłużyłem na Oscara za rolę

Troskliwego Opiekuna. Media kipiały za bramą, a ja zaprowadziłem Jess do klasy. Nauczycielka, pani Wallbank, kazała dzieciom udekorować salę na jej przybycie. Tablicę zasłaniał wielki transparent z napisem WITAJ Z POWROTEM JESS! Pani Wallbank jest potężnie zbudowaną pogodną – chwilami zbyt pogodną – kobietą, która wygląda jak postać z którejś z powieści Enid Blyton: miłośniczka pieszych wycieczek krajoznawczych i zwiedzania zabytków. Na sam widok pani Wallbank poczułem chęć spakowania plecaka i wypalenia naraz dwudziestu rothmansów (tak, tak, Mandi, tyle palę teraz dziennie, ale nie w domu. Jeszcze jedno nieładne przyzwyczajenie, które trzeba ukrywać, choć przy okazji odkryłem, że pani EB też wymyka się od czasu do czasu na papierosa).

Wkrótce przekonałem się, że pani Wallbank dzieci traktuje co prawda jak dorosłych, ale do dorosłych odnosi się za to jak do niedorozwiniętych umysłowo.

– Witaj, wujku Jess! Nie musisz się niczego obawiać, dogadamy się z Jess śpiewająco!

– Jesteś pewna, że sobie poradzisz? – wymamrotałem.

– Oczywiście, wujku! – odparła z pobłażliwym uśmiechem, który zdążyłem już zniecierpliwzić. – Wracaj do domu, strzel sobie lufę i spokojnie zapal.

Pani Wallbank puściła do mnie oko, a ja spróbowałem obrócić wszystko w żart. Potem, z uczuciem ulgi, które od pewnego czasu towarzyszy mi zawsze, gdy tylko jestem daleko od niej, uciekłem z klasy. Na zewnątrz natychmiast dopadli mnie reporterzy i zasypali tymi samymi pytaniami co zawsze. Najczęściej powtarzało się:

– Kiedy pozwoli pan Marilyn spotkać się z wnuczką?

– Jak tylko Jess poczuje się na siłach – wymamrotałem jak zwykle, po czym wskoczyłem do audi Stephena i pojechałem przed siebie.

Dotarłem aż do Bromley. Zaparkowałem w centrum i poszedłem do Marks & Spencer, żeby kupić coś ekstra na uroczystą kolację. Przez cały czas doskonale zdawałem sobie sprawę, że tylko gram rolę troskliwego wujka, ale... Nie mogę. Nie mogę przestać myśleć o Stephenie i Shelly – prawdziwym Stephenie, nie tym, który przychodzi do mnie nocą – i tylko te myśli i gorące pragnienie, żeby nie sprawić im zawodu, pozwalają mi funkcjonować. Powtarzam sobie, że jeżeli naprawdę zaangażuję się w tę rolę, to w końcu stanie się rzeczywistością, w końcu wypłynę na spokojniejsze wody.

Stałem w kolejce z koszykiem wypełnionym po brzegi tymi okropnymi gotowymi pastami, które Jess tak uwielbia, i bezmyślnie gapiłem się na regały z winami. Wyobraziłem sobie, że siadam tam, na środku sklepu, otwieram butelkę za butelką i wlewam w siebie ich zawartość, aż w końcu eksploduję.

– Kochaniutki, kasa wolna – odezwała się stojąca za mną kobieta, wrywając mnie ze stuporu.

Kasjerka natychmiast mnie rozpoznała i obdarzyła standardowym: pokrzepiającym uśmiechem.

– Jak ona się miewa? – spytała konspiracyjnym szeptem.

Niewiele brakowało, a warknąłbym: „Dlaczego zawsze pytacie tylko o nią?”, ale jakoś się pohamowałem, odpowiedziałem standardowymi: „Doskonale, dziękuję bardzo, jak to miło, że pani pyta”, zapłaciłem i wyszedłem ze sklepu, nieco zaskoczony, że ani nie rąbnałem jej w twarz, ani nie wykupiłem całego zapasu alkoholu.

24 kwietnia, 23.28

W tym tygodniu czuję się znacznie lepiej. Jest mi dużo łatwiej, odkąd poszła do szkoły. Przez cały wieczór oglądaliśmy *The Only Way is Essex*. Jess uwielbia ten kretyński reality show. Może godzinami podziwiać przypieczonych samoopalaczami idiotów bredzących o niczym w nocnych klubach. Chyba powinno mnie to trochę zaniepokoić, ale przypuszczam, że wszystkie

jej szkolne koleżanki fascynują się takimi bredniami, więc staram się traktować to jako całkowicie normalne, a nawet pożądane zachowanie. Nadal jest nieustannie pogodna i grzeczna – do tego stopnia, że wprost marzę o tym, żeby wreszcie dostała ataku wściekłości albo odmówiła położenia się spać. Powtarzam sobie, że doktor K ma rację, że te okropne przejścia musiały jakoś odbić się na jej zachowaniu. Po prostu potrzebujemy trochę czasu, żeby się przyzwyczaić.

– Jess, między nami wszystko w porządku, prawda? – zapytałem podczas przerwy na reklamy.

– Jasne, wujku.

Po raz pierwszy od nie wiem jak dawna pomyślałem, że wszystko będzie dobrze, że dam sobie radę. Zadzwoiłem nawet do Gerry’ego i powiedziałem mu, że jestem gotów wrócić do pracy. Naturalnie, zapytał o nagrania, powiedział, że twój wydawca siedzi mu na głowie i domaga się więcej materiałów, a ja wyłgałem się jak zwykle. Dostaliby chyba orgazmu, gdybym posłał im to wszystko jak leci.

Tak, poradzę sobie. Na pewno.

*25 kwietnia, 16.00*

Superudany dzień, Mandi. Zaraz po wyjściu Darrena (Boże, ależ z niego potrafi być wrzód na dupie, przetrząsnął szafki i lodówkę, żeby sprawdzić, co Jess dostaje do jedzenia; jestem dziwnie spokojny, że to nie jest standardowy tryb postępowania) zadzwonił telefon. Jak wiesz, zazwyczaj oznacza to albo kogoś z prasy, albo jakiegoś religijnego fanatyka, któremu udało się zdobyć mój nowy numer. Tymczasem co za niespodzianka, okazało się, że to jeden z tych od Obcych. Odkąd zaraz po wyjściu Jess ze szpitala napuściłem na nich policję, siedzieli cicho jak mysz pod miotłą. W pierwszym odruchu chciałem od razu odłożyć słuchawkę, ale coś mnie powstrzymało. Facet – Simon Jakiśtam – sprawiał wrażenie całkiem rozsądnego. Powiedział, że dzwoni przede wszystkim po to, żeby sprawdzić, jak sobie radzę. Nie Jess, tylko ja. Musiałem zachować ostrożność; jestem niemal pewien, że telefon jest na podsłuchu, więc prawie się nie odzywałem, tylko pozwoliłem mu mówić. Zresztą, jeśli mam być szczerzy, to nie miałem wiele do powiedzenia. Słuchając go, czułem się prawie tak, jakbym patrzył na siebie z drugiego końca pokoju. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że postępuję jak wariat, pozwalając mu w ogóle dojść do głosu. Powiedział mi, że Obcy – nazywał ich „Innymi”, jak w jakimś niewydarzonym filmie klasy B – porywają ludzi, wszczepiają im mikroczipy, a potem kontrolują ich dzięki swojej zaawansowanej technologii. Twierdzi, że ściśle współpracują z rządem. Pomyślałem, że... A niech to, będę szczerzy, w końcu nikt tego nie słyszy. Niech to szlag trafi. No więc, pomyślałem sobie, że to nawet ma sens.

Chodzi o to, że... A jeśli Czarny Czwartek to jakiś cholerny rządowy eksperyment? Mnóstwo ludzi uważa, że to absolutnie niemożliwe, żeby ktokolwiek wyszedł cało z tych katastrof. I wcale nie mam na myśli ewidentnych świrów takich ja ci od przepowiedni biblijnych albo tych, co twierdzą, że dzieciaki zostały opętane przez diabła. Nawet śledczy, który odwiedził Jess i pytał, czy cokolwiek pamięta, patrzył na nią tak, jakby nie mógł uwierzyć, że ona żyje. Owszem, w Japonii samą katastrofę przeżyło więcej osób, ale wszystkie – poza tym chłopcem – krótko potem umarły. A jak właściwie ocalała Jess? Większość ciał... Kurcze, prawie wszystkie zostały rozszarpane na kawałki, zgadza się? A kiedy zaczęli wydobywać samolot z mokradeł, wyglądał tak, jakby ktoś przemielił go w malakserze.

No, dobrze... Oddychaj głęboko, Paul. Spróbuj się uspokoić. Brak snu fatalnie wpływa na umysł, prawda?

*29 kwietnia, 3.37*

Wrócił. Przychodzi już trzecią noc z rzędu.

Chociaż to brzmi jak kompletne wariactwo, zaczynam się przyzwyczajać. Już nie boję się

tak bardzo, kiedy się budzę i widzę go, jak tam siedzi. Tej nocy znowu próbowałem z nim rozmawiać.

– Co chcesz mi powiedzieć, Stephen?

Ale on powtórzył to co zawsze, po czym znikł. Smród robi się coraz gorszy. Wciąż go czuję. Gnijące ryby, gnijące mięso. Cholera. To chyba nie jest złudzenie, prawda? Prawda?

Poza tym mam dowód, choć nie jestem z niego zbyt dumny.

Wczoraj w nocy nie wytrzymałem, wyszedłem o czwartej z domu – tak, zostawiłem Jess samą – wsiałem w samochód i pojechałem do całodobowego Tesco w Orpington. Kupiłem dużą butelkę bells.

Kiedy wróciłem do domu, była już pusta.

Ukryłem butelkę tam gdzie wszystkie. Nawet jeśli pani EB jest teraz moją współniczką w ukradkowym puszczeniu dymka, to byłaby przerażona liczbą pustych butelek. Chyba powoli tracę nad tym kontrolę. Muszę wziąć się w garść.

*30 kwietnia*

I to tyle, jeśli chodzi o moje postanowienie wzięcia się w garść.

Właśnie skończyłem przeszukiwać pokój Jess. Sam nie wiem, co spodziewałem się znaleźć. Może jakiś podręcznik *Jak udawać człowieka*, albo coś w tym guście.

*(śmiech zamienia się w szloch)*

Już w porządku. Nic mi nie jest.

Ona naprawdę się zmieniła. I to bardzo. Nie sposób temu zaprzeczyć. Pozdejmowała nawet ze ścian wszystkie plakaty Missy K. Kto wie, może Obcy po prostu mają dobry gust?

*(znowu śmiech przechodzi w szloch)*

Ale... Jak to możliwe, żeby to nie była Jess?

Pewnie to ze mną jest coś nie w porządku. Chociaż...

Coraz trudniej mi ukrywać to wszystko przed Darrenem. Nie mogę pęknąć. Nie teraz. Muszę zabezpieczyć się ze wszystkich stron i zbadać sprawę do dna. Zastanawiałem się nawet nad tym, żeby wywiesić białą flagę i zawieźć ją do Marilyn, ale czy ta tłusta krowa byłaby w stanie stwierdzić, czy Jess jest jakaś inna? Shelly nie lubiła tam jeździć, w związku z czym Marilyn widywała dziewczynki znacznie rzadziej niż ja. Myślę, że może jednak warto spróbować. Bądź co bądź, Jess to przecież krew z jej krwi i ciało z jej ciała, prawda?

Tymczasem poprosiłem Petrę, jedną z apetycznych mamusiek ze szkoły, żeby dziś po południu wpadła ze swoją córeczką Summer. Petra ciągle dzwoni albo e-mailuje i pyta, czy może jakoś pomóc, więc oczywiście natychmiast się zgodziła. Zaproponowała nawet, że odbierze obie dziewczynki ze szkoły i przywiezie je tutaj.

No więc... Zostawiam dyktafon w pokoju Jess. Na wszelki wypadek. Żeby się upewnić. Żeby się dowiedzieć, o czym ona mówi, kiedy nie ma mnie w pobliżu. Dobry wujek chyba powinien to wiedzieć, prawda? Może Jess bardzo cierpi, może otworzy się przed Summer i wtedy okaże się, że zmiany w jej zachowaniu są następstwem tego, co doktor K nazywa „nieprzetrawioną traumą”? Powinny tu być za jakieś pięć minut.

*(przybierające na sile dziecięce głosy)*

– ...możesz być Rainbow Dash, a ja Księżniczką Luną. Chyba że chcesz być Rarity?

– Masz *wszystkie* kucyki, Jess?

– Aha. Paul mi je kupił. I Barbie w stroju koronacyjnym też.

– O rety! Jaka śliczna! Ale przecież nie miałaś urodzin ani niczego takiego?

– Wiem. Weź ją, jeśli chcesz. Paul kupi mi następną.

– Naprawdę? Jesteś super! Słuchaj, Jess... Co zrobisz ze wszystkimi zabawkami Polly?

– Nic.



- A powiedz mi... Czy to bolało? Wtedy, kiedy się poparzyłaś?
- Tak.
- Czy blizny znikną?
- Nie obchodzi mnie to.
- Co cię nie obchodzi?
- Czy znikną.
- Mama mówi, że to prawdziwy cud, że przeżyłaś. Mówi też, że nie powinnam cię wypytywać, bo będziesz płakała.
- Nie będę.
- Mama mówi, że jak dorosniesz, będziesz mogła przykryć te blizny makijażem, żeby ludzie się na ciebie nie gapili.
- Bawmy się!
- (przez kwadrans dziewczynki bawią się w „Barbie spotyka kucyki w Essex”)*
- (przytłumiony głos Paula wołającego, żeby zeszły na dół coś przekąsić)*
- Nie idziesz, Jess?
- Idź pierwsza. Zabiorę kucyki, zjedzą z nami.
- Dobra. Naprawdę mogę sobie wziąć tę Barbie?
- Tak.
- Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, Jess.
- Wiem. No, idź już.
- Dobrze.
- (Summer wychodzi z pokoju. Następuje kilkusekundowa cisza, potem słychać odgłos zbliżających się kroków i oddech)*
- Cześć, wujku.

**Kiedy w lipcu, kilka dni po pogrzebie Jess, przyleciałam do Londynu na spotkanie z moimi brytyjskimi wydawcami, Marilyn Adams zaprosiła mnie do swojego schludnego trzypokojowego domu pełnego nowoczesnych gadżetów.**

*Marilyn czeka na mnie na kanapie, z maską tlenową w zasięgu ręki. Zanim zaczniemy rozmowę, wyciąga ze szczeliny przy podłokietniku paczkę papierosów, zapala jednego i zaciąga się głęboko.*

Tylko nic nie mów chłopcom, dobrze, skarbie? Wiem, że nie powinnam palić, ale po tym wszystkim... Co mi może jeszcze zaszkodzić? Papieros to teraz moja jedyna pociecha.

Wiem, co czytałaś w gazetach, skarbie, ale my naprawdę nie mieliśmy do Paula żadnych pretensji poza tym, że starał się trzymać Jess z dala od nas. Miałam kuzyna, który też był taki. Znaczący się, był gejem. Nie jesteśmy żadnymi bigotami, broń Boże! Teraz jest ich mnóstwo, gejų, znaczący się, a ja naprawdę lubiłam Grahama Nortona. Ale prasa... Dziennikarze potrafią wszystko przekręcić, prawda? Czy mam żal do Shelly o to, że ustanowiła Paula opiekunem dzieci? Ani trochę. Chciała lepszego życia dla siebie i dla dziewczynek, więc czy można mieć do niej pretensję? W dzieciństwie nie opływała w dostatki. Wiem, że ludzie uważają nas za naciągaczy, ale przecież mamy prawo żyć tak, jak nam się podoba, prawda? Poza tym spróbuj w dzisiejszych czasach znaleźć jakąś sensowną pracę...

Niektórzy myślą, że chcieliśmy zająć się Jess tylko dlatego, że zależało nam na domu Paula i Shelly i na pieniądzach z ubezpieczenia. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że to by nam się nie przydało, ale jak mi Bóg świadkiem, wcale a wcale o tym nie myśleliśmy. Chodziło nam tylko o to, żeby jak najwięcej czasu spędzać z małą Jess. Sprawa ciągnęła się bez końca, stres narastał, zdarzały się noce, kiedy w ogóle nie mogłam zasnąć. „Od tych zmartwień dorobisz się w końcu zawału serca, mamó” – mówili mi chłopcy. W końcu, kiedy naprawdę się rozchorowałam, dałam sobie spokój i postanowiłam, że nie będę angażować w to prawników. Uznałam, że tak będzie lepiej. Kiedy Jess dorośnie, będzie przecież mogła zawsze do nas przyjechać, prawda? Tak właśnie myślałam.

Kiedy więc Paul zadzwonił z pytaniem, czy chcielibyśmy zobaczyć się z Jess, mało nie zemdlałam ze zdumienia. Opieka społeczna wciąż obiecywała nam, że zrobią wszystko co w ich mocy, ale ja w to nie wierzyłam. Wszyscy byliśmy ogromnie podekscytowani. Nie chcieliśmy jej przestraszyć, bo kiedy jesteśmy wszyscy razem, potrafi być dość duże zamieszanie, postanowiłam więc, że będę tylko ja, chłopcy i kuzyn Jordan, który jest mniej więcej w jej wieku. „Ale czy ona nie jest Obcym, ciociu?” – zapytał Jordan, kiedy mu powiedziałam, że Jess przyjeżdża z wizytą. Natychmiast dostał od ojca w ucho, ale przecież powtórzył tylko to, co słyszał w szkole. „Jak ktoś może wierzyć w takie bzdury?” – mawiał zawsze Keith, jak tylko usłyszał któregoś z tych cholernych Amerykanów bredzących o tym, że Troje jest z Biblii, albo coś w tym rodzaju. Jego zdaniem powinno się oskarżyć tych idiotów o zniesławienie, ale przecież nie nam o tym decydować, prawda?

Byłam zdumiona, kiedy kobieta z opieki społecznej przywiozła ją do nas do domu. Niesamowicie urosła od czasu, kiedy widziałam ją ostatnio. Na fotografiach w gazetach nie rzucało się to tak w oczy. Blizny na twarzy wcale nie wyglądały tak źle, skóra była po prostu trochę bardziej błyszcząca, i tyle. Szturchnęłam Jordana, żeby objął ją na powitanie. Zrobił to, chociaż bez zapału.

Jase przyniósł wszystkim hamburgery z McDonalda, a ja wypytywałam ją o szkołę, o koleżanki i całą resztę. Ależ była z niej gaduła! A jaka bystra! Ani trochę się nie spieszyła. Szczerze powiedziawszy, trochę mnie to zdziwiło, bo kiedy widziałem ją ostatnio, była bardzo nieśmiała. Tak samo jak jej siostra Polly. Kiedy przyjeżdżały z Shelly, nie odstępowały jej nawet na krok. Dwie małe księżniczki, żartowaliśmy sobie z chłopcami. Żadne wrzaskliwe rozrabiaki,

jak reszta. Co wcale nie znaczy, że często je widywaliśmy. Shelly przywoziła je właściwie tylko na święta i w ich urodziny, a i to z roczną przerwą po tym, jak Brooklyn ugryzła Polly. Ale Brooklyn była wtedy mała i nie wiedziała, co robi.

– Jordan, może pokazałbyś Jessie swój pokój? Może chciałaby pograć na konsoli?

– Ona dziwnie wygląda – odparł. – Jej twarz dziwnie wygląda.

Palnęłam go i powiedziałam Jess, żeby nie zwracała na niego uwagi.

– Nie ma sprawy. Moja twarz naprawdę dziwnie wygląda. To nie tak miało być. To była pomyłka. – Pokręciła głową, jakby miała tysiąc lat. – Czasem coś nam się nie udaje.

– Komu, kochanie? – spytałam.

– No, nam. Chodź, Jordan. Opowiem ci historię. Znam mnóstwo historii.

Poszli na górę, Jess i Jordan. Od razu zrobiło mi się cieplej na sercu. Rodzina to ważna rzecz, prawda?

Odkąd pogorszyło mi się z płucami, ciężko mi było chodzić po schodach, więc poprosiłam Jase'a, żeby miał na nich oko. Powiedział, że świetnie się bawili i że Jess przez cały czas gadała jak najęta. Zanim się obejrzelśmy, przyszła pora odesłać ją do domu.

– Chciałabyś jeszcze do nas wpaść, Jess? – zapytałam. – Spędzić trochę więcej czasu z kuzynami?

– Bardzo chętnie, ciociu – odpowiedziała. – To było interesujące.

Jak tylko gość z opieki społecznej zabrał ją do samochodu, zapytałam Jordana, co myśli o Jess, czy się jakoś zmieniła, i w ogóle, ale on tylko pokręcił głową. Wcale nie chciał o niej mówić, a kiedy spytałam, o czym rozmawiali przez całe popołudnie, powiedział, że nie pamięta. Nie naciskałam.

Wieczorem znowu zadzwonił Paul. Cholernie mnie zaskoczył, tym bardziej że był bardzo grzeczny. Spytał, czy zauważyłam coś niezwykłego w zachowaniu Jess. Jego własne słowa. Powiedział, że trochę się o nią martwi.

Odpowiedziałam mu to, co mówię pani teraz: że Jess jest uroczą dziewczynką i że to czysta przyjemność mieć ją blisko. Nie wiedzieć czemu, bardzo go to rozbawiło; zaczął się śmiać jak szalony, ale zanim zdążyłam zapytać, o co chodzi, odłożył słuchawkę.

Niedługo potem dowiedzieliśmy się, co zrobił.

## Lillian Small

Telefon zadzwonił o szóstej rano. Pobiegłam odebrać, zanim dzwonek obudzi Reubena. Od tamtej wycieczki do muzeum słabo sypiałam. Zwykle wstawałam około piątej, żeby pobyc trochę sama i uspokoić nerwy, zanim się dowiem, z którym z moich mężów będę miała tego dnia do czynienia.

– Kto dzwoni? – rzuciłam do słuchawki.

Gdyby się okazało, że to jakiś dziennikarz albo któryś z fanatyków, dałabym mu nieźle popalić. Po krótkiej ciszy odezwał się męski głos, który przedstawił się jako Paul Craddock, wujek Jessiki. Jego wyraźny angielski akcent natychmiast skojarzył mi się z serialem *Cavendish Hall*, o którym Betsy gadała prawie bez przerwy. To była dziwna rozmowa, często przerywana długimi niezręcznymi pauzami, choć przecież mogłoby się wydawać, że mamy mnóstwo wspólnych tematów. Pamiętam, że pomyślałam sobie, jakie to dziwne, że żadne z nas nie wpadło na pomysł, by zadzwonić wcześniej. W wiadomościach i artykułach prawie zawsze mówiono o całej trójce, a producenci najbardziej popularnych programów publicystycznych stawali na głowie, żeby ściągnąć wszystkich troje, ale ja zawsze kategorycznie odmawiałam. Od razu wyczułam, że z Paulem dzieje się coś niedobrego, lecz przypisałam to różnicy czasu albo zakłóceniom na linii. W końcu zdołał wykrztusić, o co mu chodzi: chciał wiedzieć, czy po katastrofie zauważyłam jakieś zmiany w osobowości albo zachowaniu Bobby'ego. O to samo pytali ci wszyscy przekłęci dziennikarze, więc szybko go zbyłam. Przeprosił za telefon o tej porze i odłożył słuchawkę, nawet nie mówiąc „do usłyszenia”.

Po rozmowie z nim byłam bardzo poruszona i długo nie mogłam się uspokoić. Czemu o to pytał? Wiedziałam, że tak samo jak my i rodzina tego japońskiego chłopca jest poddawany ogromnej presji ze strony mediów. Zrobiło mi się trochę głupio, że tak go potraktowałam. Sprawiał wrażenie kogoś, kto ma problemy i potrzebuje pogadać.

Zaczynałam powoli mieć dosyć dręczącego mnie poczucia winy. Powodów nie brakowało: bo nie posłałam Bobby'ego z powrotem do szkoły, bo nie zaprowadziłam Reubena z powrotem do doktora Lomeiera, żeby zobaczył go specjalista, bo ukrywałam stan męża przed Betsy. Tak samo jak Charmaine, która dzwoniła co najmniej raz w tygodniu, żeby się dowiedzieć, jak sobie radzimy, Betsy była ze mną od samego początku; mimo to nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że to, co się dzieje z Reubenem, to mój własny, prywatny cud... i ciężar. Wiedziałam, co się stanie, jeśli sprawa się wyda. Informacja, że ten japoński chłopiec porozumiewa się z otoczeniem za pomocą robota, którego zbudował mu ojciec, przez kilka dni była walcowana przez wszystkie media.

Zaparzyłam sobie kawę, usiadłam w kuchni i zagapiłam się w okno. Był piękny wiosenny dzień; pamiętam, że zaświtała mi myśl, jak przyjemnie byłoby pójść na spacer, zajrzeć do jakiejś kawiarni, mieć trochę czasu tylko dla siebie. Reuben już nie spał – Reuben, nie Al. Przeszło mi przez głowę, że mogłabym wymknąć się na dziesięć minut, usiąść w słońcu na ławce, odetchnąć głęboko.

Przygotowałam Bobby'emu śniadanie, posprzątałam w kuchni, po czym zapytałam Reubena, czy miałby coś przeciwko temu, żebym wyszła na parę minut.

– Skądże znowu – odparł. – Idź, Rito, i baw się dobrze.

Kazałam Bobby'emu obiecać, że nigdzie się nie ruszy, po czym wyszłam. W parku znalazłam wolną ławkę przy kompleksie sportowym, usiadłam i uniosłam twarz ku słońcu. Jeszcze tylko pięć minut, powtarzałam w duchu. Jeszcze tylko pięć minut, a potem wrócę do domu, zmienię pościel, pójdę z Bobbyem do sklepu po mleko. Minęła mnie grupka młodych mężczyzn z dziecięcymi wózkami. Wymieniliśmy uśmiechy. Zerknęłam na zegarek i stwierdziłam, że minęło czterdzieści minut. Jak to możliwe? Od domu dzieliło mnie niespełna

pięć minut, ale przecież wypadek może się zdarzyć w ciągu paru sekund. Nagły atak paniki sprawił, że aż zrobiło mi się niedobrze. Zerwałam się na nogi i popędziłam do domu.

Przecucie mnie nie omyliło. Wpadłam do mieszkania i krzyknęłam przeraźliwie. Było ich dwóch, w identycznych garniturach. Stali w kuchni. Jeden miał zamknięte oczy i przyciskał do piersi dłoń Bobby'ego, drugi podniósł rękę nad głowę i mamrotał coś pod nosem.

– Zostawcie go! – wrzasnęłam co sił w płucach. Od razu domyśliłam się, z kim mam do czynienia. Fanatyzm bił od nich na kilometr. – Wynoście się z mojego domu!

– Czy to ty, Rito? – zapytał Reuben z pokoju.

– Babciu, ci panowie zapytali, czy mogą obejrzeć z nami *The View* – powiedział Bobby. – Czy to są włóczędzy?

– Idź do swojego pokoju, Bobby.

Wściekła jak nie wiem co, zwróciłam się ponownie ku dwóm intruzom. Wyglądali jak bliźniacy: identyczne jasne włosy, takie same fryzury, taki sam wyraz pobłażliwej wyższości na twarzach, co czyniło sytuację jeszcze bardziej nieprzyjemną. Bobby powiedział mi później, że zjawili się tuż przed moim powrotem do domu i że nie zdążyli zrobić nic więcej ponad to, czego byłam świadkiem w kuchni. Pewnie obserwowali dom, zobaczyli, że wychodzę, i postanowili skorzystać ze sposobności.

– Prosimy tylko o to, żeby pozwoliła pani duchowi Bobby'ego spłynąć po nas – powiedział jeden z nich. – Jest nam to pani winna.

– Ona niczego nie jest wam winna – odezwała się Betsy od drzwi. Dzięki Bogu usłyszała mój krzyk. – Wezwałam już policję, więc lepiej zabierajcie stąd swoje świątobliwe tyłki!

Spojrzelali po sobie, po czym ruszyli do wyjścia. Zdaje się, że zamierzali uraczyć mnie większą dawką tych bzdur, ale Betsy swoim przybyciem wybiła im to z głów.

Przyjechała policja. Betsy zaproponowała, że zajmie się Bobbym, żebym mogła spokojnie złożyć zeznanie. Uznałam, że nie ma sensu martwić się tym, że dowie się o prawdziwym stanie Reubena. Policjanci powiedzieli mi, że powinnam się zastanowić nad całodobową ochroną. Wyjaśniłam im, że nie chcę obcej osoby w domu. Jak tylko sobie pojechali, domyśliłam się, że Betsy wie już o wszystkim i chce o tym porozmawiać. Czy miałam jakiś wybór? Uznałam, że muszę powiedzieć jej prawdę, i dlatego teraz mogę mieć pretensję wyłącznie do siebie.

**Betsy Katz, sąsiadka Lillian Small, zgodziła się na rozmowę pod koniec czerwca.**

Najbardziej boli mnie to, że tak bardzo uważałam przy dziennikarzach. Potrafią być bardzo przebiegli. Wszędzie węższą. Wydzwaniali do mnie i zadawali podchwytliwe pytania, jakbym wczoraj przyszła na świat i nie zdawała sobie sprawy, o co im chodzi.

– Pani Katz, czy nie wydaje się pani, że Bobby ostatnio zachowuje się dość dziwnie?

– Sami zachowujecie się dziwnie – odpowiadałam. – Czy to boli, kiedy się jest aż tak głupim?

Wątpię, czy Lily poradziłyby sobie po śmierci Lori, gdyby nie Bobby. Lori była nie tylko miłą dziewczyną, ale i dobrą córką. Ja chyba nie podniosłabym się po takim ciosie. A ten Bobby! Co za urocze dziecko! Nigdy nie sprawiał problemów, kiedy zajmowałam się nim, żeby pomóc Lily. Piekł ze mną ciasteczka, wchodził i wychodził, kiedy chciał, jak ktoś z rodziny. Od czasu do czasu oglądaliśmy razem teleturnieje. To był dobry, miły chłopiec, zawsze szczęśliwy i uśmiechnięty. Martwiłam się, że spędza za mało czasu z innymi dziećmi, no bo który chłopiec chciałby całymi dniami przesiadywać ze starymi babami, ale jemu w ogóle to nie przeszkadzało. Wiele razy wspominałam Lily, że rodzina rabina Toby’ego prowadzi w Bedford-Stuyvesant dobrą żydowską szkołę, ale ona nawet nie chciała słyszeć o tym, żeby go tam posłać. Czy mogę jednak czynić jej zarzut z tego, że chciała zawsze mieć go obok siebie? Bóg nie obdarzył mnie dziećmi, ale kiedy dziesięć lat temu mój mąż Ben umarł na raka, poczułam się tak, jakby ktoś wbił mi nóż w serce. Lily zbyt dużo już straciła. Najpierw Reubena, potem córkę.

Wiedziałam, że coś przede mną ukrywa, ale nigdy w życiu nie domyśliłabym się, co takiego. Nie potrafiła kłamać, można było czytać w niej jak w otwartej książce. Nie naciskałam, bo wiedziałam, że prędzej czy później i tak mi powie.

Tamtego dnia sprzątałam w kuchni, kiedy nagle usłyszałam jej krzyk. W pierwszej chwili pomyślałam, że coś się stało Reubenowi. Pobiegłam prosto do jej mieszkania. Jak tylko zobaczyłam tych dwóch mężczyzn w garniturach i z szalonymi oczami, zawróciłam i zadzwoniłam po policję. Od razu się domyśliłam, kim są. Odkąd ci fanatycy zaczęli kręcić się w okolicy, potrafię rozpoznać ich na kilometr, nawet jeśli próbują być sprytni i ubierają się jak biznesmeni. Ci dwaj uciekli, zanim przyjechała policja. Kiedy Lily składała zeznanie, poszłam zająć się Reubenem i Bobbym.

– Cześć, Betsy – powiedział Bobby. – Oglądamy z Po Po *Stąd do wieczności*. To stary film, wszyscy są pomalowani na białą i czarno.

– Te stare są najlepsze – odezwał się Reuben, głośno i wyraźnie.

Jak pani myśli, jak zareagowałam? Mało nie wyskoczyłam ze skóry!

– Co powiedziałaś, Reuben?

– Że teraz już nie kręci się takich filmów jak dawniej. Masz jakiś problem ze słuchem, Betsy?

Musiałam usiąść. Odkąd Bobby wyszedł ze szpitala, pomagałam Lily przy Reubenie, ale przez cały ten czas nie usłyszałam od niego ani jednego sensownego słowa.

Wróciła Lily i od razu się zorientowała, że już wiem. Poszłyśmy do kuchni, naląła nam brandy i o wszystkim mi powiedziała. Któregoś wieczoru po prostu zaczął mówić, nie wiadomo jak ani dlaczego.

– To cud! – wykrzyknęłam.

Po powrocie do domu nie mogłam usiedzieć w jednym miejscu. Musiałam z kimś porozmawiać. Zadzwoniłam do rabina Toby’ego, ale go nie zastałam, a że musiałam to w końcu z siebie wyrzucić, zadzwoniłam do mojej szwagierki. Jej najlepsza przyjaciółka ma siostrzeńca, bardzo miłego młodego człowieka imieniem Elliott. Elliott jest lekarzem, więc szwagierka poradziła mi, żebym z nim porozmawiała. Ja tylko starałam się pomóc. Pomyślałam sobie, że

byłoby dobrze, gdyby ktoś się tym zajął.

Wiem, że teraz to brzmi potwornie głupio.

Nie mam pojęcia, czy mu zapłacili, czy co, ale to na pewno on powiedział o wszystkim dziennikarzom. Kiedy następnego dnia rano wyszłam do sklepu po pieczywo, przed domem czekał tłum reporterów, ale to nie było nic nowego. Próbowali mnie zaczepiać, ale nawet się nie zatrzymałam. Stałam jak wryta dopiero wtedy, kiedy zobaczyłam wielki tytuł w gazecie w kiosku przy piekarni: CUDOWNE UZDROWIENIE! DZIADEK BOBBY'EGO ZACZYNA MÓWIĆ! Mało nie zwymiotowałam, tak bardzo się zdenerwowałam. Niech mi Bóg wybaczy, ale w pierwszej chwili pomyślałam, że to sprawka tych dwóch nawiedzonych, którzy zakradli się do mieszkania Lily. W artykule było jednak wyraźnie napisane, że informacja pochodzi „ze źródła bliskiego Lillian Small”.

Bardzo się zaniepokoiłam. Wiedziałam, co to będzie oznaczało dla Lily. Wszyscy ci szaleńcy, łącznie z tymi najbardziej niebezpiecznymi, zlecą się natychmiast jak muchy do gówna. Czym prędzej wróciłam do domu i poszłam prosto do niej.

– Naprawdę nie chciałam, żeby to się rozniosło!

Zbladła jak ściana, i wcale jej się nie dziwię.

– Tylko nie to... – szepnęła. – Dlaczego nie chcą zostawić nas w spokoju?

Nigdy mi nie wybaczyła. Nie odwróciła się ode mnie, ale od tej pory zawsze miałam wrażenie, że ma się przy mnie na baczności.

Zastanawiam się, czy to nie była jedna z przyczyn tego wszystkiego, co wydarzyło się później. Niech Bóg ma litość nade mną.

**CZEŚĆ ÓSMA**  
**SPISEK:**

—

**KWIECIEŃ–CZERWIEC**



**Poniższy artykuł ukazał się 19 kwietnia 2012 roku na makimashup.com – witrynie internetowej poświęconej prezentowaniu „pięknych i zadziwiających rzeczy z całego świata”.**

### Japońska Królowa Dziwaków

W pierwszym wideoklipie widać piękną Japonkę, która klęczy na macie *tatami* pośrodku eleganckiego, słabo oświetlonego pokoju. Poprawia jaskrawoczerwone kimono, mruga, po czym zaczyna recytować fragmenty *Ukradzonej* – bestsellerowych wspomnień spisanych przez Aki Kimurę, która w latach dziewięćdziesiątych została zgwałcona na Okinawie przez trzech amerykańskich żołnierzy. W drugim wideoklipie przez dwadzieścia minut szczegółowo opowiada o uprowadzeniu przez Obcych. W trzecim tłumaczy, dlaczego Hiro Yanagida, ocalały z katastrofy maszyny linii Sun Air, powinien być traktowany jako dobro narodowe, symbol japońskiej wytrwałości i tożsamości.

Te filmiki, które po raz pierwszy pojawiły się na japońskiej platformie wymiany plików Nico Nico Douga, szybko stały się viralami, uzyskując najwięcej kliknięć w historii witryny. Ich popularność nie ma nic wspólnego z tematyką monologów, za to mnóstwo z tym, kto je wygłasza. Otóż, ta kobieta nie jest człowiekiem, tylko surabotem – elektronicznym sobowtorem Aikao Uri, dawnej gwiazdy muzyki pop, która cieszyła się w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku ogromną popularnością, a potem wyszła za mąż za polityka Masamarę Uriego. Dla Aikao popularność to chleb powszedni. Bezustannie pojawiała się w programach informacyjnych, na początku dwudziestego pierwszego wieku zapoczątkowała modę na golenie brwi, ma zdecydowane antyamerykańskie poglądy – podobno w związku z nieudaną próbą podboju Hollywood w połowie lat dziewięćdziesiątych – zawsze nosi tradycyjne japońskie stroje, aby podkreślić dezaprobatę dla zachodniej mody, oraz – co oczywiście wywołuje najwięcej kontrowersji – od jakiegoś czasu głosi wszem wobec, że była już wielokrotnie uprowadzana przez Obcych.

Kiedy obserwuje się surabota Aikao Uri, doznaje się uczucia niepokoju. Dopiero po jakimś czasie uświadomiamy sobie, że z tą elokwentną, elegancką kobietą coś jest nie w porządku. Jej wypowiedzi są pozbawione emocji, przesadne gesty – odrobinę spóźnione, a oczy – martwe. Aikao chętnie przyznaje, że zamówiła swojego surabota po tym, jak świat obiegła wiadomość, że Hiro Yanagida, który jako jedyny wyszedł z życiem z katastrofy samolotu Sun Air, porozumiewa się z otoczeniem wyłącznie za pośrednictwem swojej kopii – androida skonstruowanego przez jego ojca, znanego eksperta w dziedzinie robotyki. Aikao uważa, że komunikowanie się ze światem poprzez suraboty – steruje się nimi zdalnie, za pomocą ultranowoczesnej kamery i mikrofonów – „zbliża nas do istoty bytu”.

Aikao nie jest jedyną osobą, która zapragnęła tego zbliżenia. Japońscy trendsetterzy, powszechnie znani ze swojego niekonwencjonalnego stylu, ochoczo włączyli się w surabotowe szaleństwo. Ludzie, których nie stać na własnego surabota (najtańszy zrobotyzowany sobowtór kosztuje nawet czterdzieści pięć tysięcy dolarów amerykańskich), kupują realistycznie odwzorowane manekiny i lalki z sex shopów i własnoręcznie je modyfikują. Na ulicach wokół Harajuku, gdzie zawsze można spotkać najmodniejszych z modnych, jest pełno mężczyzn i kobiet paradujących ze swoimi mniej lub bardziej udanymi kopiami. Ta moda, a właściwie szaleństwo, zyskało nazwę „kultu Hiro”. Istnieją nawet zespoły muzyczne, takie jak girlsband AKB 48, występujące na scenie z towarzyszeniem swoich surabotowych wersji.

**W połowie kwietnia poleciałam do Kapsztadu na spotkanie z Vincentem Xhatim – prywatnym detektywem zajmującym się wyłącznie poszukiwaniami nieuchwytnego Kennetha Oduaha, czyli tak zwanego Czwartego Jeźdźca.**

W hali przylotów międzynarodowego lotniska w Kapsztadzie kłębi się tłum potencjalnych przewodników. Wszyscy wykrzykują „Taksówkę, proszę pani?”, i podsuwają mi pod nos kartki z napisem „Khayelitsha all-inclusive”. Mimo to bez trudu rozpoznaję Vincenta Xhatiego – prywatnego detektywa, który zgodził się być przez kilka dni moim przewodnikiem po Kapsztadzie. Dzięki stu dziewięćdziesięciu pięciu centymetrom wzrostu i stu pięćdziesięciu kilogramom wagi góruje nad tłumem. Wita mnie szerokim uśmiechem i natychmiast zabiera mi bagaż. Brnąc w kierunku parkingu, rozmawiamy o tym i owym. Ani policjanci w granatowych mundurach, przechadzający się powoli po hali i lustrujący tłum podejrzliwymi spojrzeniami, ani wiszące w widocznych miejscach ostrzeżenia dla nowo przybyłych, żeby „zachowali ostrożność w kontaktach z obcymi”, nie robią większego wrażenia na łowcach naiwniaków. Kilku najbardziej agresywnych Vincent odpędza wycudzonym przez zęby „Voetsek!”.

Wycieńczona szesnastogodzinnym lotem, marzę o kawie i prysznicu, ale kiedy Vincent pyta, czy chcę pojechać prosto na miejsce katastrofy, mówię, że tak. Z aprobatą kiwa głową, a następnie prowadzi mnie do swojego samochodu, eleganckiego czarnego bmw z przyciemnianymi szybami.

– W tym nikt nas nie zaczepi – mówi. – Będziemy wyglądali jak politycy.

Zerka na mnie spod oka, po czym wybucha donośnym śmiechem.

Zapadam się w miękki fotel pasażera. Na tablicy przyrządów widzę ziarnistą fotografię Kennetha Oduaha. Zrobiono mu ją, kiedy miał cztery lata.

Zaraz po wyjeździe z parkingu dostrzegam w oddali Górę Stołową z obłokami przelewającymi się przez jej wierzchołek. Zbliża się zima, ale niebo ma barwę nieskalanego błękitu. Vincent wyjeżdża na szosę i od razu rzucają mi się w oczy wyraźne oznaki biedy. Lotnisko jest nowoczesne, ale zabudowania wzdłuż drogi niewiele różnią się od slumsów. W pewnej chwili Vincent musi gwałtownie zahamować, żeby nie rozjechać małego dziecka, które jakby nigdy nic wędruje między samochodami, ciągnąc na sznurku psa.

– To niedaleko – informuje mnie, po czym cmoka ze zniecierpliwieniem, wyprzedzając wlokący się przepełniony mikrobus.

Pytam, kto zlecił mu poszukiwania Kennetha, lecz on tylko uśmiecha się i kręci głową. Dziennikarz, który mi go wskazał, zapewniał mnie, że mogę mu ufać, ale mimo to nie czuję się komfortowo. Wspominam o licznych napadach na ludzi szukających chłopca. Vincent wzdycha.

– Prasa rozdmuchuje każdą taką sprawę. Kłopoty mieli tylko ci, którzy sami sobie na to zapracowali swoją głupotą.

Pytam, czy wierzy w to, że Kenneth naprawdę gdzieś tu jest.

– To bez znaczenia, w co wierzę. Może jest, a może go nie ma. Jeśli jest, to na pewno go znajdę.

Zjeżdżamy z głównej drogi. Po prawej stronie zaczyna się rozległy obszar zabudowany małymi domkami z cegły oraz drewnianymi i blaszanymi szopami. Niezliczone toalety wyglądają jak budki strażnicze.

– Czy to Khayelitsha?

– *Ja.*

– Jak długo pan go już szuka?

– Od samego początku. Nie było łatwo. Miejscowi muzułmanie próbowali nie dopuścić do tego, żebyśmy mogli swobodnie rozmawiać z ludźmi.

– Dlaczego?

– Nie mieliście tego w Ameryce? Nie wiadomo czemu uznali, że Kenneth na pewno był muzułmaninem, więc protestowali przeciwko temu, żeby Amerykanie przyjeżdżali tutaj i traktowali go jak brakującego czwartego posłańca. Jak tylko się okazało, że pochodzi z chrześcijańskiej rodziny, przestali się nim interesować.

Ponownie wybucha śmiechem.

– Chyba nie jest pan religijnym człowiekiem?

Natychmiast poważnieje.

– Nie. Za dużo widziałem.

Skręca w prawo, kilka minut później jesteśmy w centrum miasteczka. Gruntowe drogi między niekończącymi się szpalerami skleconych byle jak szop i szałasów nie mają nazw, wszędzie za to aż roi się od znaków firmowych Coca-Coli. Większość wisi na starych kontenerach; dopiero po chwili domyślam się, że to sklepy. Gromadka dzieci w brudnych szortach śmieje się i macha do samochodu, po czym rusza za nim w pogoń. Vincent zjeżdża na bok, zatrzymuje się, daje jednemu z dzieciaków dziesięć randów i każe mu pilnować samochodu. Chłopczek dumnie wypina pierś i kiwa głową.

Kilkaset metrów od nas turystyczny autokar zatrzymał się przy szpalerze naciągaczy handlujących różnymi towarami. Obserwuję amerykańską parę, która wybiera wykonaną z drutu sylwetkę samolotu i zaczyna się targować.

– Dalej pójdziemy pieszo – oświadcza Vincent. – Proszę trzymać się blisko mnie i nie nawiązywać kontaktu wzrokowego z miejsowymi.

– W porządku.

Znowu śmiech.

– Nie musi się pani aż tak bać, nic pani nie będzie.

– Czy pan tu mieszka?

– Nie. W Gugs, w Gugelethu.

Widziałam zdjęcia lotnicze miejsca, w którym spadł samolot, pozostawiając za sobą poszarpaną bruzdę zniszczeń, ale ludzie tu są twardzi, a ślady katastrofy już wcale nie rzucają się w oczy. Trwa budowa nowego kościoła, na obszarach strawionych pożarem zdążyły wyrosnąć nowe baraki. W samym środku miasteczka, kompletnie niepasująca do otoczenia, sterczy lśniąca piramida z czarnego szkła z wyrytymi nazwiskami ofiar (w tym Kennetha Oduaha).

Vincent kuca, zgarnia w dłoń trochę ziemi, przesiewa między palcami.

– Wciąż znajdują jakieś resztki. Kości, kawałki metalu... Wypelzają z ziemi jak odłamek pocisku z rany. Ziemia ich nie chce.

W poważnym nastroju zawracamy i docieramy do głównej drogi. Mijają nas wypełnione pasażerami mikrobusy pędzące do miasta. Mam wrażenie, że Góra Stołowa zbliża się ku nam. Chmury zdążyły już całkiem zasłonić jej słynny płaski wierzchołek.

– Zawiozę panią do hotelu, a wieczorem zaczniemy polowanie, dobrze?

Nadbrzeżna dzielnica Kapsztadu, w której stoi mój hotel ze szkła i stali, niesamowicie kontrastuje z miejscem, w którym przed chwilą byłam. Czuję się tak, jakbym wyjechała do innego kraju. Trudno uwierzyć, że designerskie sklepy i pięciogwiazdkowe restauracje są zaledwie kilkanaście minut jazdy taksówką od dzielnicy niesamowitej nędzy.

Biorę prysznic, schodzę do baru i, czekając na Vincenta, załatwiam kilka rozmów telefonicznych. W barze oprócz mnie siedzi kilkunastu mężczyzn w średnim wieku. Rozmawiają w małych grupkach, a ja staram się jak najwięcej podsłuchać. Wielu z nich to Amerykanie.

Staralam się o rozmowę z główną śledczą z ramienia Południowoafrykańskiego Urzędu Lotnictwa Cywilnego, ale otrzymałam odpowiedź, że nie udzielają wywiadów prasie. Mimo to dzwonię tam.

– Wszystko, co mieliśmy do powiedzenia, zostało zawarte w raporcie – informuje mnie sekretarka znużonym głosem.

Nie udaje mi się także umówić na rozmowę z żadnym z ratowników, którzy jako pierwsi zjawili się na miejscu katastrofy.

Vincent wkracza do hotelu z taką swobodą, jakby był jego właścicielem. Równie dobrze czuje się i w tej oazie luksusu, i w sercu Khayelitsha. Mówię mu o niepowodzeniu w kwestii wywiadów.

– Niech pani da sobie z nimi spokój. Postaram się znaleźć pani innych rozmówców.

Ktoś dzwoni do niego na komórkę. Rozmowa jest krótka, odbywa się w języku Xhosa.

– Mój wspólnik przywiózł kolejną partię chłopców. – Wzdycha ciężko. – Pewnie znowu nic z tego nie będzie, ale muszę ich sprawdzić. Mój pracodawca codziennie oczekuje ode mnie pełnego raportu.

Wychodzimy i kierujemy się w stronę nabrzeża. Przechodzimy pod estakadą, zwalniamy kroku. Okolica jest słabo oświetlona. Czuję się nieswojo.

Wspólnik Vincenta, niewysoki żylasty mężczyzna nazwiskiem Eric Malenga, czeka na nas pod nieukończonymi schodami wiodącymi na estakadę. Razem z nim jest trzech chłopców w łachmanach. Wszyscy niezbyt pewnie stoją na nogach. Dowiaduję się później, że wiele dzieci żyjących na ulicach uzależnia się od waczenia kleju, co powoduje osłabienie koordynacji ruchowej. Utrzymują się z żebractwa w centrum miasta.

– Od czasu do czasu jakiś turysta kupi im coś do jedzenia. Są też tacy, którzy kupują ich ciała – mówi Vincent.

Podchodzimy bliżej. Dostrzegam czwarte dziecko, siedzące nieco na uboczu, na przewróconej skrzyni. Chłopiec drży jak osika, ale nie jestem w stanie stwierdzić, czy ze strachu, czy z zimna. O tej porze powietrze kąsa chłodem.

Na nasz widok najwyższy z trójki chłopców – wyjątkowo chudy i zasmarkany – wskazuje na tego na skrzyni.

– To on, szefie. To Kenneth. Dostanę nagrodę, szefie?

Vincent informuje mnie, że najnowszy „Kenneth” nie jest nawet Nigeryjczykiem, tylko zwykłym kolorowym. Brzmienie tego słowa sprawia, że krzywię się odruchowo. Vincent daje znak Ericowi, który zdejmuje chłopca ze skrzyni i prowadzi do samochodu.

– Dokąd go zabiera? – pytam.

– Do najbliższego schroniska dla bezdomnych. Byle dalej od tych rzezimieszków.

– Ale, szefie, on nam powiedział, że nazywa się Kenneth! – protestuje usmarkany chudzielec. – Naprawdę tak powiedział!

– Czy wiecie, dlaczego wszyscy szukają Kennetha? – pytam.

– *Ja*, proszę pani. Myślą, że jest diabłem.

– To nieprawda – odzywa się drugi chłopiec. – Musi pójść do sangomy, bo wstąpiła w niego dusza czarownika. Każdy, kto go spotka, niedługo umrze.

– Wychodzi tylko nocą – włącza się trzeci. – Jeśli cię dotknie, ta część ciała zaraz umiera. Roznosi AIDS.

– *Ja*, też o tym słyszałem – wtóruje mu najwyższy, bez wątpienia herszt bandy. – Znam kogoś, kto go widział, proszę pani. Zaprowadzę panią do niego za stowę.

– Ci chłopcy niczego nie wiedzą – mówi Vincent, ale daje każdemu dwadzieścia randów i każe im zmykać. Zataczając się i potykając, rozplywają się w mroku. – Tak jest przez cały czas. Muszę jednak być dokładny, dzień w dzień dostarczać raport. Przynajmniej raz dziennie sprawdzam też w kostnicy, ale tam pani nie zabiorę.

Nazajutrz Vincent przychodzi rano do hotelu i informuje mnie, że jedzie na Zachodnie

Wybrzeże, żeby „zbadać trop”. Daje mi namiary na policjanta z posterunku w Khayelitsha, który podobno zgodził się ze mną porozmawiać, podaje nazwisko sanitariusza, który przyjechał na miejsce kilka minut po katastrofie, i dyktuje mi numer komórki kobiety, która straciła w pożarze cały dom.

– Ona coś wie. Nie chce mówić, ale może pani powie. Cudzoziemce.

Uśmiecha się szeroko, w skomplikowany sposób potrząsa moją dłońią i wychodzi.

*(Dziesięć dni później, w moim mieszkaniu na Manhattanie, dostaję od niego SMS. Jest bardzo krótki: DOPADLI GO).*

**Poniższe zeznanie złożono 2 maja 2012 roku na posterunku policji w Buitenkant w Kapsztadzie.**

**EK/IMIE I NAZWISKO:**

Brian van der Merwe

**OUERDOM/WIEK:**

37

**WOONAGTIG/MIEJSCE ZAMIESZKANIA:**

ul. Belville, Kapsztad

**NUMER TELEFONU:**

0215318976

**VERKLAAR IN AFRIKAANS ONDER EED**

**/ZEZNAJE POD PRZYSIĘGĄ, CO NASTĘPUJE:**

Późnym wieczorem 2 maja 2012, około 22.30, zostałem aresztowany przez policję na Long Street, naprzeciwko sklepu meblowego Beares. Zatszymałem (sic!) się, żeby podwieźć dziecko, i wtedy zauważyłem, że za mną zatrzymał się policyjny radiowóz. Wyjaśniłem funkcjonariuszom, że postanowiłem podwieźć to dziecko ze względu na jego bezpieczeństwo. Ośmio- czy dziewięcioletni chłopiec o tej porze nie powinien chodzić sam po mieście, i właśnie dlatego się zatrzymałem, żeby zaproponować mu podwiezienie. Kategorycznie zaprzeczam, że proponowałem mu seks, że kiedy policjanci podeszli do mojego samochodu, miałem spuszczone spodnie i że byłem w trakcie aktu seksualnego z chłopcem.

Sierżant Manjit Kumar wyciągnął mnie z samochodu i uderzył w twarz, co chciałem, żeby zostało wyraźnie zaznaczone. Potem zapytał chłopca, jak się nazywa. Chłopiec nie odpowiedział. Wtedy inny funkcjonariusz, konstabl Lucy Pistorius, zapytał chłopca: „Czy ty jesteś Kenneth?”. Chłopiec odpowiedział: „tak”.

Nie stawiałem oporu przy aresztowaniu.

**BvdMerwe**

-----

HANDTEKENING/PODPIS

**Andiswa Matebele (nazwisko zmienione) jest kierowniczką ośrodka dla porzuconych i wykorzystywanych dzieci w Kapsztadzie. (Z oczywistych powodów nie mogę ujawnić więcej szczegółów). Andiswa zgodziła się na rozmowę telefoniczną pod warunkiem, że nie ujawnię ani jej prawdziwego nazwiska, ani dokładnego położenia placówki, w której pracuje.**

Kiedy chłopiec do nas dotarł, był bardzo niedożywiony, więc jeszcze zanim wzięłam go do kąpieli, kazałam mu dać dużą miskę putu i gulasz z jagnięciny. Bardzo się o niego martwiłam, i to nie tylko ze względu na zainfekowane rany na rękach i nogach. Lekarz przepisał mu antybiotyki i serię zastrzyków przeciw retrowirusom, ponieważ wiele wskazywało na to, że był wykorzystywany seksualnie. Wśród dzieci ulicy to nic nadzwyczajnego. Wiele z nich było wykorzystywanych już przez rodziców i uważa to niemal za normę.

Co mogę pani powiedzieć o chłopcu? Na moje ucho w ogóle nie miał nigeryjskiego akcentu, ale trudno było to ustalić, bo prawie się nie odzywał. Wyglądał na starszego niż siedem lat, a tyle właśnie lat miał Kenneth Oduah.

– Czy masz na imię Kenneth? – zapytałam go, kiedy jadł.

– Tak, mam na imię Kenneth – odpowiedział.

Później okazało się jednak, że bez względu na to, o co go pytałam, zawsze się ze mną zgadzał.

Następnego dnia przyjechali laboranci, żeby pobrać wymaz z jamy ustnej w celu przeprowadzenia badań DNA. Powiedzieli mi, że do czasu ustalenia jego tożsamości chłopiec zostanie u nas. Uważałam, że jeśli okaże się, że to naprawdę Kenneth, to powinien jak najprędzej wrócić do ciotki i rodziny.

Nie mieszkam w Khayelitsha, ale byłam na miejscu katastrofy i widziałam pomnik. Trudno mi uwierzyć, żeby ktokolwiek mógł ująć z tego z życiem, ale przecież tak samo było z katastrofami w Ameryce, Azji i Europie, więc tak naprawdę to sama nie wiem, co o tym myśleć. Stopniowo, zadając mnóstwo pytań, udało mi się poznać jego historię. Powiedział, że przez jakiś czas mieszkał na plaży w Blouberg, potem w Kalk Bay, aż w końcu postanowił wrócić do Kapsztadu.

Miałam go na oku, bo bałam się, że inne dzieci będą mu dokuczać – to się czasem zdarza – ale większość omijała go z daleka. Nie powiedziałam im, kim – być może – jest. Tylko ja o tym wiedziałam. Część personelu jest bardzo przesądna, a już krążyły plotki, że jeśli chłopiec rzeczywiście przeżył katastrofę, to na pewno jest jakimś czarodziejem.

Po dwóch tygodniach dowiedzieliśmy się, że badanie DNA wykazało, że chłopiec istotnie jest spokrewniony z ciotką Kennetha Oduaha. Zaraz potem władze zorganizowały wielką konferencję prasową. Przypuszczałam, że natychmiast nam go zabiorą, ale zadzwonił ktoś z policji i powiedział, że ciotka Kennetha zachorowała (być może przyczynił się do tego szok po wiadomości o odnalezieniu siostrzeńca), w związku z czym nie może przylecieć z Lagos, żeby dokonać ostatecznej identyfikacji i zabrać chłopca. Zamiast niej miał się pojawić inny członek rodziny, ale należało się liczyć z pewnym opóźnieniem.

Ten człowiek dotarł do nas dzień później i przedstawił się jako kuzyn ojca Kennetha. Zapytałam, czy jest pewien, że to na pewno Kenneth, a on stanowczo stwierdził, że nie ma najmniejszych wątpliwości.

– Znasz tego człowieka, Kenneth? – spytałam chłopca.

– Znam tego człowieka – odpowiedział.

– Chcesz pójść z nim czy wolisz zostać z nami?

Nie wiedział, jak zareagować. Gdybym zapytała: „Czy chcesz zostać?”, odpowiedziałby: „Chcę zostać”. Gdybym zapytała: „Czy chcesz odejść?”, odpowiedziałby: „Chcę odejść”.

Sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał, co się wokół niego dzieje.  
Zabrali go wieczorem.



**Poniższy artykuł ukazał się 18 maja 2012 roku w sieciowym wydaniu brytyjskiego „Evening Standard”.**

### Gorączka Wniebowstąpienia ogarnia Amerykę

Przedsiębiorczy pastor z San Antonio w Teksasie uruchomił pierwszą chrześcielnicę drive-in, gdzie za równowartość ceny big maca można zapewnić sobie zbawienie.

– W przerwie na lunch zapewnisz sobie szczęście wieczne! – zachwala pastor Vincent Galbraith (48 l.) – Wystarczy wjechać, przyjąć Jezusa do serca i wrócić do pracy ze świadomością, że kiedy nadejdzie Dzień Sądu, znajdziesz się wśród wybrańców Pana!

Pastor Galbraith, należący do Ruchu Dni Ostatnich doktora Theodore’a Lunda, wpadł na ten pomysł po tym, jak jego kościół został dosłownie oblężony przez świeżo upieczonych chrześcijan, którzy uwierzyli w teorię, że Troje, a także Kenneth Oduah, są w rzeczywistości Jeźdźcami Apokalipsy. Choć nowy przybytek działa od niespełna tygodnia, kolejka samochodów sięga niekiedy następnej przecznicy.

– Ludzie są zdesperowani, i słusznie – twierdzi pastor, który wcześniej zajmował się sprzedażą ubezpieczeń. – Nie sposób ignorować tych wszystkich znaków. Ktoś w końcu musiał znaleźć rozwiązanie. Nie jesteśmy wybredni. Nie obchodzi mnie, jakiego wcześniej byłś wyznania. Przyjmujemy wszystkich: muzułmanów, żydów, ateistów. Nikt nie wie, kiedy nasz Pan zechce wezwać go do siebie. – Uśmiecha się jeszcze szerzej. – Jeśli interes będzie się dalej tak rozwijał, zacznę myśleć o franczyzie.

Rozkwitający biznes pastora Galbraitha jest zaledwie jedną z wielu oznak świadczących o tym, że mieszkańcy tradycyjnie religijnych regionów Stanów Zjednoczonych, ale nie tylko oni, coraz poważniej traktują teorię o Jeźdźcach Apokalipsy. W sondażu przeprowadzonym niedawno wspólnie przez CNN i „Time” aż 69% Amerykanów zgodziło się z opinią, że wydarzenia Czarnego Czwartku mogą stanowić zapowiedź zbliżającego się końca świata.

Hannigan Lewis (52 l.) z Kentucky zapoczątkował ruch społeczny pod nazwą Bez Narzędzi.

– Jeśli akurat pilotujesz samolot albo prowadzisz autobus, i nagle zostaniesz wzięty do Nieba, to tobie nic się nie stanie, ale pomyśl o tym, jaką masakrę spowoduje twoje zniknięcie! – Zapożyczywszy hasło z kampanii brytyjskiej Partii Konserwatywnej, wówczas niezbyt dobrze przyjętej, namawia wyznawców teorii o Wniebowstąpieniu, by „wrócili do podstaw” i trzymali się z daleka od wszelkich wytworów zaawansowanej myśli technicznej, które mogłyby zagrozić tym, którzy pozostaną na ziemi po Wniebowstąpieniu wybranych.

Jednak nie wszyscy wierzący Amerykanie są tego samego zdania. Pastor Kennedy Olax, stojący na czele organizacji Chrześcijanie dla Zmian, z siedzibą w Austin, mówi:

– Radzimy wszystkim, by nie ulegali hysterii, która obecnie rozprzestrzenia się po całym kraju. Nie ma powodów do paniki. Idiotyczna, niemająca żadnych podstaw teoria o Jeźdźcach Apokalipsy ma na celu wyłącznie sianie zamętu i wprowadzenie Reynarda do Białego Domu. Pamiętajmy, że przecież jesienią mamy wybory.

Inne grupy obawiają się politycznych i społecznych zmian, które może spowodować ogólnonarodowa religijna histeria. Po tym, jak doktor Lund i jego błyskawicznie rosnący w siłę Ruch Dni Ostatnich oficjalnie poparłi prezydenckie aspiracje Mitcha Reynarda, reprezentującego ultrakonserwatywne skrzydło Partii Republikańskiej, te obawy wydają się całkowicie uzasadnione.

– Jesteśmy zaniepokojeni – oświadczyła Poppy Abrams (37 l.), rzeczniczka prasowa Ligi Gejów i Lesbijek. – Wiemy, że doktor Lund intensywnie pracuje nad zjednoczeniem wszystkich religijnych i fundamentalistycznych organizacji prawicowych, Mitch Reynard zaś coraz mocniej

stawia na antygejowską i prożyciową retorykę. Może jeszcze nie prowadzi w sondażach, ale poparcie dla niego szybko rośnie.

Iman Arif Hamid z Amerykańskiej Koalicji Islamskiej prezentuje bardziej filozoficzne podejście:

– Nie obawiamy się wzrostu nastrojów antymuzułmańskich, tak jak po 11 września. Ostrze ataków wydaje się skierowane w kliniki dokonujące aborcji oraz społeczności homoseksualne. Jak na razie nie docierają do nas żadne sygnały o marginalizowaniu obywateli wyznania islamskiego.

Choć w Wielkiej Brytanii teoria o Jeźdźcach Apokalipsy nie wywołała jeszcze równie dużej fali paniki, to wielu brytyjskich duchownych wszystkich wyznań, od Kościoła katolickiego po Kościół Anglii, zaobserwowało wyraźny przyrost liczby wiernych. Teraz, po odnalezieniu tak zwanego Czwartego Jeźdźca, to już chyba tylko kwestia czasu, kiedy i po naszej stronie Atlantyku wybuchnie moda na fastfoodowe nawrócenia.

### **Reba Louise Neilson**

Uwierz mi, Elspeth, boli mnie serce, kiedy o tym mówię, ale nie mogę tego w sobie dusić. Ludzie muszą wiedzieć, że my tu, w Sannah County, jesteśmy dobrymi chrześcijanami i że nigdy nie chcieliśmy, żeby tym dzieciom przydarzyła się jakakolwiek krzywda.

Wydaje mi się, że pastor Len tak naprawdę wpuścił diabła do serca zaraz po tym, jak rzuciła go Kendra, a doktor Lund ostatecznie zerwał z nim wszelkie kontakty. Do tego należy dodać tych wszystkich nabijających się z niego dziennikarzy (Stephenie mówiła mi, że żartowali sobie z niego nawet w *Saturday Night Live*, choć zwykle nie ogląda takich programów). Ci wszyscy świeżo nawróceni też mu nie pomogli. Po tym, jak w Afryce odnaleziono Kennetha Oduaha, zważyło ich się jeszcze więcej. Pojawiły się plotki, że dziadek Bobby'ego Smalla zaczął mówić, chociaż miał alzheimera. Ludzi było tylu, że podobno pastor Len musiał wynająć kilkanaście przewoźnych toalet, a zza samochodów kempingowych i przyczep zaparkowanych przy drodze dojazdowej do rancza nie było widać zabudowań. Niektórzy z nich na pewno byli dobrymi chrześcijanami, ale napatrzyłam się na nich w miasteczku i widziałam pustkę w ich oczach. Zupełnie jak u Monty'ego.

Jednak moim zdaniem punktem zwrotnym był Jim.

Boże, jakież to był straszny dzień. Pamiętam wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Byłam w kuchni, robiłam Lorne'owi kanapkę z salami i serem, jego ulubioną. Miałam włączony telewizor. Miranda Stewart rozmawiała z Mitchem Reynardem, który opowiadał, jak to Stany Zjednoczone pędzą po równi pochyłej do piekła i że nadeszła pora, by odbudować moralny fundament narodu. (Stephenie uważa, że on trochę przypomina George'a Clooneya, ale ja nie jestem pewna). W tamtych dniach nie sposób było włączyć telewizora, żeby nie trafić albo na niego, albo na doktora Lunda. Liberałowie atakowali ich ze wszystkich stron, ale oni nie ustępowali ani na krok, i bardzo dobrze. Właśnie miałam zanieść Lorne'owi lunch, kiedy zadzwonił telefon. Przyznam, że poczułam się trochę niezręcznie, kiedy w słuchawce usłyszałam głos pastora Lena. Przemknęło mi przez głowę, że może będzie chciał wiedzieć, dlaczego od dłuższego czasu nie przychodzę na spotkania kółka biblijnego, ale on tylko zapytał, czy widziałam Jima. Jim miał przyjść na poranne spotkanie z nowo nawróconymi i opowiedzieć im o Pameli, jaką była wspaniałą kobietą i w ogóle, ale nie przyszedł. Powiedziałam, że ostatnio widziałam Jima chyba z tydzień temu, ale akurat dziś wieczorem zamierzałam zawieźć mu świeżą lasagne. Pastor spytał, czy mogłabym pojechać wcześniej i sprawdzić, co się dzieje, ponieważ Jim nie odbiera telefonu. Dodał, że ma nadzieję zobaczyć mnie w niedzielę w kościele, po czym odłożył słuchawkę.

Przez dobre pół godziny nie mogłam się uspokoić – w głębi duszy wciąż było mi głupio, że odwróciłam się od naszego Kościoła – a potem obdzwoniłam ludzi z „wewnętrznego kręgu” z pytaniem, czy ktokolwiek wie coś o Jimie. W tamtym czasie już prawie nikt go nie odwiedzał ani nie przywoził mu jedzenia. Zostałyśmy tylko Stephenie, Lena i ja, i to mimo że nigdy nie okazał nam choćby cienia wdzięczności. Ze dwa albo trzy razy zadzwoniłam też do samego Jima, lecz nikt nie odbierał. Wysłałam na podwórko do Lorne'a i zapytałam, czy zawiezie mnie do niego, bo chcę sprawdzić, czy nie przewrócił się po pijanemu i nie uderzył o coś głową.

Do dziś codziennie dziękuję Panu, że akurat wtedy Lorne miał wolne. Gdybym była sama, chyba tego nie przeżyła. Jak tylko dotarliśmy na miejsce, od razu wiedziałam, że wydarzyło się coś niedobrego. Na drzwiach z siatki kłębiło się od wewnątrz tyle much, że nie było nic przez nie widać.

Lorne natychmiast zadzwonił po Manny'ego Beaumonta. Zostaliśmy w samochodzie, a on i jego zastępca weszli do środka. Szeryf Beaumont powiedział później, że od początku było oczywiste, że to samobójstwo. Jim wsadził sobie w usta lufę dubeltówki i odstrzelił głowę.

Zostawił list zaadresowany do pastora Lena. Nie wiedzieliśmy, co było w nim napisane aż do chwili, kiedy pastor odczytał go głośno na pogrzebie Jima. I wtedy dopiero naprawdę się zaczęło.

Co prawda, Jim popełnił ciężki grzech, własnoręcznie odbierając sobie życie, niemniej jednak ja, Stephenie i jeszcze kilka kobiet z „wewnętrznego kręgu” postanowiłyśmy zająć się kwiatami na jego pogrzeb. Kościół pękał w szwach; przyszli nie tylko nowo nawróceni, lecz także mnóstwo obcych, którzy nigdy nie widzieli Jima na oczy. Lorne twierdził, że pastor Len popisuje się przed kamerami, których też było mnóstwo, zapewne w nadziei, że doktor Lund zobaczy go w wiadomościach.

– Jim jest męczennikiem – oświadczył. – Jednym ze świadków, podobnie jak jego żona Pamela. Czas się kończy. Pozostały jeszcze tysiące ludzi, którzy muszą zostać zbawieni, zanim będzie za późno. Potrzebujemy więcej czasu, ale Jezus nie będzie czekał wiecznie.

Lorne mówi, że władze powinny go wtedy powstrzymać, ale co mógł zrobić szeryf Beaumont? To przecież Ameryka, ludzie mają prawo robić na swojej ziemi, co im się podoba, a pastor Len nie złamał żadnego prawa. Przynajmniej wtedy. Przecież nie ogłosił wszem wobec, że trzeba zabić te dzieci.

Przez długi, bardzo długi czas pastor Len był moim światelkiem przewodnim. Ufałam jego słowom, wierzyłam w jego nauki, wzorowałam się na nim. Jednak to, co wtedy mówił – że Pamela była prorokiem i że Jim nie popełnił grzechu, odbierając sobie życie, lecz w ten sposób starał się nam powiedzieć, że piąta pieczęć została złamana – wcale a wcale mi się nie podobało. Wierzę, że sam Jezus przemówił do mnie i powiedział: „Rebo, czas stąd odejść. Zaraz. Natychmiast”. Tak właśnie postąpiłam i z całego serca jestem przekonana, że miałam słuszość.

**Chociaż po zniknięciu z bazy na Okinawie szeregowy Jake Wallace usiłował zniszczyć twardy dysk swojego laptopa, przytoczona poniżej korespondencja została odzyskana przez anonimowego hakera i zamieszczona na popularnym demaskatorskim blogu VigilanteHacks jako dowód na to, że Jake Wallace podjął swoje działania pod wyraźnym wpływem pastora Lena Vorheesa.**

Do: **bearingthecross@yahoo.com**

Od: **messenger778@moxy.com**

Data: 25/04/2012

Szanowny Panie,

dziękuję za przesłanie linka do Pańskiego najnowszego kazania zamieszczonego na YouTube. Wspaniale było usłyszeć Pański głos i wiedzieć, że myśli Pan o swoich Posłańcach na całym świecie. Nieprzychylnie komentarze, które się pojawiły, doprowadziły mnie do szału. Zastosowałem się do Pańskiej rady i nie zareagowałem na nie, choć miałem na to ochotę z całego serca! Założyłem też sobie nowy adres e-mailowy, żeby działać tak, jak Pan za chwilę zobaczy.

Mam Panu mnóstwo do powiedzenia. Prosił Pan, żeby dać Panu znać, kiedy znowu przyśni mi się pani Pamela May Donald. Przyśniła mi się tej nocy. Tym razem znalazłem się na polanie w lesie, tam gdzie wydarzyła się katastrofa. Pani Donald leżała na wznak, twarz miała zasłoniętą cienkim białym całunem. Oddychała przez usta. Przy każdym wdechu wciągała część całunu, a ja starałem się go wyciągnąć, żeby się nie udusiła. Nagle całun zrobił się śliski i wysunął mi się z palców, pani Donald znikła, a zamiast niej pojawiła się moja siostra Cassie. Też była owinięta całunem i mówiła: „Jake, nie mogę oddychać”, i wtedy się obudziłem. Było mi zimno, zupełnie jakbym przed chwilą naprawdę był tam, w lesie, i musiałem zacisnąć zęby na palcach, żeby nie zacząć znowu krzyczeć.

Gdyby nie Pańskie nauki, czułbym się zupełnie samotny. Nawet moi wierzący koledzy żartują sobie z tego chłopca, który rozmawia za pośrednictwem robota, i nie rozumieją, że to wcale nie jest do śmiechu. Inni naśladują wszystko, co robi ten dzieciak, i porozumiewają się z nami wyłącznie przez roboty i fałszywe idole, i boję się, że wpływ Antychrysta dociera już nawet na tę wyspę. Zgodnie z Pańską radą nie wychylam się, robię tylko to, co do mnie należy, ale jest mi bardzo ciężko. Jeśli możemy ocalić choćby jednego człowieka, to czy nie powinniśmy tego zrobić? Są tutaj amerykańskie rodziny, dzieci, zupełnie niewinni ludzie. Czy moim obowiązkiem jako Posłańca nie jest ocalić ich, zanim będzie za późno?

Z wyrazami szacunku

J

Do: **messenger778@moxy.com**

Od: **bearingthecross@yahoo.com**

Data: 26/04/2012

Prawdziwy Posłańcu,

taki nasz los i taki ciężar, że jesteśmy otoczeni tymi, którzy nie chcą ujrzeć prawdy. Uważaj, by nie znaleźli drogi do Twojego serca za pomocą kłamstw i pochlebstw i by nie zasiali tam ziarna wątplenia. Wątplenie to demon, którego najbardziej musisz się strzec. Właśnie dlatego proszę Cię, abyś nie rzucał się w oczy. Oczywiście, rozumiem Twoje argumenty dotyczące niewinnych i sam dużo nad tym rozmyślałem, ale musisz pamiętać, że już niebawem ruszymy do ostatecznego boju i wtedy wszyscy, którzy przyjmą Prawdę do swoich serc, zostaną zbawieni.

Wielką radość sprawiłeś mi swoim snem! To kolejny ZNAK! Tak jak nasza prorokini Pamela May Donald, otrzymałaś tam, w lesie, namacalny dowód, bo ujrzałaś tych, którzy dostąpią Wniebowstąpienia i zostaną Zbawieni! Pamela May Donald wskazuje ci słuszną drogę.

Pokazuje ci, że – tak jak jad roznoszony przez fałszywych proroków Elastycznego Sandy’ego i doktora Lunda – słowa są puste. Tylko czyny będą się liczyć, kiedy nadejdzie chwila próby.

Dla Ciebie chwila próby już nadeszła, Jake. Nasz Pan sprawdza, czy wytrwasz przy Nim, czy może zбочysz ze ścieżki. Tylko Ty jeden jesteś naszym głosem i naszym sercem w tym pogańskim kraju. Wiem, jak bardzo czujesz się samotny, ale zapewniam Cię, że otrzymasz nagrodę. Znaków jest coraz więcej, Jake. Coraz więcej. Liczba moich Posłańców rośnie, coraz więcej wybranych skupia się pod moimi skrzydłami, ale Ty, zupełnie sam w tym pogańskim kraju, jesteś najdzielniejszy ze wszystkich.

„Tak bowiem jest: kto skąpo sieje, ten skąpo i zbiera, kto zaś hojnie sieje, ten hojnie też zbierać będzie”.

Zachowaj czujność, bowiem wielu antychrześcijan wyteżają oczy i uszy, by zdemaskować naszych Posłańców.

Do: **bearingthecross@yahoo.com**

Od: **messenger778@moxy.com**

Data: 07/05/2012

Szanowny Panie,

to miło, że pisze Pan do mnie tak często, bo wiem, że przecież musi Pan być teraz bardzo zajęty, skoro tylu Posłańców łączy się z Panem duchowo i osobiście. Całym sercem marzę o tym, żeby teraz być z nimi, ale wiem, że Bóg obmyślił dla mnie inny plan!

Pana słowa dają mi Prawdziwą Otuchę i wszystko dobrze rozumiem. Proszę się nie martwić, jestem ostrożny i od razu kasuję e-maile od Pana, tak jak mi Pan kazał.

Wczoraj w Urima odbył się kolejny protest przeciwko obecności naszej bazy. Kusilo mnie, żeby wyjść do tych Pogan i powiedzieć im, żeby wrócili do Jezusa, zanim będzie za późno. W *Ewangelii według św. Łukasza* jest napisane, że mamy kochać naszych nieprzyjaciół i starać się czynić im dobro, nie oczekując niczego w zamian, ale ja wiem, że walcząc o Największe Dobro, nie mogę tego robić.

Z poważaniem

J

Do: **bearingthecross@yahoo.com**

Od: **messenger778@moxy.com**

Data: 20/05/2012

Szanowny Panie,

codziennie sprawdzam pocztę i przemyślałem wszystko, co Panu napisałem, na wypadek gdybym Pana czymś uraził, bo od dłuższego czasu nie dostałem od Pana żadnej wiadomości, a potem zobaczyłem w telewizji wiadomość o śmierci męża Pameli May Donald. Podobno popełnił grzech samobójstwa. Czy to prawda?

Wiem, że pewnie jest Pan teraz bardzo zajęty i pogrążony w Żałobie, ale bardzo proszę, żeby jednak zechciał Pan do mnie napisać chociaż parę słów, bo listy od Pana dają mi mnóstwo siły. Próbowałem znaleźć Pańską stronę internetową, ale nie mogę na nią trafić, więc bardzo się martwię, że Pan i inni Prawdziwie Wierzący ulegli sile wyznawców Antychrysta.

Potrzebuję Pańskiej pomocy. Na Filipinach jest teraz ogromna powódź, to z pewnością kolejny znak świadczący o tym, że Zło ogarnia świat. Krążą plotki, że mój oddział zostanie wysłany, żeby pomagać poszkodowanym. Czy wtedy nadal będę mógł być Pańskim Głosem, Sercem, Uszami i Oczami?

Czuję się bardzo samotny.

J

Do: **bearingthecross@yahoo.com**

Od: **messenger778@moxy.com**

Data: 21/05/2012

Proszę Pana, czy Pan tam jest? Mój oddział wylatuje za trzy dni, co mam robić?

Do: **messenger778@moxy.com**

Od: **bearingthecross@yahoo.com**

Data: 21/05/2012

Prawdziwy Posłańcu,

nie jesteś sam. Musisz wierzyć, że nawet kiedy Milczę, jestem u Twego boku. Falszywi Prorocy i ci, co im schlebiają, prześladują nas i ośmieszają, ale to nas nie załamie.

Załączam kopię mojego najnowszego wpisu na blogu, w którym wyjaśniam postępowanie Jima Donalda.

Jim Donald, podobnie jak jego Ukochana Żona, złożył siebie w ofierze po to, by przekazać nam Rzeczywistą Prawdę, Prawdę, której domyślałem się od samego początku, to znaczy od chwili, kiedy Pamela May Donald dokonała największego poświęcenia, aby osobiście ogłosić swoje proroctwo.

Jesteś jednym z wybranych. Jesteś szczególnie. Czeka nas Świąta Wojna, czasu pozostaje coraz mniej. Nadeszła pora, by Żołnierze Boga wystąpili naprzód. Czy jesteś gotów na to, by zostać jednym z nich?

Musimy o tym porozmawiać, ale nie tam, gdzie dosięgną nas uszy i oczy Antychrysta i jego Popleczników. Daj mi znak, kiedy mogę się z tobą skontaktować, tak żeby nikt nam nie przeszkadzał.

Do: **bearingthecross@yahoo.com**

Od: **messenger778@moxy.com**

Data: 27/05/2012

Szanowny Panie,

przepraszam, że nie zastosowałem się do Pańskich poleceń, ale okropnie cierpię! Ciągle myślę o mojej rodzinie, a zwłaszcza o mojej siostrze, która nie została zbawiona, i zastanawiam się, co się z nimi stanie, jeśli nie ujrzą Prawdy, zanim będzie za późno.

Otrzymałem Pański przekaz pieniężny. Nawiązałem kontakt z ludźmi, którzy chyba mogą mi pomóc w ucieczce, ale nie jestem pewien.

Jestem w szpitalu, tak jak mi pan polecił, więc nie mogę długo pisać. Mój oddział już odleciał. Czy możemy znowu porozmawiać? Potrzebuję usłyszeć Pański głos, ponieważ dręcą mnie Wątpliwości.

J

Do: **messenger778@moxy.com**

Od: **bearingthecross@yahoo.com**

Data: 27/05/2012

NIE PISZ do mnie więcej. Skontaktuję się z Tobą.

**Chociaż witryna internetowa pamelaprophet.com już nie funkcjonuje, 19 maja 2012 roku dokonano na niej następującej aktualizacji.**

Dzięki wiadomościom, które zaczęły do mnie docierać po Męczeńskiej Śmierci naszego brata Jima Donalda, zrobiło mi się ciepło na sercu.

Bo tak właśnie jest, Wierni Posłańcy: Jim Donald jest męczennikiem. Męczennikiem, który oddał życie za nas wszystkich, tak samo jak uczyniła jego droga małżonka Pamela. Upraszam was, byście nie przywiązywali wagi do słów doktora Lunda, który stwierdził, jakoby Jim Donald popełnił grzech, odbierając sobie życie. Jim jest męczennikiem, który umarł po to, żebyśmy poznali prawdę. Prorokiem, który złożył siebie w ofierze, by przynieść nam Dobrą Nowinę: Bóg w Swojej Chwale postanowił otworzyć piątą pieczęć.

„Jak mówi święty Jan w *Apokalipsie*: A gdy otworzył pieczęć piątą, ujrzał pod ołtarzem dusze zabitych dla Świadectwa Bożego i dla świadectwa, jakie mieli”.

Wierni Posłańcy! Jim Donald, tak samo jak jego żona Pamela, jest męczennikiem, który zginął za wiarę. Byłem przy nim, kiedy został zbawiony, kiedy opłakiwał śmierć ukochanej żony. W chwili, kiedy sam umierał, Pan zesłał mu wizję. Postanowiłem podzielić się z wami jego ostatnimi słowami na tym świecie:

„Dlaczego to one ocalały, a nie ona? Była dobrym człowiekiem i dobrą żoną i choć nie chcę tego zrobić, to muszę, bo one nie mają po kolei w głowie i są złe. Sprowadziły śmierć na tysiące ludzi i zabijają jeszcze znacznie więcej, JEŻELI SIĘ ICH NIE POWSTRZYMA”.

Przesłanie pozostawione przez Jima jest jasne, tak samo jak to z wiadomości nagranej przez Pamelę. Zostało nam niewiele czasu, więc musimy robić wszystko, co w naszej mocy, żeby jak najwięcej ludzi ujrzalo Prawdę, póki nie jest za późno. Czy może być szczytniejszy cel, niż ocalić tak wielu, jak to możliwe, zanim zostanie złamana szósta pieczęć?

Pamela May Donald była posłańcem Boga. Była naczyniem, w którym przekazano nam Jego słowa. Doktor Lund i inni szarlatani usiłowali je wypaczyć i wykorzystać dla swoich korzyści. Jim to udowodnił. Doktor Lund nie wierzy, że piąta pieczęć została już złamana, ale się myli.

„Chłopiec patrzcie... pastarze Len niech ich pan ostrzeże...” Tak mówiła do mnie Pamela May Donald.

„I głosem donośnym tak zawołały: Dokądże, Władco święty i prawdziwy, nie będziesz sądził i wymierzał za krew naszą kary tym, co mieszkają na Ziemi?”



**Lorne Neilson nie bez oporów zgodził się na wywiad w lipcu 2012 roku. Oto zapis naszej rozmowy po poprawkach redakcyjnych.**

Od razu to powiem: nigdy nie ufałem Lenowi Vorheesowi. Od pierwszego dnia, jak tylko pojawił się w Sannah County. Miał gadane, to trzeba przyznać, ale jak na mój gust, to były tylko puste słowa.

Reba jednak od razu zbzikowała na jego punkcie, co chyba oszczędziło nam jeżdżenia co niedziela do kościoła w Denham County. Nikt z nas nie wiedział, co o tym myśleć, kiedy zaczął opowiadać, że te dzieciaki to Czterej Jeźdźcy. Reba była lojalna wobec niego, a ja na nią nie naciskałem, ale jak dla mnie, to było jasne, że Len wykorzystuje słowa nieżywej kobiety dla własnych celów, czyli do tego, żeby dorównać tym znanym i bogatym kaznodziejom z Houston. Potem jeszcze wmieszał w to Jima Donalda. Jim potrafił być wredny jak żmija, ale śmierć Pam cholernie nim telepnęła. Rzucił robotę, przestał gadać z kumplami. Len powinien zostawić go w spokoju, powinien pozwolić mu zapić się na śmierć, skoro Jim tak chciał.

Wie pani, czyja moim zdaniem to wina, że wszystko tak się potoczyło? Wcale nie Jima, ani nawet nie tych dziennikarzy, którzy roztrąbili sprawę w gazetach i telewizji. Jak dla mnie, to winni są doktor Lund i ten pisarz, Elastyczny Sandy. Od samego początku podjudzali Lena. Nikt mi nie wmówił, że są niewinni, bez względu na to, jak sprytnie będą się tłumaczyć.

Tydzień po pogrzebie Jima Billy, kuzyn Stephenie, miał dostarczyć jakieś deski na farmę Lena. Poprosił mnie, żebym mu pomógł. Powiedział, że nie chce jechać tam sam, a jego pomocnik akurat zachorował na tego wirusa od rzygania, który grasował po całym okręgu. Reba od razu wpadła na pomysł, żebym przy okazji zawiózł trochę słoików z brzoskwiniami dla dzieciaków.

Poprzednio byłem na farmie jakoś tak koło świąt albo nawet jeszcze dawniej. Oczywiście, widywałem w okolicy tych wszystkich nowych ludzi w poobtłukiwanych terenówkach i w głębi duszy byłem nawet ciekaw, co tam się dzieje. Billy przyznał się, że w ich towarzystwie czuje się nieswojo. Większość była z naszego stanu, ale trafiali się i tacy, którzy przyjechali aż z Nowego Orleanu.

Przy bramie stało dwóch gości. Jeden z nich zawsze trzymał się blisko Monty'ego – to ten typek, który nie spodobał się Rebie. Kazali nam się zatrzymać i zapytali, czego chcemy, jakby byli jakimś strażnikami albo czymś w tym rodzaju. Billy powiedział im, że wieziemy deski, więc nas przepuścili, ale patrzyli za nami podejrzliwie.

Przyczep i namiotów nie było tak dużo, jak myślałem, ale i tak całkiem sporo. Wszędzie ganiały dzieciaki, tu i tam stały grupki kobiet. Cały czas czułem na nas ich spojrzenia. Powiedziałem Billy'emu, że gdyby zobaczył to Grayson Thatcher, od którego Len kupił rancho, pewnie dostałby zawału serca.

Jak tylko się zatrzymaliśmy, z domu dziarskim krokiem wyszedł szeroko uśmiechnięty pastor Len, a od strony stodoły nadeszło paru mężczyzn i wzięli się do wyładowywania desek. Przywitałem się grzecznie i wręczyłem mu słoiki z brzoskwiniami od Reby.

– Podziękuj jej w moim imieniu, Lorne – powiedział. – Dobra z niej kobieta. Powiedz jej, że z wielką przyjemnością zobaczyłbym ją w niedzielę. Było mi bardzo przykro, że muszę zamknąć kościół w miasteczku, ale Bóg pokazał mi, że Jego ścieżki prowadzą również tutaj.

Ma się rozumieć, nie zamierzałem powtórzyć Rebie ani słowa z tego, co mówił. Nagle usłyszałem strzały. Odgłos dobiegał z pastwiska za stodołą.

– Co to ma być, Len? Przecież już po sezonie myśliwskim.

– Musimy być czujni, Lorne. Boże dzieło to nie tylko modlitwy.

To jasne, że każdy ma prawo do obrony. Sam uczyłem strzelać moje dziewczyny, tak samo jak przygotowywaliśmy je na te wybuchy na Słońcu, co mają niedługo nastąpić, ale to nie

były pojedyncze strzały tylko prawdziwa kanonada, jakby się szykowali do jakiejś cholerne bitwy. Im dłużej się rozglądałem, tym mniej mi się to wszystko podobało. Było jasne, że budują jakieś zabezpieczenia. Obok starej obory leżały zwoje drutu kolczastego, a Billy był zdania, że deski, które przywieźliśmy, pójdą na budowę solidnego płotu. Zabraliśmy się stamtąd najszybciej, jak mogliśmy.

– Myślisz, że powinniśmy opowiedzieć szeryfowi, co tam się dzieje? – spytał Billy.

Nie ulegało wątpliwości, że to cuchnąca sprawa. I to bardzo cuchnąca, jak kilkudniowa padlina.

No więc pojechaliśmy do Manny'ego Beaumonta i zapytaliśmy, czy wie, co ci ludzie wyrabiają na ranchu. Manny powiedział nam, że dopóki nie łamią prawa, nic nie może zrobić. Później pojawiło się mnóstwo innych pytań: dlaczego FBI nie sprawdzało e-maili, tak jak to robi ze wszystkimi islamofaszystami i tak dalej. Myślę, że nikomu nie przyszło do głowy, że jakiś kaznodzieja z zapyziałej prowincji zdoła narobić takiego zamieszania w szerokim świecie. Albo bali się, że jeśli spróbują przyskrzynić pastora Lena, wybuchnie strzelanina, będzie oblężenie i zrobi się grubsza afera.

**11 czerwca 2012 roku, przed opuszczeniem Okinawy, szeregowy Jake Wallace wysłał poniższy e-mail do swoich rodziców w Wirginii. Treść wiadomości ujawniono po zidentyfikowaniu jego ciała.**

Mamo, Tato,  
robię to dla Was i dla Cassie.

W Bitwie o Dusze ktoś musi być Żołnierzem Boga. Zgłosiłem się na ochotnika, żeby spełnić mój obowiązek. Znaki są coraz bardziej widoczne. Powódzie na Filipinach, wojna, która wybuchnie w Korei Północnej. Czwarty Jeździec, którego znaleźli w Afryce.

Muszę działać szybko, bo zostało niewiele czasu.

Błagam Was, żebyście przyjęli Jezusa do Waszych serc, zanim będzie za późno.

Tato, wiem, że w to nie wierzysz, ale błagam Cię, jako Twój syn, żebyś zechciał spojrzeć na dowody. Bóg by nas nie okłamywał. Zawsze powtarzałeś, że ataki z 11 września to był rządowy spisek, i wkurzałeś się, że się z Tobą nie zgadzamy. Proszę, Tato. Zabierz Mamę i Cassie do kościoła i przyjmijcie Pana do Waszych serc. ZOSTAŁO NIEWIELE CZASU.

Zobaczymy się w Niebie, kiedy Jezus przytuli Was do swej piersi.

Wasz syn

Jake

**Monty Sullivan, jedyny wyznawca kultu Pameli, który zgodził się na rozmowę ze mną, oczekuje obecnie na proces w Więzieniu Stanowym na Rikers Island. Rozmawialiśmy przez telefon.**

**Elsbeth Martins:** Kiedy po raz pierwszy usłyszał pan o pastorze Lenie Vorheesie i jego teorii dotyczącej Jeźdźców?

**Monty Sullivan:** Myślę, że na samym początku. Byłem wtedy kierowcą ciężarówki, rozwoziłem kurczaki z Shelby County po całym stanie. Na CB panowała wyjątkowa cisza, więc zacząłem szukać w radiu jakiejś stacji z muzyką rockową. W tamtych czasach w ogóle nie interesowały mnie programy religijne. Do licha, nawet muzyka country niezbyt mi się podobała. Akurat jak wjechałem do Sannah County, trafiłem na program pastora Lena. Coś w jego głosie sprawiło, że zacząłem uważnie słuchać.

**EM:** Może pan opisać to dokładniej?

**MS:** Mówił tak, jakby w to wszystko naprawdę wierzył. Jak się słucha w radiu albo w telewizji tych różnych pastorów i kaznodziejów, to często można odnieść wrażenie, że w gruncie rzeczy chodzi im tylko o to, żeby dobrać się do kasy ciężko pracujących ludzi. Wtedy jeszcze religia nie bardzo mnie interesowała, głównie za sprawą mojej mamuski. Była bardzo wierząca i co miesiąc wysyłała okazałą sumkę jednemu z tych superkaznodziejów w Houston, nawet kiedy w domu nie było za co kupić jedzenia. Pastor Len był inny, ani razu nie poprosił o to, żeby ludzie przysyłali mu forszę, a to, o czym mówił, od razu mnie zainteresowało. Naturalnie, we wszystkich wiadomościach najważniejszym tematem wciąż był Czarny Czwartek, a wielu duchownych, zwłaszcza kaznodziejów, twierdziło, że to kolejny znak świadczący o zbliżającym się Sądzie Ostatecznym. Co prawda to samo mówili po 11 września, więc w sumie nie było to nic nowego. Mnie jednak przekonało dopiero to, co mówił pastor Len, a zwłaszcza ostatnie słowa Pameli May Donald. Dowody były po prostu zbyt mocne. Barwy na samolotach odpowiadające kolorom Jeźdźców, których Jan opisał w *Apokalipsie*, fakt, że nie istniało żadne wytłumaczenie ocalenia tych dzieci... Dwa dni później, jak tylko rozwiozłem towar, wszedłem w internet i znalazłem stronę pastora Lena pamelaprophet.com. Wszystkie dowody były tam czarno na białym. Przeczytałem wszystko, a potem wygrzebałem Biblię mamuski – jedyną rzecz, jaką po niej zachowałem. Całą resztę sprzedałem, choć nie było tego wiele. Można chyba powiedzieć, że w tamtych czasach byłem trochę zwariowany. Żadnych narkotyków ani niczego w tym rodzaju, ale lubiłem sobie wypić, i na to właśnie poszła cała kasa.

Po tym, jak wysłuchałem audycji pastora Lena i wszedłem na jego stronę, nie mogłem zasnąć przez trzy noce z rzędu. Czuję, jak coś we mnie rośnie. Później pastor Len wyjaśnił mi, że to był Duch Święty.

Wysłałem mu e-mail, w którym napisałem, jak wielkie wrażenie wywarło na mnie to, co mówił. Nawet nie liczyłem na to, że mi kiedykolwiek odpisze, ale proszę sobie wyobrazić, że nie minęła nawet godzina, a dostałem odpowiedź! I to osobistą, nie automatyczną. Nauczyłem się jej na pamięć, bo przeczytałem ją chyba z milion razy. „Monty, bardzo mi miło, że do mnie napisałeś. Twoja wiara i szczerłość są kolejnym dowodem na to, że kroczę właściwą ścieżką, która wiedzie ku zbawieniu wielu dobrych ludzi takich jak ty”.

Zaczekałem na wolny dzień i pojechałem nocą prosto do Sannah County i do kościoła pastora Lena. Czekałem w kolejce, żeby zostać zbawionym. Tego dnia było tam chyba z pięćdziesiąt osób i panowała radosna atmosfera. Wszyscy wiedzieliśmy, że robimy to, co należy. Pastor Len osobiście witał wszystkich i dziękował za przybycie. Kiedy nadeszła moja kolej, przedstawiłem mu się. Nie przypuszczałem, że mnie zapamiętał, ale on od razu zawołał:

– To ty przysłałeś do mnie e-mail z Kendrick!

Tak jasno potrafił wszystko wytłumaczyć! Dzięki niemu zrozumiałem, że od lat byłem

ślepy. Złamałem mamusce serce, kiedy w młodości odwróciłem się od wiary. Bardzo żałowałem, że nie dożyła tej chwili i nie zobaczyła, jak wracam w objęcia Jezusa. Jak mogłem nie widzieć, że zmierzamy ku Dniom Ostatnim? Biorąc pod uwagę to, co się działo na ziemi, było oczywiste, że Bóg musiał zacząć przygotowania do końca świata. Im dłużej się temu przyglądałem, tym bardziej kręciło mi się w głowie. Czy wie pani, że dzieci w Ameryce są zmuszane do czytania Koranu w szkole? Nie Biblii, tylko właśnie Koranu. Zabroniona jest lektura Pisma Świętego, ale nie świętej księgi niewiernych. Geje, mordercy nienarodzonych dzieci i liberałowie połączyli siły, żeby zamienić Amerykę w kraj bez Boga. Doktor Lund miał rację pod tym względem, nawet jeżeli później odwrócił się plecami do prawdy głoszonej przez pastora Lena, ponieważ chciał, żeby cała sława, jaka spłynęła na pastora w związku z wiadomością nagraną przez Pamelę, stała się jego udziałem. Zbawianie dusz nie było dla niego najważniejsze, a dla pastora Lena było.

**EM:** Kiedy postanowił pan przenieść się do Sannah County?

**MS:** Jak już zostałem zbawiony, wróciłem do domu i przez kilka tygodni pisałem do niego prawie codziennie. Na początku marca poczułem potrzebę przeprowadzenia się bliżej jego kościoła i służenia mu w charakterze posłańca. Nie miałem problemów z podjęciem decyzji, bo Bóg popychał mnie w tym kierunku. Kiedy pastor zaprosił mnie na swoje ranczo, nie zastanawiałem się ani chwili. Rzuciłem robotę, sprzedałem ciężarówkę i pojechałem autostopem do Sannah County. Zostałem jego prawą ręką.

**EM:** Czy wcześniej wchodził pan w konflikt z prawem?

**MS:** Raczej nie, proszę pani. No, chyba żeby liczyć bójki w szkole albo parę awantur, które wywołałem po pijaku. Nie twierdzę, że byłem czysty jak łąza, ale też nikt nie mógł mi zarzucić, że jestem zabijaką.

**EM:** Skąd wziął pan broń, z której zastrzelił pan Bobby'ego Smalla?

**MS:** To była broń Jima Donalda. Nie ta, z której sam się zastrzelił, tylko inna, którą oddał nam na przechowanie. Umiałem się nią posługiwać, bo tata nauczył mnie strzelać, zanim zostawił mnie samego z mamą. Miałem wtedy dwanaście lat.

**EM:** Znał pan Jima Donalda?

**MS:** Niezbyt dobrze, proszę pani. Widziałem go raz albo dwa razy. Pastor Len mówił, że Jim nie potrafi pogodzić się ze śmiercią żony. Robił, co mógł, żeby mu pomóc, ale widać było, że Jim jest potwornie przybity. Był prawdziwym męczennikiem, jak Pamela. Ujrzał prawdę o Jeźdźcach, o tym, jakie nieszczęścia sprowadzili na świat i że zamordowali tych wszystkich biedaków w samolotach.

**EM:** Czy pastor Len polecił panu, żeby udał się pan do Nowego Jorku i zabił Bobby'ego Smalla?

**MS:** Zrobiłem to, co zrobiłby każdy, komu leży na sercu zbawienie duszy. Działalem jako żołnierz Boga, robiłem, co mogłem, żeby usunąć zagrożenie i dać ludziom więcej czasu przed Wniebowstąpieniem. Jeśli uda nam się nie dopuścić do pojawienia się kolejnych znaków, jeśli powstrzymamy Jeźdźców, zyskamy więcej czasu na szerzenie nauki Jezusa i doprowadzimy do Niego więcej ludzi. Teraz, kiedy odnaleziono Czwartego Jeźdźcę, kiedy na ziemię spadają kolejne nieszczęścia – powódzie na Filipinach i w Europie, ostrzeżenia przed tsunami w Azji – pozostało nam mało czasu.

**EM:** Skoro jednak uważa pan, że Czterej Jeźdźcy są wysłannikami Boga, to czy nie obawiał się pan, że usiłując zamordować Bobby'ego, postąpi pan wbrew Jego woli?

**MS:** Chwileczkę, proszę pani. Tutaj nie można mówić o żadnym morderstwie. Kiedy nadejdzie Antychryst, kiedy szósta pieczęć zostanie złamana, nie będzie już odwrotu. Nie ma żadnej gwarancji, że podczas Sądu dostaniemy jeszcze jedną szansę. Trzymam stronę Boga. On dobrze wie, że pastor Len i wszyscy pameliscy robią, co mogą, żeby przyciągnąć do Niego jak

najwięcej ludzi. Te dzieci nie były zwyczajne. Wszyscy to widzieli. Po jakimś czasie zaczęły wykorzystywać swoją moc i pysznić się nią. Może i na początku były wysłannikami Boga, ale ja mocno wierzę w to, co powiedział nam Jim: że w końcu stały się narzędziami Antychrysta.

**EM:** Czy pastor Len kazał panu zastrzelić Bobby'ego?

**MS:** Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

**EM:** Wiele osób uważa, że działał pan pod wpływem pastora Lena Vorheesa i że powinien on tak samo jak pan odpowiadać za to, co się stało.

**MS:** Jezus też poniósł karę za szerzenie Słowa Bożego. Nic mnie nie obchodzi, co ludzie mówią. Niedługo znajdę się w objęciach Jezusa. Wszystko mi jedno, czy mnie zamkną, czy posadzą na krześle elektrycznym. Może to wszystko część Boskiego planu? Siedzę tu z grzesznikami, więc mam okazję wielu z nich zbawić.

**CZEŚĆ DZIEWIĄTA  
OCALENI:**

—

**MAJ-CZERWIEC**

**W ciągu kilku tygodni, które minęły od pojawienia się Ryu na forum 2-chan, dyskusja o tym, czy jego Księżniczka to naprawdę kuzynka Hiro Yanagidy, rozgrzała forumowiczów do czerwoności. Ryu w końcu powrócił pod tym samym nickiem co poprzednio.**

**Użytkownik: Orz Man Data postu 2012/05/01 21:22:22.30**

Witajcie. Nie wiem, ilu jest online z tych, którzy tu byli, kiedy zapoczątkowałem wątek. To naprawdę niesamowite, że tak się zainteresowaliście moją historią. Chciałem wam jeszcze raz podziękować.

**Użytkownik: Anonimowy23**

Orz! Świetnie, że znowu jesteś! No i co???? Udało się???? Zdobyłeś swoją Księżniczkę?

(\*)

**Użytkownik: Orz Man**

Odpowiedź jest krótka: tak. Jesteśmy razem.

*[Reakcją jest co najmniej sto najrozmaitszych wariantów: „Hura!”, „Dobra robota, sukinsynu!”, „Aleś się spisał!” i „A niech cię lichol!”. Ryu wyjaśnia, że przed oknami Chiyoko wypisał sprayem na asfalcie ORZ. Użytkownicy nie posiadają się z zachwyty].*

**Użytkownik: Anonimowy557**

Orz, muszę wiedzieć: czy Księżniczka jest kuzynką Hiro?

**Użytkownik: Orz Man**

Czekałem, kiedy ktoś o to zapyta... Śledziłem niektóre wątki. Z oczywistych powodów nie mogę potwierdzić.

**Użytkownik: Anonimowy890**

Orz, poznałeś go?

**Użytkownik: Orz Man**

Patrz wyżej. -|70

**Użytkownik: Anonimowy330**

Fajna jest ta Księżniczka, kolego?

**Użytkownik: Orz Man**

Nie wiem, jak szczerze odpowiedzieć... Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy... Okazała się zupełnie inna, niż myślałem, ale to bez znaczenia.

**Użytkownik: Anonimowy765**

Więc to była ta grubaska z ceremonii pogrzebowej, a nie ta, która wyglądała jak Hazuki? Kiepsko, chłopie.

**Użytkownik: Anonimowy111**

Witamy z powrotem, Orz. Nie zwracaj uwagi na 765.

**Użytkownik: Anonimowy762**

Człowieku, przejdź od razu do rzeczy! Przeleciałeś ją już?

**Użytkownik: Anonimowy111**

Nie bądź wulgarny. Dopuście go do głosu.

**Użytkownik: Orz Man**

Wiem, że to zabrmi jak cytaty z jakiegoś łzawego serialu, ale ona odmieniła moje życie. Mimo że jest Księżniczką, mamy ze sobą więcej wspólnego, niż wydawało mi się możliwe. Ona też ma za sobą ciężkie przejścia. Mamy identyczny gust i poglądy na wszystko: sprawy społeczne, muzykę, gry, nawet politykę. Czasem prowadzimy naprawdę poważne rozmowy. Zacząłem mówić jej o sprawach, o których do tej pory nikomu nie mówiłem. Pomogła mi znaleźć pracę w sklepie, więc teraz mam trochę pieniędzy. Niewiele, ale wystarczy, żeby nie umrzeć z głodu. To zabrmi jeszcze głupiej, ale czasem śni mi się, że jesteśmy małżeństwem, mieszkamy



razem i w ogóle nie wychodzimy na zewnątrz.

**Użytkownik: Anonimowy200**

O rety. Zaczynam ci zazdrościć, Orz.

**Użytkownik: Anonimowy201**

Prawdziwa sielanka.

**Użytkownik: Anonimowy7889**

Opowiedz nam o Hiro. Widziałeś jego surabota?

**Użytkownik: Anonimowy1211**

Co on myśli o kulcie Hiro?

**Użytkownik: Orz Man**

Panowie, bez urazy, ale to jest ogólnie dostępne forum, a ja nie mogę wdawać się w szczegóły. Księżniczka by się wściekła, gdyby coś dostało się do prasy.

**Użytkownik: Anonimowy111**

Możesz nam zaufać, Orz, ale doskonale cię rozumiem.

**Użytkownik: Orz Man**

Powiem tylko tyle, że w towarzystwie pewnej osoby czuję się znacznie spokojniejszy.

**Użytkownik: Anonimowy764**

Jak często widzisz Księżniczkę?

**Użytkownik: Orz Man**

Prawie co wieczór. Jej rodzice są dość surowi, nie spodobałoby im się, że spotyka się z kimś takim jak ja, więc musimy kombinować. Naprzeciwko jej domu jest plac zabaw dla dzieci. Tam na nią czekam. Tuż obok stoi duży budynek, więc czasem czuję się tak, jakbym był obserwowany, ale jakoś daję sobie radę.

**Użytkownik: Anonimowy665**

Czekając na Księżniczkę, Orz zapala kolejnego papierosa. Wie, że do twarzy mu z tym. Może dziś będzie właśnie TEN wieczór? Kilku sąsiadów przygląda mu się z okien, ale on wie, że nie spróbują mu przeszkodzić. Napina mięśnie, a oni od razu znikają.

**Użytkownik: Anonimowy9883**

Lodowa Księżniczka wybiega z domu. Ma na sobie tylko króciutką przezroczystą sukienkę...

**Użytkownik: Anonimowy210**

Pada mu w ramiona, nie przejmując się tym, kto na nich patrzy...

*[Pojawiają się dość szczegółowe opisy aktu seksualnego].*

**Użytkownik: Orz Man**

\*rumieni się\*

Wyobrażacie sobie, co by było, gdyby to przeczytała?

**Użytkownik: Anonimowy45**

Człowieku, powiedz nam, że naprawdę to z nią zrobiłeś!

**Użytkownik: Orz Man**

Muszę iść. Czeka na mnie.

**Użytkownik: Anonimowy887**

Orz, nie zostawiaj nas. Jesteśmy z tobą od samego początku. Maniak komputerowy i Księżniczka? Coś takiego zwykle zdarza się tylko w grach wideo.

**Użytkownik: Anonimowy2008**

Właśnie, Orz. Wisisz nam dokładne informacje, co będzie dalej.

**Użytkownik: Orz Man**

Wiem. Cholerna z was banda zboczeńców, ale i tak dobrze wiedzieć, że jesteście. Że nie

jesteśmy sami.

## **W czerwcu 2012 roku rozmawiałam przez Skype'a z grafikiem Neilem Mellancampem, mieszkającym na Greenpoincie.**

Po tym, jak w okolicy zaczęły się kręcić te wszystkie świry, co prawda nikt nie powiedział głośno, że byłoby dobrze, gdyby Lillian i Bobby przeprowadzili się gdzie indziej, ale na pewno większość z nas tak myślała.

Mieszkam parę przecznic od Lillian, po drugiej stronie McCarren Park. Następnego dnia po tym, jak odkryli, gdzie mieszka Bobby, poczuliśmy się tak, jakbyśmy żyli w cyrku. Jedno wielkie zamieszanie. Najpierw zwalili się reporterzy i goście, którzy chcieli nagrać kawałek na swojego bloga, Tweetera, czy coś w tym guście. „Jak to jest mieszkać w pobliżu cudownego dziecka?” Za każdym razem kazałem im spieprzać, ale byli i tacy, którzy uznali to za świetną okazję, żeby zaznać swoich pięciu minut sławy. Dupki. Potem pojawili się ci od UFO. Kompletne pojebusy, ale w większości całkowicie nieszkodliwi. Kręcili się przed wejściem i wykrzykiwali: „Chcemy lecieć z tobą, Bobby!”. Policja łatwo ich przepędziła. Byli znacznie mniej upierdliwi od tych religijnych świrów. Napływali fala za falą. Jak tylko rozeszła się wiadomość o mężu Lillian, zrobiło się ich jeszcze więcej, całe hordy, i wszyscy chcieli, żeby Bobby ich uzdrowił. Wyglądało to tak, jakby wynajęli autokar i przyjechali prosto z Wariatkowa w Karolinie albo z czegoś takiego. „Bobby, Bobby!” – darli się nawet po zmroku. „Mam raka, dotknij mnie i ulecz!” Jeszcze gorsi byli ci, co pętali się po parku i zaczepiali ludzi. „Bóg nienawidzi pedałów!” – wrzeszczeli, choć naprawdę nie rozumiem, co to mogło mieć wspólnego z sześciolatkiem. Byli też tacy, którzy wyglądali tak, jakby przed chwilą wypadli z komiksu, z napisami KONIEC JEST BLISKO i CZY JESTEŚ ZBAWIONY? na koszulkach i transparentach. W końcu zrobiło się tak, że nie mogłem wyjść z domu ani wejść z powrotem, żeby nie nadziać się na kogoś. Zna pani tę okolicę, prawda? Mieszka tam niezła zbieranina, jak na Brooklynie: artyści, hipsterzy, chasydzi, mnóstwo ludzi z Dominikany, ale te świry i tak z daleka rzucały się w oczy.

Proszę mnie źle nie zrozumieć; bardzo współczułem Lillian. Większość z nas jej współczuła. Moja dziewczyna parę razy wezwała nawet policję, ale to nic nie dało. Tym szajbusom było wszystko jedno, czy ktoś ich aresztuje, czy – nie. Chcieli zostać męczennikami.

Tamtego ranka wyszedłem do pracy, ale – sam nie wiem czemu – zamiast wsiąść do autobusu, postanowiłem pojechać metrem, co oznaczało, że musiałem przejść przez park i minąć dom, w którym mieszkała Lillian. O tej porze w parku można spotkać mnóstwo hipsterskich tatusiów – tak w każdym razie nazywa ich moja dziewczyna. Uprawiają jogging, pchając wózki z dziećmi. Facet, którego zauważyłem na ławce naprzeciwko boiska, na pewno nie był jednym z nich. Siedział sobie spokojnie, ale od razu pomyślałem, że coś jest z nim nie w porządku, i to nie tylko ze względu na to, jak był ubrany. Było całkiem ciepło – nie gorąco ani nie parno, jak często bywa, ale jednak ciepło – a on ubrał się jak na mróz: długi czarny płaszcz, filcowy kapelusz. Skinąłem mu głową, ale on nie zareagował, gapił się przeze mnie na wylot. Próbowałem o nim zapomnieć, ale coś mi szepnęło, że powinienem poczekać i sprawdzić, czego tu szuka. Oczywiście, mógł być jakimś biednym bezdomnym albo kimś w tym rodzaju, ale mimo to postanowiłem go obserwować. Zwykle przed domem Lillian stał przynajmniej jeden radiowóz, lecz akurat tym razem żadnego nie było. Chociaż nie jestem jakoś szczególnie uduchowiony, ani nic w tym rodzaju, to słowo daję, że usłyszałem wewnętrzny głos, który powiedział mi: „Słuchaj, Neil, idź, wypij kawę, sprawdź, co porabia ten gość, i dopiero wtedy jedź do pracy”. I tak właśnie zrobiłem. Kupiłem sobie duże americano w Orgasmic Organic i ruszyłem z powrotem w kierunku parku.

Jak tylko znalazłem się na ulicy, przy której mieszkała Lillian, zobaczyłem tego gościa. Szedł powoli w moją stronę. Znowu ogarnęło mnie dziwne przeczucie, że coś jest z nim bardzo

nie w porządku. Ulica nie była pusta, mnóstwo ludzi popylało do pracy, ale wziąłem go na celownik i szedłem za nim. Drzwi domu Lillian otworzyły się i na chodnik wyszła starsza pani z farbowanymi włosami, a z nią – chłopak w czapeczce baseballowej na głowie. Od razu się domyśliłem, że to oni. Temu, kto podpowiedział im to przebranie, chyba zabrakło wyobraźni.

– Uważajcie! – krzyknąłem.

Wszystko rozegrało się błyskawicznie, ale równocześnie jak na zwolnionym filmie, jeśli to w ogóle ma jakikolwiek sens. Dziwaczny facet wyciągnął broń – nie znam się na broni palnej, więc nie powiem pani, co to było – i po prostu ruszył przed siebie przez jezdnię, nie zwracając najmniejszej uwagi na samochody. Nie zastanawiałem się ani chwili: pobiegłem za nim, zrzuciłem przykrywkę z kubka z kawą i chlusnąłem nią gnojowi prosto w twarz. Co prawda zdążył wystrzelić, ale trafił tylko w chevroleta po drugiej stronie ulicy.

Wszyscy wrzeszczeli: „Na ziemię! Na ziemię, do cholery!”.

Ułamek sekundy później, nie wiadomo skąd, pojawił się ten gość – później się okazało, że to był gliniarz, który właśnie wracał do domu po służbie – i krzyknął do faceta, żeby rzucił tę pieprzoną broń. Tamten od razu to zrobił, ale widać było, że i tak nie stanowi już żadnego zagrożenia. Bełkotał coś i rozpaczliwie tarł twarz i oczy. Kawa naprawdę była gorąca. Uklęknął na środku jezdni, a ten gliniarz kopnął broń gdzieś dalej i wezwał posiłki.

Podbiegłem do Lillian i Bobby’ego. Twarz Lillian była szara jak popiół. Przestraszyłem się, że zaraz dostanie ataku serca albo wylewu. A Bobby... Nie wiem, czy był w szoku, czy co, ale zaczął się śmiać. Lillian złapała go za rękę i odciągnęła na bok. Dosłownie parę sekund później dokoła zaroiło się od radiowozów. Gliniarze zgarnęli tego dziwnego gościa i dokądś go zabrali. Mam nadzieję, że skurwiel smaży się w piekle.

Gliniarz zadzwonił później do mnie i powiedział, że jestem bohaterem. Dzwonili też z biura burmistrza i obiecali medal za odwagę, ale ja przecież zrobiłem tylko to, co każdy zrobiłby na moim miejscu.

Nigdy więcej nie spotkałem ani Lillian, ani Bobby’ego. Umieścili ich w jakimś bezpiecznym miejscu, prawda? Tak mówiła starsza pani, ich sąsiadka. Lillian przysłała mi bardzo miły e-mail, napisała, że nigdy nie zapomni tego, co dla nich zrobiłem. Poryczałem się, kiedy to czytałem.

Zobaczyłem ich znowu dopiero w wiadomościach w telewizji.

### **To ostatni e-mail, jaki otrzymałam od Lillian Small.**

Staramy się, jak możemy, Elspeth. Wciąż jeszcze jestem roztrzęsiona, ale kto by nie był po czymś takim? Mimo wszystko staram się być silna, ze względu na Reubena i Bobby'ego. Bobby czuje się dobrze. Wątpię, żeby zdawał sobie sprawę z tego, co się stało.

Wydaje mi się, że powiedziałam ci wszystko, co chciałaś wiedzieć. Jeśli możesz, napisz w swojej książce, że nie mamy pojęcia, dlaczego Reuben znowu zaczął mówić, ale że nie ma to nic wspólnego z Bobbym. Po tym, jak ci źli ludzie zaczęli mówić, że to kolejny znak, zastanawiałam się, czy wszystkiemu nie zaprzeczyć, ale przecież Betsy wie, jak było naprawdę, i Bobby też. Nie chcę, żeby w przyszłości, kiedy będzie dorosły, przeczytał twoją książkę i obejrzał archiwalne wiadomości, i dowiedział się, że jego babcia była kłamcą. W głębi serca wierzę, że Reuben dokonał jeszcze jednej, ostatniej próby pokonania Ala, żeby móc być z wnukiem, że to stało się dzięki sile jego miłości.

Uparli się, że przeniosą nas w jakieś dobrze strzeżone miejsce. Nie mam wyboru, jeśli chcę, żeby Bobby był bezpieczny. Chcą też umieścić Reubena w domu opieki w innym stanie, ale o tym nawet nie chcę słyszeć.

Nie ma mowy. Jesteśmy rodziną i będziemy razem, bez względu na to, co się stanie.

## **Zapis ostatniego nagrania Paula Craddocka, maj/czerwiec 2012.**

*14 maja, 5.30*

Nie mogę się pozbyć tego smrodu. Rybiego smrodu. Tego, który zawsze zostawia po sobie Stephen. Próbowałem już wszystkiego, nawet szorowałem ściany domestosem. Chlor szczypał mnie w oczy, ale smród pozostał.

Jess jak zwykle niczego nie zauważyła. Siedziała w salonie i oglądała *Czynnik X*, podczas gdy jej szalony wujek ganiał po domu z wiadrem napełnionym środkiem do czyszczenia toalet. Wisiało jej to, jak by powiedział Geoff. Zaprosiłem panią EB w nadziei, że podzieli się ze mną jakimś sposobem pozbywania się brzydkich zapachów, znanym tylko starym gospodyniom domowym. Okłamałem ją, że przypaliłem paluszki rybne, które przygotowywałem dla Jess, ale powiedziała mi, że niczego nie czuje, naturalnie poza wyciskającym łzy z oczu smrodem domestosu. Wyszła ze mną do ogrodu na papierosa, poklepała po ręce i zasugerowała, że być może za bardzo się staram, zapewne ze względu na presję ze strony mediów. Poradziła mi, żebym się od czasu do czasu wypłakał, bo to lepsze od ciągłego tłumienia bólu. Gadała i gadała o tym, jak okropnie się czuła, kiedy przed dziesięciu laty straciła męża. Myślała, że sobie z tym nie poradzi, ale Bóg pomógł jej odnaleźć drogę.

Cześć, Boże. To ja, Paul. Dlaczego mnie nie słuchasz, do kurwy nędzy?

Czuję się tak, jakbym się składał z dwóch osób: Paula Rozsądnego i Paula Szajbniętego. To coś zupełnie innego niż wcześniej. Wtedy po prostu miałem depresję. Kilka razy brałem słuchawkę do ręki, żeby zadzwonić do doktora K albo do Darrena i poprosić, żeby zabrali Jess, ale natychmiast słyszałem w głowie głos Shelly: „One potrzebują tylko miłości, a tej masz aż w nadmiarze, Paul”.

Nie mogę ich zawieść.

Czy to zespół Capgrasa? Czy to możliwe?

Doszło do tego, że... Boże. Pod byle jakim pretekstem zaprowadziłem Jess do pani EB, żeby sprawdzić, jak zareaguje na nią pies. W filmach zwierzęta zawsze potrafią wyczuć, jeśli z kimś dzieje się coś nie w porządku, na przykład jeżeli ktoś jest opętany albo coś w tym guście. Pies pani EB w ogóle nie zareagował. Po prostu leżał sobie, i już. Muszę się jakoś opanować.

Muszę.

Jak trudno jest zachować spokój na zewnątrz, kiedy w środku krzyczę... Jezu miłosierny. Discovery Channel chciał przeprowadzić ze mną rozmowę o tym, jak się czułem, kiedy dotarła do mnie informacja o katastrofie. Odmówiłem. I kompletnie zapomniałem o sesji fotograficznej dla „Sunday Times”, którą Gerry umówił kilka tygodni temu. Kiedy zjawili się fotografowie, nie wpuściłem ich do mieszkania.

Gerry wrywa sobie włosy garściami i już nie wierzy w moje zapewnienia, że wciąż jestem pogrążony w rozpacz. Twierdzi, że wydawcy podadzą nas do sądu. Bardzo proszę. Gównu mnie to obchodzi. Wszystko się wali.

A leki nie działają.

*(szloch)*

„Cześć, wujku” – powiedziała. Skąd, kurwa, wiedziała, że ukryłem dyktafon w jej pokoju?

*21 maja, 14.30*

Kiedy Jess była w szkole, przeprowadziłem szczegółowe poszukiwania w internecie. Wygooglowałem wszystko, co się dało, na temat pamelistów, zwolenników teorii o interwencji Obcych, a nawet tych, którzy wierzą w to, że te dzieciaki zostały opanowane przez demony. Jest ich mnóstwo.

Bo te dzieci... Te pozostałe dzieci... Bobby Small i Hiro Jakmutam. Nie są normalne,

prawda? Kiedy zadzwoniłem do Lillian, od razu się domyśliłem, że coś ukrywa, a teraz już wiem co. Nie ma lekarstwa na alzheimera. Wszyscy o tym wiedzą. Nie ma, i tyle. Z Bobbym jest coś nie w porządku. A ten drugi chłopiec rozmawia przez androida. O co w tym wszystkim chodzi, do cholery?

O Kennecie Oduahu znalazłem niewiele poza tym, czego się spodziewałem: mnóstwo witryn utrzymanych w historycznym tonie (To ostatni dowód, jakiego potrzebowaliśmy!), kilka prześmiewczych artykułów i oficjalny komunikat o tym, że „ze względów bezpieczeństwa” jest trzymany w ukryciu w Lagos.

A jeśli jednak są tymi Jeźdźcami? Wiem, wiem... Zwłaszcza Mel chyba oszalałaby z niepokoju, gdyby mnie teraz usłyszała, ale mimo wszystko wysłuchaj mnie, proszę. Rozsądny Paul ani przez chwilę nie brałby tego pod uwagę, ale wydaje mi się, że trzeba podejść do sprawy bez uprzedzeń. Z Jess jest coś nie w porządku. Z tamtymi dwoma też dzieją się dziwne rzeczy. Albo nawet z trzema, bo kto wie, do czego jest zdolny ten Kenneth?

Obcy, Jeźdźcy, demony... Boże.

*(szloch)*

Może powinienem jeszcze raz zadzwonić do Lillian? Sam już nie wiem.

*28 maja, 22.30*

Wiem, że powinienem współczuć Bobby'emu, bo to on został zaatakowany, ale żał mi tylko Lillian.

W wiadomościach oczywiście mówią wyłącznie o tym. Na wszystkich cholernych kanałach. Jeszcze jakiś czas temu nie pozwoliłbym Jess tego oglądać, ale teraz? Czemu miałbym się przejmować? Ją i tak nic to nie obchodzi.

W Sky pokazali kolaż ze zdjęć ze wszystkich katastrof, a na tym tle wielkie fotografie Trojga. Jess siedziała kilka centymetrów od ekranu, obłożona kucykami, a w telewizorze zaproszeni do studia goście analizowali dzień po dniu wszystko, co wydarzyło się po Czarnym Czwartku. Zmusiłem się, żeby do niej podejść.

– Chcesz o tym porozmawiać, Jess?

– O czym, wujku?

– Dlaczego w wiadomościach mówią o tym chłopcu. I dlaczego pokazują twoje zdjęcie.

– Nie, dziękuję.

Jeszcze przez chwilę pokręciłem się po pokoju, a następnie uciekłem na dwór zapalić papierosa.

Darren twierdzi, że policja prawie na pewno obserwuje nasz dom, na wypadek gdyby te religijne świry przyleciały z drugiej strony Atlantyku, żeby rozprawić się z Jess.

Kiedy dzisiaj Jess pójdzie spać, spróbuję po raz ostatni skłonić Stephena, żeby ze mną porozmawiał. „Jak mogłeś to tutaj wpuścić?” Z pewnością ma na myśli Jess, prawda?

Powinienem był to zrobić dawno temu.

Nie położę się do łóżka, wypiję tyle kawy, że koń by padł trupem, a kiedy Stephen przyjdzie, zmuszę go, żeby powiedział coś więcej.

*30 maja, 4.00*

Chyba na chwilę przysnąłem, bo kiedy otworzyłem oczy, on już tu był. Chociaż włączyłem wszystkie światła, wyglądał tak, jakby siedział w ciemności. W cieniu. Nie widziałem jego twarzy.

Poruszył się. Smród był tak potężny, że mało nie zwymiotowałem.

– Czego chcesz? Proszę, powiedz mi! Proszę!!!

Wyciągnąłem rękę, ale jego tam nie było.

Pobiegłem do pokoju Jess, potrząsałem nią, podsunąłem jej przed nos fotografię Polly.

– To twoja siostra! Dlaczego nic cię nie obchodzi, do jasnej cholery?!

Przeciągnęła się i uśmiechnęła się do mnie.

– Muszę się wyspać, wujku. Rano idę do szkoły.

Jezu. Czy to możliwe, że z nas dwojga to ona jest normalna?

Pomóż mi, Boże.

*1 czerwca, 18.30*

Dzisiaj odwiedzili mnie dwaj gliniarze. Przyszli rano, zanim zdążyłem się ubrać. To nie byli zwyczajni policjanci, tylko z Wydziału Specjalnego. Rozsądny Paul, ten sprzed tego całego szaleństwa, aż skurczył się ze strachu. Nazywali się Calvin i Mason. Calvin i Mason! Zupełnie jakby występowali w telewizji. Calvin jest czarny, mówi z akcentem ze szkoły publicznej i jest zbudowany jak rugbista. Jak najbardziej w guście Rozsądnego Paula. Mason jest starszy i siwy.

Zaparzyłem im herbaty i przeprosiłem za smród chloru. (Po rozmowie z panią EB nikomu już nie wspominałem o rybim odorze). Chcieli wiedzieć, czy ostatnio odbierałem jakieś telefony z pogrózkami, tak jak zaraz po tym, gdy Jess wróciła do domu. Powiedziałem im, że nie. Bo to prawda. Że jeśli ktoś nam się naprzykrza, to tylko prasa.

Jess, ma się rozumieć, zachowywała się idealnie. Zadowolona, roześmiana, wyglądała jak jakaś mała celebrytka. Rozczarowały mnie detektywistyczne zdolności Masona i Calvina. Dali się nabrać, nic nie wzbudziło ich podejrzeń. Mason zapytał nawet, czy może się z nią sfotografować, bo chciałby pokazać zdjęcie swojej córce.

Obiecali, że będą mieli na oku nasz dom, i poprosili, żeby natychmiast dzwonić, gdybym zauważył cokolwiek niepokojącego. Niewiele brakowało, żebym poprosił, żeby kazali mojemu bratu trzymać się ode mnie z daleka. Mojemu nieżyjącemu bratu. No i TEMU, ma się rozumieć. Wyobrażam sobie, jakie mieliby miny.

Muszę przestać myśleć o Jess jako o TYM. W ten sposób tylko dolewam oliwy do ognia. Jak tylko wyszli, zadzwoniłem do Lillian. Nie odebrała.

*2 czerwca, 4.00*

*(szloch)*

No dobrze.

Obudziłem się. Poczułem znajomy ciężar na łóżku, ale to nie był Stephen, tylko Jess, choć przecież nie jest wystarczająco ciężka, żeby materac aż tak bardzo ugiął się pod nią, prawda?

– Lubisz swoje sny, wujku? – zapytała. – Ja ci je dałam. Żebyś mógł widzieć Stephena, kiedy tylko zechcesz.

– Czym jesteś?

Po raz pierwszy zdobyłem się na odwagę, żeby o to spytać.

– Jestem Jess – odparła. – A co myślałeś? Głuptas z ciebie, wujku!

– Wyjdź stąd! – wrzasnąłem. – Wyjdź, wyjdź, wyjdź!

Wciąż jeszcze boli mnie gardło.

Roześmiała się i wybiegła z pokoju. Zamknąłem drzwi na klucz.

Mam coraz mniej możliwości do wyboru. Jeśli dowiedzą się, co się dzieje w mojej głowie, zabiorą mi Jess. Niekiedy wydaje mi się, że tak byłoby lepiej. Co jednak, jeśli prawdziwa Jess wciąż w niej jest i próbuje wydostać się na powierzchnię, wezwać pomoc? Jeśli mnie potrzebuje?

Trzeba wziąć się do roboty. Rozważyć opcje. Mieć oczy szeroko otwarte. Zebrać informacje. Zabezpieczyć się ze wszystkich stron.

Nie mam wyboru.



**Gerhard Friedmann, „świecki egzorcysta” działający na terenie całej Europy, zgodził się na rozmowę przez Skype’a pod koniec czerwca, po tym jak wpłaciłam datkę na rzecz jego organizacji.**

Zanim zacznę odpowiadać na pani pytania, chciałbym coś wyjaśnić. Nie lubię posługiwać się słowem „egzorcyzm”. Niedobrze się kojarzy. Wolę określenie „wewnętrzne uleczenie i uwolnienie duszy”. Takie właśnie usługi oferuję. Chcę też wyraźnie podkreślić, że nie żądam żadnej opłaty, tylko proszę o dotację w takiej wysokości, jaka odpowiada mojemu klientowi. Nie jestem w żaden sposób związany z jakimkolwiek Kościołem ani inną instytucją religijną. To, co robię, robię inaczej od nich i – przynajmniej jak na razie – radzę sobie doskonale. Powiem tylko tyle, że rzadko się zdarza, bym nie latał klasą business. Wtedy, kiedy skontaktował się ze mną pan Craddock, dokonywałem nawet trzech uleceń dziennie, zarówno na kontynencie, jak i w Wielkiej Brytanii.

*Pytam go, w jaki sposób Paul Craddock nawiązał z nim kontakt.*

Moi potencjalni klienci mają do wyboru wiele dróg. Pan Craddock zgłosił się do mnie na jednym z moich profili na Facebooku. Mam ich kilka. Rzecz jasna, jestem też na Twitterze i mam swoją stronę internetową. Ponieważ jego sytuacja nie pozwalała na moje przybycie do jego mieszkania, umówiliśmy się w miejscu, które czasem wykorzystuję dla przeprowadzania uzdrowień.

*(Nie zgadza się powiedzieć, co to za miejsce).*

*Pytam go, czy przed spotkaniem wiedział, kim jest Paul Craddock.*

Tak. Pan Craddock szczerze mi to powiedział, ale zapewniłem go, że nasze relacje zawsze pozostaną tajemnicą, tak samo jak relacje między lekarzem a pacjentem. Znałem teorie dotyczące Jessiki i pozostałych dzieci, lecz nie brałem ich pod uwagę przy stawianiu diagnozy. Rozmawiam z panią wyłącznie dlatego, że informacja o moich kontaktach z panem Craddockiem została upubliczniona przez jego obrońców.

*Mówię mu, że wyczytałam na jego stronie internetowej, jakoby istniał duch, który opętując człowieka, zmienia jego orientację na homoseksualną. Pytam, czy zdawał sobie sprawę z tego, że Paul Craddock jest gejem.*

Tak, wiedziałem o tym. Wiedziałem jednak również i to, że w tym przypadku nie jest to przyczyna problemów.

Pan Craddock obawiał się, że on albo jego bratanica zostali opanowani przez złą energię i stali się jej nośnikami, jeśli tak można powiedzieć. Podczas spotkania był pobudzony, ale nie nadmiernie. Wielokrotnie powtarzał, że skontaktował się ze mną głównie po to, by „wykluczyć tę opcję”, i prosił, żebym zbadał, czy jest to możliwe. Wyznał mi, że dręczą go wyjątkowo koszmarne sny, w których widuje swojego nieżyjącego brata, i że ma problem z nawiązaniem kontaktu z bratanicą. Są to typowe objawy opanowania przez złego ducha i/lub nadmiernej ekspozycji na złą energię.

*Pytam go, czy wiedział o wcześniejszych problemach psychicznych Paula Craddocka.*

Tak. W tej kwestii też był bardzo szczery. Zawsze bardzo się staram, żeby nie pomylić schizofrenii z opętaniem, ale w tym przypadku od początku było dla mnie jasne, że nie mam do czynienia z chorobą psychiczną. W takich sytuacjach intuicja nigdy mnie nie zawodzi.

*Proszę go, by w skrócie opisał swoje metody postępowania.*

Przede wszystkim staram się doprowadzić do tego, żeby klient uspokoił się i odprężył. Następnie namaszcza mu czoło oliwą. Gatunek nie jest istotny, choć zauważyłem, że najlepsze rezultaty daje extra virgin.

Następnie muszę ustalić, czy mam do czynienia z zatruciem złą energią, czy – z opętaniem. Jeśli to opętanie, to kolejnym krokiem jest stwierdzenie, jaki byt wstąpił w mego

klienta, i wywołanie go po imieniu. Byty bywają rozmaite, z reguły są groźne i potężne, a przedostają się do naszego świata z rzeczywistości równoległych. Najchętniej wstępują w osoby z jakichś powodów osłabione lub już zatrute czyjąś niedobrą energią. Istnieje wiele ich rodzajów; ja specjalizuję się w tych, które wślizgnęły się do naszego świata w miejscach, gdzie skumulowały się znaczne ilości negatywnej energii.

Zajmuję się także uwalnianiem przedmiotów, bo one również mogą kumulować negatywną energię. Właśnie dlatego zawsze zalecam daleko posuniętą ostrożność w kontaktach z antykami oraz zabytkami muzealnymi.

*Pytam dlaczego – skoro Paul Craddock sądził, że Jessica została opętana – Gerhard nie poddał jej zabiegowi oczyszczenia.*

To było niemożliwe ze względu na sytuację pana Craddocka. Twierdził, że jest bez przerwy śledzony przez media, że reporterzy śledzą każdy krok jego i Jessiki.

Jak tylko opowiedział mi szczegółowo o swoich objawach – wśród nich było także przekonanie, że to nie jest prawdziwa Jess, tylko jej podróbka – stało się dla mnie jasne, że mamy do czynienia z opętaniem i że byt, który sprawia te wszystkie problemy, wstąpił nie w jego bratanicę, ale w niego. Ból i rozpacz, jakich doświadczał po śmierci rodziny w katastrofie samolotowej, na tyle osłabiły jego zdolności obronne, że stał się łatwym celem. Podzielił się również ze mną obawą, że Jess jest Obcym, zapewniłem go jednak, że Obcy nie istnieją i że takie urojenia z reguły stanowią jeden z objawów zatrucia złą energią.

Jak tylko się do niego dostroiłem, stwierdziłem, że rzeczywiście cierpi na poważne zatrucie nadmiernymi dawkami złej energii. Zapewniłem go, że natychmiast po rytuale oczyszczenia, polegającym między innymi na namaszczeniu oliwą i transferze niepożądanego energii przez dotyk, przestaną go dręczyć zarówno senne koszmary, jak i podejrzenia dotyczące bratanicy. Ostrzegłem go też jednak, że będzie musiał mieć się bardzo na baczności, ponieważ pozostające w nim nadal resztki złej energii mogą zwabić kolejne wrogie byty. W związku z tym zachęciłem go, by za wszelką cenę starał się unikać wszelkich stresujących okoliczności. Podziękował mi, a wychodząc, powiedział:

– Czyli pozostało już tylko jedno do wytłumaczenia.

*Pytam, czy wiedział, co Paul Craddock miał na myśli.*

Wtedy jeszcze nie.

**CZEŚĆ DZIESIĄTA**  
**KOŃCOWA ROZGRYWKA**

## **Joe DeLesseps, komiwojażer często podróżujący po Maryland, Pensylwanii i Wirginii, pod koniec czerwca zgodził się na rozmowę przez Skype'a.**

Działam na terenie trzech stanów, sprzedając właściwie wszystko z branży maszyn i urządzeń, co sobie pani potrafi wyobrazić. Wciąż jeszcze są na świecie ludzie, którzy wolą mieć do czynienia z żywym człowiekiem niż z komputerem. Kiedy tylko mogę, trzymam się z daleka od autostrad. Wolę boczne drogi. Tak lubię, i tyle, jak powiedziała by mój wnuk Piper. Przez te wszystkie lata wyjeździłem sobie ulubione trasy i wybrałem najlepsze miejsca na kawę i ciastka. Niektóre odwiedzam od wielu lat, choć wiele z tych najbardziej tradycyjnych, z domową atmosferą, przegrało z recesją. Motele też wolę te małe, rodzinne. Może w pokoju nie ma kablówki, a za rogiem Taco Bell, ale za to towarzystwo i kawa są znacznie lepsze, a i ceny bardziej dla ludzi.

Tego dnia byłem już mocno spóźniony. Hurtownik, którego odwiedziłem w Baltimore, to potworny gaduła. Zupełnie straciłem poczucie czasu. Chciałem już nawet pojechać autostradą, ale przypomniałem sobie, że tuż przed Mile Creek Road – to jedna z moich ulubionych tras, bo przez cały czas jedzie się skrajem Green Ridge Forest – jest taki mały zajazd ze znakomitą kawą i jeszcze lepszymi naleśnikami, więc jednak zdecydowałem się wybrać dłuższą drogę. Moja żona Tammy ciągle mi przypomina, że bym uważał na cholesterol, ale doszedłem do wniosku, że coś, o czym nie będzie wiedziała, na pewno jej nie zaszkodzi.

Dotarłem tam około piątej, czyli jakieś pół godziny przed zamknięciem. Zaparkowałem przy nowiutkiej terenówce Chevroleta z przyciemnianymi szybami. Jak tylko wszedłem do środka, domyśliłem się, że przyjechała nią grupka siedząca przy jednym ze stolików przy oknie. Na pierwszy rzut oka wyglądali na stuprocentowo zwyczajną rodzinę: mąż, żona, dziecko i dziadkowie. Wystarczyło jednak przyjrzeć się trochę uważniej, żeby stwierdzić, że kompletnie do siebie nie pasują. Brakowało swobodnej atmosfery, która zawsze towarzyszy wakacyjnym wyjazdom i wycieczkom. Zwłaszcza młodsza para sprawiała wrażenie potwornie sztywnych, a koszula, którą miał na sobie mężczyzna, wyglądała tak, jakby dopiero przed chwilą ją rozpakował.

Wiedziałem, że Suze z kuchni będzie chciała zaraz wyjść do domu, więc szybko zamówiłem naleśniki i kawę z dużą ilością śmietanki, żeby móc ją szybciej wypić.

– Po Po chce do łaźienki – powiedział dzieciak, wskazując na dziadka, mimo że ten nie odezwał się ani słowem.

Coś było z nim nie w porządku. Miał pełną pustkę w oczach, zupełnie jak mój ojciec na krótko przed śmiercią. Mimo to starsza pani podniosła się i pomogła mu poczłapać do toalety. Uchyliłem kapelusza, kiedy mnie mijali, a ona odpowiedziała zmęczonym uśmiechem. Miała rude włosy – farbowane, z wyraźnymi siwymi odrostami. Tammy powiedziała by pewnie, że tak właśnie wygląda ktoś, kto od dawna nie miał czasu o siebie zadbać. Zauważyłem, że ten młodszy gość uważnie mi się przygląda. Skinąłem mu głową i rzuciłem coś o tym, że przydałoby się trochę deszczu, ale nie zareagował.

Wyszli parę minut przede mną, ale kiedy wróciłem do samochodu, jeszcze pomagali starszemu panu wsiąść do terenówki.

– Dokąd jedziecie? – zagadnąłem przyjaźnie.

Młodszy zmierzył mnie nieprzyjemnym spojrzeniem.

– Do Pensylwanii – bąknął.

Widać było, że to pierwsza nazwa, jaka akurat przyszła mu do głowy.

– Aha. No to szerokiej drogi.

Rudowłosa kobieta uśmiechnęła się do mnie nieśmiało.

– Jedziemy, mamó! – warknął młody.

Drgnęła, jakby ktoś ukłuł ją szpilką, i wsiadła do samochodu. Chłopaczek puścił do mnie oko i pomachał. Miły dzieciak. Ruszyli z kopyta w przeciwnym kierunku, niż była Pensylwania, ale wyglądało na to, że kierowca dobrze wie, co robi. Nie moja sprawa, pomyślałem i wzruszyłem ramionami.

Nie widziałem, jak to się stało. Wyjechałem zza zakrętu i zobaczyłem światła reflektorów. Chevrolet leżał na dachu po lewej stronie szosy.

Zatrzymałem wóz, wyciągnąłem apteczkę spod fotela. Kiedy się jeździ tyle co ja, często widuje się rozmaite wypadki. Od lat nie rozstawałem się z apteczką, a parę lat temu zrobiłem nawet kurs na ratownika drogowego.

Zderzyli się z jeleniem. Kierowca chciał pewnie w ostatniej chwili ominąć zwierzę i za mocno szarpnął kierownicą. Od razu zobaczyłem, że i on, i młoda kobieta zginęli na miejscu. Oboje siedzieli z przodu. Trudno było się domyślić, które strzępy to resztki jelenia, a które – ludzi.

Starszy pan z tylnego siedzenia też odszedł. Ani śladu krwi; miał szeroko otwarte oczy i wyglądał tak, jakby nareszcie zaznał spokoju. Zupełnie inaczej było z rudowłosą kobietą. Była trochę zakrwawiona i miała zakleszczone nogi. Rozglądała się nieprzytomnym wzrokiem.

– Bobby... – szepnęła.

Domyśliłem się, że chodzi o chłopca.

– Zaraz go poszukam, proszę pani – powiedziałem.

Początkowo nigdzie nie mogłem go znaleźć, pomyślałem więc, że pewnie wypadł przez tylną szybę. Znalazłem go prawie dwieście metrów od samochodu. Leżał w rowie na wznak, jakby patrzył w niebo. Po oczach najłatwiej poznać, czy człowiek jeszcze żyje. Jego oczy były zupełnie puste. Nie miał nawet jednego zadrapania.

Nie miałem szans wyciągnąć kobiety z wraku. Do tego potrzebne były nożyce hydrauliczne. Poza tym bałem się, że ma uszkodzony kręgosłup. W końcu przestała płakać. Trzymałem ją za rękę, a ona powoli traciła przytomność. Słuchałem tykania stygnącego silnika i czekałem na policję.

Dopiero następnego dnia dowiedziałem się, kim byli. Tammy nie mogła uwierzyć, że nie domyśliłem się wcześniej. Twarz chłopca pojawiała się na okładkach wszystkich czasopism, które prenumeruje.

To nie w porządku. Jakie było prawdopodobieństwo, że tego biednego chłopaka spotkają dwa poważne wypadki? Miałem zamiar pracować tak długo, aż wreszcie Tammy zmusi mnie do przejścia na emeryturę, ale może to był znak, żebym jednak dał sobie spokój wcześniej? Żeby już nie kusić dłużej licha?

**Długo się zastanawiałam, czy umieścić w tej książce raport z sekcji zwłok Bobby'ego. Po tym, jak na niektórych stronach internetowych poświęconych teoriom spiskowym pojawiły się informacje, jakoby jego śmierć została sfinansowana, postanowiłam jednak zamieścić fragment. Warto zaznaczyć, że zdaniem anatomopatologa Alison Blackburn, głównej koroner stanu Maryland, szczegółowe badanie nie ujawniło żadnych anomalii. Oficjalnej identyfikacji ciała dokonała Mona Gladwell, która nie zgodziła się na kolejną rozmowę ze mną.**

**(Bardziej wrażliwi czytelnicy mogą pominąć ten rozdział, ale gdyby ktoś był zainteresowany, to pełny raport znajduje się tutaj: <http://pathologicallyfamous.com/>).**

### **BIURO GŁÓWNEGO KORONERA STANU MARYLAND**

Zmarły: Bobby Reuben Small

Numer badania: SM 2012001346

Wiek: 6 lat

Data: 11/06/2012

Płeć: M

Czas: 9.30

**Badanie przeprowadził i raport sporządził:** Dr Alison Blackburn, Główny Koroner

**Badanie wstępne:** Dr Gary Lee Swartz, Zastępca Głównego Koronera

**Badanie osteologiczne:** Dr Pauline May Swanson

**Badanie toksylogiczne:** Dr Michael Greenberg

### **OPIS ANATOMOPATOLOGICZNY**

Płeć męska. Powierzchowne otarcia skóry na czole, nosie i podbródku. Całkowite rozdzielenie przestrzeni międzykręgowych C6/C7 i C7/Th1. Rozdzielenie dysku międzykręgowego i przedniego więzadła w przestrzeni C6/C7. Złamanie wyrostka kolczystego kręgu C6. Częściowe rozdarcie tylnych włókien korzenia i liczne punkty krwawienia.

### **PRZYCZYNA ZGONU**

Urazowe całkowite przerwanie rdzenia kręgowego.

### **OKOLICZNOŚCI ZGONU**

Zgon podczas wypadku komunikacyjnego. Rodzaj obrażeń wskazuje na wypadnięcie dziecka z pojazdu.

### **OKOLICZNOŚCI WYPADKU**

Sześciolatek Bobby Small pół roku temu jako jedyny ocalał z katastrofy lotniczej, w której między innymi zginęła jego matka. On sam doznał tylko drobnych urazów, które uległy całkowitemu zaleczeniu. Ponieważ stał się celem ataków ze strony grup fanatyków religijnych, podjęto decyzję o umieszczeniu go wraz z dziadkami w bezpiecznym miejscu. Całą trójką podróżowali SUV-em marki Chevrolet w towarzystwie dwojga agentów FBI. Bobby siedział z tyłu, między dziadkami, przypięty pasem biodrowym. Około 17.00 zatrzymali się w Duke's Roadside Dinner w Maryland. Zauważył ich tam Joseph DeLesseps, komiwojażer. Zwrócili na siebie jego uwagę nienaturalnym zachowaniem. Dorośli wypili kawę, Bobby wypił koktajl truskawkowy i zjadł porcję frytek. Cała grupa opuściła lokal około 17.30. Krótko po nich uczynił to także pan DeLesseps, który widział, jak SUV odjeżdża, szybko nabierając prędkości. Około

17.50 pan DeLesseps, jadąc swoim samochodem, wyjechał zza zakrętu na zalesionym odcinku szosy i zobaczył SUV-a leżącego na dachu po lewej stronie jezdni. Stwierdził, że doszło do zderzenia z jeleniem, którego zwłoki znajdowały się częściowo na masce samochodu, a częściowo w kabinie pasażerów. W kabinie znalazł dwie martwe osoby dorosłe na przednich fotelach i również nieżyjącego starszego mężczyznę z tyłu. Obok niego leżała ciężko ranna starsza kobieta. W samochodzie nie było chłopca, którego widział w ich towarzystwie w lokalu, więc pan DeLesseps wyruszył na poszukiwania. Ciało chłopca znalazł w rowie, w odległości około dwustu metrów od samochodu. Chłopiec nie dawał oznak życia. Pan DeLesseps natychmiast wezwał pomoc.

### **DOKUMENTY I DOWODY**

1. Raport z badania technicznego pojazdu typu SUV marki Chevrolet. Uszkodzenia przodu i przedniej szyby odpowiadające zderzeniu z dużym zwierzęciem. Uszkodzenia tyłu odpowiadające uderzeniu w drzewo. Wybita tylna szyba i zerwany środkowy pas bezpieczeństwa. Brak śladów uszkodzeń przed wypadkiem, a także oznak wskazujących na awarię samochodu.

2. Raport policji drogowej. Ślady na jezdni i poboczu świadczące o gwałtownym hamowaniu ze średniej lub dużej prędkości połączonym z obrotem pojazdu wokół osi pionowej i uderzeniem tylną częścią nadwozia w drzewo. Ślady świadczące o zderzeniu z jeleniem. Pasy osób dorosłych nieuszkodzone, środkowy pas biodrowy na tylnej kanapie zerwany, co doprowadziło do wypadnięcia młodocianego pasażera przez tylne okno.

### **IDENTYFIKACJA**

11/06/2012 o godzinie 9.45 przeprowadzono szczegółowe badanie anatomopatologiczne zwłok Bobby'ego Smalla, zidentyfikowanego przez Biuro Koronera Okręgu Norfolk. Przy badaniu asystował David Michaels.

### **ODZIEŻ I RZECZY WARTOŚCIOWE**

Bobby Small miał czerwoną czapkę baseballową (odnalezioną na miejscu wypadku), granatowe dżinsy, czerwoną koszulkę z serii NOC W MUZEUM, szarą bluzę z kapturem i czerwone buty sportowe Converse.

### **BADANIE ZEWNĘTRZNE**

Ciało dobrze odżywionego białego młodocianego w wieku około 6 lat.

Długość ciała 115 cm

Masa 21 kg

Włosy jasnoblond, średniej długości, z lekką tendencją do kręcenia się z tyłu głowy. Brak znamion i tatuaży. Niewielka blizna na czole. Powierzchnowe zadrapania na czole, nosie i podbródku. Żrenice równej wielkości, kształt regularny. Tęczówki jasnoniebieskie. Zdrowe zęby mleczne, brak dwóch górnych przednich siekaczy.

**Mimo że Paul Craddock podjął próbę zniszczenia twardego dysku w swoim komputerze, udało się odzyskać wiele dokumentów oraz korespondencję e-mailową, w tym także poniższy zapis, który trafił do prasy. Zachowuję oryginalną pisownię, która dobrze oddaje jego stan emocjonalny.**

*Lista dziwnych rzeczy, które Jess powiedziała dzisiaj (8 czerwca)*

Ciągle ta nowa obsesja na punkcie nudy. Wujku, czy nie nudzi ci się być tobą? Ja już znudziłam się byciem mną. (I znowu gapi się na swój nowy ulubiony program, pieprzoną TOWIE). Ci ludzie znudzili się byciem sobą. (Pytam ją, co to, kurwa, znaczy). Jak się nudzę, to jestem jak kubek, którego nie da się napęlić. (Jakieś pieprzone zen, gdzie ona mogła to usłyszeć????? Na pewno nie w Big Brotherze).

*(10 czerwca)*

Podaję jej kolację, a ona pyta: Wujku, czy Stephen śmierdzi teraz tak samo jak te paluszki rybne? (Krzyczę, ona się śmieje). Wychodzę, ona przełącza telewizor na wiadomości. Słyszę, jak znowu się z czegoś śmieje. Mało nie wymiotuję, kiedy okazuje się, że mówią o tym, że Bobby Small zginął w wypadku samochodowym. Pytam ją, co w tym śmiesznego, a ona na to: On wcale nie umarł, tylko udaje. Tak samo jak mamusia, tatuś i polly.

(Siedzę w kuchni i znowu myślę o pigułkach, to znaczy, ile muszę połknąć, żeby być pewnym). Wchodzi tak cichutko, że dostrzegam ją dopiero wtedy, kiedy staje tuż przede mną i patrzy mi prosto w twarz. Czy ja jestem niezwykła, paul? – pyta. Bo w szkole mówią, że jestem. To takie łatwe.

*(14 czerwca)*

Widzi, jak płacę. Pobawisz się ze mną kucykami? Będziesz księżniczką luną, a stephen będzie księżniczką celestią (*śmieje się*).

1) OPĘTANIE, ZA: zawsze wie oczymyśle i wie mnsotwo rzeczy których nie powinna wiedzieć na przykład o rientacji seksualnej i o snach ze stephenem moowi że ona je przysła

2) OPĘTANIE, PRZECIW: tonieracjonale wiem, poza tym ona nie ma żadnych anapadów ani niczego o czym piszą w intencie ani nie mówi dziwnymi głosami, noi ten fiut gerhard mówił że to mało prwdopoaobne chociaż mu wcale nie wierze

3) TEORIA JEZDXCOW, ZA: kolory na samolotach, baz szans żeby kts mógł przeyc, inne dzieci tez dziwne dziadek bobbego nagle zaczął mówić a Hiro mówi przez jakiegoś pieprzonego robota no i czy to możliwe że tylu ludzi się myli chociaż tylu w to wierzy a teraz jeszcze znaleźli czwate dziecko ale to wszystko może być gównoprawda

4) TEORIA JEZDXZOW, PRWCIW: kompletne wariactwo nawet arcybiskup cantermebry i głowny iman mówie ze to zbdura bo równie dobrze można by wierzyć we wroźki a jeśli w niej jest kakis jzdziec to gdzie jest prawdziwa jess i dlacxwego ona wygląda tak jak ona??? To wszystko oczy pisza w internecie i tak się mogło wydaryc a choroba wściklych krow to zdrow rozdmuchali a zwierzęta zawsze gyrzlu ludzi i powodize tez sa zawsze itd

5) ZESPOL CAPGRASA ZA: moe poprzednie problemy psychiczne chcoiaz tamto wynikało ze stresu ale toby tłumaczyło dlaczego uważam ze jess to nie jess chociaż wygląda jak jess i czems nawet mówijak o na. Chciałbymc żeby to byłoto

6) ZESPOL CAPGRASA PRZCECW: nigdy czego s takiego niemiałem nie miałem urazu głowy (hyba ze popijaku się walnałem i nie pamiętmaa) choernie zadnko się zdarza

7) OBCY ZA: to samo co z opętaniem i tłumaczy dlaczego czasem obserwuje mnie jak jakiś cholerny eksperyrtrment

8) OBCY PRZEZIW: bo to niema s ensu i czasem dopsaowujse się teorie do dowodow ale jeszjcnze ise nie przyjesaaeeel z»dojaksa dnje i njescz e niewem



Do: **actorpc99@gmail.com**

Od: **openyoureyes.com**

Temat: RE: prosba o porade

Data: 14 czerwca 2012

Paul,

dziękuję za Twój e-mail. Z przyjemnością postaram się pomóc Ci, na ile mogę.

Jak powiedziałem podczas naszej rozmowy przez telefon, najczęściej działają w ten sposób, że wszczepiają obiektowi MIKROCHIP. Przypuszczam, że w chwili katastrofy dzieci zostały umieszczone wewnątrz pól siłowych, dzięki czemu nie odniosły żadnych obrażeń. Potem dokonano wszczepień. Poprzez bezpośrednią transmisję głosu do głowy Oni (OBCY) mogą sterować poczynaniami tych, których sobie wybrali. To zupełnie nowa technologia, o całe LATA ŚWIETLNE odległa od tego, czym my obecnie dysponujemy.

Mówisz, że dokładnie przeanalizowałeś wszystkie opcje i że jesteś CAŁKOWICIE PEWIEN, że nie ma mowy o opętaniu przez demona. To wspaniale, że wykazałeś się taką starannością.

Wcale mnie nie dziwi, że Jess wykazuje niepokojące objawy albo że zachowuje się w zmieniony, dziwaczny sposób. Należało tego oczekiwać. Pamiętaj, że zmiany w OSOBOWOŚCI wcale nie muszą być objawem zespołu stresu pourazowego. Jak sam mówisz, wystarczy popatrzeć, co się dzieje z tym chłopcem w Japonii (porozumiewa się za pomocą mechanizmu, ROBOTY), i z drugim, w Ameryce, który najwyraźniej eksperymentował z funkcjami myślowymi swojego dziadka. Bardzo wątpię, czy naprawdę zginął. To bez wątpienia spiszek rządu, który ściśle współdziała z NIMI. W zamian za to, że nie uczestniczą w eksperymentach, dali Obcym wolną rękę, żeby do woli karmili się naszą energią.

Twoje pytania dotyczące pamelistów są bardzo interesujące. Wydaje mi się, że między nami jest sporo podobieństw, bo chociaż się mylą, to równocześnie SĄ BLIŻSI PRAWDY, NIŻ IM SIĘ WYDAJE.

Nie wolno Ci myśleć, że to, co czujesz, jest objawem zespołu Capgrasa. To tylko psychologiczna anomalia.

Co dalej? Uważałbym przy Jess, choć jest mało prawdopodobne, żeby próbowała zrobić Ci coś złego. Sny i wizje, które Cię dręczą, to przypuszczalnie efekt działania mikroczipa. Nie spuszczaaj z niej oka i uważaj, co do niej mówisz. Daj mi znać, jeśli jeszcze w czymś będę mógł Ci pomóc.

Pozdrawiam

Si

**Noriko Inada (imię i nazwisko zmienione) mieszka na czwartym piętrze w bloku naprzeciwko domu Chiyoko Kamamoto. Poniższą relację spisał Daniel Mimura, dziennikarz „Tokyo Herald”, który rozmawiał z nią dwa dni po morderstwie Hiro Yanagidy.**

**(Przekład Erica Kushana)**

Zwykle budzę się bardzo wcześnie, około piątej, i czekając na świt, często obserwuję zegar przy łóżku. Dzięki temu dokładnie wiem, kiedy padł pierwszy strzał. Chociaż blok, w którym mieszkam, stoi zaledwie dwieście metrów od ruchliwej autostrady Hatsudai i jest dobrze izolowany od hałasu, odgłos był dobrze słyszalny. Przytłumiony huk, zaraz potem drugi, a później jeszcze dwa. Nigdy wcześniej nie słyszałam strzałów, chyba że w telewizji, więc nie wiedziałam, co myśleć. Może to fajerwerki? Nie byłam też pewna, skąd dochodziły te odgłosy.

Podniesienie się z łóżka, zajęcie miejsca w fotelu na kółkach i dotarcie do okna zajęło mi kilka minut. Właśnie przy oknie spędzam większość dnia. Rzadko wychodzę. Co prawda w budynku jest winda, ale bez pomocy trudno mi pokonać drzwi, a moja siostra odwiedza mnie tylko raz w tygodniu, kiedy przynosi zakupy. Mieszkałam tu przez wiele lat z mężem, po jego śmierci postanowiłam zostać. To jest mój dom.

Słońce jeszcze nie weszło, ale w świetle ulicznych latarni zobaczyłam, że drzwi domu rodziny Kamamoto są otwarte. Zaniepokoiłam się, bo było jeszcze za wcześnie, żeby Kamamoto-san szedł do pracy – codziennie wychodzi o szóstej. Okolica była jak wymarła. Kiedy później byłam przesłuchiwana przez policjantów, powiedzieli mi, że ci sąsiedzi, którzy usłyszeli strzały, byli przekonani, że to samochód z zepsutym tłumikiem.

Otworzyłam okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, i czekałam, czy odgłos się powtórzy i czy ktokolwiek wyjdzie z domu. Po jakimś czasie zobaczyłam dwoje ludzi, chłopaka i dziewczynę, idących od strony Hatsudai. Kiedy przechodzili przed moim oknem, rozpoznałam Chiyoko Kamamoto. Sądząc po długich włosach, towarzyszył jej ten sam chłopak, którego wiele razy widziałam przesiadującego godzinami na placu zabaw przed naszym domem. Kiedyś wypisał sprayem jakąś wiadomość na chodniku, ale szybko ją starł, więc nie zgłosiłam skargi. Bardzo się od siebie różnili. Chiyoko zawsze była dumnie wyprostowana, jakby cały świat do niej należał, on natomiast kulił się i garbił, jakby chciał wydawać się znacznie mniejszy, niż był w istocie. Już wiele razy widziałam Chiyoko, jak wymykała się nocą z domu, żeby się z nim spotkać, ale po raz pierwszy byłam świadkiem jej powrotu. Rozmawiali po cichu, więc nic nie słyszałam. W pewnej chwili Chiyoko roześmiała się i dała mu kuksańca, a on pochylił się i ją pocałował. Ona odepchnęła go żartobliwie, po czym poszli dalej.

Kiedy zobaczyła otwarte drzwi, zawahała się wyraźnie. Odwróciła się, powiedziała coś do chłopaka, po czym weszła do środka. Pół minuty później usłyszałam krzyk. Nie, to nie był krzyk. To było wycie. Przerażające, pełne okropnego bólu.

Chłopak wyprostował się, jakby ktoś go kopnął, i wbiegł do domu. Obudzeni krzykiem ludzie zaczęli wychodzić przed sąsiednie domy.

Chiyoko wybiegła na ulicę. Zataczała się, w ramionach trzymała chłopca. W pierwszej chwili pomyślałam, że jest obłana czarną farbą, ale kiedy znalazła się w zasięgu latarni przed moim oknem, czerń zamieniła się w czerwień. Chłopiec, Hiro, zwisał bezwładnie w jej ramionach. Nie mogłam dostrzec jego twarzy. Tam, gdzie powinna być, widziałam tylko krew i kości. Wysoki chłopiec usiłował jej pomóc, sąsiedzi też, ale ona krzyczała, żeby zostawili ją w spokoju. Wołała do Hiro, żeby się obudził, żeby przestał udawać.

To był taki miły chłopiec. Za każdym razem, kiedy wychodził z domu, podnosił na mnie wzrok i machał mi ręką. Moja siostra nie uwierzyła mi w pierwszej chwili, kiedy jej powiedziałam, że cudowne dziecko mieszka w domu po drugiej stronie ulicy. Cała Japonia

pokochała tego chłopca. Czasem na ulicy czekali fotoreporterzy; kiedyś jeden z nich zapukał do mnie i zapytał, czy pozwolę mu robić zdjęcia z mojego okna, ale odmówiłam.

Karetka przyjechała najdalej po trzech minutach. Trzej sanitariusze z trudem odebrali dziewczynie ciało Hiro; gryzła, kopała i krzyczała. Policjanci próbowali zaciągnąć ją do radiowozu, ale wyrwała im się i pobięła przed siebie. Długowłosego chłopca popędził za nią.

Wiadomość szybko się rozeszła, ścigało coraz więcej gapiów i reporterów. Kiedy z domu wynoszono ciała w czarnych workach, zapadła cisza jak makiem zasiał. Odwróciłam się od okna.

Tej nocy już nie zmrużyłam oka. Wydawało mi się, że już nigdy nie uda mi się zasnąć.

**Kilka minut po tym, jak media podały informację o zamordowaniu Hiro, na forum 2-chan zaroilo się od postów.**

**Użytkownik: Anonimowy111**

**Data postu 2012/06/22 11:19:29.15**

Cholera! Słyszeliście o Hiro???

**Użytkownik: Anonimowy356**

Nie mogę uwierzyć. Chłopiec-android nie żyje. Jakiś pieprzony amerykański marine włamał się do ich domu, zabił Hiro i rodziców Księżniczki.

**Użytkownik: Anonimowy23**

Czytaliście na Reddit? To był jeden z tych religijnych świrów. Tak jak gość, który próbował zastrzelić tego dzieciaka w Stanach.

**Użytkownik: Anonimowy885**

Orz tam był. Znaleźli ciała razem z Księżniczką. Strasznie mu współczuję. Widzieliście zdjęcia? Próbował się dostać do Księżniczki, ale gliniarze go powstrzymywali.

Kibicowałem mu.

**Użytkownik: Anonimowy987**

Wszyscy mu kibicowaliśmy. Tak się cieszyłem, że się wreszcie spotkali!

**Użytkownik: Anonimowy899**

Ale z Księżniczki nie taka laska, jak myślałem. A Orz to typowy *otaku*, tak właśnie go sobie wyobrażałem.

**Użytkownik: Anonimowy23**

Pieprz się 899.

**Użytkownik: Anonimowy555**

Jak myślicie, dokąd uciekli Orz i Księżniczka? Gliny na pewno będą chcieli ich przesłuchać.

**Użytkownik: Anonimowy6543**

Myślicie, że z Orzem wszystko w porządku?

**Użytkownik: Anonimowy23**

Co za pieprzony idiota z ciebie, 6543! Jasne, że nic z nim nie jest w porządku!

*[Wybuchła ożywiona dyskusja o tym, jaki wpływ te wydarzenia mogą mieć na przyszłość Orza i Księżniczki. Trzy godziny później na forum pojawia się Ryu].*

**Użytkownik: Orz Man**

**Data postu 2012/06/22 14:10:19.25**

Cześć.

**Użytkownik: Anonimowy111**

Orz??? To naprawdę ty?

**Użytkownik: Orz Man**

Tak, to ja.

**Użytkownik: Anonimowy23**

W porządku, Orz? Co z Księżniczką? Gdzie jesteś?

**Użytkownik: Orz Man**

Nie mam dużo czasu. Księżniczka na mnie czeka.

Pokazałem im wasze posty, ale ona mówi, że to teraz nie ma żadnego znaczenia, że wiecie, kim jesteście. Mówi, że nie wolno wam nigdy zapomnieć o tym, co oni zrobili.

Jest załamana.

Ja też.

Ale chcę wam podziękować za wsparcie.

To nie jest łatwe...

Chcę wam powiedzieć, że już nie będzie więcej postów ode mnie.

Będziemy razem już na zawsze, bo odejdziemy tam, gdzie nikomu nie uda się nas skrzywdzić.

Chętnie spotkałbym się z wami wszystkimi. Gdyby nie wy, na pewno nie odważyłbym się wyjść z pokoju.

Żegnajcie.

Wasz przyjaciel Ryu (Orz Man).

**Użytkownik: Anonimowy23**

Orz????????

**Użytkownik: Anonimowy288**

Orz!!! Wracaj, człowieku!

**Użytkownik: Anonimowy90**

Odszedł.

**Użytkownik: Anonimowy111**

Panowie, nie jest dobrze. To zabrzmiało jak list pożegnalny.

**Użytkownik: Anonimowy23**

Orz nigdy by czegoś takiego nie zrobił! Prawda?

**Użytkownik: Anonimowy57890**

Pomyślcie tylko, że gdyby tamtej nocy Orz nie zabrał Księżniczki, to ten Amerykanin ją też by zabił.

**Użytkownik: Anonimowy896**

Orz ocalił jej życie.

**Użytkownik: Anonimowy235**

Właśnie. A teraz, jeśli 111 ma rację, to razem popełnią samobójstwo.

**Użytkownik: Anonimowy7689**

Nie wiemy na pewno, czy to chcą zrobić.

**Użytkownik: Anonimowy111**

Ci cholerni Amerykanie. To ich wina. To oni zamordowali Hiro i zniszczyli szczęście Orza. Nie możemy im tego darować.

**Użytkownik: Anonimowy23**

Zgadzam się. Orz jest jednym z nas. Muszą za to zapłacić.

**Użytkownik: Anonimowy111**

Panowie, nadszedł czas, żebyśmy pierwszy raz w życiu zrobili coś ważnego.

**Melanie Moran zgodziła się na rozmowę przez Skype'a w połowie lipca, krótko po pogrzebie Jessiki Craddock.**

Uważam, że to moja wina. Geoff mówi, że nie powinnam tak myśleć, ale czasem nic nie mogę na to poradzić.

– I bez tego masz wystarczająco dużo na głowie, kwiatuszku – powtarza. – Poza tym, co więcej mogłaś zrobić?

Patrząc teraz wstecz, kiedy już wszystko wiadomo, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że powinnam była to przewidzieć. Od jakiegoś czasu Paul zachowywał się tak dziwnie, że nawet Kelvin i inni zwrócili na to uwagę. Opuścił trzy spotkania Grupy 277, przez parę tygodni ani razu nie poprosił ani mnie, ani Geoffa, żebyśmy odebrali Jess ze szkoły albo się nią zajęli. Prawdę mówiąc, oboje byliśmy z tego nawet zadowoleni, bo mieliśmy mnóstwo zajęć z naszymi wnukami, szczególnie po tym, jak Gavin znowu pojechał zdawać do akademii policyjnej. Zwłaszcza że Paul miał tendencję do ściągania na siebie uwagi. Lubił być w centrum zainteresowania, miał trochę obsesję na swoim punkcie. Mimo to jednak powinnam była bardziej się postarać. Wystarczyło pojechać i sprawdzić, co się u nich dzieje.

Słyszałam w radiu wywiad z pracownikiem opieki społecznej, który się nimi zajmował. Próbował się tłumaczyć, mówił, że nic dziwnego, że wszyscy dali się nabrać, bo przecież Paul był aktorem i zawodowo wcielał się w różne osoby. To tylko wymówki. Prawda wygląda tak, że oni też się nie popisali. Kompletnie zawiedli. Tak samo jak ten psycholog. Paul chyba nie był aż TAK dobrym aktorem, prawda?

Na początku działania naszej Grupy byli tacy – niewielu, ale jednak – którzy uważali, że ponieważ Paul jest jedynym, komu pozostał ktoś, kto ocalał z katastrofy, powinien siedzieć cicho i nie wrywać się do przodu. Ani Geoff, ani ja tak nie myśleliśmy. Przecież stracił brata, prawda? I bratową, i bratanicę. Kiedy pierwszy raz przyprowadził Jess na spotkanie, wiele osób poczuło się nieswojo. Jak traktować cudowne dziecko? Bo tym właśnie była. To był cud, tyle że nie taki, o jakim rozprawiają ci wszyscy fundamentaliści. Powinna pani słyszeć ojca Jeremy'ego: „Przynoszą hańbę chrześcijaństwu!”.

Parę razy zajmowaliśmy się Jess, kiedy Paul miał jakieś sprawy do załatwienia. Uroczą dziewczynka, wyjątkowo bystra. Ucieszyłam się, kiedy Paul zdecydował się posłać ją znowu do szkoły. Wróciła do normalnego życia. Szkoła podstawowa, do której chodziła, bardzo jej pomagała, urządzili tam nawet piękną ceremonię ku czci Polly. Wydaje mi się, że pod pewnymi względami Paulowi było chyba nawet ciężiej niż nam. Co prawda jedna osoba z jego rodziny ocalała, ale jej widok ciągle przypominał mu o tych, które odeszły, czyż nie tak?

Łatwo się domyślić, że robię, co mogę, żeby jak najpóźniej przejść do następnej sprawy. Szczegółowo opowiedziałam o tym tylko dwóm osobom: Geoffowi i ojcu Jeremy'emu. Moja Danielle nazwałaby to kompletnym pojebaniem. Czasem miewała niewyparzoną gębę. To po mnie.

Proszę się nie przejmować, że płaczę. Od tamtej pory wyjątkowo łatwo mi o łzy. Wiem, że ludzie uważają mnie za twardą sukę, i pewnie taka jestem, ale... Coś takiego każdym musi wstrząsnąć. Tyle cierpienia, tyle śmierci. I wszystko bez sensu. Jess nie musiała umrzeć, tak samo jak Danielle.

Tego dnia wyłączyłam telefon. Tylko na kilka godzin. Zbliżyły się urodziny Danielle i czułam się wyjątkowo podle. Postanowiłam, że sobie dogodzę i poleżę dłużej w wannie. Jak tylko wyłączyłam komórkę, zgłosiła się poczta głosowa. Miałam wiadomość od Paula. Zaczął od przeprosin za to, że tak długo się nie odzywał, ale zwłaszcza ostatnio musiał przemyśleć wiele spraw i się nimi zająć. Mówił jednostajnym, pozbawionym życia tonem. Teraz wiem, że powinnam była wyczuć, że dzieje się coś niedobrego. Zapytał, czy mogłabym wpaść do niego,

żeby pogadać. Przez cały dzień będzie w domu.

Próbowałam oddzwonić, ale od razu włączała się poczta głosowa. Nie miałam najmniejszej ochoty do niego jechać, ale gryzło mnie sumienie, że nie dzwoniłam wcześniej, żeby sprawdzić, dlaczego nie przychodzi na spotkania Grupy 277. Geoff był u Gavina, opiekował się maluchem, więc pojechałam sama.

Zadzwoiłam do drzwi, ale nikt nie zareagował. Dopiero po chwili zauważyłam, że drzwi są uchylone. Domyśliłam się, że coś się stało, lecz mimo to weszłam do środka.

Znalazłam ją w kuchni. Leżała na wznak przy lodówce, z rozrzuconymi rękami i nogami. Wszędzie było mnóstwo czerwonych plam: na ścianach, na lodówce, na wszystkim co białe. W pierwszej chwili nie mogłam uwierzyć, że to krew, ale ten zapach... W filmach kryminalnych nie mówią o tym, jak okropnie może cuchnąć krew. Od razu wiedziałam, że nie żyje. Był gorący dzień, wokół niej już uwijało się kilka wielkich much, łaziły jej po twarzy, po ranach. Właśnie, rany... Mój Boże... Były głębokie, niektóre aż do kości. Leżała w wielkiej kałuży krwi. Miała szeroko otwarte oczy, w których też była krew.

Zwymiotowałam. Pobrudziłam cały przód sukienki. Zaczęłam się modlić. Miałam wrażenie, że przy każdej nodze mam wielotonowy ciężar. Pomyślałam, że to sprawka jakiegoś szaleńca, który wdarł się do ich domu. Wyciągnęłam telefon, zadzwoniłam na policję. Wciąż nie mogę uwierzyć, jakim cudem zrozumieli, co mówię.

Zaraz po tym, jak się rozłączyłam, usłyszałam jakiś łomot na piętrze. To nie ja tam poszłam. Wiem, że to brzmi zupełnie bez sensu, ale czułam się tak, jakby ktoś albo coś sterowało moimi ruchami. Przecież ten, kto zaatakował Jess, mógł jeszcze być w domu.

Szłam w górę po schodach jak jakiś robot. Zawadziłam dużym palcem o ostatni stopień, ale nawet tego nie poczułam.

Leżał na łóżku, bładny jak prześcieradło. Na wykładzinie walały się puste butelki po alkoholu.

W pierwszej chwili pomyślałam, że nie żyje, ale zaraz potem jęknął, a ja aż podskoczyłam. W dłoni ścisnął otwartą fiolkę po pastylkach nasennych. Na łóżku obok niego leżała pusta butelka po whisky.

Na nocnym stoliku leżał list napisany dużymi gniewnymi literami. Nigdy nie uda mi się wymazać tych słów z pamięci. **TO JEDYNE WYJŚCIE. MUSIAŁEM WYCIĄĆ JEJ CZIP, ŻEBYŚMY BYLI WOLNI.**

Nie zemdlałam, ale nie pamiętam niczego więcej aż do chwili, kiedy przyjechała policja. Sąsiadka, ta co zawsze zadzierała nosa, zabrała mnie do siebie. Widać było, że też nie może dojść do siebie. Była dla mnie bardzo miła. Zaparzyła herbatę, pomogła mi jakoś doprowadzić się do porządku, zadzwoniła po Geoffa.

Później powiedzieli, że musiało długo trwać, zanim Jess do końca wykrwawiła się na podłodze. Wciąż o tym pamiętam. A gdybym przyjechała wcześniej? A gdyby, a gdyby, a gdyby...

Nie czuję gniewu, tylko współczucie. Ojciec Jeremy powtarza, że bez wybaczenia nie da się iść naprzód. Mimo to wydaje mi się, że byłoby lepiej, gdyby Paul umarł. Jakie życie czeka go tam, gdzie go zamknęli?

**Poniższy artykuł pióra Daniela Mimury ukazał się 7 lipca 2012 roku w sieciowym wydaniu „Tokyo Herald”.**

Zachodni turyści na celowniku Bojówek Orza

Wczoraj po południu autokar z amerykańskimi turystami został obrzucony woreczkami z czerwoną farbą i jajami. Do zdarzenia doszło na parkingu przed świątynią Meiji w Shibuya. Sprawcy zbiegli przed przybyciem policji, ale świadkowie słyszeli, jak wznosili okrzyki: „To za Orza!”. Nikt nie ucierpiał w ataku, choć kilkoro starszych wiekiem turystów było głęboko wstrząśniętych.

Według niepotwierdzonych doniesień wczoraj wieczorem wielu amerykańskich studentów zostało słownie znieważonych podczas zakupów w Akihabara. Taki sam los spotkał samotnego brytyjskiego turystę zwiedzającego park Inokashira.

Przypuszcza się, że odpowiedzialność za te incydenty ponoszą tzw. Bojówek Orza – grupa osób protestujących przeciwko zabójstwu Hiro Yanagidy, ta sama, która dopuściła się aktów wandalizmu wobec kilku zachodnich sklepów i instytucji religijnych. Dwudziestego czwartego czerwca, dwa dni po śmierci Hiro Yanagidy, sprzątaczkę, które zjawyły się w tokijskim Kościele Unionistów w Ometsando, położonym tuż obok legendarnego sklepu Louisa Vuittona, zobaczyły na ścianie przy wejściu malowidło przedstawiające przesiąkniętą krwią torebkę. Tego samego wieczoru na ścianach dwóch lokali sieci Wendy’s w Tokio oraz restauracji Mcdonald’s w Shinjuku pojawiły się graffiti z wymiotującym mężczyzną, wywołując wśród klientów obrzydzenie, ale i wesołość. Tydzień później kamery zarejestrowały człowieka zamalowującego godło USA przed ambasadą tego kraju.

Sprawcy wszędzie zostawiali symbol ORZ. Ten emotikon, przypominający sylwetkę człowieka walącego głową w ziemię, oznacza przygnębienie i rozpacz i zyskał popularność na forach internetowych takich jak 2-chan.

Jak na razie policja jest całkowicie bezradna. Nie udało się zatrzymać ani jednego sprawcy, sądząc zaś po tym, że emotikon pojawia się na ścianach miast w całej Japonii, nawet tak odległych jak Osaka, zasięg tajemniczego ruchu szybko się powiększa. Rzeczniczka prasowa Japońskiej Organizacji Turystycznej podkreśliła, że Japonia nie należy do krajów słynących z gwałtownych protestów i że nie powinno się jej oceniać na podstawie działań „jednostek sprowadzonych na manowce”.

Bojówek Orza zyskały ostatnio silnego i popularnego sojusznika. Aikao Uri, stojąca na czele błyskawicznie rosnącego w siłę i kontrowersyjnego Kultu Hiro, wydała następujące oświadczenie: „Niewybaczalna zbrodnia, której ofiarą padł Hiro, oraz fakt, że rząd Stanów Zjednoczonych nie czyni niczego, by ukarać winnych tego czynu, jednoznacznie świadczą o tym, że powinniśmy jak najprędzej zerwać wszelkie więzi między naszymi krajami. Japonia nie jest dzieckiem, które potrzebuje opieki amerykańskiej niańki. Popieram działania Bojówek Orza i wstyd mi, że nasz rząd lęka się pójść w ich ślady”. W przeciwieństwie do wielu twardogłowych nacjonalistów, Aikao Uri wezwała do zacieśnienia stosunków z Koreą i Chińską Republiką Ludową. Posunęła się nawet do zasugerowania, by jak najprędzej wypłacić tym krajom reparacje za zbrodnie popełnione przez Japończyków podczas drugiej wojny światowej. Jest aktywnym orędownikiem poglądu, że należy natychmiast wypowiedzieć historyczny traktat o dwustronnej współpracy i bezpieczeństwie między Stanami Zjednoczonymi a Japonią oraz doprowadzić do usunięcia wojsk USA z Okinawy. Aikao jest żoną polityka Masamary Uriego, w którym wielu widzi przyszłego premiera Japonii.



**W trakcie satelitarnej konferencji, która odbyła się 10 lipca 2012 roku, Miranda Smelling, autorka książki *Korzenie zła: fundamentalizm i dyskryminacja płciowa*, rozmawiała z jednym ze swoich najbardziej zdecydowanych przeciwników – arcybiskupem Canterbury Christopherem Waltersem – o globalnych skutkach rosnącej popularności Ruchu Dni Ostatnich. Oto fragment debaty, której przysłuchiwali się między innymi doktor Tariq Sayeed, profesor katedry Studiów nad Współczesnym Islamem na Uniwersytecie Cambridge, oraz Angelique Cowell z Brytyjskiego Towarzystwa Humanistycznego.**

**Arcybiskup Walters:** Większość z was wie, że Miranda Smelling i ja od dziesięciu lat walczyliśmy na noże, a niektórzy uczestniczyli nawet w naszych corocznych gorących debatach na Uniwersytecie Cambridge. Miranda jest powszechnie znana jako jeden z największych na naszej planecie krytyków religii. Wydała wiele książek, w których dała wyraz przekonaniu, że religia jest przyczyną większości nieszczęść trapiących świat. Jeśli o mnie chodzi, to nie ulega wątpliwości, że będąc głową Kościoła anglikańskiego, prezentuję całkowicie odmienne zdanie. Wierzę, że religia i wiara mogą pełnić funkcję kanałów transmisyjnych dla współczucia i pomocy. Co więc sprawiło, że dziś się tu spotkaliśmy? Ona – ateistka; i ja – religijny arcynudziarz, jak pewnie by mnie nazwała?

*(śmiech i oklaski publiczności)*

**Miranda Smelling:** Dziękuję, Christopher. To dla mnie przyjemność być tu dzisiaj razem z tobą. Nasze dyskusje zawsze dają mi dużo satysfakcji. Jeśli można, chciałabym od razu przejść do sedna. Wyznawcy Ruchu Dni Ostatnich i pamieliści w największym skrócie mówią coś takiego: dołączcie do nas, a zostaniecie zbawieni. Jeśli tego nie zrobicie, najpierw doświadczycie niewypowiedzianych cierpień i rozpacz, a potem przez całą wieczność będziecie się smażyć w piekle. Czy uważacie, że przeciętny człowiek, co prawda wychowany w poszanowaniu tradycji religijnych, ale nieprzesadnie wierzący, odważy się zaryzykować? Nigdy w życiu. Uzna, że im prędzej dostąpi zbawienia, tym lepiej – w końcu, co ma do stracenia? Od tej postawy już tylko mały krok dzieli go od wiary, a jeśli już uwierzy, naprawdę uwierzy, to zapragnie znaleźć się w towarzystwie takich samych jak on. W kupie zawsze raźniej, zgadza się? Jeżeli znajdzie się ktoś, kto tę kupę ludzi zamieni na głosy w wyborach, to... Chyba już się domyślacie, do czego zmierzam?

**Arcybiskup Walters:** Oboje chyba jesteśmy zgodni, że tym, co budzi największe obawy w Ruchu Dni Ostatnich, jest skłonność tych ludzi do siania strachu. Religia nie powinna mieć nic wspólnego ze strachem, nie powinna też mieć nic wspólnego z nienawiścią. Religia to miłość, współczucie i empatia. To fundament dla dobroczynności, ucieczka dla chorych i samotnych.

**Miranda Smelling:** Spójrzcie tylko, do czego doprowadziło to „sianie strachu”, jak słusznie powiedziałaś. Nie ulega wątpliwości, że jedną z przyczyn godnej pożałowania mentalnej degrengolady Paula Craddocka było nieustające zainteresowanie mediów podsycane propagowanym przez Ruch Dni Ostatnich przekonaniem, jakoby w Jessicę Craddock wstąpił Boży posłaniec. Bobby Small zginął tragicznie w drodze do miejsca, gdzie miał być bezpieczny, po tym, jak został zaatakowany przez człowieka silnie związanego z kultem Pamelii May Donald – człowieka, który autentycznie wierzył, że mordując tego chłopca, powstrzyma ciąg wydarzeń prowadzących ku Armagedonowi. Oprócz tego mamy jeszcze okrutne zabójstwo Hiro Yanagidy oraz jego ciotki i wuja, Yutaki i Hayashibary Mamamoto, zastrzelonych przez amerykańskiego żołnierza, którego do tego zbrodniczego czynu popchnęły w głównej mierze jego przekonania religijne.

Niezwykle niepokojący jest fakt, że – mimo tych tragicznych i kompletnie niepotrzebnych śmierci – poparcie dla Ruchu nie maleje, a wręcz przeciwnie, jest silne jak nigdy do tej pory. Jak sądzisz, Christopher: dlaczego tak wielu ludzi jest skłonnych uwierzyć, że Troje –

a może Czworo – to heraldowie Apokalipsy?

**Arcybiskup Walters:** Przede wszystkim pragnę zwrócić uwagę, że ludzie, którzy zapoczątkowali Ruch Dni Ostatnich i teraz nim kierują, odznaczają się nadzwyczajną charyzmą i budzą wśród swoich wiernych szacunek i zaufanie. Zwłaszcza doktor Lund cieszy się ogromnym poparciem na całym świecie. Dowody, jakie przedstawiają, wielu ludzi może uznać za bardzo przekonujące. Odnalezienie Kennetha Oduaha, barwy symboli wymalowanych na samolotach, znaki dostrzegalne na całym świecie...

**Miranda Smelling:** Te „znaki” to zdarzenia, z którymi od lat mieliśmy, mamy i będziemy mieć do czynienia.

**Arcybiskup Walters:** Rzeczywiście. Otwierając tę dyskusję, do pewnego stopnia udzieliłaś już odpowiedzi na swoje pytanie. Źródłem jest lęk przed śmiercią, najbardziej uniwersalny ze wszystkich lęków. Jeśli uwierzysz, że nadejdzie Wniebowstąpienie, że w mgnieniu oka twój ziemski żywot dobiegnie końca, szybko i bezboleśnie, wtedy ten lęk znika. Jest to bardziej ekstremalna wersja tego, w co wierzą mniej radykalnie nastawieni chrześcijanie: że po śmierci trafimy do nieba. Pod żadnym pozorem nie negując koncepcji nieba...

*(znowu śmiech)*

...muszę jednak zwrócić uwagę na fakt, że przywódcy Ruchu, a zwłaszcza doktor Lund i Elastyczny Sandy, zbyt dosłownie rozumieją *Apokalipsę św. Jana*. *Apokalipsa* – o czym dobrze wiesz, Mirando – to skomplikowane zagadnienie eschatologiczne, ja zaś odnoszę wrażenie, że ci kaznodzieje czerpią z niej to, co przemawia za słuszością ich teorii, pomijają milczeniem zaś o wiele bardziej istotne fragmenty. Kiedy Bóg przemówił do Jana na górze Patmos...

**Miranda Smelling:** Gdzie, jak przypuszczam, aż roi się od halucynogennych grzybów...

**Arcybiskup Walters:** *(z łagodną przyganą)* Wydaje mi się, że ja ci nie przerywałem?

**Miranda Smelling:** Przepraszam.

**Arcybiskup Walters:** Chodzi mi o to, że po to, by być człowiekiem wierzącym, niekoniecznie trzeba dosłownie przyjmować wszystko, co napisano w *Apokalipsie*. Ci fundamentaliści tak właśnie postępują: traktują wszystko dosłownie i wybierają to, co odpowiada ich celom. Utrzymują na przykład – i to na przekór głoszonemu pogładowi, jakoby w Troje wstąpiły duchy Trzech Jeźdźców – że śmierć dzieci nie opóźni Wniebowstąpienia. Wręcz przeciwnie nawet: według słów doktora Lunda powinna je przyspieszyć. Nie zapominajmy także, że oddając się nienawiści i atakując tych, którzy – w ich przekonaniu – są odpowiedzialni za moralny upadek Ameryki, negują głoszone przez Jezusa przesłanie miłości. Powtarzam jeszcze raz: kręgosłupem religii powinny być miłość oraz pragnienie niesienia pomocy chorym, starym i cierpiącym. Religii nie powinno się używać jak politycznego oręża, nie powinno się nią manipulować w celu wywołania strachu. I nie oceniajcie, proszę, wszystkich nas, wierzących, na podstawie czynów popełnianych przez nielicznych. Tak jak nie wolno nam było oceniać wszystkich muzułmanów po atakach terrorystycznych, które przeprowadzili tu, w Ameryce, na początku minionej dekady, tak nie wolno nam mierzyć wszystkich chrześcijan jedną miarą.

**Miranda Smelling:** Ze swojej strony dodam, że nie powinniśmy traktować pamelistów, Ruchu Dni Ostatnich ani popierających ich fundamentalistów jak nieszkodliwych szaleńców. Doktor Lund intensywnie pracuje nad tym, by zjednoczyć pod skrzydłami Autentycznej Prawicy wszystkie, do tej pory rozproszone frakcje. „Jeśli wierzymy w Jezusa Chrystusa, to po co rozpraszać siły? Tylko zjednoczeni będziemy w stanie sprowadzić nasz kraj z powrotem na tory moralności”. To jego słowa. Poczynania tych ludzi noszą silne znamiona działalności politycznej, a teraz, po odnalezieniu tak zwanego Czwartego Jeźdźcy, ich szeregi rosną w zastraszającym tempie.

Oto, co to może oznaczać w praktyce: Pamiętajcie, że jeśli ci ludzie w mniej lub bardziej

pokojowy sposób dojdą do władzy, co wydaje się coraz bardziej prawdopodobne, jeśli autentycznie wierzą w zbliżające się Wniebowstąpienie i że na Ziemi pozostaną jedynie niewierni i niewierzący, to czy sądzicie, że będą się przejmować takimi przyziemnymi sprawami jak ochrona środowiska i walka o czystość naszej planety? Nawet nie chcę myśleć o prawach i przepisach, jakie próbowaliby wprowadzić. Co prawda po zamachu na Bobby'ego Smalla i zabójstwie Hiro Yanagidy doktor Lund publicznie zdystansował się od pamelistów, ale wydaje się, że w ten sposób jeszcze bardziej umocnił swoją wiarygodność.

Choć jestem przekonana, że teoria Jeźdźców to kompletna bzdura, to równocześnie głęboko wierzę, że nadejście apokalipsy – obojętnie jakiego rodzaju – jest nieuniknione. Nie z tych powodów jednak, o których opowiadają pamelisci, fundamentalisci i członkowie Ruchu Dni Ostatnich. Jeżeli – lub, w wersji pesymistycznej, kiedy – to nastąpi, będziemy zgodni co do jednego: to oni ją na nas sprowadzili.

# POSŁOWIE DO PIERWSZEGO WYDANIA

**PONIŻSZY ARTYKUŁ UKAZAŁ SIĘ 28 LUTEGO 2012 ROKU W „TOKYO HERALD”.**

Szczałki „Orz Mana” odnalezione w Jukei

Co roku ochotnicy z prefektury Yamanashi wspólnie z Rangersami Fujisan przeczesują ciesząc się niedobrą sławą las Aokigahara, szukając ciał tych, którzy postanowili zakończyć życie w „morzu drzew”. W tym roku odnaleziono ponad czterdzieści zwłok, w tym szczątki mężczyzny mogącego według policji być Ryu Takamim (22 l.). Zasłynął on dzięki swojej historii miłosnej, która oczarowała uczestników forum na 2-chan. Takami, posługujący się nazwą użytkownika „Orz Man”, przypuszczalnie nawiązał romans z Chiyoko Kamamoto (18 l.), kuzynką Hiro Yanagidy – jedyne go ocalałego pasażera lotu 678 linii Sun Air. Chiyoko i Ryu zniknęli 22 czerwca 2012, tego samego dnia, kiedy Hiro i rodzice Chiyoko zostali zastrzeleni przez szeregowego Jacka Wallace’a, amerykańskiego żołnierza stacjonującego w Camp Courtney na Okinawie. Szeregowy Wallace popełnił samobójstwo na miejscu zbrodni. Obok rozkładającego się ciała znaleziono buty, telefon komórkowy i portmonetkę należące do Chiyoko Kamamoto. Chiyoko przypuszczalnie również odebrała sobie życie w lesie, choć do tej pory nie natrafiono na jej zwłoki.

Przedziwnym zrzędzeniem losu szczątki znalazł ochotnik Yomijuri Miyajima (68 l.), ten sam, który 12 stycznia 2012 na miejscu katastrofy samolotu uratował Hiro Yanagidę. Miyajima, który był wstrząśnięty przedwczesną śmiercią Hiro z rąk mordercy, natrafił na rozkładające się zwłoki w pobliżu lodowej jaskini.

Zniknięcie Ryu Takamiego wywołało trwające do dziś i coraz bardziej gwałtowne antyamerykańskie wystąpienia, inspirowane głównie przez tak zwane Bojówki Orza i Kult Hiro. Władze obawiają się, że odnalezienie jego szczątków jeszcze bardziej zaogni i tak już wybuchową sytuację.

**Dziennikarz Vuyo Molefe uczestniczył w konferencji prasowej zwołanej w Johannesburgu 30 lipca 2012 roku przez południowoafrykański oddział Ligi Racjonalistów. Oto relacja tego dziennikarza na Twitterze.**

**Vuyo Molefe @ VMtruthhurts**

Przed wejściem na salę znowu sprawdzanie akredytacji. Trzeci raz.

#chilloutwerenotterrorists

**Vuyo Molefe @ VMtruthhurts**

Mnostwo domysłów. Kraza plotki że wystąpi Veronica Oduah.

**Vuyo Molefe @ VMtruthhurts**

@melanichampa Nie wiem. Jestem tu od godziny. Jeśli się wybierasz przynies paczki i kawę.

**Vuyo Molefe @ VMtruthhurts**

NARESZCIE. Pojawia się rzeczniczka prasowa Ligi Kelly Engels. Mówi o zbliżających się wyborach w Stanach.

**Vuyo Molefe @ VMtruthhurts**

KE: martwi się coraz większym na świecie poparciem dla religijnej prawicy, to może mieć globalne reperkusje.

**Vuyo Molefe @ VMtruthhurts**

Plotki były słuszne, jest Veronica Oduah! Wygląda na więcej niż 57. Muszą jej pomóc wejść na scenę.

**Vuyo Molefe @ VMtruthhurts**

VO zdenerwowana, głos się jej łamie. Mówi że przyszła żeby powiedzieć prawdę.

Wszyscy wstrzymują oddech. To może znaczyć tylko jedno.

**Vuyo Molefe @ VMtruthhurts**

VO: to nie jest mój siostrzeniec. Od dawna trzymają go w ukryciu z dala ode mnie.

Powiedziałam im to zaraz jak go zobaczyłam.

**Vuyo Molefe @ VMtruthhurts**

VO: dawali mi pieniądze żeby siedziałam cicho ale nie wzięłam. Kuzyn ojca Kennetha wziął.

**Vuyo Molefe @ VMtruthhurts**

BBC: kto dawał pieniądze? VO: Amerykanie. Nie znam nazwisk.

**Vuyo Molefe @ VMtruthhurts**

Wzburzenie na sali. KE: mam potwierdzenie z laboratorium że nie zgadza się mitochondrialne DNA.

**Vuyo Molefe @ VMtruthhurts**

Próbowali przekupić laboratorium. Rząd RPA blisko współpracował z religijnymi prawnikami „aledziwneznówukorupcja”.

**Vuyo Molefe @ VMtruthhurts**

Jeszcze jeden niespodziewany gość! Dziennikarz obok mówi że to lepsze niż rozprawa w sprawie korupcji ministra transportu.

**Vuyo Molefe @ VMtruthhurts**

Kobieta ze wschodniego Kapsztadu Lucy Inkatha. Mówi że „Kenneth” to naprawdę jej wnuk Mandla.

**Vuyo Molefe @ VMtruthhurts**

LI: Mandla uciekł z domu żeby znaleźć ojca w Kapszt. Ma 8 lat i poważne kłopoty z nauką.

**Vuyo Molefe @ VMtruthhurts**

KE: Staramy sie jak napredzej sprowadzic Mandle do domu.

**Vuyo Molefe @ VMtruthhurts**

VO: Ciezko mi ale musze pogodzic sie z tym ze Kenneth nie zyje.

**Vuyo Molefe @ VMtruthhurts**

KE: Teraz jak prawda wyszla na jaw wszyscy widza jak nieuczciwi potrafia byc politycy.

**Vuyo Molefe @ VMtruthhurts**

RT @kellytankgrl NARESZCIE troche normalnosc w tym pieprzniku

#dontletthebastardswin

**Vuyo Molefe @ VMtruthhurts**

RT @brodiemermaid Rzad bedzie potrzebowal cudu zeby sie z tego wygrzebac

#dontletthebastardswin

**Vuyo Molefe @ VMtruthhurts**

Sala huczy. Czekamy na reakcje dni ostatnich. Czy to zmniejszy ich przewage?

#dontletthebastardswin

## OD WYDAWCY: POSŁOWIE DO SPECJALNEGO WYDANIA ROCZNICOWEGO

Kiedy na początku roku 2012 agentka Elspeth Martins przysłała mi konspekt *Od katastrofy po spisek*, od razu się zainteresowałem tą propozycją. Czytałem i podziwiałem pierwszą książkę Elspeth pt. *Złamani* i wiedziałem, że jeśli ktokolwiek jest w stanie spojrzeć z nowej perspektywy na wydarzenia związane z Czarnym Czwartkiem i Trojgiem, to tą osobą jest właśnie Elspeth. W miarę jak książka zaczęła nabierać kształtu, coraz wyraźniej zdawałem sobie sprawę, że mamy do czynienia z czymś nadzwyczajnym. Postanowiliśmy przyspieszyć publikację, tak by zdążyć przed niezwykle ważnymi wyborami w roku 2012.

Po tygodniu musieliśmy zrobić pierwszy dodruk, po dwóch – drugi. Do dzisiaj, mimo ogólnoświatowej recesji i ogromnego spadku liczby sprzedawanych książek, nabywców znalazło ponad 15 milionów egzemplarzy zarówno w wersji papierowej, jak i elektronicznej. Nikt – zwłaszcza Elspeth – nie przewidział entuzjastycznego przyjęcia, z jakim spotka się ta książka.

Po co więc rocznicowe wydanie? Po co wznawiać książkę, którą Liga Racjonalistów w tych trudnych czasach określiła mianem „jątrzącej i niebezpiecznej”?

Oprócz najbardziej oczywistego powodu, jakim jest fakt, że jest to pozycja niezwykle ważna zarówno z kulturowego, jak politycznego punktu widzenia – nie ulega najmniejszej wątpliwości, że znacząco wpłynęła na rezultaty wyborów prezydenckich w roku 2012 – jest jeszcze jeden, a mianowicie taki, że uzyskaliśmy prawo zaprezentowania wyjątkowo ciekawych materiałów dodatkowych. Większość czytelników na pewno wie, że w drugą rocznicę Czarnego Czwartku Elspeth Martins zniknęła bez śladu. Oto jak przedstawiają się fakty: Dotarłszy do Japonii, rankiem 12 stycznia 2014 Elspeth wyszła z hotelu w Roppongi w Tokio. Możemy tylko spekulować o tym, co wydarzyło się potem, jako że późniejsze próby odtworzenia jej poczynań musiały zostać przerwane w związku z narastającym w tamtym rejonie napięciem. Nic nie wskazuje na to, żeby po tej dacie ktokolwiek korzystał z jej kart kredytowych albo telefonu komórkowego, choć w październiku 2014 na Amazonie pojawiła się samodzielnie wydana przez niejakiemu/niejaką „E. Martins” książka pt. *Nieopowiedziane historie o Czarnym Czwartku i całej reszcie*. Do dziś trwają dyskusje, czy autorką jest Elspeth, czy też ktoś podszył się pod nią, aby wykorzystać popularność *Od katastrofy do spisku*.

Jej partnerka, Samantha Himmelman, pozwoliła nam wykorzystać w tym specjalnym rocznicowym wydaniu ostatnią zachowaną korespondencję Elspeth. Znajdą ją Państwo poniżej.

Jeśli to czytasz, Elspeth, skontaktuj się z nami.

Jared Arthur

dyrektor wydawniczy

Jameson & White

Nowy Jork

styczeń 2015

DO: <Samantha Himmelman> samh56@ajbrooksideagency.com

OD: <Elspeth Martins> elliemartini@fctc.com

TEMAT: Przeczytaj proszę

12 stycznia 2014, 7.14

Sam,

wiem, że prosiłaś, żebym się już z tobą nie kontaktowała, ale wydaje mi się, że w drugą rocznicę Czarnego Czwartku powinnam jednak ci to wysłać, zwłaszcza że jutro jadę do lasu Aokigahara. Daniel – mój kontakt w Tokio – rozpaczliwie próbuje mnie od tego odwieść, ale

skoro dotarłam aż tutaj, to mogę przejść i resztę drogi. Nie chcę, żeby to zabrzmiało melodramatycznie, ale sporo ludzi wchodzi w ten las, żeby już nigdy z niego nie wyjść, prawda? Nie obawiaj się, to nie jest list pożegnalny. Sama nie wiem, co to jest. Pewnie wydaje mi się, że zasługuję na szansę naprawienia różnych rzeczy, a poza tym ktoś powinien wiedzieć, że tu jestem.

Z pewnością uważasz, że oszalałam, decydując się na podróż do Japonii właśnie teraz, kiedy na horyzoncie pojawiła się możliwość zawiązania trójstronnego sojuszu azjatyckiego, ale sytuacja tutaj nie jest aż tak poważna, jak może ci się wydawać. Ani urzędnicy na lotnisku, ani ludzie w hali przylotów nie okazywali mi najmniejszej niechęci. Byli zupełnie obojętni. Nie zmienia to w niczym faktu, że mój hotel, położony w „sektorze zachodnim”, znajduje się w opłakanym stanie. A kiedyś to był wielogwiazdkowy Hyatt. Pewien Duńczyk, z którym stałam w kolejce do odprawy, powiedział mi, że hotele przeznaczone dla ludzi z Zachodu są obecnie prowadzone przez brazylijskich emigrantów z czasowymi wizami, którym płaci się głodowe stawki, a to oznacza, że nikt kompletnie nie przejmuje się utrzymaniem jakiegokolwiek standardu. Działa tylko jedna winda, w korytarzach świeci co trzecia–czwarta żarówka (miałam niezłego stracha, idąc do swojego pokoju), od wielu miesięcy nikt nie odkurzał wykładziny. W moim pokoju cuchnie papierosami, a na fugach między kafelkami w łazience rozgościła się czarna pleśń. Z drugiej strony, kosmiczna toaleta z podgrzewaną deską działa bez zarzutu.

Ale przecież nie piszę do ciebie po to, żeby skarżyć się na warunki w hotelu. Otwórz załącznik, proszę. Nie mam jak zmusić cię, żebyś go przeczytała – przypuszczalnie przeczytasz nagłówek i zaraz go skasujesz – lecz choć składa się w znacznej części z wyciętych i wklejonych fragmentów (znasz mnie, trudno uwolnić się od dawnych przyzwyczajęń), daję ci słowo, że nie zamierzam wykorzystać tych rzeczy w kolejnej książce. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Chwilowo mam dosyć.

xx

*List do Sam*

*11 stycznia, 18.00, Wzgórza Roppongi, Tokio*

Sam, mam Ci tyle do powiedzenia! Nie wiem, od czego zacząć. Ponieważ wygląda na to, że tej nocy i tak nie zmruję oka, zacznę chyba od początku i zobaczę, dokąd uda mi się dojść, zanim padnę.

Wiem, że myślisz, że w zeszłym roku „uciekłam” do Londynu po to, żeby uniknąć ataków, jakie ściągnęłam na siebie, wydając książkę, i częściowo masz rację. Wciąż jeszcze dostaję nienawistne e-maile od ludzi, którzy sądzą, że jestem osobiście odpowiedzialna za to, że w Białym Domu urzęduje teraz Supremacjonista. Pewnie uważasz, że w pełni na to zasługuję. Nie obawiaj się – nie zamierzam przytaczać na swoją obronę starych argumentów, że w *Od katastrofy do spisku* (albo, jak mówisz, *Od katastrofy do konserwatyzmu*) nie znalazła się żadna informacja, która nie byłaby powszechnie znana i dostępna. Chcę, żebyś wiedziała, że wciąż żałuję, że nie pokazałam ci ostatecznej wersji tekstu. Fakt, że książkę skierowano do produkcji zaraz po tym, jak dołączyłam ostatnie rozmowy z Kendrą Vorhees oraz Geoffreyem i Mel Moranami, nie stanowi żadnego usprawiedliwienia.

Całkiem przypadkowo, w sierpniu na Amazonie nastąpił kolejny wysyp jednogwiazdkowych recenzji. Powinnaś do nich zajrzeć. Wiem, że Ci się spodobają. Ta szczególnie zwróciła moją uwagę, być może dlatego, że jest zaskakująco powściągliwa i poprawnie napisana:



## **Recenzje czytelników**

*Od katastrofy do spisku* (wersja na Kindle)

44 z 65 osób uznało tę recenzję za pomocną

☆☆☆☆☆ **Za kogo uważa się Elspeth Martins???**

22 sierpnia 2013

Zizekstears (Londyn, Wielka Brytania) – Zobacz wszystkie moje recenzje

Słyszałem o kontrowersjach, jakie ta tak zwana „dokumentalna” książka wywołała w ubiegłym roku, ale sądziłem, że to przesada. O ile wiem, Religijna Prawica w trakcie kampanii wyborczej posługiwała się cytatami z niej, stanowiącymi dowód na to, że Troje to wcale nie były zwyczajne dzieci cierpiące na zespół stresu pourazowego.

Wcale się nie dziwię, że Amerykańska Liga Racjonalistów tak mocno zaatakowała autorkę. Pani Martins opatrzyła każdy wywiad i każdy cytowany fragment sensacyjnym lub łązawym komentarzem (dotyczy to zwłaszcza ustępów dotyczących tego starego człowieka cierpiącego na demencję). Nie okazała najmniejszego szacunku rodzinom dzieci i pasażerów, którzy zginęli tragicznie w Czarny Czwartek. Moim zdaniem pani Martins stworzyła „dzieło” na poziomie najbardziej szmatławych tabloidów. Powinna się tego wstydzić. Na pewno nie kupię żadnej jej książki.

*Auć.*

Ten negatywny odzew nie był jedyną przyczyną mojego wyjazdu. Decyzję o tym, żeby jak najprędzej wynosić się ze Stanów, podjęłam w dniu, kiedy doszło do masakry w Sannah County, czyli dwa dni po tym, jak wyrzuciłaś mnie ze swojego biura i powiedziałaś, żebym już nigdy więcej się z tobą nie kontaktowała. Pierwsze zdjęcia lotnicze rancza – porozrzucane ciała czarne od much, kałuże krwi – zobaczyłam w sterylnym i kompletnie bezpłciowym pokoju w Comfort Inn. Wydawało mi się, że to doskonale miejsce, żeby zaszyć się na jakiś czas i lizać rany. Obzerałam się czekoladkami i przerzucałam na oślep kanały, i akurat trafiłam na CNN. Byłam kompletnie pijana, w pierwszej chwili nie mogłam zrozumieć, o co chodzi. Dotarło do mnie dopiero wtedy, kiedy przeczytałam napis na pasku: ZBIOROWE SAMOBÓJSTWO W SANNAH COUNTY 33 OFIARY W TYM 5 DZIECI. Zwymiotowałam.

Potem przez kilka godzin siedziałam jak sparaliżowana, patrząc, jak reporterzy walczą o jak najlepsze miejsce przed bramą rancza i wygłaszają kolejne wariacje na temat: „Kiedy zwolniony z aresztu za kaucją pastor Len Vorhees, na którym ciążyą zarzuty podżegania do użycia przemocy, zjawiał się na swoim ranczu w Sannah County, on i wszyscy przebywający tam jego zwolennicy dokonali masowego...”. Widziałaś wywiad z Rebę, najpierw przyjaciółką, a potem zacięłym wrogiem Pameli May Donald? Jak wiesz, nigdy nie poznałam Reby osobiście. Na podstawie jej głosu wyobrażałam ją sobie jako otyłą damulkę z farbowanymi włosami, byłam więc lekko zaskoczona, kiedy zobaczyłam kościstą kobietę z włosami nieokreślonego koloru sięgającymi do ramion. Rozmowa z nią to był prawdziwy koszmar, bo wciąż wracała do „islamofaszystów” i ich knowań, ale ogromnie jej wtedy współczułam. Jak większość osób, które kiedyś należały do „wewnętrznego kręgu” pastora Lena, uważała, że pastor i jego pamelisci wierzyli, że jeśli pójdą w ślady Jima Donald, to zostaną męczennikami. „Codziennie modlę się za ich dusze”. Widać było po jej oczach, że już do końca życia nie zazna spokoju.

Nielatwo mi się do tego przyznać, ale mimo współczucia dla Reby dość szybko zaczęłam się zastanawiać, jakie konsekwencje dla mnie osobiście będzie miała masakra w Sannah County. Naturalnie wiedziałam, że zbiorowe samobójstwo pamelistów zaowocuje kolejną falą próśb o komentarze oraz listów od rozmaitych świrów błagających o umożliwienie skontaktowania się z Kendrą Vorhees. To nigdy nie miało się skończyć. Tym, co ostatecznie przelało czarę goryczy, była chyba odezwa, którą Reynard wygłosił do narodu. Bardzo się starał, żeby na jego twarzy gwiazdora filmowego malował się wyraz należytej pobożności. „Samobójstwo to grzech, lecz musimy modlić się za tych, którzy zblądzili. Potraktujmy to jako znak, że musimy wspólnie pracować, wspólnie się modlić, wspólnie dążyć ku odnowionej moralnie Ameryce”.

Nic już nie trzymało mnie w Stanach. Reynard, Lund, Ruch Dni Ostatnich i te wszystkie korporacyjne dupki, które ich poparły, mogli sobie robić z nią, co im się żywnie podoba. Czy masz do mnie żal, Sam? Nasze stosunki zostały zerwane, przyjaciele wkurzyli się na mnie (albo za to, że w ogóle wydałam *Od katastrofy do spisku*, albo za to, że głośno użalałam się nad sobą, kiedy przyszło mi za to zapłacić), moja kariera legła w gruzach. Przypomniałam sobie wspaniałe letnie pobyty z tatą w Londynie i doszłam do wniosku, że równie dobrze mogę zamieszkać w Anglii.

Uwierz mi, Sam: byłam przekonana, że marzenia Reynarda o kraju, w którym obowiązuje prawo biblijne, są tylko nierealnymi mrzonkami. Naturalnie, zdawałam sobie sprawę, że prowadzona przez niego i przez Lunda Kampania na rzecz Moralnej Odnowy Ameryki doprowadzi do zjednoczenia najróżniejszych odłamów fundamentalistów, ale nawet mi się nie śniło, jak prędko ten ruch będzie się rozrastał. Przypuszczalnie nie małą rolę odegrało w tym trzęsienie ziemi w prowincji Gansu – kolejna oznaka Gniewu Bożego. Gdybym przypuszczała, że rozpowszechniana przez Reynarda ideologia strachu w krótkim czasie ogarnie wszystkie

stany, nie tylko te tradycyjnie religijne, i do jakich konsekwencji to doprowadzi, nie wyjechałabym bez ciebie.

Dość wymówek.

A więc...

Przeprowadziłam się z hotelu na Lower East Side do mieszkania w Notting Hill. Sąsiedzi trochę przypominali tych z Brooklyn Heights: mieszanina dziarskich profesjonalistów o lśniących włosach i zamożnych hipsterów, a od czasu do czasu jakiś włóczęga grzebiący w śmietniku. Wcześniej w ogóle się nie zastanawiałam, co właściwie będę robić w Londynie. Praca nad kontynuacją *Od katastrofy do spisku* oczywiście nie wchodziła w grę. Wciąż nie mogę uwierzyć, że jestem tą samą kobietą, która z takim zapałem myślała o spisaniu *Nieopowiedzianych historii o Czarnym Czwartku*. Miały to być wywiady z rodzinami ofiar katastrof (między innymi z wdową po kapitanie Seto i Kelvinem z Grupy 277), historie uchodźców z Malawi, ciągle szukających ocalałych bliskich w Khayelitsha, artykuł o nowej fali fałszywych „Kennethów”, która napłynęła po zdemaskowaniu oszustwa z Mandlą Inkatha.

Przez kilka tygodni w ponurym nastroju pętałam się to tu, to tam, żywiąc się głównie wódką i tajskim jedzeniem na wynos. Prawie z nikim nie rozmawiałam, nie licząc kasjerki w monopolowym i dostawcy z knajpy To Thai For. Robiłam wszystko, żeby zamienić się w *hikikomori*, jak Ryu. Dokądkolwiek wychodziłam, starałam się mówić ze zmienionym akcentem. Brytyjczycy ciągle nie mogą uwierzyć, że po skandalu z Kennethem Oduahem Reynard mimo wszystko wygrał wybory, a ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzyła, było dać się wciągnąć w dyskusję o „upadku demokracji”. Chyba myśleli, że kadencja Blake’a powinna nas być czegoś nauczyć. Wszyscy tak myśleliśmy.

Starałam się nie oglądać wiadomości, ale wpadła mi w oko relacja z protestów w Austin przeciwko wprowadzaniu prawa biblijnego. Autentycznie się wystraszyłam: mnóstwo aresztowanych, gaz łzawiący, specjalne oddziały policji. Wiedziałam, bo śledziłam Twoje wpisy na Twitterze (uwierz mi, naprawdę nie jestem z tego dumna), że razem z Siostrami Przeciwno Konserwatyzmowi pojechałaś do Teksasu, żeby połączyć siły z Ligą Racjonalistów, i przez dwie noce nie zmrużyłam oka. W końcu nie wytrzymałam i zadzwoniłam do Kayli. Musiałam wiedzieć, czy nic ci nie grozi. Powiedziała ci kiedyś o tym?

Oszczędzę ci szczegółów mojego londyńskiego odosobnienia i przejdę od razu do tego, co ty nazwałabyś „smakowitymi kąskami”.

Kilka tygodni po zamieszkach w Austin byłam akurat w drodze do Sainsbury’s, kiedy moją uwagę zwróciła pierwsza strona „The Daily Mail” wywieszona w ramach przed kioskiem. DOM ŚMIERCI BĘDZIE POMNIKIEM? – głosił tytuł. Okazało się, że jeden z radnych zgłosił wniosek, żeby dom Shelly i Stephena Craddocków – ten, w którym Paul zadźgał Jess na śmierć – zamienić w kolejny pomnik upamiętniający wydarzenia Czarnego Czwartku. Będąc poprzednio na Wyspach, żeby spotkać się z moimi brytyjskimi wydawcami i przeprowadzić rozmowę z Marilyn Adams, zrobiłam wszystko, żeby tam nie wejść. Nie chciałam, żeby jego obraz utrwalił się w mojej głowie. Mimo to nazajutrz po przeczytaniu artykułu stałam na peronie smaganym lodowatym wichrem, czekając na spóźniony pociąg do Chislehurst. Wmawiałam sobie, że jadę tam dlatego, że to ostatnia szansa, by zobaczyć go w oryginalnym stanie, zanim urządzi tam muzeum, lecz w rzeczywistości chodziło o coś więcej. Pamiętasz, jak Mel Moran opowiadała, że nie była w stanie oprzeć się czemuś, co pchało ją na górę, do pokoju Paula, mimo że doskonale zdawała sobie sprawę, że to zły pomysł? Ja czułam się identycznie. Po prostu MUSIAŁAM tam pójść. (Wiem, że to brzmi ckliwie, jak z książki Paula Coehlo, ale tak wygląda prawda).

Dom przycupnął przy ulicy, wzdłuż której stały niesamowicie zadbane minirezydencje. Okna były zabite deskami, na ścianach ktoś wypisał czerwoną farbą: UWAGA, TU MIESZKA

DIABEL! Podjazd zdążył już zarosnąć chwastami, na trawniku obok garażu stał słupek z melancholijnie przekrzywioną tabliczką z napisem NA SPRZEDAŻ. Najgorsze wrażenie sprawiała jednak kolekcja pluszaków i innych zabawek przed drzwiami wejściowymi. Najwięcej było My Little Ponies, niektóre jeszcze w opakowaniach.

Zastanawiałam się, czy sforsować górą bramę ogrodową, żeby rozejrzeć się po ogródku, kiedy usłyszałam czyjś głos:

– Ejże!

Odwróciłam się i ujrzałam postawną kobietę o siwych włosach utapirowanych na sztywno, maszerującą ku mnie z wiekowym psem na smyczy.

– Tu nie wolno wchodzić, młoda damo! To teren prywatny.

Od razu ją rozpoznałam dzięki zdjęciom z pogrzebu Jess. Ani trochę się nie zmieniła.

– Pani Ellington-Burn?

Zawahała się, po czym się wyprostowała. Mimo wojskowej postawy roztaczała wokół siebie aurę melancholii. Jak generał przedwcześnie odesłany na emeryturę.

– A kto pyta? Jest pani dziennikarką? Jak długo będziecie jeszcze nas dręczyć?

– Nie jestem dziennikarką. Już nie.

– Ale jest pani Amerykanką.

– Owszem.

Podeszłam do niej, a wtedy piesek przypadł do moich stóp. Schyliłam się, podrapałam go za uszami, on zaś podniósł na mnie spojrzenie wiekowych, przesłoniętych bielmem oczu. Z wyglądu i z zapachu przypominał nieco Snookie, co natychmiast przywiodło mi na myśl Kendrę Vorhees. Kiedy ostatnio miałam z nią kontakt – było to tuż po masakrze w Sannah County – powiedziała mi, że zmieniła nazwisko, zamierza wyjechać do Kolorado i wstąpić do wegańskiej komuny.

Pani Ellington-Burn zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem.

– Chwileczkę! Czy ja pani nie znam?

Przekląłam marketingowców, którzy umieścili moje ogromne zdjęcie na czwartej stronie okładki *Od katastrofy do spisku*.

– Nie sędzę.

– A jednak. To pani napisała tę upiorną książkę. Czego pani tu szuka?

– Po prostu chciałam zobaczyć dom.

– Aż taka pani ciekawa? Powinna pani się wstydzić.

Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie zapytać:

– Widuje pani Paula?

– A nawet jeśli tak, to co pani do tego? Proszę sobie pójść, zanim wezwę policję.

Rok wcześniej zaczętałabym, aż wróci do domu, po czym zaczęłabym węszyć. Teraz po prostu odeszłam.

Tydzień później zadzwonił telefon, co było nie lada wydarzeniem, ponieważ jedynymi osobami, które znały mój nowy numer, byli moja wkrótce była agentka Madeleine oraz spamerzy. Mało nie spadłam z kanapy, kiedy męski głos w słuchawce przedstawił się jako Paul Craddock. (Później dowiedziałam się, że mój numer podała mu nowa asystentka Madeleine, którą zbałamucił swoim angielskim akcentem). Dowiedział się od pani EB, że jestem w Londynie. Poinformował mnie rzeczowym tonem, że jeden z opiekujących się nim psychiatrów zlecił mu prawdziwie końską kurację polegającą na lekturze *Od katastrofy do spisku*, ponieważ miało mu to jakoby pomóc pogodzić się z tym, co zrobił. Nie wiem, czy mi uwierzysz, Sam, ale ten człowiek – nie zapominaj, że zadźgał na śmierć własną bratanicę – sprawiał wrażenie stuprocentowo normalnego. Wyrażał się jasno i zrozumiale, nawet żartował. Poinformował mnie

o zmianach w życiu Mel i Geoffa Moranów (przeprowadzili się do Portugalii, żeby być bliżej miejsca ostatniego spoczynku ich córki Danielle) oraz Mandi Solomon, pomagającej mu przy pisaniu książki, która wstąpiła do sekty powiązanej z Ruchem Dni Ostatnich. Zasugerował, żebyśmy mogli pogawędzić twarzą w twarz”.

Rzecz jasna, obiecałam, że to zrobię. Nawet jeżeli akurat znajdowałam się na samym dnie najgłębszej depresji, nawet jeżeli przeniosłam się do Londynu, żeby uciec przed burzą wywołaną przez tę cholerną książkę, to przecież nie mogłam zaprzepaścić takiej okazji. Czy zresztą muszę ci cokolwiek tłumaczyć? Przecież dobrze mnie znasz.

W nocy jeszcze raz odsłuchiwałam jego nagrania. (Przyznam, że zrobiło mi się trochę nieswojo i że nie wyłączałam światła w sypialni). Kilkanaście razy puściłam Jess mówiącą: „Cześć, wujku”, ale w jej głosie wciąż słyszałam wyłącznie rozbawienie. Według Google Images, Kent House – szpital psychiatryczny o zastrzonych środkach bezpieczeństwa, w którym osadzono Paula – przypominał ponury szary monolit. Pomyślałam sobie, że to niedopuszczalne, żeby placówki tego typu wyglądały wciąż tak samo jak za czasów Karola Dickensa.

Musiałam podpisać zobowiązanie, że nie ujawnię żadnych szczegółów mojego spotkania z Paulem. Zgoda od policji i przepustka nadeszły pocztą w ostatni dzień października, czyli w Halloween. Traf chciał, że tego samego dnia na Reddit pojawiła się informacja, jakoby Reynard zamierzał anulować pierwszą poprawkę do konstytucji. Wciąż unikałam Sky i CNN, ale nie byłam w stanie omijać wzrokiem wszystkich nagłówków w gazetach. Pamiętam, że się zastanawiałam, jak to możliwe, że to się dzieje tak szybko? Nawet wtedy jednak nie wierzyłam, że Reynard zdoła sobie zapewnić wymagane poparcie dwóch trzecich w Kongresie i Senacie. Wyobrażałam sobie, że będziemy musieli jakoś doczekać końca kadencji Reynarda, żeby zacząć znowu normalnie funkcjonować po kolejnych wyborach. Teraz wiem, jaka byłam głupia, bo przecież i Kościół katolicki, i mormoni zgodzili się już dołączyć do Kampanii na rzecz Moralnej Odnowy Ameryki. Każdy idiota bez trudu powinien się zorientować, do czego to doprowadzi.

Postanowiłam szarpnąć się na taksówkę, byle nie grać w rosyjską ruletkę z brytyjskimi kolejami, dzięki czemu dotarłam na miejsce dokładnie o wyznaczonej godzinie. W rzeczywistości Kent House sprawiał równie przygnębiające wrażenie, jak w Google Images. Najświeższy dodatek w postaci przybudówki ze szkła i cegły czynił budowlę jeszcze bardziej przytłaczającą. Po szczegółowym przeszukaniu przez wręcz kuriozalnie pogodnych ochroniarzy jowialny pielęgniarz o skórze niemal dokładnie koloru jego siwych włosów zaprowadził mnie na oddział. Wyobrażałam sobie, że spotkanie odbędzie się w ponurej celi z zakratowanymi drzwiami, pod czujnym okiem groźnych strażników i kilku psychiatrów; tymczasem weszliśmy przez szklane drzwi do przestronnego, jasnego pomieszczenia wyposażonego w krzesła w tak jaskrawych barwach, że sprawiały wrażenie nierzeczywistych. Pielęgniarz poinformował mnie, że tego dnia nie będzie już więcej odwiedzin, ponieważ odwołano wszystkie popołudniowe kursy autobusu. Nie było w tym nic niezwykłego. W Wielkiej Brytanii także dało się odczuć kryzys spowodowany majstrowaniem przez Reynarda na Bliskim Wschodzie. Muszę jednak przyznać, że projekt racjonowania elektryczności i paliwa nie wywołał praktycznie żadnych protestów. Być może dla Brytyjczyków koniec świata to coś takiego jak prozac.

*[Sam, nie mogłam nagrywać naszej rozmowy, bo iPhone'a zabrano mi do depozytu, więc wszystko odtwarzam z pamięci. Wiem, że takie szczegóły mało cię obchodzą, ale mnie, i owszem].*

Drzwi w ścianie naprzeciwko otworzyły się i do pokoju wkroczył chorobliwie otyły mężczyzna w T-shircie wielkości namiotu, z foliową torbą z Tesco w ręce.

– Wszystko w porządku, Paul? – zapytał pielęgniarz. – Masz gościa.

Od razu pomyślałam, że zaszła jakaś pomyłka.

– To jest Paul? Paul Craddock?

– Dzień dobry, panno Martins – odezwał się głosem, który znałam z nagrań. – Miło mi panią poznać.

Przed przyjazdem tutaj obejrzałam na YouTube wszystkie dostępne fragmenty spektakli i filmów z udziałem Paula, i teraz bezskutecznie szukałam w jego nalanej twarzy choćby wspomnienia męskich, przystojnych rysów. Tylko oczy nic się nie zmieniły.

– Mów mi Elspeth, proszę.

– Doskonale, Elspeth.

Wymieniliśmy uścisk dłoni. Miał wilgotną rękę. Z trudem powstrzymałam się przed wytarciem swojej dłoni w spodnie. Pielęgniarsz klepnął go w ramię i wskazał na przeszkloną kabinę kilka metrów od naszego stolika.

– Będę tam, Paul.

– Doskonale, Duncan – odparł Paul, siadając na krześle, które zaskrzypiało pod jego ciężarem. – Ach, żebym nie zapomniał! – Pogrzebał w torbie, po czym wyjął egzemplarz *Od katastrofy do spisku* i czerwony długopis i podsunął mi je. – Mogę prosić o autograf?

Mówię ci, Sam: do tej pory czułam się tylko dziwnie, ale z każdą chwilą sytuacja stawała się coraz bardziej surrealistyczna.

– Eee... Jasne. Co mam napisać?

– Paulowi. Gdyby nie ty, na pewno bym tego nie zrobił. – Na widok mojej miny roześmiał się. – Nie zwracaj na mnie uwagi. Napisz, co chcesz.

Nagryzmoliłam „Z najlepszymi życzeniami, Elspeth”, po czym oddałam mu książkę.

– Przepraszam za mój wygląd – powiedział. – Coraz bardziej przypominam pudding. Jedzenie to tutaj praktycznie jedyna rozrywka. Zdziwiłaś się, że aż tak bardzo się zapuściłem?

Wymamrotałam coś w tym guście, że kilka dodatkowych kilogramów to jeszcze nie koniec świata. Byłam potwornie spięta. Paul z pewnością nie wyglądał ani nie zachowywał się jak szaleniec (choć z drugiej strony, nie bardzo wiedziałam, czego powinnam oczekiwać; przewracającego oczami furiata w kaftanie bezpieczeństwa?), ale gdyby nagle coś mu odbiło i zaczął mnie dusić, mogłam liczyć na pomoc tylko jednego wiekowego pielęgniarsza.

– Dziwisz się brakowi zabezpieczeń? – zapytał, jakby czytał mi w myślach. – Cięcia personelu. Nie obawiaj się, Duncan ma czarny pas w karate. Prawda, Duncan? – Pomachał pielęgniarszowi, który roześmiał się i potrząsnął głową. – Co robisz w Londynie, Elspeth? Twoja agentka powiedziała, że przeprowadziłaś się na stałe. Opuściłaś Stany z powodu niekorzystnych zmian w klimacie politycznym?

Odparłam, że to był jeden z powodów.

– Wcale ci się nie dziwię. Jeżeli ten fiut w Białym Domu postawi na swoim, niedługo wszyscy będziecie żyli z Biblią w rękach. A to oznacza kamienowanie gejów i niegrzecznych dzieci oraz unikanie pryszczatych i kobiet, które mają okres. Cudownie. Na myśl o tym prawie się cieszę, że jestem tutaj.

– Paul, dlaczego chciałeś się ze mną spotkać?

– Tak jak powiedziałem przez telefon, dowiedziałem się, że jesteś w Anglii. Pomyślałem sobie, że fajnie będzie poznać cię osobiście. Doktor Atkinson też był zdania, że spotkanie z jednym z moich biografów może być dla mnie korzystne. – Zasłonił usta dłonią i beknął. – To on dał mi twoją książkę do przeczytania. Poza tym miło zobaczyć tu jakąś nową twarz. Pani EB przyjeżdża co miesiąc, ale mam jej już trochę dosyć. Nie to, żebym narzekał na brak próśb o spotkanie. – Zerknął na pielęgniarsz w przeszklonej kabinie. – Czasem jest ich nawet pięćdziesiąt w tygodniu. Większość, ma się rozumieć, od świrów wyznających rozmaite teorie spiskowe, ale trafiło się też kilka propozycji małżeństwa. Może nie tyle, ile dostaje Jurgen, ale zawsze coś.

– Jurgen?

– Na pewno słyszałaś o Jurgenie Williamsie. On też tu siedzi. Zamordował pięcioro uczniów, ale nigdy byś się tego nie domyśliła, gdybyś go zobaczyła. W gruncie rzeczy nudny z niego gość.

Nie miałam pojęcia, co na to odpowiedzieć.

– Elspeth, kiedy pisałaś o mnie w swojej książce... Korzystałaś z oryginalnych nagrań czy tylko z transkrypcji?

– Z obu.

– No i...?

– Bałam się.

– Psychoza to nic pięknego. Na pewno chciałabyś zadać mi mnóstwo pytań. Proszę, nie krępuj się.

Skorzystałam z zachęty.

– Powiedz mi, jeśli zapuszczam się za daleko, ale... Co działo się przez kilka ostatnich dni przed śmiercią Jess? Powiedziała może coś, co cię... Co sprawiło, że...

– Zadźgałem ją na śmierć? Śmiało możesz to mówić, przecież takie są fakty. Nie. Nie powiedziała nic takiego. Zrobiłem niewybaczalną rzecz. Dostałem ją pod opiekę i zabiłem.

– Na nagraniach... Wspominałeś, że cię prowokuje.

– Urojenia paranoidalne. – Zmarszczył brwi. – Wszystko działo się tylko w mojej głowie. Jess nie była ani trochę dziwna. To wyłącznie moja wina, doktor Atkinson wyraźnie to powiedział. – Ponownie spojrzął na pielęgniarkę. – Miałem epizod psychotyczny wywołany nadużywaniem alkoholu i stresem. Koniec, kropka. Napiszesz o tym w następnej książce.

Elspeth, czy mógłbym prosić cię o przysługę?

– Oczywiście.

Ponownie zanużył rękę w torbie. Tym razem wydobyl z niej cienki notes.

– Ostatnio trochę pisałem. Nic wielkiego, ot, parę wierszy. Zechciałabyś przeczytać je i powiedzieć mi, co o nich myślisz? Może któryś z twoich wydawców byłby zainteresowany?

Nie uznałam za stosowne poinformować go, że chwilowo nie mam żadnego wydawcy, choć podejrzewałam, że każdy z nich nie wahałby się ani chwili przed opublikowaniem wierszy słynnego zabójcy dzieci. Powiedziałam tylko, że z przyjemnością przeczytam jego wiersze. Ponownie uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Wszystkie, dobrze?

– Oczywiście.

Odszedł, kołyszając się jak kaczka, a zaraz potem siwowłosa pielęgniarka odprowadził mnie do wyjścia. Zaczęłam czytać jeszcze w taksówce, w drodze do domu. Trzy początkowe strony były wypełnione krótkimi wstrząsającymi wierszami o tytułach takich jak *Tytoniowe sny* (Czytam tę kwestię/Dwudziesty raz/Teraz już wiem/Że wszyscy gramy), albo *Uwięziony w ciele* (Jem by zapomnieć/Lecz pocę się w duszy/Myślę czy kiedyś/Powiem jednak nie?). Pozostałe kartki były puste, ale na wewnętrznej stronie kartonowej okładki widniały następujące słowa:

„Jess chciała, żebym to zrobił. ZMUSIŁA mnie do tego. Przed odejściem powiedziała, że oni bywali tu wcześniej i że czasem postanawia nie umierać. Powiedziała, że czasem dają ludziom to, czego oni chcą, a czasem nie. Zapytaj innych, ONI WIEDZĄ”.

Co byś z tym zrobiła, Sam? Znając cię, przypuszczam, że natychmiast zadzwoniłabyś do psychiatry Paula i powiedziała mu, że jego pacjent wciąż cierpi na groźne urojenia. Bez wątpienia tak właśnie należałoby postąpić.

Ale ja nie jestem tobą.

Po ukazaniu się *Od katastrofy do spisku* wydawało mi się, że być może jestem jedynym człowiekiem na świecie, który uważa, że Troje nie ma w sobie nic... nadnaturalnego. Szybko

przystałam liczyć wariatów, którzy wciskali mi swoje wydane w selfpublishingu książki, w których dowodzili, że cała trójka wciąż żyje i mieszka w Nowej Zelandii pod opieką Maoryski/jest poddawana eksperymentom w tajnej bazie wojskowej w Kapsztadzie/mieszka z gromadą Obcych w bazie lotnictwa wojskowego w Dulce w Nowym Meksyku. (Mam niezbite dowody, panno Martins!!!! Przecież świat cały czas stacza się do piekła, no nie????). Oprócz tego są niezliczone strony internetowe założone i prowadzone przez zwolenników teorii spiskowych, którzy dowolnie zonglują wyrwanymi z kontekstu cytatami z *Od katastrofy do spisku*, aby udowodnić, że Troje zostali opanowani przez Obcych albo że są podróżnikami w czasie z innego wymiaru. Największą popularnością cieszą się następujące fragmenty:

Bobby: Kiedyś to ja je [dinozaury] ożywię!

Jess: Poza tym tak przecież nie może być, wujku. Pierdolona szafa, też coś!

Chiyoko: [Hiro] Pamięta, jak wciągano go do śmigłowca, i że to było zabawne. „Jakbym latał”. Chętnie przeżyłyby to ponownie.

Na innych witrynach w sieci dyskutuje się zawzięcie o tym, co może oznaczać zafascynowanie Jess *Lwem, czarownicą i starą szafą*.

My wszyscy, pozostali, musimy się zgodzić, że ta historia ma stuprocentowo racjonalne wyjaśnienie. Dzieci przeżyły katastrofy dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności; zaprezentowana przez Paula Craddocka interpretacja zachowania Jess wynika z jego choroby psychicznej; cudowne ozdrowienie Reubena Smalla to chwilowa remisja; Hiro naśladował fascynację androidami swojego ojca. Zmiany w zachowaniu całej trójki mogły być skutkiem traumy, przez jaką przeszli. Nie zapominajmy też o wielu godzinach pozbawionych jakiegokolwiek znaczenia materiałów, których nie wykorzystałam w książce: chodzi między innymi o niekończące się narzekania Paula Craddocka na brak życia seksualnego czy szczegółowy rozkład dnia Lillian Small. Ten recenzent z Amazona miał stuprocentową rację, zarzucając mi manipulowanie dowodami.

Ale... Ale... „Przed odejściem powiedziała, że oni bywali tu wcześniej i że czasem postanawia nie umierać. Powiedziała, że czasem dają ludziom to, czego oni chcą, a czasem nie”.

Mam kilka możliwości do wyboru. Mogę ponownie odwiedzić Paula i zapytać, po co przekazał mi tę informację. Mogę zignorować ją jako bełkot człowieka chorego psychicznie. Mogę też zapomnieć o racjonalizmie i podjąć próbę rozszyfrowania rzeczywistego znaczenia tych słów. Zaczęłam od pierwszej opcji, ale dowiedziałam się, że Paul nie jest zainteresowany utrzymaniem kontaktów ze mną (z pewnością obawiając się tego, że ujawnię jego psychiatrze to, czego się od niego dowiedziałam). Druga opcja była bardzo kusząca, ale przecież musiałam założyć, że Paul dał mi notes w jakimś celu. „Zapytaj innych, ONI WIEDZA”. Pomyślałam więc, że chyba nie zaszkodzi, jeśli przyjrę się temu bliżej. Co innego miałam do roboty poza wykasowywaniem zionących nienawiścią e-maili i włączeniem się po Notting Hill w alkoholowym zamroczeniu?

Wyrzuciłam więc rozum przez okno i postanowiłam zabawić się w adwokata diabła. Załóżmy, że Paul powtórzył to, co Jess naprawdę powiedziała mu tuż przed śmiercią. Co to mogło znaczyć? Świry od teorii spiskowych mieliby na podreździu milion wyjaśnień dla „oni bywali tu wcześniej i czasem postanawia nie umierać”. Nie zamierzałam kontaktować się z żadnym z nich. A co z „czasem dało ludziom to, czego oni chcą, a czasem nie”? Bądź co bądź, Troje dało ludziom – a przynajmniej wyznawcom Dni Ostatnich – to, czego chcieli: rzekome dowody na zbliżający się koniec świata. Jess z kolei dała Paulowi to, czego on chciał: sławę. Hiro dał Chiyoko powód do życia, a Bobby... Bobby oddał Lillian jej męża.

Uznałam, że nadszedł czas, by złamać obietnicę.

Sam, dobrze wiem, że doprowadzałam cię do szału, ukrywając przed tobą różne rzeczy



(na przykład pierwszą wersję *Od katastrofy do spisku*), ale dałam Lillian Small słowo, że nie zdradzę, że przeżyła wypadek, w którym zginęli Reuben i Bobby. Spośród wszystkich opowieści, jakich wysłuchałam, zbierając materiały do książki, jej historia poruszyła mnie najbardziej. Było mi również miło, że pomyślała o tym, by zadzwonić do mnie ze szpitala. FBI zaproponowało, że przeniosą ją w jakieś bezpieczne miejsce, a my uznaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli zerwiemy kontakty. Nie potrzebowała ciągłego przypominania o tym, co straciła.

Ponieważ było wielce wątpliwe, czy FBI poda mi jej nowy numer, postanowiłam spróbować przez Betsy, jej sąsiadkę.

– *Ja?* – usłyszałam w słuchawce.

– Szukam pani Katz...

– Nie mieszka tu.

Nie mogłam rozpoznać akcentu, ale brzmiał wschodnioeuropejsko.

– Ma pan może jej nowy adres? To ważna sprawa.

– Chwila.

Usłyszałam stukot odkładanej słuchawki, łomot ciężkiej muzyki w tle. A potem:

– Mam numer.

Sprzedałam kierunkowy w Google: Toronto, Kanada. Nie wiem czemu, ale jakoś nie wyobrażałam jej sobie mieszkającej w Kanadzie.

[*Sam, teraz będzie transkrypcja rozmowy. Tak, tak, oczywiście: po co bym ją nagrywała, a potem spisywała, gdybym nie zamierzała wykorzystać jej w kolejnej książce? Proszę, uwierz mi: przysięgam, że nieprędko zobaczysz w księgarniach TROJE – cała prawda autorstwa Elspeth Martins*].

**Ja:** Halo? Dzień dobry, czy to Betsy? Betsy Katz?

**Betsy:** Kto mówi?

**Ja:** Elspeth Martins. Robiłam z tobą wywiad do mojej książki.

*(długa cisza)*

**Betsy:** Aha, ta pisarka! Elspeth. Jak się masz?

**Ja:** Świetnie, a ty?

**Betsy:** Kto mnie wysłucha, nawet jeśli bym narzekała? Co myślisz o tym, co się dzieje w Nowym Jorku? Te wszystkie zamieszki, braki paliwa... Jesteś bezpieczna? Ciepło ci? Masz co jeść?

**Ja:** Wszystko w porządku, dziękuję. Zastanawiałam się... Wiesz może, jak mogłabym skontaktować się z Lillian?

*(jeszcze dłuższa cisza)*

**Betsy:** Nic nie wiesz? No tak, właściwie skąd miałabyś wiedzieć... Bardzo mi przykro, że muszę ci to powiedzieć, ale Lillian odeszła. Właśnie minął miesiąc. Umarła we śnie, najlepiej jak można. Wcale nie cierpiała.

**Ja:** *(po długim milczeniu, jak wreszcie zdołałam nad sobą zapanować; powiadam ci, trzęsłam się jak galareta)* Tak mi przykro...

**Betsy:** Dobra z niej była kobieta. Czy wiesz, że zaproponowała mi, żebym z nią zamieszkała? To było zaraz po pierwszych przerwach w dostawie prądu do Nowego Jorku. Ni stąd, ni zowąd zadzwoniła i powiedziała: „Betsy, nie możesz tam być zupełnie sama, przenieś się do mnie, do Kanady! Ja! Nie ukrywam, że bardzo mi jej brakuje, ale tu mieszkają mili ludzie i jest dobry rabin, który się mną opiekuje. Lily mówiła mi, że podobało jej się, jak opisałaś ją w książce, bo wyszła na bardziej bystrą niż w rzeczywistości, ale tak jak powiedziała Mona – ta cała trucizna... Z trudem ją przeczytała. A co myślisz o tym, co się dzieje w Izraelu? I co wyrabia ten idiota w Białym Domu? Chce ściągnąć nam na głowy wszystkich muzułmanów?

**Ja:** Betsy... Czy Lillian przed śmiercią wspomniała może o... hm... o czymś szczególnym, co dotyczyłoby Bobby'ego?

**Betsy:** Bobby'ego? Co niby miałyby powiedzieć? Tylko tyle, że jej życie to była jedna wielka tragedia. Wszyscy, których kochała, odeszli. Bóg bywa bardzo okrutny.

Odłożyłam słuchawkę i przeplakałam dwie godziny. Po raz pierwszy nie płakałam nad sobą.

Zalóżmy jednak, że porozmawiałabym z Lillian. Co mogłabym od niej usłyszeć? Że Bobby, który wrócił po katastrofie, nie był już jej wnukiem? Kiedy przeprowadzałam z nią wywiad tyle miesięcy temu, mówiła o nim wyłącznie z miłością.

„Zapytaj innych, ONI WIEDZĄ”.

Kto mi pozostał? Wiedziałam, że nigdy nie uda mi się dotrzeć do Mony, najbliższej przyjaciółki Lori Small – po burzy, jaką wywołała *Od katastrofy do spisku*, zaprzeczyła, jakoby kiedykolwiek ze mną rozmawiała – ale był ktoś jeszcze, kto spotkał Bobby'ego i nie wyszedł z tego spotkania bez szwanku.

Ace Kelso.

Dobrze wiem, co teraz maluje się na twojej twarzy, Sam: mieszanina niedowierzania i wściekłości. Miałaś rację, kiedy mówiłaś, że powinnam mieć na uwadze jego reputację. Miałaś rację, zarzucając mi, że nie walczyłam wystarczająco mocno o to, żeby z późniejszych wydań usunięto wzmiankę o tym, że widział krew w oczach Bobby'ego Smalla. (To był kolejny gwóźdź do trumny naszej przyjaźni). Miałaś rację, namawiając mnie do zniszczenia nagrania, na którym potwierdza, że mogę wykorzystać jego wypowiedź w książce. Dlaczego cię nie posłuchałam, do jasnej cholery?!

Po raz ostatni widziałam go w kancelarii prawnej obsługującej mojego wydawcę, kiedy powiedziano mu, że nie ma najmniejszych szans na wygranie sprawy. Miał obwisłe policzki, przekrwione oczy i kilkudniowy zarost na twarzy. Wytarte dżinsy były powypychane na kolanach, stara skórzana kurtka cuchnęła potem. Kiedy rozmawiałam z nim poprzednio i oglądałam go w telewizji, miał silną szczękę i błyszczące błękitne oczy – stuprocentowy Kapitan Ameryka (tak nazwał go Paul Craddock).

Nie miałam pojęcia, czy zgodzi się na rozmowę, ale czym ryzykowałam? Zadzwoiłam przez Skype'a, będąc niemal całkowicie pewna, że nie odbierze. Jednak odebrał. Głos miał niewyraźny, jakby przed chwilą się obudził.

**Ace:** Tak?

**Ja:** Ace... Cześć. Tu Elspeth Martins. Eee... Jak się masz?

*(kilkusekundowa cisza)*

**Ace:** Wciąż na przedłużonym zwolnieniu lekarskim. To eufemizm oznaczający bezterminowe zawieszenie. Czego chcesz ode mnie, do diabła?

**Ja:** Pomyślałam, że powinieneś wiedzieć... Widziałam się z Paulem Craddockiem.

**Ace:** I co z tego?

**Ja:** W trakcie rozmowy twierdził stanowczo, że to, co zrobił Jess, było rezultatem choroby psychicznej. Kiedy jednak wychodziłam, dał mi częściowo zapisany notes. Wiem, że to zabrzmiało jak szaleństwo, ale napisał tam między innymi, że Jess powiedziała mu, jakoby „bywali tu wcześniej” i że „czasem postanawia nie umierać”.

*(długa cisza)*

**Ace:** Po co mi o tym mówisz?

**Ja:** Pomyślałam sobie... Sama nie wiem... Biorąc pod uwagę, co wtedy powiedziałeś o Bobbym... Wiem, że to szaleństwo myśleć o tym w ten sposób, ale Paul powiedział „zapytaj innych”, więc...

**Ace:** Wiesz co, Elspeth? Wiem, że nieźle się po tobie przejechano za tę książkę, ale z mojego punktu widzenia te wszystkie gromy posypały się na twoją głowę z niewłaściwego powodu. Powypisywałaś mnóstwo rzeczy o zmianach, jakie zaszły w osobowościach tych dzieci, rzuciłaś bombę i poszłaś dalej. Nie weszłaś głębiej w temat. Założyłaś, że wszystko ma racjonalne uzasadnienie, i naiwnie sądziłaś, że wszyscy, którzy to przeczytają, też tak sobie pomyślą.

**Ja:** Nie zamierzałam...

**Ace:** Wiem, co zamierzałaś. Teraz znowu zaczęłaś węszyć, żeby sprawdzić, czy może jednak naprawdę coś było nie tak z tymi dziećmi, prawda?

**Ja:** Ja tylko badam fakty.

**Ace:** (*wzdycha*) Wiesz co? Wyślę ci coś e-mailem.

**Ja:** Co takiego?

**Ace:** Najpierw przeczytaj, potem pogadamy.

E-mail dotarł natychmiast, z załącznikiem o nazwie SA678ORG. Otworzyłam go od razu. W pierwszej chwili pomyślałam, że to ta sama transkrypcja zapisu z czarnej skrzynki maszyny Sun Air, który zamieściłam w *Od katastrofy do spisku*. Tak właśnie było, z wyjątkiem krótkiej wymiany zdań, która nastąpiła dosłownie sekundę przed pojawieniem się problemów:

**Kapitan:** (*przekleństwo*) Widzicie to?

**Pierwszy oficer:** *Hai!* Błyskawica?

**Kapitan:** Niemożliwe. Nigdy nie widziałem takiej błyskawicy. Nie mamy nic na radarze, zapytajcie kontrolę, czy mamy na kursie inną maszynę...

**Ja:** Co to ma być, do cholery?

**Ace:** Zrozum, nie chcieliśmy podsycać paniki. Ludzie musieli wiedzieć, że da się ustalić przyczyny tych katastrof. Uziemione samoloty musiały wystartować.

**Ja:** Więc Komisja Badania Wypadków Lotniczych sfałszowała zapis rejestratora? Chcesz mi powiedzieć, że całkiem serio braliście pod uwagę możliwość, że doszło do spotkania z Obcymi?

**Ace:** Chcę ci powiedzieć tylko tyle, że stanęliśmy przed faktami, których nie potrafiliśmy wytłumaczyć. Jedynym wypadkiem, do którego doprowadziły oczywiste, możliwe do precyzyjnego określenia przyczyny, była katastrofa Dalu Air.

**Ja:** Co ty wygadujesz, do diabła? A Maiden Air?

**Ace:** Zderzenie z ptakami, z których nie zostało nic, nawet jedno pióro. Owszem, coś takiego dałoby się wytłumaczyć, gdyby silniki doszczętnie spłonęły, ale nic takiego się nie wydarzyło. Jak to możliwe, żeby ptaki uszkodziły oba silniki odrzutowca, nie zostawiając najmniejszego śladu? A jeśli chodzi o katastrofę GoGo!... Chwytałyśmy się dosłownie wszystkiego, ale jedna rzecz nie ulega wątpliwości: jest naprawdę mało prawdopodobne, żeby przy obecnym zaawansowaniu techniki piloci wpakowali się przypadkowo w burzę o takiej sile. A na koniec, wytłumacz mi proszę, w jaki sposób przeżyła ta trójka?

**Ja:** Tak samo jak Zainab Farra, ta dziewczynka, co ocalała z katastrofy w Etiopii. Mieli szczęście, i tyle.

**Ace:** Gówno prawda, i ty dobrze o tym wiesz.

**Ja:** Ten zapis... Dlaczego mi go przysłałaś? Chcesz, żebym go opublikowała?

**Ace:** (*śmieje się z goryczą*) A co się w najgorszym razie stanie? Reynard przyzna mi medal, bo to będzie kolejny dowód na to, że Troje to nie były zwyczajne dzieci. Zrób z tym, co chcesz. Wszyscy i tak stanowczo zaprzeczają.

**Ja:** Poważnie sugerujesz, że coś jest... Sama nie wiem... Że Troje byli jacyś... inni? Przecież jesteś śledczym, naukowcem...

**Ace:** Wiem tylko, co widziałem wtedy, w pokoju Bobby'ego Smalla. To nie była halucynacja, Elspeth. Ten fotograf... Ten, co skończył jako karma dla swoich gadów... On też coś widział.

(wzdycha)

Słuchaj, ty po prostu wykonywałaś swoją robotę. Nie powinienem był atakować cię za to, że napisałaś w swojej książce to, co ci powiedziałem. Może to miało być tylko dla twoich uszu, może nie, ale tak czy inaczej to była prawda. Chyba tylko ślepiec nie zauważyłby, że z tymi dziećmiakami było coś nie w porządku.

**Ja:** Co więc, twoim zdaniem, powinnam zrobić teraz?

**Ace:** Decyzja należy do ciebie, Elspeth, ale cokolwiek zamierzasz zrobić, zrób to szybko. Ci z Ruchu Dni Ostatnich stają na głowach, żeby doprowadzić do spełnienia własnych proroctw. Jak, do diabła, można negocjować z prezydentem święcie przekonanym o tym, że koniec świata jest blisko i że jedynym sposobem uchronienia ludzi przed wiecznym potępieniem jest przeistoczenie Stanów Zjednoczonych w teokrację? Odpowiedź jest prosta: nie można.

Oczywiście, trudno mi było uwierzyć, że Komisja Badania Wypadków Lotniczych spreparuje dowody, nawet jeśli chodziło o uniknięcie paniki. A może ten rzekomo ukryty fragment zapisu to była zemsta Ace'a za aferę z krwią w oczach? Gdybym to upubliczniła, Liga Racjonalistów miałaby kolejny pretekst, żeby mnie zlinczować.

Chyba już wiesz, do czego to wszystko prowadzi, prawda? Miałam notatkę Paula, zapis (być może sfalszowany) Ace'a, jego zapewnienia, że naprawę widział krew w oczach Bobby'ego Smalla. To wszystko mogły być bzdury, i pewnie tak właśnie było, ale przecież zostało jeszcze jedno dziecko.

Przez kilka kolejnych dni analizowałam najnowsze dostępne materiały o Chiyoko i Hiro. Większość dotyczyła tragicznej miłości Ryu i Chiyoko oraz niedawnej fali podwójnych samobójstw; o Hiro nie znalazłam prawie nic. Skontaktowałam się z Erikiem Kushanem, którego tłumaczenia z japońskiego wykorzystałam w książce, w nadziei że skieruje mnie na nowe tropy, ale okazało się, że zaraz po wypowiedzeniu przez rząd Japonii Układu o Przyjaźni i Współpracy ze Stanami Zjednoczonymi wyjechał z kraju. Jedyne, co mógł mi podpowiedzieć, to żebym uważnie przyjrzała się Kultowi Hiro.

Przypuszczałam, że przekształci się w coś podobnego do Sekty Moona albo Aum Shrinrikyo, ale okazało się, że zamiast skrócić na tory nacjonalizmu, przeistoczył się w dziwny kult celebrytów. Po zwycięstwie męża w wyborach, Aikao Uri zarzuciła teorie dotyczące Obcych i swego surabota, skupiając energię na działaniach popierających projekt podpisania trójstronnego sojuszu azjatyckiego. Bojówki Orza całkowicie zeszły do podziemia.

Pamiętasz Daniela Mimurę? To jeden z dziennikarzy „Tokyo Herald”, który zgodził się, żebym wykorzystała w książce fragmenty jego artykułów. Był jedną z nielicznych osób, które w taki czy inny sposób przyczyniły się do powstania *Od katastrofy do spisku* – obok Loli, „grzesznej kobiety” pastora Lena, i dokumentalisty Malcolma Adelsteina – które przekazały mi wyrazy poparcia zaraz po tym, jak wybuchło całe to zamieszanie. Sprawiał wrażenie zachwyconego, że się do niego odezwałam, i przez jakiś czas rozmawialiśmy o tym, jak Japończycy odnoszą się do coraz bardziej realnej perspektywy sojuszu z Chinami i Koreą. A oto zapis drugiej części naszej rozmowy:

**Daniel:** Może to cię zainteresuje. Jeszcze zanim Nowi Nacjonaści doszli do władzy, oficjalnie zakazano rozpowszechniania tej opowieści o Ryu i Chiyoko, którą zamieściłaś w książce.

**Ja:** Dlaczego?

**Daniel:** Urzędnicy obawiali się, że może stanowić zachętę do protestów, pobudzić do

działania zwolenników Orza.

**Ja:** Myślisz, że Chiyoko i Ryu rzeczywiście zginęli w Aokigahara?

**Daniel:** Ryu na pewno. Przeprowadzono autopsję, co tutaj wcale nie jest takie oczywiste. Nie robi się tego w każdym przypadku. Ciało Chiyoko nie odnaleziono, więc kto wie?

**Ja:** Sądzisz, że może żyć?

**Daniel:** To możliwe. Słyszałaś plotki o Hiro? Krążą już od dłuższego czasu.

**Ja:** Masz na myśli te same bzdury co zwykle? Że dzieci wcale nie zginęły, i tak dalej?

**Daniel:** Aha. Chcesz usłyszeć szczegóły?

**Ja:** Jasne.

**Daniel:** To kompletnie zwariowana teoria ludzi wierzących we wszechobecną konspirację, ale co tam... Po pierwsze, policja błyskawicznie uniemożliwiła komukolwiek dostęp do miejsca przestępstwa. Po drugie, personel pogotowia i technicy policyjni dostali całkowity zakaz wypowiadania się dla mediów.

**Ja:** No dobrze, ale po co ktoś miałby pozorować jego śmierć?

**Daniel:** Mogli za tym stać Nowi Nacjonaliści. Trudno sobie wyobrazić lepszy sposób na podsycenie antyamerykańskich nastrojów. Mogli zaaranżować całą sytuację, zabić rodziców Chiyoko i tego żołnierza i uprowadzić Hiro.

**Ja:** To bez sensu. Przecież szeregowy Jack Wallace był pamelistą, a więc miał motyw, żeby zabić Hiro. W jaki sposób wciągnęliby go do takiego spisku?

**Daniel:** Ejże, nie strzelaj do posłańca! Ja tylko powtarzam ci zasłyszane plotki. Nie mam pojęcia: może dowiedzieli się, co zamierza, i wystawili go? Mogli przecież przechwycić jego e-maile.

**Ja:** Ale świadkowie twierdzą, że widzieli Ryu z ciałem Chiyoko na rękach...

**Daniel:** Jasne. Widziałaś suraboty, które konstruuje Kenji Yanagida? Są niesamowite. Naprawdę trzeba się dobrze przyjrzeć, żeby odróżnić je od człowieka.

**Ja:** Zaczekaj... To by musiało oznaczać, że Chiyoko o wszystkim wiedziała!

**Daniel:** Owszem.

**Ja:** Załóżmy, że było tak, jak mówisz. Dlaczego Chiyoko miałaby pozwolić, żeby zamordowano jej rodziców?

**Daniel:** Kto wie? Dla pieniędzy? Żeby mogła wyjechać z Hiro do jakiegoś odległego kraju i żyć w luksusie? A poczciwy Ryu dał się nabrać i skończył jako jedna z ofiar.

**Ja:** Masz pojęcie, ile razy słyszałam już takie historie?

**Daniel:** Jasne. Przecież uprzedzałem cię, że to bzdury.

**Ja:** Przyjrzałeś się temu bliżej?

**Daniel:** Trochę pogrzebałem tu i tam, ale nie trafiłem na nic szczególnego. Sama wiesz, jak to jest: gdyby coś było na rzeczy, ktoś puściłby już farbę.

**Ja:** Zdaje się, że Kenji Yanagida zidentyfikował ciało Hiro?

**Daniel:** I co z tego?

**Ja:** Jeśli ktokolwiek zna prawdę, to właśnie on. Myślisz, że zgodzi się ze mną porozmawiać?

**Daniel:** (*śmieje się*) Nie ma mowy. To naprawdę brednie, Elspeth. Ten dzieciak nie żyje.

**Ja:** Czy Kenji Yanagida wciąż mieszka w Osace?

**Daniel:** Z tego, co ostatnio słyszałem, odszedł z uniwersytetu z powodu prześladowań ze strony Kultu Hiro. Uparli się, żeby zrobić z niego swoją najważniejszą maskotkę. Podobno zmienił nazwisko i przeniósł się do Tokio.

**Ja:** Udałoby ci się go wytropić?

**Daniel:** Masz pojęcie, ilu ludzi chciało porozmawiać z Kenjim Yanagidą, ale odbili się od

ściany?

**Ja:** Mam coś, czego oni nie mieli.

**Daniel:** Co to takiego?

Nie powiedziałam mu o przemilczanym fragmencie rozmowy pilotów, który dostałam od Ace'a. To mogła być moja przepustka na spotkanie z Kenjim Yanagidą, ale niekoniecznie. Wiem, co myślisz: że tak naprawdę nie powiedziałam mu o tym tylko dlatego, że chciałam zachować tę wiedzę wyłącznie dla siebie i wykorzystać ją dla własnych celów. Na przykład umieścić w kolejnej książce. Mylisz się, Sam. Już z tym skończyłam. Naprawdę.

Przez kilka kolejnych tygodni nic nie robiłam. Świat wstrzymał oddech po tym, jak grupa zbuntowanych wyznawców Dni Ostatnich usiłowała podpalić meczet al-Aksa na Wzgórzu Świętym, próbując w ten sposób przyspieszyć wyścig ku Wniebowstąpieniu. Nawet ja nie byłam taka głupia, żeby lecieć do Azji być może tuż przed wybuchem trzeciej wojny światowej.

Wiadomości, jakie docierały do nas ze Stanów, były równie przynębiające. Chociaż starałam się jak najczęściej wsadzać głowę w piasek, to jednak doniesienia o nasilających się atakach na nastoletnich gejów, masowym zamykaniu klinik przeprowadzających aborcje, problemach z dostępem do internetu oraz tymczasowych aresztowaniach aktywistów ruchów homoseksualnych i członków Ligi Racjonalistów docierały do mojej świadomości. Fala antyamerykańskich protestów dotarła także do Wielkiej Brytanii. Rząd Zjednoczonego Królestwa zerwał kontakty z reżimem Reynarda, coraz częściej dało się słyszeć głosy nawołujące do ograniczenia emigracji z USA. Nie chcę, żebyś myślała, że nie martwiłam się o ciebie. Wręcz przeciwnie, myślałam o tobie przez cały czas przed Świętem Dziękczynienia (nie będę się skarżyć na to, że spędziłam je samotnie, w lodowatym mieszkaniu, nad potrawką z kurczaka odgrzaną w mikrofalówce) i potem, kiedy brytyjscy celebryci dołączyli do zapoczątkowanej przez ich amerykańskich kolegów kampanii pod hasłem „Zostawcie nam nasze prawa”. Wszystkie razem klipy na YouTube i wszystkie piosenki na iTunes nie zdołałyby jednak wpłynąć na zmianę poglądów ludzi wierzących, że likwidacja „niemoralności” ocali ludzkość przed wiecznym potępieniem.

Mimo to nie mogłam odpuścić.

Pamiętając o radzie Ace'a, żeby nie tracić czasu, na początku grudnia zadzwoniłam do Daniela i powiedziałam, że potrzebuję pomocy, żeby dostać się do Tokio. Oczywiście uznał, że oszalałam; właśnie anulowano jego kontrakt (podobnie potraktowano niemal wszystkich cudzoziemców z Zachodu. „W ten sposób dają nam do zrozumienia, że nie jesteśmy mile widziani”). Mimo że miałam brytyjski paszport, to zgodnie z niedawno wprowadzonymi przepisami i tak nie tylko potrzebowałam wizy, lecz także musiałam podać ważny powód, dla którego chciałam odwiedzić Japonię, oraz dostarczyć dane obywatela Japonii, który byłby moim opiekunem i przedstawicielem w kontaktach z władzami. Daniel niechętnie obiecał, że zwróci się do kogoś z przyjaciół.

Dotarłam do Pascala de la Croix, starego kumpla Kenjiego, i ubłagałam go, by poprosił Kenjiego, żeby zechciał się ze mną spotkać. Powiedziałam prawdę: że lecę do Tokio tylko po to, by się z nim zobaczyć. Ma się rozumieć, Pascal nie był zachwycony, ale w końcu zgodził się napisać do niego pod warunkiem, że jeśli dojdzie do spotkania, to nie opublikuję żadnych informacji na ten temat.

Sprawdzałam skrzynkę chyba pięćdziesiąt razy dziennie, przekopując się przez hałdy e-maili z wyzwiskami i spamu. Odpowiedź nadeszła tego samego dnia co zawiadomienie o przyznaniu wizy. Zawierała tylko adres.

Powiem ci uczciwie, Sam, że przed wylotem długo i uważnie przyglądałam się sobie w lustrze. Co ja wyrabiam, do diabła? Czyżbym w końcu oszalała tak samo jak ci od Dni Ostatnich

i wszyscy zwolennicy teorii spiskowych? Załóżmy nawet, że moje wariackie poszukiwania i rozmowa ze znikowanym Kenjim Yanagidą doprowadzą mnie do Hiro. Załóżmy, że żyje i że uda mi się z nim porozmawiać, a on powie mi, że Troje zostali opętani przez Jeźdźców Apokalipsy albo że w ich ciałach zamieszkali kosmici, to co wtedy? Czy mam obowiązek „ogłosić światu prawdę”? A jeśli tak, to czy to robi jakąkolwiek różnicę? Spójrzmy tylko, jak się skończył skandal z Kennethem Oduahem. Mimo niezbitych dowodów na to, że badanie próbki DNA zostało zmanipulowane, miliony wciąż wierzyły w słowa doktora Lunda, że „sam Bóg chciał, by nigdy nie odnaleziono Czwartego Jeźdźca”.

Lot był koszmar. Jeszcze przed startem zaczęłam chodzić na uszach ze zdenerwowania. Wyobrażałam sobie, co czuła Pamela May Donald w ostatnich chwilach przed katastrofą. Na wszelki wypadek zaczęłam nawet układać w głowie wierszowane epitafium. (Nie obawiaj się, nie pokażę ci go). Mojego samopoczucia z pewnością nie poprawił fakt, że w połowie lotu 90% pasażerów (głównie Brytyjczyków i Skandynawów) było już kompletnie pijanych. Mój sąsiad, który robił w IT i leciał do Tokio pomóc w likwidacji tamtejszego przedstawicielstwa IBM, uprzedził mnie, czego powinnam się spodziewać.

– Nikt tam nie okazuje otwarcie wrogości, ale lepiej jest trzymać się „sektora zachodniego”, czyli Roppongi. Nie jest źle, mają tam mnóstwo pubów. – Wlał w siebie podwójną whisky i chuchnął na mnie oparami alkoholu. – Poza tym, kto chciałby zadawać się z Japończykami? Jeśli chcesz, złotko, mogę cię oprowadzić...

Grzecznie podziękowałam, a on na szczęście krótko potem zasnął.

Po wylądowaniu na Naricie zaprowadzono nas do wydzielonej części portu lotniczego, gdzie nasze paszporty i wizey poddano szczegółowej kontroli. Potem wsadzono nas do autokarów. Początkowo nie widziałam żadnych oznak świadczących o tym, że Japonia, tak samo jak reszta świata, zmierza ku ekonomicznej przepaści. Dopiero kiedy jechaliśmy przez most prowadzący do centrum miasta, uświadomiłam sobie, że nie działa większość charakterystycznych billboardów i neonów, a słynna Wieża Tokijska jest oświetlona tylko do połowy.

Nazajutrz Daniel przyszedł do hotelu i szczegółowo opisał, w jaki sposób mogę dotrzeć pod podany przez Kenjiego adres w Kanda. Ponieważ miałam zapuścić się do starej części miasta, z dala od szlaków uczęszczanych przez ludzi Zachodu, zasugerował mi, żebym ukryła włosy i założyła ciemne okulary oraz maseczkę przeciwgrypową. Wydawało mi się, że trochę przesadza; odparł, że co prawda wątpi, by przydarzyło mi się coś złego, niemniej jednak gorąco zaleca, żebym starała się nie zwracać na siebie uwagi.

Sam, jestem wykończona, a czeka mnie ciężki dzień. Zaczyna już świtać, ale muszę ci jeszcze o czymś napisać. Nie miałam czasu spisać rozmowy z Kenjim Yanagidą – widziałam się z nim wczoraj – więc zrobię to teraz, na żywo.

Gdyby nie szczegółowe instrukcje Daniela, zgubiłabym się w ciągu kilku sekund. Po bezdusznej, utrzymanej w zachodnim stylu architekturze Roppongi, Kanda ze swoim labiryntem wielokrotnie przecinających się uliczek, wzdłuż których skupiły się niezliczone restauracyjki, maleńkie księgarnie i zadymione kawiarnie, w których tłoczyli się ubrani w czarne garnitury biznesmeni, wywarła na mnie oszałamiające wrażenie. Podążając za wskazówkami, dotarłam do wąskiej alejki wypełnionej tłumem zbyt ciepło ubranych ludzi o twarzach zasłoniętych maseczkami. Stałam przed drzwiami między sklepikiem z plastikowymi koszykami wypełnionymi suszonymi rybami a innym, w którym handlowano oprawionymi obrazkami, namalowanymi chyba przez dzieci, i porównałam *kanji* na tabliczce z symbolem narysowanym przez Daniela. Następnie, z sercem w gardle, nacisnęłam guzik dzwonka.

– *Hai?* – warknął męski głos.

– Kenji Yanagida?

– Słucham?

– Nazywam się Elspeth Martins. Pascal de la Croix mnie do pana skierował.

Po chwili rozległo się kliknięcie i drzwi stanęły otworem.

Weszłam do cuchnącego pleśnią korytarza i, nie mając wyboru, zaczęłam się wspinać po stromych, wąskich schodkach. U ich szczytu znajdowały się nieopatrzone żadnym napisem, na pół uchylone drzwi. Pchnęłam je i znalazłam się w dużym warsztacie. Panował w nim ogromny bałagan, na środku zebrała się grupka ludzi. Zaraz potem coś przeskoczyło mi w głowie – daję słowo, Sam: właśnie tak to odczułam – i zrozumiałam, że to nie ludzie, tylko suraboty.

Było ich sześć: trzy kobiety, dwaj mężczyźni i (okropność) dziecko. Opierały się na stojakach, światło halogenowych żarówek odbijało się w ich woskowej skórze i nienaturalnie błyszczących oczach. W kącie pogrążonym w półmroku, na plastikowych krzeselkach i w spłowiałych fotelach siedziało ich jeszcze więcej. Jeden nawet założył nogę na nogę.

Zza stołu warsztatowego zastawionego monitorami, lutownicami i zwojami przewodów wyszedł Kenji. Wyglądał dziesięć lat starzej i dwadzieścia kilogramów lżej niż na filmikach na YouTube; skóra wokół oczu pokryła się siecią zmarszczek, wystające kości policzkowe upodobniły jego głowę do trupiej czaszki.

– Jaką informację ma pani dla mnie? – zapytał bez przywitania.

Opowiedziałam mu o wyznaniu Ace'a i wręczyłam kopię zapisu. Z nieruchomą twarzą przebiegł wzrokiem po tekście, po czym złożył kartkę i schował do kieszeni.

– Dlaczego mi to pani przyniosła?

– Pomyślałam, że ma pan prawo znać prawdę. W tym samolocie byli pańscy żona i syn.

– Dziękuję.

Nie odwracał ode mnie wzroku. Miałam wrażenie, że przeszywa mnie nim na wylot.

Wskazałam na suraboty.

– Co one tu robią? Przygotował je pan dla Kultu Hiro?

Skrzywił się.

– Nie. Wytwarzam repliki na zamówienie różnych ludzi, głównie Koreańczyków. Repliki bliskich, których utracili.

Jego spojrzenie powędrowało ku stercie woskowych masek na blacie. To były maski pośmiertne.

– Takie same jak replika Hiro?

Drgnął raptownie. Czy można było mu się dziwić? Nie zachowałam się zbyt delikatnie.

– Yanagida-san... Pański syn Hiro... Czy to pan zidentyfikował jego ciało?

Byłam przygotowana na stek wyzwisk, ale on odparł po prostu:

– Tak.

– Proszę mi wybaczyć, że o to pytam, ale... Krążą plotki, że on... Że on wcale nie...

– Mój syn nie żyje. Widziałem jego ciało. Czy to chciała pani wiedzieć?

– A Chiyoko?

– Po to pani przyszła? Żeby zapytać o Hiro i Chiyoko?

– Tak. Ale jeśli chodzi o zapis rozmów z kokpitu... To prawda. Daję panu słowo honoru.

– Dlaczego interesuje panią Chiyoko?

Postanowiłam powiedzieć mu prawdę. Podejrzywałam, że łatwo zdemaskowałby kłamstwo.

– Badam sprawę Trojga. Trafiłam na ślad, który doprowadził mnie do pana.

– Nie mogę pani pomóc. Proszę odejść.

– Yanagida-san, przyleciałam z bardzo daleka, żeby...

– Dlaczego nie może pani zostawić tego w spokoju?



Widziałam cierpienie w jego oczach. Posunęłam się za daleko, czułam do siebie odrazę. Odwróciłam się, żeby wyjść, ale mój wzrok padł na ukrytego w najgłębszym cieniu surabota. Siedział – a właściwie siedziała – za kopią jakiegoś korpulentnego mężczyzny. Miała na sobie białe kimono, otaczała ją wolna od bałaganu przestrzeń. I tylko ona zdawała się oddychać.

– Yanagida-san... Czy to kopia pańskiej żony Hiromi?

Długie milczenie, a potem:

– Tak.

– Była bardzo piękna.

– Tak.

– Yanagida-san, czy ona zostawiła jakąś wiadomość? Jakies *isho*, jak niektórzy pasażerowie?

Nie mogłam się powstrzymać. Musiałam wiedzieć.

– Jukei. Ona tam jest.

W pierwszej chwili wydawało mi się, że ma na myśli swoją żonę, ale szybko zrozumiałam.

– Chiyoko?

– *Hai*.

– W lesie? Aokigahara?

Ledwo dostrzegalne skinienie głową.

– Gdzie dokładnie?

– Nie wiem.

Postanowiłam nie kusić dłużej licha.

– Dziękuję, Yanagida-san.

Ruszyłam do drzwi.

– Proszę zaczekać.

Zatrzymałam się i odwróciłam do niego. Wyraz jego twarzy był równie trudny do odczytania, jak wyraz twarzy stojącego obok niego surabota.

– Hiromi... Nagrała wiadomość. Powiedziała: „Hiro nie żyje”.

I to wszystko. Tyle udało mi się dowiedzieć. Nie mam pojęcia, dlaczego Kenji przekazał mi treść *isho* swojej żony. Może chciał się odwdzińczyć za to, że przywiozłam mu ujawniony przez Ace'a brakujący fragment rozmowy w kokpicie? Może, jak Ace, doszedł do wniosku, że nie ma sensu tego dłużej ukrywać?

A może skłamał.

Chyba będzie lepiej, jeśli już to wyślę. WiFi kiepsko tu działa, będę musiała zejść do holu. W lesie będzie zimno. Zaczął padać śnieg.

Sam... Wiem, jak niewielkie są szanse na to, że kiedykolwiek to przeczytasz, ale chciałabym, żebyś wiedziała, że postanowiłam wrócić do domu, do Nowego Jorku. Jeśli gubernator nie żartuje i rzeczywiście chce przeprowadzić referendum w kwestii odłączenia się od Stanów, to muszę tam być. Nie będę już dłużej uciekać. Mam nadzieję, że cię tam spotkam.

Kocham cię,

Ellie

## JAK TO SIĘ KOŃCZY

Przebranie składające się z okularów przeciwsłonecznych i, nieco już obwisłej, maseczki higienicznej, sprawdza się na przedmieściach równie dobrze, jak w centrum: jak do tej pory nie zwróciła na siebie uwagi żadnego ze współpasażerów. Kiedy wysiada w Otsuki – to mała stacyjka, wyglądająca tak, jakby przeniesiono ją prosto z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku – mężczyzna w mundurze woła coś do niej chrapliwym głosem. Na chwilę ogarnia ją panika, ale szybko uświadamia sobie, że on tylko chce zobaczyć jej bilet. Głupota. Pochyla głowę i podaje mu bilet, a on niecierpliwym machnięciem wskazuje jej stojący na sąsiednim torze pociąg ciągnięty przez wiekową lokomotywę. Rozlega się gwizdek i Elspeth wsiada do wagonu. Z ulgą stwierdza, że jest jedyną pasażerką. Siada na twardej ławeczce i próbuje się uspokoić. Pociąg rusza, szarpie, wreszcie uspokaja bieg. Elspeth patrzy przez brudne szyby na przysypane śniegiem pola, drewniane domki o spadzistych dachach, skute mrozem zagony z kapustą. Przez szpary w ścianach wdziera się lodowaty wiatr, śnieg od czasu do czasu sypie w szyby. Do Kawagichiko, gdzie pociąg kończy bieg, jeszcze czternaście przystanków.

Skupiona na stukocie kół, stara się nie myśleć o tym, dokąd jedzie. Na trzeciej stacji do wagonu wsiada mężczyzna o twarzy wymiętej tak samo jak jego ubranie; Elspeth sztywnieje, ponieważ siada naprzeciwko niej. Modli się, żeby nie próbował wciągnąć jej w rozmowę. Pomrukuje pod nosem, grzebie w wielkiej torbie na zakupy, po czym wyciąga torebkę z ogromnymi zawijkami nori. Bierze jedną, wpycha sobie do ust, a następnie podsuwa torebkę Elspeth. Uznawszy, że odmowa mogłaby zostać uznana za grubiaństwo, szepcze „Arigato!” i bierze jedną. O dziwo, nie jest to ryż zawinięty w wodorosty, lecz chrupiący wafelek ze słodkim nadzieniem. Je powoli, żeby uniknąć kolejnego poczęstunku (już jest jej niedobrze), po czym pochyla głowę, jakby zapadła w drzemkę. Udaje tylko częściowo; jest wykończona po bezsennej nocy.

Kiedy podnosi wzrok, ze zdumieniem widzi za oknem gigantyczną kolejkę górską. Z zardzewiałej metalowej konstrukcji zwisają niezliczone sopte. Przypuszczalnie mijają jeden z już nieczynnych parków rozrywki na górze Fuji, o których opowiadał jej Daniel. Konstrukcja przypomina monstrualnego dinozaura, który utknął na całkowitym pustkowiu.

Ostatnia stacja.

Stary mężczyzna obdarza ją szerokim uśmiechem – robi jej się głupio, że udawała sen – i wysiada. Elspeth zwleka nieco, po czym idzie w jego ślady, przechodzi przez tory i dociera do opustoszałego budynku dworca. Drewniana budowla doskonale pasowałaby do jakiegoś alpejskiego kurortu. Nie wiadomo skąd, dobiega skoczna muzyka. Gra na tyle głośno, że słycać ją nawet po drugiej stronie dworca, od frontu. Budka informacji turystycznej przypomina mauzoleum; obok przystanku autobusowego stoi samotna taksówka, z rury wydechowej wydobywa się dym.

Zbliżając się do samochodu, wyjmuje skrawek papieru, na którym Daniel z oporami napisał nazwę celu jej podróży, i zawija go w banknot o nominale dziesięć tysięcy jenów. Wręcza go kierowcy, który zerka na treść, bez cienia emocji kiwa głową, chowa pieniądze do kieszeni i znowu nieruchomo patrzy przed siebie. Wnętrze taksówki śmierdzi starym dymem papierosowym i rozpaczą. Ilu ludzi zawiózł już ten człowiek do lasu, wiedząc, że najprawdopodobniej nigdy już stamtąd nie wróci? Kierowca wciska gaz, nie czekając, aż pasażerka zapnie pas, i pędzi przez opustoszałą wieś. Większość sklepów ma witryny zabite deskami, dystrybutory na stacji benzynowej nie działają. Mijają tylko jeden pojazd – pusty szkolny autobus.

Po kilku minutach docierają do dużego jeziora o tafli jak ze szkła. Kierowca tak szybko pokonuje ostre zakręty, że Elspeth musi kurczowo trzymać się uchwytu na drzwiach. Najwyraźniej nie tylko jej zależy na tym, by ta podróż jak najprędzej dobiegła końca. Mijają zapadający się szkielec obszernej świątyni otoczony lasem zaniedbanych nagrobków; nieco dalej spod śniegu wyglądają gnijące kajaki i niedopalone resztki domków letniskowych. W tle majaczy góra Fuji z wierzchołkiem spowitym mgłą.

Zostawiają jezioro z tyłu. Kierowca skręca na szeroką opustoszałą szosę, ale szybko zjeżdża z niej w znacznie węższą boczną drogę i nie zmniejszając prędkości, gna po śniegu i lodzie. Droga prowadzi przez las. Elspeth domyśla się, że to Aokigahara – rozpoznaje bąblaste korzenie wystające z wulkanicznej gleby. Mijają kilka przysypanych śniegiem samochodów na poboczach. Jest prawie pewna, że w jednym z nich dostrzegła nieruchomą sylwetkę skuloną za kierownicą.

Taksówkarz zatrzymuje samochód poślizgiem na parkingu przed niskim, zaniedbanym budynkiem i wskazuje na drewnianą tabliczkę nad ścieżką prowadzącą w głąb lasu. Tutaj też stoi kilka zasypanych pojazdów.

Jak wrócić stąd na stację, do diabła? Co prawda po drugiej stronie drogi jest przystanek, ale kto jej zagwarantuje, że autobusy tu jeszcze w ogóle kursują?

Kierowca ze zniecierpliwieniem bębni palcami w kierownicę. Elspeth nie ma wyboru, musi spróbować się z nim porozumieć.

– Eee... Wie pan może, gdzie znajdę Chiyoko Kamamoto? Podobno gdzieś tu mieszka...

Taksówkarz kręci głową i ponownie wskazuje w kierunku lasu.

I co teraz? A czego się spodziewała, do diabła? Ujrzeć Chiyoko czekającą na nią w limuzynie? Powinna była posłuchać Daniela. Ta wyprawa to błąd. Ale skoro tu już jest, chyba lepiej wykorzystać wszystkie możliwości, niż od razu wracać do Tokio? Wie o tym, że w okolicy jest kilka wiosek. Jeśli autobusy nie kursują, będzie musiała dotrzeć do którejs z nich.

– *Arigato* – mamrocze, lecz kierowca nie reaguje. Rusza z szurgotem opon, gdy tylko Elspeth zatrasnęła drzwi.

Przez kilka sekund stoi bez ruchu, dając się spowieć ciszy, po czym spogląda w czarną paszczę ścieżki. Czy głodne duchy, które mieszkają wśród drzew, nie powinny już jej jakoś wabić? Przecież ich ofiarami padają głównie słabi i cierpiący, prawda? A ona przecież taka właśnie jest.

Żalosne.

Starając się nie przyglądać zbyt uważnie zaparkowanym samochodom, brnie przez zasypy w kierunku śnieżnych wypukłości przed budynkiem. Czytała o tym, że w okolicy ustawiono wiele symbolicznych nagrobków upamiętniających ofiary katastrofy; teraz zgarnia śnieżną czapę z jednego z nich i odsłania tablicę z jakimiś napisami. Parę kroków dalej dostrzega sterczący z zasy py kryż. Pochyla się, zgarnia śnieg z poprzecznego ramienia i odczytuje angielski napis: PAMELA MAY DONALD, NIGDY NIE ZAPOMNIMY. Zastanawia się, czy kapitan Seto też ma swój symboliczny nagrobek; słyszała, że mimo dowodów jednoznacznie świadczących o jego niewinności, rodziny niektórych ofiar (*izoku* – przypomina sobie japońskie słowo, którym Eric Kushan określał tych ludzi) wciąż obciążają go odpowiedzialnością za katastrofę. Tę historię na pewno warto by było dokładniej zbadać. Nieopowiedziane historie z Czarne go Czwartku. Sam miała rację: jest beznadziejna.

Aż podskakuje, usłyszawszy za plecami czyjś głos. Odwraca się gwałtownie i widzi zgarbioną postać w jaskrawoczerwonej kurtce, która brnie ku niej od strony budynku. Mężczyzna woła coś chrapliwym głosem.

Nie ma sensu się ukrywać. Ściąga okulary, mruży oczy odzwyczajone od światła.

Mężczyzna zatrzymuje się przed nią.

– Co pani tutaj robi? – pyta po angielsku z lekkim kalifornijskim akcentem.

– Przyjechałam zobaczyć nagrobki.

Sama nie wie, dlaczego kłamie.

– Po co?

– Byłam ciekawa.

– Ludzie z Zachodu już tu nie przyjeżdżają.

– Domyślam się. Bardzo dobrze mówi pan po angielsku.

Uśmiecha się gwałtownie, szeroko. Ma krzywe zęby z odsłoniętymi szyjkami. Głośno wciąga powietrze.

– Nauczyłem się dawno temu. Z radia.

– Jest pan kustoszem?

Marszczy brwi.

– Nie rozumiem.

Elspeth wskazuje na zaniedbany budynek.

– Mieszka pan tutaj? Opiekuje się pan tym miejscem?

– Ach! – Mężczyzna ponownie rozpromienia się w uśmiechu. – Tak, mieszkam tu.

Elspeth zastanawia się, czy to może jest Yomijuri Miyajima, ochotnik, który uratował Bobby'ego i odnalazł szczątki Ryu, ale to by chyba był zbyt wielki zbieg okoliczności.

– Chodzę do lasu i przynoszę rzeczy, które ludzie zostawiają. Mogę je sprzedać.

Ciałem Elspeth wstrząsa gwałtowny dreszcz. Chłód szczypie ją w policzki, wyciska łzy z oczu. Przytupuje, ale to nie pomaga. Ruchem głowy pokazuje samochody.

– Dużo ludzi tu przyjeżdża?

– Tak. Chce pani wejść?

– Do lasu?

– Do miejsca, gdzie się rozbił samolot, jest daleko. Ale mogę panią zaprowadzić. Ma pani pieniądze?

– Ile?

– Pięć tysięcy.

Wyjmuje z kieszeni banknot, podaje mu. Czy aby na pewno tego chce? Okazuje się, że tak. Ale przecież nie po to tu przyjechała. Powinna go zapytać, czy wie, gdzie przebywa Chiyoko, ale... Skoro już pokonała tak długą drogę, dlaczego miałaby nie pójść do lasu?

Mężczyzna zawraca i dużymi krokami zmierza w kierunku ścieżki. Elspeth z trudem za nim nadąży. Jest zgarbiony i starszy od niej co najmniej o trzydzieści lat, ale ma energię dwudziestolatka.

Odpina łańcuch rozpięty w poprzek ścieżki i omija drewnianą tabliczkę z częściowo zatartym napisem. Z drzew sypie się śnieg, mokre płatki padają jej na kark, z którego zsunął się szalik. Elspeth słyszy własny chrapliwy, nierówny oddech. Stary człowiek skręca ze ścieżki, kieruje się w głąb lasu. Elspeth się waha. Nikt poza Danielem nie wie, że tu przyjechała (Sam przypuszczalnie jeszcze nawet nie zdążyła przeczytać e-maila, którego do niej rano wysłała), a on przecież za kilka dni wyjedzie z Japonii. Jeśli wpadnie w kłopoty, będzie po niej. Szuka telefonu, zerka na wyświetlacz. Zero zasięgu. Oczywiście. Rozgląda się, stara zapamiętać charakterystyczne miejsca, żeby w razie potrzeby odnaleźć drogę powrotną, ale już po kilku minutach kompletnie traci orientację. Ze zdziwieniem stwierdza, że wbrew oczekiwaniom wcale nie odczuwa lęku ani przygnębienia. Tu jest pięknie. Tam, gdzie korony drzew są najgęstsze, widać splachetki brązowej ziemi, a bąblaste korzenie nie wyglądają groźnie, lecz tylko intrygująco. Samuel Hockemeier – marine, który znalazł się tutaj kilka dni po katastrofie –

mówił, że są złowieszcze i jakby z innej planety.

Mimo to, brnąc przez śnieg za starym mężczyzną, nie może przestać myśleć o tym, że właśnie tu się wszystko zaczęło. Tu ma początek łańcuch wydarzeń zapoczątkowany wcale nie przez cudowne ocalenie trojga dzieci, lecz przez pozornie mało istotną wiadomość nagrą tuż przed śmiercią przez pewną kobietę z Teksasu.

Starzec gwałtownie skręca w prawo. Elspeth zatrzymuje się i czeka, niepewna, co robić. Mężczyzna zatrzymuje się po kilku krokach, a ona dopiero wtedy powoli podąży za nim, ale niemal natychmiast staje jak wryta. W śniegu leży coś granatowego. Jakiś człowiek leży w pozycji embrionalnej u stóp drzewa. Z gałęzi zwisa zerwany sznur, na poszarpanej końcówce skrzą się kryształy lodu.

Starzec przykuca i zaczyna przetrząsać kieszenie granatowej kurtki. Elspeth nie widzi twarzy leżącego człowieka, nie wie więc, czy to kobieta, czy mężczyzna. Tuż obok na śniegu leży plecak z częściowo rozsunętym zamkiem błyskawicznym. Wewnątrz widać telefon komórkowy i chyba notes. Dłonie leżącej bez ruchu osoby są sine, paznokcie – białe. Elspeth czuje, jak poczęstunek z pociągu zamienia się w kamień w jej żołądku, lecz mimo to wpatruje się w ciało z jakąś obłądną fascynacją. Jej mózg nie jest w stanie zinterpretować tego widoku. Nagle chwytają ją torsje. Odwraca się raptownie, pochyla, opiera o pień drzewa. Torsje szybko ustają, Elspeth chwytą powietrze szeroko otwartymi ustami, ociera załzawione oczy.

– Ten człowiek zmarł jakieś dwa dni temu – stwierdza starzec rzeczowym tonem. – W ubiegłym tygodniu znalazłem pięcioro, w tym dwie pary. Wielu decyduje się na wspólną śmierć.

Elspeth uświadamia sobie, że trzęsie się jak galareta.

– Co pan zrobi z ciałem?

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Przyjadą po nie dopiero, jak się ociepli.

– A rodzina? Pewnie go szukają.

– To możliwe.

Wyjmuje telefon z plecaka, chowa do kieszeni, podnosi się i rusza dalej. Elspeth ma już dosyć tego miejsca. Nie może uwierzyć, że jeszcze parę chwil temu uważała, że tu jest pięknie.

– Proszę zaczekać! – woła. – Szukam kogoś. Młodej kobiety, która gdzieś tutaj mieszka. Nazywa się Chiyoko Kamamoto. – Starzec nieruchomieje, ale nie odwraca się do niej. – Wie pan, gdzie mogę ją znaleźć?

– Tak.

– Zaprowadzi mnie pan do niej? Zapłacę.

– Ile?

– A ile trzeba?

Nagle jakby zeszło z niego powietrze.

– Proszę za mną.

Zawraca, mija ją i kieruje się z powrotem w stronę parkingu. Elspeth idzie za nim. Nie patrzy na ciało. Musi prawie biec, żeby nadążyć za starcem. Ślizga się na lodzie ukrytym pod cienką warstwą śniegu, ale udaje jej się odzyskać równowagę.

Mężczyzna otwiera duże podwójne drzwi w bocznej ścianie budynku i znika we wnętrzu. Kilka sekund później rozlega się odgłos uruchamianego silnika. Z garażu powoli wyjeżdża tyłem samochód. Silnik pracuje nierówno.

– Niech pani wsiada.

Starzec zachowuje się tak, jakby go uraziła, ale czym? Tym, że nie chciała obejrzeć miejsca katastrofy, czy tym, że wspomniała o Chiyoko? Wskakuje do pojazdu, zanim mężczyzna zdąży się rozmyślić. Pędzą krętą drogą, starzec tak samo nie zwraca uwagi na śnieg i lód, jak

niedawno kierowca taksówki. Jadą skrajem lasu; zza kolejnego zakrętu wylaniają się pokryte śniegiem dachy drewnianych domów. Samochód zwalnia, w ślimaczym tempie mijają kolejne parterowe budynki. Elspeth dostrzega zepsutą maszynę z napojami, dziecięcy trójkołowy rowerek częściowo ukryty pod śnieżną zaspą, pryzmę drewna z kolekcją imponujących sopli. Docierają do końca wioski. Starzec skręca w kierunku lasu. Droga jest przysypana dziewiczym śniegiem, nie ma na nim ani śladów stóp, ani nawet tropów zwierząt.

– Ktoś tu w ogóle mieszka?

Ignoruje jej pytanie, wciska mocniej pedał gazu, samochód, szarpiąc i buksując kołami, pokonuje niewielkie wzniesienie, i zatrzymuje się jakieś sto metrów od niewielkiej budowli z desek, wzniesionej w zacienionym zakątku tuż przy ścianie drzew. Gdyby nie rozpadająca się weranda i okna z okiennicami, niczym nie różniłaby się od szopy na narzędzia.

– Jesteśmy na miejscu.

– Tu mieszka Chiyoko?

Patrząc przed siebie, starzec wciąga powietrze przez zęby. Elspeth ściąga wilgotną rękawiczkę i sięga do kieszeni po pieniądze.

– *Arigato* – mówi, wręczając mu zwitek banknotów. – Kiedy będę chciała wrócić, czy mogę...

– Proszę iść.

– Obraziłam pana?

– Nie obraziła mnie pani. Nie lubię tego miejsca.

Tak mówi człowiek, który żyje z okradania zwłok. Ciałem Elspeth ponownie wstrząsa dreszcz. Starzec w końcu jednak bierze pieniądze. Elspeth wysiada, a on natychmiast zawraca i odjeżdża, puściwszy na pożegnanie chmurę czarnego dymu z rury wydechowej. Niewiele brakuje, żeby krzyknęła: „Proszę zaczekać!” i pobiegła za nim. Warkot silnika szybko cichnie; za szybko, zupełnie jakby powietrze chciwie chłonęło wszystkie dźwięki. Pod pewnymi względami las wydawał się bardziej przyjazny. Elspeth czuje nieprzyjemne mrowienie karku, jakby ktoś ją obserwował.

Wchodzi na drewnianą werandę i stwierdza z ulgą, że na podłodze wala się mnóstwo niedopałków. Świadectwo życia. Puka do drzwi. Przy każdym wydechu z jej ust wylatuje kłęb pary. Po raz pierwszy od wielu lat ma ochotę na papierosa. Puka ponownie. Postanawia, że jeśli i tym razem nikt nie zareaguje, to zabiera się stąd do diabła.

Drzwi otwierają się jednak i staje w nich otyła kobieta w brudnej różowej yukacie. Elspeth usiłuje przypomnieć sobie, jak wyglądała Chiyoko na fotografiach: pulchna nastolatka o twardym spojrzeniu i zawziętej minie. Oczy mogą być te same.

– Czy pani jest Chiyoko? Chiyoko Kamamoto?

Szeroka twarz kobiety rozpromienia się w uśmiechu.

– Proszę wejść – mówi Japonka, kłaniając się lekko. Mówi po angielsku z lekkim amerykańskim akcentem.

Elspeth wchodzi do ciasnego przedpokoju – jest tu równie zimno, jak na zewnątrz – i ściąga przemoczone buty. Krzywi się, kiedy jej stopy w cienkich rajstopach stykają się z lodowatym drewnem. Stawia buty na stojaku obok czerwonych pantofli na wysokich obcasach i kilku par znoszonych kapci.

Chiyoko (jeżeli to jest Chiyoko, Elspeth wciąż nie jest tego pewna) zaprasza ją gestem do wnętrza, które okazuje się znacznie mniej obszerne, niż można by oczekiwać: dwa pomieszczenia przedzielone krótkim korytarzem, na którego końcu znajduje się chyba maleńka kuchnia.

Elspeth idzie za Chiyoko do słabo oświetlonego pokoju po lewej stronie. Na podłodze

leżą wytarte maty *tatami*, na środku stoi niski stolik z poplamionym blatem, dokoła leżą porozrzucane spłowiałe szare poduszki.

– Proszę siadać – mówi Chiyoko, wskazując na jedną z poduszek. – Przyniosę herbatę.

Elsbeth posłusznie siada, z trudem zginając nogi w kolanach. W pokoju jest tylko trochę cieplej niż na dworze, w powietrzu czuć ledwo uchwytną woń ryb. Powierzchnię stolika pokrywają zaschnięte plamy po sosie i znumifikowane kawałki makaronu. Skądś dobiega szmer głosów i czyjś chichot. Dziecka?

Kobieta wraca z tacą, na której stoją dzbanek z herbatą i dwie okrągłe miseczki. Stawia ją na stoliku, po czym klęka z gracją zaskakującą jak na osobę takiej postury. Nalewa herbatę do misek, podaje jedną Elspeth.

– Pani jest Chiyoko, prawda?

Ledwo uchwytny uśmiešek.

– Tak.

– Pani i Ryu... Co się stało? W lesie znaleźli pani buty...

– Wie pani, dlaczego przed śmiercią trzeba zdjąć buty?

– Nie.

– Żeby nie nabrudzić w zaświatach. Dlatego jest tyle duchów bez stóp.

Chichot.

Elsbeth pociąga łyk herbaty. Zimna i gorzka. Zmusza się, żeby przełknąć jeszcze jeden. Niewiele brakuje, żeby się zakrztusiła.

– Dlaczego pani tu mieszka?

– Podoba mi się tutaj. Przychodzą goście. Niektórzy odwiedzają mnie, zanim pójdą umrzeć w lesie. Kochankowie, którym się wydaje, że są szlachetni i że świat o nich nie zapomni. Jakby to kogoś obchodziło! Zawsze pytają mnie, czy powinni to zrobić. Wie pani, co im odpowiadam? – Chiyoko obdarza Elspeth przeciągłym, porozumiewawczym uśmiechem. – Że tak, oczywiście. Większość przynosi mi dary: żywność, drewno na opał... Jakbym mieszkała w świątyni! Piszą o mnie książki, śpiewają pieśni. Na mój temat powstała nawet pieprzona manga. Widziała pani?

– Widziałam.

Kiwa głową, lekko skrzywiwszy usta.

– Rzeczywiście. Przecież napisała pani o tym w książce.

– Wie pani, kim jestem?

– Tak.

Za cienkimi przesuwanymi drzwiami rozlega się przeraźliwy, piskliwy krzyk.

– Co to? – pyta nerwowo Elspeth.

Chiyoko wzdycha głęboko.

– To Hiro. Już prawie pora karmienia.

– Słucham?!

– Dziecko Ryu. Zrobiliśmy to tylko raz. – Znowu chichocze. – Nie poszło nam dobrze.

Był prawiczkim.

Elsbeth spodziewa się, że Chiyoko wstanie i pójdzie do dziecka, ale ta nie ma najmniejszego zamiaru tego robić.

– Czy Ryu wiedział, że zostanie ojcem?

– Nie.

– Ale to jego ciało znaleziono w lesie?

– Tak. Biedny Ryu. *Otaku* bez powodu. Pomogłam mu osiągnąć to, czego pragnął. Mam pani opowiedzieć, jak było? To ciekawa historia, może ją pani opisać w książce.

– Proszę.  
– Powiedział, że pójdzie za mną wszędzie. Kiedy usłyszał, że chcę umrzeć, oświadczył, że pójdzie za mną także w zaświaty. Czy wiedziała pani, że zanim się poznaliśmy, wstąpił w sieci do grupy przysiężnych samobójców?  
– Nie.  
– Nikt o tym nie wiedział. To było tuż przed tym, jak zaczęliśmy rozmawiać. Nie potrafił się zdecydować. Potrzebował pomocy.  
– I zapewne to pani mu pomogła?  
Wzrusza ramionami.  
– To nie było trudne.  
– A pani? Zdaje się, że pani też próbowała to zrobić, prawda?  
Chiyoko wybucha śmiechem i podwija rękawy. Na nadgarstkach i przedramionach nie ma żadnej blizny.  
– Nie. To tylko bajki. Czują się pani tak kiedyś? Chciała pani umrzeć?  
– Tak.  
– Każdy tak się kiedyś czuł. Ludzi powstrzymuje wyłącznie lęk. Strach przed nieznanym. Przed tym, co może na nas czekać na tamtym świecie. Ale nie ma powodu się bać. Wszystko trwa dalej, bez przerwy.  
– Co trwa?  
– Życie. Śmierć. Hiro i ja wiele godzin przegadaliśmy na ten temat.  
– Hiro? Pani syn?  
Chiyoko śmieje się lekceważąco.  
– Proszę nie żartować. Przecież to małe dziecko. Oczywiście mam na myśli tamtego Hiro.  
– Hiro Yanagidę?  
– Tak. Chce pani z nim porozmawiać?  
– Hiro jest tutaj?! Jak to możliwe? Przecież zabił go tamten Amerykanin!  
– Doprawdy? – Chiyoko płynnie podnosi się z podłogi. – Proszę. Na pewno będzie pani miała do niego wiele pytań.  
Elspeth wstaje z trudem, zmęczone mięśnie zdążyły jej już zeszywnieć. Kręci jej się w głowie, czuje skurcze żołądka, a przez głowę przemyka jej paniczna myśl, że Chiyoko ją otruła. Ponad wszelką wątpliwość jest nieźrównoważona umysłowo, a jeśli prawdą jest to, co mówiła o Ryu i o ludziach zamierzających popełnić samobójstwo, to jest także niebezpieczna. Elspeth wciąż pamięta reakcję starca, który ją tu przywiózł. Do jej ust napływa ślina, szczypie się w lewe ramię, za wszelką cenę stara się nie stracić przytomności. Udaje jej się. Jest po prostu bardzo zmęczona. Wycieńczona.  
Idzie za Chiyoko do pokoju po drugiej stronie korytarzyka.  
– Proszę wejść.  
Chiyoko odsuwa drzwi na tyle, żeby Elspeth mogła wślizgnąć się do środka. W pomieszczeniu panuje ciemność, drewniane okiennice są zamknięte. Po jakimś czasie wzrok Elspeth przyzwyczaja się do ciemności. Po lewej stronie dostrzega zarys dziecięcego łóżeczka, pod oknem stoi tapczan z mnóstwem poduszek. Rybi smród jest tu znacznie bardziej wyczuwalny. Przypomina sobie majaczenia Paula Craddocka i przez jej ciało przebiega dreszcz. Chiyoko wyjmuje z łóżeczka dziecko, które natychmiast przytula się do niej i obejmuje jej szyję rączkami.  
– Mówiła pani, że Hiro tu jest?  
– Bo jest.  
Chiyoko przesuwając dziecko na biodro i otwierając jedną okiennicę, wpuszczając smugę



światła. Elspeth widzi, że się pomyliła; to, co wzięła za stertę poduszek na tapczanie, w rzeczywistości jest człowiekiem. Siedzi oparty plecami o ścianę, nogi wyciągnął przed siebie.

– Zostawię was samych – mówi Chiyoko.

Elspeth nie odpowiada, tylko wpatruje się w surabota Hiro Yanagidy. Maszyna odpowiada nieruchomym spojrzeniem, po czym mruga – stanowczo zbyt powoli, żeby wyglądało to przekonująco. Skóra na twarzy jest miejscami popękana, ubranie poszarpane.

– Cześć – odzywa się głosem małego dziecka. Elspeth aż podskakuje z wrażenia. – Cześć – powtarza android.

– Czy to ty, Hiro?

Nagle dociera do niej cała absurdalność tej sytuacji. Jest w Japonii i rozmawia z robotem. Z jakimś pieprzonym robotem.

– To ja.

– Czy mogę... Czy mogę porozmawiać z tobą?

– Już ze mną rozmawiasz.

Elspeth robi krok do przodu. Na twarzy androida dostrzega ciemne zaschnięte kropki.

Krew?

– Czym jesteś?

Android ziewa.

– Jestem mną.

Elspeth jest tak samo zdezorientowana jak podczas wizyty w warsztacie Kenjiego Yanagidy. Ma pustkę w głowie, nie wie, o co najpierw zapytać.

– W jaki sposób przeżyliście katastrofę?

– Tak postanowiliśmy. Ale nie zawsze wychodzi.

– A co z Jessicą i Bobbym? Gdzie oni są? Czy naprawdę umarli?

– Znudzilo im się. Tak zwykle bywa. Od początku wiedzieli, jak to się skończy.

– A jak to się skończy?

Android patrzy na nią bez słowa, mrugając powoli. Elspeth w końcu nie wytrzyma i przerywa milczenie:

– Czy jest czwarte dziecko?

– Nie.

– Więc skąd czwarta katastrofa?

Głowa robota przechyla się lekko na bok.

– Wiedzieliśmy, że powinniśmy to zrobić właśnie tego dnia.

– Co zrobić?

– Przybyć.

– Ale... Dlaczego dzieci?

– Nie zawsze jesteśmy dziećmi.

– Co to znaczy?

Android ponownie przechyla głowę i ziewa. Elspeth odnosi wrażenie, że to ma oznaczać coś w rodzaju: „Sama zgadnij, dziwko”. Zaraz potem maszyna wydaje odgłos podobny do kaszlnięcia, który w założeniu miał być zapewne śmiechem, otwierając przy tym zbyt szeroko usta. W tym zachowaniu jest coś znajomego... Elspeth wie, jak to działa, widziała nagrania pokazujące, jak kamera przekazuje surabotowi ruchy mięśni twarzy Kenjiego Yanagidy. Ale przecież w pokoju nie ma komputera... Choć przecież Chiyoko mogłaby sterować robotem z drugiego pokoju.

– Czy to ty, Chiyoko? To ty, prawda?

Pierś surabota unosi się i opada... Unosi się i opada... Wreszcie nieruchomieje.

Elspeth wybiega z pokoju, potykając się o maty *tatami*. Gwałtownym szarpnięciem otwiera drzwi obok pustej kuchni; to łazienka, maleńka wanna jest wypełniona po brzegi brudnymi tetrowymi pieluchami. Cofa się, rozdziera przepierzenie oddzielające korytarzyk od drugiego pokoju. Synek Chiyoko leży na podłodze, bawiąc się jakimś pluszowym zwierzątkiem. Na jej widok wybucha głośnym śmiechem.

Biegnie do przedpokoju, otwiera drzwi wejściowe. Chiyoko pali papierosa, wstążki dymu tańczą dokoła jej głowy. Czy to możliwe, żeby niepostrzeżenie wyszła na zewnątrz, kiedy Elspeth przeszukiwała dom? Elspeth wciąga buty i wychodzi na werandę.

– Czy to ty rozmawiałaś ze mną przez androida?

Chiyoko gasi papierosa na balustradzie i natychmiast zapala kolejnego.

– Myślisz, że to byłam ja?

– Tak. Nie. Nie wiem.

Zimne powietrze pomaga jej oprzytomnieć. Ma już dosyć nieustających zagadek.

– W porządku. Skoro to nie byłaś ty, to czym oni są? Chodzi mi o Troje.

– Widziałas, czym jest Hiro.

– Widziałam tylko jakiegoś cholernego androida!

Wzruszenie ramionami.

– Wszystko ma duszę.

– Więc tym właśnie on jest? Duszą?

– W pewnym sensie.

Jezu.

– Możesz mi normalnie odpowiedzieć?

Kolejny wkurzający uśmiezek.

– Najpierw normalnie zapytaj.

– No dobrze. Czy Hiro... prawdziwy Hiro... powiedział ci, dlaczego Troje, kimkolwiek są, zjawili się tutaj i wstąpili w ciała tych dzieci?

– A czy musiał być jakiś powód? Dlaczego polujemy, mimo że mamy pod dostatkiem jedzenia? Dlaczego zabijamy się z byle powodu? Dlaczego sądzisz, że potrzebowali jakiejś dodatkowej motywacji poza chęcią sprawdzenia, co się stanie?

– Hiro zasugerował, że byli tu już wcześniej. To samo usłyszałam od wujka Jessiki Craddock.

Chiyoko wzrusza ramionami.

– We wszystkich religiach funkcjonują przepowiednie o końcu świata.

– I co z tego? Co to ma wspólnego z tym, że Troje już tu kiedyś byli?

Z ust Chiyoko wydobywa się odgłos trochę podobny do westchnienia, a trochę do pogardliwego parsknięcia.

– Wyjątkowo wolno kojarzysz, jak na dziennikarkę. Może wcześniej zjawili się po to, żeby zasiać ziarno?

– To niemożliwe – stwierdza stanowczo Elspeth. – Chcesz powiedzieć, że przed tysiącami lat wszystko zaplanowali, a teraz wrócili, żeby sprawdzić, czy to, co wtedy zrobili, doprowadziło do końca świata? Przecież to szaleństwo!

– Oczywiście, że to szaleństwo.

Elspeth ma już dosyć. Jest wykończona.

– I co teraz?

Chiyoko ziewa szeroko, odsłaniając poważne braki w uzębieniu, i ociera usta dłonią.

– Rób, co do ciebie należy. Jesteś dziennikarką. Znalazłaś to, czego szukałaś. Wróć i opowiedz wszystkim, co widziałaś. Napisz artykuł.

– Naprawdę myślisz, że ktoś mi uwierzy, że rozmawiałam z androidem, w którym zamieszkała dusza, czy cokolwiek, jednego z Trojga?

– Ludzie uwierzą w to, w co będą chcieli uwierzyć.

– A jeżeli uwierzą, to pomyślą... To będą wierzyć, że...

– Że Hiro jest bogiem.

– A jest nim?

Chiyoko wzrusza ramionami.

– *Shikata ga nai*. Jakie to ma znaczenie?

Gasi papierosa na balustradzie i wraca do domu.

Przez kilka minut Elspeth stoi nieruchomo jak posąg. Wreszcie, nie mając wyboru, zapina kurtkę i rusza przed siebie.

## JAK TO SIĘ ZACZYNA

Pamela May Donald leży na boku, śledząc wzrokiem chłopca, który wraz z innymi wędruje między drzewami.

– Pomocy... – szepcze.

Szuka telefonu. Jest pewna, że powinien być w torebce. No dalej, dalej... Muska go palcami, brakuje tak niewiele... Spróbuj jeszcze raz, na pewno dasz radę... Nic z tego. Coś jest nie tak z jej palcami. Nie chcą się poruszać, nie czuje ich. Są martwe, już do niej nie należą.

– Snookie... – szepcze. A może tylko jej się wydaje? Tak czy inaczej, zaraz potem umiera.

Chłopiec podchodzi, lawirując między korzeniami i szczątkami samolotu, i spogląda z góry na ciało Pameli. Odeszła. Umarła, nie zdążywszy nagrać wiadomości. Jest rozczarowany, ale takie rzeczy zdarzały się wcześniej, a poza tym ta zabawa zaczęła go już nudzić. Ich wszystkich. To bez znaczenia. Nawet bez wiadomości wszystko i tak zawsze kończy się w taki sam sposób.

Przykuca, obejmuje kolana ramionami, dygoce. Słyszy narastający łoskot wirników nadlatujących śmigłowców ratowniczych. Bardzo lubi, jak wciągają go do maszyny wiszącej w powietrzu. Za każdym razem sprawia mu to taką samą przyjemność.

Ale następnym razem urządzi wszystko inaczej. Chyba już wie jak.

# PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim dziękuję Nadzwyczajnej Agentce Oli Munson z A.M. Heath, która rzuciła okiem na konspekt, powiedziała: „Zrób to” i zmieniła moje życie.

Powieść byłaby znacznie słabsza bez ogromnej pracy, jaką włożyła w nią moja wspaniała redaktorka Anne Perry, która zaryzykowała, uczyniła ze mnie lepszą pisarkę i nauczyła mnie stosować ozdobniki, a wszystko to nie tracąc poczucia humoru. Serdecznie podziękowania należą się też Oliverowi Johnsonowi, Jasonowi Bartholomew i fantastycznemu zespołowi wydawnictwa Hodder; Reagan Arthur i jej wspaniałemu zespołowi w wydawnictwie Little, Brown; Conradowi Williamsowi i wszystkim w agencji Blake Friedmann.

Następujące osoby życzliwie dzieliły się ze mną osobistymi doświadczeniami i wiedzą, cierpliwie odpowiadały na niekończące się pytania lub otwierały przede mną drzwi swoich domów: kapitan Chris Zurinkas, Eri Uri, Atsuko Takahashi, Hiroshi Hayakawa, Atsushi Hayakawa, Akira Yamaguchi, David France Mundo, Paige i Ahnika z House of Collections, Darrell Zimmerman z ratownictwa medycznego w Kapsztadzie, Eric Begala i Wongani Bandah. Dziękuję wam wszystkim za cierpliwość i życzliwość. Cała odpowiedzialność za wszystkie błędy i nieścisłości spada wyłącznie na moje barki.

Nieocenionym źródłem informacji była dla mnie wybitna praca naukowa Christophera Hooda pt. *Japońskie nieszczęście: reakcje na katastrofę lotu JL 123*. To dzięki niej poznałam terminy *isho* i *izoku*. Dług wdzięczności zaciągnęłam także wobec autorów następujących książek z literatury faktu, blogów, artykułów i powieści, z których czerpałam wiedzę o sprawach, o których pisałam w swojej książce: *Welcome to Our Doomsday* Nicholasa Guyatta; *Own Country* Stephena Batesa; *Shutting out the Sun* Michaela Zielenzigers; *The Otaku Handbook* Patricka W. Galbraitha; *Quantum: A Guide for the Perplexed* Jima Al-Khalili; *Train Man* Nakano Hitori; *Are We Living in the End Times?* Tima LaHaye'a i Jerry'ego B. Jenkinsa; *Understanding End Times Prophecy* Paula Benware; *Below Luck Level* Barbary Erasmus; *Alzheimer's From the Inside Out* Richarda Taylora; [sherizee.blogspot.com](http://sherizee.blogspot.com); [www.dannychoo.com](http://www.dannychoo.com); [www.tofugu.com](http://www.tofugu.com); *Apocalypse Now*, Nancy Gibbs (time.com 2002). Wielkie podziękowania dla anonimowych artystów z [asciiart.en.com](http://asciiart.en.com) za inspiracje dla ASCII Ryu.

Następujący życzliwi ludzie przeczytali manuskrypt i szczerze podzielili się ze mną swoimi uwagami: Alan i Carol Walters, Andrew Solomon, Bronwyn Harris, Nick Wood, Michael Grant, Sam Wilson, Kerry Gordon, Tiah Beaument, Joe Vaz, Vienne Venter, Nechama Brodie, Si i Sally Partridge. Eric Begala, Thembani Ndzandza, Siseko Sodela, Walter Ntsele, Lwando Sibinge i Thando Makubalo życzliwie wyplewili większość głupot, jakie nasadziłam we fragmentach poświęconych RPA. Jared Shurin, Alex Smith, Karina Brink, superfotograf Pagan Wicks i Nomes pomogli mi nie postradać zmysłów. Jesteście niesamowici.

Lauren Beukes, Alan Kelly (dzięki za świniestewka!), Nigel Walters, Louis Greenberg oraz moja kumpela od pornosów Paige Nick stawali na głowach, służąc mi radą i pomocą. Jestem wam dozgonnie wdzięczna. Moja przyjaciółka i redaktorka Helen Moffett jak zwykle wciąż na nowo ratowała mi tyłek (oby nigdy w życiu nie zabrakło ci smakowitych ciasteczek!).

*Last but not least*, dziękuję mojemu mężowi Charliemu i córce Savannah za to, że znosili niekończące się burze mózgow, obsesje i poszukiwania rozwiązań, oraz przynosili mi kawę o trzeciej nad ranem. Gdyby nie wy, nie napisałabym ani słowa. Wielkie dzięki za nieustające wsparcie.

